

Pearl S. Buck

# Smocze ziarno

Dragon Seed

Przełożyła Anna Bartkowicz

Wydanie I

Muza S.A. 2008



*Dla Chińczyków smok nie jest wcieleniem zła. Jest bogiem przyjaznym ludziom, którzy oddają mu cześć. Smok „włada ludzkim szczęściem i pokojem”. Rządząc wodami i wiatrami, zsyła dobry deszcz i dlatego stanowi symbol płodności. Za czasów dynastii Sia dwa smoki stoczyły wspaniałą pojedynek i po zażartej walce oba zniknęły, pozostawiając po sobie jedynie życiodajną pianę, z której narodzili się potomkowie tej dynastii. Dlatego smoki te uznano za przodków rodu herosów.*

# I

Ling Tan podniósł głowę. Ponad polem ryżowym, na którym stał po kolana w wodzie, niósł się wysoki, donośny głos jego żony. Dlaczego ta kobieta woła mnie właśnie teraz, wczesnym popołudniem, kiedy nie czas najedzenie czy sen? – pomyślał. W drugim końcu pola dwaj synowie Ling Tana pochylali się nad wodą. Sadzili ryż, a ich prawe ręce poruszały się zgodnym rytmem niby ramię jednego człowieka.

– Hej tam! – zawołał Ling Tan, a oni na dźwięk głosu ojca wyprostowali się równocześnie jak jeden mąż.

– Czy to głos waszej matki? – dociekał Ling Tan.

Zaczęli nasłuchiwać. Krzepcy z nich byli młodzieńcy. Na ich widok dumny z potomstwa Ling Tan poczuł w żołądku lekki ucisk. Obaj zdążyli się już ożenić, a starszy, Lao Tan, miał dwóch synów, z których młodszy liczył sobie zaledwie miesiąc. Natomiast Lao Er, drugi syn Ling Tana, ożenił się przed czterema miesiącami, a jego żona już zaczynała się niecierpliwić. Poza nimi dwoma Ling Tan miał jeszcze najmłodszego syna. Chłopak, noszący imię Lao San, siedział w tej chwili na grzbiecie domowego bawołu, a bawół pasł się gdzieś u porośniętego trawą podnóża wzgórz w dolinie, w której leżała ich wioska. W rodzinie były także dwie córki, z których jedna, starsza, wyszła już za mąż. Ling Tan wydał ją za kupieckiego syna mieszkającego w mieście, którego mury łatwo dało się dostrzec, stanąwszy tuż za domem.

Wołanie żony Ling Tana powtórzyło się. I tym razem rozległo się tak wyraźnie, że nie mogło być żadnej pomyłki. Przyzywała Ling Tana wrzaskiem, a jej głos niósł się ponad polami.

– Gdzie jesteś, ty staruchu?! Czy całkiem już ogłuchłeś?!

– To matka – oznajmił Lao Tan, po czym wszyscy trzej, patrząc po sobie, uśmiechnęli się szeroko, a Ling Tan wsadził do wody sadzonki ryżu, które właśnie trzymał w lewej dłoni.

– Przerwać pracę o tej porze dnia to tyle, co wyrzucić w błoto sporo pieniędzy – powiedział. – Wy dwaj pracujcie więc dalej.

– Wasze serce, ojcze, może być o to spokojne – odrzekł mu na to starszy syn.

Młodzi mężczyźni wrócili do roboty. Pochyleni nad błotnistą, letnią wodą szybkimi ruchami sadzili zielone roślinki. Stopy zapadały im się w żyzny muł, a ich ciemne, nagie plecy ogrzewało słońce. Pracując, rozmawiali sobie z głowami osłoniętymi szerokimi, uplecionymi z bambusa kapeluszami.

Ci dwaj synowie Ling Tana, jak daleko wstecz sięgała ich pamięć, bardzo się ze sobą przyjaźnili. Różnica wieku między nimi wynosiła niecały rok. Nie mieli przed sobą tajemnic – zawsze mówili sobie wszystko. I nawet fakt, że byli już żonaci z tak różnymi kobietami, nie zakłócał ich bliskości. To właśnie o swoich żonach rozmawiali w chwili, gdy zagadnął ich ojciec, a gdy się oddalił, powrócili do przerwanej pogawędki. Byli wciąż bardzo młodzi. Tak młodzi, że ich własne ciała i wszystko, co jedli oraz pili, a także wszystko, co im się przydarzało w dzień i w nocy, wzbudzało w nich uczucie zadziwienia. Stanowiło też temat do rozmowy. Nie sięgali jeszcze myślą poza zielone wzgórza otaczające dolinę, w której znajdowała się ziemia ich ojca. Ta ziemia miała w przyszłości stać się ich własnością i do tych wzgórz ograniczał się dla nich świat. A centrum tego świata stanowiła wioska Ling, gdzie od setek lat żyli i umierali ich przodkowie i krewni. Pobliskie miasto stanowiło jedynie rynek zbytu. Gdy zebrali ziarno, warzywa czy owoce, udawali się tam, by je sprzedać. Ich wiedza o mieście ograniczała się wyłącznie do tego. Nie chcieli też wcale wiedzieć o nim więcej. Ponieważ jednak ich siostra, nieznacznie tylko od nich młodsza, była teraz żoną drobnego kupca mieszkającego w mieście, czuli się nieraz winni, że nie odwiedzają szwagra. Mimo to rzadko składali mu wizyty, gdyż mieli dość zajęć w gospodarstwie.

Gdy ich ojciec się oddalił, pracowali dalej. Ich głowy były tak samo jak przedtem osłonięte kapeluszami, a robota posuwała się w takim samym tempie. Za plecami dwaj młodzieńcy mieli zalane wodą puste pola, a przed sobą równe rzędy zielonych stojących sztywno sadzonek.

– Czy mężczyzna może się zorientować, w którym momencie to, co zasadzi w kobiecie, zapuściło korzenie? – zapytał Lao Er brata.

– O nie! – roześmiał się Lao Tan. – To jest robota na oślep i trzeba ją wciąż powtarzać. Tu w polu, w pełnym świetle dnia pracuje się zupełnie inaczej. Czy ona ci się opiera?

– Z początku się opierała. Ale teraz już nigdy tego nie robi – odrzekł Lao Er.

– Daj jej spokój na trzy dni, a potem zachowuj się tak, jakby to był pierwszy raz – poradził Lao Tan i zaraz potem kontynuował tonem kogoś starszego, kto poucza młodzika: –

Gdy mężczyzna zasiewa swoje ziarno, gleba musi być przygotowana. Mam na myśli to, że męskiego ziarna nie można rzucać ot tak sobie. Trzeba najpierw wszystko przygotować i dopiero wtedy siać ziarno. Nie wolno też ziarna rozpraszać niczym nasion chwastów, wśród których hula wiatr. Trzeba je wrazić głęboko w ziemię. O tak... tak... i tak.

Powtarzając to słowo, za każdym razem ruchem nagiego ciemnego ramienia Lao Tan wtykał dłoń w ziemię, zostawiając w niej mocną ryżową sadzonkę. A Lao Er chłonał całym sercem jego słowa.

– Ja jestem człowiekiem niecierpliwym – przyznał się, trochę zawstydzony.

– A zatem to z własnej winy nie masz jeszcze syna – odrzekł Lao Tan, po czym spojrzał chytrze na młodszego brata, którego bardzo kochał, a jego usta wygięły się w uśmiechu. – Kiedy upłynie rok od twojego ślubu, przekonasz się, że syn jest dla ciebie ważniejszy niż jego matka.

– A jak ona się złości! – powiedział Lao Er. – Co miesiąc, gdy pojawia się wypływ, przeklina go, na czym świat stoi.

Roześmiali się ponownie na myśl o młodej, zapalczywej dziewczynie, jaką była żona Lao Era. Różniła się bardzo od pulchnej żony starszego brata, którą cechował spokój i która swój temperament, jeżeli go miała, chowała głęboko i trzymała w sekrecie. Natomiast żona Lao Era przypominała zachodni wiatr. Gdziekolwiek się pojawiła, wprowadzała niepokój. Lao Er pokochał ją od pierwszego wejrzenia.

Lao Tan także kochał swoją żonę. Jednakże nie całym swoim jestestwem, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Oznaczało to, że potrafił odwlekać pójście do łóżka. Tak, potrafił czynić to aż do chwili, gdy starsi mężczyźni zaczęli ziewać, przeciągać się i wychodzić z wioskowej herbaciarni bądź kończyli spacer po placu przed małą świątynią. Gdy po tym wszystkim, już po przyjsciu do domu, Lao Tan zastał ojca jeszcze na nogach, potrafił stać z nim przez jakiś czas przed domem i gawędzić. Jego miłość do żony nie miała w sobie nic z pośpiechu. Ona natomiast kładła się wcześniej i spała spokojnie. Wystarczyło więc, żeby położył się obok niej i przystąpił do roboty.

Natomiast żona Lao Era była kobietą nerwową, niespokojną i psotną, a jej mąż nigdy nie miał pojęcia, gdzie ona się podziewa, dopóki nie znalazła się przy nim. Co wieczór przeżywał chwile rozterki. Z jednej strony śledziły go bowiem uważne spojrzenia innych mężczyzn – zawsze gotowych śmiać się z niego, gdy pierwszy opuszczał zgromadzenie – a z drugiej bardzo pragnął jak najszybciej dowiedzieć się, gdzie jest żona. Nazywał ją Nefryt, choć jej imię było nieco dłuższe. „Nefryt!” – wołał, wkraczając do izby, którą zajmowali we dwoje. Przeważnie jednak jej tam nie było. Rzadko zastawał ją dwa razy w tym samym

miejsu – czy to w domu, czy poza nim. No i nigdy, przenigdy nie czekała na niego w łóżku. Lao Er bardzo pragnął wiedzieć, czy Nefryt go kocha. Zapytać o to jednak nie miał odwagi. Obawiał się bowiem, że wyśmiej go. Tak, bał się, że wyśmiej go ta kobieta, której śmiech, podobnie jak gniew, był zawsze aż nazbyt szybki. Teraz, rozmawiając z bratem w polu, Lao Er zamilkł, zastanawiając się, gdzie Nefryt jest w tej chwili. Rankiem wyszła w pole i pomagała mu sadzić ryż, jednak po południowym posiłku została w domu.

– Chcę spać – powiedziała i rzuciła się na łóżko.

Po czym natychmiast, na jego oczach, zasnęła. Lao Er zapragnął położyć się przy niej. Nie miał jednak odwagi. Gdyby tak postąpił, ojciec skarciłby go z pewnością za to, że pokłada się z żoną za dnia, a tymczasem sadzonki ryżu czekają. Oddalił się, a ona została w izbie. Leżała pogrążona we śnie ze swoją śliczną niby u dziecka twarzą o wydatnych kościach policzkowych. Ale jak długo spała i co robiła potem? Lao Er spojrzał w słońce. Stało wciąż zbyt wysoko. Westchnął więc i wrócił do pracy.

Tymczasem Ling Tan, siedząc pod słomianym daszkiem, który zawsze na lato umieszczał nad podwórkiem, słuchał nieznanego przybysza. Był to przekupień, handlujący jedwabiami z Szantungu oraz kantońskim lnem, jeden z tych ludzi, którzy zarabiają na życie, wędrując wiosną ze swym towarem na południe, by sprzedać go mieszkańcom tamtejszych miejscowości, a potem, wczesnym latem, wracają z południa z jedwabiem, jakiego nie tka się na północy. Miał teraz przy sobie jedynie kilka sztuk kantońskiego lnu. Ten len był tak zgrzebny, że handlarz doszedł do wniosku, że kupić go mogą tylko żony wieśniaków. Opuścił więc miasto i udał się na wieś. Skierował się do domu Ling Tana, bo ten był większy niż pozostałe, a także dlatego, że przy bramie zobaczył ładną młodą kobietę trawiącą beczynn timeras.

Wyglądało też na to, że nikt owej kobiety nie pilnuje. Jednak, gdy tylko przekupień się zbliżył i odezwał się do niej, zza bramy wyłoniła się stara matka, Ling Sao.

– Jeżeli już musicie zagadywać kobietę – odezwała się ostro – mówcie do mnie, a nie do żony mojego drugiego syna.

– Zamierzałem tę młodą kobietę zapytać tylko o to, gdzie jest matka jej męża – odrzekł pospiesznie przekupień, zorientowawszy się w okamgnieniu, że ta starsza, stanowcza i władcza kobieta jest tutaj głową domu. – Wracam właśnie na północ – oznajmił. – Zostało mi zaledwie kilka stóp kantońskiego lnu na letnie ubrania, a ponieważ słyszałem w wiosce, że wy jesteście najbardziej wymagającą klientką w tej okolicy...

– Powściągnijcie język i pokażcie ten len – przerwała mu kobieta.

Skwapliwie spełnił to polecenie, śmiejąc się przy tym przymilnie. A za parę minut kłócili się już zażarcie o cenę kantońskiego lnu.

– Dam go wam po prostu w prezencie – stwierdził w końcu przekupień – bo tego lata na północy ma być wojna.

Tkanina wypadła kobiecie z rąk.

– Jaka znowu wojna? – zapytała.

– Nie nasza – odrzekł mężczyzna. – To wojna tych karzełków znad Wschodniego Oceanu, którzy tak bardzo lubią walczyć.

– Czy dotrą aż tutaj? – dopytywała się dalej kobieta.

– Kto to może wiedzieć – odrzekł przekupień.

Wtedy kobieta podeszła do drzwi i zawołała męża.

Teraz Ling Tan i przekupień siedzieli przy stole na podwórku pod słomianym daszkiem i rozmawiali. Podwórko zawsze było przyjemne – nagrzane słońcem zimą, a chłodne latem; chłodne były w tej chwili kamienie brukowe pod stopami Ling Tana. Któryś z jego przodków urządził na środku mały staw i zasadził w dzbanie lotos. Lotos ten kwitł właśnie – miał sześć kwiatów o żółtych sercach z intensywnie czerwonymi środkami. Latem nakrywano tutaj do stołu i tutaj jadano – nawet podczas deszczu, bo słomiany daszek przed nim chronił. Tak więc Ling Tan siedział wraz z przekupniem przy stole, a jego żona, która już im naląła herbaty, przysiadła na stojącej trochę z boku ławie i zajęła się szyciem pantofli. Podeszwa ich była gruba, jednak żona Ling Tana miała długą żelazną igłę. Gdy igła ugrzęzła w materiale, chwyciła ją swymi mocnymi białymi zębami i wyszarpywała, pociągając równocześnie mocną konopną nić. Ling Tan zawsze wtedy odwracał wzrok, bo choć nigdy o tym nie mówił, widok ten niezmiernie go irytował.

– Więc powiadacie, że karły znad Wschodniego Oceanu zabiły pewną liczbę naszych ludzi? – zapytał.

– Na północy kraju zginęli z ich rąk mężczyźni, kobiety i dzieci – odrzekł przekupień.

Po czym podniósłszy czarkę do ust, wypił swoją herbatę i wstał.

– Jutro muszę dotrzeć do Pengpu. Zatem pożegnam się już z wami.

Był człowiekiem pospolitego wyglądu, a mowę miał wyświechtaną od bezustannego używania.

Ling Tan nie poruszył się.

– Jakież są zatem perspektywy? – mruknął do siebie.

Ponieważ jednak nie pytał o to nikogo, nikt mu nie odpowiedział. Przekupień zarzucił

na ramię swój tobołek, uklonił się i wyszedł, a Ling Tan został na podwórku sam z żoną. Ling Sao nadal szyla, a on siedział, patrząc na swój dom. Ten dom miał mury ze starych cegieł, a dach niski i kryty dachówką. Wewnętrzne ścianki działowe zbudowane zostały z pojedynczych cegieł i wstawione pomiędzy drewniane belki, a potem otynkowane i pobielone wapnem. W tym to domu żyli i umierali przodkowie Ling Tana. W tym domu urodził się też on sam – jedyny syn swoich rodziców. No i tutaj właśnie mieszkali jego trzej synowie, a także wnuki.

Dzień był spokojny i upalny. Serca kwiatów lotosu drżały. Nagle w ciszy popołudnia rozległ się płacz wnuka. Ling Sao wstała i weszła do środka, a Ling Tan został sam. Mam dobre życie, pomyślał. Była to prawda. Szczęście mu sprzyjało. Jego ziemia leżała w pobliżu wielkiego miasta, nad piękną rzeką, w dolinie pośród wzgórz, z których nawet podczas suszy spływała życiodajna woda. Miał wszystko, czego tylko zapragnął. Nie był ani bogaty, ani biedny. Jedyne dziecko, które mu umarło, było dziewczynką. A on sam nigdy nie chorował. W wieku lat pięćdziesięciu sześciu ciało miał tak samo szczupłe i silne jak w młodości. Gdyby nie to, że jego żona nie była już w stanie począć, mógłby wciąż płodzić synów tak jak kiedyś. Pewna starucha z wioski często się z nim przekomarzała, twierdząc, że może mu załatwić konkubinę, jednak on nie chciał o tym słyszeć.

– Mam przecież swoich synów – odrzekł tej nachalnej kobiecie nie dalej jak wczoraj.

– W dzisiejszych czasach synów nie można mieć za wielu – powiedziała na to ona. – Jest bowiem tyle wojen i tyle broni, i tyle tych różnych cudzoziemskich rzeczy.

Ale Ling Tan tylko się roześmiał. Jego żona, poza tym, że nie mogła już rodzić, była tak samo dobra jak kiedyś. A nawet lepsza, bo знаła go na wylot. Ling Tan czuł się zatem całkiem usatysfakcjonowany i wcale nie chciał zaczynać wszystkiego od nowa z jakąś młodą dziewczyną. Poza tym wiedział doskonale, że gdy próg domu przekracza druga kobieta, z domu ucieka spokój.

Plasnął teraz dłonią w stół, dopił pozostałą w czarce resztkę herbaty, wstał i poprawił pas z niebieskiego płótna.

– Wracam do pracy! – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Jednak on odpowiedzi wcale się nie spodziewał – bo przecież słyszały go tylko kobiety – i poszedł swoją drogą.

Znalazłszy się w polu, stwierdził z zadowoleniem, że synowie wykonali już prawie całą zaplanowaną na ten dzień robotę. Jeszcze godzina – pomyślał – i o zachodzie słońca to pole będzie gotowe. Było to poletko ostatnie. Gdy skończą, cały tegoroczny ryż będzie zasadzony, a rodzinie w kolejnym roku nie zabraknie stawy. Ling Tan, zabierając się do



roboty, pochylił się ponownie i zobaczył w wodzie niewyraźne odbicie swojej twarzy – szczupłej, o kanciastym zarysie policzków i szczęk. Tak, tak, Ling Tan nie miał nigdy trudności z utrzymaniem kapelusza na głowie, bo sznureczek zaczepiał się porządnie o jego kwadratową brodę. Nie wszystkim dana była taka wygoda. We wsi żyli bowiem ludzie, którzy mieli tak skośne podbródki, że musieli podtrzymywać sznureczek zębami. Jednak on, Ling Tan, różnił się od nich. Mógł spokojnie zamknąć usta, nie musiał wiecznie trzymać ich na wpół otwartych, pokazując zęby, tak jak jeden z jego dalszych kuzynów. Choć trzeba przyznać, że ten kuzyn był mimo to porządnym człowiekiem, i nawet trochę uczonym. Potrafił odczytywać obwieszczenia władz, wywieszane na miejskim murze.

Ling Tan natomiast wcale nie umiał czytać. Nie znał ani jednej litery. I nigdy mu to nie było potrzebne. Wcześniej czy później, mawiał, człowiek usłyszy wszystko od innych ludzi. Dobre nowiny rozchodzą się szybko, a co do złych – to im później do człowieka dotrą, tym lepiej. Ling Tan nie posłał do szkoły swoich synów i wcale tego nie żałował. Tak właśnie było – nie żałował tego nawet wtedy, kiedy z miejskich szkół na wieś przybywali młodzi mężczyźni i kobiety, głosząc, że w dzisiejszych czasach wszyscy powinni umieć czytać i pisać. Patrząc na tych bladych uczniów, Ling Tan myślał sobie, że nie widzi żadnego zgoła powodu, by im wierzyć. Miał bowiem swoje własne obyczaje i trzymał się ich konsekwentnie.

Teraz, pracując w polu, nie odzywał się do swych synów. Oni także milczeli i ta cisza trwała aż do chwili, gdy zakończywszy na ten dzień robotę, zeszli się tuż obok ostatniej sadzonki, która została wetknięta w ziemię. Wszyscy trzej wyprostowali się wtedy i zsunęli kapelusze z głów na plecy.

– Czego chciała matka? – zapytał Lao Tan.

– Pojawił się przekupień z północy i przyniósł wieści o wojnie – odrzekł Ling Tan, który nie myślał o tym już od godziny i któremu cała ta sprawa wydawała się teraz bez znaczenia.

Północ kraju była przecież daleko stąd. Ling Tan zmierzył swym bystrym wzrokiem rzędy sadzonek – zielonych na tle brązowej wody. Cienie, które te sadzonki rzucały, tworzyły prostą czarną linię. Świadczyło to o tym, że prawe ręce obu jego synów były tak pewne jak jego własna. Ling Tan otarł twarz końcem pasa i zwrócił się do drugiego syna:

– Idź i w sklepie naszego dalekiego kuzyna kup trochę wieprzowiny. Zjemy ją dziś wieczorem z kapustą.

– Ja pójdę za niego – powiedział przekornie starszy syn.

Ling Tan spojrzał na obu młodzieńców i zauważył, że twarz Lao Era jest purpurowa.

– O co wam chodzi? – zapytał.

Lao Tan roześmiał się, ale nie chciał mówić. A młodszy syn szczyrzył zęby jak głupek. Ojciec uśmiechnął się także. Ci dwaj są jeszcze dziećmi! – pomyślał.

– Zachowajcie sobie wasze sekrety – powiedział z rozbawieniem. – Bo cóż mnie one mogą obchodzić?

Po czym, bardzo zadowolony, ruszył do domu i w chwilę później zauważył, że jego drugi syn wślizguje się przed nim przez bramę. Czymkolwiek jest to, co każe mu tak się spieszyć – pomyślał – znajduje się przynajmniej w obrębie tych murów. Nie przyszło mu jednak do głowy, że przyczyną pośpiechu młodszego syna jest jego własna żona.

Tymczasem Lao Er wszedł już do izby, którą dzielił z Nefryt. Ale żony nie było.

– Nefryt! – zawołał, rozglądając się. – Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. – Nefryt! – powtórzył.

Starał się wołać ściszym głosem. Może ona się gdzieś schowała, pomyślał. Czyniła to czasami i śmiejąc się, opuszczała kryjówkę, dopiero, kiedy doprowadziła go wręcz do szafu. Ale tym razem nie pojawiła się pomimo ponownego wołania. Izba była pusta.

Lao Er poczuł strach – ten sam, który nawiedzał go za każdym razem, gdy nie mógł jej znaleźć. Czyżby od niego uciekła? Lao Er wyszedł na podwórze, chcąc poszukać matki, a nie znalazłszy jej tam, skierował się do kuchni. Tutaj spod drewnianej pokrywy kociołka wydobywała się para. A w kociołku gotował się ryż. Lao Er zajrzał za wielki gliniany piec. I okazało się, że właśnie tam przykucnęła jego matka, dokładając do ognia suchej trawy. Lao Er wstydził się ją zapytać, gdzie jest jego żona. Dlatego udał rozgniewanego.

– Matko – zawołał – dlaczego to wy dokładacie do ognia? Powinna to przecież za was zrobić ta moja uprzykrzona żona!

– Oj, uprzykrzona to ona jest! – potwierdziła matka. – Nie widziałam jej od chwili, gdy słońce stało pośrodku nieba. Ach, te dzisiejsze młode kobiety! Swatka nas oszukała. Moim zdaniem, synu, takie rzeczy dzieją się przez to, że w dzisiejszych czasach nie krępuje się im stóp. Gdy ja byłam małą dziewczynką, krępowano nam stopy. No i siedziałyśmy w domu. A teraz te młode są jak kozy. Wciąż gdzieś biegają...

– Znajdę ją, sprowadzę do domu i spuszczę jej lanie – powiedział Lao Er i poczuł taki gniew, że z pewnością zbiłby żonę, gdyby ta nawinęła mu się teraz pod rękę.

– Uczyń to – odrzekła matka, a zaraz potem w jej małych, przebiegłych oczach pojawiły się wesołe iskierki. – Tylko najpierw, mój synu, upewnij się, że potrafisz to zrobić.

W dzisiejszych czasach nie jest tak łatwo spuścić lanie kobiecie!

Parsknęła ironicznym cichym śmiechem, po czym dorzuciła do ognia trochę trawy. Ling Tan nie był biednym wieśniakiem, a jej własny ojciec także posiadał żyzną ziemię. Jednak ją nauczono, że – bez względu na zasobność domu – nie należy marnować jedła, opału ani ubrań. Ilekroć więc utkała sztukę płótna i skroiła z niej jakiś ubiór, zbierała pieczołowicie ścinki. Swatka gwarantowała to Ling Tanowi i okazało się to prawdą. Lecz obecnie istniały trudności ze znalezieniem podobnych do Ling Sao kobiet. Orchidea na przykład, żona jej starszego syna, miała w dzieciństwie skrępowane stopy. Jednak zanim przyniosło to pożądane skutki, przyszła rewolucja. I ojciec Orchidei kazał uwolnić jej stopy. Co do Ling Tana natomiast, to ten w ogóle nie pozwolił, by stopy jego dwóch córek zostały skrępowane.

Ling Sao siedziała w kucki, dorzucając do pieca trawy. Listek po listku, źdźbło po źdźbło, jakaś gałązka lub dwie, jakaś łodyżka. Czyniła to, rozmyślając o żonach swych synów. Dobre czy złe, to właśnie one mogły uczynić dom szczęśliwym – albo nieszczęśliwym. I to od nich zależał los starych ludzi. Na synów nie można było liczyć, bo w każdym domu to kobiety mają większą władzę od mężczyzn. Dlatego, pomyślała Ling Sao, któż uwierzy, że mój drugi syn spuści swej żonie lanie, gdy ją znajdzie?

– Nie zrobi tego – mruknęła w płomienie.

Ją samą jej własny mąż zbił w młodości tylko dwa razy. Raz w złości, a raz z zazdrości. Tak, tak to było. Ale Ling Tan był silniejszy od swoich synów. A ona, Ling Sao, wcale nie zniosła tego bicia spokojnie. Walała go pięściami, podrapała mu twarz i ugryzła go w prawe ucho tak mocno, że do dziś pozostała mu blizna.

– Kto cię tu ugryzł? – pytali go wciąż ludzie.

– Tygrys górski – odpowiadał zawsze na to ze śmiechem.

Mówił tak, bo Ling Sao pochodziła z wioski położonej w górach.

Ale Nefryt? Czy którykolwiek mężczyzna jest w stanie zbić Nefryt?

Matka westchnęła i pozwoliła, by ogień przygasł, a potem ponownie buchnął płomieniem. Kolana ją bolały, ale ona na to nie zważała. Podniosła pokrywkę kociołka i powąchała ryż. Pachniał dobrze, już prawie gotowy. Przykryła więc kociołek starannie. Ogień nie był mu potrzebny – para zrobi swoje, ryż dojdzie. Znowu westchnęła i sięgnęła po miseczki stojące na półce w glinianym kominie. Na wieczorny posiłek da im rybę, która została z posiłku w południe, a resztę kapusty pomiesza z ryżem. Ta ryba nic ich nie kosztowała, bo pochodziła z ich własnej sadzawki. By ją złowić i przeznaczyć na posiłek, wystarczyło zanurzyć w wodzie sieć.

Matka postawiła miski na stole na podwórzu, położyła tam też pałeczki, a potem weszła do izby, w której sypiała wraz z mężem. Ling Tan już tam był. Mył się właśnie w miednicy pełnej zimnej wody. Nic do siebie nie powiedzieli, ale na twarzy każdego z nich pojawił się wyraz spokoju. Kobieta usiadła i wyjąwszy z włosów swoją srebrną wykałaczkę, zaczęła powoli czyścić zęby. Patrzyła na myjącego się męża, myśląc przy tym, że jego ciało jest teraz równie piękne jak wtedy, gdy zobaczyła je po raz pierwszy. Tak, to ciało było wciąż jędrne, szczupłe i brązowe. Ling Tan poruszał się szybko i energicznie, myjąc się, wykręcając ręcznik, który – podobnie jak prawie wszystko, czego używali – był wytworem jej rąk. Wycierając się do sucha, Ling Tan był człowiekiem czystym. Jego ciało nigdy nie miało przykrego zapachu. Kiedy czasami śmiał jej się w twarz, pokazywał zdrowe zęby, a oddech miał słodki. Nie tak jak jeden z jego kuzynów, któremu z ust cuchnęło niczym wielbłądowi. „Jak ty możesz przy nim spać?” – takie pytanie Ling Sao zadała niedawno żonie tego kuzyna. „A czyż wszyscy mężczyźni nie śmierdzą?” – odrzekła tamta. „Mój nie” – oświadczyła z dumą Ling Sao.

– Zjem teraz kolację – odezwał się nagle Ling Tan.

Wciągnął luźne, bawełniane niebieskie spodnie i obwiązał się czystym pasem. A potem przypomniał sobie o mięsie.

– Posłałem naszego najstarszego po wieprzowinę – powiedział.

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Została nam połowa ryby z południowego posiłku.

– Zjem wieprzowinę – odrzekł stanowczo.

– No dobrze – zgodziła się i zaraz wstała, by przygotować dla niego mięso.

Gdy weszła do kuchni, zobaczyła, że mięso leży już na stole, na wysuszonym liściu lotosu. Chwyciła je i obejrzała uważnie – jak zawsze czujna, podejrzewała, że rzeźnik, ich daleki kuzyn, mógł ją oszukać. Pomyślała tak, choć ten człowiek nigdy dotąd tego nie uczynił. Bał się jej bowiem, a także szanował Ling Tana. Choć jak każdy rzeźnik miewał także gorsze kawałki mięsa, to jednak wiedział, komu je sprzedać. Leżący na stole i wążący funt kawałek wieprzowiny był naprawdę piękny. Skórę miał miękką, grubą i białą, a w środku dawały się dostrzec czerwone i białe warstwy. Ling Sao nie mogła mu nic zarzucić. Pokroiła mięso szybko, natarła je czosnkiem i solą, a potem uformowała z niego małe kulki, które wrzuciła do wrzątku. Gotowała zawsze dobrze i sprawnie, więc teraz też Ling Tan nie zdążył wypalić dwóch fajek, gdy potrawa była gotowa.

– Twój ojciec będzie już jadł – zawołała Ling Sao od kuchennych drzwi do najstarszego syna.

Lao Tan wyszedł ze swej izby, umyty już i czysty, z dzieckiem w ramionach.

– Jesteśmy – oznajmił.

Ling Tan od swoich drzwi zawołał na drugiego syna.

– Nie usłyszysz – krzyknęła z kuchni jego żona, która mieszała właśnie zimną kapustę z gotującym się ryżem. – Szuka swojej kobiety.

Z podwórza dobiegł śmiech. Śmiech dwóch mężczyzn, których żony nigdy nie uciekały. Matka nałożyła ryżu do misek, zaniósła je do stołu i zaczęła się śmiać razem z mężczyznami. Do drzwi, zapinając kaftan, podeszła żona najstarszego syna.

– Pozwólcie, matko, że ja to zrobię – zaproponowała z czystej uprzejmości, nie ruszając się z miejsca.

A ponieważ wszyscy się śmiali, roześmiała się także, nie mając pojęcia, co wzbudziło ich wesołość. W tym domu śmiech rozbrzmiewał zawsze, więc ona, Orchidea, stworzenie dobre i łagodne, śmiała się także, nie szukając jego przyczyny.

Gdy siedzieli już przy stole, w bramie pojawił się trzeci syn, który prowadził bawołu na postronku przewleczonym przez nozdrza zwierzęcia. Był to wysoki, milczący chłopiec, niespełna szesnastoletni. Kiedy wszedł, nikt nie odezwał się do niego ani słowem. Zresztą on wcale się tego nie spodziewał. Zauważył jednak szybkie, troskliwe spojrzenie matki, a także spojrzenie ojca. Oboje popatrzyli na niego, by sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Ten chłopiec dobrze wiedział – o czym nie mieli pojęcia pozostali – że rodzice kochają go najbardziej ze wszystkich dzieci, choć z powodu swej porywczosci, przysparza im najwięcej troski. Lao San na różne dziecięce sposoby wykorzystywał swoich starszych braci, jednak oni pozwalali na to. Czasami tylko – gdy im dokuczał – dawali mu kuksańca w ogoloną głowę. W stosunkach z rodzicami okazywał często upór, był samowolny i dąsał się. Oni natomiast starali się stosować wobec niego jak najmniej nakazów. Ling Tan celowo pozwalał chłopcu zabierać bawołu na wzgórze, chciał bowiem tego małego buntownika mieć jak najdalej od siebie, bo pozwalało mu to uniknąć konfrontacji z jego nieobliczalnymi kapryсами.

Trzeba tu powiedzieć, że powodem tego wszystkiego był fakt, że twarz Lao Sana była taka piękna. Tak, tak, ten trzeci syn Ling Tana i Ling Sao był tak urodziwy, że rodzice od chwili jego przyjścia na świat przygotowywali się na jego śmierć. No bo jakże bogowie mogli nie być zazdrośni o taką urodę? Chłopak miał oczy podłużne o źrenicach czarnych niby onyks zanurzony w wodzie i czystych białkach. Jego twarz była kwadratowa, a usta pełne, o wargach wykrojonych niczym wargi bogów. Dostrzegali w nim przy tym pewną wadę, która polegała na lenistwie podszytym skłonnością do marzeń. Wybaczali mu ją jednak – podobnie

jak wszystkie inne jego przewinienia. W ciągu ostatnich dwóch lat Lao San bardzo zmęźniał, rósł bowiem teraz tak szybko jak nigdy przedtem. W tej chwili dzbanem zaczerpnął wody, wlał ją do drewnianego cebrzyka, po czym wyszedł poza podwórze i pośród bambusów umył się dokładnie. A następnie zajął miejsce przy stole.

To widok krzepiący serce mężczyzny, pomyślał w duchu ojciec, patrząc na swoich dwóch synów. Miejsce trzeciego, Lao Era, wciąż było puste, jednak wcześniej czy później i on miał się tutaj pojawić. A wtedy będą zajęte wszystkie miejsca przy stole. Lao Tan trzymał na kolanie swego malutkiego synka. Karmił go, wsuwając od czasu do czasu odrobinę przeżutego przez siebie ryżu w jego malutkie, różowe niby pączek lotosu usteczka. Wieczne powietrze robiło się coraz chłodniejsze, a kwiaty lotosu zamykały się już na noc. Wszędzie wokół panowała cisza, tylko z tkalni dobiegał odgłos pracy krosien, bo młodsza córka Ling Tana wciąż tam tkiała. I miała to czynić aż do chwili, gdy zostanie wezwana na wieczorny posiłek.

Ling Sao tymczasem rzuciła bawołu naręczę słomy, którą on zaczął zaraz przeżuwać. Na podwórze wpadł pies o płowej sierści, łaszcząc się pokornie w nadziei na żarcie. Pies ten w spotkaniu z obcymi, od których nie spodziewał się niczego dobrego, dorównywał odwagą wilkom, jednak w obliczu swego pana był łagodny niby kociątko. Wpełzł teraz pod stół i czekał tam na resztki jedzenia. Ling Tan, traktując zwierzę jak podnózek, oparł na jego grzbiecie bosc stopy. I poczuł pod nimi jego sztywną sierść, a także ciepło jego ciała. Ogarnięty nagłą zyczliwością dla stworzenia, które należy do jego domu, schylił się i rzucił mu pod stół kawałek ryby.

Tymczasem na pobliskich polach Lao Er wciąż szukał swej żony. Słońce jeszcze nie zaszło, a jego długie żółte smugi kładły się niby miód na zieleni. Gdyby Nefryt znajdowała się w polu, Lao Er z łatwością dostrzegłby jej niebieski kaftan. Pszenica została już bowiem ścięta, a ryż był wciąż niski, więc młoda kobieta nie mogłaby się w nim ukryć. Ale Nefryt tutaj nie było. W takim razie musi znajdować się gdzieś w wiosce – pomyślał Lao Er i szybko przebiegł myślą miejsca, w których bywała. Herbaciarnia nie wchodziła w grę, bo tam siadywali tylko mężczyźni. Nefryt nie mogła też zajść do domu uczonego kuzyna, bo syn tej rodziny był w wieku Lao Era i gdy swojego czasu stara swatka szukała dla niej najlepszego męża, chciał się z nią ożenić. Zobaczył ją pewnego razu w wiosce, w której mieszkała. Nefryt stała w drzwiach domu swojego ojca i chłopak zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Jednak Lao Er widział ją już wcześniej i także zapalał do niej miłością. Spowodowało to

wielki gniew między młodzieńcami. Znienawidzili się serdecznie i kłócili się zawzięcie przy każdej okazji. Gdy wieść o tym rozniosła się po wiosce, jej mieszkańcy zaczęli obu obserwować, zawsze gotowi ich rozdzielić.

A Nefryt nie chciała powiedzieć, którego z nich dwóch chce. Wzruszała tylko szczupłymi ramionami i odmawiała matce odpowiedzi. A jeśli już otworzyła usta, mówiła: „Jeżeli obaj mają po dwie nogi i dwie ręce, a także wszystkie palce u rąk i nóg, jeżeli nie mają zęza ani głów pokrytych świerzbem, to jakąż między nimi różnica?”.

Po pewnym czasie wmieszał się w to wszystko ojciec dziewczyny. Zniecierpliwiony postanowił oddać ją temu, którego rodzic da mu za córkę lepszą cenę. Obaj młodzieńcy zaczęli wtedy błagać i dręczyć swoich ojców. I każdy z nich groził, że odbierze sobie życie, jeżeli nie dostanie ukochanej. I obaj do tego stopnia zakłócili spokój swoich domów, że pewnego dnia Ling Tan spotkał się z kuzynem w herbaciarni i wzięwszy go na stronę, zwrócił się do niego w te słowa: „Posłuchaj, kuzynie, ja jestem od ciebie bogatszy. Dlatego pozwól, że dam ci trzydzieści sztuk srebra. Proszę cię także bardzo, żebyś w zamian za to powiedział swemu synowi, że to mój syn weźmie dziewczynę. Musimy tak zrobić, bo inaczej nigdy nie zaznamy spokoju”.

Kuzyn zgodził się chętnie, bo trzydzieści sztuk srebra to była kwota, na którą jako uczonego musiałby pracować całe pół roku. W ten sposób sprawa została rozstrzygnięta. Lao Er zaręczył się z Nefryt, a potem co prędzej się ożenił. Stała się jednak rzecz dziwna, bo oto, będąc już jej mężem, w najgłębszym zakamarku swojego serca nie potrafił jej wybaczyć poprzedniego postępowania. Bo przecież – rozumował – dziewczyna wcale go nie wybrała. Nie dała mu pierwszeństwa przed kuzynem. Chciał ją zapytać dlaczego. Nie miał jednak odwagi. Czasami, nocą, leżąc obok niej, planował sobie, że gdy ją lepiej pozna i gdy ona otworzy przed nim serce, zada jej pytanie: „Dlaczego, moja żono, gdy miałaś wybór między mną a moim kuzynem, nie wybrałaś właśnie mnie?”.

Jednakże dotychczas jeszcze tego nie uczynił. Poznał już jej ciało. Tak, znał je już bardzo dobrze, ale wcale nie znał jej samej. Dlatego właśnie jego miłość do niej była pełna niepokoju, bólu i zapalczowości.

Teraz Lao Er szedł szybko do wioski, wypatrując przy tym ukradkiem swojej żony – szczupłej dziewczyny ubranej w niebieski bawełniany kaftan i spodnie, której włosy były krótko przycięte wokół szyi. Jego żona bowiem jakieś dwadzieścia dni temu obcięła swe długie czarne włosy. A on, zobaczywszy to po powrocie do domu, wpadł we wściekłość.

„Było mi z nimi gorąco” – rzuciła mu w pełną gniewu twarz.

„Twoje włosy należały do mnie! – zawołał. – Co z nimi zrobiłaś?!”.

Na to ona bez słowa weszła do izby i przyniosła swe długie włosy, związane u jednego końca czerwonym sznureczkiem. Lao Er wziął je od niej wtedy i położył sobie na kolanach. A potem siedział i patrzył na nie. Włosy były proste, gładkie i czarne. I stanowiły część jej życia, którą ona od tego życia odcięła. Wpatrując się w nie, Lao Er poczuł nagle, że do oczu napływają mu łzy. Tak jakby miał ochotę zapłakać z żalu za jakimś żywym stworzeniem, które należało do niego i które teraz umarło.

„Co z nimi zrobimy? – zapytał cicho. – Nie można ich przecież wyrzucić”.

„Sprzedaj je – odrzekła. – Pieniądze, które uzyskasz, wystarczą na parę kolczyków dla mnie”.

„Chcesz mieć kolczyki? – spytał zaskoczony. – Ale przecież nie masz przekłutych uszu”.

„Mogę je przekłuć” – odrzekła.

„Kupię ci kolczyki – oznajmił – ale nie za pieniądze uzyskane ze sprzedaży twoich włosów”.

To powiedziawszy, wstał i włożył jej obcięte włosy do swojego kuferka ze świńskiej skóry, gdzie przechowywał najlepsze ubrania, a także srebrny łańcuszek, który nosił na szyi w dzieciństwie, oraz inne drobiazgi należące tylko do niego. Gdy Nefryt się zestarzeje, pomyślał sobie wtedy, gdy będzie już siwa i gdy on sam się już zestarzeje, wyjmie włosy z kuferka i przypomni sobie, jak jego żona wyglądała w młodości.

Nie kupił jeszcze kolczyków. Nie miał dotąd na to czasu, bo dzień w dzień od świtu do zmierzchu zajęty był sadzeniem ryżu. Teraz, udając tylko, że przechadza się po wiosce, a tak naprawdę wypatrując żony, pomyślał, że pójdzie jutro do miasta i kupi te kolczyki. Oczywiście pod warunkiem, że Nefryt dzisiaj nie zrobiła nic złego. Natomiast w nocy dowie się jeszcze od niej, jakie mają być te świecidełka. Tak postanowiwszy, wypatrywał żony nadal. Jej jednak nigdzie nie było. Lao Er przestraszył się w pewnej chwili, bo naszła go myśl o kuzynie, który kochał się w Nefryt i który wciąż jeszcze się nie ożenił – ze złości, że nie dostał tej, której tak bardzo pragnął. Lao Er udał się więc do domu ojca tego młodego człowieka, a tam przed drzwiami zastał jego żonę. Była to gruba kobieta, tuszą i wyglądem przypominająca świnię. Stała właśnie przed domem z miską stawy przy twarzy, chlepcząc z niej niby z koryta. Lao Er nie zamierzał w jej obecności wymieniać imienia swej żony.

– Jecie kolację, siostró? – zapytał uprzejmie.

– Wejdz i zjedz także – zaprosiła, odsuwając miskę od twarzy.

– Nie mogę. Ale dzięki za zaproszenie – odrzekł. – Jesteście więc sama?

– Twój kuzyn, a mój pan, spożywa właśnie posiłek, ale twojego kuzyna, a mojego



syna, nie ma jeszcze w domu.

– Aha – powiedział Lao Er. – A gdzie jest?

– Poszedł w stronę miasta. Tak przynajmniej mówił, wyruszając w chwili, gdy słońce wisiało nad tą wierzbą. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz – odrzekła kobieta, po czym zbliżyła znów miskę do twarzy.

I Lao Er poszedł dalej. Serce kołatało mu w piersi jak szalone. Jeżeli Nefryt jest z tym moim kuzynem, zabiję ich oboje – pomyślał. – Zabiję ich, a ich ciała porzucę na ulicy, by wszyscy mogli je zobaczyć. Był tak wzburzony, że krew uderzyła mu do głowy i zabarwiła policzki. Jego oczy też stały się przekrwione, a prawa dłoń zacisnęła się nerwowo.

W tej właśnie chwili dotarł na placyk przed herbaciarnią i zobaczył, że zebrał się tam spory tłum ludzi. Działo się tak w wiosce wtedy, gdy przybywali z występami wędrowni aktorzy czy kuglarze albo też pojawił się jakiś przekupień ze swoim towarem. Dziś jednak nic takiego nie miało miejsca. Pojawiła się natomiast grupka młodych mężczyzn i kobiet, cztery czy pięć osób. Lao Er natychmiast zauważył, że jest to młodzież z miasta. Ludzie ci pokazywali wieśniakom jakieś magiczne obrazy na białej płachcie rozwieszanej między dwoma bambusami. Lecz Lao Er wcale tych obrazów nie zauważył. W chwili bowiem, gdy tłum się rozstał, jego spojrzenie padło na kuzyna, który siedział na drewnianej ławie. Lao Er, pewny, że jego żona musi być z kuzynem, zaczął szukać jej wzrokiem u jego boku. Jednak Nefryt tam nie było. Lao Er, zaskoczony, poczuł, że gorąca krew w jego żyłach stygnie. Poczul się też słabo – ze zmęczenia i głodu. Kiedy ją znajdzie, pomyślał, spuszcze jej łanie. Tak, zbije ją, mimo że nie zrobiła nic złego. Zbije ją za to, że nie ma jej tam, gdzie jest miejsce kobiety – w domu. I za to, że nie czeka tam na mnie – swego męża.

W owej chwili do jego uszu dotarł wreszcie głos młodego człowieka, który cały czas bez przerwy mówił.

– Musimy spalić nasze domy i pola – usłyszał Lao Er jego słowa. – Nie wolno nam zostawić nic, co mogłoby wpaść w ręce wroga. Niech nasi wrogowie zdechną z głodu. Czy zdobędziecie się na to?

Tłum milczał. Nikt się nie odezwał. Nikt nawet nie drgnął. Ludzie po prostu nie rozumieli, o czym ten przybysz mówi. Potrafili jedynie wpatrywać się w obraz na białej płachcie. Lao Er także spozjrzał w tamtą stronę i zorientował się, że obraz przedstawia jakieś miasto. W tym mieście było mnóstwo domów, z których buchały wielkie płomienie i unosił się czarny dym. Zebrani patrzyli na to w milczeniu. Nagle jednak Lao Er zobaczył, że ktoś z

tego tłumu zrywa się na równe nogi i że tą osobą jest jego własna żona.

– Tak, zdobędziemy się na to! – zawołała Nefryt, odrzucając z twarzy swoje krótkie włosy.

Jego żona krzyczała w obecności tych wszystkich ludzi! Lao Er się przestraszył. Co to za słowa? Co one znaczą? I jakim prawem jego żona się odzywa, jakim prawem wrzeszczy, gdy jego przy niej nie ma?

– Chodź do domu! – zawołał. – Jestem głodny!

Obejrzała się. Spojrzała na męża niewidzącym wzrokiem. Jednak krzyk Lao Era sprowadził wszystkich tu zgromadzonych na ziemię. Usłyszawszy go, powrócili myślami do swojej wioski i do swojego jednostajnego życia. Poruszyli się, ziewając. Mężczyźni zaczęli się przeciągać, mamroczać, że też są głodni, choć o tym zapomnieli. Jeden po drugim podnosili się z miejsc i wolno zaczęli rozchodzić się do domów. A Lao Er, choć wciąż zły, że nie może nic zarzucić kuzynowi, kiwnął mu głową i czekał na żonę. Nie zamierzał bynajmniej obejść się z nią łagodnie. O, nie! Tak sobie myślał, obserwując ją kątem oka – gdyż w obecności innych ludzi wstydził się patrzeć prosto na nią.

– Nie zapominajcie, że to, co wam pokazałem, to prawda! – zawołał młody człowiek, ale nikt już go nie usłyszał.

Lao Er stał w miejscu, czekając na żonę. A gdy się zbliżyła, ruszył przed siebie, widząc kątem oka, że idzie za nim. Odezwał się do niej, dopiero, gdy znaleźli się daleko od wioski.

– Dlaczego – zapytał zgryźliwie – dlaczego przynosisz mi tyle wstydu, popisując się przed wszystkimi?

Nie odpowiedziała. A on, bardzo głośno, mówił dalej:

– Wracam do domu, a w brzuchu burczy mi tak, jakby ryczał rozjuszony lew!

– No to dlaczego nic nie zjadłeś? – usłyszał w odpowiedzi jej dźwięczny i łagodny głos za plecami.

– Jak mogę jeść, kiedy ciebie nie ma tam, gdzie być powinnaś? – krzyknął, nie odwracając głowy. – Jak mogę pytać, gdzie jesteś? Nie wiem, gdzie jest moja żona, i wstydę się tego przed rodzicami!

Odpowiedziała mu na to milczeniem, a Lao Er, nie mogąc w końcu znieść tego, że nie wie, co ta kobieta myśli, odwrócił wbrew własnej woli głowę i napotkał jej wzrok. A ona tylko na to czekała. Patrzyła mu teraz prosto w oczy. I śmiała się. W chwili, gdy ich oczy się spotkały, ten śmiech buchnął z niej po prostu. A z niego – niby wiatr z jelit – uszedł cały

gniew. Kobieta zrobiła dwa kroki do przodu i chwyciła męża za rękę. A on – choć wciąż nie chciał jej wybaczyć – nie był w stanie cofnąć dłoni.

– Postępujesz wobec mnie wprost okropnie – odezwał się głosem tak słabym jak u starca.

– Ach, jaki ty jesteś blady i chudy. I jak źle traktowany – odrzekła tonem, w którym dźwięczał śmiech. – Naprawdę, ty moja wielka rzepo, żal mi ciebie!

Nie chciał jej śmiechu. Sam nie wiedział, czego chce, ale z pewnością nie tego, żeby się tak z nim droczyła. Księżyc, który miał kształt białej chmury, robił się w ciemności złoty, a zalane wodą pola rozbrzmiewały kumkaniem żab. W dłoni Lao Era – niby malutkie bijące serce – leżała dłoń żony. Lao Er podniósł tę dłoń i dotknął nią swojej szyi. I przytrzymał w jej zagłębieniu. Zapragnął czegoś wielkiego, ogromnego, czegoś, dla czego nie znajdował słów. Zresztą zawsze mu ich brakowało, zawsze, gdy chciał wyrazić to właśnie pragnienie. Tak, miał ich dość dla zwykłych codziennych rzeczy, jednak nie dla tej nieuchwytniej i tajemniczej.

– Chciałbym być człowiekiem uczonym – powiedział stłumionym głosem. – Chciałbym znać słowa.

– A po co ci słowa? – zapytała.

– Żeby się uspokoić – odrzekł – i móc ci powiedzieć, co czuję.

– A co czujesz? – zapytała znowu.

– Wiem, co czuję – powiedział. – Ale brak mi dla tego czegoś słów.

Stali teraz twarzą w twarz na wąskiej ścieżce między ryżowymi polami, z dala od domów, w miejscu, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć. Ogromna wierzba zwieszała wokół nich swoje długie zielone warkocze. Lao Er położył ręce na ramionach żony i bardzo powoli przyciągnął ją do siebie. Przytrzymał ją przez chwilę, a ona stała całkiem nieruchomo. Byli sami pośród spokojnego wieczoru, tak bliscy sobie jak nigdy dotąd.

– Ale ja także nie jestem specjalnie wykształcona – szepnęła.

– Czy to dlatego tak rzadko ze mną rozmawiasz? – zapytał.

– Jak mogę z tobą rozmawiać, skoro ty zawsze milczysz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Jeśli ma być porozumienie, muszą mówić dwie osoby.

Lao Er zastanawiał się nad tym przez chwilę, zwalniając powoli uścisk. Czyżby oboje wyczekiwali na siebie nawzajem, spodziewali się siebie i żadne nie wiedziało, co powiedzieć, dopóki nie odezwało się to drugie?

– Czy wyjawisz mi wszystko, jeśli i ja wyjawię ci wszystko, co jest we mnie? – zapytał.

– Tak – odrzekła.

Opuścił ramiona. Nie dotykając jej wcale, czuł się bliżej niej niż kiedykolwiek przedtem.

– A więc dziś w nocy będziemy rozmawiali – domyślił się.

– Tak – potwierdziła.

Wypowiedziała to słowo bardzo cicho, całkiem jak nie ona, jednak Lao Er ją usłyszał. Wsunęła rękę w jego dłoń i poszli dalej w stronę domu. I dopiero gdy podchodzili do bramy, ona wróciła na swoje miejsce – za nim.

Na podwórzu mężczyźni skończyli już jeść i przy stole siedziały teraz stara matka – Ling Sao, oraz żona starszego brata Lao Era, a wraz z nimi najmłodsza siostra.

– Coś długo cię nie było – zawołała matka. – Nie mogliśmy już czekać.

– Wcale nie chciałem, żebyście czekały – odrzekł i zwrócił się do żony szorstko, tak żeby nikt nie pomyślał, że kochają się, że aż wstyd: – Przynieś mi miskę. Zjem tam, gdzie są teraz mój ojciec i brat.

A Nefryt, jak każda porządna żona, napełniła miskę i podała mu ją, a potem zajęła swoje miejsce wśród kobiet. Ona także zapomniwała, co tamten młody człowiek powiedział przed świątynią, chociaż wtedy, gdy mówił, sądziła, że nigdy nie zdoła zapomnieć jego słów. Wzięła swoją miskę rozmarzona. Nie czuła głodu, jej serce biło na to zbyt szybko. Ten mężczyzna, któremu została poślubiona... Czy dzisiejszej nocy dowie się, jaki on jest?

Ling Sao, wstając od stołu, zwróciła się do niej:

– Skoro nie ugotowałaś posiłku, możesz teraz posprzątać.

Słyszając słowa teściowej, Nefryt także wstała.

– Dobrze, matko – odrzekła.

Było to u niej zachowanie tak rzadkie, że Ling Sao popatrzyła na nią uważnie w półmroku, a potem ruszyła bez słowa w stronę bramy.

Mój syn musiał w końcu spuścić jej lanie, pomyślała i wyszła za bramę.

Na zewnątrz Ling Tan siedział na ławie ustawionej na klepisku, a jego synowie tuż obok na ubitej ziemi. Najmłodszy, zwinięty w kłębek, spał na wiązce pszenicznej słomy. Matka przyjrzała się uważnie swemu drugiemu synowi. Zajadał swój wieczorny posiłek ze smakiem. I była w nim sama radość.

Tak, zbil ją, pomyślała znowu matka i poczuła przyływ zadowolenia.

Dobrze wiedziała, że małżeństwo najlepsze jest wtedy, kiedy mężczyzna potrafi zbić kobietę. Była więc dumna z syna.

Kto by uwierzył, zadał sobie pytanie Lao Er, że mężczyzna i kobieta mogą się bardziej zbliżyć do siebie poprzez rozmowę niż poprzez ciało? A jednak tej nocy tak właśnie zdarzyło się między nim a jego żoną.

Z początku, leżąc koło niej, czuł się tak dziwnie, że go to peszyło. To tylko moja żona, Nefryt – mówił sobie.

A jednak zdawało mu się, że tej nocy ta kobieta jest mu bardziej obca niż w noc poślubną. Widział dobrze jej ciało i potrafił je zrozumieć. Jednak co kryło się pod jej gładką skórą i śliczną twarzą? Lao Er nie miał pojęcia. I tej nocy nie chciał jej dotykać. Chciał jej tylko słuchać. Czekał, a ona leżała w milczeniu.

– Czy ty także czekasz? – zapytał w końcu.

– Tak – odpowiedziała.

– A więc kto przemówi pierwszy?

– Ty – odrzekła. – Pytaj mnie, o co tylko zechcesz.

Czego chciał? To, czego chciał, kryło się w jego głowie, i teraz wybiegło na koniec języka.

– Czy ty kiedykolwiek myślisz o moim kuzynie, który także ciebie pragnął? – wyrzucił z siebie Lao Er.

– Czy to właśnie chcesz wiedzieć?! – zawołała i zaraz potem usiadła w łóżku ze skrzyżowanymi nogami. – Ależ z ciebie głuptas! Właśnie to w tobie fermentowało? Skoro tak, to ci odpowiadam. Nie, nie, nie! I zawsze tak odpowiem, bez względu na to, jak sformułujesz pytanie!

Lao Er poczuł zawrót głowy. Tak, w jego głowie kręcił się teraz jakiś wodny wir!

– O czym więc myślisz przez cały dzień, krzątając się w milczeniu?! I o czym myślisz po nocach, kiedy nic nie mówisz?! – zawołał.

– Myślę o dwudziestu albo trzydziestu rzeczach naraz – odrzekła. – Moje myśli przypominają łańcuch. Jedna zazębia się o drugą. Kiedy zaczynam myśleć o ptaku... no cóż... zastanawiam się nad tym, jak to się dzieje, że on lata, a także nad tym, dlaczego on potrafi wznieść się ponad ziemię, a ja tego nie umiem. A potem zaczynam myśleć o tych cudzoziemskich latających statkach, no i o tym, w jaki sposób je zrobiono. Zastanawiam się, czy są to jakieś czary, czy może statki te świadczą tylko o tym, że cudzoziemcy posiadli wiedzę, której my nie mamy. A już w następnej chwili myślę sobie o tym wszystkim, co powiedział tamten młody człowiek. Wiesz, wtedy w herbaciarni. To znaczy o tym, że te podniebne statki latają nad miastami na północy kraju i tak strasznie je niszczą, że nasi ludzie muszą uciekać i szukać schronienia.

Lao Er przerwał łańcuch myśli swojej żony. Miasta północy znajdowały się przecież bardzo daleko.

– Dlaczego tam dzisiaj poszłaś? – zapytał.

– Siedziałam w domu, szyjąc dla ciebie niebieski kaftan – odrzekła. – W pewnej chwili zabrakło mi nici, a twoja matka miała tylko białe. Więc poszłam kupić niebieskie. A kiedy znalazłam się w wiosce, zastałam już tam tych wszystkich ludzi.

Lao Er przerwał jej znowu.

– Nie chcę, żebyś wychodziła sama na ulicę – powiedział.

– Dlaczego?

– Zobaczą cię inni mężczyźni.

– Ja na nich nie patrzę.

– Ale ja nie chcę, żeby oni patrzyli na ciebie. Jesteś ładna i jesteś moją żoną.

– Nie możesz mi nakazać, żebym siedziała bez przerwy na podwórzu. Dawne czasy już minęły.

– Wolałbym żyć w dawnych czasach. I chciałbym zamknąć cię na klucz w domu.

– Gdybyś mnie zamknął, przestałabym jeść. I wkrótce bym umarła.

– Nie pozwoliłbym ci umrzeć.

Roześmiała się.

– Ale i tak mamy nowe czasy. Więc będę wychodziła z domu.

– Czy... kiedy tak wychodzisz... rozmawiają z tobą jacyś mężczyźni?

– Nie częściej niż z innymi znajomymi kobietami.

Zamilkli na chwilę, a potem Lao Er odezwał się znowu:

– Powiedz, co sobie o mnie pomyślałaś, kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy? – zapytał.

Nefryt zaczęła skubać biało-niebieską narzutę.

– Pierwszego razu nie pamiętam – odrzekła.

– Nie, nie. Ja nie mam na myśli tego prawdziwego pierwszego razu. Chodzi mi o nasze spotkanie zaraz po ślubie.

Odwróciła głowę. Lao Er widział w świetle księżyca jej czoło i mały, prosty nosek, wargi – z których dolna była trochę cofnięta – a także zaokrąglony podbródek.

– Ucieszyłam się, że jesteś ode mnie wyższy. Bo ja, jak na kobietę, jestem za wysoka – powiedziała.

– Nie, wcale nie – zaprotestował, a ona przez chwilę milczała.

– Co wtedy myślałaś? – zapytał.

Teraz spuściła głowę.

– Zastanawiałam się, co ty myślisz o mnie.

– Ale wiedziałaś, że cię pragnę.

Podniosła głowę nagłym ruchem.

– No i zastanawiałam się... czy kiedykolwiek będziemy ze sobą rozmawiali. Czy może wprost przeciwnie, będziemy zachowywali się wobec siebie tak jak inni małżonkowie. Tak, nad tym się zastanawiałam. A także nad tym, czy ciebie będzie w ogóle obchodziło, kim ja jestem. Czy może będziesz dbał tylko o to, czy dam ci dzieci i czy będę ci przygotowywała posiłki. Myślałam też, czy kiedykolwiek będę naprawdę twoja, czy może po prostu będę należała do twojego domu. I czy ty nauczysz się czytać. Bo wiesz, w książkach można znaleźć bardzo wiele. A także czy kupisz mi jakąś książkę... No więc... tak wygląda mój sekret. Zamiast kolczyków kup mi książkę! Z myślą o niej obciąłam włosy. Tak, miałam zamiar je sprzedać i kupić sobie książkę. Bałam się jednak powiedzieć ci o tym. Dlatego powiedziałam „kolczyki”. Tak, mój mężu, tym, czego pragnę, jest książka.

Mówiąc to, pochyliła się w jego stronę, a jej największym pragnieniem było, by wysłuchał jej prośby.

– Książka! – powtórzył Lao Er. – Ale co ludzie naszego pokroju mają wspólnego z książkami?

– Chcę tylko książkę – powiedziała z uporem.

– Ale... jeżeli nie potrafisz czytać...

– Potrafię czytać – oznajmiła.

Gdyby mu powiedziała, że umie latać jak ptak, nie zaskoczyłaby go bardziej.

– Jak to?! – zawołał. – Kobiety takie jak ty absolutnie tego nie potrafią!

– Ja się nauczyłam – odrzekła. – Słowo po słowie. Mój ojciec posłał do szkoły jednego z moich braci. I to właśnie od niego uczyłam się co dzień po trochu. Ale nie mam i nigdy nie miałam na własność żadnej książki.

Lao Er zastanawiał się nad tym wszystkim przez chwilę.

– Jeżeli tego właśnie chcesz... – powiedział w końcu powoli. – Jeżeli tego chcesz, to ja ci to dam. Ale wiedz, że w tym domu nigdy nie było kobiety, która potrafiłaby czytać.

Rozmawiali tak dalej przez pół nocy, aż poczuli się senni ze zmęczenia.

– Musimy spać – powiedział w końcu Lao Er. – Jutrzejsza praca musi być wykonana. A jeżeli mam później pójść też do miasta po książkę dla ciebie, to...

Przerwał, wstrzymując oddech. Bo gdy wypowiedział ostatnie słowa, jego żona zwinęła się w kłębek i przysunęła do niego tak blisko jak nigdy przedtem. Było to takie słodkie. Ten dobrowolny ruch, który wykonała, przysuwając się ku niemu, był taki rozkoszny, że Lao Er wprost zaniemówił. Pomyślał tylko, że jest to najslodsza chwila jego życia, znacznie słodsza od tej, w której, podczas nocy poślubnej, wziął ją po raz pierwszy. Tak, ta chwila była słodsza, bo teraz jego żona po raz pierwszy w życiu zbliżyła się do niego z własnej woli. Dlaczego ja byłem takim głupcem? – zapytał Lao Er sam siebie. Dlaczego dotychczas nie miałem pojęcia, jak ukształtowane jest serce kobiety? Był w tej dziedzinie ignorantem, nikt nie odsłonił przed nim tej tajemnicy. Dopracował się swojej wiedzy z wielkim trudem, przeżywając rozczarowanie, gdy okazało się, że nawet małżeństwo nie oddało w jego ręce ukochanej. Teraz jednak ją miał, bo ona oddała mu się sama.

Zasnął potem, mając pewność – tak niezłomną, jakby płynęła z faktu, że w jego wnętrzu zamieszkał jakiś bóg – tak, pewność, że tej nocy jego Nefryt pocznie dziecko. I że z tej nocy zrodzi mu się syn.



## II

Trzeba tu powiedzieć, że Lao Er bardzo często robił dla ojca zakupy, ponieważ ze wszystkich trzech braci to właśnie on najswobodniej poruszał się w mieście. Natomiast ojciec, jeżeli to tylko było możliwe, starał się nie przekraczać miejskich bram. Twierdził, że w mieście trudno mu oddychać. Jego żona Ling Sao także nie chciała tam chodzić. Była bowiem zdania, że wszyscy ludzie z miasta cuchną. Ling Tan nie do końca się z nią zgadzał, ponieważ uważał, że każde ludzkie ciało ma swój własny zapach. Na co ona odpowiadała, że skoro tak jest, to woli obracać się wśród ciał tego samego co ona rodzaju – ciał ludzi, którzy żyją wśród pól i mięso oraz ryby jedzą świeże, a nie na wpół zepsute po długim leżeniu na straganie. Najstarszy z ich synów był na wyprawy do miasta zbyt ufny. Wierzył bowiem we wszystko, co tamtejsi ludzie mu mówili. Natomiast najmłodszy był na to zbyt młody. Ling Tan nie pozwalał mu tam chodzić, nie chciał bowiem, żeby chłopak nauczył się jakichś złych rzeczy. Pozostawał więc tylko Lao Er i to on załatwiał wszystkie sprawy w mieście. Znosił jajka do sklepu na rogu, tego przy moście w pobliżu Południowej Bramy. Ważył wieprzowe mięso po świniobiciu, a także po każdym zniwach zanosił nadwyżkę ryżu do handlujących nim sklepów.

Robił to już od lat. Tak, robił to tak długo, że teraz przekraczając miejską bramę, nie czuł się przestraszony ani nawet w najmniejszym stopniu zmieszany. Nie potykał się też o własne nogi, gapiąc się naokoło, jak to czynią wieśniacy. Wkraczał do miasta z głową wysoko podniesioną, z twarzą czystą i z ciałem przyobleczonym w porządnym niebieskim kaftanem oraz spodnie. Nie nosił skarpet, ponieważ było lato, ale włożył świeżą parę sandałów, które podczas długich zimowych wieczorów plótł wraz z braćmi z ryżowej słomy. Wchodząc w pierwszą tętniącą życiem uliczkę, przyglądał swoje krótkie czarne włosy. Wiedział, dokąd się udać w swoich sprawach, a rozmawiając z ludźmi z miasta, zachowywał chłodną przytomność umysłu i był równocześnie, co typowe dla ludzi ze wsi, bardzo grzeczny. Jeżeli zdarzyło się, że kupiec biorący od niego jajka zapłacił fałszywą monetą, brał tę monetę, nie mówiąc mu nic w oczy, jednak następnym razem oprócz jajek świeżych dostarczał mu trzy zgniłe. A ponieważ trzy jajka kosztowały właśnie grosz, kupiec szybko sobie uświadamiał, skąd się tutaj wzięły. I na przyszłość już wiedział, że Lao Er potrafi odróżnić dobry grosz od

falszywego – tak samo jak on sam odróżnia jajka zepsute od świeżych. Porozumiewszy się w ten sposób bez słów, nie żywili do siebie żadnych pretensji. Takimi to metodami Lao Er zyskał szacunek wśród ludzi z miasta, a także silne poczucie własnej godności.

Jednak dzisiaj, kiedy przyszło do kupowania książki, poczuł się zagubiony jak dziecko. Udał się w tym celu na pewną ulicę, gdzie sprzedawcy książek wykładali swój towar na wspartych na ławach deskach, i tam zaczął się tym książkom przyglądać. Lecz poza tym, że jedne były duże, a inne niewielkie, nie potrafił zauważyć między nimi żadnej różnicy. Sprzedawcy, widząc, że stoi tu już dość długo, zaczęli go wypytywać, czego konkretnie szuka, a on musiał im wszystkim odrzec, że nie wie. Wstydził się powiedzieć, że chce kupić książkę dla żony, bo jego rozmówcy mogliby ją uznać za osobę dziwną. Udawał więc, że poszukuje książki dla siebie.

Wszyscy sprzedawcy, z którymi rozmawiał, wyglądali tak samo. Byli mianowicie drobnymi zasuszonymi staruszkami. Trzeba też powiedzieć, że każdy z nich był kiedyś uczonym albo nauczycielem w małej szkole. Innymi słowy byli to ludzie, którym się w życiu nie powiodło i którzy musieli się w związku z tym zająć handlem książkami. Jednak żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że Lao Er nie potrafi czytać. I każdy, demonstrując swój towar, powiadał: „Ta jest zabawna. Dużo w niej żartów z tych okropnych cudzoziemców” albo: „Tu znajdziecie świetną sprośną historyjkę o mniszce i jej kochanku”, albo: „Oto *Trzy królestwa*, jeżeli tego jeszcze nie czytaliście, chociaż któż tego nie zna”. Pokazywali mu różne książki, ale one i tak wyglądały w jego oczach całkiem jednakowo. W końcu, na chybił trafił, wybrał jedną, taką w jaskraworóżowej okładce.

– A ta? Co to za książka? – zapytał.

– Przecież widzicie – odrzekł niedbale księgarz, wskazując litery na okładce.

Lao Er roześmiał się zawstydzony.

– Prawda jest taka, że nie umiem czytać – oznajmił.

Sprzedawca książek nie wierzył własnym uszom.

– Zatem po co wam książka? – zapytał. – Dlaczego nie kupicie raczej czegoś słodkiego, jakiejś zabawki, kuponu materiału na nowy kaftan albo srebrnej wykałaczki?

Jego ton był tak pogardliwy, że Lao Era ogarnęła złość.

– Kupię książkę, ale nie od was – powiedział ostro i odwrócił się na pięcie.

Postanowił pójść do domu starszej siostry i tam, jeżeli zastanie jej męża, poradzić się go, jaka książka nada się dla Nefryt. A potem wrócić tutaj i kupić ją na straganie sąsiadującym ze stoiskiem staruszka. I na dodatek tak, żeby staruszek to widział.

Tak postanowiwszy, oddalił się. Poszedł ruchliwą i zatłoczoną ulicą, przebył trzy

następne i w końcu znalazł się w sklepie szwagra. Był to sklep z cudzoziemskimi towarami, pełen najróżniejszych rzeczy – zagranicznych latarek, gumowych butów i wszelkiego rodzaju butelek, ciasteczek oraz innych produktów spożywczych w puszkach, ubiorów z dzianiny w najrozmaitszych kolorach, piór, ołówków, talerzy, a także obrazków oprawionych w ramki i przedstawiających grube białe kobiety o krągłych oczach. Zwykle bywało tak, że ilekroć Lao Er znalazł się tutaj, przez cały czas oglądał z wielkim zainteresowaniem wszystkie te rzeczy umieszczone w oszklonych od góry gablotach. Dzisiaj jednak przeszedł od razu przez sklep i skierował się na znajdujące się na tyłach i należące do mieszkania siostry podwórze. Dwaj subiekci, którzy go dobrze znali, przepuścili go, nie pytając o nic.

Na podwórzu zastał męża siostry. Jego szwagier rozpierał się wygodnie w ratanowym fotelu. Wachlował się przy tym, trzymając na kolanach swoje najmłodsze dziecko. Był jak na swój wiek bardzo otyły. Siedział obnażony do pasa, a jego ciało, miękkie i blade, przypominało ciało kobiety. Wokół gładkich nadgarstków tworzyły mu się wałeczki, a palce miał pulchne i szpiczaste. Wszyscy jego przyjaciele podnosili rwestes, że się bogaci, bo przecież tak dobrze je i pije. A on śmiał się tylko i nie zaprzeczał.

– A! – zawołał teraz, widząc wchodzącego Lao Era. – Brat mojej żony! Siadaj! Siadaj!

Uniósł się trochę w fotelu, nie więcej jednak, niż trzeba dla powitania młodego brata żony, po czym zawołał gromkim głosem:

– Przyszedł twój drugi brat, matko mojego syna!

Kobieta nadbiegła natychmiast, w rozpiętym pod szyją kaftanie i z wyrazem rozradowania malującym się jak zwykle na okrągłej twarzy.

– A, jesteś, bracie! – zawołała donośnie, choć Lao Er siedział w odległości zaledwie kilku stóp od niej. – Jak mają się staruszkowie i cała reszta rodziny? I dlaczego moja bratowa nigdy mnie nie odwiedza? Może wreszcie oczekuje dziecka, mój ty słabeuszu?!

Wyrzucała z siebie te słowa, a one, jedno po drugim, niczym pęcherzyki powietrza, wydobywały się z jej pełnych, czerwonych ust. Śmiała się przy tym tak, że w końcu słowa i śmiech całkiem się pomieszały. A potem pobiegła do domu i przyniosła jakieś cudzoziemskie ciasteczka, takie, jakie sprzedawano w sklepie jej męża, i wreszcie naląła bratu herbaty.

Lao Er opowiedział wszystkie nowiny z rodzinnego domu, a następnie, bawiąc się z dzieckiem siostry, wysłuchał, co ma do powiedzenia jej mąż. Szwagier rozwodził się nad tym, jak dobrze szłyby mu interesy, gdyby studenci dniem i nocą nie namawiali ludzi do zaprzestania handlu zagranicznymi towarami, a także do powstrzymywania się od kupowania tychże. Bo przecież ludzie – dowodził – pozostawieni samym sobie, nigdy nie pytają, skąd towar pochodzi. A zresztą, mówił dalej, co ma prowadzenie interesów do tych studentów i do

miłości ojczyzny? Gdy w końcu nagadał się już do syta, Lao Er przedstawił mu wreszcie swoją sprawę.

Bo trzeba tu powiedzieć, że ten jego szwagier, Wu Lien, potrafił czytać. Posiadał tę umiejętność, bo był człowiekiem z miasta, podobnie zresztą jak jego ojciec i dziadek. Tak, byli ludźmi z miasta od trzech pokoleń, jednak każdy z nich wziął sobie żonę spoza miejskich murów. Wiedzieli bowiem doskonale, że kobiety z miasta w drugim czy trzecim pokoleniu stają się bardzo wydelikaczone, śpią długo za dnia i przesiadują do późnej nocy, oddając się hazardowej grze, nie chcą karmić dzieci piersią i zbyt ochoczo przystają na to, by ich mężowie brali sobie konkubiny. Tak więc Wu Lien potrafił czytać i w młodości przeczytał wiele książek. Czytywał je często nawet i teraz – w upalne letnie dni albo, gdy zimą w sklepie robiło się chłodno i człowiekowi najlepiej było we własnym pokoju przy koszu z węglami. Usłyszawszy pytanie Lao Era, zdjął dziecko z kolan i zaczął mówić z powagą, jak przystało na człowieka, który się wypowiada na temat literatury.

– Istnieją książki na każdą okazję – oznajmił. – Najpierw więc trzeba zapytać, jakiemu celowi ma służyć dana książka i kto ma ją czytać. Są bowiem na świecie książki odpowiednie dla mężczyzn rozkoszujących się nimi w tajemnicy, dla własnej przyjemności. Są też takie, które opisują podróże – dla tych, co muszą siedzieć w domu i nie mogą ruszyć w drogę. I takie, które są odpowiednie dla ludzi pragnących poczytać o truciznach i morderstwach czy innych strasznych czynach. A do czego potrzebna jest ta, którą ty chcesz kupić?

Lao Er uśmiechnął się na to trochę zawstydzony. Zaraz jednak postanowił wyjawić szwagrowi prawdę.

– No cóż, powiem ci, bracie – odrzekł. – Otóż poślubiłem swoją kobietę, sądząc, że jest taka jak inne. Teraz jednak dowiaduję się, że moja żona umie czytać i bardzo pragnie mieć książkę. Obcięła nawet swoje długie włosy, by je sprzedać i za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić sobie jakąś. Zrobiła to całkiem bez mojej wiedzy. Dlatego ja, zamiast pary obiecanych kolczyków, chcę jej podarować książkę. W tym celu przyszedłem dzisiaj do miasta. Problem jednak w tym, że nie potrafię między książkami dostrzec żadnej różnicy.

– Powinieneś być zapytać żonę, jaką by chciała dostać – zauważył Wu Lien, a Lao Er przyznał mu rację.

– Nie zapytałem jej o to, bo nie przyszło mi do głowy, że jest ich taka różnorodność – wyznał też zaraz.

Wu Lien zamyślił się. A potem, po chwili zastanowienia, zwrócił się do swojej żony, która przysłuchiwała się ich rozmowie z otwartymi ustami.

– Jesteś tylko kobietą, matko mojego syna – powiedział. – Co byś chciała przeczytać,

gdybyś czytać potrafiła?

Lecz ona na samą myśl o tym, że mogłaby coś przeczytać, zaczęła się śmiać, zasłaniając usta dłonią, czyniła tak bowiem zawsze ze względu na swe poczerńiałe zęby.

– Nigdy o tym nie myślałam – oznajmiła wreszcie.

Widząc jednak, że jej miastowy małżonek spogląda na nią z wyrazem zniecierpliwienia na swojej rozlanej twarzy, odsunęła od ust dłoń, spoważniała i zastanowiła się nad jego pytaniem.

– Kiedy byłam dzieckiem i mieszkałam jeszcze w naszej wiosce – powiedziała – słuchałam nieraz bajarza, jednookiego staruszka, który opowiadał nam historie o rozbójnikach mieszkających nad jeziorem. Wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, wyciągali szyje z ciekawości, co będzie dalej. A kiedy milkł, a robił to w momencie, gdy ktoś w jego opowieści znalazł się w jakiejś pułapce albo kiedy miała się rozegrać bitwa, więc kiedy tak milkł i puszczał między ludzi swój koszyk, monety sypały się do niego niby grad na pola dojrzałego ryżu.

Usłyszawszy to, Wu Lien popatrzył z dumą na żonę.

– Trafiłaś w samo sedno – orzekł. – O taką właśnie książkę nam tu chodzi. O taką książkę, mój bracie, która ma w sobie wszystko. W takiej książce wszystkie kobiety oszukujące mężów zostają ukarane, a ludzie sprawiedliwi i cnotliwi zwyciężają. Opowiada też ona o nikkzemnikach, jednak ci zawsze zostają ukarani i padają w bitwie wcześniej niż pozostali. Jej tytuł brzmi *Szuei-hu-czuan* i pełno w niej cnotliwych, prawych rozbójników. Tak, tak. Czytałem tę książkę, gdy byłem małym chłopcem, i gotów byłbym przeczytać ją znowu.

Wu Lien zaczął skubać swoją dolną wargę tłuszczochą. Uśmiechał się przy tym na wspomnienie przyjemności, jaką czerpał kiedyś z tej lektury. Lao Er wstał i powtórzył tytuł książki, a potem podziękował, pożegnał się i już go nie było. Przechodził właśnie przez sklep, w którym roiło się teraz od klientów, gdy nagle usłyszał odgłosy jakiejś okropnej sprzeczki. Kłócający się krzyczeli przy tym tak głośno, że ludzie znajdujący się w sklepie przerwali zakupy i poodwracali głowy ku wejściu. A Lao Er zorientował się w tej samej chwili, że na ulicy przed sklepem znajduje się tłum młodych ludzi trzymających w dłoniach kamienie i kije.

Na czele szedł ich przywódca, wysoki młodzieniec – bez kapelusza, z opadającymi na oczy długimi włosami. Odrzucił je właśnie do tyłu i wrzasnął na subiekta, rozkazując, by otworzył gablotę. Subiekt ociągał się jednak. A wtedy młody człowiek podniósł trzymany w dłoni kamień i strzaskał nim szklaną górną część gabloty.

– To są towary wrogów! – zawołał wysokim głosem.

Po czym, sięgając do gabloty obiema rękami, zaczął wyjmować z niej zegarki i pióra, a także różne błyskotki i ciskać to wszystko na ulicę. Równocześnie jego kompani wpadli do wnętrza, rozbijając inne gabloty i wyrzucając z nich towary. Na widok takiego marnotrawstwa z piersi klientów wyrwał się wielki jęk, choć trzeba powiedzieć, że byli i tacy, którzy łapali co się dało i uciekali z tym łupem. A na resztę rzeczy, skoro tylko te znalazły się na ulicy, rzucili się przechodnie. Młodzi ludzie, widząc to, wpadli w jeszcze większą furję. Wybiegli hurmem ze sklepu i zaczęli bić tych, co zbierali towary. Okładali ich kijami, rozbijali im kamieniami głowy. Czynili to konsekwentnie aż do chwili, gdy tamci wycofali się w popłochu. Następnie kilku młodzieńców stanęło na straży, czuwając, by nikt nie podnosił rzeczy wyrzuconych ze sklepu. W końcu podpalili to wszystko. Koszule i kaftany, pledy i dzianiny, kapelusze i buty padły pastwą płomieni. Tłum tymczasem stał naokoło i patrzył. Tak wielkie marnotrawstwo przerażało ludzi, nikt jednak nie odważył się powiedzieć choćby słowa. Lao Er stał także, patrząc na to z otwartymi ustami i także nie śmiąc się odezwać. Jego szwagier nie wyszedł z domu, w sklepie nie było też teraz ani jednego subiekta. Czyż on jeden miał zareagować, skoro sklepu nie bronili właściciel i jego pracownicy? Stał i patrzył, dopóki nie poczuł w sercu obrzydzenia, a potem oddalił się pospiesznie.

Znajdował się już w połowie drogi do miejskiej bramy, kiedy nagle przypomniał sobie, że miał przecież kupić książkę. Zawrócił zatem w kierunku ulicy księgarzy. A tam podszedł do stoiska sąsiadującego ze straganem owego niemilego staruszka i poprosił o książkę. Sprzedawca rzucił mu ją. Była to gruba księga, wyświechtana, bo przeszła przez ręce wielu czytelników.

– Taka brudna książka musi być tania – odezwał się Lao Er, patrząc na liczne czarne i tłuste plamy.

– Kilka dni temu rzeczywiście tak było – odrzekł księgarz. – Jednak ostatnio pytało o nią wielu studentów, którzy jej dotychczas nie czytali. Jeśli zapytacie mnie dlaczego, odpowiem wam, że nie mam pojęcia. Tak, ja po prostu nie mam pojęcia, dlaczego ci młodzi robią to, co robią. Mężczyźni są jak pijani, a co do kobiet...

Księgarz splunął na kamienny bruk i roztarł plwocinę stopą.

– Jaka zatem jest cena tej książki? – zapytał Lao Er.

– Musicie dać za nią trzy małe sztuki srebra – odrzekł księgarz.

Lao Er przeraził się.

– Aż tyle?! Za książkę?! – zawołał, wpatrując się w swego rozmówcę.

– A dlaczego by nie? – odparł tamten. – Tyle samo płacicie przecież za kawałek

świniny. A potem go zjadacie i już jest po nim. Zostają tylko nieczystości. Natomiast książkę wchłania wasz umysł. I ta książka w nim zostaje. A gdy zapomnicie, co w niej było napisane, możecie ją przeczytać ponownie, a także dłużej się nad nią zastanowić. I kto wie, co może z tego wyniknąć w przyszłości. Kto wie, może dzięki takiemu zastanawianiu się dojdziecie do fortuny.

Usłyszawszy to, Lao Er sięgnął za pas, wyjął pieniądze i zapłacił. A zaraz potem wpadł w złość, ponieważ staruszek z sąsiedztwa, który obserwował jego transakcję, uśmiechnął się kwaśno i powiedział:

– A więc okazuje się, że znaleście tytuł książki. Dlaczego więc go nie wymieniliście? Mam ją u siebie.

Z tymi słowy wziął ze stoiska książkę, czystą i nieuszkodzoną.

A Lao Er, choć zły, nie miał wyjścia, musiał swoją transakcję kontynuować. Wolałby co prawda książkę czystą, jednak odrzekł:

– Po tym, co zaszło dzisiaj rano, ty stary nudziarzu, wolę książkę brudną od kogoś innego niż czystą od ciebie.

A potem, dokonawszy zakupu, ruszył w drogę powrotną do domu.

Zanim jednak zdążył opuścić uliczkę księgarzy, przyszło mu do głowy, że powinien pójść jeszcze raz do sklepu szwagra i sprawdzić, jak Wu Lien i jego pracownicy poradzi sobie w całej tej sytuacji i czy tamci młodzi chuligani już się oddalili. Udał się więc tam krętymi ulicami, a gdy dotarł na miejsce, zastał sklep zabity deskami. Przed sklepem, na ulicy, piętrzyła się kupa popiołu, w której w poszukiwaniu guzików i kawałków metalu grzebało paru żebraków i kilkoro dzieci. Pozostali przechodnie natomiast spieszyli do swoich własnych spraw, tak jakby tego rodzaju obrazki widywali już przedtem wiele razy.

Lao Er stał przed sklepem, zadając sobie pytanie, czy powinien wejść do środka, by sprawdzić, czy mieszkańcom tego domu nic się nie stało. Zanim jednak to uczynił, przyszło mu do głowy, że najpierw musi pomyśleć o własnych rodzicach, a także o tym, jak bardzo by rozpaczali, gdyby go tutaj spotkało coś złego. Zawahał się też ze względu na to, że na deskach ktoś białą kredą nabazgrolił jakieś litery. Z napisu ziała przy tym wściekłość tego, kto go sporządził. Lao Er wpatrywał się w napis bardzo długo, nic z niego nie rozumiejąc. W końcu zwrócił się do przypadkowego przechodnia – starszego człowieka w długiej czarnej szacie, który wyglądał na uczonego.

– Panie – zagadnął – czy możecie mi powiedzieć, co oznaczają te litery?

Mężczyzna zatrzymał się, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni rogowe okulary i osadził je na nosie. A potem ściągnął usta i przeczytał kilka razy wypisane na deskach słowa.

– Litery te mówią – odezwał się wreszcie – że to, co przydarzyło się temu domowi, zdarzy się każdemu, kto handluje towarami wroga. A jeżeli to nie pomoże, to tych, którzy sprzedają lub kupują towary wrogów, pozbawi się życia.

– Dziękuję, panie – powiedział Lao Er przerażony.

Okazało się więc, że wypisane na deskach słowa są tak dzikie i zajadłe, na jakie wyglądały. Lao Er uznał zatem, że ze względu na obowiązki wobec rodziców powinien natychmiast opuścić to miejsce i pospieszyć do własnego bezpiecznego domu. I że nie wolno mu się przy tym zdradzić, że z napadniętą rodziną łączą go więzy pokrewieństwa. Tak też uczynił, niosąc pod pachą książkę dla żony owiniętą paskiem niebieskiej bawełny, który zwykle nosił na szyi i którym w razie gorąca ocierał pot z twarzy. Co za dziwne czasy – pomyślał – czasy, w których w ciągu zaledwie jednego poranka człowiek może zobaczyć wszystko to, co ja widziałem dzisiaj. Spieszył się bardzo, chcąc jak najprędzej opuścić miasto, w którym zdarzały się takie rzeczy. Pędził do domu, ciesząc się myślą o spokoju pól i czystości nieba nad nimi.

Znalazłszy się w domu, Lao Er wręczył książkę żonie. Jednak w obliczu tego, co im opowiedział, jego bliscy zapomnieli nawet o niezwykłym prezencie. Słuchali go, zebrawszy się na podwórzu, a jego najmłodsza siostra, Pansiao, zatrzymała krosna w tkalni i wyszła stamtąd, by także usłyszeć nowiny. Kiedy Lao Er skończył, Ling Tan zaciągnął się parę razy fajką wodną. A potem zagadnął syna:

– Czy wiesz, jak nazywa się ten wróg?

– A niech mnie – odpowiedział młody mężczyzna z głupią miną. – Nawet nie pomyślałem, ojczec, żeby o to zapytać.

Trzeba jednak powiedzieć, że wszystko, co wydarzyło się w mieście, było bardzo odległe dla tych, którzy mieszkali w tym domu. Noc zapadła jak zwykle, a oni zjedli posiłek i przygotowali się do snu jak każdego innego wieczoru. I każde z nich na swój własny sposób żywiło przekonanie, że tutaj, na wsi, nic się nie może zmienić. Tak, tutaj nic się zmienić nie może, choćby ludzie z miasta popełniali wobec siebie nawet największe szaleństwa. Ling Tan i jego żona przed snem odbyli krótką rozmowę. Oboje niepokoili się o los swojej starszej córki, a Ling Tan stwierdził, że żałuje, że nie zrobił tak, jak pierwotnie zamierzał, i nie wydał jej w końcu za rolnika – choćby i takiego, który obiecywał połowę tego co Wu Lien. Przypomniał też żonie, że to ona nie chciała się na to zgodzić.

– Nasza córka nie należy już do naszego domu – odrzekła mu na to Ling Sao. – I to,



co jej się obecnie przydarza, jest sprawą jej męża, ponieważ urodziła mu dwóch synów. Jeżeli będą nadal w tarapatach, znajdą z pewnością sposób, by dać nam znać. I dopiero wtedy będziemy się o nich martwić.

Ling Tan, wysłuchawszy słów żony, odłożył troski na później. A zaraz potem i jego, i ją ogarnął spokój panujący w tym domu, w którym żyli razem przez tak długie lata, a także spokój pól, które od tak dawna uprawiali i które w zamian dostarczały im codziennej stawy i zapewniały wszystko, czego było im potrzeba do życia. Ling Tan wiedział, że cokolwiek się stanie, ta ziemia, która jest ich własnością, będzie zawsze należała do nich. I zawsze ich wyżywi.

Tymczasem Lao Tan, leżąc już w łóżku z żoną karmiącą dziecko przed snem, zwrócił się do niej i wyraził swoją opinię o tym, co przydarzyło się mężowi siostry.

– Takie rzeczy biorą się z cudzoziemskich nauk – oznajmił. – Tym dzisiejszym studentom obca jest prastara droga prawości i cnoty. Nie znają też oni miary, jaką należy mierzyć samego siebie. Dla nich jednego dnia słuszne jest jedno, a drugiego całkiem co innego. Nie mają pojęcia o tym, że jeden człowiek nie jest w stanie własnym rozumem dociec, co jest naprawdę dobre dla drugiego. Ci młodzi ludzie, kierując się pychą płynącą z marnego wykształcenia, atakują innych, czyniąc wielkie zło.

– Ale my – odezwała się cicho żona – nigdy nie pozwolimy żadnemu z naszych dzieci uczęszczać do szkoły.

Po czym, wypowiedziawszy te słowa, zasnęła z niemowlęciem przy piersi.

– Oczywiście, nie pozwolimy na to – zgodził się Lao Tan i zaczął rozmyślać.

Szło mu to powoli i z trudem. I pocił się przy tym niczym ktoś, kto idzie za pługiem zaprzężonym w wołu, orząc twardą ziemię. I w końcu głośno, tak żeby żona go usłyszała, powiedział:

– Człowiek powinien przebywać we własnym domu. Bo cóż może go zniszczyć, jeżeli tego domu nie opuszcza i wykonuje pracę, na której się zna, a także troszczy się o swoje? I jakież wróg może pognębić naród, jeżeli w taki właśnie sposób postępuje każdy jego członek?

Po tych słowach Lao Tan czekał, aż żona się z nim zgodzi. Z początku jednak panowała cisza, a potem rozległo się jej delikatne chrapanie. Lao Tan rozgniewał się trochę, bo przecież w ten sposób zmarnowała się jego mądrość. Ale nie obudził żony. Miał na to zbyt dobre serce. Nie obudził jej, choć właśnie tak postąpiłby prawie każdy mężczyzna, którego żona zasnęłaby przed nim. Lao Tan natomiast po prostu poczuł się uwolniony od ciężkiego trudu myślenia i zapadł w sen w chwili, gdy ogarnął go panujący w domu spokój.

Tymczasem Pansiao, która spędzała swoje dni przy krosnach i która nigdy nie bywała

w mieście, nie mogła sobie wyobrazić tego, o czym całej rodzinie opowiedział jej brat. Wszystko to było tak dziwne, że niby pierzchający sen opuściło jej świadomość. Trzeba tu powiedzieć, że Pansiao była przez całą rodzinę traktowana jak dziecko. Urodziła się jako ostatnia i nastąpiło to tak późno, że jej matka Ling Sao była tym zawstydzona. Fakt bowiem, że ponad czterdziestoletnia kobieta poczęła i urodziła dziecko, wywoływał wesołość. Gdy Ling Sao robiła się coraz grubsza, kobiety w wiosce zwykły do niej wołać ze śmiechem: „Co za wigor, staruszko! Tak, tak, dobra locha nie jest wcale stara, dopóki się prosi!”.

Dlatego Ling Sao była zawstydzona, a ten wstyd matki rzucił cień na dziecko niby chmura. Ponieważ w wiosce nic się nie dało ukryć, mała Pansiao wiedziała, że jej narodziny naraziły matkę na kpiny sąsiadów. Kpina – choć niezamierzona – kryła się nawet w jej własnym imieniu. Jako że Pansiao, imię, które wybrał dla niej stary kuzyn Ling Tana, znaczy tyle co półśmiech. Było to ładne imię, choć może zbyt książkowe jak na córkę wieśniaka. Jednak kuzyn nie mógł odmówić sobie przyjemności lekkiej ironii. Natomiast Ling Tan zgodził się, by córka nosiła to imię, uznawszy, że skoro chodzi o dziewczynkę, sprawa ma bardzo niewielkie znaczenie. Tymczasem wieśniacy, poznawszy imię dziecka, bawili się w najlepsze. „Półśmiech, Półśmiech” powtarzali ze śmiechem, ale imienia nie dało się już zmienić.

Pansiao, dorastając, upodabiała się coraz bardziej do swego imienia. Stała się łagodną, na wpół uśmiechniętą, na wpół smutną młodą dziewczyną. Nie czuła się przy tym w pełni mile widziana – nigdzie i przez nikogo. Dlatego zawsze starała się robić wszystko co w jej mocy, by zasłużyć na aprobatę otoczenia. Często jednak ogarniało ją zmęczenie, nie była bowiem tak silna jak rodzeństwo. Zmęczona była i dzisiaj. I dlatego, wysłuchawszy ze zdumieniem opowieści drugiego brata, położyła się do łóżka i natychmiast zasnęła.

Lao Er także, podobnie jak jego żona, zapomniał już o całej historii. Stało się tak dlatego, że Nefryt otworzyła książkę i przy słabym świetle stojącej na stole lampy zaczęła na głos odczytywać imiona bohaterów. Robiła to powoli, a Lao Er słuchał, wpatrując się w jej ładne usta. To jakieś czary, myślał. To jakieś czary sprawiają, że jej oczy rozpoznają te litery, które dla mnie wyglądają jak ślady ptaka na papierze, a potem przekazują je głosowi, a głos z kolei moim uszom, i że ja wskutek tego doskonale je rozumiem.

Tak, rozumiał je, a przy tym jego serce pełne było zachwyty dla żony. Z zachwytem patrzył na jej powieki i na oczy przebiegające w górę i w dół po stronicy książki, a także na jej mały paluszek wskazujący litery. Czytała cicho, wyśpiewując słowa niczym bajarz, a jego rozpięta duma i miłość do niej i czuł, że musi jej o tym powiedzieć, bo po prostu nie wytrzyma.

– Mam nadzieję... – odezwał się w pewnej chwili. – Mam nadzieję, że nie czeka mnie nic okropnego z tego powodu, że jestem człowiekiem tak bardzo złym, bo kochającym ciebie bardziej niż własnych rodziców. Gdyby zabrakło nam jedzenia, gdyby mogło go wystarczyć tylko dla nich albo tylko dla ciebie, oddałbym je tobie, a im pozwoliłbym głodować. Tak, tak wygląda prawda, niech wybaczą mi bogowie.

Nefryt podniosła oczy znad książki, oblewając się rumieńcem, a zaraz potem pobladła i głos jej się załamał.

– Nie mogę czytać, kiedy tak na mnie patrzysz – powiedziała, odkładając książkę, a uśmiech zadrzał na jej ustach.

– No, ale skoro patrząc w książkę, nie mam pojęcia, co w niej jest napisane, muszę patrzeć na ciebie – odrzekł.

A ona, nie chcąc, by dalej ją zawstydział, by onieśmielał ją swoją miłością, wykorzystała tę chwilę, by zawołać:

– Och! Całkiem zapomniałam, że miałam zamiar nauczyć cię czytać!

Następnie, położywszy książkę na stole, zmusiła go, żeby pochylił się nad kartką i powtarzał wskazywane litery. A Lao Er posłusznie robił, co mu kazała. Jednak jego umysł, opuściwszy ciało, przez cały czas krążył wokół żony. Skutek był taki, że Lao Er nie nauczył się niczego. Kiedy oboje poszli w końcu spać, całkiem zapomniał o wszystkim. Czuł się tak, jakby tego dnia w ogóle nie było i jakby jego cały świat stanowił jedynie dom, w którym się urodził.

Trzeba tu powiedzieć, że ze wszystkich, którzy w tym domu leżeli teraz w swoich łóżkach, jedynie Lao San, trzeci syn Ling Tana, myślał o tym, co widział jego brat. Bambusowe łóżko chłopaka stało w głównej izbie, gdyż Lao San nie miał własnego pomieszczenia, choć ojciec już mu obiecał, że gdy się ożeni, dobuduje izbę dla niego i jego żony. Teraz Lao San kręcił się niespokojnie na swoim posłaniu. Nie mógł zasnąć. Wyobrażał sobie tych młodych ludzi, którzy zniszczyli piękny sklep szwagra. Kim oni są? I kim jest wróg, przeciwko któremu wznosili okrzyki? Uświadomił sobie nagle, że na świecie istnieje wiele rzeczy, o których nie ma pojęcia. I, podobnie jak wiele razy przedtem, zachodził w głowę, skąd się o nich dowie. Skąd dowie się o tych rzeczach, jeżeli wciąż będzie siedział w ojcowskim domu?

Kręcił się na łóżku przez dłuższy czas, aż w końcu, nie mogąc nadal zasnąć, wstał i poszedł do szopy, w której uwiązali bawołu. Ogromne, ciche zwierzę położyło się na noc na ziemi. Chłopiec poszedł do niego, wyciągnął mu spod pyska trochę słomy i zwinął się w

kłębek, przytulony do jego ciepłego, włochatego ciała. Znajoma obecność tępego stworzenia podziałała na niego uspokajająco. Zasnął.

W chwili gdy późny letni zmierzch przekształcił się w prawdziwą ciemność, dom stojący wśród pól pogrążył się już w takiej ciszy jak jedna z mogił przodków jego mieszkańców. Ale ten dom nie był mogiłą. Trwał pełen życia – uśpiony, lecz wieczny. Postarzały i zakrzywiony księżyc zsyłał swoje światło na wodę stojącą na polach, a także na to ucichłe domostwo. Świecił tak jak czynił to dotychczas przez setki lat w każdej swojej fazie – i wtedy, gdy był młody, i gdy się postarzał.

# III

Ling Tan był człowiekiem żyjącym pełnią życia, choć rzadko przekraczał granice własnej posiadłości. Nie potrzebował nigdzie wędrować, bo tam, gdzie żył, było wszystkiego pod dostatkiem. Pod skórą pola, które orał, czyniąc podobnie jak przed nim jego przodkowie, znajdowało się właściwe ciało ziemi. Ling Tan nie był, jak niektórzy, właścicielem jedynie tego, co leżało na wierzchu. Nie, nie. Do jego rodziny, a także do niego samego należała też ziemia pod tą górną warstwą. I to o tej ziemi Ling Tan często dumał. Co leży pod miękką, czarną skórą ziemi, w której tkwią korzenie tych sadzonek? – zapytywał sam siebie podczas długich, przyjemnych dni samotnej orki lub też pielienia chwastów atakujących młode uprawy.

Pewnego razu, w młodości, Ling Tan na polecenie ojca kopał studnię. I wtedy to po raz pierwszy zobaczył, co znajduje się pod należącymi do jego rodziny polami. Najpierw natrafił na głęboką, grubą warstwę ziemi, żyzną i rozpulchnioną dzięki pracy jego przodków i dzięki temu, że oni rok po roku użyźniali ją porządnie. Ziemia ta była ogromnie urodzajna – prawie gotowa samoistnie ożyć. Karmiona dla wzrostu i odżywiana dla zbiorów, leżała głodna ziarna niby kobieta, nie mogąc się doczekać, kiedy będzie jej dane wykonać to, co z natury rzeczy do niej należy.

Tę ziemię Ling Tan znał. Jednak okazało się, że pod nią znajduje się twarde, żółte gliniane podłoże, tak zbite i ściśle jak dno rondla. Skąd to żółte dno się tam wzięło? Ling Tan, podobnie jak jego ojciec, nie miał pojęcia. Jednak ono tam było – zawsze gotowe schwytać i zatrzymać w swym wnętrzu deszcz, który był przecież tak potrzebny korzeniom. Pod tą żółtą gliną Ling Tan odkrył pokład następny. Nie był on jednolitą skałą, lecz rozdrobnionymi jej kawałkami, wśród których zalegał szarawy piasek. A pod tym pokładem był kolejny – najdziwniejszy ze wszystkich, bo zawierający fragmenty jakichś płytek i niebieskiej ceramiki. Ling Tan, kopiąc dalej studnię, znalazł nawet starą srebrną monetę, jakiej nie widział nigdy przedtem, a potem także potłuczoną białą ceramiczną miskę i w końcu głęboki brązowy dzban pokryty szkliwem, nieuszkodzony i pełen szarego pyłu. I wszystkie te rzeczy zaniósł ojcu.

– Używali ich ci, od których pochodzimy – powiedział ojciec, obejrawszy je dokładnie. – Włożyliśmy je więc do grobowców twoich dziadków.

Tak też zrobili. A potem Ling Tan kopał dalej, aż w końcu pewnego ranka z głębin ziemi, niczym fontanna, wytrysnęła czysta woda. I studnia nigdy ich nie zawiodła.

Jednak, myślał sobie nieraz Ling Tan, ta moja ziemia ciągnie się w głąb także pod rzeką. Kiedyś jej właścicielami byli inni ludzie. Żyli na niej, a potem sami stali się jej częścią. Wioskowi starcy powiadali, że kopiąc w tej okolicy odpowiednio głęboko, można dotrzeć do korzeni i ruin tego, co niegdyś było wielkim miastem, a także do wspaniałych pałaców i świątyń. I rzeczywiście, dawnymi czasy ojciec ojca Ling Tana kopał pewnego razu grób dla własnego ojca. I wykopawszy głęboki dół, natknął się na niewielkiego smoka. Smok, sporządzony ze złota, wyglądał na ozdobę, która mogła spaść nawet z dachu cesarskiego pałacu. Ojciec ojca Ling Tana sprzedał smoka i uzyskał taką sumę, jaka wystarczyła na kupno małej konkubiny, której właśnie zapragnął. Nie przyniosło mu to jednak szczęścia, konkubina okazała się bowiem złą kobietą. Odebrała jego domowi spokój, okradła go z licznych dóbr, a on, kochając ją bezgranicznie, patrzył na to całkiem bezradny. Przez tę miłość rodzina omal nie utraciła swojej ziemi. Nieszczęściu temu zapobiegła jego stara żona, która widząc, na co się zanosi, podsunęła złej konkubinie truciznę. Jednak łańcuch nieszczęść trwał nadal, bo mężczyzna, zrozpaczony po śmierci konkubiny, odebrał sobie życie. Ale ziemia pozostała w rękach jego synów. Od tego czasu mówi się, że konkubina była zaklęta, a smok nie był prawdziwym smokiem, tylko wrogim upiorem pod postacią lisa, który wstąpił w ciało tej ślicznej, zbyt kochanej przez owego mężczyznę dziewczyny.

Bez względu na to, czy opowieść mówiła prawdę, ziemia istniała. Istniała i sięgała głęboko pod studnię, rzekę i skałę. No i przez całe życie Ling Tana należała do niego, a potem miała przejść w ręce jego synów.

Ziemia jako całość, tak słyszał Ling Tan, jest okrągła. Tak, tak właśnie twierdził młody człowiek, który pewnego letniego dnia zjawił się w wiosce, by opowiadać jej mieszkańcom o wielu dziwnych rzeczach. Przyszedł, jak twierdził, żeby pomóc zwykłym ludziom i by uczynić im przysługę, udzielając tego, co sam nazywał naukami. Mieszkańcy wioski Ling byli życzliwi i uprzejmi. Zechcieli go zatem wysłuchać, zwłaszcza, że był to okres świąt, podczas których nie zajmowali się pracą. Słuchali więc opowieści o tym, że ziemia jest kulista, a także o tym, jak szkodliwe są muchy. Młody człowiek, mówiąc, pokazywał im równocześnie obrazy. Obrazy te przedstawiały muchy wielkie niczym tygrysy, a on podnosił plansze wysoko, tak żeby wszyscy mogli je dobrze zobaczyć. Kobiety na widok ogromnych owadów krzyczały ze strachu. Jednak Ling Tan uspokajał je, zapewniając, że

takie muchy żyją jedynie w cudzoziemskich krajach. Tutaj, u nas, powiadał, muchy są małe i nieszkodliwe. Człowiek, jeżeli tylko zechce, może z łatwością rozgnieść każdą z nich między palcami. Kogóż jednak może obchodzić, czy taka mucha żyje, czy nie, skoro brak jej żądła i skoro nikomu nie szkodzi?

Ling Tanowi trudno było uwierzyć, że ziemia jest kulista. Myślał też często o młodym człowieku, który im o tym powiedział. Jest to z pewnością człowiek dobry, mówił sobie w duchu, człowiek, który najwyraźniej odbywa jakąś religijną pielgrzymkę, a także pokutę polegającą na wędrówce od wsi do wsi i głoszeniu takich właśnie nauk. Znajdując wśród swoich melonów okaz okrągły niby kula, Ling Tan za każdym razem myślał sobie: „O, ten przypomina ziemię”. Nie mógł jednak pojąć, jak to się dzieje, że ludzie mieszkający po drugiej stronie ziemskiej kuli w ogóle są w stanie chodzić. Pewnego wieczoru wyjawiał tę swoją wątpliwość, siedząc w herbaciarni. A wtedy jego kuzyn stwierdził, że taka możliwość istnieje, gdyż on z kolei słyszał, że ludzie mieszkający po drugiej stronie ziemi robią wszystko na odwrót niż robić należy. Na przykład, powiadał, ich dzieci rodzą się z białymi włosami, które z czasem ciemnieją. A ponadto ludzie ci, piłując drewno, zamiast przyciągać piłę ku sobie, poruszają nią w przeciwnym kierunku. Tkaniny zamiast na łózkach kładą na podłodze. I w ogóle wszystko, co czynią, jest całkiem bezrozumne i szalone. Zatem, mówił dalej, jest możliwe, że chodzą z głowami zwisającymi w dół i są całkiem z tego zadowoleni.

O takich to rzeczach medytował Ling Tan, uprawiając swoją ziemię. Śmiał się serdecznie na myśl, że pod miejscem, na którym stoi, jego ziemia ciągnie się w głąb, daleko, aż tam, gdzie znajdują się na niej cudzoziemcy. I sieją bez wątpienia ziarno oraz zbierają plony, czyniąc wszystko tak, jakby owa ziemia należała do nich.

Powinienem pobierać od nich opłatę dzierżawną, pomyślał pewnego razu i uśmiechnął się szeroko.

A potem uśmiechał się pod swoim wielkim kapeluszem z bambusa tak długo, że jeden z synów zaczął się dopytywać, co ojca tak bawi. A Ling Tan odrzekł mu wtedy:

– Pomyślałem sobie, że gdzieś daleko w głębi, na samym dnie tego mojego kawałka ziemi, jakiś cudzoziemiec zbiera właśnie plony, nie pytając mnie wcale o zgodę. Przyszło mi też do głowy, że gdybym wiedział, jak się z nim porozumieć, mógłbym pozwać go do sądu.

Gdy to mówił, jego małe czarne oczy zabłyśły, a synowie zawtórowali mu śmiechem. Żaden z nich nigdy nie widział z bliska żadnego cudzoziemca, choć w mieście mieszkało ich kilkudziesięciu. Tak, ci cudzoziemcy żyli tam spokojnie, zajmując się swoimi sprawami. Ling Tan zapytał raz pewnego człowieka – który służył w cudzoziemskim domu i który pojawił się w ich wiosce, by zakupić świeże kurze jaja – czy jego pan chodzi głową na dół, czy do góry.

A człowiek ten odrzekł, że do góry, tak samo jak wszyscy, nie wyłączając Ling Tana. Ling Tan poczuł wtedy przyływ szacunku dla tego cudzoziemca, bo jego obecność w mieście sprawiła, że dowiedział się czegoś nowego. Ale cudzoziemiec żyjący po drugiej stronie jego ziemi... O, ten stał się od tej pory przedmiotem żartów wszystkich domowników. Gdy ziemia wysychała, Ling Tan udawał, że narzeka, że to ów cudzoziemiec ją wysuszył. A kiedy znowu rzepa nie wyrosła tak duża jak należy, powiadał, że to tamten pociąga ją za korzenie. Dzięki temu cała rodzina była przyjaźnie nastawiona do wszelkich cudzoziemców, gdziekolwiek by mieszkali, i odnosiła się do nich z dużą sympatią, choć w rzeczywistości jej członkowie nie znali żadnego cudzoziemca poza tym z rodzinnych żartów. Wszystko to sprawiało, że w razie pojawienia się w ich domu kogoś obcego, kto twierdził, że jest cudzoziemcem, Ling Tan zapraszał go do środka i częstował herbatą oraz posiłkiem.

Trzeba jednak powiedzieć, że Ling Tan posiadał na własność nie tylko swoją ziemię na całej jej głębokości, lecz także powietrze nad swoją posiadłością, całe powietrze – jakkolwiek wysoko by sięgało. Gwiazdy świecące nad jego ziemią były jego gwiazdami. Do niego należało także wszystko, co oprócz nich znajdowało się na niebie ponad jego ziemią. O rzeczach tych nic nie wiedział, bo nikt dotychczas nie potrafił opowiedzieć mu o nich. Dla Ling Tana gwiazdy były po prostu garścią świateł rzuconą na niebiosa, były latarniami, a może klejnotami, zabawkami i ozdobami – rzeczami raczej dodającymi urody niż użytecznymi, czymś takim jak kolczyki w uszach kobiety. Nie czyniły nic złego, a jaki był z nich pożytek? Ling Tan nie miał pojęcia. Chyba, że taki, by on mógł cieszyć się z ich istnienia, bo przecież bez nich niebo nad jego głową byłoby podczas nocy zbyt czarne.

Czasami jednak przychodziło mu na myśl, że być może gwiazdy idą za księżycem albo stanowią odpryski słońca. A znowu o tym, że między słońcem a księżycem panuje wrogość, wiedział każdy. Dwa, a może trzy razy w ciągu życia Ling Tana wrogość ta buchnęła płomieniem walki. Słońce próbowało wtedy połknąć księżyc albo też księżyc połykał słońce. A ludzi ogarniało przerażenie. Zaczynali głośno wołać i wznosić w niebo okrzyki. Walili też w gongi, w puste beczki, w opróżnione kociołki na ryż, w cokolwiek, co znalazło się pod ręką – byle tylko narobić hałasu. Gdy hałas stawał się wystarczająco wielki, słońce i księżyc zaczynały wreszcie zwracać na niego uwagę, a potem powoli rozdzielały się i każde z nich powracało do własnego rytmu życia. Gdyby jednak nie usłyszały całego tego dobiegającego z ziemi zgielku, walczyłyby z pewnością aż do chwili, gdy jedno z nich w jakiś sposób pokonałoby drugie. Czego skutek byłby taki, że z nieba zniknęłaby połowa światła. Gorzej byłoby oczywiście, gdyby przegrało słońce, gdyby księżyc je pochłoniął. No, ale gwiazdy, myślał sobie Ling Tan, gwiazdy, czymkolwiek one są, są moje. Tak, gwiazdy są



moje, bo wiszą nad moją ziemią. Tak, był tego pewien. I zastanawiał się jeszcze, czy w swoim kolejnym życiu posiadzie zdolność sięgnięcia ręką do gwiazdy, tak by móc je zatrzymać w dłoni. I czy – jeżeli mu się to uda – taka gwiazda będzie wciąż płonąła.

Takie oto były myśli Ling Tana. Mieszały się one przy tym z innymi, dotyczącymi ceny ziarna, wielkości zbiorów, a także tego, czy gdy przyjdzie jego czas i gdy sam będzie musiał pójść do ziemi, powinien podzielić swoją posiadłość pomiędzy swych trzech synów, czy też może zostawić ją najstarszemu i polecić, by w gospodarowaniu na niej pomagał mu ten drugi. Jeżeli jednak, myślał dalej, postąpię w ten drugi sposób, to czy wystarczy żywności dla mego trzeciego syna, gdy ten się ożeni i spłodzi własnych synów? I czy moi synowie, nie będąc w stanie napełnić brzuchów, nie będą się wtedy kłócili? Ling Tan, człowiek rozsądny, dobrze wiedział, że ludzie nie mają się o co kłócić, dopóki posiadają dość ziemi na to, by się wyżywić. No, może w takich okolicznościach spierają się tylko czasem o jakieś drobiazgi, o rzeczy, które po dobrze przespanej nocy przestają mieć dla nich znaczenie. Jednak gdy przyczyną jest ziemia, ich kłótnie stają się tak straszne, że mogą doprowadzić nawet do zabójstwa.

Pewnego dnia Ling Tan przedstawił tę sprawę swemu najstarszemu synowi. Uczynił to nie z tego powodu, że poczuł się już bardzo stary i niezdolny do pracy, ale dlatego że człowiek żyje tyle, ile ma żyć, a każda rzecz ma swój właściwy czas. W życiu Ling Tana teraz właśnie nastał czas planowania, ponieważ on sam miał jeszcze bystry umysł, który dobrze pracował w jego wciąż silnym ciele. Ling Tan zwrócił się zatem do najstarszego syna z następującym pytaniem:

– Czy ta ziemia, mój synu, gdy ja już odejdę, będzie w stanie wyżywić trzech mężczyzn, a także ich żony i dzieci?

Lao Tan czerpał właśnie wodę ze studni. Posługując się liną, wyciągnął wiadro na powierzchnię. Następnie napił się, a tym, co zostało, oblał swoje nagie barki i ramiona.

– Tak, ojcze, ta ziemia jest w stanie wszystkich nas wyżywić – odrzekł. – A skoro mnie już o to pytacie, to powiem wam, że zrobię wszystko, żeby tak było. I jeśli moi bracia będą jedli mniej mięsa, ja także się ograniczę. I będę żył z nimi w pokoju.

Ling Tan nie pytał o nic więcej, bo bardzo uradowała go ta odpowiedź. Jego zadowolenie budził także uczciwy wygląd najstarszego syna. Ling Tan wiedział już, że może spokojnie zostawić mu ziemię, mając przy tym pewność, że cokolwiek się zdarzy, jego najstarszy syn podzieli się z braćmi wszystkim po równo i sprawiedliwie. Co do tamtych natomiast, to jeśli im się to nie spodoba, będą mogli iść sobie, gdzie ich oczy poniosą. A

prochy Ling Tana nie poruszą się w swoim śnie z tego powodu, gdyż on za życia postąpił z synami właściwie.

Co do Ling Sao natomiast, to ta rzeczom takim jak gwiazdy, słońce i księżyc nie poświęcała najmniejszej uwagi. Cóż one, zapytałaby zapewne, mają ze mną wspólnego? Ling Sao była gospodynią, a w domu pełno było spraw, które wymagały jej troski. To o nich musiała myśleć. Musiała ten dom prowadzić, pilnować, by wszystko działało w nim sprawnie. Bo wszyscy jego mieszkańcy liczyli właśnie na nią. Tak więc na przykład miesiąc płynął za miesiącem, a jej najmłodsze wnuczę nie wiedziało, kto jest jego prawdziwą matką – czy ta, która podaje miękką pierś do ssania, czy może ta druga, silna, duża kobieta, która często, krzątając się wkoło, nosi go na biodrze i własnymi ustami podaje mu do ust osłodzony ryż. Matka i babka stanowiły dla tego dziecka jedność. No, a co do jej własnych synów, to Ling Sao chciała oczywiście, by pożenili się wcześniej, tak żeby w domu nie miały miejsca jakiegokolwiek głupoty. Mimo to jednak dobrze wiedziała, że żadna młoda kobieta nie będzie dla nich tym samym co ona, ich matka. Uwielbiała też słuchać ich głosów, będących już teraz głosami dorosłych mężczyzn, zwłaszcza wtedy, gdy tak jak w czasach szczebiotliwego dzieciństwa wołali do niej zdrobniałym: „M-ma!”.

– Tak, mój ty mięsny pierożku! – odpowiadała im na to zawsze i nikt się nie dziwił, że zwraca się w ten sposób nawet do najstarszego syna, który sam jest ojcem, i że czyni to wtedy, gdy on przychodzi do niej, żeby przyszyła mu guzik albo poprawiła rzemyk u sandała.

A najstarszy syn przychodził z takimi rzeczami właśnie do niej, gdyż Orchidea, jego żona, była jedną z tych kobiet, które po urodzeniu dziecka są tak tym oszołomione, że potrafią myśleć wyłącznie o tym maleństwie. Orchidea siadywała więc beczynn timer, wpatrując się w synka, wsłuchiwała się w jego oddech, gdy spał, i uważała, że jest stanowczo zbyt zajęta, by posprzątać izbę, naprawić rozdarty kaftan męża albo wykroić podeszwę pantofla. Stara matka Ling Sao przeklinała ją za to w sekrecie i skarżyła się na nią swojemu mężowi.

– Ach, ta Orchidea – utyskiwała pewnej nocy w łóżku. – Urodziła swoje drugie dziecko i teraz nie ma czasu na nic, nawet na to, by zająć się tym starszym. A gdyby nie ja, nasz syn by głodował i chodził w łachmanach jak jakiś żebrak. Tak, chodziłby w łachmanach, bo jego żona nie potrafi nic zrobić. Siedzi tylko i patrzy na dziecko, choć jej synek jest przecież taki malutki, że gdzie go położysz, tam leży. Strach pomyśleć, co będzie, kiedy zacznie raczkować, a potem chodzić. I co będzie, kiedy ona urodzi trzecie, a potem czwarte? Ja, kiedy miałam małe dziecko, nie przejmowałam się tym wcale. Czy pamiętasz, jak

pracowałam w polu, jak żęłam pszenicę, jak ją zbierałam? Czy pamiętasz, mój mężu, jak po urodzeniu drugiego dziecka wkładałam oboje do cebrzyka, a sama zajmowałam się pracą? No i czy stała się im jakaś krzywda? Żadna. Ale ta Orchidea... O, ona jest przekonana, że noworodek przestanie oddychać, skoro tylko troskliwa matka spuści je z oka. A poza tym... przecież to dziecko mogłoby wtedy połknąć drobinę kurzu z promienia słońca, który na nie pada!

– Na świecie mało jest kobiet podobnych do ciebie – zgodził się z nią pograżony już w półśnie Ling Tan.

– A Nefryt! – lamentowała dalej Ling Sao. – Na co ona może się przydać?! Cała jest pochłonięta tą książką, którą przyniósł jej nasz drugi syn. Kiedy na świecie pojawi się jej dziecko...

Ling Tan obudził się nagle.

– Co, co? Czy Nefryt także urodzi?

Ling Sao ściągnęła usta w ciemności.

– Jej wypływ opóźnia się o dziesięć dni – odrzekła uroczyście, bo będąc dobrą matką swoich synów, wiedziała, że ma obowiązek pytać synową o takie rzeczy. – Ale co ona zrobi, gdy jej czas przyjdzie przed przeczytaniem książki do końca? Nie mam doprawdy pojęcia. Nie wypuści jej pewnie z ręki. Tak, przysięgam, że tak postąpi! I dopuści do tego, żeby dziecko urodziło się byle jak. Oj, zły to był dzień, w którym książka pojawiła się w tym domu! Bo dla kobiety, mój mężu, nie ma nic gorszego niż takie czytanie! Tak, tak, wołałabym już, żeby ta nasza synowa zaczęła zażywać opium!

– Ależ nie! Nawet tak nie mów! – zaprotestował Ling Tan. – Ja dobrze znam to przekleństwo, które nękało moją starą matkę. Więc nie pozwolę, żeby choć uncja opium znalazła się w tym domu!

– No dobrze już, dobrze – zgodziła się Ling Sao.

Wiedziała bowiem, co stało się w tym domu, kiedy matka Ling Tana w czterdziestym szóstym roku życia zaczęła palić opium, by uśmierzyć nękający ją ból w łonie. Nie dbała wcale o to, czy ma co jeść i w co się ubrać. Musiała tylko mieć opium. Całymi dniami i nocami leżała z na wpół przymkniętymi oczami. Spała i śniła. I budziła się tylko wtedy, kiedy jej bliscy usiłowali wyleczyć ją z nałogu. Nie mieli zresztą do tego serca i nie za bardzo się starali, bo ból dokuczający matce ciągle się nasilał i zdawało się, że tylko dzięki opium jest ona w stanie oddychać. Ta męka trwała aż siedem lat. W ciągu tego czasu rodzina zmarnowała na opium mnóstwo pieniędzy – więcej niż wynosiły wydatki na jado i przyodziewek. A co gorsza ówczesne władze ogłosiły, że opium jest rzeczą zakazaną i że

każdy, kto je sprzedaje, kupuje lub pali, ryzykuje, że zostanie surowo ukarany. Ojciec Ling Tana dobrze o tym wiedział, zabronił więc synowi kupować opium dla matki. Udawał się po nie sam w pewne sekretne miejsca. Stało się to wreszcie tak niebezpieczne, że wybierając się tam raz w miesiącu, ustalał z synem, co ten ma w razie czego robić. Ostrzegał, że w wypadku, gdyby nie wrócił, rodzinie nie wolno go szukać. Mogło to bowiem oznaczać, że znalazł się w więzieniu, od którego nie da go się uratować. Ling Tan musi w takim wypadku postępować tak, jakby ojciec już umarł, i pamiętać, że sam ma obowiązek żyć dalej.

Za każdym razem ojciec i syn spoglądali na siebie ze świadomością, że być może widzą się po raz ostatni, a Ling Tan już na zawsze miał zachować w pamięci odważną, pomarszczoną twarz ojca, który po raz kolejny podejmował ryzyko dla swej starej żony. Kiedy w końcu przyszedł czas, że tych dwoje dosłownie w ciągu trzech dni zmarło na cholere, przyjął to prawie z ulgą. Choroba najpierw zabrała matkę, dzięki czemu ojciec mógł potem odejść w spokoju, nie martwiąc się o to, że jego syn będzie teraz musiał w jego zastępstwie odbywać kolejne niebezpieczne podróże. Wszystko to sprawiło, że opium jawiło się Ling Tanowi jako przekleństwo, które rujnuje ludziom wszelki spokój. Z zadowoleniem przyjmował więc coraz surowsze zakazy sprawiające, że zdobyć je było coraz trudniej. I że w końcu stało się ono czymś, o czym słyszało się tylko z rzadka, a na opiumową fajkę mogli sobie pozwolić tylko ludzie bardzo bogaci.

Wracając do Ling Sao, trzeba tu powiedzieć, że gdy kobieta zaczęła już rozprawiać o dzieciach, rezygnowała z tego z wielkim trudem. Teraz także, w tę spokojną i cichą noc, mówiła do męża dalej:

– A ta nasza mała córeczka – pomyśl tylko, co zrobimy, kiedy ona wyjdzie za mąż? Kto będzie wtedy ткаł? Pansiao ma już piętnaście lat, czas więc pomyśleć o kimś dla niej, a Nefryt powinna nauczyć się pracy przy krosnach, żeby mocją potem zastąpić. I twoim obowiązkiem jest poinformować o tym swojego drugiego syna. A znowu najstarszemu musisz powiedzieć, że jego żona powinna więcej pomagać mi w domu, bo to przecież ona zajmie moje miejsce, gdy ja umrę. Tak, tak, a Nefryt koniecznie musi się nauczyć ткаć. My z kolei, poszukując żony dla naszego najmłodszego chłopaka, musimy zadbać o to, żeby to była silna dziewczyna, zdolna pracować razem z nim w polu. Tak, mój mężu, konieczne jest, byśmy wszystko urządzili tak, żeby – gdy nas już zabraknie – znaleźli się w rodzinie tacy, którzy przejmą całą naszą pracę.

Ling Tan nie odpowiedział, bo dawno już zasnął. Nic nie kołysało go do snu lepiej niż głos żony rozprawiającej o domu i dzieciach. A Ling Sao, zachecona jego milczeniem, mówiła wciąż dalej:

– I wiesz, powiedziałam co prawda, że o naszą starszą córkę nie musimy się już kłopotać, bo ona już przestała należeć do naszego domu, jednak wciąż się o nią martwię. Bo w końcu to przecież ja ją urodziłam. To ja ją wykarmiłam, a nie, kto inny. Dlatego naprawdę, mężu, chciałabym wiedzieć, jak jej się powodzi. Chciałabym wiedzieć, czy sklep jej męża działa nadal dobrze, no i w ogóle jak oni wszyscy się mają. Tak, tak, choćbyś mnie i przeklął, ja nie potrafię inaczej – nie mogę przestać się martwić nawet o nią!

Teraz Ling Tan już chrapał, więc Ling Sao zorientowała się wreszcie, że nie może spodziewać się od niego odpowiedzi. Zamilkła zatem, dochodząc jak zwykle do wniosku, że jak przychodzi co do czego, to ona musi się sama zająć każdą sprawą. Przyszło jej też na myśl, że nigdy nie zdoła zrozumieć, dlaczego mężczyźni pomimo swego wiecznego mędrkowania pozostają przez całe życie dziećmi. Gdy w domu jest coś do zrobienia, okazuje się, że pracę musi wykonać kobieta. Ling Sao postanowiła, że na drugi dzień pójdzie do miasta i sama zobaczy, jak się ma córka, a zwłaszcza jej dwoje malutkich dzieci. Tak, uda się tam, choćby reszta jej rodziny, tu w domu, miała cały dzień chodzić głodna.

Pójdę tam i gdy zobaczę, że ci nowomodni studenci niszczą sklep mojego zięcia, pomyślała, nie ulęknię się. Dam im radę sama, bez niczyjej pomocy. Spuszczę im cięgi, wytargam ich za nosy. I co mi kto za to zrobi? Przecież jestem tylko starą kobietą!

Tak sobie planując, doznała pocieszenia i wkrótce zasnęła spokojnie.

Ocknąwszy się, natychmiast przypomniała sobie, co postanowiła. Wstała bardzo wcześnie, zanim ktokolwiek inny się obudził, i zaczęła przygotowywać dom na swoją nieobecność. W żadnym z okien nie pojawiła się jeszcze nawet smużka dziennego światła. Niebo było czarne jak o północy, a ogromne gwiazdy wciąż rozświetlały je łagodnym blaskiem. Jednak kobiecie jakiś wewnętrzny instynkt podpowiadał, która naprawdę jest godzina. Gdy się już ubiorę, zamiotę izbę i wypłuczę ryż, myślała, zaczną pisać koguty.

I rzeczywiście, gdy wypłukała ryż po raz trzeci, gdy włożyła go do kociołka i zalała wodą, usłyszała koguty nawołujące się od wioski do wioski. Ling Tan na ten dźwięk poruszał się zawsze przez sen i choć nie budził się z pianiem kogutów, spał od tej pory snem bardzo płytkim. Bo choć nie ocknął się jeszcze na dobre, podświadomie wyczuwał, że wkrótce musi wstać i zabrać się do codziennych zajęć.

Było wciąż jeszcze za wcześnie, by rozpalać ogień, więc Ling Sao weszła po cichu do

sypialni i wyniosła stamtąd małą skrzyneczkę, w której przechowywała grzebienie. Umieściła ją obok świecy stojącej na stole na podwórzu, otworzyła i zaczęła czesać i namaszczać swoje włosy, bo wchodząc do domu córki, chciała wyglądać przyzwoicie. Lusterko właściwie nie było jej potrzebne, bo przez całe życie całkiem tak samo przyglądała włosy do tyłu. Gdy była dziewczynką, zaplatała je przy tym w warkocz i nosiła grzywkę, a potem, gdy przed ślubem matka zlikwidowała jej tę grzywkę, związała je w węzeł. Teraz włosy same układały się do tyłu, prawie niepotrzebna im też była oliwa, bo leżały na głowie gładko. Jednak przed zrobieniem węzła Ling Sao związała je mocnym czerwonym sznureczkiem, a potem przyglądała do tyłu oliwą, sporządzoną własnoręcznie z namoczonych w wodzie wiórków śliskiego drewna pewnej odmiany wiązu. Uczyniwszy to, owinęła węzeł z włosów wokół długiej srebrnej szpilki z błękitnymi emaliowanymi zakończeniami, tej samej, która wraz z dwoma pierścionkami, parą kolczyków i pałeczką do uszu będącą równocześnie wykałaczką stanowiła część jej posagu i która zawsze leżała w pogotowiu na wypadek, gdyby Ling Sao chciała jej użyć.

Gdy się już uczesała i gdy umyła twarz oraz wypłukała usta, zdmuchnęła świecę, która teraz była jej niepotrzebna. Najwyższy był już czas, by na poranny posiłek ugotować ryż, a także postawić na stole soloną marchewkę i soloną rybę, które sprawią, że ten ryż będzie się lepiej jadło. W domu Ling Tana wszyscy członkowie rodziny wstawali po kolei, a Nefryt i drugi syn robili to zawsze na samym końcu. Ling Sao pozwalała na to i zamierzała tak czynić jeszcze przez jakiś czas, póki nie upłynie pierwszy rok małżeństwa tych dwojga młodych ludzi. Wtedy jednak, myślała, powiem im, że i oni muszą wraz z resztą rodziny wstawać wcześniej i brać się zaraz do pracy.

Tego ranka nikt z członków rodziny nie zauważył z początku, że stara matka zamierza zrobić coś, czego nie czyni co dzień. I dopiero po dłuższej chwili dotarło do nich, że ma ona na sobie najlepszy spodni kaftan z białej bawełnianej tkaniny i że na nogi włożyła nowe, trochę jeszcze przyciasne w palcach buty, odwinąwszy z tego powodu ich pięty, a w uszy wpięła złote kolczyki.

Ling Tan zaczął się jej przyglądać.

– Czy możesz, matko moich synów, powiedzieć mi, co to wszystko znaczy? – zapytał.

– W nocy opadły mnie niespokojne myśli. I dlatego postanowiłam pójść zobaczyć się z naszą starszą córką. Chcę się bowiem przekonać, co u niej słyhać, a także oczywiście u jej dzieci i ich ojca – odrzekła Ling Sao.

– Ale tak sama? Chcesz iść do miasta sama? To jest niemożliwe – zaprotestował Ling

Tan.

Ling Sao odrzuciła głowę.

– Tak, sama – potwierdziła. – Bo czy kobiecie w moim wieku może być straszny którykolwiek mężczyzna?

Następnie zjadła posiłek, a potem córce i żonom synów powiedziała, co mają robić, gdy jej nie będzie w domu:

– Orchideo, ty musisz przywiązać sobie najmłodszego synka na plecach. Uwolnisz w ten sposób ręce i będziesz mogła przygotowywać posiłki. Natomiast ty, Nefryt, będziesz podsycala ogień. Ale uważaj, rób to tak, żeby dym nie zaszkodził oczom mojego wnuka. A co do Pansiao, to ty, moje dziecko, masz tkać jak zwykle. Przerwiesz tylko wtedy, gdy ojciec na ciebie zawoła, i podasz mu to, czego potrzebuje. To twój obowiązek, bo Orchidea i Nefryt muszą być gotowe na każde zawołanie swoich mężów. Natomiast ty, mój trzeci synu – zwróciła się do chłopca – gdy będziesz czegoś potrzebował, zwróć się do siostry. Na mój powrót trzymajcie gorącą herbatę, ale nie zostawiajcie dla mnie niczego do jedzenia, bo w domu mojej starszej córki najem się do syta. Tak, najem się tam tyle, że wystarczy mi to do jutra. Córka zawsze kupuje dla mnie dodatkowy kawałek mięsa albo posyła kogoś po słodycze i pierożki. Dlatego po wizycie u niej pewnie przez dwa dni nie będę czuła głodu.

Wszyscy wysłuchali jej słów uważnie, po czym Ling Tan poszedł do swojego pokoju i przyniósł jej trochę pieniędzy na jej własne wydatki. Ona jednak, z wielkimi ceregielami, odmawiała ich przyjęcia.

– Ależ nie! – protestowała. – Po co marnować tyle srebra? Nie wezmę tych pieniędzy i, już! Możesz być tego pewien! Zatrzymaj je, mój mężu, i jesienią kup za nie ziarno na siew. Ja naprawdę nie potrzebuję niczego.

Jednak Ling Tan tylko się roześmiał i pchnął po stole pieniądze w jej stronę. A Ling Sao wzięła je w końcu, tak jak to zamierzała uczynić od samego początku. O czym on z kolei bardzo dobrze wiedział. Gdyby nie zaproponował jej tych pieniędzy, poprosiłaby o nie. Ponieważ jednak okazał się hojny, uważała, że musi na tę hojność odpowiedzieć uprzejmością.

Tak więc Ling Sao była w końcu gotowa do drogi. Rodzina odprowadziła ją do drzwi, życząc dobrego dnia, a ona wyruszyła, niosąc w białej chusteczce do nosa prezenty dla córki – sześć kurzych jajek, kilka dojrzałych brzoskwiń i kilka suszonych persymon.

Gdy zaczęła iść swoim zwykłym pewnym krokiem, słońce stało już dość wysoko nad górą, nie tak wszakże wysoko, by zapanował upał. Jednak na upał się zanosilo, bo na niebie nie widać było ani jednej chmurki i żaden powiew wiatru nie marszczył wody na polach

ryżowych. Jakikolwiek miał być ten dzień – upalny czy też chłodny – Ling Sao z niecierpliwością oczekiwała na to, co miał przynieść, bo była jeszcze wystarczająco krzepka, by lubić od czasu do czasu odmianę. Lubiła też odwiedzać dom córki, sprawdzać, co tam nowego, i czuć szacunek, jakim ją, matkę ich pani, darzyła w tym domu służba. Ze potraktują ją choćby w połowie tak jak matkę zięcia, nie mogła się oczywiście spodziewać. Jednak rewerencja, jaką jej okazywali, wystarczała, by Ling Sao czuła, że nie jest u córki zwykłym gościem.

Było wciąż bardzo wcześnie. Dlatego Ling Sao, idąc przed siebie, mijała od czasu do czasu jakiegoś sąsiada, który niósł do miasta na targ warzywa lub słomę. I każdy z tych ludzi wołał do niej po imieniu, pytając, jak się ma, a także jak się czuje jej stary mąż, no i dokąd to niosą ją nogi. A ona każdemu z nich odpowiadała wesoło, zadając przy tym pytanie o jakiś znany sobie drobiazg dotyczący jego rodziny. Wszystko to sprawiało, że droga do miasta nie dłużyła jej się wcale. Gdy weszła w głęboki cień miejskiej bramy, słońce grzało już bardzo mocno, dlatego ucieszyła się z chłodu. Usiadła na małym stołeczku obok straganu handlarza owocami i zjadła wczesnego melona. A potem poszła dalej, wyrzucając sobie łakomstwo, bo zielony owoc zalegał jej przez pewien czas na wątrobie. Zatrzymała się więc ponownie w małym sklepiku, by napić się herbaty, a gdy strawiła już porządnie melona, poczuła się zupełnie dobrze. I w końcu dotarła do domu córki.

Sklep zięcia działał, dwaj subiekci stali na swoich posterunkach, jednak nie wszystkie gabloty wypełnione były towarem, a w oknach brakowało paru szyb. Ling Sao obeszła sklep, poszukując towarów, którymi handlowano tu dawniej. I przekonała się, że wiele z nich zniknęło. Zostały tylko materiały na ubrania oraz różne drobiazgi, jakie można kupić w każdym małym wiejskim sklepiku. Wszystkie rzeczy rzucające się w oczy, dziwne towary zagraniczne, lampy i lampki, zabawki, słomkowe kapelusze i gumowe buty, a także filizanki, miseczki i talerze malowane w kwiaty w cudzoziemskich kolorach – wszystkie one zniknęły. Widząc to, Ling Sao uświadomiła sobie, że straty były tutaj ogromne, że mąż córki nie miał jeszcze odwagi czeokolwiek naprawić, no i że z pewnością obawia się dalszych kłopotów.

Ściągnawszy więc swoje pełne usta, weszła na tyły sklepu, do domu córki. A tu zastała sprawy w gorszym stanie, niż się spodziewała. Po pierwsze zobaczyła, że jej zięć siedzi zrezygnowany w fotelu. Schudł tak, że skóra wisiała na nim dosłownie jak ubranie ze starszego brata. Ling Sao, choć żyła już długo, nigdy dotychczas nie widziała takich obwisłych – choć niegdyś tak tłustych – policzków, które do złudzenia przypominały podgardle wolu, ani takiego obwisłego niby pusta torba brzucha. Mąż jej córki spał, kiedy weszła, a córka siedziała obok i go wachlowała. Spozregłszy matkę, dała jej znak, że ma



milczeć, a sama nie odważyła się przestać poruszać wachlarzem.

Ling Sao pochyliła się ku córce, szepcząc jej do ucha:

– Czy on jest chory? Bo skóra tak na nim wisi.

– Rozchorował się z całego tego nieszczęścia – odrzekła córka, również szeptem. – Nie może jeść.

Ling Sao wiedziała doskonale, że każde stworzenie – czy to mężczyzna, czy kobieta, czy zwierzę – dosłownie każde stworzenie, które nie może jeść, zmierza prosto do grobu. I przeraziła się na myśl, że jej córka mogłaby tak młodo zostać wdową. Zakradła się więc cichcem do kuchni, nie zatrzymując się nawet, by rzucić okiem na dzieci czy pozdrowić matkę zięcia, a tam zakasała rękawy i odepchnęła służącą stojącą koło kuchennego pieca.

– Popraw ogień – rozkazała z taką mocą, że kobieta odsunęła się, nie wymawiając nawet słów pozdrowienia. – Najpierw ma być nieduży – rozkazywała dalej Ling Sao. – A kiedy ci powiem, spraw zaraz, żeby rozpałił się szybko na czas stu oddechów. A potem znowu go zmniejszysz.

Z przyniesionych ze wsi jajek, a także z kawałków mięsa i cebuli znalezionych w misce na stole przygotowała potrawę tak pyszną i pachnącą, że Wu Lien, budząc się, by odpędzić muchę, poczuł jej zapach i otworzył oczy.

– Co to za smakowity zapach? – zapytał.

– Moja matka przyniosła ze wsi kilka świeżych jajek. Gotuje je właśnie – odrzekła jego żona.

– Mogę je zjeść – oznajmił.

Słyszając te słowa, żona pobiegła czym prędzej do kuchni. Wpadła tam w chwili, gdy Ling Sao wkładała jajka do miski.

– On chce jeść! – zawołała, chwytając miskę i biorąc pałeczki.

Po czym, wciąż biegiem, wróciła do męża i podała mu potrawę. Trzeba tu powiedzieć, że Wu Lien od dnia, w którym zniszczono mu sklep, nic prawie nie jadł. A ponieważ przywykł do tego, by trzy razy dziennie najadać się do syta, jego głód rósł stopniowo, z czego on sam nie zdawał sobie sprawy. Sądził natomiast, że przez cały czas jest tak samo przybity i nie ma apetytu jak pierwszego dnia. Teraz, jednak pod sam nos podsunięto mu pyszny posiłek. Tak, podsunięto mu jajka, jakich mieszcuchowi od urodzenia aż do śmierci nie jest dane zakosztować. Wziął więc pałeczki i zabrał się do jedzenia. Ling Sao i jej córka obserwowały go, stojąc. Tak, stały nad nim zachwycone i tylko od czasu do czasu spoglądały na siebie, a potem znów wlepiwały wzrok w Wu Liena, który odsunął miskę od twarzy, dopiero, kiedy ta była całkiem już pusta. Wtedy roześmiały się radośnie. Natomiast Wu

Lienowi głośno się odbiło, co wywołało kolejny wybuch radości.

– Widzę teraz, dlaczego miałam to przecucie! Dlaczego coś mi mówiło, że muszę tu przyjść! – zawołała Ling Sao. – Trzeba wam też wiedzieć, że moja stara czarna kura, która normalnie niesie się tylko raz czy dwa razy w miesiącu, zносиła jajka przez cztery dni z rzędu. A znowu ta płowa zniosła dzień po dniu po dwa jajka. W ten właśnie sposób spełnia się wola bogów. Teraz, mój zięciu, jesteś już zdrowy. Przynies mu gorącej herbaty, moja córko. Jak najgorętszej. A gdy ją wypije, będzie tak zdrow jak w dniu, w którym się urodził.

Gdy córka poszła spełnić jej polecenie, Ling Sao usiadła wreszcie i zawołała, żeby przynieśli jej najmłodsze dziecko. Bo trzeba powiedzieć, że była typem kobiety, która nie czuje się zdrowa, nie mając przy sobie któregoś z dzieci – nie kołysząc go na kolanach lub nie trzymając na biodrze. Po chwili więc, niańcząc najmłodszego synka córki – całkiem nagiego, jeżeli nie liczyć szmatki, którą trzymała pod nim, na wypadek gdyby się zmoczył – a więc po chwili patrzyła, jak Wu Lien pije swoją gorącą herbatę. I kiedy odbiło mu się po raz ostatni, zaczęła go pouczać:

– Posłuchaj, mój zięciu, cokolwiek by się stało złego, nie wolno ci przestać jeść. Nie wolno ci doprowadzić do tego, żeby osłabło twoje ciało. Musisz bowiem pamiętać, że jesteś synem swoich rodziców i że żaden człowiek na świecie nie należy sam do siebie. Człowiek należy do tych, co byli przed nim, oraz do tych, co przyjdą po nim. I jeżeli pozwala się zniszczyć albo niszczy się sam, unicestwione zostają więzy pokrewieństwa, a naród upada.

Wu Lien popatrzył na nią, uniósłszy swoje ciężkie powieki.

– Kto wie, stara matko – odrzekł ze smutkiem – kto wie, czy naród i tak nie musi upaść.

Ling Sao, nic z tego nie rozumiejąc, spojrzała na córkę.

– On myśli tylko o tym – powiedziała młoda kobieta. – Wciąż powtarza, że naród upadnie.

Ling Sao energicznie poruszyła wachlarzem.

– Naród to nic innego jak lud – oznajmiła. – A to my jesteśmy ludem. Posłuchaj, Wu Lienie, nie wolno ci myśleć, że jeden dzień, dzień, w którym spotkało cię nieszczęście, może doprowadzić do twojego upadku. Musisz po prostu kupić więcej towarów, ponownie umieścić na wystawie zagraniczne produkty, zażądać ochrony od miasta i nabrać otuchy.

Wu Lien jęknął tylko, usłyszawszy te słowa.

– Mam złe nowiny – oznajmił. – Znam je już od trzech dni... jutro upłyną cztery... nie wyjawiałem ich jednak... trzymałem je w sobie...

– Źle postąpiłeś – przerwała mu Ling Sao. – Trzymanie złych nowin w brzuchu psuje

wątrobę i wysusza żółć. Złość, smutek i złe nowiny, to wszystko musi wyjść na zewnątrz ze względu na zdrowie człowieka.

– Tu nie chodzi o nieszczęście, które spotkało tylko mnie, stara matko – powiedział Wu Lien. – Tu chodzi o złe wieści dla narodu. Wrogowie znad Wschodniego Oceanu przysłali swoje okręty, które przybiły do portu na niedalekim wybrzeżu. Ich żołnierze stanęli na naszej ziemi, a nasi zmierzyli się z nimi. Okazało się jednak, że nie byliśmy w tym starciu wystarczająco silni.

Wu Lien, mówiąc to wszystko, zdawał sobie doskonale sprawę, że żadna z tych dwu kobiet nie jest w stanie swoim umysłem pojąć jego słów, ponieważ żadna z nich nigdy w życiu nie była nigdzie poza tym miastem czy wsią położoną w jego okolicy. W ich oczach dwieście mil dzielące ich od wybrzeża równało się dwóm tysiącom. Ani jego żona, ani teściowa nigdy nie siedziały w pociągu ani w cudzoziemskim samochodzie. Żadna z nich nie była także nigdy w położonym o siedem mil od ich miasta porcie rzeczonym i nie widziała zagranicznego okrętu. Wiedziały tylko, że kiedyś, przed laty, takie właśnie zagraniczne okręty skierowały działa przeciwko armii stacjonującej w tym mieście, ponieważ armia ta wzięła poprzednio w niewolę jakichś cudzoziemców, i że wtedy na wsi, w domu Ling Tana słychać było podobne grzmotom wystrzały, o których potem przez pewien czas ludzie często mówili.

– Czy pamiętacie, stara matko, te działa, które kiedyś słyszeliście? – zapytał teraz Wu Lien. – Otóż obecnie takie same działa są na wybrzeżu i niszczą położone tam miasto.

– Pamiętam je – odrzekła Ling Sao spokojnie. – Szorowałam właśnie piaskiem kociołek do gotowania ryżu, a on zaczął mi brzęczeć w rękach i zabrzmiał takim dziwnym echem. Krzyknęłam wtedy do mojego staruszka, że to trzęsienie ziemi. Ale w końcu przecież nie wyniknęło z tego nic złego.

– Z tego, co dzieje się teraz, wyniknie jednak zło – odrzekł ponuro Wu Lien.

Wiedział, co mówi, bo był kupcem i dwa razy do roku jeździł na wybrzeże. Kupował tam swoje towary i znał bardzo dobrze portowe miasto. Potrafił też przewidzieć, co go teraz czeka. Wiedział, że studenci, którzy zniszczyli towar w jego sklepie, byli tylko zwiastunami większego zła, które miało dopiero nadejść. Wu Lien po napadzie studentów bał się kupować zagraniczne towary. Jeżeli jednak przestaną je kupować, myślał, to co będą sprzedawał w swoim sklepie? Czy zdołam zaoferować klientom coś, czego nie można by było kupić wszędzie, w byle jakim sklepie?

– Nie martw się, mój zięciu – powiedziała Ling Sao. – Morze jest bardzo daleko. Daleko jest nawet rzeka. Więc co oni mogą nam zrobić?

– Ci ludzie mają latające statki – odrzekł jej na to.

Złościło go, że te dwie kobiety nie chcą się bać. Pragnął bardzo, żeby podzieliły jego lęki. Mówił zatem dalej, starając się, żeby jego słowa brzmiały tak przerażająco jak to tylko możliwe.

– Te podniebne statki – oznajmił – mogą tu znad morza nadlecieć w ciągu dwóch godzin. Mogą też spuścić na nasze głowy swoje jaja i obrócić nasz dom w pył i ruinę. A czy my będziemy w stanie temu zaradzić?

– Przeniesiecie się wtedy wszyscy do naszej wsi – odrzekła stanowczo Ling Sao. – Zawsze mówiłam, że miasto to miejsce pełne niebezpieczeństw. A ten malutki pierożek... zobaczcie, jaki jest słodki... Jeżeli zamieszkacie w naszym domu, będę go mogła codziennie widywać. O Boże, a niech mnie!

Ling Sao wydała ten nagły okrzyk, bo małeńki chłopczyk zsiusiał się na jej najlepszy kaftan, gdyż, rozmawiając z Wu Lienem, zapomniała podłożyć dziecku szmatkę. Nastąpiło też zaraz wielkie zamieszanie. Córka Ling Sao skoczyła na równe nogi, chcąc wziąć od matki małeństwo, jednak ta nie chciała go oddać. Szamotały się więc przez chwilę.

– To nic, do licha – śmiała się Ling Sao. – Mam się przejmować tą odrobiną cieczy? Ten malutki nie jest przecież pierwszym dzieckiem, które potraktowało mnie w ten sposób. Nie upłynie więcej niż parę oddechów, a mój kaftan będzie suchy.

Podczas całego tego zamieszania zjawiała się Wu Sao, stara matka Wu Liena, która do tego czasu spała w swoim pokoju. Ling Sao musiała się więc zerwać na równe nogi, ponieważ stara matka zięcia zajmowała w rodzinnej hierarchii miejsce wyższe od niej. I już stojąc, pozdrowiła Wu Sao.

– Oto znowu zjawiam się tutaj, sprawiając kłopot waszemu domowi – powiedziała głośno. – Słyszałam, co się stało w sklepie, przyszłam więc zobaczyć na własne oczy, jakie są tego skutki. Mówiłam właśnie waszemu synowi, że nie powinien się tak denerwować. Mężczyzna musi jeść ze względu na swoich rodziców, a obowiązkiem Wu Liena, który nie ma już ojca, jest pamiętać o was, Starsza Siostrze. No i dbać o siebie, bo jego ciało nie jest jego własnością, lecz należy do was.

Trzeba tu wspomnieć, że matka Wu Liena była kobietą nader otyłą. Jej ciało stało się z biegiem lat tak ociężałe, że teraz nie mogła zrobić więcej niż trzy czy cztery kroki. Tusza przeszkadzała jej też rozmawiać z ludźmi, ponieważ zmienił jej się głos – mówiła praktycznie szeptem. Dlatego słysząc słowa Ling Sao, kiwnęła jedynie głową, uśmiechnęła się i usiadła. A wtedy natychmiast zaczął ją wstrząsać okropny dudniący kaszel. Oczy wyszły jej przy tym z orbit, zrobiły się wypukłe niczym pęcherz ryby, a twarz posiniała. Widząc to, córka Ling Sao

pobiegła zaraz po czerwony cukier, a Wu Lien zerwał się z miejsca i zaczął nalewać matce herbatę. Równocześnie z kuchni nadbiegła służąca, żeby rozetrzeć staruszce kark i plecy. Spokój – o którym, zdaniem Wu Liena, należało obecnie całkiem zapomnieć – zakłócony przez dziecko i starą kobietę, powrócił dopiero po dłuższej chwili, a Wu Lien w obecności matki nie powtórzył swojego ponurego proroctwa.

Zamiast tego przeprosił, mówiąc, że musi teraz pójść do sklepu. Postąpił tak, ponieważ wśród całego tego zgiełku wydało mu się, że nie zniesie już dłużej obecności kobiet. Należy tu stwierdzić, że Wu Lien nie był bynajmniej człowiekiem głupim. Raz lub dwa razy w miesiącu czytywał gazetę, chodził też do herbaciarni największej w mieście, gdzie słuchał, co dzieje się w świecie. Wiedział zatem, co ich czeka w wypadku, gdyby wszystko to, o czym słyszał, okazało się prawdą. Bał się bardzo, choć sam nie żywił nienawiści do ludzi znad Wschodniego Oceanu, a jego obawy pogłębiało jeszcze przekonanie, że żadna wojna nie niesie ze sobą niczego dobrego. Tak, wojna oznaczałaby tylko ruinę – i dla niego samego, i dla innych przedsiębiorców. Ponieważ ludziom może się dobrze powodzić jedynie w czasach pokoju, a wojna niesie im tylko zniszczenie. Tak było w ojczyźnie Wu Liena w przeciwieństwie do niektórych innych, znanych mu ze słyszenia krajów, w których jedynie podczas wojny wszyscy mieli pracę. Wu Lien, przesiadując często w herbaciarni i słuchając opowieści tych, którzy bywali w obcych krajach, nabrał przekonania, że tam, całkiem inaczej niż w jego rodzinnym kraju, wojna jest interesem. I na tym polegała główna różnica.

Teraz także – zmęczony nagle zamieszaniem, jakie w jego dom wnosiły kobiety – postanowił odwiedzić herbaciarnię, gdzie, wstyd powiedzieć, nie był od czasu, gdy zniszczono mu sklep. Ubrał się więc w swoim pokoju, martwiąc się przy tym na widok za luźnych spodni i zbyt długiego pasa. A potem, wychodząc z domu, nie przeszedł przez pokój, w którym siedziały kobiety, i udał się do herbaciarni nie główną ulicą, lecz boczną, okrężną drogą. Znalazłszy się tam, usiadł przy małym bocznym stoliku, a nie przy tym w samym środku sali, gdzie zwykle biesiadował z przyjaciółmi. Był przekonany, że wszyscy znajomi słyszeli o tym, co zaszło w jego sklepie, jednak teraz żaden z nich do niego nie podszedł. Wu Lien nie wiedział więc, co o nim sądzą – czy uważają, że wciąż można go nazywać dobrym kupcem, czy może uznali go za zdrajcę. Siedział zatem samotnie i czekał, aż się dowie, kim jest w ich oczach.

I wkrótce się dowiedział. Nie dane mu bowiem było długo się cieszyć z tego, że znalazł się tam, gdzie przebywali wyłącznie mężczyźni i gdzie nie było kobiet ani dzieci

przeszkadzających w rozmowie. Ponieważ dzisiaj w herbaciarni nie było tak jak zwykle. Dzisiaj panowała tu cisza. Tak, wszyscy goście, a było ich wielu, siedzieli w milczeniu, pijąc swoją herbatę. Jeżeli nawet któryś z mężczyzn się odezwał, to tylko po to, by wymienić z kimś innym jedynie kilka słów i zaraz zamilknąć. Jedzono dziś niewiele mięsa, nie widziało się też zastawionych suto stołów, przy których ucztowaliby, opróżniając kolejne kubki wina, pocący się mężczyźni. Dzisiaj wszyscy byli ubrani czysto i porządnie, żaden z gości, mimo gorąca, nie odłożył na bok kaftana. Nie, nie, dzisiaj wszystko wskazywało na to, że każdemu z nich jest zimno ze strachu.

Wu Lien siedział przy swoim stoliku, zastanawiając się, czy ktoś go pozdrowi. Zamówił zieloną herbatę, a kiedy drobnej postury kelner przyniósł ją i niedbałym ruchem wytarł czarkę brudną czarną ścierką, Wu Lien nie miał odwagi go skarcić. Dmuchał tylko w czarkę, wyplukał ją gorącą herbatą, a potem pił napój powoli, do dna, próbując nawiązać z kimś kontakt wzrokowy. Jeżeli go powitają, wszystko będzie dobrze. Ale jeżeli nie, będzie musiał przyjąć do wiadomości, że został obwołany zdrajcą. Wiedział bowiem, że owi studenci mszczą się na ludziach, nie tylko niszcząc ich mienie. Nie, im to nie wystarczało. Oni nazwiska tych, którym zniszczyli towary, podawali w gazetach, a także wywieszali na murach i miejskich bramach, ogłaszając, że ludzie ci to zdrajcy.

Wu Lien napełniał właśnie swoją czarkę po raz drugi, gdy jego wzrok napotkał spojrzenie pewnego znajomego, człowieka będącego członkiem jego własnego cechu, z którym niegdyś często tutaj ucztował, a także pijał herbatę. Gdyby wszystko było w porządku, tamten zawołałby go głośno po imieniu, a on, Wu Lien, zaprosiłby go do swojego stolika. Jednak wzrok znajomego prześlizgnął się po Wu Lienie niby po martwym kamieniu.

Jestem zatem zdrajcą, pomyślał Wu Lien, bardzo zgnębiony. Świat dookoła zmienił się tak szybko, że to, co przed paroma tygodniami było dobrym interesem, dziś okazywało się zdradą.

Gdy Wu Lien to sobie uświadomił, herbata w jego ustach nabrała smaku słonej wody. Położył na blacie miedziaki, wstał od stolika i wyszedł z herbaciarni. A potem przystanął nieco dalej na ulicy, obok stoiska, gdzie Lao Er nabył niedawno książkę dla żony, i kupił gazetę. I natychmiast, nie ruszając się z miejsca, zaczął ją czytać. Miasto na wybrzeżu, pisano w gazecie, zostało podpalone i teraz wojska walczą tam wśród szalejących płomieni. Wu Lien aż jęknął głośno. A potem dowiedział się jeszcze, że wszędzie, gdzie szalała wojna, dobre sklepy, jeden po drugim, przestawały istnieć, popadały w całkowitą ruinę. Dlaczego musi się tak dziać? Wu Lien nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Niecały miesiąc temu w północnej części kraju pojawiły się drobne problemy, a studenci od lat wygłaszali porywcze

mowy przeciwko ludziom znad Wschodniego Oceanu. Jednak któryż prawdziwy człowiek interesu słuchał ich gadaniny? Wu Lienowi i ludziom jego pokroju powodziło się bardzo dobrze. Raz lub dwa razy w roku Wu Lien spotykał się z jakimś kupcem znad Wschodniego Oceanu. Albo nawet z kilkoma. I ludzie ci okazywali się życzliwi i uprzejmi, choć gdy próbowali mówić językiem innym niż własny, całkiem im to nie wychodziło. Dlatego Wu Lien, z grzeczności, nauczył się ich języka. Poznał go na tyle, by móc prowadzić z nimi interesy. I zawsze się dogadywał, bez żadnych sporów. Bo tak naprawdę to o cóż miałby się z nimi spierać?

Teraz, stojąc z gazetą obok straganu, poczuł się tak oszołomiony, że stary księgarz zapytał, czy boli go brzuch, czy też może dolega mu coś innego. Wu Lien pokręcił tylko głową w odpowiedzi, po czym złożył gazetę i określną drogą udał się do domu.

Wszedł do niego tędy, którędy wyszedł, i będąc już w środku, przez otwarte okno usłyszał głosy kobiet, które wciąż trajkotały. Zawołał na żonę, a gdy ta natychmiast przybiegła, kazał sobie przynieść posiłek do własnej izby. Chciał bowiem zjeść w spokoju, a potem pójść do sklepu i spisać wszystko, co tam jeszcze zostało.

Nie będąc teraz dokonywał nowych zakupów, pomyślał ze smutkiem. Jestem zrujnowany. Zrujnowana jest też moja rodzina. A dlaczego? Nie mam pojęcia i do końca życia się tego nie dowiem. Nie dowiem się też, dlaczego to, co robiłem przez całe życie, to, co było dotychczas moim uczciwym zajęciem, teraz jest mi poczytywane za zbrodnię.

Ling Sao nic o tym wszystkim nie wiedziała. Zjadła z apetytem mięsną potrawę, którą poczęstowała ją córka, obejrzała od stóp do głów dzieci, a kiedy stara matka Wu Liena poszła już spać i gdy zostały same, zaczęła córkę o to i owo wypytywać. Chciała bowiem wy badać, czy młoda kobieta jest szczęśliwa w małżeństwie, no i jak powodzi się temu domowi.

– Czy twój mąż lubi cię tak jak dawniej? – zapytała.

– Nawet bardziej – roześmiała się córka. – Za każdym razem, gdy mu czegoś potrzeba, przywołuje mnie do siebie. I to właśnie ja mu usługuję. Niedawno, zanim jeszcze splądrowano mu sklep, podarował mi sztukę nowego jedwabiu na kaftan. A teraz wciąż powtarza, że żałuje, że nie wziął dla mnie jeszcze innych towarów. Mówi, że jestem taką kobietą, o jaką by poprosił, gdyby dano mu możliwość wybierania żony.

– Ale czy on wychodzi nocą? – pytała dalej Ling Sao, ściągając przy tym usta.

Bo choć nie powiedziała o tym córce, wiedziała doskonale, że na męża, który zbyt słodko przemawia do żony, trzeba bardzo uważać. Kto wie, czy to nie wyrzuty sumienia skłaniają go do wypowiedzania przymilnych słów? Kto wie, czy nie chwali żony, by zrekompensować jej jakąś swoją przewinę?

Ale jej córka odrzekła z dumą:

– Nigdy.

Więc serce matki się uspokoiło.

Ling Sao nie zapomniała ani na chwilę, że w mieście żyją kobiety zupełnie inne niż jej córka. Córka była bowiem uczciwą, krzepką kobietą, która nie potrafiła nawet upiększyć sobie twarzy. Robiła to zawsze tak nieudolnie, że każdy od razu widział, że jest umalowana. Zaczynała także już nabierać ciała, a teraz na dodatek piersi miała pełne mleka, bo karmiła swoje najmłodsze dziecko. Tymczasem miejskie kobiety – Ling Sao wiedziała o tym dobrze – pilnują, by mieć ciało cienkie jak wąż, są płaskie jak deska, a szminkę i puder rozprowadzają na twarzy tak elegancko, że wyglądają, jakby się z nimi urodziły.

Przyjemny dzień, który spędziła w mieście, dobiegł wreszcie końca i Ling Sao zaczęła się zbierać do powrotu. W chusteczkę do nosa zapakowała kawałek podarowanego przez córkę ciasta, dopiła herbatę, powąchała policzki obojga wnucząt, uściskała jeszcze ich drobne ciała i pożegnała Wu Sao, która tego dnia odezwała się zaledwie dwa razy – raz, żeby powiedzieć, że chce jeść, a drugi, żeby jej dano herbaty – kiwnęła głową córce i wreszcie przeszła przez sklep, w którym był teraz Wu Lien. Ponieważ jednak znajdowali się tam też inni mężczyźni, ukloniła się tylko, żeby pokazać, że jest dobrze wychowana.

A gdy już szła ulicą, pomyślała sobie, że miasto nigdy jeszcze nie wyglądało tak zamożnie jak tego wieczoru. Widziała pełne sklepy, w których panował ruch, wokół dawały się słyszeć głośne nawoływania przekupniów. Ludzie kręcili się wszędzie, śmiejąc się i rozmawiając. Wiatr ucichł, a wieczór stał się nawet bardziej upalny niż dzień, który właśnie minął. Wśród mieszkańców miasta znaleźli się tacy, co wystawili swoje łóżka na ulicę, zamierzając tam spać. Jedli teraz wieczorny posiłek, obserwując wszystko, co dzieje się naokoło. Wszędzie rozbrzmiewał śmiech i gwar. Nikt się nie zatrzymywał, nie zastanawiał się, czy zna tego drugiego z imienia, tylko wołał coś do niego z rozbawieniem. Ling Sao miała wrażenie, że ci wszyscy ludzie są tak weseli, jakby w ich żyłach płynęła ta sama krew.

Tak, tak, ta sama krew, powiedziała sobie. Jesteśmy wszyscy ludem Han. Choć ludzie z miasta mają swój zapach, a my, żyjący poza jego murami, mamy swój, krew w naszych żyłach jest ta sama.

Ling Sao szła dalej, uśmiechając się do siebie. Nagle coś jej się przypomniało. Ktoś kiedyś jej powiedział, że o kolorze włosów i oczu rodzącego się cudzoziemca decyduje przypadek. Żał mi ich naprawdę, pomyślała. Bo gdybym ja nie miała pewności, czy dziecko, które w sobie noszę, będzie miało włosy i oczy czarne, jak przystało człowiekowi, to jak mogłabym je urodzić? Poroniłabym wtedy z pewnością.



Idąc dalej, rozglądała się wokół i stwierdziła, że w tym roku zanoszą się na dobry urodzaj. Pola ryżowe już wyschły, a młode rośliny zaczynały właśnie formować kłosa. Obiecywało to dobre zbiory. Z tą ziemią wszystko jest w jak najlepszym porządku, pomyślała sobie. A skoro tak, to podobnie rzecz się ma z wszelkimi innymi sprawami.

W domu okazało się, że cała rodzina na nią czeka. I że wszyscy jej członkowie przez cały dzień robili to, co im kazała. Ling Sao po dniu nieobecności cieszyła się bardzo z powrotu. A gdy kolejno spoglądała na twarze swych bliskich, zdawało się jej, że wyglądają lepiej niż przedtem. Dotyczyło to nawet Nefryt. Ling Sao, patrząc na jej śliczną młodą buzię, pomyślała: „Jak ja mogłam winić swego drugiego syna o to, że tak bardzo ją kocha?”. Patrząc na Orchidę, powiedziała sobie: „To dobre, delikatne stworzenie. Nie mogę być dla niej taka twarda”. A potem wzięła za rękę swoją małą córeczkę, spojrzała na odciski pozostawione na jej dłoni przez nici i rzekła:

– Jutro nie będziesz tkala. Niech krosna przez jeden dzień popróżną. I wetrzyj sobie w dłoń trochę oliwy.

Kiedy Ling Sao była taka łagodna i dobra, cały dom zdawał się cieszyć doskonałym zdrowiem. Rodzina grzała się w promieniach jej łagodności i dobroci niby w ciepłe nie nazbyt palące słońca, rozkoszowała się nimi niczym świeżym wiatrem, który nie mrozi chłodem. Wszyscy oni siedzieli teraz przy wspólnym posiłku i przepelniał ich spokój. Ogarnięci nim, słuchali słów Ling Sao. A ona mówiła wciąż i mówiła. Zagadała się tak, że całkiem zapomniała poinformować ich o tym, co powiedział Wu Lien.

Następnie wszyscy po kolei udali się na spoczynek. Wszyscy, z wyjątkiem Ling Sao i Ling Tana, którzy zostali sami. Gdy przygotowali już na noc całe domostwo, gdy pies czuwał już pod bramą, gdy łóżko trzeciego syna zostało pościelone i gdy chłopak już zasnął, gdy bawół został uwiązany – oni także położyli się spać. Nad ziemią nie niósł się teraz żaden dźwięk poza spokojnym kumkaniem żab w sadzawce. Ling Sao i Ling Tan leżeli obok siebie, a ponieważ żona przez cały dzień była tak daleko, Ling Tana ogarnęła nagłą fala czułości i wyciągnął ku niej ramiona.

– Moja dobra staruszka – wyszeptał. – Jesteś najlepszą staruszką na świecie.

I stało się tak, że Ling Sao nawet jemu, swojemu mężowi, zapomniała powiedzieć o wojnie.

# IV

Cóż więc dziwnego, że Ling Tan nie był przygotowany na dzień, który nastąpił po tej nocy?

Z początku zdawało się, że ten dzień będzie taki jak wszystkie. Ling Tan rankiem spał dłużej niż zwykle, a uświadomiwszy sobie, że zasnął, wyskoczył szybko z łóżka. Jego żona była już na nogach, słyszał też najstarszego syna na podwórzu. Młody mężczyzna mył właśnie twarz i płukał usta, a tymczasem matka wołała na pozostałych, ponaglając ich, żeby wstawali, bo nastał nowy dzień. Dzień taki jak wszystkie – tak przynajmniej się wydawało. Wkrótce zasiedli do porannego posiłku, a Ling Tan wyznaczył każdemu z synów jego pracę. Jeżeli dzień ten różnił się czymkolwiek od innych, to tylko tym, że dzisiaj Ling Tan chciał zaprząć do pługą bawołu, zamiast posyłać zwierzę na pastwisko na wzgórze. Powiedział więc do najmłodszego syna:

– Kiedy zjesz, weź bydlę i zaprzęgnij je do pług. Czas już najwyższy, żeby zasadzić zieloną kapustę.

Tak, różnica polegała tylko na tym. Powietrze było przejrzyste, a niebo bezchmurne. Padało zaledwie przed trzema dniami, za wcześnie więc było spodziewać się kolejnego deszczu. Zaorzę dzisiaj pole, myślał Ling Tan, a jutro posadzę kapustę. A na trzeci dzień, być może, znowu popada.

I wyszedł do roboty, a razem z nim jego synowie. Kobiety tymczasem zabrały się do swoich prac w domu. Ling Tan zdążył jeszcze usłyszeć, jak Ling Sao zwraca się do Nefryt:

– Siądź na trochę przy krosnach, moja synowo. Sama ci pokażę, jak bieżną nici i jak działa czółenka. A ty, Pansiao, popilnuj za mnie mojego starszego wnuka.

No tak, jeszcze tym ten dzień różnił się od innych. Ling Tan wyszedł zatem i zabrał się do orki. Słońce wędrowało w górę, gdy on pchał pług, a jego trzeci syn ciągnął oporne zwierzę. W ten właśnie sposób przebiegała ich praca. Tymczasem na polu ryżowym obok dwaj starsi synowie Ling Tana wyrwali chwasty i wzruszali motykami wysychającą ziemię. Gdy Ling Tan przebiegał wzrokiem po dolinie, dostrzegał na polach ludzi – swoich sąsiadów i przyjaciół wykonujących podobną jak on i jego synowie pracę. Ten rok był dla nich dobry. Deszcz i słońce przeplatały się jak należy i już zapowiadały się pomyślne żniwa. Na całym

świecie nie istniało nic, czego Ling Tan mógłby zapragnąć i co nie byłoby mu dane. Tak, on miał wszystko co konieczne do życia, a to mogło zadowolić każdego człowieka.

Jak zatem mógł się okazać przygotowany na to, co tego dnia się stało? A było to tak. Wczesnym przedpołudniem usłyszał jakiś hałas. Był to odgłos, jaki wydają latające statki. Ling Tan go znał, bo od czasu do czasu zdarzało mu się go słyszeć. Jednak nigdy dotąd nie był on tak donośny. Ling Tan spojrzał w górę i zobaczył słońce oświetlające srebrne stworzenia na niebie. Nie pojedyncze, jak zawsze bywało dotychczas, tylko lecące wielką gromadą. Stworzenia te poruszały się z wdziękiem dorównującym jedynie gracji dzikich gęsi i przemierzały jesienne niebo. Przez chwilę Ling Tan myślał, że to dzikie gęsi zjawiają się tutaj nie o swoim czasie. Jednak gęsi musiałyby zmierzać z północy na południe, tymczasem te stwory posuwały się ze wschodu na zachód. No i jak na gęsi poruszały się stanowczo zbyt szybko.

W jednej chwili znalazły się wszystkie dosłownie nad jego głową. Ling Tan przystanął. To samo uczynili wszyscy pozostali mężczyźni pracujący w polu. Stali teraz z twarzami zwróconymi w górę – wcale nieprzerażeni, lecz tylko zadziwieni taką zawrotną prędkością i taką urodą tych stworzeń. Ze są to statki cudzoziemskie, wiedzieli wszyscy, bo nikt prócz cudzoziemców nie potrafił zbudować takich maszyn. Ling Tan i jego sąsiedzi obserwowali te srebrne ptaki bez zazdrości, a jedynie ze szczerym podziwem. A ptaki wydawały się malutkie, bo znajdowały się bardzo wysoko na niebie.

Nagle zauważyli, że od jednego z nich odrywa się srebrny fragment i że ten fragment spada w dół, gdy tymczasem statki lecą dalej. Srebrny fragment, spadając, skręcił nieco na wschód, a w chwilę potem wbił się w jakieś ryżowe pole. I natychmiast trysnęła w górę fontanna ciemnej ziemi. Widzieli to wszyscy, lecz nadal wcale się nie bali. Wiedzeni czystą ciekawością puścili się biegiem w tamtą stronę. Ling Tan i jego synowie popędzili wraz z innymi. Chcieli zobaczyć tę dziwną rzecz, która spadła na ziemię. Nie mogli jej jednak znaleźć. Natknęli się tylko na kilka kawałków metalu i na dużą wyrwę w ziemi. Tak, była tam spora dziura, a człowiek, do którego należało pole, roześmiał się szczerze, zaglądając do niej.

– Od dziesięciu lat chciałem wykopać staw na mojej ziemi. I nigdy nie miałem na to czasu. A teraz proszę, mam go – powiedział uradowany, a wszyscy doszli do wniosku, że owe latające maszyny pojawiają się właśnie w tym celu.

Nadlatują po prostu, by wykopać stawy i studnie, a także kanały – wszędzie, gdzie ludzie ich potrzebują. Ten staw miał trzydzieści kroków szerokości, a długości o kilka więcej. Upewnili się co do tego, bo wszyscy po kolei zmierzili go krokami. I wszyscy szczerze

zazdrościli sąsiadowi, na którego pole spadł dziwny kawałek srebrnego ptaka.

Zajęci tym wszystkim bez reszty i ogromnie zdumieni, z początku nie pomyśleli nawet, że trzeba sprawdzić, co dzieje się wokół nich. W pewnej chwili jednak usłyszeli te same co poprzednio dźwięki, teraz nad miastem. Spojrzeli więc w górę. I w tym samym momencie nad miejskim murem oddalonym o trzy dobre mile ukazały się kłęby dymu – dokładnie takie, jakie widać, gdy gdzieś wybuchnie wielki pożar. Słupy dymu, jeden po drugim, wzbijały się w spokojne niebo, powoli, bo dzień był bezwietrzny. Dym zwijał się i kłębił nad miastem niby czarne burzowe chmury.

– Co teraz? – zawołał Ling Tan.

Nie usłyszał jednak odpowiedzi, bo nikt tego nie wiedział. Wieśniacy stali wszyscy razem, podobni do siebie w swoich niebieskich kaftanach jak dwie krople wody. Stali i patrzyli. Naliczyli nad murem miasta osiem pożarów, zauważyli też jeden mniejszy, który wybuchł trochę z boku. A co do latających statków, to sądzili, że zginęły w płomieniach. Jednak myśleli tak tylko przez chwilę, bo one wyłoniły się nagle z kłębowi ciemnego dymu i zawróciły. Tym razem leciały niezwykle wysoko, tak wysoko, że wydawały się malutkie niby gwiazdy świecące w najwyższym punkcie nieba, posuwały się, błyszcząc w blasku dnia. A potem skrzyły pod słońce i zniknęły im z oczu.

Dym był tak wielki, że pod jego zasłoną wieśniacy nie potrafili dosłownie nic rozpoznać. Zatem każdy z nich z zadziwieniem w sercu wrócił do swojego zajęcia. Nie był to dzień targowy, a pogoda utrzymywała się piękna i należało jeszcze przed deszczem zasadzić kapustę. Dlatego nikt nie poszedł tego dnia do miasta, żeby sprawdzić, co oznaczają te wielkie dymy. A one jeszcze przed zachodem słońca zdążyły się rozproszyć i prawie całkiem zniknęły. Wszyscy wieśniacy wrócili zatem spokojnie do domów – na wieczorny posiłek i nocny odpoczynek przed jutrzejszą pracą.

– Jeżeli sprawa jest tak poważna, że zasługuje na to, żeby o niej mówić, to z pewnością usłyszymy coś na jej temat jeszcze przed własną śmiercią. Dlatego nie ma sensu z jej powodu udawać się do miasta – powiedział Ling Tan do synów w drodze powrotnej do domu.

Synowie na te słowa zareagowali śmiechem. A potem przy kolacji z zazdrością mówili o sąsiedzie, na którego ziemi, całkiem bez jego wysiłku, powstał staw, o którym tamten marzył.

Nocą, a raczej nad ranem, gdy nowy księżyc już zaszedł, a ciemności zaczynały się rozjaśniać przed świtem, Ling Tan usłyszał warczenie psa. Obudził się natychmiast, bo

zwierzę było nauczone ostrzegać w ten sposób przed każdym intruzem, który zbliżyłby się ukradkiem do ich domu. Tym razem warczenie przeszło w głośnie ujadanie, które zaraz ucichło. I czyjaś dłoń zaczęła walić w zaryglowaną bramę. Ling Tan leżał przez chwilę nieruchomo. Zastanawiał się, co to wszystko znaczy. Gdyby przed bramą znajdował się ktoś obcy, pomyślał, pies nie przestałby szczekać. Stąd wniosek, że albo został zabity, albo też przed bramą pojawił się ktoś dobrze mu znany.

Wypada tu stwierdzić, że na świecie nie ma człowieka, który będąc przy zdrowych zmysłach, wstaje ciemną nocą i otwiera bramę, nie mając pojęcia, kto stoi na zewnątrz. Ling Tan był przy zdrowych zmysłach. Obudził więc żonę i przytrzymał ją mocno, nie chcąc, żeby wybiegła, zanim on postanowi, co robić. Uczynił tak, ponieważ Ling Sao była kobietą impulsywną, nie bała się nikogo, co było dla niej powodem do dumy, a gdy usłyszała pukanie do bramy, myślała tylko o tym, żeby ją otworzyć i sprawdzić, kto przybył.

– Przez taki pośpiech niejeden dobry człowiek ze zdrową krwią w żyłach został ogłuszony, zanim zdążył się rozejrzeć – powiedział Ling Tan, przytrzymując ją obiema rękami za ramię.

Zamienili jeszcze kilka słów, a tymczasem hałas przy bramie się wzrósł. Wstali zatem oboje. W tej chwili zresztą cały dom już nie spał, a trzech synowie Ling Tana zdążyli wyskoczyć z łóżek. Podeszli więc do bramy wszyscy razem – Ling Tan na czele, niosąc w ręce zapaloną lampę. Skoro się już tam znaleźli, musieli zdecydować, czy się w ogóle odezwać. Ling Tan postanowił, że powinni milczeć i nadstawić uszu. I co usłyszeli? Ano, że pies łąsi się do kogoś i skomle z radości.

– Może ten ktoś nakarmił go jakimś dobrym mięsem – szepnął Lao Tan.

Następnie usłyszeli czyjś głos, który, ku ich zaskoczeniu, okazał się głosem kobiety:

– Czy moja matka i ojciec także nie żyją? I dlatego właśnie nic nie słyszą? – rozległy się ponad glinianym murem głośnie i wyraźne słowa.

I natychmiast wszyscy rozpoznali głos.

– To nasza starsza córka! Dlaczego jednak ona nie leży o tej porze w swoim wygodnym łóżku? – zawołała Ling Sao i szybko otworzyła bramę.

To, co przedstawiło się oczom ich wszystkich, okazało się gorsze niż najczarniejsze przecucia. Za bramą bowiem stała ich starsza córka, a także jej mąż Wu Lien. I każde z nich trzymało na rękach dziecko. Była również z nimi i stara Wu Sao, która, jak oni wszyscy, przybyła tu pieszo. Wydawała się tak oszołomiona, jakby nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Uciekinierzy przytaszczyli ze sobą parę węzełków z przyodziewkiem,

jakiś imbryk, trochę pościeli, kosz pełen talerzy, dwa świeczniki oraz swego kuchennego boga.

Starsza córka Ling Tana na widok matki i ojca wybuchnęła głośnym płaczem.

– Niewiele brakowało, a zginęlibyśmy wszyscy – szlochała. – Gdybyśmy się znaleźli o dziesięć stóp bliżej ulicy, już by nas nie było. Dwie nasze służące, a także subiekci... wszyscy oni leżą pogrzebani w ruinach. Połowa naszego sklepu nie istnieje. Nie mamy już nic prócz życia.

Mówiąc to, weszła pospiesznie wraz z resztą przybyłych do środka, a Ling Tan natychmiast zaryglował za nimi bramę. Bandyci, pomyślał, na miasto napadli bandyci! O czymś takim nie słyszano od stu lat, ale w czasach bardziej zamierzchłych takie rzeczy się zdarzały. Bywało bowiem, że wdierali się tam zamieszkujący na wzgórzach rozbójnicy.

– Dlaczego bramy miasta nie były zamknięte? – zapytał.

– A czyż można je zamknąć od strony nieba? – odpowiedział mu pytaniem Wu Lien.

Po czym postawił na ziemi młodsze dziecko i popatrzył na swoje ubranie. Okazało się, że podczas długiej drogi maleństwo obsusiało go tak, że wyglądał teraz, jakby przed chwilą stał pod rynną. Wu Liena zdeprymowało to ogromnie, ale nic nie powiedział, bo był człowiekiem postępującym ostrożnie nawet z małym dzieckiem, które nie przyswoiło sobie jeszcze zasad dobrego wychowania.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał go Ling Tan, podnosząc wysoko lampę i przyglądając mu się uważnie.

– Miasto zostało zbombardowane. Czy wyście tutaj nic nie słyszeli?

– Zbombardowane? – powtórzył Ling Tan ze zdziwieniem, nigdy dotąd nie słyszał tego słowa.

– Dziś rano nad miasto nadleciały latające statki! – zawołała jego córka. – Nie przejęliśmy się tym wcale, bo wszyscy byliśmy zajęci swoimi sprawami. Ale potem jeden z naszych subiektów zawołał od drzwi, żebyśmy przyszli je zobaczyć, bo jest ich bardzo dużo. Mnie przed śmiercią uratowały niebiosy, bo właśnie w tym momencie karmiłam dziecko i nie pobiegłam do niego, co bym pewnie zrobiła, gdybym była zajęta czym innym. Mój mąż jeszcze wtedy spał. Spała też jego matka. A nasze drugie dziecko bawiło się u moich stóp. Ale dwie służące pobiegły. A potem usłyszałam okropny huk i aż podskoczyłam, wrywając dziecku z ust pierś, którą ssało. Ziemia zadrżała mi pod nogami. I natychmiast wszędzie wokół rozległy się straszne krzyki. Ja sama także zaczęłam krzyczeć. Od ścian naszego domu odrywał się tynk, a na stół spadła belka z sufitu. Ale to jeszcze nie wszystko, to nawet nie połowa. Bo nasz sklep – tak, ojczu, matko! – nasz sklep drżał w posadach. Jego północna

ściana zawaliła się nagle i połowa towarów znalazła się pod rumowiskiem. No i... nasi dwaj subiekci... jeden świeżo po ślubie, a drugi... taki był z niego uczciwy młody człowiek... Gdzie my teraz znajdziemy drugiego takiego?

– Ach, żono – jęknął Wu Lien – po co nam subiekt, skoro nie mamy już sklepu? Na cóż teraz zda nam się jego uczciwość?

Ling Sao słuchała tego wszystkiego w milczeniu, a jej umysł zmagał się z tym, co docierało do jej uszu. Dlatego, całkiem zrezygnowana, skupiła się jedynie na sprawach, które potrafiła pojąć. Oto, myślała, w ciemnościach nocy pojawia się tutaj moje dziecko, moja córka, a wraz z nią drobne wnuczeta, ich ojciec oraz oszołomiona staruszka. I wszyscy są zmęczeni, głodni i przerażeni. Uświadomiwszy to sobie, Ling Sao zawołała:

– Znajdziemy zaraz dla was wszystkich łóżka! Ty, Nefryt, musisz rozpalić ogień i zagrzać wodę na herbatę. Ty, Orchideo, ugotuj trochę pszennych klusek. Niech zmęczeni wędrowcy posilą się i idą spać. A rano spróbujemy zrozumieć, co właściwie się dzieje.

Przyszło jej do głowy, że wszystko to musi być sprawką tych studentów, którzy niedawno zdemolowali sklep Wu Liena. Sądziła bowiem, że owo pochodzące z nieba spustoszenie dotknęło i tym razem wyłącznie jego własność.

Tak. Tak sądziła Ling Sao. Jednak jej synowa Nefryt była znacznie mądrzejsza. Ta młoda kobieta nie odezwała się ani słowem. Poszła do kuchni, a gdy jej mąż Lao Er podążył za nią i pochylił się wraz z nią nad piecem, zagadnęła go pytająco:

– Czy to przypadkiem nie oni?

– A któż by inny! – odrzekł Lao Er.

A potem, gdy przybysze już zjedli, gdy uspokojono dzieci i gdy wszyscy inni posnęli, między Nefryt i jej mężem Lao Erem odbyła się następująca rozmowa:

– Oznacza to, że nasz kraj przegrał wojnę, a nasze miasta zostały zajęte przez wroga – powiedziała Nefryt.

– Oznacza to, że wszyscy możemy stracić życie – odrzekł jej na to Lao Er.

Nie mógł znieść myśli, że ona także musiałaby zginąć. Pochylił się więc nad nią i objął ją czule.

Leżeli przytuleni, ale bez namiętności, bo serca ich wezbrały nie wzajemną miłością, tylko nienawiścią do wszystkiego, co mogło teraz nastąpić, a także bezsilną wściekłością – bo nie potrafili w żaden sposób zapobiec przyszłym nieszczęściom.

– Dlaczego tak jest? Dlaczego my w naszym kraju nie mamy tego, co posiadają wszystkie narody? – zawołała w ciemności Nefryt. – Dlaczego brakuje nam dział, latających

statków, a także murów obronnych i umocnień?

– Ponieważ – odrzekł Lao Er – w oczach naszego narodu wszystkie te rzeczy były tak mało ważne jak dziecięce zabawki. Nie mają one bowiem wartości dla ludzi, którzy tak jak my kochają życie i nie obchodzi ich nic więcej.

Nefryt nic na to nie odrzekła. Pomyślała tylko, że i dla niej życie stało się bardzo słodkie. Tak, było dla niej teraz słodkie i cenne, bo wiedziała, że oczekuje dziecka. Życie i rodzić dzieci, cieszyć się każdym dniem, widzieć, jak rozwija się nowe życie, i sprowadzać kolejne na świat – to było dobre i słuszne. A jakimż szaleństwem jest konstruować to, co życie odbiera!

– Jeżeli jednak cały świat bawi się takimi zabawkami, to my także musimy się tego nauczyć – powiedziała w końcu.

– Mimo to taka zabawa to szaleństwo – odrzekł stanowczo Lao Er.

Długo w tę noc czuwali, zastanawiając się, co należy zrobić. I w końcu zasnęli, nie doszedłszy do żadnej konkluzji.

Nazajutrz rano nikt nie myślał o pracy. Zanim zjedli posiłek, było już prawie południe. A oni nadal siedzieli w domu, słuchając opowieści Wu Liena i jego żony. Ci natomiast mówili i mówili. I nawet stara Wu Sao mamrotała, ocierając oczy:

– Było za dużo hałasu... Był taki straszny hałas...

Słuchając ich, Ling Sao zrozumiała w końcu, co naprawdę zdarzyło się w mieście. Dotarło do niej, że nie chodzi tu o zniszczenie jednego sklepu. Sprawy wyglądały o wiele gorzej. Bo gdziekolwiek spadły i wybuchły tamte srebrne jaja, wszystko naokoło obróciło się w perzynę.

– A ludzie? – zapytał Ling Tan.

– Porozrywało ich na kawałki – odrzekł Wu Lien – tak jakby i oni byli ulepiani z gliny. Człowiek patrzył i widział tutaj ramię, tam głowę, tam znów kawałek stopy, nogę, wnętrzności, serce, krew i połamane kości.

Po tych słowach zapadła cisza. Wszyscy spoglądali po sobie, lecz nikt, kto tego nie widział, nie był w stanie w to wszystko uwierzyć.

– Ale dlaczego? Dlaczego to się stało? – zawołała Nefryt, wyrażając to, co czuli wszyscy.

– Kto może wiedzieć? – odrzekł Wu Lien. – Niezbadane są wyroki Nieba.

Jego żona znowu płakała. Płakały też Orchidea i Pansiao, po starczych policzkach Wu



Sao także płynęły łzy. I nikt nie potrafił ich pocieszyć, bo nikt nie był w stanie stwierdzić, skąd nadeszła teraz ta śmierć. Śmierć znali wszyscy – bo każdy wiedział, że nadejdzie jego koniec – ale śmierć łagodną, dobrą, podkradającą się niby sen do starych ludzi albo jak ukojenie do tych, co chorowali. Znali śmierć, która pozostawiała ciało w całości – tak żeby bliscy mogli się nim zająć, zaopiekować, położyć na łóżku i uczcić w grobie. Ale ta nowa śmierć była potworna. Ta nowa śmierć była zniszczeniem, jakiego nie pojmował umysł człowieka.

Wszyscy po kolei wstawali teraz w milczeniu, bo na każdego czekały jego obowiązki. Kobiety zajęły się gotowaniem i opieką nad dziećmi, a Ling Tan wraz z synami poszedł w pole. Tylko Wu Lien siedział nadal samotny i odizolowany, jako że o pracy na roli nie wiedział nic, podobnie jak o zwierzętach. Wu Lien był kupcem i gdy brakowało mu towaru, próżnował. A obecna beczynność okazała się dla niego gorsza niż wszystkie poprzednie, bo nie widział jej końca.

Należy wspomnieć, że Lao Er i Nefryt mieli teraz odosobnione miejsce spotkań. Znajdowało się ono pod dużą wierzbą o zwisających gałęziach, rosnącą po drugiej stronie stawu. Odkryli je oboje przypadkiem w dniu, w którym Lao Er szukał żony i zastał ją przed herbaciarnią, i potem ciągle tam wracali. Bo ich życie toczyło się tak, że właściwie od rana do nocy nie mieli spokojnej chwili na pobycie ze sobą tylko we dwoje. Tak, tych dwoje tak bardzo kochających się młodych nie miało okazji spotkać się ze sobą z dala od innych ludzi. Bo w domu byli zawsze członkowie rodziny. Znajdowali się wszędzie, w każdej izbie z wyjątkiem ich własnej sypialni. Ale do sypialni Lao Er i Nefryt wstydzili się pójść w biały dzień, ponieważ pozostali członkowie rodziny uznaliby to za nieprzyzwoitość. I gdyby na dodatek usłyszeli o tym ludzie w wiosce, byłoby mnóstwo śmiechu. Tak, śmiano by się z tej pary młodych, która nie może doczekać się nocy. Otóż tamtego dnia Lao Er zauważył, że pod wielką wierzbą zalega głęboki cień i że zwisające na kształt warkoczy gałęzie drzewa tworzą coś w rodzaju zasłony. Powiedział więc żonie, żeby przychodziła tutaj czasami i czekała na niego. A gdy już się spotkali, rozmawiali sobie albo też, siedząc w milczeniu, patrzyli na siebie z uśmiechem. Niekiedy Lao Er brał żonę za rękę. I wtedy dzień już się im tak bardzo nie dłużył.

Dzisiaj także Lao Er, wychodząc z ojcem w pole, kiwnął na Nefryt. A ona natychmiast zrozumiała, że w południe musi pójść pod wierzbę i tam na niego zaczekać. Tak też uczyniła. Zjawiała się pod drzewem wcześniej i usiadła na mchu. Naokoło panował wielki spokój.

Nefryt usłyszała tylko, jak przestraszona jej obecnością żaba wskakuje do stawu. Później do jej uszu dochodziło jedynie bezustanne długie buczenie cykady, wznoszące się, a potem opadające, przechodzące w gorący szept, a potem w ciszę. Pośród całego tego spokoju trudno było uwierzyć, że świat w tej dolinie przestał być taki, jaki był dotąd. Jednak Nefryt dobrze wiedziała, że to prawda. Dziwny traf sprawił bowiem, że z książki, którą mąż kupił jej niedawno, dowiedziała się, w jaki sposób dochodzi do tego, że przestaje panować pokój. Dowiedziała się także, co ludzie wtedy czynią sobie nawzajem. Dawanie upustu chuci, walka i zabijanie – tym właśnie zajmują się podczas wojny. Dochodzą jeszcze tortury, a nawet pożeranie ludzkiego mięsa. A także inne rodzaje zdziczenia i bestialstwa, które się pojawiają, gdy znika pokój.

Jak się ratować? Jak bronić się przed tym wszystkim? – zapytywała siebie. I jak ocalić nasze dziecko?

A potem przypomniały jej się słowa tamtego młodego człowieka, który przemawiał przed herbaciarnią. Pytał on wówczas ludzi, czy zdobędą się na to, by spalić swoje domy i zbiory po to, żeby wróg nie miał z nich korzyści. Dobrze pamiętała też moment, kiedy to właśnie ona, jedyna spośród zebranych, wstała i zapewniła go: „Tak, zdobędziemy się na to!”.

Ale wtedy nie nosiłam w brzuchu dziecka, pomyślała teraz.

A potem usiadła i zadumała się głęboko. Zastanawiając się nad sobą, uświadomiła sobie, że obecnie życie, jako takie wydaje jej się drogie ponad wszystko. I że stało się tak dlatego, że sama, będąc kobietą, tworzy nowe życie. Zdawała sobie sprawę, że to, do czego powołała ją natura, musi zostać doprowadzone do końca, i że jest to zadanie, które należy przedłożyć ponad wszystko.

W chwili gdy doszła do takiego wniosku, jej mąż Lao Er rozsunął długie zielone gałęzie wierzby i usiadł obok niej, ocierając pot z twarzy i ze swego brązowego torsu.

– Dziwiłam się właśnie zmianie, która we mnie zaszła – odezwała się Nefryt. – Teraz myślę tylko o życiu naszego dziecka i o niczym więcej.

– No cóż – odrzekł Lao Er – gdybyś myślała inaczej, to byłby koniec z nami. Podczas roboty w polu zastanawiałem się nad tym wszystkim. I wiem już teraz, co powinniśmy zrobić. Nie zostaniemy tutaj, moja żono. Pójdziemy tam, gdzie wróg nie będzie mógł nas dopaść. I to właśnie w takim miejscu zaczekamy, aż przyjdzie twój czas.

– Opuścić dom?! – zawołała Nefryt. – Ale co twój ojciec na to powie?

– Poinformuję go o tym zamiarze dopiero wtedy, kiedy będę potrafił odpowiedzieć na jego zastrzeżenia – odrzekł Lao Er.

Po czym ujął rękę żony i przytrzymał ją przez chwilę w swojej dłoni. Jakże jest słodko, pomyślał, gdy ona zachowuje się tak łagodnie. Od chwili, gdy dowiedziała się, że będzie miała dziecko, przypomina jagniątko. Tymczasem Nefryt, ściskając jego dłoń, mówiła sobie, że słodko jest mieć do wykonania tak doniosłe zadanie, a równocześnie wiedzieć, że mąż będzie przez cały czas nad nią czuwał i dbał o jej bezpieczeństwo. Na czas oczekiwania na dziecko zniknęła z jej serca dawna samowolność, a także niepokój.

– Co do mnie, to postąpię zgodnie z tym, co ty uznasz za właściwe – odezwała się.

– A ja razem z tobą zrobię to, co zrobić należy – odrzekł Lao Er. Nie mówili już nic więcej, bo to, co powiedzieli, wystarczało im w zupełności. Lao Er wstał i poszedł w pole, a Nefryt wróciła do krosien, by uczyć się tkania. Zapewne cała ta nauka pójdzie teraz na marne, pomyślała. Bo mamy przecież odejść z domu. Z drugiej jednak strony ta umiejętność może mi się kiedyś przydać.

– Gdzie byłaś? – zapytała Ling Sao, gdy Nefryt pojawiła się w domu.

– Wysłałam, żeby się spotkać z mężem – odrzekła młoda kobieta spokojnie, po czym zajęła się swoją pracą, pozwalając, by matka łamała sobie głowę nad pytaniem, dlaczego synowa mówi to bez żadnego wstydu.

Kolejny atak latających statków zastał Ling Tana w mieście. Ling Tan, a także jego zięć Wu Lien i synowie, sądzili w swej ignorancji, że te maszyny, gdy raz się pojawią i znikną, już więcej nie wrócą. Większość mieszkańców miasta tkwiła w tym samym błędzie. Ludzie zaczęli odbudowywać domy i naprawiać szkody. Nikt się nie spodziewał, że podniebne statki znowu nadlecą, podobnie jak nikt nie przypuszcza, że nazajutrz powtórzy się trzęsienie ziemi, burza z piorunami albo też jakieś inne zło zesłane przez Niebiosą. Dlatego tego ranka Ling Tan posłał synów w pole, a sam postanowił udać się do miasta i sprawdzić, jak tam mają się rzeczy. Uszedł ledwie kawałek, kiedy usłyszał, że ktoś za nim biegnie. Obejrzał się więc i zobaczył najmłodszego syna.

– Co znowu?! – zawołał.

– Ojczy, pozwólcie mi pójść ze sobą – poprosił chłopak, bardzo zdyszany.

– A po co? – zapytał Ling Tan. – Nie słyszałem, żeby dziś było święto.

Syn stał ze spuszczonym wzrokiem, kręcąc stopą w pyłe drogi.

– Bo... bo ja bardzo chcę pójść do miasta – powiedział z uporem.

Ling Tan popatrzył na niego i doszedł do wniosku, że nie warto wdawać się w kłótnię. Jego syn był już prawie dorosłym mężczyzną, a rano wstał tego dnia jasny i piękny.

Natomiast on nie znosił się spierać nawet w pochmurne dni.

– A niech cię! No to już chodź – powiedział i roześmiał się, a chłopak podniósł głowę.

Wyruszyli więc w drogę obaj – ojciec i syn – i szli razem bitymi drogami. Szło im się przy tym lekko, bo na nogach mieli wygodne sandały. Poprzedniego dnia była szarówka i choć nie padało, chmury wisiały tuż nad dachami świątyń i pagód. Dziś jednak się przejaśniło, a powietrze było rześkie jak jesienią. Wkrótce więc serca Ling Tana i jego syna przestały się smucić. Tak, ich serca poszybowały w górę niczym bańka powietrza, której nie sposób utrzymać pod wodą. Rozradowały się pod tym błękitnym niebem obiecującym doskonale żniwa.

Gdy Ling Tan i jego syn dotarli do miasta i przekroczyli Południową Bramę, nie zauważyli z początku niczego, co świadczyłoby o niedawnych nieszczęściach. Niczego – prócz poważnego wyglądu chodzących po mieście ludzi. A trzeba tu wspomnieć, że miasto to słynęło dotychczas z wesołości swoich mieszkańców. Było ono stare i przez całe wieki stanowiło siedzibę władców. Mieszkali w nim królowie i cesarze, i wszyscy ci, którym dane jest próżnować, dobrze jeść i wydawać pieniądze ludu, a wydając, zwracać mu je hojną ręką. Dawniej wszędzie i zawsze, za dnia i nocą, słyszało się w tym mieście śmiech i muzykę. Mieszkały tu także piękne luksusowe młode kobiety będące igraszką bogaczy, a nawet takie, na które mogli sobie pozwolić także ludzie biedni. Po jeziorze, dla rozrywki ludu, pływały rzeźbione statki z drewna. Nie brakowało w tym mieście także wielkich świątyń i pięknych pagód. Tak było kiedyś, dawniej.

Lecz później, po rewolucji, w kraju zabrakło królów i cesarzy. Nastali jednak nowi władcy. I ci również budowali piękne pałace, a także nowomodne domy, w których woda wpływała ze ścian, a ogień czuwał ukryty w lampach, czekając na jedno dotknięcie człowieka, żeby się zapalić. Ci nowi władcy też brali od ludzi pieniądze, a potem hojną ręką je zwracali, uczując i zażywając rozrywek. Dlatego w mieście nadal panowała wesołość, a wszystkim wiodło się dobrze. Otwierano wielkie nowe sklepy, w których pełno było rzeczy, o jakich kilka lat wcześniej nawet nie słyszano. Nawet biedacy – ci, co pchali riksze lub nosili na ramionach ciężary – mogli sobie teraz kupić lampy, które płonęły same z siebie, i przyświecali sobie nimi nocą, nie musząc już dłużej używać świeczek umieszczonych w papierowych lampionach. Lampy te były doskonałe, bo żaden wiatr nie potrafił ich zgasić. Rzeczy tego rodzaju cieszyły mieszkańców miasta. Kto wie, myśleli sobie, co jeszcze nowego przedstawi się jutro naszym oczom? I wszyscy bez wyjątku doskonale wiedzieli, że te dobre i pożyteczne rzeczy pochodzą z za morza. Dlatego podziwiali cudzoziemców, którzy je wytwarzali, i darzyli ich szacunkiem. Ale to było, zanim latające statki pojawiły się nad ich

głowami.

A dzisiaj w mieście panowało przygnębienie. Ling Tan przekonał się o tym na ulicy i w herbaciarni, gdzie zatrzymali się z synem na posiłek. Bo wszędzie słyszał, jak ludzie mówią, że woleliby raczej obejść się bez wszystkich tych zagranicznych cudów, byle tylko nie doznać tak wielkiego zła, byle nie widzieć swojego miasta w ruinie.

– W ruinie? A gdzie tu są ruiny? – zapytał kelnera i zdumiał się, kiedy ten wybuchnął głośnym płaczem.

– Miałem małą chatkę z gliny i słomy, przytuloną do domu pewnego bogacza na ulicy mostu Północnej Bramy – powiedział. – A teraz i ten dom, i moja chatka zniknęły z powierzchni ziemi. A ja sam... gdybym się tam wtedy znalazł... już bym nie żył. Boja, panie, byłem tutaj... choć wierzcie mi, wolałbym znaleźć się tam... ze swoimi... Miałem dwóch małych synków, którzy urodzili się w odstępnie roku, jeden po drugim...

Ling Tan, pragnąc biedaka pocieszyć, dał mu dodatkową monetę, a potem ruszył wraz z synem w stronę ulicy, przy której stał dom kelnera, bo chciał wszystko zobaczyć na własne oczy. Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że to, co ujrzeli, przeszło wszelkie ich wyobrażenia. Dwudziestu mężczyzn, mozoląc się wspólnie przez sto dni, nie uczyniłoby takiego spustoszenia, jakie tutaj dokonano się w ciągu jednego oddechu. Ling Tan stał jak osłupiały i patrzył na wszystkie te cegły i belki, na tynk i zwały pyłu. Zobaczył też pogrążonych w żałobie ludzi, którzy rozkopywali zwałiska gołymi rękami oraz jakimiś kawałkami metalu, bo narzędzi mieli jak na lekarstwo. Nagle w niebo wzbił się lament jakiejś kobiety, która wpadła w rozpacz, widząc wystającą spod rozkopanych gruzów stopę.

– To stopa mojego męża! – wołała. – Jestem tego pewna, bo rozpoznałabym ją wszędzie!

Chwilę potem okazało się, że do rozpoznania nie miała nic więcej, gdyż kopiąc dalej, ludzie przekonali się, że z jej męża, prócz stopy, został jeszcze tylko mały kawałek nogi.

Ling Tan patrzył na to wszystko, a serce łomotało mu w piersi tak, że zaczął cały dygotać. Gdy w pewnej chwili usłyszał jakiś dziwny odgłos i obejrzał się za siebie, zobaczył swego syna wstrząsanego torsjami.

– To jest nie do zniesienia – powiedział. – Nie winię cię więc za to, mój synu. Wyrzuć to z siebie, bo inaczej cały twój organizm ulegnie zatruciu.

Zaczekał, aż chłopak zwróci wszystko, co wcześniej zjadł, i zaprowadził go z powrotem do herbaciarni. Tu jego syn wypłukał usta i napił się gorącej herbaty. Ling Tan widział wyraźnie, że duma każe mu się wstydzić słabości, potraktował go więc z taktem i delikatnie.

– To nie wstyd wymiotować, gdy ma się przed oczami taki widok – powiedział. – Człowiek uczciwy i prawy wręcz powinien poczuć w takiej sytuacji mdłości. A także wielki gniew. Bo tylko dzikie zwierzęta pozostałyby nieporuszone, widząc wszystko to, co tutaj uczyniono ludziom najzupełniej niewinnym.

Usiedli potem obaj przy stole, zgnębieni i milczący. Ling Tan był przy tym bardziej przybity od syna, gdyż dręczyło go pytanie o przyczynę całego tego zniszczenia i o jego sens. Zastanawiał się nad nim głęboko, gdy do herbaciarni wszedł jakiś młody mężczyzna. Okazało się, że jest jednym ze studentów, których w tych dniach było pełno w całym mieście. Student ten, zauważywszy, że w herbaciarni siedzi ze dwudziestu mężczyzn, wspiął się na ławę i zaczął przemawiać.

– O wy, wy wszyscy, którzy kochacie swój kraj – zagał – posłuchajcie! Wczoraj nasi wrogowie nadlecieli nad miasto i rzucili bomby, które zrujnowały domy i sklepy. Posiały też śmierć wśród mężczyzn, kobiet i dzieci. Zaczęła się wojna, a my musimy się na nią przygotować. Musimy podjąć walkę z wrogiem i stawić mu opór, posuwając się aż do ofiary z życia. A gdy my zginiemy, muszą dalej czynić to nasi synowie. Posłuchajcie zatem, dzielni mężczyźni! Nasi wrogowie są teraz górą, jednak ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas. Nasze ziemie do stu mil w głąb lądu, zostały zajęte, lecz nie wolno dopuścić, by wróg posunął się o kolejne sto. Jeżeli pomimo naszego oporu tak się stanie, trzeba koniecznie bronić ziem położonych jeszcze dalej. Trzeba walczyć! Więc walczcie, ludzie! Bez wytchnienia!

– Będziemy walczyć! – zawołał syn Ling Tana, a inni młodzi ludzie zawtórowali mu zgodnym chórem.

A Ling Tan popatrzył na swoje puste dłonie.

– Walczyć? – zapytał głośno. – Ale jak mam to robić?

Ponieważ jednak student zeskoczył już z ławy i oddalił się, nie było nikogo, kto mógłby mu odpowiedzieć na to pytanie. A wszyscy zebrani, podobnie jak on sam, przyszli tu z pustymi rękami.

Zamiast odpowiedzi do ich uszu dobiegł ze wschodu dźwięk, który znali już teraz równie dobrze jak bicie własnego serca.

– Statki... latające statki! – zawołał ktoś z przestrachem i natychmiast, zanim Ling Tan zdążył się poruszyć, pomieszczenie opustoszało.

Został w nim tylko on z synem oraz zrozpaczony kelner.

– Lepiej będzie, panie – odezwał się ten ostatni – jeżeli się ukryjecie.

– Ukryć się? A gdzie, mój człowieku?! – krzyknął Ling Tan. – I dlaczego ty sam się

nie chowasz?

– Ja tego robić nie muszę – odrzekł tamten. – Straciłem przecież wszystko.

Znienawidzony ryk srebrnych ptaków narastał, a kelner chodził dalej po sali, wycierał stoły, wylewał herbatę z czarek, które pozostawili uciekający goście, i ustawiał porządnie ławy. Ryk tymczasem był już tak głośny, że Ling Tan, próbując coś powiedzieć synowi, nie słyszał samego siebie. Na twarzy chłopca malował się wyraz grozy. Ling Tan chciał mu powiedzieć, że nie ma się czego bać, bo świat urządony jest tak, że nikt nie umiera, dopóki nie nastanie godzina jego śmierci, a ta jest ustalona z góry. Ponieważ jednak jego głos był niesłyszalny, wyciągnął tylko rękę i położył ją na ramieniu syna. Siedzieli tak przez parę chwil w milczeniu. Wreszcie jednak zjawił się kelner i pokazał im na migi, że muszą przynajmniej schować się pod stołem, dzięki czemu unikną poranienia przez spadające dachówki i kafle. Usłuchali go więc, weszli pod stół i przycupnęli tam skuleni, a kelner kręcił się nadal po sali, przygotowując ją na powrót tych, którzy uciekli. Dziwił mu się doprawdy, pomyślał Ling Tan, bo przecież dach może zawalić się w każdej chwili, a wtedy on, razem z tymi wszystkimi meblami, zostanie pogrzebany pod jego szczątkami. Uświadomił też sobie, że mimo tych słów, które chciał wypowiedzieć do syna, boi się bardzo. I ogromnie zapragnął wrócić już do domu.

Usłyszeli teraz wielki huk, a Ling Tan, który był świadkiem wybuchu na polu sąsiada, wiedział już dobrze, co się dzieje. Ukrył twarz w dłoniach, nie tylko z obawy, że być może zbliża się jego własny koniec, ale zdawał sobie też sprawę, że w tym momencie w mieście giną ludzie. Bębenki w uszach mu spuchły, oczy wyszły na wierzch, oddech w piersi się zatrzymał. W pewnej chwili spojrzął na syna i zobaczył, że chłopak kuli się z głową między nogami, przyciska kolanami uszy, a ramionami obejmuje nogi.

Trwali tak obaj, cierpiąc bardzo, a tymczasem całe to zło przewalało się nad ich głowami. W końcu jednak po kilku minutach, które im dłużyły się w nieskończoność, wszystko ucichło. W chwilę potem ich uszu dobiegły inne odgłosy. To szalał ogień. Bo w mieście wybuchły pożary.

– Chodź! – zawołał Ling Tan do syna. – Oddalmy się stąd jak najprędzej! Uciekajmy do domu!

Wygramolili się spod stołu i trzymając się mocno za ręce, wyszli z herbaciarni. Jednakże, pomyślał Ling Tan, czyż możemy uciec od szalejącego ognia? Czy wolno nam odejść teraz, gdy słyszemy krzyki ludzi uwięzionych w ruinach? A także płacz tych, co byli świadkami pożaru własnych domów i śmierci bliskich?

– Nie! – powiedział stanowczo. – Musimy sprawdzić, co można dla nich zrobić.

Zapomniał w tej chwili o prastarej mądrości każącej człowiekowi zostawić wszelkie nieszczęście własnemu losowi – po to, by nie być odpowiedzialnym za życie tych, co przetrwają, a także tych, co zginą – i ruszył w kierunku pożaru. Jednak cóż w obliczu takich zniszczeń mógł śmiertelny człowiek? Okazało się, że kilku mężczyzn próbuje gasić ogień wiadrami wody. Płomienie, śmiejąc się szyderczo, buchały wprost na nich. W końcu więc dali za wygraną i zrozpaczeni zastygli w bezruchu, wpatrując się w ogień. A on parł naprzód, dopóki nie napotkał szerokiej nowej drogi. I dopiero tam w końcu zamarł – sycząc i zżymając się. Zamienił się w dym, pozostawiając po sobie popioły. Drogi takie zbudowano po rewolucji, a nowi władcy postanowili, że będą one proste i szerokie. Przysporzyło to ludziom mnóstwa zgryzot, w tym celu bowiem wyburzano domy i sklepy, a nawet świątynie. Taka budowa łączyła się więc także ze zniszczeniem i ludzie gorzko narzekali, a byli wówczas tak samo bezradni i bezbronni jak teraz. Jednak w tej chwili cieszyli się ogromnie, bo szeroka droga zatrzymała ogień. Zdali też sobie sprawę, że dzisiejsze zniszczenie jest znacznie gorsze od tamtego, bo sprowadza je wróg.

Ling Tan wraz z synem spędzili w mieście jeszcze jakiś czas, w końcu jednak udali się w drogę powrotną. Szli spokojnie, a widząc pola i ziemię, cieszyli się jak nigdy dotąd. Ojciec milczał, zatem i syn nie odzywał się ani słowem, a gdy dotarli do wioski, nastał już wieczór. Szli jedyną uliczką, jaka tu była, a ludzie pytali ich, co widzieli w mieście. Więc Ling Tan przystanął i zaczął opowiadać. Na wąskiej brukowanej drodze zgromadził się zaraz spory tłumek słuchaczy. Kiedy Ling Tan mówił, nikt mu nie przerywał, a gdy zamilkł, to przez dobrą chwilę panowała cisza. A potem odezwał się pewien staruszek – najstarszy człowiek w ich wiosce, który w nadchodzącym roku miał skończyć dziewięćdziesiąt lat.

– Najlepsze były – powiedział – dawne obyczaje. Wymagały od nas, abyśmy przebywali u siebie w kraju, a cudzoziemcy u siebie. Są tacy, którzy twierdzą, że cudzoziemcy są dobrzy. Moim natomiast zdaniem całe to zło, które na nas teraz spadło, pochodzi właśnie od nich. W obliczu tego zła nikt nie może mieć zalety. Żałuję, że nasz wzrok kiedykolwiek spoczął na czymkolwiek, co pochodzi z zagranicy. Żałuję też, że ci cudzoziemcy nie zostali tam, gdzie zgodnie z wolą bogów jest ich miejsce, to znaczy za morzami. Morza istnieją na świecie nie bez powodu, a ludzie ci, przekraczając je, sprzeciwili się woli bogów.

Wieśniacy wysłuchali go do końca, ponieważ był taki stary, a potem każdy z nich, smutny i przygnębiony, powrócił do siebie. W domu Ling Tana tej nocy panowały żaloba i przygnębienie tak wielkie jak po śmierci kogoś bliskiego. Westchnienia i płacz zdawały się nie mieć końca. Aż wreszcie Ling Tan doszedł do wniosku, że musi swoje kobiety i dzieci



jakoś uciszyć. A także przywołać do porządku młodszych od siebie mężczyzn. Kazał im więc zamilknąć i posłuchać tego, co chce im powiedzieć.

Usiedli zatem wszyscy – mężczyźni i kobiety. Nie rozdzielili się tym razem – bo tak bardzo pragnęli wspólnoty. Siedzieli na podwórzu wokół stołu, na którym stał posiłek podany przez kobiety. Jedli jednak niewiele. Bo któż w takim dniu mógł myśleć o napełnianiu brzucha? Niebo i pola naokoło wypełniał nieruchomy spokój lata, a noc była upalna. Jednak oni myśleli tylko o tym wielkim złu, które na nich spadło, całkiem bez ich własnej winy.

Ling Tan powiódł wzrokiem po swoich bliskich, a widząc, że ich oczy zwrócone są na niego, poczuł, że serce mu mięknie. Jak mogę im pomóc? – zapytał w duchu sam siebie. To prawda, że potrafił wybawić rodzinę z różnych kłopotów. Głód i powódź, a nawet choroba, bieda i zło czynione przez lichwiarzy oraz okrutnych urzędników, wszelkie zło, które zwykle spotyka człowieka – to wszystko było czymś, czemu potrafił jakoś zaradzić. Lecz teraz, w tej sytuacji, cóż mógł zrobić?

– Nie potrafię was ocalić – powiedział głośno – bo nie potrafię także wybawić siebie od tych strasznych nieszczęść, które na nas spadły. Dzisiaj na własne oczy widziałem to, o czym ty, Wu Lienie, opowiadałeś nam niedawno. Wiem teraz, że to, co zdarzyło się wtedy, a także dzisiaj, powtórzy się także jutro. A my przeciwko straszliwej cudzoziemskiej broni nie mamy nic prócz naszych nagich ciał. Bogowie uczynili nas ludźmi o ciele delikatnym i łatwo dającym się zranić, bo wysnili nas jako istoty dobre. Gdyby jednak potrafili przewidzieć, jak ludzie będą postępować wobec siebie, wyposażyliby nas w skorupy takie, jakie mają żółwie potrafiące w razie niebezpieczeństwa wciągać do środka głowę i miękkie części ciała. Ale cóż, nie przewidzieli tego i stworzyli nas takimi, jakimi jesteśmy. Więc zmienić się nie możemy. Nie, nie. Możemy jedynie znosić cierpliwie wszystko, co nam się przytrafia. No i żyć dalej – jeżeli się da, albo też umrzeć – jeżeli nastąpi taka konieczność.

Tak mówił Ling Tan, wodząc wzrokiem po twarzach bliskich.

– Wy, moi starsi synowie – zwrócił się następnie do młodzieńców – jesteście już mężczyznami, a i ty, Wu Lienie, jesteś mężczyzną, i to starszym od nich. Jeżeli zatem macie coś do powiedzenia, to mówcie.

Dwaj starsi synowie spojrzeli na Wu Liena, pragnąc, żeby przemówił pierwszy. Zatem Wu Lien odkaslnął.

– Co do mnie – zaczął – to z pewnością nie potrafię ocalić siebie. Przyszedłem tutaj, do waszego domu, przyprawdzając ze sobą wszystkich swoich, za co proszę was o wybaczenie. Jestem bowiem człowiekiem, który potrafi jedynie robić z innymi interesy. Lecz z kim mógłbym handlować teraz, w czasie wojny? W takich okolicznościach ludzie mojego

pokroju muszą żyć jak się da i gdzie się da szukać schronienia. No i mieć nadzieję na pokój.

Następnie odezwał się Lao Tan:

– Kiedy z nieba przychodzi ogień, są dwie rzeczy, które człowiek może zrobić. Po pierwsze, może puścić się biegiem i uciec bardzo daleko, a po drugie, pozwolić, żeby ogień zstąpił, i znieść jego atak na miejscu. Jeżeli o mnie chodzi, mój ojciec, to ja postąpię tak jak ty.

– A ja – włączył się drugi syn – ja stąd ucieknę.

Ling Tan wysłuchał ich bez słowa, a następnie przemówił znowu:

– Gdybym nie posiadał ziemi, uciekłbym tak jak ty, mój synu. Gdybym był młody, zrobiłbym pewnie to samo. Nie powiem więc słowa temu z was, który zdecyduje się tak postąpić. Ja sam zostanę jednak tutaj, w miejscu, gdzie się urodziłem i gdzie przeżyłem całe życie. Tak, zostanę tutaj, cokolwiek się wydarzy. Niechby nawet zawaliło się miasto, a naród upadł, jak przewidują niektórzy. Niech się dzieje co chce, ja się stąd nie ruszę. A ze mną niech zostaną ci, co tego pragną. Natomiast ci, co wolą odejść, niech ruszają w drogę.

Drugi syn wyczuł w tych słowach naganę.

– Potępiacie mnie więc, mój ojciec! – zawołał.

– Nie potępiam cię, synu – odrzekł Ling Tan jak najłagodniejszym tonem. – Nie. A co więcej, sądzę, że dobrze się stanie, gdy odejdziesz. Bo jeżeli wszyscy, którzy tu zostaną, stracą życie, ty poniesiesz dalej w świat nazwisko naszego rodu. Proszę cię tylko o jedno: gdy wojna się skończy, wróć tutaj i sprawdź, czy żyjemy. A jeżeli będziemy martwi, zapal za nas kadzidło i weź w posiadanie ziemię.

– Obiecuję wam to, ojciec – odrzekł drugi syn.

Żadna z kobiet nie odezwała się przez cały czas ani słowem. Bo nie była to sytuacja, w której głos mogłyby zabrać kobiety. Wszystkie dobrze wiedziały, gdzie ich miejsce, i nie uzurpowały sobie prawa do zajmowania innego. I dopiero kiedy rodzina się rozeszła, każda z żon ujawniła to, co myśli swojemu mężowi. Żona Wu Liena pochwaliła męża za to, że udało mu się nic nie powiedzieć. Cieszyła się bowiem, że dzięki temu zostanie w swoim rodzinnym domu na wsi, gdzie czuła się całkiem bezpieczna. Nefryt natomiast pochwaliła Lao Era za jego stanowczość. I tylko Orchidea westchnęła ciężko, żałując, że nie może wziąć dzieci i udać się gdzieś, gdzie nigdy się nie pojawią latające statki.

– Jeżeli wszyscy ludzie ze wschodu przenieśliby się na zachód – odrzekł jej na to mąż – to czy nie byłoby to równoznaczne z oddaniem tej ziemi w ręce wroga? Nie, nie możemy odejść. Mój ojciec ma rację. Musimy zostać tutaj, na naszej ziemi.

– No cóż, skoro tak, to przynajmniej Nefryt nie będzie tu z nami – pocieszyła się Orchidea.

Prawda była bowiem taka, że nie lubiła Nefryt, bo ta nie należała do osób gadatliwych ani skłonnych do plotek. Czytała natomiast chętnie i robiła to w swoim pokoju w każdej wolnej chwili. Orchidea zazdrościła jej także, że poczęła dziecko. Do tej pory w tym domu tylko ona jedna spośród synowych miała dzieci i w skrytości ducha żywiła nadzieję, że Nefryt nigdy się ich nie doczeka. „Kobiety, które lubią czytać, są zawsze bezpłodne” – mawiała często i była o tym przekonana.

Teraz jednak Nefryt dowiodła, że to nieprawda.

No a co do Ling Sao, to ta bardzo pochwaliła Ling Tana za to, że postanowił zostać tu gdzie powinien – we własnym domu i na własnej ziemi.

– Gdybyśmy stąd odeszli, mnóstwo ludzi zechciałoby zająć nasze miejsce – powiedziała. – Być może zrobiliby to nawet nasi wrogowie, których mamy we własnej wiosce. No bo pomyśl tylko o tej kobiecie i jej cuchnącym mężu, twoim kuzynie, który kiwa się wiecznie nad literami niby kogut dziobiący ziarno. Tak, tak, oni oboje ucieszyliby się bardzo, zajmując nasz obszerny, wygodny dom. Zrobiliby to z pewnością, udając przy tym, że pilnują go z myślą o nas. Nie zniósłabym tego. Wolałabym już, żeby na mój dom napadli rozbójnicy. Bo ich mogłabym przekląć i pozwać przed sąd. Gdy tymczasem z krewnymi, cokolwiek by uczynili, wypadaloby żyć dobrze, nie mówiąc tego, co się o nich myśli, choćby nie wiem jak się ich nie znosiło.

Co do trzeciego syna Ling Tana i Ling Sao, to nikt go nie pytał, co myśli, a on sam nic nie mówił. Na wspomnienie tego, co widział w mieście, znów zbierało mu się na wymioty – tym razem nie ze strachu, tylko z gniewu. Był bardzo młody, więc pałając gniewem, zaczął snuć plany wścieklej zemsty na wrogu. Leżał na swoim pościeliu bezsennie i czuł się tak bezsilny, że aż gryzł paznokcie. To poczucie pogłębiała jeszcze świadomość, że jest za młody, by cokolwiek zrobić.

Natomiast młodsza córka Ling Tana nie myślała nic zgoła. A działo się tak z tej prostej przyczyny, że nie miała pojęcia, co myśleć. Z tego wszystkiego, o czym dziś mówiono w domu, zrozumiała bardzo niewiele. A poza tym prawda była taka, że inni poświęcali jej zaledwie tyle uwagi co psu, dla którego należało być dobrym, lecz z którym nie trzeba było się liczyć.

Na drugi dzień latające statki pojawiły się znowu. A także dnia trzeciego i czwartego, i piątego. I za każdym razem siały w mieście śmierć i ogień. Jednak Ling Tan nie poszedł więcej do miasta. Nie poszedł także nikt inny z jego rodziny. Nikt z nich nie ruszał się z wioski. Pracowali w polu i magazynowali żywność na zimę – czyli robili to co zawsze o tej porze roku. Zagrożenie ze strony wroga sprawiło, że wprowadzili jedną zmianę: w chwili gdy nad ich głowami pojawiały się latające statki, schodzili z pola i kryli się w bambusach. Czynili tak od czasu, gdy pewnego dnia jeden z tych statków sfrunął w dół lotem jaskółki i skosił głowę wieśniaka, który stał i gapił się na niego. A potem odleciał, tak jakby to, co zrobił, było po prostu zabawą.

# V

Kiedy dla wszystkich stało się jasne, że śmierć grozi każdego pogodnego dnia, ci, co mieszkali w obrębie murów miejskich, zrobili dwie rzeczy. Najpierw tłumnie udali się do świątyń i modlili się do bogów o deszcz, i czynili to tak długo, aż się przestraszyli, że sprowadzą powódź. A potem zaczęli stopniowo opuszczać miasto, szukając schronienia w małych wiejskich gospodach albo w domach chłopów. Ci, którym nie udało się go znaleźć, sypiali na cmentarzach lub gdzieś na otwartym powietrzu pod drzewami. Większość uciekinierów podróżowała pieszo, bo w tych czasach na jakiś pojazd mogli sobie pozwolić jedynie bogacze. Kobiety, dzieci i starcy nieśli tobołki z całym swoim dobytkiem. Ling Tan nigdy w swoim życiu nie był świadkiem równie żałosnych scen. Kiedyś, gdy w kraju panował głód, widywał ludzi przybyłych z północy. Tamci jednak byli biedakami albo też rolnikami, których ziemia przez pewien czas nie dawała plonów. Rolnicy ci dobrze wiedzieli, że takie nieszczęście nie będzie się powtarzało co roku, i zawsze wracali do swoich domów i gospodarstw.

Tymczasem ludzie, którzy pojawiali się na drogach teraz, stanowili dziwną mieszaninę biednych i bogatych. I nikt z nich nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek wróci do siebie. Ling Tan uważał się nieraz bardziej nad tymi drugimi. Bo owi wydelikaceni bogacze okazywali się w obecnej sytuacji całkiem bezradni. Nie mieli na przykład pojęcia, gdzie szukać żywności. Przez całe życie przecież do stołu podawali im słudzy, nie musieli więc się interesować, skąd jadło pochodzi i w jaki sposób jest przyrządzane. Tak, tak, biedacy – przyzwyczajeni do wiecznego niedostatku – radzili sobie w tych okolicznościach znacznie lepiej. A najlepiej wiodło się najodważniejszym spośród nich, którzy, ryzykując życie, zostali w mieście. Wchodzili oni bowiem do porzuconych przez bogaczy domów, skąd wynosili wszystko, co tylko wpadło im w oko.

Uchodźcy wylali się z miasta niczym rzeka podczas powodzi i zalali wieś. Do tego strumienia mieszczuchów dołączyli ci, a było ich jeszcze więcej, co uciekali ze wschodu. Bo gdy tam, stopa po stopie, wróg zajmował teren, ludzie brali nogi za pas. Łącząc się z innymi uciekinierami, tworzyli wielką ruchomą ludzką rzekę płynącą w głąb lądu, na zachód. Nie mieli pojęcia, dokąd zdążają. Pewni byli tylko jednego: że gdy zostaną na miejscu, spotka ich

śmierć.

Ling Tan od samego początku otworzył przed tymi ludźmi swój dom. Kobiety z jego rodziny dosłownie się zaharowywały, gotując dla uchodźców i dobrze ich karmiąc. Użały się także nad cierpieniem tych biedaków. Wśród nich bowiem znajdowali się ranni, którzy nie mogli iść dalej. Ich trzeba było porzucić, podobnie jak małe dzieci. Zostawiano więc wszystkie te bezradne istoty u tych wieśniaków, którzy zechcieli ich przyjąć. Ale potem wielu rannych umierało. Ling Tana ratowało to, że w mniemaniu uchodźców jego dom jest położony zbyt blisko pracującego wciąż naprzód wroga. Ludzie uciekali więc dalej – za rzekę, za jezioro, za wzgórze – nie zaznawszy spokoju, dopóki nie znaleźli się gdzieś w głębi łądu, za wysokimi górami – gdzie wróg, w obawie przed odcięciem, nie miał odwagi się zapuszczać.

Dla Lao Era także pojawiła się teraz możliwość wyruszenia w drogę. Oboje z Nefryt czekali dotąd, aż w wiosce pojawią się tacy uchodźcy, z którymi oni zechcą dzielić trudy podróży. Mieli to być ludzie nie nazbyt starzy, nie nazbyt osłabieni czy chorzy i nieobarczeni zbyt liczną gromadą małych dzieci. Lao Er i Nefryt czekali na taką okazję dzień za dniem, aż w końcu pojawiła się grupa złożona z czterdzieściorga kilkorga młodych mężczyzn i kobiet. Nowo przybyłe dziewczęta miały stopy tak swobodne jak mężczyźni, którym ich nigdy nie krępowano, a włosy ścięte krótko – dokładnie tak jak Nefryt. W ich niewielkich tobołkach znajdowały się książki. Nefryt natychmiast zapalała do nich sympatią.

– Jesteśmy uczennicami pewnej szkoły – poinformowały ją – kierujemy więc wzrok ku odległym o tysiąc mil górom, gdzie udali się już nasi nauczyciele. Tam, w grotach, będziemy kontynuować naukę. A kiedy wojna się skończy, wrócimy, przygotowane do podjęcia dzieła budowania pokoju.

Nikt z owych młodych ludzi nie zamierzał paść ofiarą tej wojny, a to bardzo się spodobało Ling Tanowi. Przybysze nie zatrzymali się w jego domu na noc. Przyszli koło południa i poprosili o herbatę. Wypili ją, jedząc chleb, który przynieśli ze sobą. I prowadząc rozmowę, która również spodobała się gospodarzowi.

– Ludzie niewykształceni – powiedział do nich – mają tylko ciała. I to właśnie oni powinni walczyć, jeżeli to będzie konieczne. Ale wy, którzy posiadacie wiedzę, wy macie skarb, którego nie wolno wam utracić. Przeciwnie, musicie go zachować aż do dnia, w którym wszystkim nam w kraju potrzebna będzie mądrość, byśmy wiedzieli, jak żyć. W czasach takich jak obecne mądrość jest całkiem bezużyteczna, ponieważ ocalić człowieka może tylko przypadek. Kiedy jednak szaleństwo wojny się skończy, ona z pewnością się przyda.

A potem, siedząc w cieniu wierzby rosnącej za bramą – bo podwórze jego domu

okazało się za małe dla tak wielu ludzi – Ling Tan zadał młodym przybyszom wiele pytań. Kierował je i do mężczyzn, i do kobiet, bo te, ku jego zdziwieniu, udzielały równie rozsądnych jak mężczyźni odpowiedzi. Skutek tego był taki, że po kilku chwilach nie zwracał już uwagi na to, czy rozmawia z nim mężczyzna, czy kobieta. I wkrótce dowiedział się, co zaszło na wybrzeżu i jaka była przyczyna ataku wroga.

Ling Tan – mimo że w swojej wiosce wiódł życie takie samo jak jego przodkowie – był człowiekiem bystrym. „Życie – pouczał zawsze swych synów – życie, moje dzieci, się nie zmienia. Ludzie, w jakichkolwiek by żyli czasach, zawsze jedzą. Używają różnych naczyń i różnej zastawy, ale strawa jest zawsze strawą. Sypiąją też na różnych łóżkach, ale ich sen jest zawsze po prostu snem”. Ling Tan był przekonany, że teraz także zmieniły się tylko czasy. A ludzie pozostali tacy sami. Dlatego, zadając pytania swoim gościom, pytał raczej o broń, jaką posługuje się wróg, niż o samych wrogów. A kiedy usłyszał, że najeźdźcy zazdroszczą jego narodowi ziemi, zrozumiał natychmiast, na czym polega cała ta wojna i jaka jest jej przyczyna.

– Ziemia... – powiedział, napełniając fajkę wodną i spoglądając na liczne młode twarze – ziemia jest najważniejsza, tak naprawdę ludzie zawsze pragną ziemi. Gdy ktoś ma jej za dużo, a inni zbyt mało, dochodzi do walki. Tak, to jest źródłem wszelkich wojen, bo z ziemi bierze się wszelka strawa. Na ziemi też człowiek buduje sobie schronienie, by mieć dach nad głową. Gdy ziemi jest zbyt mało, strawa jest marna i dach nad głową mizerny. A ludzki umysł i serce stają się małe.

Młodzi słuchali go z szacunkiem, lecz z niedowierzaniem, bo w ich oczach Ling Tan był tylko starym wieśniakiem niepotrafiącym nawet czytać i pisać. Zatem cóż mógł wiedzieć o tym wszystkim, czego oni nauczyli się z książek?

– To prawda, stary ojciec – potakiwali, lecz w głębi serca nie wierzyli mu ani na jotę.

Mimo to on ich naprawdę polubił. Dlatego właśnie po południu, gdy przyszedł do niego drugi syn, mówiąc, że chce wraz z żoną odejść w ich towarzystwie, bo są to ludzie silni, odważni i mocno stojący na nogach – zastanawiał się chwilę, a potem, jak to miał w zwyczaju przed podjęciem każdej decyzji, poszedł porozmawiać z żoną.

Tymczasem Ling Sao ani przez chwilę nie aprobowała pomysłu, by jej drugi syn z żoną opuścili dom rodzinny. Teraz więc, nad stawem, gdzie Ling Tan zastał ją przy praniu, wyraziła głośno swoje niezadowolenie. Prała właśnie niebieskie spodnie męża, które złożone, leżały na gładkim kamieniu w wodzie. Ling Sao uderzała je kijem, by wybić z nich brud. I mówiąc do męża, nie przerywała tej czynności.

– Nie rozumiem, dlaczego Nefryt miałaby teraz opuszczać dom – powiedziała. – Kto

się nią zaopiekuje, gdy przyjdzie jej czas? I dlaczego nasz wnuk miałby się urodzić gdzieś w polu niczym dziki zając? Jeżeli nasz syn chce iść, niech idzie. Ona jednak powinna zostać tutaj i urodzić naszego wnuka tak jak należy.

– Być może – odrzekł na to Ling Tan bardzo poważnym tonem – lepiej będzie mieć w domu jak najmniej młodych kobiet. Naprawdę im mniej ich tu będzie, tym lepiej. Nefryt jest bardzo piękna. Zbyt piękna jak na takie okoliczności.

Powiedział tak, bo dręczyła go myśl o czymś, co usłyszał od jednego z przybyszów. Człowiek ten, wzięwszy go na bok, opowiedział mu mianowicie, co spotkało z rąk wroga niektóre z młodych kobiet. Nic więc dziwnego, że Ling Tan bardzo chciał pozbyć się dziewcząt z domu. To znaczy wszystkich kobiet z tej rodziny. Tak, wszystkich, z wyjątkiem własnej żony, której skóra zbrązowiała i pomarszczyła się do tego stopnia, że żaden mężczyzna prócz niego samego nie potrafiłby w jej obliczu dostrzec twarzy, jaką Ling Sao miała w dawnych czasach.

Kij, którym Ling Sao tłuła spodnie, znieruchomiał na chwilę w jej dłoni.

– Ależ mój mężu! Co ty mówisz? – rzekła, patrząc na niego zdziwiona. – Czyż dla młodej żony jest na świecie bezpieczniejsze miejsce niż dom jej własnego męża? I czy ktoś upilnuje ją lepiej niż ja sama? Kiedy nasz syn odejdzie, nie pozwolę jej choćby na krok ruszyć się za próg domu. Powiadam ci, to Lao Er skłania ją do nieposłuszeństwa wobec mnie i to on ją zachęca, by postępowała według swego widzimisię. Skutek tego jest taki, że ja nie mówię jej nawet połowy tego, co bym powiedziała, gdyby jego tu nie było. Gdy Lao Er sobie pójdzie, natychmiast zakazę jej wychodzić choćby na krok za bramę. Tak, Nefryt będzie siedziała w domu aż do jego powrotu.

– Być może, moja żono, nastanie taki czas, kiedy naszą bramę przekroczą obce stopy – odrzekł na to Ling Tan.

Ling Sao znów zajęła się praniem spodni.

– Co do mnie – oznajmiła głośno – to nie boję się żadnego mężczyzny. Niech no któryś obcy stanie tylko na progu. Zobaczy wtedy, jak ja i nasz pies go przywitamy!

– Mimo to kobieta powinna pójść ze swoim mężczyzną – upierał się Ling Tan. – A poza tym kto będzie dbał o naszego syna, jeżeli nie będzie przy nim jego żony?

– Pierwsza przyznałabym ci rację – odrzekła – gdyby Nefryt nie nosiła w brzuchu twojego wnuka i gdyby jej pierwszym obowiązkiem nie był obowiązek wobec ciebie.

– Ja jestem przeciwnego zdania – stwierdził łagodnie Ling Tan, po czym oddalił się, zanim jego żona zdążyła przekonać go do swoich racji.



A Ling Sao, wiedząc doskonale, dlaczego jej mąż się oddalił, mogła tylko wyładować swoją złość na spodniach. Prała je więc, nie myśląc o tym, co robi, tłukła zawzięcie aż do chwili, gdy podniósłszy je, zobaczyła, że wybiła w nich dziury. Wezwała wtedy głośno bogów, by byli jej świadkami, że nie stało się to z jej winy, tylko z winy tych strasznych czasów, które powodują, że umysł człowieka działa całkiem na opak.

Ling Tan tymczasem poszedł do domu. I tam spokojnie powiedział synowi, że najlepiej zrobi, odchodząc i zabierając ze sobą żonę. Wiedział bowiem od młodych mężczyzn, że wróg zajął już drugie sto mil ziemi, a jego dom stał przecież o niecałe trzysta mil od wybrzeża.

– Tylko pamiętaj, zawiadom mnie jakoś, kiedy dziecko się urodzi – poprosił. – Jeżeli będzie chłopiec, przyslij w kopercie czerwony sznureczek, a jeżeli dziewczynka, to niebieski.

Żałował teraz, że nie pozwolił się synowi uczyć. Bo umiając pisać, Lao Er przysłałby list, który odczytałby im kuzyn. Któż jednak mógł przypuszczać, że przyjdzie kiedyś taki czas, w którym syn opuści dom ojca?

– Zrobię coś znacznie lepszego – powiedział z dumą Lao Er. – Nefryt potrafi trochę składać litery, więc skłonię ją do napisania listu i to ona was, ojczy, zawiadomi.

– Naprawdę?! – zawołał zaskoczony Ling Tan. – A swatka nic nam o tym nie powiedziała!

– Sądziła widocznie, że ta umiejętność nie podwyższa wartości kandydatki na żonę – uśmiechnął się Lao Er.

– Ja sam też nigdy bym nie powiedział, że umiejętność czytania i pisania potrzebna jest kobiecie – zauważył Ling Tan. – Ale fakt, że ona to potrafi, dowodzi tylko, że żyjemy w przedziwnych czasach.

Po tych słowach usiadł i zapalił fajkę, a jego drugi syn pospieszył powiadomić żonę, że odchodzą.

Trzeba tu powiedzieć, że Nefryt sama już zdecydowała, że odejdą z tymi właśnie młodymi ludźmi. Teraz trzymała już w pogotowiu dwa tobołki z nielicznymi rzeczami potrzebnymi im w drodze. Siedziała z nimi na brzegu łóżka, czekając na Lao Era, a kiedy ten wszedł, podniosła na niego swoje wielkie oczy.

– Czy mamy iść? – zapytała.

– Tak – odrzekł, po czym usiadł obok i objął ją ramieniem. – Ale wiesz, teraz, kiedy decyzja już podjęta, zaczynam się zastanawiać, czy tobie nie będzie zbyt ciężko – rzeki łagodnie. – Chciałbym móc ponieść nasze dziecko za ciebie.

– Kiedyś będziesz je nosi! – odparła, wstając, a on zauważył, że jest już nawet ubrana do drogi.

Na swoje płócienne pantofelki nałożyła słomiane sandały, dokładnie takie, jakie Lao Er nosił w polu, ubrała się też w swój najtrwalszy i najprostszy niebieski strój wieśniaczki, to znaczy w kaftan i spodnie, a nie w najlepszą długą suknię, uszytą według miejskiej mody.

– Jestem gotowa – powiedziała i wzięła tobolek.

Jednak Lao Er jeszcze zwlekał.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że moje dziecko urodzi się gdzieś daleko. Ze nie przyjdzie na świat w tym samym miejscu, w którym ja się urodziłem – powiedział ze smutkiem.

– Nasz syn sam wybierze sobie miejsce, gdzie będzie chciał się urodzić – oznajmiła Nefryt.

– Tak, ale my będziemy musieli dobrze je sobie zapamiętać – zauważył jej mąż. – Bo miejsce urodzenia jest dla człowieka bardzo ważne. Nie wolno nam będzie zapomnieć, czy nasze dziecko urodziło się wśród gór, w dolinie czy może w jakimś mieście. I czy przyszło na świat w dzień, czy w nocy. Trzeba też będzie pamiętać, czy w pobliżu znajdowała się woda, czy niebo było czyste, czy może ciemne i zachmurzone, a także w jakiej to się zdarzyło prowincji i jakim językiem mówią tam ludzie. Tak, musimy to zapamiętać, żebyśmy potem mogli naszemu dziecku wszystko opowiedzieć.

– Och – zachnęła się Nefryt – jeżeli mamy iść, to już ruszajmy!

Lecz Lao Er wciąż zwlekał.

– Wiesz – powiedział – wydaje mi się, że pamiętam dokładnie chwilę, w której się urodziłem w tym domu. Tak, zdaje mi się, że pamiętam ciemność, jakiej nigdy potem nie znałem, ciemność, po której nastąpiło światło. I że to światło było jak ból, ból tak wielki, że zmusił mnie do krzyku. A gdy krzyknąłem, poczułem pod sobą czyjeś ramiona.

– Idziesz ze mną czy nie? Nie znoszę takiego zwlekania – zawołała, a on usłyszał w jej głosie strach.

I wiedział, że jest to strach kobiety pragnącej bezpieczeństwa dla swego dziecka. Nic nie powiedział. Wstał tylko, po czym wyszli oboje z izby, pokłonili się wspólnie ojcu i starszemu bratu, a pozostałych pożegnali głośno z daleka. Pożegnali wszystkich prócz matki, której nigdzie nie było. Ponieważ jednak młodzi mężczyźni i kobiety chcieli już wreszcie ruszyć w drogę i znaleźć sobie inne miejsce na nocleg, młodzi małżonkowie nie mieli wyjścia, nie mogli szukać jej dłużej. Odeszli bez pożegnania.

– Powiedźcie matce, że szukałem jej wszędzie – poprosił jeszcze Lao Er. –

Powiedzcie jej też, że to prawdziwy pech, że nie mogliśmy jej znaleźć przed wyruszeniem w drogę.

– Dobrze, powtórzę jej to – obiecał ojciec.

Nie chciał powiedzieć, co czuje, widząc, jak syn odchodzi. Bo ten syn udawał się przecież w nieznane i nieznany był także czas jego powrotu. A na dodatek było całkiem możliwe, że wcale nie wróci. Bo kto wie, myślał Ling Tan, co może się stać, zanim zobaczymy się znowu? Kto wie, czy się w ogóle jeszcze spotkamy? Odprowadził syna i jego żonę do bramy, a potem, stojąc przed nią, patrzył, jak się oddalają. Towarzyszyła mu w tym cała rodzina. Tak, cała, z wyjątkiem matki. Działo się to w zwyczajne letnie popołudnie. Panował upał i spokój. I tylko na błękitnym niebie, tuż nad zielonymi wzgórzami, kłębiły się srebrne, brzemienne piorunami chmury. Nikt jednak nie potrafił przewidzieć, co przyniosą, bo takie chmury czasami zwiastują burzę, a czasami zapowiadają pogodę.

Ling Tan, widząc, że wszystko naokoło jest takie zwyczajne, że wszystko jest tak, jakby wojny wcale nie było, zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił szaleństwa, pozwalając opuścić bezpieczny dom swemu dobremu średniemu synowi. I to na dodatek wraz z żoną, która teraz, nosząc w sobie dziecko, była osobą tak dla nich wszystkich cenną. Zastanawiał się także, czy ich niedawni młodzi goście nie kłamali przypadkiem, opowiadając to wszystko. W tej chwili bowiem miał nieodparte wrażenie, że ich historia o wrogiej armii znajdującej się o niecałe sto mil od tej wioski i maszerującej w ich stronę po prostu nie może być prawdziwa. Bo przecież na drzewku brzoskwini rosnącym tuż koło drzwi i obwieszonym dojrzałymi owocami śpiewał jakiś ptak, a pod gorącym słońcem dojrzewające zboże stało całkiem nieruchome.

Gdy zacznę zbierać ryż z pól, myślał dalej Ling Tan, zatęsknię bardzo za moim silnym synem. Zresztą już teraz miał wrażenie, że ten jego drugi syn nosi w sobie takie dobro, jakie nie cechuje pozostałych. Ten drugi syn był bowiem szybszy niż jego starszy brat, a także znacznie bardziej bystry. Śmiał się też mądrzej od braci, zachowując swój śmiech dla rzeczy naprawdę zabawnych, nie marnował go na przymilanie się do ludzi, jak to nieraz czynił ten najstarszy. A co do najmłodszego, to ten nadawał się tylko do karmienia bawołu. Ponadto, wbrew wszystkiemu, co twierdziła ling Sao, Ling Tan wiedział, że Nefryt jest najlepsza z młodych kobiet, które żyją w jego domu. Zanim ona i Lao Er wyruszyli w drogę, popatrzył na nią po raz ostatni i zwrócił się bezpośrednio do niej. Trzeba bowiem powiedzieć, że Ling Tan był człowiekiem postępującym z godnością, posłusznym starym zwyczajom, regulującym stosunki między pokoleniami. Dlatego po raz pierwszy skierował swe słowa wprost do

Nefryt, gdy ta pojawiła się tutaj jako panna młoda. Wtedy bowiem miał obowiązek powitać ją w nowym domu. No a tym razem – zwracając się do niej po raz drugi – pożegnał ją przed długą drogą.

– Wykonuj swe obowiązki, dziecko – powiedział. – Pamiętaj, że Lao Er jest moim synem, a jego dziecko to mój wnuk. Pamiętaj też, że wszystko spoczywa na twoich barkach. Wtedy bowiem, gdy kobieta jest wierna, nie może przytrafić się żadne zło. Kobieta jest korzeniem, a mężczyzna drzewem. Jeżeli korzeń jest mocny, drzewo rośnie wysoko.

Nefryt nie odpowiedziała, tylko jej śliczne usta wygięły się lekko w uśmiechu. Ling Tan jednak nie potrafił z niego wywnioskować, czy synowa uwierzyła w jego słowa.

Tak więc pozwolił tym młodym odejść. A sam stał potem długo przed bramą, odprowadzając ich wzrokiem. Stał tam, dopóki nie stracił ich z oczu, stał, dopóki ich dwie postacie nie wtopiły się w gromadę.

Gdy wrócił wreszcie do domu, zauważył, że w kuchni coś dymi. Podeszedł więc bliżej i zajrzał za piec. A tam siedziała jego żona, karmiąc brzuch pieca trawą.

– Gdzie byłaś?! – zawołał. – Szukaliśmy cię wszędzie.

– Nie chciałam patrzeć, jak mój syn nas opuszcza – odrzekła. – Uznałam, że skoro już musi odejść, to lepiej żebym ja, jego matka, na to nie patrzyła.

– Ale płakałaś – powiedział Ling Tan, przyglądając jej się uważnie.

Rzeczywiście, Ling Sao oczy miała zaczerwienione, a wysychające łzy pozostawiły na jej brązowych policzkach srebrzyste ślady.

– Nie płakałam – zaprzeczyła. – To dym sprawił, że mam takie czerwone oczy.

Ling Tan nie zaoponował. Dostrzegł jednak, że jego żonie łzy ponownie napływają do oczu. I stał przed nią całkiem bezradny – jak zawsze, gdy widział, że płacze. Bo choć Ling Sao zdarzało się to rzadko, jej płacz nieodmiennie przemieniał go w nieruchomy kamień.

Fakt, że Ling Tanowi i Ling Sao tak bardzo brak było drugiego syna i jego żony, wydawał się dość dziwny. No bo przecież w ich domu mieszkali wciąż wszyscy pozostali członkowie rodziny, a po podwórzu biegało tyle samo wnuków co przedtem. Dzieci jak zwykle drażniły się z kaczkami i kurami, nadal ciągnęły też za ogon psa tak mocno, że ten wył z bólu. A poza tym mieli teraz więcej miejsca do spania. Wu Lien i najstarsza córka z dziećmi zajęli pustą izbę, a starą matkę Wu Liena można było położyć w łóżku trzeciego syna, który sypiał teraz na podwórzu, na łóżku z bambusa. Mimo to Ling Tan i jego żona tęsknili za tamtymi dwojgiem, ponieważ wraz z ich odejściem dom opuściła jakaś energia. A

przy tym najstarszy syn pod nieobecność młodszego brata wydawał się zbyt łagodny i potulny. Zbyt prędko zgadzał się też z tym, co mówią mu rodzice. Ling Tan czuł, że w obecnych trudnych czasach ten posłuszny młody człowiek zrobi wszystko, co mu się każe. Nie będzie jednak wiedział, co począć, gdy nie znajdzie się nikt, kto mu to podpowie. A wtedy cała odpowiedzialność będzie musiała spaść na niego, na starego ojca. Uświadomił też sobie, że drugi syn był człowiekiem, który miał zawsze własne zdanie, i że Nefryt, choć tak uparta, była kobietą, która nie pytając nikogo, wiedziała zawsze, co ma zrobić.

Nawet Ling Sao tęskniła za Nefryt bardziej, niż była skłonna przyznać. Nie okazałaby się jednak typową kobietą, gdyby po paru dniach, z uśmiechem zawstydzenia, nie przyznała się do tego mężowi.

– Kiedyś bym powiedziała, że w naszym domu może zapanować spokój jedynie po odejściu tej niezdolnej Nefryt. A teraz powiem, że nie tylko przez wzgląd na naszego syna chciałabym, żeby jego żona wróciła. Muszę też przyznać, że denerwuje mnie Orchidea, która nigdy nie robi niczego sama z siebie, nie ruszy się, dopóki ja jej tego nie nakażę. Wyprowadza mnie z równowagi także nasza starsza córka, która od rana do nocy beczy niczym owca. I wiecznie pyta: „M-ma, co mam dalej robić?”. Mówię jej wtedy na przykład, żeby sprawdziła, czy podłoga jest czysta, czy podwórza nie trzeba skropić, żeby się mniej kurzyło, czy mamy dość opału, by ugotować następny posiłek, czy nie trzeba czegoś uprać albo obrócić ryb, które się suszą. Sprawdź, powiadam, czy nie ma do zrobienia czegoś jeszcze. Przekonaj się, może trzeba marchew pokroić w plasterki i posolić ją na zimę. A ona mi na to zadaje pytanie: „Co mam zrobić najpierw?”.

Tak mówiła Ling Sao, siedząc w izbie sypialnej i czesząc przed snem swoje długie włosy.

– To jest twoja własna córka – odpowiedział jej na to Ling Tan z błyskiem w oku. – Pyta cię wciąż o wszystko, bo ty przyzwyczaiłaś ją do tego, że mówisz jej, co ma robić. Natomiast Nefryt nie wyrosła pod twoimi skrzydłami. I patrzy na świat nie twoimi, lecz swoimi oczami.

– Więc twoim zdaniem to moja wina? – zapytała Ling Sao. Przystała się czesać, gotowa popaść w przygnębienie.

Po tylu latach wspólnego życia nie była w stanie znieść, gdy mąż zarzucał jej popełnienie jakiegokolwiek błędu, choćby najmniejszego. Inni mogli sobie przeklinać ją samą i jej matkę, mogli ubliżać jej ojcu – a Ling Sao nie przejmowała się tym wcale. Śmiała się tylko albo złościła, albo odpowiadała przeciwnikowi jeszcze bardziej siarczastymi obelgami. Jednak gdy to Ling Tan stwierdził, że jej postępowanie było błędne, nie potrafiła się na niego

rozzłościć – nie potrafiła, choćby nie wiadomo jak się o to starała. Słowa męża wnikały w jej serce niczym sztylet, który potem przez długie dni nosiła w piersi. Dlatego Ling Tan nauczył się nie zarzucać jej nigdy, że się myli. Czynił to tylko wtedy, gdy było to naprawdę konieczne. Przymykał też często oko na różne drobiazgi. Wiedział bowiem, jak porywcza jest ta jego żona i jak bardzo, choć skrycie, pragnie go swoim postępowaniem zadowolić. Tak, Ling Sao pragnęła tego, chociaż głośno temu zaprzeczała, głosząc z uporem, że nie boi się żadnego mężczyzny, nawet jego.

– Jesteś, moja żono, najlepszą matką w całej naszej prowincji – powiedział teraz Ling Tan. – A i za morzami gdzież znalazłaby się druga taka jak ty? Zapewniam cię, że wcale bym nie chciał, żebyś była osobą chłodną i uległą. Lubię cię taką, jaka jesteś: porywczą i z temperamentem. Lubię twój skory do sprzeczki język nawet wtedy, gdy obraca się przeciwko mnie.

Wypowiadając te słowa, roześmiał się szczerze, a Ling Sao pokraśniała z zadowolenia i wróciła do czesania włosów. Chcąc jednak ukryć radość, rzekła trochę cierpko, choć z uśmiechem:

– Ach, ty mój staruszkule! Chodź no tutaj bliżej i pokaż mi ten wyprysk na policzku. Bo coś mi się zdaje, że zrobi się z tego wrzód.

Ling Tan zatem podszedł bliżej i pochylił się ku żonie, chcąc ją udobruchać. Wiedział przy tym bardzo dobrze, dlaczego Ling Sao chce dotknąć jego policzka, uczynić serdeczny gest w jego stronę.

– To tylko jakaś mucha ucięła mnie tutaj – powiedział.

– Nie musisz mnie informować, co to takiego – pouczyła go Ling Sao. – Przekonam się o tym sama.

Pomacała zaczerwienione miejsce, po czym stwierdziwszy, że to nic takiego, dała mu czulego kuksańca w nagie ramię.

– Czyżbyś już nie potrafił złapać muchy, staruszkule? Czyżbyś dał się pociąć niby małe dziecko? – zapytała.

Wybuchnęli oboje serdecznym śmiechem, a Ling Tan obiecał sobie w duchu, że nie ożeni się po raz drugi, nawet gdyby Ling Sao umarła przedwcześnie. Nie, nie. Nie zrobi tego, bo po niej każda inna kobieta będzie dla niego jak marchew ususzona bez soli.

– Czy wiesz, moja żono, dlaczego nie lubisz Nefryt? – zaczął się z nią droczyć.

– Wiem wszystko, co chcę wiedzieć – odrzekła, czesząc się znowu, a jej oczy nabrały

psotnego wyrazu.

– Ale tego akurat nie – zaprzeczył. – Otóż nie lubisz Nefryt, bo ona jest bardzo podobna do ciebie.

– Co takiego?! – zawołała, udając gniew.

W głębi serca jednak ucieszyła się z tego porównania. Nefryt była przecież dziewczyną piękną. I całkiem nieprzeciętną – Ling Sao musiała to przyznać.

– Obie jesteście uparte i samowolne. A ja lubię tylko takie kobiety – powiedział Ling Tan.

Po czym położył jej dłoń na szyi, a Ling Sao poczuła się tak jak wówczas, gdy byli zaraz po ślubie. Ponieważ jednak już dawno przekroczyła czterdziestkę i oboje z Ling Tanem byli w średnim wieku, nie mogli zachowywać się jak dwoje młodych małżonków. Bo co by na to powiedzieli ludzie? Dlatego Ling Sao odrzuciła do tyłu głowę i cofnęła się nieco. A Ling Tan, odgadując myśli żony, roześmiał się znowu. A wtedy ona, widząc nad sobą jego brązową twarz i białe zęby, zapomniała, że jest to ojciec jej dzieci, zapomniała, że jest to mężczyzna, z którym żyła przez tak długie lata. Objęła go w pasie ramionami, przyciągnęła do siebie i poczuła jego serce na swoim policzku. To serce biło tak równo i mocno, że i w jej żyłach krew zaczęła pulsować rytmicznie.

– Powinniśmy chyba mieć zrozumienie dla naszego syna i jego żony – powiedział Ling Tan. – Są przecież tacy jak my.

– Zawsze mówiłam, że Lao Er jest bardziej podobny do ciebie niż reszta dzieci – odrzekła mu na to Ling Sao.

Po czym rozplotła ramiona i zaczęła związywać włosy. Chwila prysła, ale zrobiła im bardzo dobrze.

Dni płynęły, a oni przyzwyczaili się w końcu do nieobecności tamtych dwojga. Luka, która po ich odejściu powstała w rodzinie, jakoś się zabiźniła, robota w gospodarstwie przebiegała jak należy. Ling Tan pozwolił teraz trzeciemu synowi pracować ze sobą w polu, co oznaczało, że chłopak poszedł w rodzinnej hierarchii w górę. Nie zajmował się już bawołem. Zastąpił go w tym wynajęty za drobną opłatą mały chłopiec, który dosiadał bawołu wtedy, gdy zwierzę niepotrzebne było w polu.

Co do Orchidei, to ta po odejściu Nefryt poczuła się szczęśliwsza niż kiedyś. Nie było bowiem teraz nikogo, kto mógłby udzielić jej nagany za to, że za mało pracuje. A także nikogo, kto miałby piękne, gładkie włosy – całkiem inne niż jej własne, które były szorstkie, ponieważ, naprawdę czy tylko w jej wyobraźni, brakowało jej czasu na ich czesanie. Orchidea zajmowała teraz najwyższe miejsce wśród młodszych kobiet w tej rodzinie. A było tak,

ponieważ Nefryt, która robiła wszystko lepiej od niej, odeszła wraz z mężem z domu.

Natomiast Pansiao szczerze żałowała, że bratowa zniknęła. A to dlatego, że w ciągu ostatnich kilku tygodni, wieczorami, Nefryt trochę uczyła ją czytać. W oczach reszty rodziny nauka ta stanowiła jedynie zabawę. Nefryt jednak wiedziała doskonale, co czuje milcząca młoda dziewczyna żyjąca w tym domu, w którym wszyscy zapominają o niej tak łatwo. Nefryt była jedyną osobą, która zauważała, jak rzadko Pansiao się odzywa, z jak niewieloma członkami rodziny rozmawia. Zauważała to, bo we własnym domu sama była podobnym milczącym dzieckiem, dziewczynką zagubioną wśród licznych pozostałych dzieci. Jej ojciec posiadał spory majątek. Miał ziemię, którą dzierżawił innym, a także taką, którą sam uprawiał. Trzymał też konkubinę, co sprawiło, że Nefryt wyrosła pośród siedemnaściorga dzieci dwóch kobiet. W tej licznej gromadzie czuła się samotna i zawsze pociągały ją bardziej dzieci milczące niż gadatliwe. W rodzinie ojca swego męża, gdzie zarówno Ling Tan, jak i Ling Sao wypowiadali się ze swobodą, gdzie Lao Er mówił bez żadnych zahamowań, gdzie Orchidei gadanie przychodziło z taką łatwością jak oddech i gdzie trzeciego syna wечно nie było w domu, dostrzegła cichą, łagodną dziewczynkę. I zaczęła się zastanawiać, czy ta mała jest równie osamotniona jak niegdyś ona. A potem, pewnego dnia, pragnąc ją zagadnąć, zapytała:

– Czy chciałabyś poznać trochę liter? Znając je, mogłabyś czytać moją książkę, zamiast siedzieć beczynn timer w samotności.

– Ojej, ale czy ja potrafię się nauczyć? – odrzekła spiesznie Pansiao. – No bo jak mogłabym zapamiętać litery, skoro tak szybko zapominam to, co mówi mi matka?

– Zapamiętać je jest bardzo łatwo – powiedziała Nefryt. – Ponieważ one opowiadają człowiekowi coś, co on chce wiedzieć.

W ten sposób przekonała dziewczynkę. I rzeczywiście, okazało się, że Pansiao zapamiętywała litery z dużą łatwością. Nazwy żadnej z nich nie trzeba jej było powtarzać dwa razy, ponieważ każda przemawiała do niej sama z siebie.

Teraz nauka się skończyła. Nefryt odeszła, a Pansiao mogła tylko utrwać sobie litery, które już znała. Czyniła tak aż do chwili, gdy pewnego dnia, wiedzioną pragnieniem poznania także innych, podeszła do jednej z pojawiających się często w wiosce studentek i zapytała o kilka, dzięki czemu nauczyła się jeszcze trochę. A nieco później pewna życzliwa studentka podarowała jej jedną ze swoich książek.

– Szanuj ją – powiedziała – bo w dzisiejszych czasach książki są cenniejsze niż pokarm.

Pansiao podziękowała i wzięła książkę. Ponieważ jednak nie potrafiła jeszcze czytać



tak dobrze, by móc się dowiedzieć, co jest w niej napisane, przeczytanie tej książki stało się dla niej życiowym celem. Tymczasem przejrzała ją tylko dokładnie, zaznaczając kawałkiem węgla drzewnego znajome litery. Stały one jednak w tekście zbyt daleko od siebie, by przekazać jej jakikolwiek sens.

Co do Ling Tana natomiast, to ten dziwił się bardzo, że cała rodzina przyzwyczała się tak szybko do tego, co stanowiło teraz jej codzienne życie. Podniebne statki nadlatywały każdego dnia, ale przywykli do nich, i choć wróg zajął już pobliskie miasto, oni trwali w postanowieniu, że nie ruszą się ze swojej wioski. Wiedzieli, że połowa miejskiej ludności opuściła już wcześniej jego mury, a teraz kolejna jedna trzecia. Zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd się udać, albo też ci, co byli już całkiem bez pieniędzy. A w końcu także ci, którzy twierdzili, że wszystko im jedno, kto rządzi miastem, byle tylko panował w nim spokój. Tak, ludzie czekali na pokój, który zakończy wojnę i sprawi, że latające statki przestaną się pojawiać. Jakiś koniec tej wojny musiał wreszcie nastąpić – wiedzieli o tym dobrze. Wojska nieprzyjacielskie bowiem, mila po mili, zbliżały się coraz bardziej i kolejne miasta, jedno po drugim, dostawały się w ich ręce. Z tych zajętych przez wroga miast nie docierały żadne wiadomości. Nie wiadomo było, co się tam dzieje, bo ci, co uciekli na samym początku, nie potrafili nic na ten temat powiedzieć. Nikt nie miał pojęcia, czy wróg jest okrutny, czy dobry. Wszyscy więc po prostu czekali.

Czekał także Ling Tan. Jednak nie beczynnie, bo praca w jego gospodarstwie musiała zostać wykonana. Nie można było przecież za każdym pojawieniem się latających statków kryć się w bambusach. Z drugiej jednak strony Ling Tan nie chciał też narażać życia, nie chciał stać samotnie w polu i kusić patrzącego z góry wroga. Dlatego pewnego dnia udał się do herbaciarni, wieczorem, w porze, gdy mężczyźni lubią na chwilę opuścić swoje żony i usiąść razem w spokoju, z dala od zrzędzących kobiet i marudzących przed snem dzieci. Znalazłszy się wśród takiego męskiego zgromadzenia, Ling Tan wstał i przemówił:

– Posłuchajcie, moi starsi bracia, wszyscy jesteśmy ludźmi pracującymi. Czy to podczas wojny, czy w czasach pokoju, musimy wykonywać swoją robotę i pozyskiwać żywność z naszej ziemi. Ale jak ma się nam to udać, skoro od dłuższego czasu codziennie i to w porze, gdy jeszcze nie jesteśmy zmęczeni, musimy siedzieć beczynnie w bambusowym gaju?

– Nie myśl, bracie, że przeklinasz tę beczynność bardziej niż my – odezwał się jakiś głos, a przez tłum zgromadzonych przeszedł potakujący pomruk.

– Masz zupełną rację – dodał ktoś inny. – Ale powiedz nam, co powinniśmy zrobić. Co do mnie, to widziałem człowieka zastrzelonego z latającego statku. Ten człowiek nie żył. A czyż istnieje bezczynność większa od śmierci?

Uwaga ta wywołała gorzki śmiech wieśniaków. Ling Tan roześmiał się także, a potem mówił dalej:

– Moim zdaniem żaden z nas nie powinien chować się w bambusach. Zostawajmy wszyscy w polu, pracujmy i udawajmy, że nie widzimy latających statków. Jeżeli wielu z nas tak uczyni, wrogowie dojdą do wniosku, że szkoda na to czasu, bo musieliby ścinać głowę po głowie. No a doszedłszy do takiego wniosku, polecą gdzieś dalej.

Po tych słowach rozległy się głośne potakiwania, ludzie zgodzili się ze zdaniem Ling Tana. I od tej pory zarówno on, jak i jego sąsiedzi pracowali w polu, nie podnosząc głów i nie patrząc na nadlatujące statki. Jednak każdego dnia przed południem zanim statki się pojawiły, przerywali pracę i do swoich szerokich kapeluszy przywiązywali gałęzie, wskutek czego wrogowie patrzący w dół widzieli tylko zieleń, gdyż błękitne spodnie pracujących wieśniaków i ich brązowe plecy zasłaniały gęste liście.

Wioska Ling Tana, a także gospodarstwa w jej pobliżu przypominały teraz wyspę na rzece bezustannie poruszających się ludzi. Bo choć ci, którzy mogli to zrobić, już odeszli, z każdym dniem pojawiały się setki nowych uciekinierów z dalej położonych terenów. I to właśnie od nich Ling Tan dowiadywał się, że wróg posuwa się naprzód, zbliżając się nieubłaganie. Pytał ich bowiem, skąd pochodzą, i każdego kolejnego dnia okazywało się, że przychodzili z miejsc położonych coraz bliżej. Aż w końcu zaczęli napływać z miast, które znał. Stąd właśnie wiedział, że wrogowie zwyciężają.

– Czy nasze wojska z nimi nie walczą? – pytał, a odpowiedź przeważnie brzmiała ponuro.

– Nasi się wycofują, by stoczyć wielką bitwę gdzieś dalej – mówili kolejni uciekinierzy, jednak nikt nie miał pojęcia, gdzie ta bitwa się odbędzie.

Ling Tan uświadomił sobie wkrótce, że owa wielka bitwa zostanie stoczona gdzieś poza jego wioską, ponieważ nikt z uchodźców nie chciał się tu zatrzymać. Wszyscy oni spoglądali w dal, ku jakiemuś miejscu niewiadomemu, lecz odległemu. Ling Tan zaczął więc przygotowywać i samego siebie, i wszystkich członków rodziny na czasy, gdy nastaną tu rządy wroga, pod którymi będą musieli jakoś żyć.

Czy wrogowie są dobrzy, czy źli? Nie potrafił się o to dopytać. Krążyło bowiem na ten temat tak wiele opinii, że nie był w stanie złożyć ich w żadną całość. Oto w jego własnym domu mieszkał Wu Lien, który twierdził, że kupcy znad Wschodniego Oceanu – z którymi

miewał do czynienia, gdy udawał się po towary – byli zawsze uprzejmi i życzliwi. Z drugiej jednak strony krążyła opowieść o tym, jak z wybrzeża uciekał przed wrogami ogromny tłum ludzi. Nie szli oni pieszo, lecz jechali pociągiem, powiewając białymi flagami na znak, że są niewinni i proszą o miłosierdzie. A mimo to zaatakowały ich latające statki, wskutek czego było wielu rannych i zabitych. Więc jakże można było powiedzieć, że w sercach tych wrogów mieszka cokolwiek innego prócz zła?

O takich to rzeczach Ling Tan rozmyślał godzinami, pracując pod osłoną zielonych gałęzi przywiązanych do kapelusza. A tymczasem podniebne statki nad jego głową pojawiały się i znikwały.

– Będę mimo to pracował tak jak zawsze – postanowił i zaraz przyszło mu do głowy, że w czasach takich jak obecne największym dokonaniem człowieka jest utrzymanie przy życiu siebie i swoich bliskich.

I tak oto lato przeszło w jesień, a zbiory tego roku okazały się zgodne z oczekiwaniami. Zwisające kłosa ryżu były bardzo ciężkie – Ling Tan nie widywał takich od lat dziesięciu – a urodzaj w tej bogatej dolinie był tak wielki, że ludzie nie nadążali ze zwózką.

Wieśniacy myśleli tylko o żniwach, a gdy pojawili się żołnierze mający bronić miasta, prosząc o słomę na sienniki albo pomoc przy kopaniu rowów, odburkiwali im tylko: „Mamy dość wszelkich żołnierzy! Bo żołnierze to ludzie, którzy próżnują i żyją na nasz koszt. A swoją pracę wykonujcie sobie sami, bo my mamy wystarczająco dużo roboty”.

Ling Tan słuchał tych słów z wielkim zadowoleniem, bo sam także gardził wszystkimi, którzy brali udział w wojnie. Pewnego dnia jednak przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedział jeden z żołnierzy, ponieważ ten, spotkawszy się z odmową, zaczął nagle płakać. A potem, patrząc na prawie sprzątnięte pole i na zdrowych, zajętych żniwami ludzi, powiedział:

– Jeżeli nie zdołamy obronić tego kraju, to strach powiedzieć, co się z wami stanie. Twierdzimy tak, bo na własne oczy widzieliśmy naszych rodaków z wybrzeża pojmanyh przez wroga.

Jednak wieśniacy, zajęci robotą, nie przejęli się tymi słowami. No i żołnierze ponownie odeszli z niczym.

Teraz, gdy trzeba było zboże zebrać z pola, a potem wymłócić, Ling Tan zapędził do pracy całą rodzinę w wyjątkiem Wu Liena, który nie mógł się nauczyć, jak się trzyma kosę.

Natomiast starsza córka Ling Tana pamiętała, jak się to robi, bo spędziła przecież w wiosce całe dzieciństwo. Uradowana jak wszyscy dobrymi zbiorami, powiedziała z głośnym śmiechem:

– Niech więc mój mąż zostanie w domu i pomoże przy dzieciach. Ja tymczasem wyjdę w pole tak jak dawniej.

Nikt nie zaprotestował, więc tak uczyniła, i bardzo z siebie dumna, kosłała niczym mężczyzna.

Spowodowało to jednak kłopoty. Wróciwszy bowiem wieczorem do domu, starsza córka Ling Tana zastała męża w bardzo złym humorze. Gdy zapytała go o przyczynę zdenerwowania, mąż kazał jej iść do ich izby, a zaraz potem sam tam się zjawił.

– Posłuchaj, kobieto! Czy ty jesteś moją żoną, czy córką tego starego człowieka? – zapytał. – Czy uważasz, że twój mąż ma za ciebie wykonywać twoją pracę? Niedługo dojdzie do tego, że każesz mi karmić dziecko piersią.

Roześmiała się na to głośno, bo Wu Lien był tak otyły, że czasami wstydził się chodzić z nagim torsem. Nie czynił tego nawet latem, bo rozbawieni ludzie dogadywali mu, że jest zbudowany jak kobieta. Zawsze znalazł się też ktoś, kto gotów był opowiedzieć o mężczyźnie-dziwolągu, który potrafi piersią nakarmić niemowlę. Wu Lien pożałował swego pytania w chwili, gdy je wypowiedział. A zaraz potem, rozjuszony, uderzył żonę w usta tak, że zalała się krwią. I co gorsza, skaleczyła mu dłoń zębami.

– Co?! – zawołał. – Ty jeszcze mnie gryziesz?!

Było to tak niesprawiedliwe, że kobieta, choć zawsze pokorna, tym razem wpadła po prostu w furję. Wu Lien nigdy dotąd nie widział swej żony tak wścieklej. A fakt, że znajduje się w domu swojego ojca, dodał jej tyle odwagi, że wydarła się na męża wniebogłosy.

– A kto cię karmi, jeżeli nie mój ojciec?! I dlaczego nie miałabym mu trochę pomóc w żniwach?!

Z tymi słowy zaatakowała Wu Liena pazurami. A on cofnął się, bo nigdy w życiu nie widział jej w takim stanie. Ona tymczasem, rozzłoszczona i z ustami ociekającymi krwią, rzuciła się na niego i podrapała go dotkliwie. W tej samej chwili, słysząc ich podniesione głosy, otworzyła drzwi Ling Sao. Skoczyła natychmiast między nich i odciągnęła córkę na bok.

– Przynosisz mi wstyd! – zawołała. – Czy ja kiedykolwiek uczyłam cię takiego zachowania w stosunku do mężczyzny, który jest twoim mężem? Wu Lienie, to nie jest moja córka. I nie zganię cię, jeżeli jej się wyrzekniesz. Oszukałam cię, dając ci żonę, która nie jest

ciebie warta.

Uspokoiwszy w ten sposób zaskoczonego zięcia i skarciwszy córkę, Ling Sao wyprowadziła Wu Liena z pokoju, włożyła mu do ręki wachlarz, nalala herbaty i kazała Pansiao zabrać dzieci. A potem wróciła do córki – która właśnie przemywała usta i przyglądała włosy – i kazała sobie powiedzieć, co się stało. Gdy usłyszała, co zaszło między małżonkami, nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

– Jestem po twojej stronie – stwierdziła – bo nigdy w życiu nie spotkałam bardziej gnuśnego mężczyzny niż twój mąż. Choć tak prawdę mówiąc, z jego łagodnego usposobienia należy się chyba cieszyć. Trzeba też wziąć pod uwagę, że Wu Lien jest człowiekiem z miasta, a ktoś taki na wsi czuje się jak kot w stawie. Nie możesz go więc winić. Kiedy miał dom, karmił cię przyzwoicie i był dla ciebie naprawdę dobry. Nadejdzie też taki dzień, w którym swój dom odzyska. Pamiętaj, że kobieta musi się dostosowywać do mężczyzny, którego dostała za męża. I że żadna nie potrafi stwierdzić zawczasu, jaki on będzie w przyszłości. Musisz też być świadoma, że Wu Lienowi w obecnej sytuacji jest bardzo trudno. Mieszka przecież w domu twojego ojca i wstydzi się tego. Powinnaś więc traktować go delikatnie, nie wolno ci go lekceważyć. Zapewniam cię, że na świecie są gorsi mężowie od twojego Wu Liena.

Tak pouczywszy córkę, kazała jej pójść prosić męża o wybaczenie. A Wu Lien udzielił go żonie z wielką powagą.

A potem, nocą, Ling Sao opowiedziała całą historię Ling Tanowi i oboje uśmiechali się serdecznie z tego mieszcucha, który był ich zięciem. Rozpierała ich też duma z córki, która odważyła się podrapać te jego tłuste białe policzki, pozostawiając na każdym po pięć czerwonych śladów paznokci. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie lubią Wu Liena. Nie, nie, wcale tak nie było. Chodziło tylko o to, że ten mieszcuch, znalazłszy się na wsi, poza swoim żywiołem, wydawał im się po prostu śmieszny. No a w tak ciężkich czasach przyjemnie jest znaleźć coś, z czego można się pośmiać.

Z drugiej jednak strony Ling Tan dobrze wiedział, że nie należy stawać między mężczyzną a jego żoną. Dlatego też zabronił córce wychodzić w pole, a to uspokoiło Wu Liena. Ling Sao natomiast dała zięciowi trochę baraniego sadła, by mógł posmarować zadrapania. A te po siedmiu dniach całkiem się zagoiły. Dopóki jednak tak się nie stało, Wu Lien spędzał cały czas na podwórzu.

Ryż został w końcu zebrany z pól i teraz w całej dolinie rozlegał się odgłos cepów, którymi go młócono. Ziarno padało na ubitą ziemię, a woły i bawoły ugniatały je za pomocą ciągniętych przez siebie specjalnych kamieni. W tych gospodarstwach, w których nie było

zwierząt, kamienie ciągnęli sami wieśniacy. No a potem kobiety przesiewały ziarno na lekkim wietrze zwiastującym nadciągającą jesień.

Podczas tych prac codziennie, z wyjątkiem dni deszczowych, znad wzgórz położonych na wschodzie nadciągały latające statki, po czym kierowały się prosto nad miasto. A trzeba powiedzieć, że dni deszczowych było bardzo mało.

– Tak długo modliliśmy się do bogów o czyste niebo na żniwa, że teraz, w dziewiątym miesiącu, bogowie zsyłają je i bez naszych próśb – narzekał najstarszy, dziewięćdziesięcioletni mieszkaniec wioski. – No ale któż mógłby winić o to bogów – dodawał zaraz – skoro oni nie mają pojęcia, co czynić? I o co teraz ludzie mają się modlić, skoro słońce sprowadza na nich wroga, a znowu deszcz przeszkadza im w żniwach?

Słowa te padły pewnego dnia z ust staruszka, kiedy ten, choć sam dawno już nie pracował, przyszedł do Ling Tana obejrzyć zbiory. A Ling Tan odpowiedział stanowczo:

– Ja będę modlił się o to, o co modliłem się zawsze, gdy zboże na polu dojrzało. Będę się modlił, żeby świeciło słońce i żebym mógł skończyć młóckę, a także zrobić zapasy na zimę.

– Masz rację, mój synu – zgodził się stary człowiek. – I powiem ci, że takie modlitwy są bez wątpienia rzeczą dobrą.

Ale żaden z wieśniaków posiadających podobną ilość ziemi jak Ling Tan nie mógł zmagazynować całego zebranego z własnych pól ziarna. Każdy z nich część swoich zbiorów musiał przeznaczyć na handel. Niektórzy sprzedawali w mieście także i gotową żywność, której tam brakowało. Inni natomiast wykopywali głębokie doły w ziemi, by tam przechować zapasy na zimę, zabezpieczone przed ogniem i zniszczeniem. Ling Tan, aczkolwiek niechętnie, udał się do miasta, by sprzedać trochę swojego ryżu. I poszedł tam sam, bo przecież w domu nie było już jego drugiego syna.

Ale najpierw zaczekał na porządny deszcz. Gdy ten nadszedł, włożył płaszcz z zachodzących na siebie liści trzciny, po którym niczym po upierzeniu kaczki mogła spływać woda, i ruszył do miasta, zamierzał tam bowiem sprzedać część ryżu. Droga do miasta trwała tego dnia dwa razy dłużej niż zwykle, ponieważ Ling Tan musiał brnąć przez bioto. Mimo to, idąc, czuł, że to, co robi, ma sens, i nie spieszył się zbytnio. Ten dzień okazał się jednak naprawdę smutny, gdyż od ostatniej jego wyprawy do miasta przybyło tam sporo ruin, ludzie bogaci i tacy, co wnosili do miasta radość, uciekli stamtąd, a ci, którzy pozostali, wyglądali wprost żałośnie.

To miasto cechowała jednak jakaś dzielność, bo ludzie, którzy go nie opuścili, nie oddawali się bynajmniej utyskiwaniom. Nie planowali też ucieczki. W wielkich sklepach, gdzie handlowano ryżem, choć z ich poprzedniej liczby została tylko połowa, kupcy targowali się o ceny, twierdzili też uparcie, że nie opuszczą miasta bez względu na to, co się wydarzy. Bo przecież ludzie muszą jeść, a ryż jest ich podstawową strawą. A gdy Ling Tan zażądał za swoje ziarno ceny wyższej niż kiedykolwiek przedtem, zapłacili mu bez protestu. Cóż, pomyślał wtedy sobie, na tym polega widocznie dobra strona tych okropnych czasów. Potem wrócił do domu zadowolony, że kieszeń ma pełną srebra otrzymanego od kupców w zamian za obietnicę, że w przyszłości swój ryż przyniesie znowu do nich.

Jednakże wieści, które tam usłyszał, nie były dobre. Okazało się bowiem, że teraz miasto opuszczają biali cudzoziemcy. Ling Tan nie znał co prawda żadnego z nich, ponieważ jednak już przedtem przeżywał złe czasy, wiedział doskonale, że ucieczka cudzoziemców z miasta jest czymś podobnym do ucieczki szczurów z okrętu. Dlatego słysząc te pogłoski, nabrał pewności, że zbliża się coś najgorszego.

– Wszyscy nie uciekną, ojciec – zauważył wieczorem Wu Lien, usłyszawszy te nowiny. – Zawsze znajdzie się dwóch, trzech czy dziesięciu, którzy zostaną, bo uważają że tu jest ich miejsce. Większość jednak odejdzie. I przyznaję, to jest zła wiadomość. Cudzoziemcy bowiem mają swoje sposoby, dzięki którym potrafią sprawdzić, co w danym czasie dzieje się w każdym miejscu na świecie. Gdy my nie wiemy nic zgoła, oni są o wszystkim świetnie poinformowani.

– Czy to dzięki jakimś czarom? – zapytała Orchidea.

– Cudzoziemcy chwytają wieści z powietrza i przesyłają słowa po drutach – odrzekł jej na to Wu Lien, a ona otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

– Mam nadzieję – zawołała wreszcie – że nigdy w życiu nie spotkam żadnego cudzoziemca! Bo gdyby to się zdarzyło, umarłabym ze strachu!

Ale Wu Lien gardził taką ignorancją.

– Ja ze dwa czy trzy razy gościłem ich w swoim sklepie – powiedział. – Przychodzili kupować pewne zagraniczne towary. Płacili jak każdy, mieli po dwie nogi tak jak my, każdy z nich miał też właściwe sobie rysy twarzy. Tylko ich kolor i zapach były jakieś dziwne.

– A potrafili mówić? – pytała dalej Orchidea.

– Tak. Jednak mówili śmiesznie, jak dzieci – powiedział Wu Lien pobłażliwym tonem.

– Ale ja i tak nie chciałabym ich spotkać – odrzekła Orchidea.

– No cóż, to wcale nie jest konieczne – powiedział Wu Lien, po czym zwrócił się do

Ling Tana. – Cokolwiek ma nastąpić, ojczy, lepiej żeby nastąpiło szybko. Kiedy miasto padnie, jeżeli paść musi, wtedy znikną przynajmniej te latające statki, a ja będę mógł wrócić do domu i otworzyć ponownie swój sklep.

Ling Tan nie wyjawiał swoich myśli. A pomyślał, że przecież wielu prowadzi nadal swoje sklepy w mieście. Dlaczego więc Wu Lien tam jeszcze nie wrócił? Ling Tan wiedział, że na świecie są ludzie, których cechuje wielka odwaga. Wiedział też, że są tacy, którym jej brakuje. Jeżeli zatem Wu Lien należy do tych drugich, to da się to stwierdzić, ale dopiero wtedy, gdy zięć znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– To nastąpi już niedługo – powiedział uprzejmie. – Więc zostań tu do tego czasu.

W tych dniach przez dom Ling Tana przewijało się wielu uciekinierów. A on zwracał się do nich wszystkich po kolei z takimi słowami:

– W dalekich stronach, w które się udajecie, mam syna i synową. Mój syn to wysoki młodzieniec. Poznacie go, bo oczy ma bardzo błyszczące i czarne. Natomiast jego żona prawie dorównuje mu wzrostem i nosi w sobie dziecko, które ma się wkrótce urodzić. Jeżeli ich spotkacie, powiedzcie im, że my wciąż żyjemy i że u nas wszystko się toczy po dawnemu.

Nie jeden obiecywał, że poszuka syna Ling Tana i jego synowej, a Ling Tan bardzo pragnął, żeby ktoś z nich wrócił, przynosząc od tych dwojga wieści. Jednak nie wrócił nikt.

Nadszedł dziesiąty miesiąc tego roku. Lecz któż mógł stwierdzić, czy będzie lepszy od dziewiątego, czy gorszy? Po polach, jak zawsze jesienią, spacerowały białe gęsi. Szukały na ziemi ziaren po żniwach. Niebo w górze było błękitne, a zielona trawa na zboczach pagórków zrudziała, gotowa pod kosę. Ling Tan oraz jego bliscy wyszli z domu, żeby ją ścinać i magazynować na zimę. Również i tym razem w domu został Wu Lien, który nie potrafił trzymać kosy. A także starsza córka Ling Tana, której ojciec polecił zastąpić w gospodarstwie matkę. Natomiast Ling Sao, która potrafiła kosić tak samo dobrze jak mąż, poszła ze wszystkimi. I tak dzień po dniu pracowali wspólnie na porośniętych trawą zboczach. Ścinali długą trawę i wiązali ją w snopki. A wieczorem nieśli te snopki do domu – schowani pod nimi tak, że widać było tylko nogi – i układali je następnie pod ścianą. Mieli zatem już strawę, a teraz także zgromadzili opał.

Cokolwiek się teraz zdarzy, zdołam wykarmić rodzinę, pomyślał Ling Tan.

Dziesiątego dnia dziesiątego miesiąca odpoczywali, gdyż było to święto. Tego dnia do wioski przybyło dwóch studentów. Tak, tylko dwóch, co zdumiało Ling Tana, bo poprzednio



rok po roku w to święto studenci ciągnęli na wieś niczym szarańcza. I przemawiali do wieśniaków na uliczkach i w herbaciarniach, instruując ich, jak powinni postępować. Ze powinni się uczyć czytać, myć się codziennie, zabijać muchy i komary oraz trzymać się z daleka od chorych na ospę.

– Czy mamy zatem zostawić chorych ich losowi, pozwolić, żeby umierali? – zapytała pewnego razu Ling Sao, słysząc tego rodzaju radę.

Wieśniacy słuchali studentów i śmiali się ze wszystkiego, co mówią. No i wierzyli im albo nie, bo przecież byli to ludzie młodzi, a to, czego nauczyli się z książek, nie zostało sprawdzone przez pokolenia ojców i synów. Jednakże dziesiątego dnia dziesiątego miesiąca tego roku wyruszyło ich na tereny wiejskie naprawdę niewielu – do wioski Ling przyszło zaledwie dwóch – a to, co mówili, różniło się od ich nauk z lat poprzednich.

Obaj byli chudzi i żółci od ślęczenia nad książkami. Włosy mieli długie i nosili zagraniczne okulary, a ubrani byli w niebieskie studenckie kaftany i spodnie. No i sprawiali wrażenie, że się spieszą, że chcą jak najprędzej stąd odejść.

– Posłuchajcie – rozpoczął jeden z nich swoją przemowę – posłuchajcie, nasi starsi bracia, co mamy wam do powiedzenia. Wróg się zbliża, a wy powinniście wiedzieć, co was czeka, gdy się tutaj pojawi. Nie spodziewajcie się pokoju, bo go nie będzie. Wrogowie będą wami rządzić i zrobią z was swoich niewolników. Ogłupią was za pomocą opium i zabiorą wam wszystko, co posiadacie. Bo ci ludzie, ci nasi wrogowie, gdziekolwiek się pojawili, zawsze plądrowali domy, a także grabili sklepy z żywnością. Zgwałcili też wiele kobiet.

Ten świąteczny dzień był pogodny i chłodny. Zatem Ling Tan, nie mając nic do roboty, wyszedł z domu i udał się do herbaciarni. Chciał bowiem sprawdzić, czy jak zwykle z okazji święta występują tam wędrowni aktorzy. Aktorów jednak nie było. Ling Tan zastał w herbaciarni tylko owych białych młodzieńców. Usiadł więc, żeby ich posłuchać. Byli tam też inni wieśniacy, a wśród nich kuzyn Ling Tana wraz z żoną i synem – tym, który kochał się w Nefryt.

– Żołnierze zawsze robią takie rzeczy – zawołał głośno Ling Tan, usłyszawszy słowa studentów. – A co do opium, to w czasach mojego dziadka władze naszego miasta także zmuszały ludzi do jego uprawiania, bo mogły ściągać od nich podatek.

– Ale gdy to wróg robi nam takie rzeczy, sytuacja jest znacznie gorsza – odkrzyknął z gniewem jeden z młodych ludzi.

– Co do mnie – odezwał się kuzyn Ling Tana – to widziałem wroga. Włosy i oczy miał takie same jak my. I skórę także takiego samego koloru. Różnił się od nas tylko tym, że był niski i miał krzywe nogi. Ale tak w ogóle to był do nas bardzo podobny. Gdyby potrafił

mówić naszym językiem, mógłby z łatwością uchodzić za jednego z nas. Nie tak jak ci biali cudzoziemcy, którzy mają wygląd diabłów wcielonych.

Nie wiedzieć czemu ta wypowiedź jeszcze bardziej rozgniewała młodych przybyszów.

– Po co strzępić sobie języki przed takimi prostytutkami – powiedział jeden do drugiego.  
– Ci ludzie nie mają pojęcia, co znaczy kochać swój kraj. Tak długo jak są w stanie napełnić brzuchy i wyspać się porządnie, nic ich nie obchodzi. Tak, tak, oni nie chcą niczego więcej i jest im obojętne, kto nimi rządzi.

Słyszając te słowa, wieśniacy zapalali gniewem. A Ling Tan okazał go pierwszy.

– Nasi rodzimi władcy nie traktowali nas dobrze – zawołał. – Nakładali na nas podatki, a nawet pożerali nasze ciała. A jaka to różnica dla tego, kto jest pożerany, czy pożera go tygrys, czy lew?

Wypowiadając te słowa, schylił się, wziął grudkę ziemi i cisnął nią w kierunku młodych ludzi. A pozostali wieśniacy poszli w jego ślady. Studenci wzięli nogi za pas. I nie pojawili się już w wiosce przez długie dni i miesiące. Tak właśnie upłynął Ling Tanowi ten świąteczny dzień.

Wieczorem Ling Sao zabiła kurę, by przyrządzić świąteczny posiłek, spuściła krew i zrobiła krwawą kiszkę, którą dzieci zjadły zbyt łapczywie. Skutek był taki, że dwoje z nich pochorowało się w nocy. Dlatego nazajutrz rano Ling Tan ucieszył się, że znowu jest zwykły dzień i że on sam, zamiast próżnować, może zabrać się do pracy.

Jednak teraz zastanawia! się nad tym, co poprzedniego dnia zarzucili mu tamci młodzi ludzie, twierdząc, że nie kocha swojego kraju. A był to czas przygotowywania pola pod ozimą pszenicę. Więc orząc, Ling Tan spoglądał na ciemne grudy ziemi.

Czy ja tej ziemi nie kocham? – myślał. I czyż ta ziemia nie jest moim krajem? Młodzi ją opuścili, odeszli, ratując siebie. Zrobił tak też i mój syn, a także jego żona Nefryt. Jednak ja kocham tę ziemię zbyt mocno, by ją opuścić. Więc choćbym miał umrzeć, zostanę tutaj, w swojej wiosce. Czyż więc człowiek może kochać swój kraj bardziej ode mnie?

Nie mógł jednak tych swoich myśli przekazać nikomu, bo nawet jego żona nie potrafiła ich zrozumieć. Były rzeczy, na których Ling Sao się znała i o których mógł z nią mówić. Jednak rozważania tego rodzaju do nich nie należały. Ling Tan cenił je i zachowywał dla siebie. I nigdy, przenigdy o nich nie zapominał.

Każdego deszczowego dnia, zgodnie z daną kupcom obietnicą, Ling Tan szedł do miasta z pewną ilością ryżu. Któregoś dnia chciał sprzedać trochę więcej. Poszli z nim zatem jego dwaj synowie. A w mieście wszyscy trzej usłyszeli przekazywaną z ust do ust złą nowinę. Głosiła ona, że wróg pokonał wszystkie broniące się oddziały i teraz maszeruje

prosto na nich. Po raz pierwszy nowina dotarła do ich uszu za pośrednictwem kupców w sklepie z ryżem, do którego przyszedli sprzedać swoje plony.

Kupcy ci – sześciu braci, którzy odziedziczyli sklep po swym ojcu i wujach – byli poważnymi i dobrymi ludźmi. Ich słowa należało więc brać pod uwagę.

– Nie wiem, kto będzie ten ryż jadł – powiedział najstarszy, odmierzając ziarno Ling Tana. – Możliwe jest bowiem, że wrogowie wkroczą do miasta, zanim zdążymy go sprzedać. Na wybrzeżu nasze wojska zostały pokonane i teraz wszyscy powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, co nas czeka. Władze uciekły, a siedziba rządu została przeniesiona z naszego miasta w głąb kraju.

Tego dnia w sklepie braci panował zamęt, ponieważ doszli oni do wniosku, że ze względu na swoje obowiązki wobec przodków nie powinni wszyscy przebywać w tym samym miejscu równocześnie. Gdyby bowiem cała szóstka straciła życie, nie zostałby nikt, kto mógłby utrzymać i przekazać potomkom rodowe nazwisko. Urządzili zatem losowanie i tą drogą wybrali dwóch spośród siebie, którzy udadzą się na zachód, i kolejnych dwóch, którzy pójdą na południe. A pozostali dwaj, najmłodszy i najstarszy, mieli zostać na miejscu. W sklepie leżało więc teraz mnóstwo tobołków i pakunków. Były tam też zdenerwowane kobiety i płaczące dzieci, a bracia, bardzo nieszczęśliwi, zastanawiali się, czy się jeszcze kiedyś spotkają. Bo przecież w takich okropnych czasach nikt nie ma pojęcia, co mu przyniesie los. Ling Tan i jego dwaj synowie stali i czekali na to, by ich ryż został odmierzony i by wypłacono im pieniądze. Czekali, a w ich sercach narastał strach. Jaki naprawdę jest ten wróg? – zadawali sobie w duchu pytanie. Co stanie się z tymi, co zostaną na miejscu? Czy lepiej będzie zostać, czy może uciekać?

Pytali o to siebie w duchu, lecz milczeli. I dopiero gdy ryż został odmierzony, a oni dostali do ręki pieniądze, Ling Tan się odezwał.

– Kiedy mamy spodziewać się tych wrogów? – zapytał.

– Za niecały miesiąc, jeżeli nic im nie przeszkodzi – odrzekł najstarszy z kupców.

– A czy nie zrobią tego nasze władze? Czy one im nie przeszkodzą? – pytał dalej Ling Tan.

– Wrogowie mają broń, jakiej brakuje naszym żołnierzom – odrzekł kupiec. – Gdy my zajmowaliśmy się budową szkół i dróg, oni konstruowali wielkie działa i statki, morskie i powietrzne. Więc teraz nie pozostaje nam nic innego jak walka gołymi rękami.

Ling Tan nie odezwał się już ani słowem. Zabrał synów i wśród chłodu tej późnej pory roku ruszyli do domu. Ling Tan przez całą drogę zastanawiał się nad słowami kupca. Kupiec miał rację. Ich przodkowie od najdawniejszych czasów uczyli swoje dzieci, że człowiek

dobry nigdy nie zostanie żołnierzem. A człowiek kochający się w wojnie jest niegodnym szacunku nędznikiem. Tak, tak uczyli, a dzieci wierzyły ich słowom.

Co do mnie, pomyślał Ling Tan, wierzę w to nadal. Lepiej jest bowiem żyć, niż umierać. A pokój jest lepszy od wojny. I choć niektórzy, na przykład rozbójnicy, zaprzeczają temu, prawda jest właśnie taka.

Jednakże jeszcze tego samego dnia, gdy dotarł do domu, sprawdził, jak mocna jest ich brama i jak wytrzymałe ma zawiasy. Załatał też dziury w murze, zabił deskami wychodzące na zewnątrz małe okienko w kuchni i postanowił, że w razie pojawienia się wroga każe całej rodzinie zostać w domu i tylko on sam, jeśli to będzie konieczne, podejździe do bramy. Do jego serca zakradł się nowy strach – strach przed nieznanym, które ma wkrótce nadejść. Pomyślał też, że nigdy dotąd nie cenił życia tak jak w ciągu tego krótkiego okresu zbliżania się wroga. Czuł się teraz jak ktoś, kto liczy ostatnie swoje godziny. Wyraźniej też niż kiedykolwiek dotąd dostrzegał urodę pagórków i odczuwał, jak droga mu jest ta ziemia. Nawet twarze bliskich były mu teraz droższe niż kiedyś. Najmłodszej córce, Pansiao, kupił nowy kaftan z błękitnego jedwabiu, dla Ling Sao nabył dziesięć stóp pięknej białej bawełny, jakiej nie dałoby się utkać na ich domowych krosnach, synom wręczył po dziesięć sztuk srebra, wnukom po małej srebrnej monecie, a najstarszej córce podarował piękny lniany obrus. Żadne z nich nie wiedziało, co myśleć o tych niespodziewanych prezentach. Tymczasem Ling Tan pragnął, żeby zdawali sobie sprawę, jak bardzo on w tych ostatnich dniach pokoju jest im i całemu światu życzliwy. Kiedy spoglądali na niego zaskoczeni, powiedział:

– Teraz jeszcze mogę to dla was zrobić. I nie mam pojęcia, czy w przyszłości będę w stanie dać wam cokolwiek w prezencie.

Wzięli podarunki z radością, poczuli się jednak nieswojo, bo wyglądało to tak, jakby Ling Tan miał niedługo umrzeć.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytała go w nocy zaniepokojona żona. – Wydaje mi się, że nie jesz z takim apetytem jak dawniej. Wyczuwam też, że jesteś jakiś zmieniony.

– Ja się nie zmieniłem – odrzekł jej na to z powagą. – I nigdy się nie zmienię. Zapewniam cię, że aż do chwili śmierci będę tym samym człowiekiem co teraz. I że nie umrę prędko.

Powiedział to jednak tonem tak dziwnym, że Ling Sao popatrzyła na niego uważnie. Już miała się odezwać, jednak zmilczała. Była bowiem świadoma, że jej mąż jest

człowiekiem, który wie, co robi. Tak, tak, Ling Tan wiedział, dlaczego postępuje tak a nie inaczej. A kobieta żyjąca u boku takiego człowieka może milczeć, mając pewność, że wszystko potoczy się tak jak trzeba.

# VI

Na początku jedenastego miesiąca wróg podszedł już do miasta. Gdy w pogodny dzień pracujący w polu Ling Tan podniósł głowę, słyszał wyraźnie odgłosy bitwy, które brzmiały jak odległy przeciągły jęk. Od czasu do czasu docierał też do jego uszu niski ryk dobiegający ze wschodu. Nikt w wiosce nie wiedział, skąd on pochodzi, dopóki pewnego dnia ludzie powracający z miasta nie powiedzieli, że to ryczą ogromne, zagraniczne działa wroga.

Strumień uciekinierów już wysechł. Wszyscy, którzy mogli uciec, uciekli. Zostali tylko ci, którzy musieli pozostać na miejscu bez względu na to, co się miało wydarzyć. Ling Tan całymi dniami oddawał się zimowym zajęciom gospodarskim, a nocami przesiadywał do późna, wyplatając sandały z mocnej ryżowej słomy. Raz spadł niewielki śnieg i ozima pszenica zazieleniła się pod nim, jednak wkrótce stopniał. A każdy kolejny dzień przynosił nowe złe nowiny.

Siódmego dnia tego miesiąca uciekł ostatni przedstawiciel władzy. W mieście zostało tylko wojsko, mające walczyć z wrogiem, który był już bardzo blisko. Jednakże któraż armia wykaże się odwagą w takiej sytuacji? Mieszkańcy miasta nowinę o ucieczce władz powitali jękiem, a wieśniacy żyjący w promieniu dwudziestu mil od niego zaczęli się zbroić. Powyciągali noże, miecze odziedziczone po ojcach, a także widły oraz stare strzelby, zakupione dawno temu na złodziejskich targach w obawie przed bandytami. Teraz jednak musieli się bronić przed własnymi wycofującymi się wojskami. Wiedzieli bowiem, że żołnierz w odwrocie, bez względu na to, pod jaką służy flagą, bierze wszystko, co mu wpadnie w ręce, świadom, że nie wróci więcej w to samo miejsce, a zatem krzywda, jaką wyrządzi ludziom, pójdzie na rachunek kogo innego. Ling Tan uzbroił się w stary pałasz po pradziadku. Pałasz ten przez dwa pokolenia spoczywał na dnie kufra ze świńskiej skóry, teraz jednak został stamtąd wyjęty, a Ling Sao wypolerowała go popiołem. Ling Tan machnął tą bronią kilka razy, po czym, przekonawszy się, że można nią ciąć jak kosą, powiesił pałasz na gwoździu przy bramie, chcąc go mieć pod ręką. Minęło pół miesiąca. Wszyscy w wiosce zdawali sobie sprawę, że każdy kolejny dzień może być ostatnim dniem ich wolności. Nauczyli się też oceniać bliskość wroga po coraz wyraźniejszych odgłosach toczącej się bitwy. Wielkie działa ryczały teraz tak blisko, że na stołach wieśniaków podskakiwały

czasami talerze, a dzieci wybuchały płaczem.

W ciągu ostatnich kilku dni najgorsze wiadomości, jakie dotarły do Ling Tana, pochodziły od ludzi, którzy mieszkali najbliżej miasta, i trzeba tu nadmienić, że Ling Tan i jego krewni mieli szczęście, że ich wioska leżała o ponad trzy mile od niego, gdyż żołnierze, chcąc zapobiec splądrowaniu okolicy przez wroga, spalili wsie położone najbliżej. Nieszczęśni gospodarze wraz z rodzinami napłynęli do wioski Ling Tana. Szli, dźwigając na plecach uratowany dobytek, a ich dzieci bujały się w koszach zawieszonych na drągach opartych na ramionach dorosłych. Wszystko to przypominało ów rok, w którym głód pogał ludzi w głąb kraju. Gdy Ling Tan zapytał przybyszów o przyczynę, dla której wyruszyli w drogę, oni odrzekli:

– Nasze domy i zbiory zostały spalone. Nasza ziemia jest teraz pogorzeliskiem. Więc po co mamy tam siedzieć? Czy po to, by dać się zabić?

A potem pospiesznie ruszyli dalej.

Tego dnia przy wtórze ogłuszających odgłosów bitwy Ling Tan wyszedł z domu i rozejrzał się po swoich polach. Czy i ja także powinienem zamienić swoją ziemię w pogorzelisko? – pomyślał. Ale dokąd w takim razie miałbym się udać z całą rodziną, tyłoma kobietami oraz małymi dziećmi? Kto by ich wszystkich wykarmił, gdyby nasz ryż i trawa zostały spalone? Nade wszystko jednak od ucieczki powstrzymywało go pragnienie pozostania na swoim kawałku ziemi.

– Gdybym mógł moje pola zrolować i zabrać ze sobą – rzekł pewnej nocy do żony – wtedy odszedłbym stąd. Jednak gleba, którą orzę i obsiewam, sięga głęboko pod skórę ziemi. Tak, ona wnika głęboko w jej wnętrze, więc nie zrezygnuję z niej tak po prostu. Zostanę w domu bez względu na to, kto tu przyjdzie. Zostanę i utrzymam w swoich rękach tę ziemię.

– A zatem, mój mężu, ja zostanę z tobą – odrzekła mu na to Ling Sao.

Dni mijały, a ludzie po ucieczce władz utwierdzili się tylko w swojej determinacji. Wiedzieli bowiem doskonale, że prócz nich nie został nikt inny, kto mógłby stawić czoło wrogowi. Wiedzieli też, że to, co teraz nastąpi, będzie zależało tylko od nich – od wszystkich razem i każdego z osobna. Kiedyś bywało tak samo. I działo się tak wiele razy, bo władze, gdziekolwiek by rządziły, są zawsze pierwsze do ucieczki. Natomiast lud zostaje na miejscu, by stawić opór. A tymczasem z godziny na godzinę narastał zgiełk bitwy.

Dziesiątego dnia owego miesiąca niczym wiatr wiejący przez pola nadleciała wiadomość: wróg nadejdzie za trzy dni. Szczęśliwie ziemia Ling Tana miała położenie korzystne, leżała po przeciwnej stronie miasta niż ta, z której nadciągał wróg. Zatem wróg

miał najpierw wkroczyć do miasta, a dopiero później do ich wioski. Równocześnie jednak Ling Tan miał pecha, bo broniące miasta rodzime wojska, rzuciwszy się po jego upadku do bezładnej ucieczki, grabiły okolicę bez litości. Całą tę armię stanowili oszaleli z przerażenia ludzie, pragnący tylko jednego: znaleźć się jak najdalej stąd. Byli oni na dodatek pozbawieni dowództwa, które uciekło już wcześniej, nie dbając o to, że hańbi się w oczach wroga.

Przed tymi to właśnie ludźmi Ling Tan musiał teraz zamknąć swoją bramę. Umocnił ją tak solidnie, że dobijający się żołnierze odchodzili, bo spiesząc się bardzo, nie mieli czasu jej wyłamać.

Przekonawszy się, że brama łatwo nie ustępuje, szli dalej, by grabić gdzie indziej. A dom Ling Tana pozostawał bezpieczny. Jednak zniszczenia, których dokonywali tak w jego wiosce, jak również w sąsiednich, były straszliwe. Dlatego pośród poszkodowanych znalazło się wielu takich, co krzyczeli, że sam wróg nie mógłby okazać się gorszy od tych żołnierzy. Niektórzy powiadali nawet wprost, że woleliby, żeby ten wróg nadszedł i rozpoczął tu swoje rządy, bo zaprowadziłby przynajmniej porządek. A porządek był bardzo potrzebny, ponieważ teraz, niby złe chwasty, wszędzie panoszyli się rabusie i bandyci. Gdy tylko któryś z wieśniaków sprzedawał swoje zbiory i miał trochę pieniędzy, ci bezdomni włóczędzy, niczym psy kierujące się węchem, natychmiast się o tym dowiadywali. Zjawiali się też zaraz nocą i ograbiali biedaka. Tak zatem do wszystkich innych wojennych zgryzot dołączyło się i to znane od wieków nieszczęście.

Jednym z tych, którzy za wszelką cenę pragnęli porządku, był zięć Ling Tana, Wu Lien. Kiedy przez wioskę przewaliło się już pokonane rodzime wojsko, wyszedł on z domu, przespacerował się w tę i z powrotem wiejską uliczką i rozejrzał się naokoło, a widząc, że wszystkie sklepiki zostały ograbione, że w piekarni nie został ani jeden bochenek chleba i właściciele sklepów zostali bez grosza przy duszy, aż jęknął głośno.

– Czyż może być coś gorszego niż to, co zrobili nam nasi żołnierze? – powiedział, wróciwszy do domu, i oznajmił rodzinie: – Gdy tylko wróg zajmie miasto, pójdę tam i otworzę ponownie swój sklep. Sądzę bowiem, że po wkroczeniu wroga może być tylko lepiej.

– A wiesz, mój zięciu – odrzekł mu na to Ling Tan – jeżeli po wejściu wroga do miasta okaże się, że miałeś rację, przyznam ci ją chętnie. I podobnie jak ty uznam rządy najeźdźców za swoje własne.

Powiedział tak, bo niedawno, gdy uciekający żołnierze przebiegali obok jego domu, wspiął się na dach, skąd, sam niewidoczny, mógł przyjrzeć się temu, co się dzieje. I wpadł w



taki gniew, że miał ochotę rzucić się na tych dzikich, bezwzględnych ludzi. Tak, tak, on, stary człowiek, miał ochotę to zrobić, choć oczywiste było dla niego, że każdy mężczyzna, który zostaje żołnierzem, wyzbywa się swego człowieczeństwa i cofa się do stanu zwierzęcego, w którym żył w poprzednim wcieleniu.

Wreszcie jednak to się skończyło – przez wieś przeszli już wszyscy wycofujący się żołnierze. Nastął okres ciszy pomiędzy ucieczką obrońców a nadejściem wroga. Wtedy Ling Tan zwołał wieśniaków do herbaciarni. Zaczęli radzić, jak mają przyjąć najeźdźcę. Byli aż nadto świadomi, że czasu zostało im niewiele.

– Ci przybysze z pewnością zorientują się od razu, że my nie mamy zamiaru się bronić – zagaił Ling Tan. – A każdy wie, że nawet wróg nie atakuje tych, którzy mu się podporządkują. Pomyślmy zatem, jak w sposób uprzejmy przyjąć tych, co nas zwyciężyli. Nie możemy zrobić tego z fałszywą grzecznością, musimy natomiast dać im do zrozumienia, że jesteśmy ludźmi rozumnymi, którzy potrafią pogodzić się z tym, co przynosi im los.

Wszyscy jednogłośnie zgodzili się z tymi słowami. A niektórzy zaczęli pytać:

– Kiedy i z której strony nadejdzie ten wróg? I na której drodze mamy go przywitać?

– I jak powinniśmy to zrobić? – pytali inni.

Pytali, bo żaden z tych ludzi nigdy dotychczas nie widział cudzoziemskiego zwycięzcy, a choć wszyscy mieli nadzieję, że nie będzie tak źle, i każdy powtarzał, ile to dobrego słyszał o cudzoziemcach, to nie mieli zielonego pojęcia, co im należy powiedzieć i jak powinni się zachować ludzie przez nich pokonani.

W pewnej chwili głos zabrał mądry dziewięćdziesięcioletni starzec.

– Posłuchajcie, ludzie – powiedział – jakież my znamy zwyczaje oprócz naszych własnych? Postąpmy zatem tak, jakbyśmy witali własną szlachtę przybywającą do naszej wioski.

Z szacunku dla wieku starca wszyscy nadstawili uszu i zaraz uznali jego słowa za najlepszą radę. A potem postanowili, że gdy usłyszą, nadciągającego wroga, wylegną gromadą z wioski ze starcem na czele, że przygotowują herbatę, a także drobne ciasteczka i owoce, i że w ten właśnie sposób – przyzwoicie i z honorem – odbędzie się zajęcie ich wioski. Gdy wszystko zostało zaplanowane, odezwali się głośno ci, co po przybyciu wroga mieli nadzieję przynajmniej na ład i pokój. Twierdzili oni, że cudzoziemskim zwycięzcom nie będzie wcale trudno okazać się dla wieśniaków lepszymi niż ich własne władze.

Omówiwszy to wszystko, wezwali właściciela herbaciarni, a gdy ten się zjawił, polecili mu, by przez następne dni miał w pogotowiu herbatę i drobne ciasteczka. Na co on odrzekł, że upiecze ciasteczka sezamowe. Po czym wszyscy się rozeszli, by w domach czekać

na nadejście wroga.

Oczekiwanie trwało kilka dni, a w ciągu tego czasu znaleźli się w wiosce tacy, co udali się do miasta, by kupić małe papierowe chorągiewki, które zamierzali trzymać w dłoniach, witając wroga. Po powrocie opowiadali sobie na pocieszenie, że w mieście też chodzą słuchy, że cudzoziemcy są lepsi od swoich i że w obcych krajach jest więcej ładu i porządku niż w ich własnym. W ten sposób, z nadzieją i strachem, czekali wszyscy na dzień nadejścia wroga.

Zaświtał w końcu trzynasty dzień jedenastego miesiąca. Ling Tan, wstając tego dnia rano, już wiedział, co się święci. Wszelkie odgłosy bitwy ucichły. Naokoło panował taki spokój jak dawniej, jak w czasach, gdy wróg nie pojawił się jeszcze nawet na wybrzeżu. Był to pierwszy zimowy poranek i ziemię pokryła biała szadź spowodowana pierwszym mrozem. Ling Tan wstał wcześniej, bo ostatnio, noc w noc, źle sypiał. Podeszedł do bramy i spojrzał na swoje pobielone pola. I zobaczył, że pod szadzią zieleni się ozima pszenica. Czy zbiorę tę pszenicę? – zastanawiał się w duchu. Czy, gdy przyjdzie czas żniw, na moim miejscu będzie może ktoś inny? Szadź na krytych strzechach dachach zaczynała już topnieć, a dymy wily się leniwie w górę, bo kobiety rozpały ogień. Ling Tan, nie odpowiedziawszy sobie na swoje własne pytanie, wrócił do domu, gdzie Ling Sao także krzątała się już w kuchni.

Gdy tam wszedł, siedziała za piecem, w miejscu, gdzie przez całe ich wspólne życie zastawał ją bardzo często.

– Dziś jest ten dzień, którego się boimy – powiedział.

– Wiem – odrzekła.

I podniosła oczy, w których on dostrzegł stanowczość i determinację.

– Nie boję się żadnego mężczyzny – stwierdziła.

Te dobrze mu znane słowa miały jednak dzisiaj nowy sens, a Ling Tan doskonale to wyczuł.

– Ja także nie przestraszę się tych ludzi – odrzekł spokojnie.

Po czym umył się w milczeniu i wypłukał usta. Następnie, również nic nie mówiąc, zeszli się po kolei wszyscy członkowie rodziny, by zająć miejsca przy stole. I nawet dzieci, które kiedy indziej krzyczały, śmiały się i kłóciły, czyniąc wiele zamętu, dzisiaj siedziały cicho.

Gdy wszyscy już zjedli, głos zabrał Ling Tan jako głowa domu.

– Spokój nad ziemią – zaczął – mówi mi, że bitwa się skończyła. Nasze wojska wycofały się już z pewnością, a wróg zajął miasto. Jednak tutaj, w wiosce, każdy musi pozostać we własnym obejściu. Żadnemu z was nie wolno wyjść bez mojej wiedzy za bramę. Zwłaszcza kobiety i dzieci nie mogą tego uczynić pod żadnym pozorem. Co do mnie, to będę starał się być w miejscu, z którego widać wszystkie drogi. Jeżeli zobaczę, że zbliża się choćby jeden obcy, zawołam. A tymczasem nikomu z was, zwłaszcza żadnej z kobiet, nie wolno pokazać twarzy. Ten zakaz nie dotyczy jedynie mojego najstarszego syna, ale i on może to zrobić tylko w wypadku, gdy ja sam znajdę się w niebezpieczeństwie.

Wysłuchawszy go, wszyscy członkowie rodziny pochylili głowy. Tak zaczął się ten długi i wypełniony ciszą dzień, który wszyscy mieli spędzić, nie wychodząc poza bramę. Kobiety zajęły się pracą w gospodarstwie, Wu Lien wycofał się do swojej izby, synowie Ling Tana zabrali się do zimowych zajęć – wyplatania sandałów i skręcania sznurów – a sam Ling Tan siedział, paląc fajkę. Jego umysł zastygł w bezruchu, gdyż Ling Tan zamienił się w słuch. Siedział tak przez dłuższy czas. Mimo to nic nie słyszał. W końcu więc doszedł do wniosku, że musi się dowiedzieć, co się dzieje w wiosce i co oznacza ta wielka cisza. Dlatego wczesnym popołudniem uchylił z lekka bramę. Szron zniknął już z pól, a słońce zaczęło dość mocno przygrzewać. Pies, którego wyrzucił za bramę, by ostrzegał przed zbliżającymi się obcymi, skoczył mu do nóg, łaszcząc się i skomląc o jedzenie. W pobliżu nie widać było żadnej innej żywej istoty, ponieważ wszyscy, tak jak Ling Tan, pozamykali się za własnymi bramami, a z miasta nikt nie nadchodził. Nikt też nie spieszył w jego kierunku. Jak okiem sięgnąć, drogi były puste.

Ling Tan wyszedł więc za bramę i stał tam przez chwilę z fajką w dłoni. Spoglądał w stronę miasta, nie dostrzegał jednak oznak wielkiego pożaru. Wysoki mur miejski odgradzał od świata tych, co mieszkali w jego obrębie, i nic nie sygnalizowało jakichkolwiek cierpień doznawanych przez tych ludzi. Gdy Ling Tan stał tak przed domem, zauważyli go inni wieśniacy, którzy również pouchylali swoje bramy. Powoli, jeden po drugim, zaczęli wychodzić z domów; do tych pierwszych dołączali kolejni. Wreszcie na ulicy znalazło się ze dwunastu czy trzynastu mężczyzn, którzy spoglądali po sobie. I wszyscy oni podeszli do Ling Tana.

- Czy któryś z was coś słyszał? – zagadnął ich Ling Tan.
- Nic zgoła – odrzekli, a niektórzy pokręcili przy tym głowami.
- Powinniśmy się chyba czegoś dowiedzieć – zasugerował syn kuzyna Ling Tana.
- Ale jak mamy to zrobić? – odrzekł mu na to Ling Tan. – Czy masz tyle odwagi, żeby pójść do miasta i sprawdzić, co tam się dzieje? Jedynie ty spośród nas nie masz żony ani

dzieci, ani dzieci swoich dzieci, o których musiałbyś myśleć.

– Pójdę – oznajmił krótko młody człowiek. – Bo wcale się nie boję – dodał jeszcze, odrzucając opadające na oczy pasmo długich włosów.

– Zapytaj najpierw ojca o pozwolenie – poradził mu Ling Tan. – Bo ja nie chcę za ciebie odpowiadać, w razie gdyby coś ci się stało.

– Mój ojciec pozwala mi robić, co mi się podoba – odpowiedział krnąbrnie młody człowiek, po czym na dowód, że mówi prawdę, natychmiast, tak jak stał, ruszył w drogę.

Pozostali wieśniacy odprowadzili wzrokiem jego samotną postać oddalającą się w stronę miasta.

– Cieszę się, że on nie jest moim synem – stwierdził jeden, a reszta zgodziła się z nim w zupełności.

I nie mając już nic więcej do dodania, rozstali się. Każdy wrócił do siebie i zamknął bramę. Ling Tan uczynił tak jak pozostali. Nadeszło południe. A potem popołudnie. Godziny płynęły, wokół panowała cisza. I tylko kilka razy przerywał ją na moment odległy ryk działa.

Po popołudniu Ling Sao poczuła się zmęczona, a dzieci – takie dotychczas spokojne i grzeczne – zaczęły w końcu grymasić i jęczeć, że chcą wyjść poza podwórko, by się pobawić. Wu Lien, któremu Ling Sao powiedziała, że syn kuzyna poszedł do miasta, także zapragnął wyjść za bramę. Jednak Ling Tan, bojąc się o niego, nie chciał mu na to pozwolić. Problem polegał bowiem na tym, że Wu Lien wyglądał na bogacza, na którego widok wrogowie mogliby pomyśleć, że ich dom pełen jest różnych dóbr i zapasów żywności.

– Jeszcze kilka takich dni jak dzisiejszy, a ściany naszego domu zostaną rozsądzone od wewnątrz – zauważyła Ling Sao.

Dlatego Ling Tan ustąpił i uchylił z lekka bramę. Okazało się wtedy, że inni wieśniacy zrobili to samo, a na ulicy bawi się kilku chłopców. Bramy niektórych domów były teraz na wpół otwarte, zaczęło też działać lalka sklepów. Ling Tan, uspokojony tym widokiem, zawołał do swoich:

– Kto chce, niech wyjdzie przed bramę. Nie ruszajcie się jednak sprzed niej na krok, żebyśmy nie mieli problemu, kiedy trzeba będzie ją szybko zamknąć.

Wyszli więc zadowoleni i rozejrzeli się wokół, stwierdzając ze zdziwieniem, że wszystko jest takie, jakie było.

– A ja myślałam – roześmiała się Orchidea – że zmieni się nawet kolor ziemi. Przysięgam, że takie rzeczy chodziły mi po głowie.

Ling Tan rozejrzał się także. Zrobił to bardzo uważnie, nie dostrzegł jednak nikogo

obcego. Stwierdził też, że we wsi nie zaszło nic nowego, a ponieważ popołudnie było spokojne, pomyślał, że można by było przejść się do domu kuzyna i sprawdzić, czy są jakieś wieści o jego synu. Ruszył więc ulicą, a zza otwartych bram rozległy się wołania. Niektórzy wieśniacy, śmiejąc się, powiadali:

– Jeżeli atak nieprzyjacielski wygląda w ten sposób, to można go z łatwością wytrzymać!

– Ten nasz wróg zostawił nas w spokoju – stwierdził ktoś inny.

Ling Tan przytaknął mu na odczepnego i poszedł dalej. A w domu kuzyna zastał jego krzątającą się zdenerwowaną żonę. Kobieta złościła się, bo jej syn dotychczas nie wrócił, gdy tymczasem ona ugotowała już kolację i nie chciała marnować opału na jej ciągle podgrzewanie. Wyglądało więc na to, że w tej chwili żonę kuzyna martwi najbardziej marnowanie się suchej trawy. Ling Tan próbował ją uspokoić i powiedział, że może jej syn postanowił wrócić do domu dopiero nocą. Ojciec chłopaka natomiast zdążył już zjeść i teraz spokojnie siedział sobie, dłubiąc w zębach i czytając jakąś starą gazetę.

– Piszą tu – oznajmił – że wrogowie zrzucili ze swoich latających statków ulotki, w których mówią nam, żebyśmy się ich nie bali. Tak, mamy się nie bać, bo oni przynoszą nam tylko pokój i porządek – dokończył.

– A więc to prawda, że nasi wrogowie są dobrymi ludźmi – odrzekł Ling Tan. – No cóż, dzisiejszy dzień w każdym razie z całą pewnością upłynął spokojnie.

I stało się tak, że pocieszyły go jego własne słowa, a on, uspokoiwszy serce, poczuł się nagle zmęczony. Ziewnął więc i przypomniał sobie, jak źle spał tej nocy. Dzień, którego się tak obawiał, już minął, a oni wszyscy żyli. Nie zobaczyli też choćby cienia wroga. Dlatego serce Ling Tana odprężyło się w jego piersi.

– Sądzę, że mogę iść spać – odezwał się do kuzyna. – Pójdę już do domu, ale daj mi znać, kiedy twój syn wróci.

– Dobrze – obiecał kuzyn, po czym, gdy Ling Tan wychodził, podniósł się uprzejmie z miejsca.

Oczy miał jednak utkwione w gazetę, jako że był człowiekiem, który bardziej ceni to, co jest wydrukowane na papierze, niż słowo padające z ust rozmówcy.

Gdy Ling Tan ponownie wyjrzał za bramę, był już zmrok. Ling Tan zdążył tymczasem zjeść posiłek, podobnie jak cała rodzina, a dzieci leżały od dłuższej chwili w łóżkach. On także zamierzał się położyć, postanowił jednak, że przed snem wyjrzy jeszcze za

bramę. Kiedy ją otworzył, wydało mu się, że słyszy jęk. Zaczął więc nasłuchiwać, a po chwili upewnił się, że się nie omylił. Serce zadrżało mu ze strachu. Już miał zamknąć bramę i zaryglować ją porządnie, nie dociekając, czy dźwięk, który usłyszał, wydał duch, czy człowiek, gdy do jego uszu dobiegł słaby głos:

– Kuzynie!

Ling Tan rozwarł więc szybko bramę, wołając na Ling Sao, żeby przyniosła lampę. Ta pojawiła się natychmiast, a po chwili znaleźli się oboje na ulicy i zobaczyli, że na ziemi leży syn uczonego kuzyna. Tak, ten młody człowiek, który tego dnia rano tak samowolnie wyruszył do miasta, leżał przed ich domem.

Ling Tan nie poznałby go, gdyby nie to, że młodzieniec ubrany był w krótki czerwony atłasowy kaftan bez rękawów, który nosił codziennie, bo bardzo go lubił. Kupił go w mieście przed ostatnim noworocznym świętem w sklepie z używaną odzieżą. Wzrok Ling Tana padł więc teraz na czerwony atlas, którego jaskrawy kolor wydawał się jakiś przytłumiony.

– Och, moja matko jedyna, ależ on krwawi! – zawołała w tej samej chwili Ling Sao, po czym oddała mężowi lampę, zamierzając odwrócić młodego człowieka na plecy.

Ling Tan jednak ją powstrzymał.

– Nie dotykaj go – ostrzegł – bo jego rodzice mogą mieć później pretensję, żeśmy mu zaszkodzili. Potrzyмай tylko lampę, a ja ich tu sprowadzę.

Oddał jej lampę, pobiegł ciemną uliczką do domu kuzyna i zabębnił obiema rękami w zaryglowaną bramę. Pies, który był w środku, zaczął natychmiast ujadać. A w chwilę później Ling Tan usłyszał głos żony kuzyna, która pytała, kto tam.

– To ja, Ling Tan! – zawołał. – Wasz syn wrócił z miasta ranny. Jak to się stało, nie wiemy, ale upadł pod naszą bramą, pierwszą, do której zdołał dotrzeć. I teraz tam leży. Nie dotykaliśmy go wcale.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie. Zaraz też zawołała męża. Ten, wyrwany ze snu, nadbiegi chwiejnym krokiem, naciągając po drodze kaftan, i otworzył przed Ling Tanem bramę, bo jego żona, przerażona i zrozpaczona, nie pomyślała o tym. Potem wszyscy troje puścili się biegiem, a pies podążał za nimi. I zaraz znaleźli się w miejscu, gdzie trzymając lampę, stała Ling Sao, a obok niej synowie Ling Tana, których zbudził hałas. Pojawili się też inni wieśniacy. Krótko mówiąc, w ciągu kilku minut wokół młodego człowieka zgromadził się tłum. Nikt jednak go nie tknął, dopóki nie przybyli jego rodzice. Ojciec, spojrzawszy na chłopaka, bardzo się przeraził. Natomiast matka schyliła się natychmiast, odwróciła go i sądząc, że nie żyje, wydała okrzyk rozpaczny.

W migoczącym świetle lampy oczom wszystkich ukazała się twarz tego krnąbrnego

młodego człowieka – blada teraz i całkiem spokojna.

– Czym zostałeś zraniony, mój synu? – zawołała matka prosto do jego ucha.

Jednak syn jej nie usłyszał.

– Och, och, mój syn na pewno się zmartwi, bo jego czerwony atłasowy kaftan został całkiem zniszczony!

To powiedziawszy, odpędziła ręką psa, który wachał teraz krew i rwał się, by jej pokosztować.

Ojciec chłopaka, także rozzłoszczony na psa, dał mu potężnego kopniaka.

– To ja cię wykarmiłem – krzyknął na zwierzę – a ty zamierzasz chłęptać krew mojego syna?!

I zaklął potężnie.

Jednak lamenty i przekleństwa nie były zdolne przywrócić przytomności młodzieńcowi.

– Powinniśmy go zanieść do domu – odezwał się w końcu Ling Tan – i położyć do łóżka. A potem wezwać lekarza, który sprawdzi, jak ciężka jest rana.

Powiedział to łagodnie, kierując się dobrocią serca, jednak matka młodzieńca rzuciła się na niego z przekleństwami.

– To wszystko przez ciebie – zawołała – bo to ty posłałeś go dziś rano do miasta! Wiem to, bo powiedzieli mi o tym ludzie! Mój syn nie poszedłby tam z własnej inicjatywy... Wychodził rano z domu, nawet nie myśląc o czymś takim... Ale ty potem, ty... powiedziałeś...

Ling Tan zaczął się bronić. Popatrzył na swoich synów, a następnie na sąsiadów, wzywając ich na świadków.

– Powiedźcie – zaczął – czyż nie oznajmiłem synowi mojego kuzyna, że nie powinien iść do miasta bez pozwolenia ojca? I czyż go nie zapytałem, czy idzie z własnej woli?

– Tak właśnie było! – zawołali, broniąc go przed oskarżeniami, więc kobieta zamilkła.

Ling Tan wybaczył jej jednak te słowa, wiedział bowiem, że ten gniew wynikał z rozpacz. Pochylił się i uniół głowę młodego człowieka, a uczonemu kuzynowi kazał chwycić go za nogi. Matka natomiast podtrzymała korpus. I tak go zanieśli do domu, a potem położyli na łóżku i przykryli. Skąd jednak mieli wziąć lekarza? Prawie wszyscy lekarze przecież stąd uciekli. A ci, co zostali, mogli być tylko w mieście. Ale któż miałby teraz odwagę tam pójść? Któż by się na to zdecydował po tym, jak młodzieniec wrócił w takim stanie? Nikt oczywiście. I wszyscy, z wyjątkiem Ling Tana, wrócili do siebie. Ling Tan natomiast został przy łóżku młodzieńca razem ze swoim uczonym kuzynem i jego żoną.

Wierzył bowiem, że chłopak nie umarł. Był przekonany, że jest tylko ranny i osłabiony z upływu krwi, bo choć dłonie i stopy miał zimne, to jego ciało w okolicach serca zachowało normalną temperaturę. Ling Tan poprosił więc kuzyna o odrobinę grzanego wina, a potem wlał je chłopakowi do ust i choć nie usłyszał, żeby ten przełykał, to zauważył, że wino zniknęło. Wlał mu więc kolejną porcję i powtórzyło się to samo. Tymczasem żona kuzyna lamentowała głośno, obwiniając zarówno wszystkich naokoło, jak i siebie. Ujawniła się przy tym gorycz, którą nosiła w sercu, a o której Ling Tan nic nie widział.

– Mój syn – wołała – ogromnie się zmienił od czasu, gdy ty zapłaciłeś nam za to, żeby twój mógł ożenić się z Nefryt. I potem już nigdy nie był taki jak dawniej. Tak, tak. Od tamtej pory nie zależało mu na życiu. Mój mąż i ja nie powinniśmy byli cię słuchać. A tobie nie wolno było nas o to prosić. Nie wolno ci było kupować naszej zgody swoim srebrem. Jesteśmy od ciebie biedniejsi i trudno nam oprzeć się takiej pokusie.

Ling Tan, słysząc to wszystko, bardzo się rozgniewał. W przeszłości bowiem zrobił bardzo wiele dla swego uczonego kuzyna, który zamiast zarabiać na chleb, wiecznie czytał książki. Nie raz i nie dwa zimą przysyłał do jego domu jednego ze swych synów ze snopkiem słomy na opał albo też miarką ryżu czy paroma główkami kapusty. Teraz więc odstawił na stół kubek z winem i powiedział:

– A niech mnie, jeżeli jeszcze kiedyś dam komuś cokolwiek w prezencie! Zdaje mi się bowiem, że nakarmić głodnego albo pożyczyć coś biedakowi to najpewniejszy sposób na to, żeby zostać znienawidzonym! Jak możesz być wobec mnie taka gburowata! I to tylko dlatego, że staram ci się pomóc! Ale dobrze, bądź, jaka chcesz. A mnie to i tak nic nie obchodzi.

Uczony kuzyn, słysząc te słowa, bardzo się zaniepokoił. Bo trzeba tu powiedzieć, że był on typem człowieka, który dopóki może w spokoju czytać książkę, nie pyta, skąd bierze się w jego domu żywność i opał. Dlatego zaczął zaraz uspokajać żonę.

– No i po co denerwujesz takiego dobrego człowieka? – zwrócił się do niej.

A wtedy ona całą swoją złość wyładowała właśnie na nim. Zaczęła krzyczeć, że żaden z niego mężczyzna, że wołałaby już być wdową, bo wtedy dniami i nocami siedziałyby z wachlarzem na jego grobie, żeby się szybciej wydać za kogoś lepszego.

Cały ten harmider sprawił, że młody człowiek ocknął się z omdlenia. Tak, pośród całej tej złości ranny otworzył oczy i przemówił:

– Ojczy!

Na dźwięk jego słabego głosu wszyscy zamilkli, a przekonawszy się, że chłopak żyje, poczuli, że opuszcza ich cały gniew.



– Och, synu, powiedz nam, w jaki sposób cię zraniono! – zawołała matka, rzucając się ku chłopakowi.

Młody człowiek usiłował im to wyjaśnić. Musieli pochylić się nad nim, żeby go usłyszeć i by posładać w całość jego urywane słowa. Rzecz miała się następująco. Pojmano go wraz z innymi ludźmi i postawiono pod ścianą. A potem strzelono do niego i zostawiono, sądząc, że jest martwy. Jednak on przeżył, a w nocy wyczołgał się na ulicę, gdzie pomógł mu pewien bogaty buddysta. Człowiek ten, który już w ostatniej chwili uciekał z miasta, zabrał go na swój wóz i wysadził w pobliżu ich wioski. Jednak potem, dobrnąwszy do domu Ling Tana, chłopak stracił ponownie przytomność i aż do obecnej chwili nie pamiętał dosłownie niczego.

– Ale dlaczego oni chcieli cię zabić? – zapytał Ling Tan ze zdumieniem.

– My uciekaliśmy... – wyszeptał młody człowiek. – Żołnierze wroga byli tak straszni, że zacząłem biec wraz z innymi... I wszyscy, którzy biegli, zostali zabici...

Starsi popatrzyli po sobie, nie pojmując nic zgoła. Po co zabijać niewinnych ludzi? I to tylko dlatego, że się boją? – zapytywali sami siebie.

W tej samej chwili do małej izdebki wpadły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Młody człowiek jęknął i powiedział, że czuje ból w piersi. A trzeba powiedzieć, że właśnie w piersi miał ranę. Starsi chcieli mu pomóc, jednak on przy pierwszym dotknięciu zaczął krzyczeć z bólu. A zaraz potem ponownie stracił przytomność. Cóż mogli więc zrobić? Przykryli go tylko i zostawili w spokoju.

Zrobiło się już widno i Ling Tan uznał, że powinien wrócić do swojego domu. Oznajmił więc uczonemu kuzynowi, że odwiedzi ich jeszcze później, i wyszedł.

Świt był szary i jakiś dziwny. Tym dziwniejszy, że Ling Tan, zdążając do domu i patrząc w stronę miasta, zobaczył rzecz niezwykłą. Wyglądało to tak, jakby szara ziemia w oddali ruszała się powoli. Ling Tan przystanął i wyteżył wzrok. A po chwili uświadomił sobie, że to ogromna ludzka ciżba wylewa się pieszo z bram miasta. I że cała ta ciżba kieruje się do jego wioski. Wszedł więc szybko do domu i zamknął, a potem zaryglował bramę.

– Gdzie jesteś? – zawołał na Ling Sao, która natychmiast przybiegła.

Czesłała właśnie włosy i przytrzymała grube ich pasmo między zębami, zamierzała bowiem związać je na karku czerwonym sznureczkiem. Nie mogła więc mówić.

Ling Tan, przerażony, wyrwał jej te włosy z ust.

– Wróg nadchodzi! – rzekł, oddychając ciężko. – Każ wszystkim wstawać. I niech się ubierają. Mają być gotowi na to, co teraz nastąpi.

To powiedziawszy, wybiegł z domu i zaalarmował ludzi w wiosce. Kazał

dziewięćdziesięcioletniemu staruszkowi ubrać się w najlepsze ubranie, a kuzynowi włożyć na siebie strój uczonego. Następnie obudził właściciela herbaciarni i polecił mu zagotować w kociołkach wodę na herbatę i postawić na stołach ciasteczka. Po paru chwilach wszyscy stali w szeregu na ulicy, drżąc we mgle i chłodzie zimowego poranka. Ling Tan, sam nie wiedząc dlaczego, poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Tak, oczy mu się załzawiły na widok tej garstki odświętnie ubranych wieśniaków, a także zgiętego wpół starca. Wszyscy ci ludzie, z flagami wroga w dłoniach, wychodzili na spotkanie nieznanym zwycięzców. W serce Ling Tana zakradło się złe przeczucie. Lecz cóż mógł zrobić? Nie miał wyjścia. Musiał po prostu iść ze swymi ziomkami.

We mgle na drodze majaczyły teraz jakieś dziwne wielkie kształty.

– Chodźmy – powiedział Ling Tan i ruszył powoli krok w krok za staruszką.

Szli brukowaną uliczką swojej wioski, aż doszli do ostatniego domu, za którym rozciągały się już tylko pola. I przez cały czas trzymali w górze małe flagi.

Lecz dziwne wielkie monstra sunęły prosto na nich, niby jakieś olbrzymie mrówki wędrujące w pyle drogi. Zagroziły życiu wieśniaków, zatem ci, by się ratować, szybko zeszli na bok. Gdy prąc wciąż naprzód, sunęły tuż koło nich, zorientowali się, że to maszyny. Więc jakże mogliby je powitać? Któż zwraca się do maszyn ze słowami powitania? Nikt zgoła. Ling Tan i jego towarzysze stali nieruchomo i wpatrując się w wielkie pojazdy, czekali na to, co teraz nastąpi. A cudzoziemskie maszyny, nie zatrzymując się, pojechały dalej.

– Czy te maszyny są naszym wrogiem? – zaczęli się dopytywać wieśniacy.

Żaden z nich nigdy dotąd nie widział takich pojazdów – maszyn posuwających się na kołach. Żaden też nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Czekali potem jeszcze przez jakiś czas, spowici lodowatą chmurą. A następnie zaczęli się naradzać.

– Czy mamy wrócić do domów? – pytali.

W tej samej chwili dobiegł ich odgłos rytmicznych kroków. A za chwilę z mgły zaczęły się wyłaniać niewyraźne męskie sylwetki. Teraz mieszkańcy wioski byli już pewni, że mają przed sobą wroga. Zbili się też zaraz w gromadę i stali nieruchomo na ulicy, czekając, co będzie dalej. A potem ukłonili się głęboko, bo zbliżyło się do nich czoło kolumny. Staruszek zdjął czapkę, wystawiając na zimny wiatr łysą głowę, i zaczął recytować słowa krótkiego powitania, które znał na pamięć.

– Przyjaciele i zwycięzcy – powiedział swoim cienkim głosem, zaraz jednak stracił odwagę i zamilkł.

Twarze dowódców wrogiego wojska, stojących na czele kolumny, nie świadczyły

bowiem o dobroci i poczciwości tych ludzi. Przeciwnie, te twarze miały w sobie zajadłość i dzikość, a na dodatek w tej chwili igrały na nich jakieś nienaturalne uśmiechy.

Ling Tan, słysząc, że starzec zamilkł, pospiesznie go zastąpił.

– Panowie – powiedział, występując krok do przodu – jesteśmy tutaj wszyscy zwykłymi rolnikami. Mieszka też w naszej wiosce paru drobnych kupców, a także mój kuzyn, który jest uczonym. Pragnę was zapewnić, że każdy z nas jest człowiekiem rozsądnym i miłującym pokój. I każdy chętnie powita ład prawny i porządek. Nie mamy żadnej broni, przygotowaliśmy natomiast trochę ciasteczek i nieco herbaty...

– Gdzie jest wasza gospoda?! – wrzasnął na to jeden z żołnierzy wroga.

A Ling Tan z trudem zrozumiał, co ten człowiek chce powiedzieć, tak bardzo niewyraźna i gardłowa była jego mowa.

– W samym środku naszej ulicy – odrzekł. – A nasza wioska jest biedna, bo każdy z nas to człowiek ubogi.

– Zaprowadźcie nas tam – warknął żołnierz.

Serce Ling Tana struchlało. Nie podobał mu się wygląd tych ludzi, którzy wyłonili się z mgły i stali teraz tuż przed nim. Cóż jednak mu pozostawało? Musiał ich słuchać. Dlatego i on, i inni wieśniacy poszli przodem. Tuż obok Ling Tana kuśtykał najstarszy, dziewięćdziesięcioletni mieszkaniec wioski. Spieszył się bardzo, okazało się jednak, że idzie zbyt powoli, bo jeden z maszerujących za nim nieprzyjacielskich żołnierzy dźgnął go w plecy czymś w rodzaju noża osadzonego na lufie karabinu. Staruszek krzyknął głośno, a potem zaczął szlochać. Płakał nie tylko z bólu, lecz także ze zdumienia, bo przecież w wiosce nikt nigdy dotychczas nie traktował w ten sposób starych ludzi.

– Jestem ranny! – zawołał do Ling Tana głosem żałośnie słabym.

Ling Tan obejrzał się za siebie. Już chciał zaprotestować przeciwko temu, co zaszło, jednak na widok wyrazu twarzy idących za nimi żołnierzy poczuł suchość w ustach. Szedł więc dalej, obejmując ramieniem płaczącego starca, aż dotarł do drzwi jego domu. Wepchnął szybko starego człowieka do środka i kazał zaopiekować się nim synowi. A zaraz potem gromada wieśniaków, pomniejszona o tych dwóch, dotarła do herbaciarni, gdzie czekał już jej właściciel z gorącą herbatą i ciasteczkami. Pomagali mu jego dwaj synowie, a na twarzach wszystkich trzech malowały się przymilne uśmiechy.

Nieprzyjacielscy żołnierze nie zwrócili jednak na to uwagi. Wtargnęli do herbaciarni bez ceremonii niczym horda dzikusów. Wtargnęli tam i porozsiadali się przy stolach. A Ling

Tan i inni wieśniacy uświadamiali już sobie jasno, że przyszłość nie zapowiada się dobrze. Bo przecież fakt, że zwycięzcami są ludzie takiego pokroju, nie może wróżyć nic dobrego. Wieśniacy ustawili się zatem w pobliżu tylnego wyjścia z herbaciarni w postawie oczekiwania, a tymczasem właściciel i jego synowie zaczęli nalewać herbatę. Gdy napój znalazł się w czarkach, wśród wrogów przetoczył się niski pomruk, z którego ani Ling Tan, ani jego towarzysze nic nie zrozumieli. W końcu jednak odezwał się ten z nieprzyjacielskich żołnierzy, który potrafił mówić.

– Wina! Chcemy wina, a nie herbaty! – oznajmił.

Ling Tan i pozostali wieśniacy popatrzyli po sobie. Gdzież mieli szukać tego wina? Jak mogli napoić taką tłuszczykę? Oni sami pijali wino bardzo rzadko – podczas świąt Nowego Roku albo też wtedy, gdy po dobrych zbiorach i sprzedaniu plonów spędzali czas w mieście. Normalnie jednak w wiosce wina nie było.

– Niestety... – zająknął się Ling Tan. – Nie mamy wina.

Po czym przesunął się bliżej tylnego wyjścia.

Żołnierz, który potrafił mówić, powtórzył jego słowa pozostałym. A ci zaczęli coś mamrotać z ponurymi minami. Następnie ten pierwszy zagadnął:

– Posłuchajcie, ludzie. Jakie wy w tej wiosce macie kobiety?

Ling Tan nie wierzył własnym uszom. Stał z głupią miną, sądząc, że jego rozmówcy musiały się pomylić słowa.

– Kobiety? – powtórzył.

A tamten wykonał sprośny gest. Ling Tan zrozumiał teraz doskonale, co żołnierz ma na myśli. Popatrzył przerażony po swoich towarzyszach i chcąc ratować ich żony i córki, postanowił skłamać.

– Pójdziemy zaraz po nie – odrzekł i wybiegł wraz z resztą wieśniaków przez tylną bramę.

A po drodze ostrzegł kobiety pracujące w kuchni:

– Uciekajcie! – zawołał do nich. – Schowajcie się ... Bo oni szukają kobiet!

I popędził do domu. Reszta zrobiła to samo. Wszyscy rzucili się do własnych obejść, by ratować rodziny.

Znalazłszy się już w środku, Ling Tan zaryglował bramę i krzyknął zaraz do Ling Sao, że ma natychmiast zebrać wszystkich członków rodziny. Wołając, równocześnie chwycił pałasz, a jego żona, co było u niej tak rzadkie, nic nie powiedziała. Pobiegła posłusznie po synów i córki, a także wszystkie ich dzieci. A Ling Tan stał z pałaszem w dłoni, czekając na wrogów przy bramie.

Po chwili dobiegi go odgłos licznych zbliżających się kroków. Nasłuchiwał w milczeniu przez pewien czas. Wreszcie jednak ciekawość zwyciężyła i Ling Tan uchylił bramę, by się przekonać, co się dzieje za nią. Lepiej by jednak postąpił, powściągając niepokój. Bo gdy tylko wyrzał za wrota, zobaczył pełne złości, rozjuszone twarze, a spod żołnierskich czapek spoglądały na niego dzikie, czarne i pożądliwe oczy. Ci ludzie o purpurowych obliczach wyglądali jak pijani. Zobaczywszy Ling Tana, rzucili się ku niemu z wrzaskiem. Jednak on cofnął się błyskawicznie i zaryglował bramę, w którą zaraz zaczęły walić kolby karabinów, Ling Tan usłyszał jeszcze, że jego wierny pies to ujada, to warczy na żołnierzy. A zaraz potem zwierzę zaskowyczało, zawyło i ucichło.

– Nie ma już naszego dobrego, starego psa – jęknął Ling Tan, nie mógł jednak nic na to poradzić.

Wiedział doskonale, że brama jego domu, choć ciężka i zrobiona z solidnego drewna, nie wytrzyma naporu napastników. Wiedział też, że musi być przygotowany na to, że ci wtargną w końcu do środka. Miał jednak jeszcze trochę czasu. Dziękował teraz losowi za to, że widział już kiedyś w życiu wojnę i że ma pojęcie, do czego są zdolni walczący żołnierze. Zdawał sobie sprawę, że każdy mężczyzna, którego ustawi się w szyku bojowym, przestaje być człowiekiem, a staje się stworzeniem całkiem bezrozumnym, posiadającym jedynie dolną część ciała. I właśnie dlatego myślał teraz przede wszystkim o swoich kobietach.

Korzystając z tego, że brama jeszcze nie ustąpiła, pobiegł do domu, a tam zastał całą rodzinę zgromadzoną w głównej izbie. Kobiety trzymały dzieci na rękach. Mężczyźni mieli twarze pozieleniałe z przerażenia.

– Jesteśmy zgubieni! – zawołał głośno jego najstarszy syn, jednak Ling Tan podniósł rękę, żeby go uciszyć.

Już dawno temu bowiem zaplanował sobie dokładnie, jak postąpi w takiej właśnie chwili.

– Biegnijcie wszyscy do furtki z tyłu – rozkazał. – Tej, która od lat jest zaryglowana i zamaskowana zwisającą winoroślą. Wyjdźcie przez nią i rozbiegnijcie się po okolicy. Pochowajcie się w bambusach i wśród pagórków. Niech każdy z mężczyzn pilnuje swojej żony i dzieci, nie oglądając się na innych. I tylko mój trzeci syn ma się opiekować młodszą siostrą i matką.

– Ja zostanę z tobą – odezwała się Ling Sao.

– Nie, nie. Nie dasz rady – odrzekł. – Bo muszę wspiąć się po krokwiach, żeby schować się w strzesze.

– Ja też to zrobię – upierała się jego żona.

Nie było czasu na dyskusje. Ling Tan pobiegł szybko w stronę muru na tyłach domu i pokazał rodzinie ukrytą furtkę. Rozgarnął winorośl i odsunął zardzewiałe rygle. Przejście okazało się bardzo wąskie. Dlatego obaj z Wu Lienem od razu się zorientowali, że matka Wu Liena nie przecisnie się przez nie. Zatem Ling Tan kazał staruszce zaczekać. Tymczasem wszyscy inni przeszli i ratowali się ucieczką. Dopiero wtedy Ling Tan z Wu Lienem spróbowali przeciągnąć Wu Sao przez furtkę – jeden pchając ją z tyłu, a drugi ciągnąc od zewnętrznej strony. Kobieta była jednak za gruba. A nie można jej było przecieź pociąć na kawałki. Ling Tan wciągnął ją zatem z powrotem na podwórze, a Wu Lienowi kazał uciekać. Obiecał mu przy tym, że zajmie się staruszką najlepiej jak potrafi. Jednak pod warunkiem, że Wu Lien będzie pomagał jego rodzinie. W ten właśnie sposób Ling Tan umożliwił ucieczkę swoim najbliższym. A potem zamaskował furtkę winoroślą, zasłaniając nią także szlochającą Wu Sao. Miał nadzieję, że kobieta będzie tu bezpieczna, nie mógł jednak zostać z nią dłużej. Nie była bowiem przecieź jego matką. Tymczasem główna brama jego domu zaczynała ustępować. Ling Tan poznał to po dochodzącym z zewnątrz tryumfalnym wrzasku nieprzyjacielskich żołnierzy.

Znalazłszy się z powrotem w domu, w głównej izbie, Ling Tan wszedł na stół i podciągnął się na znajdującą się u góry dużą belkę. A w ślad za Ling Tanem, jak stara kocica, podążyła Ling Sao. Ling Tan schylił się, podał żonie rękę i wciągnął ją na górę. W ten sposób dostali się na dach. Tam, w grubej strzesze, którą dach pokryli ich przodkowie i którą naprawiano co dziesięć lat, Ling Tan nad boczną belką wydrążył niegdyś otwór. Teraz oboje z Ling Sao przycupnęli właśnie w tej niszy. I siedzieli tam, dusząc się od kurzu i słomy, ale wciąż żywi.

Zaledwie to zrobili, brama ustąpiła z trzaskiem, a rozjuszeni nieprzyjacielscy żołnierze wkroczyli na podwórze. Ling Tan usłyszał, jak zaraz potem wpadają do izby, nad którą oboje się ukryli. Nie widział jednak nic i nie miał odwagi się poruszyć. Przyłgnęli z żoną do siebie, wstrzymując oddech i czerpiąc w płuca tylko tyle powietrza, ile było potrzebne do przeżycia. Ling Tan modlił się do przodków, by ci pomogli mu powstrzymać się od kaszlu i kichania. Kurz był bowiem straszny. Na szczęście słoma, z której została zrobiona strzecha, po tak wielu latach utworzyła grubą zbitą matę, pełną pajęczyn i wilgoci. Mata ta otulała ich ze wszystkich stron, a pod nogami mieli belkę. Siedzieli skuleni i nie mieli odwagi się poruszyć, bali się bowiem, że kurz i słoma zaczną sfruwać na dół, zdradzając ich kryjówkę.

Na szczęście nieprzyjacielscy żołnierze przebywali w izbie tylko przez chwilę. Zorientowawszy się, że nie ma w niej nikogo, wypadli stamtąd z wyciem. I pobiegli

sprawdzić, co znajduje się w pozostałych ośmiu pokojach, a także w kuchni. Ling Tan i jego żona usłyszeli po chwili, że tłuką ich porządne talerze, a także łamią i rozbijają meble. I zadrżeli na myśl, że ci ludzie podpalą dom i że oni wraz z nim spłoną.

Czekając na pożar, Ling Tan obmyślał sobie, w jaki sposób zeskoczy i ściągnie z belki żonę. Jednak zamiast skwierczenia ognia usłyszeli coś innego. Do ich uszu dotarł mianowicie dźwięk będący czymś w rodzaju kwiku. Z początku pomyśleli, że wydaje go jedna z ich dwóch macior, przypominał bowiem kwik zarzynanej świni. Potem jednak usłyszeli jakieś słowa, jakiś dziwny bulgot i w końcu przeciągły jęk. I już wiedzieli, co się stało. To wrogowie znaleźli ukrytą pod winoroślą starą matkę Wu Liena. Ling Tan zrobił taki ruch, jakby chciał zeskoczyć i pobiec do starej kobiety. Ale Ling Sao – niczym mocną żelazną obręczą – opasała go ramionami.

– Nie – szepnęła prawie bezgłośnie. – Nie! Ona nie żyje. Musisz pamiętać o nas wszystkich. Matka Wu Liena była stara. Trzeba myśleć o młodych.

Trzymała go mocno, a on, przyznając jej w duchu rację, pozostał na miejscu.

Rozbestwieni żołnierze odeszli w końcu i w domu zapanowała cisza. Ale Ling Tan i jego żona długo jeszcze nie mieli odwagi ani zmienić pozycji, ani powiedzieć choćby słowa. Zamarli w bezruchu i czekali. Trwało to tyle czasu, że w końcu zaczęły ich boleć wszystkie kości. Na dodatek płuca mieli pełne kurzu, a ich ciała, choć był to przecież dzień zimowy, lepły się od potu.

– Zejdę, bo może tu wrócić któreś z dzieci i pomyśleć, że nie żyjemy – szepnął w końcu Ling Tan, przybliżając usta do ucha żony.

Gdyby chodziło o nią samą, Ling Sao nie pozwoliłaby mu ruszyć się z miejsca. Ling Tan wspomniał jednak o dzieciach. Dlatego nie oponowała. I sama postanowiła uczynić to co on. Zeszli więc na dół i znaleźli się w miejscu, które do tej pory było ich zamożnym, uporządkowanym domem.

Ling Tan i Ling Sao, stojąc na wyłożonej kafelkami podłodze w głównej izbie, rozejrzeli się wokół. I zobaczyli, że nic w tym pomieszczeniu nie jest już całe – ani krzesła, ani stół, który przed chwilą załamał się pod ich ciężarem, ani bambusowe łóżko, na którym sypiał ich trzeci syn. Trzymając się za ręce, przechodzili z izby do izby i nie mówiąc do siebie ani słowa, oglądali ruinę swojego domu. Gdy zobaczyli już wszystko, Ling Tan powiedział:

– Nie wzięli nic prócz ryżu. Nie przydała się im żadna z naszych rzeczy, więc w swojej rozpasanej bezmyślności rozbili na kawałki to wszystko, czego nie potrzebowali.

Miał rację. Nieprzyjacielscy żołnierze tak właśnie postąpili. A poza tym podarli wszystkie ubrania i rozpruli watowane kołdry na łóżkach. Ling Tan zachodził w głowę,

dlaczego nie podłożyli pod dom ognia. I przyszło mu na myśl, że zapewne w swoim zdziczeniu zapragnęli, żeby on, właściciel domu, zobaczył te zniszczenia, a nie pogorzeliśko.

– Och, moje czerwone kufereki ze świńskiej skóry, które wniosłam do tego domu jako panna młoda! – zaczęła lamentować Ling Sao, gdy po wejściu do sypialni zobaczyła je otwarte i zniszczone.

Wśród całego panującego tu bałaganu, wśród podartych ubrań i pootwieranych skrzyń, zauważyli też potargany kłęb ludzkich włosów.

– Co to jest? – zapytał Ling Tan, pochylając się, żeby lepiej się przyjrzeć.

Ling Sao wzięła włosy do ręki.

– To włosy Nefryt. Te, które nasza synowa sobie tamtego dnia obcięła – powiedziała.

– Szczęście przynajmniej, że to nie jest jej głowa – westchnął ciężko Ling Tan.

A przy tym wszystkim wiedzieli, że przy furtce na tyłach domu czeka ich coś znacznie gorszego. Ruszyli więc tam powoli, obawiając się widoku, który zaraz miał się ukazać ich oczom.

– Jednak to my jako pierwsi musimy to zobaczyć – szepnął Ling Tan. – Nie możemy dopuścić do tego, żeby wcześniej zjawilo się tu któreś z dzieci.

Prześlizgnęli się przez zrujnowaną kuchnię i wyszli na niewielkie tylne podwórze. U swoich stóp zobaczyli martwą starą Wu Sao. Już samo to, że nie żyła, wystarczyłoby w zupełności. Ale tak naprawdę przeraziło ich coś innego. Staruszka była bowiem naga i strasznie poraniona. Ling Tan i Ling Sao zorientowali się natychmiast, że zdziczała i rozbestwiona żołnierska tłuszcza wykorzystała ją w taki sposób, jakby ich ofiarą była kobieta młoda i piękna.

Z piersi Ling Tana wyrwał się jęk. Jeżeli coś takiego spotkało ociężałą staruszkę, pomyślał, starą kobietę o przytępionym umyśle, to co może grozić młodym kobietom z mojej rodziny, a nawet mojej żonie?

– Muszę pomyśleć przede wszystkim o tym, gdzie ukryć was, wszystkie kobiety – powiedział z pobladłą twarzą do Ling Sao. – Sam mogę się ukryć, pozostali mężczyźni mogą się rozproszyć po okolicy. Ale skoro nasi wrogowie są tacy, co się stanie z kobietami?

Ling Sao nie znalazła na to odpowiedzi. Bo przecież i dla niej było całkiem jasne, że to samo co Wu Sao mogło z łatwością spotkać także i ją samą. Milczała więc, nie znajdując krzepiącego słowa. Odwróciła wzrok, zawstydzona nawet przed własnym mężem, a potem pobierała ubrania staruszki i ukryła pod nimi jej nagość. Nie zdołali jej podnieść tylko we



dwoje, bo martwe ciało było na to zbyt ciężkie. By je ruszyć z miejsca, potrzeba było ze trzech lub czterech silnych mężczyzn. Nie mieli więc wyjścia – pozostawili Wu Sao tam, gdzie leżała. Ling Tan przeszedł nad jej ciałem, uchylił furtkę i wyrzwał na zewnątrz. Nie zobaczył jednak nikogo. A słońce świeciło tak pięknie, jakby tego dnia nie zaszło nic złego. Ling Tan zaczął przeklinać Niebiosy. Tak, tak. Przeklinał je w głębi serca – za to, że okazywały się tak bezlitosne.

Resztę dnia przesiedzieli we dwoje w swoim zdewastowanym domu. Nie pomyśleli nawet o jedzeniu ani o tym, żeby rozpaść ogień. Siedzieli, nasłuchując, i czekali na nadejście nocy. Bo nocą, myśleli, zjawi się tutaj jeden z naszych synów i powie nam, jak ma się pozostała część rodziny. Mieli przy tym pewność, że u innych mieszkańców wioski nie dzieje się lepiej niż u nich samych. Nie odważyli się jednak wyjść i tego sprawdzić. Był to bowiem czas, w którym każdy człowiek powinien pozostać w swoim domu.

No i oczekiwana przez nich noc po tym najdłuższym dniu w ich życiu w końcu nadeszła. A nocą, chyłkiem, zjawili się w domu dwaj synowie – najstarszy i najmłodszy. Siedząc w ciemności, Ling Tan usłyszał ciche kroki, potem hałas, tak jakby ktoś zaczepił nogą o jakiś mebel, i wreszcie szeptał najstarszego syna:

– Nie ma ich!

– Ależ jesteśmy – odezwał się w ciemności, a potem wyciągnął rękę i dotknął syna, i tak się odnaleźli, wciąż w ciemnościach, bo żaden nie odważył się zapalić lampy.

– Gdzie zostawiliście nasze małe dzieci? – brzmiało pierwsze pytanie Ling Sao, którą przez cały dzień dręczyła myśl o tym, że może nad jej wnukami pastwią się nieprzyjacielscy żołnierze, że niewinne dzieci stały się igraszką w rękach tych okrutników.

– Wszyscy, i dzieci, i kobiety, są w mieście – wyszeptał najstarszy syn, a Ling Tan aż jęknął:

– W mieście!

Zareagował tak, bo jego zdaniem było to rozwiązanie najgorsze z najgorszych. Ale Lao Tan zaraz mu opowiedział, jak do tego doszło.

– Obeszliśmy całe miasto – oznajmił – i dotarliśmy do małej śluzy. Ludzie, których tam spotkaliśmy, poinformowali nas, że choć miasto przepięknie śmierć i rozpacz, jest w nim jedno miejsce bezpieczne dla kobiet i dzieci. Och, ojczy, my już wtedy wiedzieliśmy, że nasi wrogowie są najgorsi właśnie dla kobiet. Nie odważylibyśmy się więc przyprowadzić naszych żon i siostry do domu, bo jak byśmy je obronili gołymi rękami? Okazało się, że jedynym bezpiecznym miejscem w mieście jest teren za śluzą. Panuje tam spokój. Ludzie mówili, że wróg się tam nie pojawia, bo nie ma w tym miejscu nic do zagrabienia. Zaczekaliśmy więc, aż

zapadną ciemności – kryjąc się w jakichś zaroślach i za domami i uciekając za każdym razem na odgłos zbliżania się wroga – a potem, o zmroku, otworzono śluzę. Przemknęliśmy chyłkiem wraz z kobietami i dziećmi, które teraz są tam bezpieczne. Wiecie, ojcze, tam jest taka cudzoziemska szkoła. Prowadzi ją pewna biała kobieta. Widziałem ją z bliska. Ma twarz osoby dobrej, choć wyznaje swoją własną cudzoziemską religię, a nie naszą. Szkoła jest otoczona wysokim murem z wielką bramą. Gdy do niej zakołataliśmy, uchylila się i wyjrzała ta biała kobieta. Widząc nasze żony i małe dzieci, rozwarła bramę szeroko i zabrała je do środka.

– A dlaczego nie zostaliście z nimi? – zapytał Ling Tan.

– Bo mają tam miejsce tylko dla kobiet i dzieci – odrzekł syn.

– A czy one są tam naprawdę bezpieczne?

– Na tyle, na ile pozwala sytuacja, kiedy diabły hulają na wolności – powiedział Lao Tan ze smutkiem.

Ling Tan już wiedział, co ma teraz zrobić.

– Mam dla was zadanie – zwrócił się do synów. – Jeżeli kobietom w tym miejscu nie grozi, musicie tam zaprowadzić także waszą matkę. I to zaraz, natychmiast, póki jest ciemno.

Młodzieńcy popatrzyli pytająco na matkę. A ona, zawstydzona, spuściła głowę. Bo jej synowie byli przecież mężczyznami. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się jej, że nie może powiedzieć: „Nie boję się żadnego mężczyzny”. Zatem milczała.

– Ale... przecież nasza matka... – zająknął się najstarszy syn.

A wtedy ojciec opowiedział im obu, co stało się ze starą matką Wu Liena. Synowie wysłuchali go do końca w absolutnym milczeniu, po czym odezwał się Lao Tan:

– Chodźcie, matko. Ja was zaprowadzę. Mój trzeci brat zostanie tu tymczasem z ojcem. Gdy was tam już bezpiecznie umieszczę, wrócę do domu. A potem we trzech jakoś sobie poradzimy. Tak, poradzimy sobie, jeżeli będziemy wiedzieli, że wy, kobiety z dziećmi, jesteście poza zasięgiem wroga.

Gdy rodzice się żegnali, obaj synowie odwrócili głowy. A trzeba tu powiedzieć, że odkąd Ling Sao w wieku lat osiemnastu przybyła do tego domu, ci dwoje nie spali oddzielnie. Nie zdarzyło się to ani jednej nocy. Jakże więc mogło zdarzyć się teraz? Gdy ich synowie stanęli już do nich plecami, Ling Tan i Ling Sao przywarli do siebie tak mocno, jak nigdy w innych okolicznościach by się nie odważyli w obecności postronnych ludzi.

– Powiedz, mój mężu, czyja muszę cię opuścić? – zapytała Ling Sao z rozpaczą.

– Tak, matko moich synów – potwierdził Ling Tan – i to z powodu, o jakim w twoim wieku właściwie nie powinno się myśleć.

Ling Tan widywał w życiu wojny, widywał też rozpasanych żołnierzy wśród własnego ludu. Nigdy jednak nie spotkał takiego, który tknąłby kobietę w wieku jego żony i o podobnej życiowej pozycji. Dlatego fakt, że obecni najeźdźcy czynili takie rzeczy, dobitniej niż cokolwiek innego świadczył według niego o tym, że są rozbestwionymi dzikusami. Jeszcze przez krótką chwilę trzymał żonę za rękę. A potem cofnął się o krok i zawołał najstarszego syna.

– Zabierz ją i nie pozwól, by stała się jej jakakolwiek krzywda.

– Nie pozwolę – obiecał młody człowiek.

W ten właśnie sposób Ling Tan wysłał z domu swoją żonę. A potem przesiedział całą noc bezsennie, czekając na powrót najstarszego syna. I ze dwadzieścia razy robił sobie wyrzuty, że nie poszedł z nimi. Ale z drugiej strony, myślał, na co by to się zdało? Wędrować we dwoje jest przecież bezpieczniej niż w trójkę. A poza tym nie mogłem zostawić tutaj trzeciego syna samego. No a już cztery osoby narobiłyby znacznie więcej hałasu niż dwie.

– Znajdź sobie miejsce do spania – zwrócił się do Lao Sana.

A chłopak był jeszcze tak młody, że jak tylko urządził sobie legowisko na podłodze, zasnął jak kamień – ze zmęczenia i pomimo smutku.

Tymczasem Ling Tan spać nie był w stanie. Siedział więc w swoim zdewastowanym domu i czekał. W końcu jego najstarszy syn wrócił, nie natknąwszy się po drodze na wroga.

– Zaprowadziłem matkę aż pod bramę – oznajmił – a biała kobieta wpuściła ją do środka. I powiedziała, że jeżeli jest gdziekolwiek bezpieczne miejsce, to właśnie u niej. Więc matce nic się tam nie stanie.

Ling Tan westchnął, lecz milczał. Teraz, gdy już wiedział, że jego żonie nic nie grozi, poczuł zbyt wielkie zmęczenie, by mówić, poruszać się czy nawet spać. Tymczasem jego najstarszy syn położył się tam, gdzie stał, i zasnął. A Ling Tan siedział dalej obok pograżonych w głębokim śnie synów, nie mając pojęcia, która jest godzina. Aż w pewnej chwili usłyszał pianie koguta.

Czyżby kogut mimo wszystko wciąż piał? – pomyślał i zdziwił się bardzo.

I siedział nadal bez ruchu aż do chwili, gdy blade światło brzasku padło na jego synów, wciąż śpiących w splądrowanym domu.

## VII

Ling Sao w mroku nocy patrzyła na białą kobietę. Brama zamknęła się za nią, a jej syn już się oddalił. Ling Sao była teraz zamknięta w tym dziwnym miejscu, z tą dziwną osobą. Kobieta miała włosy tak żółte jak sierść kota; nie leżały one normalnie, gładko na jej głowie, tylko sterczały niby welna jagnięcia. Oczy osadzone w jej bladej twarzy były także jasnożółte, a w każdym razie tak wyglądały w świetle latarni, którą trzymała w dłoni.

– Chodźcie ze mną. Pokażę wam, gdzie są wasze córki – odezwała się, a Ling Sao przestraszyła się nie na żarty, uświadomiwszy sobie, że rozumie, co cudzoziemka mówi.

– Czy ktoś rzucił na mnie jakieś czary? Bo przecież rozumiem, co mówicie – powiedziała.

Biała kobieta roześmiała się cicho.

– Spędziłam w tym mieście dwadzieścia lat – odrzekła. – I dzień w dzień uczę się waszego języka, by móc wam opowiadać o jedynej prawdziwej religii. Więc czy to dziwne, że mnie rozumiecie?

Poprowadziła Ling Sao wzdłuż wąskiego ceglanego muru, ścieżką okoloną z obu stron trawą, pod wielkimi drzewami o zwisających gałęziach. Ling Sao nigdy w życiu nie była w podobnym miejscu. Zbliżyły się do wielkiego domu, do którego biała kobieta zaraz ją wprowadziła. Weszły do sali, która, choć bardzo długa i szeroka, była po brzegi wypełniona ludźmi. Pod sufitem płonęło tu nikle światelko, a na siennikach rzuconych na podłogę leżały kobiety i dzieci.

– Oto nasi podopieczni – powiedziała biała kobieta. – A wasze córki z dziećmi są w tamtym kącie.

Przeszły między śpiącymi w róg pomieszczenia, gdzie w pobliżu wysokiego stołu Ling Sao zastała Orchideę, a także swoje dwie córki oraz wszystkie dzieci. Gdy podeszły bliżej, Ling Sao stwierdziła, że maleństwa śpią smacznie. Spała też Orchidea. Jednak Pansiao leżała bezsennie i cicho szlochała. Na widok matki usiadła i wyciągnęła obie ręce. Na jej twarzy malował się grymas jak u małego dziecka.

– M-ma! Więc przyszłaś do nas? – wyszeptała.

– Tak, jestem tutaj, mój mięsny pierożku – odrzekła Ling Sao, po czym usiadła na

podłódze obok córki.

Tych pieszczotliwych słów Pansiao nie słyszała z ust matki od wczesnego dzieciństwa. Ling Sao, wypowiadając je, dostarczyła jej prawdziwej pociechy.

– A gdzie mój ojciec? – zapytała teraz szeptem Pansiao, chwytając matkę za rękę.

– Został w domu razem z twoimi dwoma braćmi – odpowiedziała również szeptem Ling Sao. – Czy wam wszystkim nie stała się żadna krzywda?

– Jak do tej pory żadna – oznajmiła dziewczyna. – Ale bałam się tak, że nie mogłam jeść, i teraz mi słabo.

– No to się połóż – poleciła Ling Sao. – Rano poszukam ci czegoś do jedzenia.

– Och, oni nas tu dobrze karmią – odrzekła dziewczyna, położyła się jednak.

Teraz głowę podniosła starsza córka Ling Sao.

– Gdzie jest matka mojego męża, mamó? – zapytała. – Czy nie przyszła z wami?

Trzeba tu powiedzieć, że słuszne jest, by żona pytała najpierw o matkę męża, po ślubie należy bowiem do jego domu i teściowa musi dla niej znaczyć więcej niż własna matka. Ling Sao dobrze wiedziała, że córka, zadając to pytanie, postępuje właściwie. Mimo to w głębi duszy zapragnęła, żeby tym razem zachowała się inaczej. Bo jak mam jej powiedzieć, pomyślała, co stało się z tą biedną staruszką o przytępionym umyśle? I zdecydowała się nie powiedzieć jej prawdy.

– Matka twojego męża, córko – rzekła – jest tak stara, że może bezpiecznie przebywać w domu. Ale, ale, gdzie jest ojciec twoich dzieci?

– Mój mąż przyprowadził nas tutaj – odparła żona Wu Liena – a potem oświadczył, że wraca do sklepu. Powiedział też, że kiedy miasto padło, wcale się już nie boi, ponieważ teraz musi już nastać pokój. Zostawił nas tutaj do czasu, aż się rozejrzy i przekona, jak obecnie funkcjonuje miasto i jakie są perspektywy na przyszłość. A potem zabierze nas do domu.

Ich szepty obudziły kobiety, które spały w pobliżu. A te, jedna po drugiej, zaczęły siadać i sprawdzać, kim jest nowo przybyła. Chciały też wiedzieć, czy przynosi jakieś nowiny. Kobieta śpiąca tuż obok starszej córki była młoda i tak niewiarygodnie piękna, że Ling Sao poczuła do niej wielką niechęć. Żadna kobieta, pomyślała w duchu, żadna kobieta o takim wyglądzie nie może być wierną żoną, dobrą matką i w ogóle osobą przyzwoitą. A potem, chcąc sprawdzić, czy się nie myli, zapytała:

– Czy obudziłyśmy twoje dziecko?

– Ja nie mam dziecka – odrzekła spokojnie piękna kobieta.

– Jesteś tutaj sama? – pytała dalej Ling Sao.

– Jestem tu wraz z sześcioro innymi takimi jak ja – odpowiedziała tamta.

Ling Sao zorientowała się teraz, że to kurtyzana, a ponieważ sama była przyzwoitą kobietą, postanowiła nie rozmawiać z nią więcej. Położyła się między tamtą a swoimi córkami, tak żeby w razie pojawienia się jakiejś choroby zapadła na nią ona sama, a nie jej córki czy wnuki.

Ale piękna kobieta wciąż się nie kładła.

– Dobra matko – odezwała się, a Ling Sao zdziwiła się, że mówi tak słodkim głosem – dobra matko, przybyliście tutaj później niż my. Czy moglibyście zatem mi powiedzieć, jak jest teraz w mieście?

– Nie przechodziłam przez miasto – odrzekła krótko ling Sao.

– Naprawdę? – zdziwiła się piękna kurtyzana. – Pochodzicie ze wsi, dobra matko?

– Tak – potwierdziła jeszcze zwięźlej Ling Sao.

– Och – westchnął słodki głos. – A więc nie wiecie, co dzisiaj w mieście się działo. – Tu piękna kobieta skłoniła głowę na kolana. – Och, co to był za dzień! – dodała i znowu westchnęła.

Ling Sao nie zdążyła zapytać jej, co ma na myśli, bo obudziła się Orchidea i widząc matkę, usiadła, wciąż jeszcze otumaniona snem.

– Ach, matko, wy też jesteście tutaj? – zawołała. – Jak się tu dostaliście i kto pilnuje domu? No i powiedzcie, co się tam działo po naszej ucieczce?

Wypowiedziała te słowa głośno, tak głośno, że naokoło rozległy się wołania, by się uciszyła. Małe dzieci, które obudził ten hałas, zaczęły płakać, a Ling Sao, chcąc pokazać, że nie pochwała postępowania swojej synowej, powiedziała donośnym głosem:

– A niech mnie niebo skarże za to, że mam tak źle wychowaną synową, która na mój widok podnosi krzyk w środku nocy i przeszkadza wszystkim naokoło! Nie waż się ponownie otworzyć ust, ty głuptasie!

Orchidea położyła się więc znowu, a w sali zapanowała cisza. Po strasznych przeżyciach tego dnia wszyscy usiłowali się jeszcze trochę przespać.

Ale Ling Sao w ciągu całego swego życia sypiała tylko w dwóch łóżkach – najpierw, gdy była dziewczynką, w małym, wąskim łóżeczku w ojcowskim domu, a później w szerokim łóżu wraz z mężem. Więc teraz, mając obok siebie z jednej strony jakąś obcą kobietę, a drugiej córkę, która sapała jej prosto do ucha, nie mogła zasnąć. Tym bardziej że w tej wielkiej sali słychać było westchnienia śpiących, ich chrapanie, a także pojękiwania. Ling Sao leżała więc bezsennie, zastanawiając się nad dniem, który minął. Kto wie, myślała, ile jeszcze

takich dni upłynie, zanim będę mogła wrócić do domu? I co tam beze mnie robi mój staruszek? Nieraz w ciągu tej nocy postanawiała sobie, że o świcie pomaże sobie twarz, poszarpie na sobie ubranie i uczyniwszy się w ten sposób starą i brzydką, wróci do domu. Jednak gdy nastał świt, nie potrafiła się na to zdobyć. Wiedziała bowiem, że bez względu na to, jak bardzo się oszpeci, nie będzie wyglądać na starszą i brzydszą niż Wu Sao.

Wstała więc wcześniej i zaczęła pomagać córkom w opiece nad ich dziećmi. W sali krzątały się już inne kobiety i słychać było płacz maleństw. Wkrótce też Ling Sao zaczęła zajmować się także i tymi innymi, pomagając im w różnych czynnościach. Tylko młoda kobieta która leżała obok niej, nie ruszyła się jeszcze z miejsca. Zawinięta w swoją czerwoną jedwabną kołdrę spała, albo zdawała się spać, podobnie jak jej towarzyszki.

Przyzwyczajone są do takiego spania do późna, pomyślała z pogardą Ling Sao. To już taki typ kobiet. Sypiają za dnia, bo w nocy pracują.

Gdy obudziła się jej starsza córka, a potem także Orchidea, poinformowała je szeptem, kim są te młode kobiety, i im oraz ich dzieciom zabroniła rozmawiać z nimi. A potem zwróciła się do Pansiao:

– Jeżeli któraś z nich wyciągnie do ciebie rękę, nie pozwól się dotknąć. I nie odpowiadaj, gdy któraś do ciebie przemówi. Rozmawiać można z porządnymi kobietami, ale nie z takimi jak one. Najlepiej trzymaj się mnie i nie wdawaj się w rozmowy z nikim obcym.

W ten to sposób trzymała swoją gromadkę przy sobie, obserwując równocześnie kątem oka tamte kobiety, które wciąż spały.

Gdy słońce stało już wysoko na niebie, w sali pojawiły się służące. Przyniosły ryż w ogromnych wiadrach, soloną rybę i jarzyny, a także pałeczki i miski.

– Jak możemy jeść – zawołała na ten widok Ling Sao – skoro nie mamy pieniędzy na zapłatę?

Przypomniała sobie bowiem, że wczoraj, w całym tym nieszczęściu, zapomniała poprosić męża o pieniądze. A nie zapłacić za posiłek było przecież wielkim wstydem.

Ale kobiety, które wniosły wiadra, roześmiały się tylko i kazały jej przyłączyć się do reszty.

– Jedzcie – powiedziały – ponieważ na świecie są tacy, którzy rozdają ryż, by tym dobrym uczynkiem wkupić się do nieba. Jedzcie więc, dobra matko, bo w ten sposób sama spełniacie dobry uczynek. Pomagacie bowiem naszej cudzoziemskiej pani dostać się do nieba.

– Czy ona właśnie po to przybyła do naszego kraju i dlatego nam pomaga? – zapytała zdziwiona Ling Sao, a potem zjadła posiłek wraz z innymi i z pełnym żołądkiem poczuła się

znacznie lepiej.

Tymczasem siedem kurtyzan wstało ze swoich posłań; zrobiły to jednak dopiero wtedy, gdy reszta kończyła śniadanie. Zgarnęły gładko do tyłu swoje perfumowane włosy i umyły się w miednicach stojących na stole obok dzbanków z wodą. Po sposobie, w jaki to robiły, można było poznać, kim są, gdyż dbały o czystość bardziej niż jakakolwiek przyzwoita kobieta. Następnie wszystkie razem podeszły do wiadra, by nałożyć sobie ryżu, a potem jadły go, stojąc z dala od pozostałych kobiet i odwracając od nich wzrok. Natomiast wśród tych porządnymi i dobrymi matek i żon nie było ani jednej, która nie spoglądałaby ukradkiem na kurtyzany, która by nie sprawdzała, jakie one są, i która nie odciągnęłaby swojego dziecka, gdy to przypadkiem zbliżyło się do którejś z nich.

W ten sposób zaczął się ten dziwny dzień, który zresztą nie okazał się taki najgorszy. Okazało się bowiem, że wielki dom, gdzie teraz zamieszkało wraz z dziećmi ze sto kobiet, otaczały łąki porośnięte gładką, krótką i miękką dla stąpających po niej stóp trawą, która wprawdzie nie była już zielona, lecz mimo to delikatna, a gdy słońce trochę przygrzało, wszystkie kobiety wraz z dziećmi wyległy na zewnątrz i zaczęły rozmawiać. Wiele z nich zwracało się do Ling Sao, która miała życzliwą okrągłą twarz i błyszczące oczy oraz czarne włosy przetykane już siwizną. Tak, tak, Ling Sao budziła zaufanie i każdej z tych kobiet łatwo przychodziło się do niej zwrócić. Nazywały ją „dobrą matką”.

A usłyszała od nich takie rzeczy, o jakich dotąd nie miała pojęcia. Im dłużej słuchała, tym większe ogarniało ją przerażenie. Bo okazało się, że choć wielu ludzi w mieście oczekiwało nieuniknionego przecież przybycia wroga, to mieli oni jednak nadzieję na pokój. Ale po pojawieniu się wojsk nieprzyjacielskich zapanowało takie szaleństwo, takie okrucieństwo i takie zdziwienie, że oszołomiło to wszystkich i doprowadziło ich do rozpacz. Oto bowiem wkroczywszy do ich wielkiego miasta, stanowiącego niegdyś główny ośrodek kraju, wrogowie postępowali niby rozjuszone bestie. Albo nawet gorzej niż bestie, bo te pożarłyby po prostu mężczyzn i kobiety, a żołnierze nieprzyjaciela zabijali mężczyzn, a kobiety zniewalali. I to – bez względu na wiek – najpierw młode, a potem także i stare.

– Synek mojej siostry zaczął płakać – opowiadała jedna z dziewcząt, której oczy były całkiem zapuchnięte od płaczu. – Miał pięć miesięcy. Był taki zdrowy i silny. Płakał tak głośno, bo żołnierze oderwali go od matczynej piersi. I tym płaczem strasznie rozwścieczył mężczyznę, który moją siostrę wykorzystał. Ten człowiek zadusił maleństwo jej własnym ubraniem, podczas gdy ona leżała związana sznurem i nie mogła nawet krzyknąć. A kiedy zrobiło to już z nią kolejnych trzydziestu, po prostu życie z niej uszło.

– Czy ty to widziałaś? – szepnęła Ling Sao.



– Nie, ale o wszystkim opowiedział mi ojciec – odrzekła dziewczyna. – Ja nie jestem jeszcze mężatką. Dlatego ojciec przyprowadził mnie tutaj bardzo wcześnie. Jednak moja siostra była kobietą zamezną. Więc ktoś mógł pomyśleć, że umrze w ten sposób?

Tak, tak to było w tym mieście. Wszyscy co prawda wiedzieli, do czego zdolni są nieprzyjacielscy żołnierze, wszyscy zdawali sobie sprawę, że młode kobiety w razie zajęcia miasta muszą się na kilka dni ukryć i poczekać, aż ponownie zapanuje spokój, i że dotyczy to zwłaszcza kobiet pięknych. Ale nikomu nie przyszło do głowy, że może mieć tu miejsce aż taki ogrom zła, z jakim spotkali się teraz. Dawniej zdarzało się, że miasto zajmowali wrogowie. Wrogowie ci nie byli jednak nigdy cudzoziemcami. Ponadto tym razem mieszkańcy miasta dali się omamić ludziom, którzy mówili, że ci cudzoziemcy są lepsi od ich własnych żołnierzy, i z tego to powodu nie wszyscy odpowiednio zadbali o własne bezpieczeństwo, jak to robili kiedyś podczas zwyczajnych wojen.

Oczywiste było, że w mieście straciło życie wielu niewinnych i nieświadomych niczego mężczyzn. Owe kobiety opowiedziały Ling Sao, co widziały na własne oczy. Mówiły, że za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna odwracał się i uciekał na widok wroga, żołnierze strzelali i zabijali go na miejscu. W ten właśnie sposób w ciągu jednego dnia padły ich tysiące. Wrogowie zabijali też każdego, kto miał wygląd – obecnego czy też byłego – żołnierza. Takich mężczyzn także w ciągu tego dnia padły tysiące. A tych, co pozostali przy życiu, nieprzyjacielscy żołnierze zmuszali do pracy. I każdy pracujący zbyt wolno, każdy zbyt młody i zbyt słaby, by dźwigać na plecach ciężary, każdy nienawykły do ciężkiej roboty starzec czy uczonec, każdy z nich ginął z ręki wroga. I tych również tego dnia zginęły tysiące.

Ling Sao przez cały ranek wysłuchiwała takich opowieści. Dlatego w południe, w porze ponownego posiłku, jadła z trudem, choć ryż był suchy i ugotowany na miękko. A pod wieczór, kiedy przyniesiono kolację, okazało się, że nie może przełknąć ani kęsa. Tak, Ling Sao nic nie zjadła, choć posiłek składał się ze smacznego ryżu i kapusty na fasolowym oleju i był prawie tak smaczny jak te, które sama gotowała w domu. Jednak po tym, co usłyszała, nie była w stanie niczego nawet skosztować. Siedziała tylko i myślała, że to, co przydarzyło się Ling Tanowi i jej samej, to, co wydawało się tak ogromnym złem, skurczyło się w obliczu nieszczęść innych ludzi. I miało teraz rozmiary drobnego zła w morzu innych, znacznie od niego poważniejszych. Wiele kobiet, z którymi rozmawiała, widziało, jak zabijano ich bliskich, jak bito i gwałcono ich siostry czy córki. A niektóre po prostu milczały, bo ogrom ich cierpień nie dawał się ująć w słowa. Z nadejściem nocy Ling Sao obezwładniły wręcz nudności i zmęczenie, a nade wszystko podzielała na nią strach, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. No bo cóż ich czekało, skoro kraj wpadł w ręce takiego wroga? I co poczną,

dostawszy się pod rządy tych, którzy po prostu nie są ludźmi? Złych władców znały co prawda wszystkie narody i wszystkie czasami musiały ich znosić, jednak ci byli znacznie gorsi, im brakowało ludzkiego serca.

W ten sposób zapadła znowu noc – druga noc, którą Ling Sao spędzała poza domem. Kobieta uświadomiła sobie z bólem, że słuchając innych kobiet, przez cały dzień prawie nie myślała o mężu. Teraz, gdy uśpiła już wnuki i gdy jej córki umościły się przy dzieciach, też się położyła, a obok niej znalazło się znowu siedem kurtyzan. Co prawda rano planowała sobie, że przeniesie się z dziećmi w inne miejsce na sali. Potem jednak zapomniała o tym. A teraz było już za późno. Położyła się zatem cicho, odsuwając się jak najdalej od sąsiadującej z nią młodej i pięknej kobiety.

– Dlaczego wy tu jesteście? – zapytała ją po chwili z gniewem. – Kobiet takich jak wy nie powinno tu być.

Kurtyzana uśmiechnęła się smutno.

– Nawet my jesteśmy kobietami – odrzekła spokojnie swoim pięknym głosem. – I także boimy się tych bestii.

Po czym odsunęła się nieco – tak jakby wiedziała, gdzie jej miejsce, i postanowiła trzymać się z daleka. Nie odezwała się więcej do Ling Sao, zwracała się tylko do swych towarzyszek, które leżały po drugiej stronie. A tego, co mówiły, Ling Sao nie rozumiała, bo pochodziły z innego miasta i między sobą rozmawiały we własnym języku. Zresztą prawda była taka, że te kobiety, musząc zabawiać wielu mężczyzn, znały wiele języków – nawet obcych, by móc bawić cudzoziemców przyplływających zagranicznymi statkami. Ling Sao wiedziała o tym wszystkim, bo przecież każdy wie o takich sprawach.

Sądzę, że one pochodzą z Suczou, pomyślała, po czym, chcąc sprawdzić, czy ma rację, zagadnęła jeszcze raz młodą kurtyzanę:

– Pochodzicie z Suczou?

– Tak – potwierdziła tamta.

– Więc dlaczego jesteście tutaj, w tym mieście? – zapytała Ling Sao.

A w duchu pomyślała sobie, że przybyły tu z uwagi na obecność żołnierzy. Ale skoro tak, myślała dalej, to dlaczego nie są na zewnątrz, w mieście? Dlaczego nie wykonują tej swojej pracy? Dlaczego nie sprawią, pracując, by miasto stało się bezpieczniejsze dla przyzwoitych kobiet?

– Byłyśmy w Suczou, kiedy to miasto padło – odrzekła piękna kobieta. – W naszym

domu mieszkały dwadzieścia trzy kurtyzany, a zostało nas tylko siedem. Uciekłyśmy potem, jednak nie bez szwanku, bo nie możemy zapomnieć tego, co się nam przytrafiło. Dotarłyśmy aż tutaj i utknęłyśmy w tym mieście, bo zabrakło nam pieniędzy. Kiedy usłyszałyśmy, że biali ludzie zapewniają bezpieczeństwo kobietom, że ukrywają je za tymi murami, zgłosiłyśmy się do nich, bo nienawidzimy nieprzyjacielskich żołnierzy. Powiadam wam, dobra matko, to nie są mężczyźni. Mężczyzn my dobrze znamy. Ale ci żołnierze – to po prostu nie są ludzie!

Skończyła i odwróciła się do Ling Sao plecami. Nie rozmawiały już więcej, jednak po chwili Ling Sao usłyszała, że kobieta płacze. Jej płacz był przy tym tak cichy, że docierał jedynie do uszu osoby znajdującej się tuż obok. Ling Sao, która miała przecież czułe serce, wzruszyła się tak bardzo, że zaczęła zadawać sobie pytanie, czy nie powinna jakoś pocieszyć tej nieszczęsnej istoty, takiej pięknej i młodej. Powstrzymała ją jednak od tego silna niechęć do tego rodzaju kobiet. Ling Tan przez całe życie nie spojrzał na żadną kurtyzanę – tego była pewna. A mimo to żywiła do nich taką niechęć, jakby jej mąż to zrobił. I nie zmniejszał tej niechęci fakt, że dotychczas znała je tylko ze słyszenia i nie widziała żadnej na oczy. Nie zagadnęła więc młodej kobiety, a jej płacz w końcu ucichł. Wtedy Ling Sao, śmiertelnie zmęczona tym dniem, usnęła.

Obudziła się w środku nocy, podobnie jak wszystkie inne kobiety i dzieci. Ze snu wyrwał je bowiem straszny hałas spowodowany łomotaniem do bramy i padającymi ponad murem strzałami. Kobiety, wybite ze snu, dygotały w ciemnościach, przerażała je bowiem myśl o tym, co teraz nastąpi. Wkrótce ich uszu dobiegły podniesione głosy – głosy mężczyźni mówiących jakimś niezrozumiałym językiem. Pojęły więc, że do bramy dobijają się nieprzyjacielscy żołnierze, którzy dotarli nawet tutaj.

Wstały wszystkie i ubrały się po omacku, a potem każda z nich zamarła w oczekiwaniu. Nie padło przy tym ani jedno słowo, a kiedy nagle zapłakało jakieś dziecko, szybko zostało utulone. Po paru chwilach do sali weszła biała kobieta, która niosła latarnię. Trzymała ją wysoko, tak że światło padało na wystraszone twarze.

– Mam dla was złe wiadomości – oznajmiła. – Wrogowie stoją pod naszą bramą. Jest tam ze stu uzbrojonych mężczyźni. Grożą, że zaraz wejdą do środka, a ja nie jestem w stanie ich powstrzymać. Nie posiadam przecież żadnej broni. Dysponuję tylko mocą mojego Boga i autorytetem swojego kraju. Mojego Boga ci ludzie się nie boją. Jednak przed moim krajem czują respekt. Ten kraj jest bowiem wielki. Właśnie dlatego jeszcze tu nie wkroczyli. A poza tym udało mi się ich w pewien sposób przekupić.

To rzekłszy, biała kobieta rozejrzała się po przerażonych twarzach, a jej podopieczne zauważyły, że jest blada i drżą jej usta.

– Cena, której zażądali, jest taka, że wstyd mi o niej mówić – ciągnęła. – Jednakże muszę to zrobić, byście się mogły ratować. A więc żołnierze tu nie wejdą jedynie pod warunkiem, że wydamy im kilka kobiet, które pójdą z nimi. Kilka... to znaczy pięć, sześć albo nawet...

Przerwała. Odpowiedziało jej głuche milczenie. Gdzie są kobiety, które zechcą pójść z tymi ludźmi? Gdzie są takie, co się na to odważą dla ratowania pozostałych? Nie znały na te pytania odpowiedzi.

Tymczasem cudzoziemka czekała. Czekala aż do chwili, gdy rozległ się znowu hałas, krzyki i łomotanie do bramy. Wtedy po prostu wyszła, a one zostały. I wciąż milczały, jednak każda powtarzała sobie w duchu: „To nie mogę być ja... nie ja przecież!”.

Gdy upłynęło tyle czasu, ile potrzeba na przeliczenie dwustu drobnych monet, biała kobieta wróciła, podniosła wysoko latarnię i oznajmiła zdenerwowana:

– Nie mogę ich powstrzymać. Oni twierdzą, że jeżeli natychmiast nie wydam im kilku kobiet, to zaraz tu wejdą. Och, moje siostry! Kimże jestem, by nakazywać którejkolwiek z was, by wyszła stąd w takim celu? A jednak przychodzi mi na myśl, że Bóg zesłał nam tutaj te, które... które zechcą... uratować... kobiety przyzwoite. Nie proszę o to... Mówię tylko, że jeżeli są tutaj takie osoby, jeżeli te osoby czują, że mogą to zrobić... Albo wiecie co, może będzie lepiej, jeżeli...

Przerwała, a one w silnym żółtym świetle latarni zauważyły, że przygryza wargę. Latarnia zadrżała w jej ręce.

I wtedy właśnie Ling Sao zobaczyła coś, czego miała nie zapomnieć do końca życia. Tak, zobaczyła coś, na myśl o czym do końca życia serce jej miało mięknąć w serdecznym uczuciu dla wszystkich kobiet, które ludzie zwą złymi. Oto leżąca obok niej piękna młoda kobieta wstała, przyglądała włosy i poprawiła na sobie ubranie.

– Chodźcie, małe siostrzyczki – powiedziała głosem pełnym smutku i zmęczenia. – Chodźcie, wstańcie, przyglądźcie włosy i przywołajcie na usta uśmiechy. Musimy wracać do pracy.

Panowało głębokie milczenie, gdy pozostałe kurtyzany, usłyszawszy te słowa, także wstały. I nikt się nie odezwał, gdy cała siódemka przeszła przez salę, omijając leżące na ziemi sienniki, i skierowała się ku drzwiom.

Przy drzwiach ta, która wezwała do pracy pozostałe, zatrzymała się przed białą kobietą.

– Jesteśmy gotowe – oznajmiła swoim pięknym głosem.

– Niech Bóg was błogosławi – odrzekła biała kobieta. – I niech sprawi, byście poszły do nieba!

Piękna kurtyzana pokręciła jednak na to głową.

– Twój Bóg nas nie zna – powiedziała.

Po czym spokojnie, trzymając się bardzo prosto, poszła przodem w stronę bramy, a pozostałe podążyły za nią. Ten pochód zamykała biała kobieta, oświetlając im drogę podniesioną wysoko latarnią.

A w sali, z której wyszły, zapadły ciemności i żadna z kobiet nie odezwała się ani słowem. Matki w milczeniu położyły się znowu obok swoich dzieci. Ling Sao zrobiła to samo. Miała teraz obok siebie puste miejsce, a serce z żalu krajało jej się w piersi. Do oczu napłynęły jej łzy, więc je otarła. One jednak pojawiły się znowu.

Tej nocy łomotanie do bramy nie powtórzyło się już więcej, a biała kobieta nie wróciła do sali. A gdy nastąpił świt, Ling Sao wstała wraz ze wszystkimi. I tego dnia nie było tutaj kobiety, która by nie myślała o tym, co zaszło tej nocy. Mimo to żadna z nich, ani Ling Sao, ani żadna inna, nie była w stanie o tym mówić. Każda z matek karmiła swoje dzieci, każda oddawała się swoim nielicznym zajęciom. I był to dzień milczenia, podczas którego biała kobieta nie zajrzała do nich ani razu. A potem znowu zapadła noc.

# VIII

Wu Lien, zupełnie sam, pracował w swoim sklepie. Przez pierwsze dni po powrocie nie wychodził w ogóle z domu, odsłonił jednak sklepową wystawę i – na tyle, na ile to było możliwe – uporządkował chaos, który zastał w środku. Ale pewne czynności wykonał przed wszystkimi innymi. Tak, wykonał je, zanim nawet, po odprowadzeniu żony i dzieci do białej kobiety, postarał się o żywność. A zrobił, co następuje: z kuchennego komina wydobył trochę sadzy, zmieszał ją z wodą, a nie mogąc w całym tym bałaganie znaleźć pędzla, przywiązał do kija szmatę, zanurzył ją w owym atramentowym roztworze i dużymi, czarnymi literami napisał na pobielanej frontowej ścianie sklepu te oto słowa: TUTAJ SPRZEDAJE SIĘ TOWARY ZNAD WSCHODNIEGO OCEANU.

Po czym, po raz pierwszy od chwili, gdy studenci zniszczyli mu sklep, poczuł się nieco pocieszony. No bo gdzież ci studenci są teraz? Jak okiem sięgnąć nie widać przecież żadnego. Ci, którzy nie uciekli, zostali zabici. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Tymczasem on żyje. I otworzy ponownie swój sklep. A za kilka dni, jeśli wszystko pójdzie dobrze, sprowadzi z powrotem żonę i dzieci. I znowu będzie im się powodziło doskonale.

Czy kochać własny kraj, myślał dalej, oznacza niszczyć ucziwie nabyty towar w czyimś sklepie? Czy w ten sposób postępują wobec siebie ludzie rozumni?

Tak rozmyślając, doszedł do wniosku, że jest od tamtych studentów zdecydowanie lepszym patriotą. Tak, jest od nich lepszym patriotą, bo żyje, bo niczego nie zniszczył i nikogo nie zabił. A w niedługim czasie, naprawdę już niedługo, będzie znowu zapewniał innym ludziom strawę i możliwość robienia interesów.

Dlatego, choć dawniej nigdy przecież nie zajmował się takimi rzeczami, z prawdziwą przyjemnością zabrał się do sprzątnięcia sklepu. Starał się jak mógł, by go uporządkować, choć w sklepie jedna ściana była całkiem zniszczona. Pomyślał też o tym, by przed sprowadzeniem żony i dzieci jako tako uładzić także dom mieszkalny. Nie zdecydował się jeszcze, kiedy ściagnie swych bliskich. Nie był bowiem w stanie zignorować licznych zwłok na ulicach, a także krzyków, które rozlegały się w nocy, a czasem nawet i za dnia, i które wyraźnie świadczyły, że cierpi niejedna kobieta. Nie rusza! się jednak z domu i nie przerywał swej pracy. To nie moja sprawa, myślał sobie. Nie moją jest winą, że żołnierze są tacy. Wiem przecież, że cokolwiek się zdarzy, ja sam jestem i pozostanę człowiekiem pokoju.

Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że przed sprowadzeniem rodziny musi dla jej

ochrony uzyskać od zwycięzców zaświadczenie, że jest dobrym obywatelem, człowiekiem zdolnym zrozumieć, że czasy się zmieniają, a Niebios, zgodnie ze swoją wolą, zsyłają narodowi różnych władców. A także, że bez względu na to, co te Niebiosy jeszcze ześlą, on sam, Wu Lien, będzie nadal prowadził swoje interesy. Jednak dokąd się po ten papier udać i kogo o niego poprosić – nie miał pojęcia.

Wkrótce po tym, jak Wu Lien wykonał swój napis, zjawili się w jego sklepie czterech żołnierzy. Jeden z nich okazał się jakimś niższym oficerem, a pozostali jego podkomendnymi. I wszyscy przyszli, żeby się dowiedzieć, czy Wu Lien ma na zbyciu jakąkolwiek żywność.

Tyle zrozumiał z ubogich słów oficera, bo pozostali nie potrafili powiedzieć nic w jego języku. Oficer zażądał solonej ryby. Jednak Wu Lien miał tylko drobne rybki w małych puszkach. Ryby solonej ani też wymoczonej w oliwie nie było w jego sklepie. Pokazał więc puszki oficerowi, na co ten pokiwał głową na znak, że się nadadzą.

– Ile? – zapytał, podnosząc w górę palce.

Wu Liena bardzo zaskoczył fakt, że takie pytanie w ogóle pada. Ucieszył się jednak, gdy je usłyszał. Przyzwyczajony był bowiem do tego, że żołnierze wchodzi do sklepu, biorą, co chcą, i wychodzą, nie pytając o nic. Dlatego odrzekł z uśmiechem, wzruszając ramionami:

– Nic, panie oficerze... To prezent ode mnie dla pana.

Teraz to oficer był zaskoczony. Uśmiechnął się więc także, pokazując swoje bardzo białe i czyste zęby.

– A! – powiedział. – Więc wy nie żywicie do nas nienawiści?

– Ja nie nienawidzę nikogo – odrzekł mu na to Wu Lien z jeszcze szerszym niż przedtem uśmiechem.

Oficer skłonił się, powiedział coś do żołnierzy, po czym oni ukłonili się także.

– Musicie coś od nas wziąć w zamian za wasze towary – stwierdził oficer.

– Nie mogę – odpowiedział również z ukłonem Wu Lien. – Kupiłem je od waszego kraju i teraz wam je zwracam.

Wtedy oficer usiadł na małym stołku przy ladzie i gestem dłoni wskazał ulicę.

– Za to wszystko... przepraszamy. Nasi żołnierze... bardzo dzielni... i bardzo rozniewani.

Wu Lien pochylił głowę.

– My także mamy żołnierzy. I co do mnie, to dobrze wiem, jacy oni potrafią być – powiedział. – Teraz jednak, miejmy nadzieję, zapanuje już pokój. No bo tylko podczas pokoju można prowadzić interesy.

A potem w jak najprostszych słowach, starając się, żeby oficer go zrozumiał, opowiedział mu o studentach, którzy zniszczyli w jego sklepie towary.

– W ciągu ostatnich lat – dodał jeszcze – w tym mieście panowały złe czasy. Miejmy nadzieję, że teraz nadchodzą lepsze.

– Och, możemy wam to obiecać – odrzekł oficer. – Jeżeli w mieście znajdzie się wielu takich jak wy, to obiecujemy, że tak będzie.

– Jest takich wielu – zapewni! skromnie Wu Lien.

A potem, zachęcony tą wymianą zdań, odwrócił się i z jednej z uporządkowanych już półek zdjął kilka puszek ze słodkimi ciasteczkami, po czym wręczył po jednej każdemu z żołnierzy, z czego ci bardzo się ucieszyli.

– Proszę mi wybaczyć, że nie częstuję herbatą – powiedział. – Nie ma jednak w domu mojej rodziny. Jestem teraz zupełnie sam.

– Ale dlaczego? – zdziwił się oficer.

Wu Lien zakaszlał na to, przysłaniając usta dłonią.

– Żona udała się w odwiedziny do swojej matki – odrzekł. – Ale za parę dni wróci.

Oficer doskonale wiedział, dlaczego żony Wu Liena nie ma w domu, jednak z zadowoleniem przyjął fakt, że Wu Lien taktownie nie podał rzeczywistego powodu. Kazał mu też zaraz przynieść papier i pióro. Wu Lien natychmiast spełnił polecenie. Oficer nakreślił na arkuszu jakieś wyraźne czarne litery, których Wu Lien nie potrafił odczytać, a potem, już literami mu znanymi, wypisał jego nazwisko oraz adres i wreszcie zwrócił mu papier.

– Jeżeli zjawi się tutaj ktoś, kto będzie was niepokoił, pokażcie mu ten papier – polecił.

– Jakże mam wam, panie oficerze, dziękować? – odrzekł na to Wu Lien. – Cóż mogę powiedzieć, prócz tego, że zrobię wszystko, o co mnie poprosicie?

– Świetnie – powiedział oficer i zaraz dodał: – Przyślę wam z naszej kwatery szyld, który umieścicie przy wejściu, a jeżeli to nie wystarczy, to także wartownika.

Wu Lien ucieszył się wzmianką o szyldzie, lecz zadrzał na myśl o straży pod drzwiami. Bo kto kiedy słyszał o wartowniku, który nie je i nie pije więcej niż dziesięciu zwykłych mężczyzn? I który nie prosi o najlepsze krzesło, a także o inne rzeczy – o cokolwiek, co przyjdzie mu do głowy? Dlatego Wu Lien odrzekł pospiesznie:

– Za szyld składam wam, panie, stokrotne, powiem więcej, tysiąckrotne dzięki. Jednak na wartownika mój sklep jest za mały. Wszystko, co mam, nie jest warte połowy ceny za jego pracę. Wystarczy, że wolno mi będzie zawsze się do was zwrócić. I proszę, byście skorzystali



z moich usług, jeżeli potrzebny się wam okaże prosty, uczciwy człowiek. Jestem zwykłym kupcem, a ten sklep należał kiedyś do mego ojca. I dzięki waszej życzliwości przekażę go w przyszłości swojemu synowi.

– Oczywiście – odrzekł z dumą oficer. – My nie krzywdzimy tych, co nie stawiają nam oporu.

– Dlaczego miałbym stawiać opór życzliwości? – powiedział Wu Lien.

I tak się rozstali. Wyglądało na to, że z obopólną dobrą wolą. Jednak gdy żołnierze się oddalili, Wu Lien usiadł i pomimo panującego chłodu otarł pot z czoła. Ze zdumieniem też stwierdził, że całe ciało pod ubraniem ma także mokre. Uświadomił sobie, jak ogromnie bał się tych nieprzyjacielskich żołnierzy. Ale odtąd sytuacja się zmieni, pomyślał. I na tę myśl doznał takiej ulgi, że przestał się pocić.

Muszę tylko pamiętać, aby nie stawiać oporu, a to przecież dla człowieka takiego jak ja jest bardzo łatwe.

Doszedłszy do tego wniosku, poczuł taką radość, jakiej nie doświadczał od wielu miesięcy, a kiedy po południu żołnierz przyniósł mu skrzynkę, w której znajdowała się złożona nieprzyjacielska flaga wraz z kawałkiem zapisanego materiału, odniósł wrażenie, że wygrał swoją wielką prywatną bitwę. Pospiesznie wynagrodził żołnierza niewielką sumą pieniędzy, a kiedy ten się już oddalił, zabrał się do mocowania szyldu na poprzecznej belce nad sklepowymi drzwiami. Wtedy usłyszał w sąsiedniej uliczce krzyk jakiejś dziewczyny. Przerwał więc na chwilę, nasłuchując, a gdy jego uszu dobiegł jej pełen przerażenia bełkot, nie miał już wątpliwości, co takiego zaszło.

Ten żołnierz, pomyślał, ten żołnierz, który przed chwilą przyniósł mi szyld... Czyżby on to zrobił?

Nasłuchiwał jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie zapadła cisza. Nie poszedł jednak sprawdzić, co ta cisza oznacza. No bo jak mógłby oskarżyć kogoś, kto przed chwilą wyświadczył mu przysługę?

Tak to już jest na wojnie, powiedział sobie w duchu ze smutkiem, po czym zrobił sobie gorącej herbaty.

Nagle ogarnął go gniew na ojca tej dziewczyny. Dlaczego ten człowiek, zapytał siebie, trzyma tutaj taką młodą istotę? Dlaczego jej nie ukrył do czasu, aż zapanuje pokój? I wtedy doszedł do wniosku, że sam postąpił bardzo mądrze, rozgrywając tak świetnie wszystkie swoje sprawy.

Jednak nie wszystko układało się tak świetnie, jak sobie wyobrażał. Bo oto o

zachodzie słońca, gdy nadszedł czas, by pozasłaniać okna sklepu na noc, spojrzął w górę, chcąc najpierw zdjąć znad drzwi szyld otrzymany od nieprzyjacielskiego oficera. Lecz nie zobaczył go tam. Bo szyld zniknął. Było to całkiem nie do wiary, bo przecież własnoręcznie przymocował go do belki porządnymi gwoździami. Mimo to szyld zniknął, a na gwoździu łopotały tylko resztki nieprzyjacielskiej flagi. Wu Lien wbił w nie wzrok, czując, że ogarnia go przerażenie. Czyżby gdzieś w pobliżu pozostał jeszcze przy życiu jakiś student? – zapytywał siebie.

Zrobił mi to jakiś mój osobisty wróg, myślał dalej. Mam gdzieś w pobliżu jakiegoś wroga. Zasłonił szczelnie okna, wszedł do domu i położył się do łóżka. Nie mógł jednak zasnąć. Wartownik! – pomyślał przestraszony. Chyba mimo wszystko muszę mieć wartownika, który obroni mnie przed moimi wrogami.

Tymczasem na wsi Ling Tan i jego synowie zbili z desek trumnę dla matki Wu Liena. Uczynili to sami, bo teraz wszyscy stolarze mieli ręce pełne roboty. Pracując dniem i nocą, nie nadążali z wykonywaniem zamówień. A najsprytniejsi z nich, wiedząc, że wojna zawsze sprzyja ich interesom, robili trumny już od miesięcy i przygotowując się na to, co ma nastąpić, składowali je we własnych domach, w świątyniach i wszędzie tam, gdzie tylko dało się je wstawić. Teraz jednak w mieście i jego okolicach było tylu zmarłych, że trumien zabrakło. Często obywano się więc bez nich, a żołnierze nieprzyjacielscy wrzucali po prostu zwłoki do wykopanych przez siebie dołów. Przysypywali je potem cienką warstwą ziemi, czego skutek był taki, że zgłodniałe psy dokopywały się do zmarłych, ryjąc pazurami. Na szczęście działa się to wszystko zimą, bo w przeciwnym razie odór panujący w mieście dotarłby aż do nozdrzy bogów.

Ling Tan dobrze wiedział, że nie ma co szukać stolarza. Zbił więc wraz z synami trumnę z desek, które uzyskali, rozmontowując nieużywane łóżka i dwoje wewnętrznych drzwi. A potem za pomocą drągów i lin dźwignęli wielkie ciało otyłej kobiety, umieścili je w trumnie i przybili wieko gwoździami. Do ciągnięcia trumny wykorzystali bawołu, a sami popychali ją z tyłu. W ten sposób przetransportowali trumnę w pole i tam zakopali. Usypali wzgórek, chcieli bowiem wskazać to miejsce Wu Lienowi ze słowami: „Twoja matka leży właśnie tutaj, a my zrobiliśmy dla niej wszystko, co było w naszej mocy”.

Spełniwszy ten obowiązek, wrócili do domu i zaczęli zaprowadzać w nim porządek. Naprawili to, co się tylko naprawić dało, i urządzili sobie w miarę znośne życie. To samo działało się we wszystkich innych domach w wiosce, bo ani jeden nie uchwalił się bez szwanku,

prócz domu uczonego kuzyna Ling Tana, który był tak biedny, że żołnierze wroga nie zadali sobie nawet trudu, by zniszczyć tam meble. Kuzyn i jego żona ocalili, bo gdy wróg nadchodził, ukryli się w ogromnym zbiorniku na nieczystości. Pojemnik ten był tak wysoki jak rosły męczyzna, a także wystarczająco szeroki, by pomieścić pięciu ludzi. Stał na skraju pola, pełen odchodów przeznaczonych do użyźniania gleby. Do tego to właśnie ogromnego zbiornika wskoczył kuzyn wraz z żoną. Wystawili na zewnątrz tylko nosy, umożliwiając sobie w ten sposób oddychanie. Tak właśnie się uratowali. Jednak potem, choć myli się często i dokładnie, strasznie cuchnęli, a wieśniacy, mimo że zrozpaczeni, śmiali się z nich serdecznie. Syn uczonego kuzyna także zdołał ocaleć, gdyż w chwili wkroczenia do wsi wroga był wciąż nieprzytomny. Matka zatem ukryła go za kuchennym piecem, przykrywając kilkoma wiązkami opału. I żołnierze nie znaleźli chłopaka.

Ich dom, jako jedyny w całej wiosce, pozostał nietknięty. Zatem żona uczonego kuzyna, osoba cnotliwa i pobożna, twierdziła, że uratowali ich bogowie. Co do młodego człowieka natomiast, to nikt nie potrafił na razie powiedzieć, czy będzie żył, czy umrze. Bo biedny chłopak nie mógł ani jeść, ani mówić, a ocknąwszy się z jednego omdlenia, popadał zaraz w następne. I na nowo krwawił, gdy tylko go poruszono, jednak wciąż czepiał się życia. Mieszkańcy wioski, jeden po drugim, odwiedzali dom jego rodziców, by go zobaczyć i udzielić rady. Każdy z nich mówił, jak by postąpił, gdyby chłopak był jego synem, a matka biedaka robiła wszystko, co jej radzili. Nie zaniedbała niczego, niczego też nie szczędziła. Istniała więc nadzieja, że życie jej syna da się uratować.

Jednak wszystkie inne gospodarstwa w wiosce poważnie ucierpiały. Niektórzy wieśniacy doznali nawet większych krzywd od Ling Tana, ponieważ zabrakło im bystrości umysłu, by wyprowadzić z domu i ukryć swoje kobiety. Skutek był taki, że w wiosce liczącej niecałe sto osób życie straciło siedem młodych dziewcząt, a także cztery dojrzałe kobiety. A ile z nich zostało zhańbionych – tego nikt nie wiedział, bo żaden męczyzna nie przyznałby, że ucierpiała w ten sposób jego córka lub żona. Wśród tych, co stracili życie, znalazł się także najstarszy w wiosce człowiek. W dniu wkroczenia wroga, po tym jak tamten żołnierz dźgnął go w plecy, położył się po prostu do łóżka. Jego rana była bardzo mała, więc w dniu tak pełnym grozy nikt nie poświęcił mu uwagi. Jednak wieczorem, gdy zainteresowano się nim wreszcie, okazało się, że nie żyje. Ling Tan, choć był tylko jego dalekim krewnym, bardzo po nim rozpaczał. Ostrze, którym go pchnięto, wniknęło głęboko, pomyślał. A stary doskonale wiedział, że skończyły się dla nas dni szczęścia i wolności, więc nie chciał już dłużej żyć.

Widząc, ile do tego czasu wycierpiała wioska, Ling Tan spotkał się ze starszymi jej mieszkańcami. Wszyscy oni pragnęli bowiem zapewnić bezpieczeństwo swoim kobietom. Kiedy Ling Tan poinformował sąsiadów, gdzie umieścił córki, synową i żonę, oni postanowili zrobić to samo. Dlatego wkrótce odźwierny w domu za służą słyszał co jakiś czas skrobanie gałązką wierzby w bramę. Otwierał ją wtedy i wpuszczał kolejne kobiety i dziewczęta, które biała cudzoziemka przyjmowała pod swoją opiekę.

W końcu w wiosce pozostali sami mężczyźni oraz lalka starowinek, a także uczony kuzyn Ling Tana wraz z żoną, która ze względu na syna nie mogła szukać schronienia w mieście.

– Zawsze pozostaje zbiornik z nieczystościami – twierdziła spokojnie. – A co się zrobiło raz, można zrobić po raz drugi.

Trzeba tu powiedzieć, że z historii ze zbiornikiem wynikły pewne przykre, choć nieco zabawne skutki. Bo oto uczony kuzyn Ling Tana nosił brodę. Wyhodował ją z wielkim trudem, gdyż – jak to zwykle bywa z uczonymi – nie miał bujnego zarostu. I jak każdy człowiek uczony przywiązał się do niej ogromnie. Tymczasem teraz się okazało, że choć myje ją wielokrotnie i dokładnie, nie może pozbyć się okropnego zapachu. Dlatego jego żona, która przecież przez lata tolerowała przykry oddech pochodzący z jego brzucha, zaczęła się domagać, żeby przynajmniej pozbył się brody. Ale on się uparł. Sam nie czując własnego zapachu, nie chciał tego zrobić. Spowodowało to między nimi ostrą kłótnię, a sąsiadom dało asumpt do śmiechu. Wieśniacy przyjęli rzecz z zadowoleniem, bo przecież nie mieli wielu powodów do radości. Ich samotne życie w wiosce było teraz smutne, wszyscy tęsknili za swoimi kobietami, żartowali więc z tego jedyne, który miał żonę przy sobie.

– Ach, ty stary głąbie – powiadali. – Co jest więc przedmiotem twojej największej miłości? Żona czy broda?

Czasami też, rankiem, ten i ów z rechetem komentował:

– Stary dureń wciąż nie pozbył się brody! Nie spotkamy się z nim już więcej! A co do mnie, to wolę, żeby moja żona siedziała gdzieś za murami! Tak, wolę już to, niż gdyby miała spać w moim łóżku i odmawiać spełnienia małżeńskiego obowiązku!

Mówili tak, bo żona uczonego kuzyna Ling Tana wystawiła przecież męża na wstyd i pośmiewisko. Opowiadała na lewo i prawo, że będzie odmawiała mu swoich względów, dopóki on nie pozbędzie się swojej małej bródki. Bródka ta stała się więc przedmiotem codziennych żartów. I żartowali sobie z niej teraz wszyscy – oprócz mężczyzny, który ją nosił.

Ling Tan sam. nie chodził do miasta. Jednak za pośrednictwem każdego, kto

prował do białej kobiety swoją żonę, córkę lub siostrę, przekazywał jakiś drobiazg dla Ling Sao. Czarna kura, choć panowały tak ciężkie czasy, zniosła kilka jajek. Przesłał je więc w chusteczce do nosa. Przesłał też złowioną w stawie świeżą rybę zawiniętą razem z solą w liść lotosu. Ściął dla Ling Sao dwie nieduże główki kapusty, które dało się wsunąć pod męski kaftan. Żałował też bardzo, że nie potrafi pisać, a jego żona czytać – bo w tej sytuacji jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, było zaufać uszom i ustom innych ludzi.

– Powiedz jej, że wysprzątailiśmy dom i że, choć z trudem, dajemy sobie jakoś bez niej radę – poprosił raz jednego z mężczyzn. – Powiedz też – dodał zaraz – że pogrzebaliśmy zmarłą staruszkę i że sami zbiliśmy dla niej trumnę. I niech nie spieszy się z powrotem do domu, bo słyszeliśmy, że teraz, po zhańbieniu prawie wszystkich kobiet w mieście, żołnierze nieprzyjacielscy codziennie nachodzą jakąś wioskę. My jednak nie boimy się ich, bo wszystkie nasze kobiety uciekły.

Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że mógłby tęsknić za kimś tak bardzo, jak tęsknił teraz za Ling Sao. I nie chodziło tu o to, że brak mu jej było jako kobiety. Nie. Ling Tan czuł się tak, jakby jego żona była częścią jego samego. Bez Ling Sao nie smakowało mu żadne jedzenie. I nie szła mu żadna robota. Dziwił się trochę, że nie tęskni za nią bardziej jako kobietą. Ale nie. Jego ciało było spokojne. Tak spokojne, jakby był eunuchem. Ling Tan nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Bo przecież odkąd stał się dojrzałym mężczyzną, zawsze przez wszystkie te lata miał to, czego pragnął. I przyzwyczaił się do tego. Pewnego dnia, kiedy najmłodszego syna nie było w pobliżu, nakierował na ten temat rozmowę z najstarszym. Ale dyskretnie, nie mówiąc o sobie. Zadziałał bowiem wstyd istniejący między pokoleniami.

– Jak ty się czujesz, mój synu – zagadnął – gdy matki twoich dzieci nie ma przy tobie tak długo? Czy jesteś nieswój?

– Nie, ojczu – odrzekł młody człowiek. – I wydaje mi się to dziwne. Tłumaczę to sobie jednak faktem, że wszystkie te opowieści o złych żądzach i krzywdzie kobiet, które się teraz słyszy, sprawiają, że na pewien czas straciliśmy apetyt na kobiety. Sądzę, że dzieje się tak z każdym mężczyzną, który jest wiernym mężem i dobrym człowiekiem.

Ling Tanowi wyjaśnienie tego rodzaju nie przyszło nawet do głowy. Teraz jednak zastanowił się nad nim głęboko. I im dłużej o tym myślał, tym wyraźniej widział, że syn ma chyba słuszość. Bo rozglądając się naokoło, dostrzegał dwa typy mężczyzn. Mężczyźni pierwszego typu byli podobni do niego i jego syna, a u tych, którzy reprezentowali typ drugi, wszystkie okropności wojny budziły tylko jeszcze większe żądze. Ling Tan doszedł więc do wniosku, że każdy mężczyzna, bez względu na to, co sądzą o nim inni, jest dobry lub zły –

zgodnie ze swoją naturą. I jeszcze że czasy wojenne przyczyniają się do ujawnienia naturalnych skłonności.

Ling Tan przeżył dotychczas bardzo wiele. Miało na niego jednak spaść jeszcze jedno zło – całkiem nowe, takie, w które nie byłby w stanie uwierzyć, nie widząc go na własne oczy. A dotknęło ono bezpośrednio jego najmłodszego syna.

Stało się to po tym, jak w mieście z upływem kolejnych dni nieco się uspokoiło. A trzeba tu powiedzieć, że owo uspokojenie spowodował fakt, że zgiełk wojennej grozy dotarł aż do nieba, a potem rozprzestrzenił się nad całą ziemię. Doszło do tego, że ludzie w innych krajach, usłyszawszy go, podnieśli wrzawę. Krzyczeli, że takich bestialstw nie znano od chwili stworzenia pierwszego człowieka. Wróg okrył się wstydem, a jego przywódcy uznali, że zło nie może być tak jawne. Rozkazali, by na ulicach miasta nie działy się straszne rzeczy, o których wieści, przedostawszy się za granicę, zhańbią ich kraj w oczach świata. Skutek tego był taki, że nieprzyjacielscy żołnierze zaczęli teraz częściej wychodzić z miasta i grasować w okolicznych wioskach.

Pewnego dnia Ling Tan – podniósłszy wzrok znad ryżu, który właśnie płukał na wieczorny posiłek – zobaczył przed swoim domem czterech żołdaków. Jego synowie w tym czasie siedzieli w głębi domu, pracując przy krosnach. Najmłodszy porządkował właśnie nici. Te krosna były jedyną rzeczą, która ocalała w domu Ling Tana, stały bowiem w ciemnej izbie, gdzie trzeba było palić lampę. A poza tym w oczach człowieka, który się nie znał na tkaniu, nie wyglądały na rzecz mogącą się do czegokolwiek przydać.

Ling Tan, widząc żołnierzy, odstawił koszyk i wyszedł im naprzeciw. Nie starał się udawać, że go nie ma w domu. Wiedział bowiem, że oni i tak włamią się wtedy do środka, niszcząc drzwi, które niedawno naprawił. Otworzył je na oścież i ujrzał w blasku zachodzącego słońca rozpalone twarze czterech młodych ludzi. Żołnierze zaczęli coś krzyczeć, a on, nie rozumiejąc ich słów, pomyślał, że domagają się żywności. Cofnął się więc i wskazał ryż, pytając ich w ten sposób gestem, czy tego właśnie szukają. Oni jednak podnieśli jeszcze większy wrzask. Kręcili przy tym z wściekłością głowami, a w pewnej chwili, wskazując na siebie, rozluźnili mundury. Ling Tan domyślił się wtedy, czego szukają. Podziękował więc w duchu przodkom za to, że jego kobiet nie ma w domu, i nie znając żadnego innego języka, odezwał się w swoim własnym.

– W moim domu nie ma kobiet – oznajmił.

Teraz to oni go nie zrozumieli. Odepchnąwszy Ling Tana, wtargnęli do jego domu i

zaczęli go przeszukiwać. Spenetrowali wszystkie izby po kolei, a nie znalazłszy prócz garderoby żadnego innego śladu kobiety, wpadli w istną furję. Ryknęli na Ling Tana, ale on nie pojął, o co im chodzi. Wiedział tylko jedno – że żołnierze są wściekli.

– W tym domu nie ma kobiet – powiedział. – A ja nie jestem przecież bogiem. Nie mogę ich stworzyć.

Gdy wypowiedział te słowa, z tkalni dobiegi turkot krosien. Żołnierze natychmiast rzucili się tam z wrzaskiem. Ling Tan pobiegł za nimi, obawiając się ich furii. Gdy wpadł do izby, przekonał się, że przeszukują właśnie wzrokiem każdy najmniejszy jej zakamarek. Jego najstarszy syn, siedzący wysoko przy krosnach, przerwał pracę i patrzył przerażony na żołnierzy. Najmłodszy także wbił w nich wzrok, upuściwszy nici.

A żołnierze, przekonawszy się, że naprawdę nie ma tu kobiet, poczuli straszliwy przypływ chuci. I chuć buchnęła z nich płomieniem zła, a oczom Ling Tana ukazało się coś, co przechodziło wszelkie wyobrażenie. Oto żołnierze dopadli jego najmłodszego syna – chłopca, który był zawsze zbyt ładny, by mogło mu to przynieść szczęście. Teraz ta uroda spowodowała tragedię. Nieprzyjacielscy żołnierze bowiem wykorzystali go niczym kobietę. Ling Tan, czując mdłości i bliski wymiotów, rzucił się na nich wraz z najstarszym synem. Cóż mogli jednak zdziałać dwaj pozbawieni broni mężczyźni przeciwko czterem uzbrojonym? Tamci zerwali osnowę z krosien i skręciwszy ją w sznury, skrępowali nimi ojca i najstarszego syna. Tak, tak, skrępowali ich mocno i zmusili do patrzenia na to, co sami czynią. A gdy dwaj nieszczęśliwcy zamykali oczy, dźgali ich jeszcze kolbami. W taki właśnie sposób dokonał się ów straszliwy czyn. A już po wszystkim piękny chłopak leżał jak martwy na podłodze. Żołnierze natomiast ze śmiechem poszli swoją drogą.

Ling Tan i jego najstarszy syn milczeli. Z ich ust nie padło ani jedno słowo. Powoli, z wielkim wysiłkiem, wyzwolili się z pęt, bo syn zdołał przegryźć sznury swoimi silnymi, znacznie zdrowszymi niż u ojca zębami. A kiedy byli już wolni, Ling Tan wziął wodę przygotowaną z myślą o gotowaniu ryżu, umył nią swego najmłodszego syna, ubrał go, próbował pocieszyć i wraz z najstarszym pomógł mu stanąć na nogi. Chłopak żył, w ogóle był daleki od śmierci, sprawiał jednak wrażenie martwego, ugodzonego w samo serce, i jego ojciec bał się, że postradał zmysły.

– Synku, mój synku – powiedział – ty żyjesz.

– Wolałbym umrzeć – wyszeptał na to chłopak.

– Nie wolno ci tak mówić! Nie wolno życzyć sobie śmierci! – powiedział Ling Tan. – Bo jest to sprzeczne z synowskim obowiązkiem wobec przodków. Nie, nie, mój synu, jeżeli żyjesz, to znaczy że Niebo postanowiło, że dzień twojej śmierci jeszcze nie nadszedł.

Ale chłopak zdawał się nie słyszeć słów ojca. Skórę na policzkach miał bladozieloną, a jego czarne oczy przypominały oczy umarłego.

– Nie mogę tu zostać – wyszeptał.

– Nie zostaniesz tutaj – uspokoił go Ling Tan. – Ukryłem w ścianie trochę pieniędzy, których nie znaleźli wrogowie. Weźmiesz je i pójdziesz, gdzie zechcesz. Ach, gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest teraz twój drugi brat i jego żona!

Przerażał go wygląd chłopca, bo ten był wciąż oszołomiony i pełen rozpacz. Zaczął się też obawiać, że ten jego najmłodszy syn przyłączy się do jakichś desperatów, przystanie do rabusiów albo zrobi coś podobnego.

– Posłuchaj, mój synu – powiedział – jeżeli udasz się na wzgórza, nie przyłączaj się do tych złych ludzi, którzy trudnią się grabieżą i okradają porządnych wieśniaków. Poszukaj tam dobrych ludzi, takich, którzy jeżeli walczą, to jedynie z wrogiem.

Chłopiec nic na to nie rzekł. Gdy ojciec pomógł mu się ubrać w wierzchni kaftan, spróbował zjeść trochę chleba. A kiedy się okazało, że nie może, zawinął chleb w kwadratową szmatkę, wziął pieniądze, ukrył je za pasem i wstał. Ale zachwiał się na nogach i Ling Tan, przestraszony, chwycił go pod ramię i podtrzymał.

– Możesz chodzić? – zapytał.

– Mogę – powiedział chłopiec, patrząc na ojca zamglonymi oczami.

– Zawiadom mnie jakoś, gdzie jesteś – poprosił Ling Tan, przyglądając się gotowemu do drogi synowi, który wydał mu się teraz bardzo młody i słaby.

– Dobrze – zgodził się chłopak i zaraz zachwiał się znowu. – Ojcze! – zawołał, chwytając Ling Tana za ramię. – Ojcze!

Usta mu drżały i z trudem powstrzymywał się od płaczu. Ling Tan objął go ramionami.

– Zostań jeszcze do jutra – poprosił. – Odpocznij najpierw. Prześpij tę noc w domu. Przygotuję ci do wypicia gorący kleik z ryżu.

– Nie jestem w stanie odpoczywać – odrzekł chłopiec. – Muszę już iść – oznajmił i wyprostował się.

A potem ruszył ku drzwiom. Było już ciemno. Słabo świecił księżyc, a jeszcze słabiej gwiazdy. Noc była spokojna i zimna. Chłopak ruszył w nią, nie oglądając się za siebie. Skierował kroki ku wzgórzom, a dopóki nie zniknął, Ling Tan i jego najstarszy syn odprowadzali go wzrokiem.

– Czy mogło się nam przytrafić coś gorszego? – wyszeptał Ling Tan.



Syn milczał, a nocne niebo nad ich głowami było tak piękne jak w czasach pokoju.

– To niebo – powiedział Ling Tan. – Czy nic nie jest w stanie go wzruszyć?

I spojrział prosto w gwiazdy, a Lao Tan przestraszył się nie na żarty, że ojciec postradał zmysły z rozpacz.

– Wejdźcie, ojcie – rzekł łagodnie. – Noc jest zbyt chłodna, by stać tu na dworze.

Wciągnął ojca do środka, a Ling Tan poddał mu się całkowicie.

– Czy będziecie mogli jeść, jeżeli ugotuję wam ryżu? – zapytał Lao Tan, zaryglowawszy porządnie drzwi.

– Czuję się jak człowiek, który nigdy w życiu nie przełknie już ani kęsa – odrzekł mu na to Ling Tan.

– Ze mną jest podobnie – powiedział Lao Tan.

A potem każdy z nich udał się do swojej izby. Jednak po chwili Ling Tan wstał i poszedł do syna.

– Nie mogę zamknąć oczu, bo zaraz widzę to, co tu się wydarzyło – poskarżył się. – Nie mogę być sam, mój synu.

– Chodźcie i spocznijcie przy mnie – odrzekł Lao Tan i ojciec położył się obok niego.

Żaden z nich nie zdjął ubrania. Nie mając pewności, co może się zdarzyć w ciągu tych długich, ciemnych nocnych godzin, nie odważyli się tego zrobić.

Leżeli więc – dwaj mężczyźni, którzy zostali sami w tym niegdyś tak pełnym ludzi domu. Nie rozmawiali, bo każdy z nich wiedział wszystko, co było wiadome temu drugiemu. Nie spali jednak. Oczami wyobraźni podążali obaj za wiotką sylwetką chłopca kuśtykającego samotnie w stronę wzgórz poprzez nocną ciemność.

# IX

Wu Lien przekonał się teraz, że chcąc sobie zapewnić bezpieczeństwo i mieć pewność, że nic mu nie grozi od osobistych wrogów, musi postarać się o ochronę ze strony nieprzyjaciela władającego miastem. Dlatego właśnie po kilku dniach spędzonych w domu – skąd nie wychylał nosa, bo był tak przerażony, że bał się wyjść na ulicę – pewnego wieczoru postanowił odszukać oficera, który zrobił mu grzeczność, i opowiedzieć mu o wszystkich swoich kłopotach. Chciał też zapewnić go, że w głębi serca nie jest zdrajcą, tylko człowiekiem interesu, który ma na utrzymaniu rodzinę.

Zaczekał więc, aż noc zapadnie na dobre, a następnie, w najgorszym swoim ubraniu i bez latarni, udał się pod adres, który zostawił mu oficer. Dotarłszy tam, zapukał do zamkniętych drzwi. I zdziwił się przy tym, bo okazało się, że są mu one dobrze znane. Po pewnym czasie otworzył je żołnierz z miną tak ponurą, że pod Wu Lienem ugięły się na jego widok kolana. Uspokoił się jednak zaraz, przypomniawszy sobie, że żołnierze często miewają taki wyraz twarzy. Wyciągnął swój papier, a żołnierz, przyjrząwszy się pismu, wpuścił go do środka. Po czym, dawszy mu znak, by zaczekał, poszedł w głąb domu.

Wu Lien znał ten dom dobrze. Należał on bowiem do słynnego w mieście bogacza, który uciekł, zanim nadciągnął nieprzyjaciel. Jakieś dwie wiosny temu panie z tego domu posłały po Wu Liena i kazały sobie dostarczyć zagraniczne zabawki oraz różne inne drobiazgi. Chciały się bowiem przekonać, czy im się spodobają. W owym czasie było to miejsce wesołe i pełne gwaru. Mieszkały tu kobiety i dzieci, a tamtego dnia w ogrodzie, w którym teraz czekał Wu Lien, wędrowni lalkarze pokazywali właśnie swoje kukiełkowe przedstawienie. I oglądali je wszyscy mieszkańcy domu, nawet służba i niewolnice. Wylegli na słońce, by popatrzeć i pośmiać się trochę, a Wu Lienowi polecili czekać, aż przedstawienie się skończy. Więc Wu Lien stał razem z nimi i śmiał się także, bo marionetki okazały się lepsze niż zazwyczaj, a człowiek, który udzielał im swego głosu, niezwykle dowcipny.

Teraz jednak było tu szaro i zimno. Panowały też nocne ciemności. A dom i ogród

stały całe pogrążone w ciszy. Po pewnym czasie żołnierz powrócił i dał Wu Lienowi znak, by szedł za nim. W ten oto sposób Wu Lien znalazł się we wnętrzu domu, gdzie w głównej izbie zastał trzech czy czterech nieprzyjacielskich oficerów, którzy pili właśnie alkohol. Wszyscy spojrzeli na niego z kwaśnymi minami. Wu Lien żałował więc przez chwilę, że tu w ogóle przyszedł. Nawet ów uprzejmy oficer zmierzył go lodowatym spojrzeniem, a jemu przemknęło przez myśl, że skoro ci ludzie, w miarę jak piją, stają się coraz bardziej wrodzy, to on zjawił się tu w złą godzinę. Przestraszył się nie na żarty. Mimo to zebrał się na odwagę – co mu się nieraz w życiu zdarzało, gdy działał dla własnych korzyści – i zwrócił się do tego znajomego oficera.

– Panie oficerze – zaczął – przychodzę tutaj w sprawie związanej z prowadzeniem sklepu. Jeżeli pozwolicie mi mówić wprost, zajmę panom mniej czasu.

– Zatem mówcie – odrzekł oficer, jednak nie poprosił Wu Liena, by usiadł.

Wu Lien zorientował się więc, że zamierzają go potraktować jak sługę, i nie spodobało mu się to wcale. Będąc jednak człowiekiem rozsądnym, dobrze wiedział, że nie czas teraz unosić się dumą.

– Jestem obywatelem tego miasta – powiedział, starając się zachować spokój – i właścicielem sklepu, który widzieliście, panie oficerze. Od dawna handluję zagranicznymi towarami, które w większości pochodzą z waszego szacownego kraju położonego nad Wschodnim Oceanem. Dlatego ponad wszystko pragnę pokoju. Niech sobie rządzi, kto chce. Ja przeciw niczyjej władzy nie zaprotestuję, o ile będę mógł dalej prowadzić interesy. Są jednak w tym mieście tacy, którzy z tego właśnie powodu nazywają mnie zdrajcą. I ludzie ci postawili sobie za cel mnie zabić. Przychodzę więc do was, panowie, którzy reprezentujecie obecną władzę, by się dowiedzieć, czy istnieje sposób na zapewnienie mi bezpieczeństwa.

Oficerowie wysłuchali go do końca, po czym ten, który zrozumiał jego słowa, przetłumaczył je pozostałym. Następnie wymienili kilka zdań we własnym języku, z czego Wu Lien nie zrozumiał ani słowa. I wreszcie ten znajomy kiwnął głową.

– Jeżeli taka będzie wasza wola, człowieku, to możecie się nam przydać – oznajmił.

– A jakże moja wola miałaby być inna? – odrzekł mu na to Wu Lien.

– Zamierzamy ustanowić tutaj rząd ludowy – powiedział oficer. – To znaczy rząd złożony z ludzi, którzy będą rządzili w naszym imieniu.

– Niestety, jestem człowiekiem niewiele umiejętności... – zaczął Wu Lien, ale oficer mu przerwał.

– Potraficie czytać i pisać?

– Ja? Oczywiście – odrzekł Wu Lien z dumą. – Potrafię też biegle rachować na liczydłach i wiem, jak się prowadzi kupieckie interesy. Idąc w ślady swojego ojca, studiowałem też klasyków konfucjanizmu.

– To akurat nam się nie przyda – odparł oficer. – Znacie język angielski?

– Niestety, nie – powiedział Wu Lien. – Nigdy nie sądziłem, że nauczenie się innego języka niż mój własny okaże się w moim życiu konieczne. Bo przecież jesteśmy narodem tak licznym, że człowiek, który by w każdej kolejnej godzinie swego życia rozmawiał z kolejnym nieznanym, umarłby, zanim by porozmawiał ze wszystkimi naszymi ziomkami.

– A czy pisząc w swoim własnym języku, szybko operujecie pędzelkiem?

– Nie chcę się chwalić, ale bardzo szybko – odrzekł skromnie Wu Lien.

Oficerowie ponownie zamienili parę zdań, a po chwili ten, którego Wu Lien znał, zwrócił się do niego:

– Przeprowadzicie się natychmiast do tego domu. Wasze zarobki zostaną ustalone stosownie do waszych umiejętności. Będziecie mieli tytuł, także odpowiadający temu, co potraficie. Przyjdźcie tu jutro.

Wu Lienowi, gdy usłyszał te słowa, potężnie zakręciło się w głowie. Miał wrażenie, że wewnątrz mózgu krąży mu chmara ptaków.

– Ale ja jestem żonaty... Mam też starą matkę... no i dwoje dzieci – wyjąkał.

– Wszyscy oni mogą się tutaj sprowadzić – oznajmił oficer. – Będą tu bezpieczni, podobnie jak wy sami. Dostaną własne izby.

Cóż za łaska fortuny! Żyć bezpiecznie w mieście, gdzie nikt nie jest bezpieczny! Mieć pensję, podczas gdy nikt nie wie, skąd weźmie na życie! Mieć przy sobie rodzinę! I, ponad wszystko, wiedzieć, że odwróciwszy się plecami, nie zostanie się zasztyletowanym ani zastrzelonym. Wszystko to los darowywał teraz Wu Lienowi. A jego przepelniała taka radość, jaką czuje człowiek spragniony, który w upalny letni dzień na stromym zboczu góry znajduje nagle ukryte źródło chłodnej wody.

– Czy wolno mi będzie od razu przywieźć tu niektóre swoje rzeczy? – zapytał. – Większość mojego dobytku została zniszczona, a to, co chcę wziąć, zajmie naprawdę niewiele miejsca.

Oficerowie ponownie wymienili kilka zdań w swoim języku i ponownie znajomy Wu Liena kiwnął głową.

– Możecie przyjść tu od razu – powiedział.

– A jutro mogę przyprowadzić moje dzieci i ich matkę? – zapytał Wu Lien.

– Tak – potwierdził oficer z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

A potem podniósł rękę, dając Wu Lienowi znak, żeby posłuchał, co mu teraz powie.

– Widzicie więc, człowieku, jak bardzo jesteśmy miłosierni wobec tych, co nie stawiają nam oporu! – oznajmił głosem podniesionym, takim, jakim mówią kapłani, przemawiając do wiernych w dni świąteczne. – Naszym celem jest bowiem jedynie pokój i dobro wszystkich ludzi. A ci, którzy nam pomagają, zostaną w pełni wynagrodzeni.

– Tak, panie – wymamrotał Wu Lien.

A potem, całkiem bez zastanowienia, uklonił się trzykrotnie, tak jak należy się kłaniać władzy, i nader uszczęśliwiony opuścił szybko ten dom, przystanąwszy tylko na chwilę przy bramie, żeby wręczyć monetę żołnierzowi.

Noc spędził na pakowaniu dobytku. Był już prawie świt, kiedy wyszedł z domu, znalazł jakąś riksę, załadował na nią rzeczy i sam usadowił się na nich. A potem tą riksą wjechał za bramę wroga.

Ogromna była jego radość, gdy na drugi dzień, przywdziawszy najlepszy strój, udał się w asyście dwóch nieprzyjacielskich żołnierzy do domu białej kobiety, gdzie przebywały jego żona i dzieci. Żałował tylko, że zamiast konnego powoziku, który znalazł parę ulic dalej, nie udało mu się wynająć zagranicznego motorowego pojazdu. Ale i tak, gdy woźnica zatrzymał swego starego konia przed bramą, prezentował się doskonale.

– Schodź! – zawołał do woźnicy, nie ruszając się z miejsca. – Zakolacz do bramy i powiedz, że przybył Wu Lien po swoją rodzinę!

Po czym rozparł się na swoim siedzeniu jak jakiś notabl, który zwraca się do swego sługi.

Woźnica jednak odkrzyknął:

– Nie, panie! Nie odważę się zostawić konia. Ma on bowiem pewną wadę. Za każdym razem, gdy nie czuje mojej ręki, siada zaraz niby pies na ogonie i odpoczywa. A potem sam w pojedynkę nie mogę go zmusić, żeby wstał na nogi. Musi mi w tym pomóc co najmniej czterech chłopów.

Wu Lien, który wciąż bał się eskortujących żołnierzy, nie odważył się prosić ich o pomoc. A sam nie byłby w stanie pomóc woźnicy. Nie miał więc wyboru – musiał wysiąść i zakolatać własnoręcznie do bramy, a gdy otworzyło się w niej małe okienko i ukazała się twarz starego odźwiernego, zaanonsował się tak, jakby był swoim własnym sługą:

– Nazywam się Wu Lien i przyjechałem po swoją rodzinę.

Odźwierny spojrział twardo na dwóch nieprzyjacielskich żołnierzy, uchylił bramę jedynie na tyle, żeby wpuścić Wu Liena, i zamknął ją szybko przed żołnierzami. A ci natychmiast zaczęli coś krzyczeć i dobijać się do niej kolbami. Wtedy odźwierny zwrócił się z powagą do Wu Liena:

– Jak to się stało, panie, że macie przy sobie tych dwóch?

– Jestem kupcem – odrzekł mu na to Wu Lien. – A tym dwóm kazano mnie ochraniać.

– Ochraniać was! – powtórzył odźwierny i wybuchnął śmiechem.

– Mogę za nich zaręczyć – zapewnił Wu Lien z godnością.

– Mimo to nie wolno mi ich wpuścić – odrzekł odźwierny stanowczo. – Nie wejdą do środka nawet po moim trupie. To są nasi wrogowie. Pozwolenie na ich wejście może dać tylko biała pani.

Wu Lien musiał więc zaczekać, aż odźwierny ją przyprowadzi. Po czym, najlepiej jak potrafił, wyjaśnił białej kobiecie, dlaczego należy wpuścić tych żołnierzy. Tymczasem oni nie przestawali dobijać się z wrzaskiem do bramy. Wu Lien, cały spocony, w pewnej chwili pożałował, że w ogóle ma eskortę.

Tymczasem biała pani sprawiała wrażenie osoby, do której nie dociera cała ta wrzawa, i był w niej spokój niczym na obrazie przedstawiającym cudzoziemską świątynię.

– Nie jesteście przypadkiem zdrajcą? – spytała spokojnie Wu Liena z tym swoim dziwnym akcentem, który sprawiał, że jej słowa zawsze brzmiały nieco obco.

– Ależ pani – odrzekł spocony i zirytowany Wu Lien – skąd mam wiedzieć, co to znaczy w pani ustach? Więc powiem tylko, że we własnych oczach jestem człowiekiem, który pragnie najlepiej jak potrafi zajmować się swoimi interesami. Muszę przecież wykarmić rodzinę. Jestem jej jedynym żywicielem.

– A czy nie zauważyliście, co się działo w tym mieście? – zapytała cudzoziemka tak samo spokojnie jak przedtem.

– Działo się to, co się działo. I co się stało, to się nie odstanie – odrzekł nadal zirytowany Wu Lien. – Należy się spodziewać, że obcy zwycięzcy będą gorsi niż nasze własne władze. Dlatego im prędzej o tym wszystkim zapomnimy, tym prędzej nastanie dla nas wszystkich pokój.

– Widzę, że jesteście zdrajcą – powiedziała na to kobieta. – Zatem im prędzej zabierzecie stąd waszą rodzinę, tym będzie lepiej dla nas.

Po czym zwróciła się do odźwiernego, polecając mu wpuścić eskortę. Ten, choć bardzo niechętnie, otworzył zatem bramę i do środka wtargnęli rozwścieczeni zwłoka

żołnierze. Zdziwili się jednak nieco na widok kobiety o białej twarzy i sterczących żółtych włosach.

– Zachowujcie się cicho – nakazała im cudzoziemka tak surowo, jakby byli dziećmi. – Postępujcie przyzwoicie i zostańcie tam, gdzie jesteście.

Wu Lien, słysząc ją, zadrzał i podziękował Niebu za to, że żołnierze, nie znając żadnego języka prócz własnego, nie rozumieją z tego, co mówi kobieta, ani słowa. Wyczuli jednak niechęć i chłód w jej tonie, co wprawiło ich w złość i osłupienie. Biała kobieta tymczasem zwróciła się do Wu Liena.

– Z takimi towarzyszami nie mogę was wpuścić dalej niż do stróżówki – powiedziała. – Dlatego zaczekajcie tutaj, a ja sama przyprowadzę waszą rodzinę.

Po czym oddaliła się, a Wu Lien odprowadzał ją wzrokiem, gdy szła tak po trawie w swoich czarnych powłóczyстых cudzoziemskich spódnicach. Stał w miejscu razem ze swoimi dwoma gburowatymi strażnikami, obawiając się, że ci, uznawszy, że zwłoka jest z jego winy, zwrócą się przeciwko niemu. Czuł się jak człowiek, któremu wbrew jego woli dano do zabawy dwa wilki i który, nie mogąc odmówić przyjęcia prezentu, drży ze strachu, że zostanie pożarty. Odźwierny dłubał w zębach i obserwował całą tę trójkę z kpiącym uśmiechem.

Kilka minut później Wu Lien zobaczył, że zbliża się jego żona wraz z dziećmi, a także Ling Sao. Orchidea również pragnęła wyjść z nimi. Zabroniła jej jednak tego biała kobieta. Orchidea była bowiem młoda i ładna. Nie wolno zatem było dopuścić do tego, żeby zobaczyli ją żołnierze.

– Życzę wam wszystkiego dobrego, matko – zawołał Wu Lien do Ling Sao.

– Ja tobie też – odrzekła krótko, bo zdumiona widokiem żołnierzy powściągnęła język, nie mówiąc zięciowi tego wszystkiego, co zamierzała powiedzieć.

– Słyszałeś coś o moim staruszku? – zapytała tylko.

– Nie – odrzekł Wu Lien. – Od dnia, gdy matka moich dzieci znalazła się tutaj, nie dochodziły do mnie żadne wieści. Nie wiem nawet, jak wam tutaj było.

– Ja przyszedłam do tego domu tej samej nocy co moje córki – powiedziała Ling Sao.

I zaraz zorientowała się, że Wu Lien nie wie nic o śmierci swojej matki. Postanowiła więc oszczędzić mu najgorszej prawdy i wyjaśnić tylko to, co konieczne.

– Skoro nie widziałeś się z ojcem moich dzieci, to ja muszę cię o czymś poinformować. Przygotuj się, zięciu, na to, że będzie to nowina niedobra. Otóż twojej starej matki nie ma już między nami. Przygniotła ją belka w chwili, gdy nieprzyjacielscy żołnierze wdarli się do naszego domu. Mój staruszek pogrzebał ją na polu w trumnie, którą sam zrobił.

Usypał w tym miejscu mały wzgórek; tak przynajmniej mówiły kobiety, które przyszły tu po nas.

Gdy Ling Sao wypowiadała te słowa, żona Wu Liena przyłożyła sobie do oczu rąbek rękawa. Bo choć już wcześniej wiedziała wszystko, przyzwoitość wymagała, by w obecności męża rozplakała się znowu. Wu Lien także pospiesznie otarł sobie oczy.

Tymczasem towarzyszący mu żołnierze zaczęli się nudzić. Dźgnęli Wu Liena kilka razy w pośladki końcem broni, by dać mu do zrozumienia, że są gotowi do powrotu. Dlatego też szluchy trzeba było odłożyć na później. Wu Lien nie zdążył nawet należycie podziękować Ling Sao za opiekę nad swoją matką. A Ling Sao, choć zawsze twierdziła, że się niczego nie boi, zawołała do niego przez bramę:

– Czy moja córka jest bezpieczna, odchodząc z tobą?

A Wu Lien, który sadowił właśnie rodzinę w powozie, gdzie dwaj żołnierze zdążyli już zająć najlepsze miejsca, mógł tylko odkrzyknąć:

– Tak, tak, matko! Ja i cała moja rodzina mamy ochronę!

A potem jego powóz oddalił się pospiesznie.

Ling Sao została z białą kobietą, którą od początku bardzo szanowała. I trzeba powiedzieć, że ten respekt wzrósł jeszcze, gdy tamta, patrząc na nią swoimi żółtymi oczami, powiedziała:

– Żal mi was, biedna kobieto.

I odeszła, a Ling Sao stała dalej przy bramie razem z odźwiernym.

– Dlaczego ona się nade mną lituje? – zapytała tego człowieka. – Dlaczego żal jej właśnie mnie, skoro inni wycierpieli więcej?

– Dlatego – odrzekł odźwierny – że mąż waszej córki został psem gończym wroga.

– Czy to z tego powodu miał na sobie swoją najlepszą szatę w kolorze wina, a także aksamitną kamizelę? – zawołała.

– Właśnie – odparł odźwierny, po czym uśmiechnął się szeroko i znów zaczął dłubać w zębach.

Z tą myślą Ling Sao wróciła do sali, w której przebywała Orchidea, a także jej córka oraz wnuki. Dzień bowiem był zbyt chłodny na przechadzki. Padał śnieg z deszczem i Ling Sao z przyjemnością stwierdziła, że tu jest ciepło. Mimo to czuła wielki niepokój, bo przecież jej starsza córka odeszła już stąd i znalazła się w domu. Ling Sao usiadła, by powiedzieć o tym swej małej córeczce i Orchidei. Rozmawiały dość długo, tęskniąc coraz bardziej za tym, by także już być na wolności.

Trawiłabym lepiej, gdybym zobaczyła mojego staruszka, pomyślała Ling Sao.



Zaczęła też się martwić o męża i synów. Była bowiem pewna, że ci trzej mężczyźni bez niej nie bardzo dają sobie radę w domu. Bo przecież ona, postępując jak każda dobra i porządna kobieta, doprowadziła do tego, że bez jej opieki czuli się w gospodarstwie całkiem bezradni. Myśl o tym, że ich dom jest teraz zapuszczony i brudny, zepsuła jej zupełnie nastrój. Żadna praca z pewnością jest niezrobiona, mówiła sobie, a moi mężczyźni jedzą rzeczy surowe i zimne. Tak, tak, oni beze mnie jedzą byle jak. Nie mam nawet pojęcia, czy któryś z nich widział kiedyś, jak się gotuje ryż, dusi kapustę, nie wspominając już o mięsie czy rybie.

Mięsa pewnie jeszcze nie można kupić, rozmyślała dalej, ale rybę mogą zawsze złowić w stawie. Jeżeli staw zamarznął, to wystarczy tylko rozbić lód. Ale czy oni potrafią rybę sprawić? A jeżeli już sprawią, to czy wiedzą, co z nią zrobić dalej?

Trzeba powiedzieć, że po tym, jak kobiety usłyszały, że jedna z nich poszła do domu, w wielkiej sali zapanował niepokój. Jej mieszkanki patrzyły teraz po sobie i zastanawiały się, co dalej. Czasy najwyraźniej zmieniły się na lepsze, myślała każda z nich, więc następna do wyjścia będą ja, jeżeli tylko mój mężczyzna pójdzie po rozum do głowy. Wszystkie co do jednej nie mogły się wprost doczekać chwili przekroczenia bramy. Matki były zdenerwowane, dawały klapsy dzieciom za byle co, za błahe przewinienia, na jakie w inne dni nie zwróciłyby nawet uwagi. Dlatego pod wieczór połowa dzieci płakała. A Ling Sao przeklinała siebie w duchu za brak odwagi. Tak, przeklinała fakt, że nie potrafi się zdobyć na to, by nocą udać się do domu. Sama.

W parę dni potem od starszej córki Ling Sao przyszedł list, który w najmniejszym stopniu nie poprawił sprawy. Kobieta chwaliła się bowiem pięknym mieszkaniem w domu bogacza oraz tym, że jej mąż dostąpił wielkiego zaszczytu. Pisała też, że teraz żyje im się lepiej niż kiedykolwiek przedtem, w całkowitym spokoju.

– Co do mnie – powiedziała po zastanowieniu Ling Sao – to myślę, że ci nasi wrogowie są lepsi, niż sądziliśmy. Bo przecież z moją córką i jej mężem postąpili bardzo przyzwoicie. A poza tym w mieście zrobiło się teraz spokojnie i bezpiecznie.

Ling Sao wiedziała doskonale, że jej córka nie mogła napisać tego listu. Nie potrafiłaby go nawet przeczytać. Sama również była niepiśmienna, musiała więc znaleźć nauczycielkę z tej szkoły, żeby odczytała jej jego treść. Nauczycielka okazała się kobietą niezamężną. Tak, była to prawdziwa stara panna, jedyna, jaką Ling Sao spotkała w życiu. No bo co do mniszek w świątyniach, to kto może wiedzieć, jak jest z nimi naprawdę? Ling Sao przypuszczała, że słowa listu skreślił Wu Lien. Nie przyszło jej też do głowy, by wątpić w ich prawdziwość. Była bowiem osobą święcie wierzącą we wszystko, co zostało napisane na

papierze.

Jednak stara panna miała wątpliwości.

– Nie wierzyłabym zbyt w te doniesienia – stwierdziła. – Bo do nas wciąż dochodzą wieści o ludziach zabijanych na ulicach i o gwałtach, które żołnierze popełniają na kobietach.

Powiedziała to z wyższością, a Ling Sao tylko się uśmiechnęła. Bo cóż taka stara panna może wiedzieć o gwałtach? – pomyślała. Nie skomentowała jednak słów nauczycielki.

– Czy wy, pani, jesteście mniszką? – zapytała.

– Ależ nie – odrzekła tamta, chyba ze złością. – Nieraz mogłam wyjść za mąż. I nawet nie pamiętam, ile razy mnie swatano. Jednak ja ponad wszystko przedkładałam naukę i książki.

– Żona jednego z moich synów jest podobna – powiedziała Ling Sao – ale teraz oczekuje dziecka.

– Aha – rzuciła kobieta, tak jakby nic to dla niej nie znaczyło.

Ling Sao, podziękowawszy jej za pomoc, wróciła do kobiet i opowiedziała im o nowinach, jakie zawierał list. Orchidea zaś rozgadała to wśród kobiet, czego skutek był taki, że na wielkiej sali jeszcze bardziej wzrósł niepokój. Trzeba tutaj nadmienić, że wśród kobiet nie było żadnej, którą by bardziej od Orchidei niecierpliwilo zamknięcie w tych murach. Dla Orchidei bowiem to miejsce, gdzie się schroniły, okazało się zbyt spokojne. Tak, zbyt spokojny był dla niej ten szary budynek i ten gładki trawnik, wciąż po zimowemu brązowy. Orchideę męczyła też panująca tu cisza przerywana jedynie nabożnymi pieśniami, śpiewanymi dwa razy dziennie w małej świątyni. Do tej świątyni były zaproszone, mogły tam wejść zawsze, gdy przysła im ochota dowiedzieć się czegoś o obcej religii. Orchidea poszła tam nawet pewnego razu z ciekawości. Nie zrozumiała jednak, o czym jest mowa, a śpiewy zabrzmiały w jej uszach jak zawodzenie. Nie pojawiła się tam już więcej. No a poza tą przytłaczającą ciszą istniała jeszcze kwestia jedzenia. To, które dostawały co dnia, było zawsze jednakowe. I po pewnym czasie zaczęło być całkiem bez smaku. Tymczasem Orchidea tęskniła za czymś słodkim. W wiosce bywali sprzedawcy słodyczy, a ona wybiegała zawsze z domu na dźwięk ich małego dzwoneczka. Kupowała od nich pałeczki jęczmienne obsypane ziarnem sezamowym albo też małe sezamowe ciasteczka w ciemnym cukrze. A najbardziej lubiła słodycze zwane skórą wolową, bo można je było żuć i żuć, bardzo długo. Jej wystarczały zawsze na jakieś pół dnia. Dzieci Orchidei były także niespokojne. Brakowało im przede wszystkim zabawek. Płakały za tymi małymi, kruchymi cackami, które przekupnie sprzedają na wiejskich uliczkach, tęskniły za małutkimi laleczkami i piaskami z gliny, za

wiatraczkami, za ludzikami z cukru. Pamiętały także, że kiedyś bawiły się latawcami i lampionami w kształcie królików, rybek i motyli. A tutaj nie miały niczego.

Dlatego Orchidea, słysząc, jak dobrze powodzi się siostrze, pomyślała: „Skoro w mieście ponownie zapanował spokój, dlaczegoż nie miałabym wymknąć się któregoś ranka za bramę i zobaczyć, co można dostać w sklepach? Mogłabym nawet odwiedzić szwagierkę, a potem, jeżeli wszystko byłoby u nich i w mieście w porządku, posłałabym przez kogoś wiadomość ojcu moich dzieci. No i wrócilibyśmy wszyscy do domu”.

Nie wspomniała jednak o tym ani słowem. Była bowiem jedną z tych łagodnych, lecz upartych kobiet, które udając, że są potulne i uległe, tak naprawdę robią, co chcą, nie informując o tym nikogo. Kilka dni później, rankiem, gdy jej młodsze dziecko spało jeszcze głęboko, a drugie było zajęte zabawą, zwróciła się, ziewając, do Ling Sao:

– Źle spałam tej nocy – skłamała – dlatego jeżeli wam, matko, nie sprawi kłopotu popilnowanie mojej dwójki, w tym śpiącego maleństwa, pójdę i położę się jeszcze.

– Dobrze, śpij, jeżeli jesteś senna. Skoro nie masz nic innego do zrobienia – odrzekła jej na to trochę kwaśno Ling Sao.

Sama bowiem znalazła sobie zajęcie. Zdobyła gdzieś trochę bawełny i kołowrotek i przędła teraz białą nitkę. Była bowiem typem kobiety, która wszędzie wymyśli sobie robotę, a kiedy jej nie ma, stworzy ją sobie. W tej chwili pracowała trochę na pokaz, wiedząc, że Orchidea różni się od niej bardzo pod tym względem.

Orchidea, słysząc jej odpowiedź, uśmiechnęła się tylko, po czym weszła do budynku i wyszła z niego drugimi drzwiami. A następnie, kryjąc się za murem, skierowała kroki ku bramie. Zorientowała się już wcześniej, że o tej właśnie porze odźwierny ją rygluje i wchodzi do swej stróżówki, żeby zjeść posiłek. W pobliżu nie było nikogo. Zatem Orchidea odsunęła po cichu rygiel, wyszła i zamknęła za sobą bramę. Zrobiła to po to, by odźwierny, wyglądając przez okno, nie zauważył, że ktoś ją odryglował. Znalazszy się na zewnątrz, młoda kobieta poczuła się jak ptak, którego uwolniono z klatki. Miała przy sobie trochę pieniędzy. Zdarzyło się bowiem przypadkiem, że w dniu ucieczki trzymała je za pazuchą. Teraz więc ruszyła rozradowana ulicą, prawie jeszcze pustą o tej porannej porze. Dzień był piękny – jasny i chłodny – a powietrze, którym oddychała, bardzo rześkie. Wyglądało też na to, że naokoło panuje zupełny spokój.

Ach, jakże zaskoczona będzie matka mojego męża, pomyślała Orchidea, kiedy po powrocie opowiem jej, jaki spokój panuje w mieście! I kiedy zacznę ją przekonywać, że nie

ma żadnego powodu, by zwlekać z powrotem do domu. Mimo to będę ostrożna, nie zapuszczę się dalej niż do pierwszego sklepu. A potem zawrócę.

Uszła jeszcze kawałek drogi, przez cały czas nie mając pojęcia, że od chwili gdy przekroczyła bramę, obserwują ją nieprzyjacielscy żołnierze. A trzeba tu przypomnieć, że dostali niedawno rozkaz, by nie czynili zła otwarcie, na ulicach miasta. I przestrzegali go. Lecz co działo się w domach? Tego nikt nie wiedział.

Orchidea, idąc ulicą, minęła w pewnej chwili jedną z publicznych męskich toalet, jakie w tym mieście znajdowały się w pobliżu każdej dużej arterii. I zaraz potem natknęła się nagle na pięciu nieprzyjacielskich żołnierzach, którzy czatowali tu na przechodzącą samotne kobiety z zamiarem wciągnięcia ich do środka. Kobiet spacerujących po mieście było teraz bardzo mało. No bo któraż w takich okropnych czasach odważyłaby się wyjść sama? Żołnierze, widząc Orchideę, pomyśleli, że jest kurtyzaną. Biła z niej bowiem radość. No i twarz miała łagodną i okrągłą, usta pełne i czerwone, a ciało pulchne i miękkie. Żołnierze chwycili ją i trzymali mocno, pozerając przez chwilę oczami, a potem zaczęli się kłócić o to, kto weźmie ją pierwszy.

Trzeba tu nadmienić, że Orchidea była jedną z tych kobiet, które, kochane i hołubione, potrafią żyć naprawdę długo, ale w razie życiowych trudności szybko umierają. W tej chwili, patrząc w ciemne poządliwe twarze żołdaków, poczuła się natychmiast słabo. I gdy oni, jeden po drugim, robili z nią to, na co im przyszła ochota, a przechodnie, przerażeni widokiem pięciu wojskowych i opartej o ścianę broni, nie mieli odwagi wejść do publicznej toalety, by jej pomóc, stała się bezradna niczym królik, który znalazł się w mocy wilczurów. Krzyczała, więc ją skatowali, a potem jeden z nich zatkał jej nos i usta dłonią. Później szarpała się już tylko przez chwilę i życie uszło z niej z taką łatwością jak z małego królika. Dlatego ostatni z mężczyzn wykorzystał ją już martwą. Kiedy z nią skończyli, zostawili ją tam, gdzie była, i oddalili się po prostu.

I dopiero wtedy kilku co litościwszych przechodniów odważyło się wejść do środka. Ludzie ci przykryli biedne skatowane ciało kobiety, nie mając pojęcia, skąd się tu wzięła. Przyglądali jej się uważnie i dociekali, kim jest.

– To jakaś wieśniaczka – mówili. – Tak, tak. Wygląda na kobietę ze wsi. Zobaczcie, włosy spięła srebrną spinką, taką, jakich używały nasze matki. Ma też na sobie krótki kaftan i staromodną czarną jedwabną spódnicę. Pochodzi ze wsi. I najwyraźniej nie wiedziała, co się dzieje w naszym mieście.

Wszyscy ci przechodnie byli mężczyznami, bo przecież w tych strasznych dniach ich

tylko widywało się na ulicach. I mężczyźni ci nie mieli pojęcia, co zrobić z ciałem młodej kobiety. Żaden nie miał odwagi zabrać go do domu w obawie, że ktoś go oskarży o morderstwo. W końcu jednak odezwał się ten, który był pośród nich najrozsądniejszy.

– Zanieśmy ciało do białej cudzoziemki – powiedział – bo na nią nikt nie rzuci oskarżenia. A poza tym jeżeli nikt się po nie nie zgłosi, ona może je pochować.

Zawołali więc zaraz riksze. A choć rikszarz z początku nie bardzo chciał wieźć taki ładunek to jednak usłyszawszy imię białej kobiety i mając nadzieję na dodatkowy zarobek, zawiózł ciało pod bramę, którą Orchidea z wielką radością otworzyła sobie tak niedawno. Teraz brama była zaryglowana, a odźwierny po skończonym posiłku siedział sobie na ławeczce i dłubał w zębach, jak to miał zwyczaj czynić w chwilach bezczynności. W pewnym momencie usłyszał, że ktoś skrobie w bramę. Wstał więc i otworzył, a zobaczywszy ciało Orchidei, zawołał bardzo głośno:

– Ależ ta kobieta była jedną z tych, co znalazły tutaj schronienie!

– Dlaczego zatem wypuściliście ją na zewnątrz? – zapytali mężczyźni.

– Nie zrobiłem tego – zarzekał się odźwierny. – Ja nie wypuszczam stąd na zewnątrz żadnej kobiety.

Po chwili jednak doznał olśnienia. Domyślił się, dlaczego, wyszedłszy po posiłku ze stróżówki, zastał bramę niezaryglowaną. Czyżbym zapomniał ją porządnie zamknąć? – wyrzucał sobie wtedy, po czym zaryglował ją szybko. Doszedł przy tym do wniosku, że chyba się starzeje, i z ulgą przyjął fakt, że nikt nie zauważył jego błędu.

– Musiała się wymknąć, kiedy jadłem – powiedział teraz i zaryglowawszy najpierw porządnie bramę, pobiegł po białą kobietę.

Zastał ją pogrążoną w modlitwie. Gdy przysła pod bramę i zorientowała się, co zaszło, jej blada twarz stała się jeszcze bardziej surowa niż zwykle.

– Dobrze zrobiliście, przynosząc jej ciało tutaj – zwróciła się do mężczyzn z miasta. – Bo ona od wielu dni przebywała w tym domu. Tutaj są też jej teściowa i szwagierka oraz jej dzieci. Zaraz pošlę kogoś po jej męża.

Mężczyźni odeszli więc zadowoleni, bo cudzoziemka wzięła na siebie całe ryzyko związane z tą sprawą. A najbardziej rad był rikszarz z powodu sówitej zapłaty.

Kiedy się oddalili, biała kobieta poleciła odźwiernemu, żeby zawołał kogoś, kto pomoże mu przenieść leżące na ziemi zwłoki nieszczęśnicy do świątyni i położyć je na długim niskim stole. A potem zaczekała, aż jej polecenie zostanie wykonane, i – powoli, pogrążona w myślach – poszła poszukać Ling Sao. Gdy ją już znalazła, w kilku słowach, lecz delikatnie, poinformowała ją, co zaszło.

Ling Sao z początku sądziła, że cudzoziemka pomyliła jej synową z którąś z innych mieszkających w tym domu kobiet.

– Mylicie się, pani – powiedziała. – Żona mojego syna śpi na swoim posłaniu. A ja myślałam właśnie, żeby pójść ją zawołać, bo obudziło się jej dziecko, a ona sama zdążyła już przespać pół dnia.

– Chodźcie ze mną – odrzekła ze zwykłym u siebie smutkiem biała kobieta.

A potem pociągnęła Ling Sao za rękaw i poprowadziła ją do świątyni. Ling Sao przekonała się, że na niskim stole rzeczywiście leży Orchidea. Na ten widok wybuchnęła lamentem.

– Ależ ja ją widziałam jeszcze niecałe dwie godziny temu! – zawodziła. – Tak, widziałam ją, pulchną i żywą!

Biała kobieta w oszczędnych słowach powiedziała jej, czego się domyśla. Ling Sao natomiast nie miała wyjścia – musiała tego wysłuchać.

– Tak – zaszlochała. – Tak właśnie musiało być. I cóż ta żalosna głuptaska zrobiła najlepszego! Zawsze była skryta i uparta, choć taka uśmiechnięta i z pozoru uległa. I przez tę skrytość i ten upór spotkała ją śmierć. Poślijcie, pani, proszę, po mojego męża i syna, bo sama nie mogę postanowić, jak teraz postąpić.

– Tak też myślałam. Sądziłam, że zechcecie, by oni tu przybyli – odrzekła na to biała kobieta. – Poślę więc posłańca. Dziś wieczorem, kiedy się tylko ściemni. Wasza synowa i tak już nie żyje. Nie warto więc dla niej narażać życia innych i podróżować za dnia.

Nie uroniwszy ani jednej łzy, ze swoim niezmiennie smutnym wyrazem twarzy kazała słudze świątynnemu przynieść jakąś płachtę i przykryć nią Orchideę. Poleciała także czuwać przy niej przez resztę dnia, dopóki nie zapadnie decyzja, co robić dalej. Przez cały ten czas Ling Sao płakała.

– To straszne, naprawdę straszne – powiedziała, zanosząc się szlochem. – Zostawiła dwoje małych dzieci... Te maleństwa mają teraz tylko mnie do opieki. No a poza tym jak ja w takich czasach znajdę żonę dla mego syna? A mimo to, pani, wy nie uroniliście ani jednej łzy i wasze oczy są suche.

– Widziałam zbyt wiele nieszczęść – odrzekła na to biała kobieta swoim dźwięcznym głosem. – Dlatego sądzę, że nie ma już na świecie nic, co mogłoby skłonić mnie do płaczu... ani też do śmiechu.

Podniosła wzrok, patrząc swymi żółtymi oczami na coś, czego Ling Sao nie widziała.

– Sądzę – mówiła dalej – że moje serce nie poruszy się więcej aż do chwili, gdy

znajdę się u boku mojego umiłowanego Pana.

Ling Sao te słowa wprawiły w takie zdumienie, że przestała płakać.

– Ale ja słyszałam, że wy, pani, nie byliście nigdy zamężna! – zawołała.

– To prawda. Ale tylko w ziemskim znaczeniu tego słowa – odrzekła biała kobieta. – Ofiarowałam się Bogu. Jedynemu i prawdziwemu Bogu, który pewnego dnia zabierze mnie do siebie.

Ling Sao osłupiała. Była tak zdumiona, że na chwilę zbrakło jej łez. Chcąc się ochronić przed cudzoziemskimi czarami, potrafiła jedynie wyjąkać:

– *O-mi-to-fu.*

– A was, umiłowana duszyczko – powiedziała jeszcze biała kobieta, porażając Ling Sao światłem swoich jasnych oczu – was także Bóg pragnie. I możliwe, że doświadczył was tym nieszczęściem po to, by zmiękczyć wasze serce i zbliżyć was do siebie.

Słyszając to, Ling Sao przeraziła się nie na żarty.

– Musicie mu powiedzieć, pani, że ja przyjść nie mogę – rzekła, cofając się o krok. – Ja mam pod opieką męża, a teraz jeszcze tych dwoje dzieci. Jestem kobietą, która ma wiele trosk i nigdy dotąd nie opuszczała swego domu.

– W swoim domu także możecie służyć Bogu – odparła cudzoziemka, zbliżając się do niej.

A przerażonej Ling Sao wydało się, że skutkiem jakichś czarów jej postać robi się coraz wyższa. Była już tak blisko, że górowała nad nią – ogromna i biała. Ling Sao krzyknęła głośno, wybiegła ze świątyni, przebiegła przez trawnik i wpadła do wielkiej sali. A tam, płacząc i szlochając, opowiedziała o Orchidei i o tym, jak to Bóg ich białej opiekunki doprowadził do śmierci jej synowej.

Kobiety na tę wieść ogarnęła wielka trwoga. Wszystkie co do jednej bały się teraz, że zginą z ręki cudzoziemskiego bóstwa. Zapanowała wśród nich taka panika, że służące, słysząc te hałasy, pospieszyły do sali, a wraz z nimi ta nauczycielka, która nigdy nie miała męża. I próbowały uspokoić przerażone kobiety, tłumacząc, że nic im nie grozi. Gdy wreszcie, z wielkim trudem, im się to udało, wyjaśniły, co tak naprawdę miała na myśli biała cudzoziemka. Kobiety jednak nie uwierzyły im tak do końca. Bały się nadal bardzo. I gdyby nie to, co przytrafiło się za bramą Orchidei, wybiegłyby wszystkie na ulicę i uciekły stąd jak najdalej. Znając jednak straszliwy los synowej Ling Sao, błagały tylko, żeby biała pani nie zbliżała się do nich aż do czasu, gdy opuszczą jej dom i wrócą do siebie.

Wszystko to trwało tak długo, że tymczasem nastał wieczór. Ling Sao ułożyła więc

dzieci na posłaniach, a one zaraz zasnęły. Były jeszcze zbyt małe, żeby zrozumieć, co oznacza śmierć matki. Ling Sao usiadła przy nich – śmiertelnie zmęczona wydarzeniami tego dnia, a także osłabiona głodem, nic bowiem od rana nie jadła. Siedziała i czekała na przybycie Ling Tana. I w chwili gdy upłynęła połowa czasu, który dzieli zachód słońca od północy, usłyszała kroki. Podniosła głowę. Zobaczyła, że drzwi się otworzyły. Stał w nich odźwierny i kiwał na nią ręką. Wstała więc natychmiast i ruszyła ku wyjściu, omijając śpiące kobiety i dzieci. Okazało się, że na zewnątrz, w chłodzie i ciemności, stoją dwaj mężczyźni, na których czekała. Ich widok sprawił jej taką ulgę, jakiej nie doznała nigdy w życiu. Rozplakała się znowu i zawołała:

– Och, mój mężu! Czy ty widzisz, co nas spotkało?! Och, mój synu! I co ja mam teraz dla ciebie zrobić?!

Biała kobieta, która już przedtem zdążyła opowiedzieć mężczyznom, co się zdarzyło, podeszła teraz do nich, a Ling Sao, mogąc się już przytulić do męża, przestała się bać i płakać.

– Chodźcie ze mną – zwróciła się do nich cudzoziemka.

Poszli więc za nią do pomieszczenia, w którym miała zwyczaj się modlić i czytać swoje nabożne książki, i usiedli, tak jak ich o to prosiła. A ona oznajmiła im, że jeżeli taka ich wola, to ona może postarać się o trumnę dla Orchidei i tymczasem pochować ją tutaj.

– A potem – dodała – gdy nastaną lepsze czasy, będziecie mogli ją zabrać i złożyć we własnej ziemi. Jeżeli oczywiście to bardziej wam odpowiada.

– My sami nie zdołamy teraz zdobyć trumny – powiedział w imieniu wszystkich trojga Ling Tan. – Nie uda nam się też wywieźć ciała poza miasto. Dlatego musimy postąpić tak, jak proponujecie, pani, i podziękować wam za to. Jesteście dla nas naprawdę nadzwyczaj łaskawa. Trudno teraz o taką życzliwość na świecie.

– To, że tak postępuję, nie jest moją zasługą – odrzekła na to. – Czynię to po prostu w imię prawdziwego Boga, któremu służę.

Odpowiedzieli na to milczeniem, bo żadne nie miało pojęcia, co ta kobieta ma na myśli. Ale Ling Sao przestraszyła się znowu. I postanowiła w duchu, że odejdzie stąd z Ling Tanem jeszcze tej nocy. Dlatego gdy jej mąż wstał, zamierzając się oddalić, ona także podniosła się ze swego miejsca.

– Wracam do domu razem z tobą – oświadczyła.

– Z całą pewnością nie wracasz – zaprotestował stanowczo. – Czasy jeszcze się nie uspokoiły, a ja nie mam pojęcia, jak pod rządami wroga będzie wyglądało nasze życie.

– Wracam z tobą – powtórzyła Ling Sao z uporem.



Ling Tan znał ją dobrze, znał ten wyraz, który pojawił się teraz na jej okrągłej ciemnej twarzy. Wiedział, że jeżeli jego żona postanowiła stąd odejść, to on, cokolwiek by zrobił, nie zatrzyma jej tutaj.

– A niech cię, ty uparta córko upartej matki! – powiedział. – A jeżeli stanie ci się coś złego? Czy będzie to moja wina?

– Cokolwiek się ze mną stanie, nie będę obwiniała nikogo prócz siebie – odrzekła Ling Sao zdecydowanie.

Ale Ling Tan jeszcze próbował dyskutować.

– A co z naszą małą córeczką? – zapytał. – Zostawisz ją tutaj samą?

Słyszając to, Ling Sao zmieszana się na chwilę. Już chciała coś powiedzieć, uprzedziła ją jednak biała kobieta.

– Jeżeli zdecydujecie się iść – rzekła – zostawcie córkę u mnie. W lepszych czasach mieliśmy tu szkołę dla dziewcząt. Ale ostatnio ją przeniesiono, a wszystkie uczennice znajdują się o sto mil stąd w górę rzeki, już w wolnym kraju. Składa się tak, że jutro cudzoziemskim statkiem, pod opieką moich rodaków i ich żon, odpływają następne. Z nimi wasza córka będzie bezpieczna, a gdy potem zechcecie ją zabrać, to do was wróci.

Ling Sao i dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie, zastanawiając się, co robić, po czym ponownie w imieniu wszystkich przemówił Ling Tan.

– Gdyby czasy były normalne, nawet nie przyszłoby nam to do głowy. Opiekowalibyśmy się bowiem naszą córką i wydali ją za mąż za porządnego człowieka. Jednak teraz... kto się odważy ożenić albo wziąć do domu młodą dziewczynę, choćby jako żonę własnego syna? Niech zatem będzie tak, jak mówicie... Tylko... prosimy... powiadomcie nas czasem, czy nasza córka jeszcze żyje.

– Wasza córka nauczy się pisać i poinformuje was o tym sama – odrzekła życzliwym tonem biała kobieta, a oni milczeli.

Dawniej Ling Tan uśmiełby się serdecznie na myśl o tym, że jego córka mogłaby nauczyć się czytać i pisać. Jednak teraz, w czasach, gdy rodziny ulegały rozproszeniu, dostrzegał pożytek z takich nauk.

Tymczasem najstarszy syn nie odezwał się słowem przez cały czas ich rozmowy. Teraz jednak nagle przemówił.

– Chcę jeszcze raz zobaczyć tę, która była matką moich dzieci – oznajmił szeptem.

Trzeba tu powiedzieć, że nikt dotychczas nie wyjawiał mu całej prawdy o śmierci Orchidei, a on o nią nie pytał. I Ling Sao uznała, że nie powinien się jej dowiedzieć.

– Pozwól, że pójdę pierwsza, mój synu – powiedziała pospiesznie.

Zapomniała przy tym o strachu, w owej chwili była bowiem jedynie matką dbającą o dobro swojego syna.

– Możecie ją zobaczyć – zwróciła się biała kobieta do młodego mężczyzny, po czym, jakby odgadując intencje Ling Sao, dodała: – Umyłam ją i ubrałam w świeży przyodziewek. I wasza żona leży teraz w spokoju.

To powiedziawszy, wzięła ze stołu lampę i ruszyła przodem. Ling Sao podążyła za nią, wstydząc się w głębi serca, że bała się tej cudzoziemki, która przecież okazała się taka dobra. Wstydziła się też, że mówiła o niej źle do innych kobiet, gdy tymczasem ona tak troskliwie zajmowała się Orchideą. Kroczyła więc teraz za nią, milcząc i w pokorze. Po chwili weszli wszyscy do wnętrza świątyni, gdzie leżała Orchidea. Biała kobieta uniosła płachtę, odsłaniając twarz zmarłej, pozbawioną wszelkich ran. Patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że Orchidea śpi. Jej miękkie, pełne usta były zamknięte, ale rozciągały się w lekkim uśmiechu. Wyglądała w tej chwili tak jak nieraz nocą, leżąc w łóżku swojego męża. A on, gdy na nią patrzył, poczuł, że coś go chwyta za gardło, a do oczu napływają mu łzy. W chwilę później łzy popłynęły mu po policzkach. Reszta rodziny zareagowała tak samo. Wszyscy płakali, z wyjątkiem białej kobiety, która stała nieruchomo, z całunem w dłoni. Lao Tan odwrócił się w końcu.

– Przykryjcie ją – powiedział, a biała kobieta spełniła tę prośbę.

A potem wszyscy wyszli ze świątyni. Ling Sao pospieszyła do wielkiej sali, żeby obudzić dzieci, a Ling Tan i Lao Tan stali w ciemności i czekali na nią. Ojciec wyczuwał rozpacz i smutek syna, słyszał też jego stłumiony szloch. Odciągnął go więc trochę dalej od miejsca, gdzie stała cudzoziemka, i powiedział:

– Płacz, mój synu, płacz, póki płacz masz w swoim sercu. Pamiętaj jednak, że każdy płacz w końcu ustaje. Jesteś młody i pewnego dnia znajdziesz sobie drugą matkę dla swoich dzieci.

– Proszę was, ojczy, nie mówcie o tym jeszcze teraz – odrzekł mu na to syn.

– Dobrze, nie będę – zgodził się Ling Tan. – Ale zapamiętaj moje słowa.

Młody człowiek milczał. Ojciec wiedział jednak, że przekazał mu coś cennego. I nie uczynił tego, by zlekceważyć jego żalobę po śmierci żony, tylko po to, by mu pokazać, że jego własne życie ze względu na rodzinę musi toczyć się dalej.

Tymczasem Ling Sao w wielkiej sali ubierała dzieci, rozmawiając przy tym z Pansiao i starając się jej wyjaśnić, dlaczego ma zostać tutaj, a nie iść z nimi.

– Nie bój się, moja córko – przykazywała dziewczynce. – To, że ja dzisiaj po południu przestraszyłam się tak bardzo, było czystym szaleństwem. Okazało się bowiem, że biała

kobieta własnoręcznie umyła i ubrała naszą Orchideę, a teraz proponuje, żebyś ty z całą grupą opuściła miasto i udała się w bezpieczne miejsce, gdzie pójdziesz do szkoły. A tam nauczą cię czytać i pisać.

Mówiła tak do córki, zdziwiona, że dziewczynka nie okazuje wcale strachu. A zdziwiłaby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, że jej mała Pansiao, która zawsze pracowała tak pilnie, w milczeniu i bez jednej skargi, od dawna marzyła o tym, by znaleźć się w takiej szkole. Tak, ta dziewczynka marzyła o tym od chwili, gdy nauczyła się marzyć.

– Nie będę się bała, matko – powiedziała teraz.

– I napisz, skoro tylko nauczysz się pisać – powiedziała Ling Sao. – A wtedy kuzyn przeczyta nam twój list.

– Dobrze, mamó, napiszę – odrzekła Pansiao, a potem z niemowlęciem w ramionach ruszyła za matką do wyjścia.

Ling Sao niosła starsze dziecko i obie starały się zachowywać jak najciszej, żeby nie obudzić śpiących.

Ling Tan przykazał Pansiao, by była posłuszna nowym opiekunom i zachowywała się grzecznie. Po czym zwrócił się do białej opiekunki, powierzając jej córkę, w następujących słowach:

– Waszej łasce, pani, powierzam to moje dziecko. Prezent to niezbyt cenny, przynaję. Z drugiej strony jednak ta dziewczyna to także krew z mojej krwi i kość z mojej kości. My bowiem cenimy córki bardziej, niż to się zdarza w innych rodzinach. A na dodatek Pansiao jest naszym ostatnim dzieckiem. Jeżeli okaże się nieposłuszna, proszę was, pani, odeślijcie ją do domu i raczcie nam wybaczyć.

Słowa te wywołały uśmiech na twarzy cudzoziemki. Ling Sao zobaczyła go u niej po raz pierwszy. Biała pani wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Pansiao.

– Sądę, że wasza córka będzie posłuszna – powiedziała.

A następnie rozstali się z licznymi ukłonami i przy wtórze podziękowań. Ling Tan wziął na ręce swoje młodsze wnuczę, a Lao Tan swego starszego syna. I tak ruszyli w stronę bramy. Jednak serce Ling Sao nie mogło się jeszcze oderwać od małej córeczki. Odwróciła głowę, by spojrzeć na nią raz jeszcze. I wtedy w świetle lampy, którą trzymała ich opiekunka, ujrzała twarz dziewczynki zwróconą w górę, w stronę twarzy tamtej. Usłyszała, że kobieta zadaje pytanie: „Czy możesz być z nami szczęśliwa?”. I usłyszała też, że Pansiao, z twarzą pełną najczystszej radości, odpowiada: „Tak, pani, mogę. Mogę być szczęśliwa. I to bardzo”.

Szli powoli w mroku nocy, a droga była ciężka z powodu ciemności. Nie świecili sobie bowiem żadną lampą z obawy, by nie dostrzegł ich wróg. Mimo to Ling Sao z wielką

ulgą myślała o tym, że wraca do domu. Choć wiedziała, że jest on zniszczony, oglądała bowiem jego ruinę na własne oczy, to jednak miała nadzieję, że Ling Tan zdążył tymczasem niejedno naprawić. Jej serce w skrytości spodziewało się ujrzeć dom takim jak przed nadejściem wroga. Ling Tanowi tymczasem nie przyszło nawet do głowy, żeby ostrzec żonę, jak rzeczy wyglądają naprawdę. Nie pomyślał o tym, ogromnie przygnębiony śmiercią Orchidei, a także odejściem najmłodszego syna. Zresztą o tym ostatnim nie powiedział jeszcze Ling Sao.

I przez całą drogę zastanawiał się, jaką część prawdy jej wyjawić, a co przed nią zataić. Znał dobrze jej przenikliwość, wiedział więc, że Ling Sao zaraz wyczuje, że coś jest nie tak, i że domyśli się, o co chodzi. Dlatego też starał się odwlec rozmowę. Czynił to aż do chwili, gdy dotarli do domu. Miał w tym momencie wrażenie, że podróż z miasta nigdy w życiu nie upłynęła mu tak szybko. I to pomimo że tym razem szli przecież nocą, a on niósł w ramionach śpiące dziecko.

Ling Sao wbiegła przez bramę, przebiegła przez podwórze i wpadła do środka. A tu zapaliła lampę oliwną, która jak zwykle stała na swoim miejscu na stole. Jednak ich dawny, prawdziwy stół zastępowała teraz deska położona na dwóch podpórkach, które Ling Tan wbił w glinianą podłogę. Ling Sao, dostrzegłszy to, a także wszystkie inne zmiany, widoczne teraz w świetle lampy, zaczęła lamentować.

– Gdzie podziało się to wszystko, co tutaj mieliśmy? – zawołała, rozglądając się po izbie. – Gdzie nasze krzesła i ten długi stół, który stał pod ścianą? Czy nie odnalazłeś cynowych świeczników? Och, a mnie się zdawało, że naprawiłeś wszystko i że zrobiłeś tu porządek!

Tak narzekając, wciąż się rozglądała. Poszukiwała wzrokiem sprzętów, których jej tu brakowało.

– Gdzie są dwa małe stoliki, te z domu mojego ojca? A czy nie mogłeś naprawić tych dwóch taboretów, które tutaj stały?

Dwaj mężczyźni, przyzwyczajeni już do obecnego wyglądu izby, nie pamiętali wszystkich rzeczy, o których mówiła. Zapomnieli o nich, bo byli mężczyznami i zajmowali się pracą, która nie polegała na odkurzaniu, sprzątanu i posługiwaniu się tymi sprzętami, nad których brakiem biadała kobieta i które niegdyś były jej dumą. Ling Tan i jego syn stali więc teraz z dziećmi w ramionach jak głupcy, podczas gdy Ling Sao biegała z izby do izby, wciąż lamentując. Aż w końcu usiadła i zaczęła płakać. Musieli zatem ułożyć dzieci do snu i wrócić,

by ją pocieszyć. Robili to najlepiej jak potrafili, starali się bardzo – pocieszali ją, odkładając na bok własne zgryzoty.

– Jak ja teraz poprowadzę dom? – rozpacziała Ling Sao. – I czy będę mogła chodzić z podniesioną głową? Czym będę się szczyliła wobec innych kobiet? Miałam najlepszy dom we wsi, wszystko tu było najlepsze! A teraz nie zostało mi nic zgoła!

Trzeba tu stwierdzić, że Ling Sao, sama nie zdając sobie z tego sprawy, płakała nie tylko nad utraconymi sprzętami. Nie, nie. Ona płakała ze zmęczenia, płakała nad śmiercią Orchidei, a także nad tym, że jej dzieci odeszły z domu i rozproszyły się po kraju. Rozpaczała też z tego powodu, że cały ten świat, w którym musieli żyć dalej, nie będzie już taki sam jak dawniej – nie będzie on już tym światem, który tak dobrze znała i który kochała. Płakała więc i wydawało się, że nic nie jest w stanie jej pocieszyć. Mężczyźni poddali się w końcu. Syn poszedł do swojej izby, a Ling Tan zaczął przeklinać skłonność kobiet do tak wielkiej troski o rzeczy zrobione z drewna i cyny i do zamartwiania się o talerze. A potem przeklinał jeszcze tę wojnę oraz fakt, że wojny w ogóle zdarzają się na świecie.

– Niech będą przekłęci ci wszyscy mężczyźni, którzy przychodzą na świat, by go niszczyć wojnami! – wołał. – Niech będą przekłęci za to, że niszczą nam domy, hańbią nasze kobiety, sprawiają, że w nasze życie wkracza strach i pustka! Niech klątwa spadnie na tych niedojrzałych mężczyzn, którzy, wyrósłszy z dzieciństwa, wciąż są jeszcze dziećmi i wciąż nie potrafią przestać bić się i kłócić. Niech będą przekłęci, bo takie dorosłe dzieci przez swoje walki i kłótnie rujnują życie przyzwoitym ludziom! I niech klątwa spadnie na wszystkie kobiety rodzące mężczyzn, którzy prowadzą wojny, a także na wszystkie babki i krewnych takich mężczyzn!

Przeklinał tak, dopóki nie ochrypl i póki nie pociemniała mu twarz. A potem, nagle, on także się rozplakał, wiedział bowiem bardzo dobrze, że prędzej czy później żona zapyta go, gdzie jest ich trzeci syn. Tymczasem Ling Sao, widząc, że mąż płacze, ochłonęła. W przyływie rozsądku przypomniała sobie, że jest przecież żoną. Otarła więc oczy ręką kaftana, podeszła do Ling Tana i kładąc mu dłoń na ramieniu, powiedziała:

– Uspokój się, mój staruszk. Wiem, że byłam dla ciebie niedobra. To się już jednak nie powtórzy. Wróciłam do domu i nie odejdę stąd, cokolwiek by się miało zdarzyć. Tak, tak, mój mężu, ty i ja zostaniemy już razem w naszym domu. Przeklinaj wroga, ile chcesz. Wiedz jednak, że ten wróg nie wypędzi nas stąd więcej!

Ling Tan przestał zatem płakać i otarł oczy. Ling Sao stała w milczeniu obok niego. Po chwili podniosła głowę, nasłuchując uważnie, i zadała pytanie, którego on tak się obawiał.

– Czy nasz trzeci syn śpi tak mocno, że nie słyszy, że matka wróciła do domu?

Ling Tan nie miał już teraz żadnych wątpliwości: przed Ling Sao nie da się ukryć niczego. Postanowił zatem wyjawić całą prawdę. Jeżeli jego żona ma zostać w domu, by razem z nim znosić wszystko, co ich jeszcze czeka, to muszą wspólnie dźwigać to brzemie. Opowiedział jej więc wszystko – powoli, z przerwami i wzdychając ciężko – opowiedział o tamtej nocy i o tym, jak ich trzeci syn odszedł z domu. A ona słuchała go w całkowitym milczeniu. A kiedy skończył, nie zadała żadnego pytania.

– Przynajmniej żyje – powiedziała tylko.

– Przynajmniej żyje – powtórzył za nią Ling Tan.

A potem poszli do swojej izby i położyli się do łóżka, nie zdejmując ubrań. A Ling Tan uświadomił sobie ze zdziwieniem, że po tylu samotnych nocach nie ma w nim nawet odrobiny pożądania, że nie pragnie tej kobiety, którą przecież kocha.

Jestem bardzo zmęczony, stwierdził w duchu. Jednak tu chodzi o coś więcej. Czuję bowiem, że ta rzecz, która dzieje się między mężczyzną a kobietą, musi ulec jakiemuś oczyszczeniu. I dopiero wtedy, gdy ono się dokona, przyzwoity człowiek będzie mógł o niej pomyśleć.

– Po naszym wielkim, wygodnym łożu te deski wydają się bardzo twarde. Żołnierze jednak zniszczyli spód łoża z plecionki. A ja nie mogłem go naprawić, bo nie znalazłem nigdzie ratanowych pędów – powiedział do żony.

– Cóż mnie jeszcze może obchodzić łóżko? – odrzekła na to Ling Sao. – Cóż mnie po tym wszystkim mogą obchodzić stoły, krzesła i stolki?

Ling Tan, słysząc te słowa, zrozumiał, jak głęboko jego żona została zraniona. Tak, wiedział dobrze, że większej rany nie można jej było zadać.

A tymczasem niebo trwało niezmiennie, nieporuszone tymi nieszczęściami. Słońce przygrzewało tak samo jak przedtem, księżyc wschodził i zachodził, świeciły gwiazdy, pojawiały się chmury i deszcz, zima, jak zawsze, przeszła we wczesną wiosnę i życie – nawet ich życie – toczyło się dalej.

Od śmierci Orchidei, od rozstania z najmłodszą córką i powrotu Ling Sao do zniszczonego domu upłynęło już sporo czasu. Pewnego dnia przez wioskę przechodził człowiek, który, nie zatrzymując się tu wcale, wręczył Ling Tanowi list. Ling Tan list otworzył i choć nie potrafił go przeczytać bez pomocy uczonego kuzyna, od razu się domyślił, jakie zawiera wieści. Gdy bowiem rozłożył znajdujący się w kopercie papier, wypadł z niego szkarłatny pleciony sznureczek. Ling Tan na ten widok krzyknął głośno i

pobiegł zaraz do domu, szukając żony. Ling Sao była właśnie w kuchni, siedziała przed rozbitym przez wroga piecem, który zdążyła załatać gliną. Ling Tan, znalazłszy ją tam, podniósł sznureczek wysoko, a ona, zobaczywszy go, zareagowała równie gwałtownie jak jej mąż. Słyszac to, wybiegł ze swojej izby najstarszy syn. Przerwał karmienie młodszego dziecka kleikiem ze zmielonego na żarnach ryżu i wody, przygotowanym przez Ling Sao, i wszedł do kuchni. I na widok sznureczka nawet on, który miał twarz wciąż szarą z rozpaczy, wydał okrzyk radości.

I w tym zniszczonym domu, w tej na wpół zrujnowanej wiosce, przy całkowitym braku nadziei na przyszłość, bo przecież panowały straszliwe rządy wroga – a więc nawet w takich okolicznościach cała trójka nabrała nagle otuchy. Czerwony sznureczek był bowiem znakiem, który mówił, że gdzieś – choć nie wiadomo gdzie, to jednak gdzieś na tej ziemi – Lao Erowi i Nefryt urodziło się żywe dziecko. I dziecko to okazało się synem.

# X

Wśród całego tego nieszczęścia spotkała ich więc radość. A na drugi dzień, skoro tylko się umyli i zjedli śniadanie, udali się do domu uczonego kuzyna, gdzie Ling Tan wyciągnął zza pazuchy list od swego drugiego syna i poprosił o jego przeczytanie.

Trzeba tu zaznaczyć, że list we wsi to niebłaha sprawa – nawet w czasach normalnych i dobrych. Tym bardziej teraz, w sytuacji, gdy od chwili pojawienia się wroga nikt jeszcze nie otrzymał żadnej korespondencji, list był rzeczą doniosłą. Dlatego uczony kuzyn uznał, że nie byłoby słuszne czytać go w sposób niedbały. Najpierw więc umył twarz i ręce oraz wyplukał usta. A następnie usiadł. Jego żona, która czuwała przy łóżku syna, także przyszła posłuchać. Wcześniej jednak zawiadomiła o liście sąsiada, który powiedział o nim kolejnemu. Skutek był taki, że w chwili gdy kuzyn przeczytał już list po cichu i zastanawiał się właśnie, czy dobrze go zrozumiał, w jego domu znajdowało się z dziesięciu, a może ze dwunastu mężczyzn.

W końcu uczony kuzyn był gotów. Ling Tan i jego żona czekali na jego słowa cierpliwie, co okazało się niełatwe, gdyż rany młodego człowieka cuchnęły teraz tak strasznie, że odór czuć było w całym domu. Jednak oni to zniesli, bo bardzo pragnęli usłyszeć wieści o synu i wnuku, a nawet o Nefryt. Kuzyn odchrząknął, splunął, wypił łyk herbaty, podniósł list i jako ten jedyny, który potrafi czytać i od którego teraz zależy wszystko, rozejrzał się z surową miną po zebranych, a następnie zaczął wysokim głosem i wyraźnie:

„Szanowni nasi Ojczy i Matko! Mamy nadzieję, że miewacie się dobrze i że życie jak zwykle bezpiecznie. Naszemu starszemu bratu i jego rodzinie przesyłamy wyrazy szacunku, a wszystkim pozostałym jak najlepsze życzenia, mając nadzieję, że z nimi jak zwykle jest wszystko w porządku”.

W tym miejscu Ling Sao otarła łzy.

– I na cóż się zdadzą te ich najlepsze życzenia! – zawołała.

Ling Tan dał jej jednak znak, żeby się uspokoiła, a kuzyn czytał dalej:

„Po tym, jak opuściliśmy nasz wygodny dom, gdy po raz ostatni widzieliśmy Wasze twarze, odbyliśmy daleką podróż. Przebyliśmy tysiąc mil i zatrzymaliśmy się tu, gdzie teraz



jesteśmy, na czas porodu. Ale raczej tu nie zostaniemy, bo krążą pogłoski, że wróg ruszy dalej w głąb ładu. Jeżeli jednak Wy, Szanowny Ojczy, poinformujecie nas, jak u Was się rzeczy mają po wkroczeniu wroga, i jeżeli z Waszego listu będzie wynikało, że nie najgorzej, to może zostaniemy, bo tutaj można dostać pracę. A ja, Wasz młodszy syn, mógłbym zostać rikszarzem, który pracując codziennie, potrafi zarobić nawet więcej niż kiedyś nauczyciel w szkole. Bo teraz to właśnie pracownicy fizyczni zarabiają dużo".

Słyszając to, żona uczonego kuzyna wrzasnęła:

– Zawsze mówiłam, że wykształcenie nie zdaje się na nic! Widzisz, staruchu – zwróciła się do męża – gdybyś miał tyle siły, żeby jeździć rikszą, świetnie dawalibyśmy sobie radę. Ale nie, ty masz brzuch pełen tuszu. Zawsze uważałam, że to dlatego tak śmierdzisz!

Uczony kuzyn, nie mogąc znieść takiego poniżenia, odrzekł jej na to z gniewem:

– Ale kto by teraz przeczytał ten list? Kto zamiast mnie przekazałby wszystkim nowiny?

Po tych słowach popatrzył po zebranych, którzy pokiwali potakująco głowami, a potem czytał dalej:

„Wasz wnuk urodził się ostatniego dnia trzynastego miesiąca, trochę przed czasem, bo jego matka szła tak długo. Jednak dziecko jest zdrowe i silne, więc nie martwcie się o nie. Gdy czasy zmienią się na lepsze, wrócimy razem z nim i pokażemy go Wam".

– Ale kiedy to będzie? – westchnęła ciężko Ling Sao.

Kuzyn tymczasem czytał dalej:

„Jeżeli jednak czasy zmienią się na gorsze, pójdziemy dalej w górę rzeki i to właśnie stamtąd napiszę do Was ponownie. Jeżeli Wy, Ojczy, zdecydujecie się napisać list do nas, prześlijcie go na ręce niejakiego pana Lin do sklepu znajdującego się na rogu dwóch ulic – ulicy Targu Rybnego i Igielnej".

– Czy to wszystko? – zapytał Ling Tan.

– Jest jeszcze tylko jego imię i słowa pożegnania – odrzekł kuzyn. Gdy uczonego kuzyn zakończył już czytanie i gdy wszyscy przestali słuchać, poczuli znowu smród, a Ling Sao spytała żonę kuzyna, jak się ma jej syn. Ona westchnęła na to ciężko i odrzekła, że chłopaka jedzą już od środka robaki, więc rokowania są złe. Poprosiła też wszystkich, żeby do niego weszli i zobaczyli, w jakim jest stanie, i by się zastanowili, czy mogą udzielić jej jakiejś rady. Zebrani wstali zatem i weszli do izby, w której leżał młody człowiek. Tam jednak odór był tak straszny, że musieli pozatykać sobie nosy.

Nikt nie zdobył się na to, by podejść do syna uczonego kuzyna, który był teraz tak chudy i żółty, jakby przez całe życie palił opium. Gdy chłopak zwrócił na nich swoje gasnące

oczy, każdy z obecnych westchnął tylko i pospiesznie wyszedł. Matka młodzieńca przekonała się więc, że nikt nie dostrzeże dla niego żadnej nadziei, i rozplakała się gorzko. Ling Tan i jego żona byli jedynymi, którzy z nią zostali. Błagali żonę kuzyna, która wciąż szlochała, oparłszy twarz o ścianę, by powstrzymała się od płaczu, by zaczekała z tym przynajmniej do chwili aż chłopak naprawdę umrze, jednak bez skutku.

– Skoro nie mogę się powstrzymać, to będę płakała – odrzekła, dalej roniąc łzy. – A mój syn jest już właściwie martwy, bo w brzuchu ma pełno robactwa, które wkrótce pożre jego serce. A cóż ja? Czyja mogę coś na to poradzić?

Tak, tak mówiła i nie dawała się pocieszyć. Ling Tan i Ling Sao nie mieli wyjścia – musieli zostawić ją w spokoju.

Tymczasem młody człowiek całkiem stracił wolę przetrwania, bo niedługo po tym, co usłyszał z ust matki, życie go opuściło. W godzinę później odwrócił głowę do ściany i poddał się bez reszty. Gdy matka zajrzała do niego po chwili, przekonała się, że jedyne, co jeszcze żyje w jego ciele, to robactwo.

Ling Tan, dowiedziawszy się o tym, westchnął tylko.

– Sądzę – rzeki do żony – że z tego chłopaka nie wyrosłoby nic dobrego. Z pewnością zostałby bandytą albo jakimś innym wyrzutkiem. Rabusiem, co oddaje się grabieży. A jednak... Dlaczego umarł, skoro inni źli ludzie chodzą po tej ziemi? Miał przed sobą życie, a wróg mu je odebrał. W moim sercu z dnia na dzień wzbiera taka nienawiść do wroga, a także do wszystkich, którzy na dobrych, niewinnych ludzi sprowadzają wojnę, że chyba nie wytrzymam i będę musiał dać jej jakiś upust.

Słyszając te słowa, Ling Sao przestraszyła się nie na żarty.

– Pozbądź się nienawiści, mój mężu – błagała – bo inaczej krew w twoich żyłach zamieni się w truciznę. I zachorujesz od tego. A ja... co wtedy pocznę?

Ling Tan dobrze wiedział, że żona ma rację. Obiecał zatem skierować myśli na rzeczy takie jak wiosenna orka. I dotrzymał tej obietnicy, ciesząc się przy tym, że wciąż posiada ziemię i że może doznać pociechy płynącej ze zwykłej pracy, której ta ziemia wymaga od niego o każdej porze roku.

Nie miał jednak pojęcia, że od chwili śmierci swego syna żona uczonego kuzyna znienawidziła go serdecznie, zapominając całkiem o nienawiści do wroga. A jej nienawiść do Ling Tana brała się z przekonania, że jej syn żyłby jeszcze, gdyby tylko poślubił Nefryt.

– Gdyby Nefryt była jego żoną, nie pozwoliłaby mu tamtego dnia iść do miasta – powtarzała nieraz nocą mężowi. – I nasz syn, mając ją za żonę, nie miałby ochoty wychodzić z domu. Albo przynajmniej ja dzisiaj miałabym wnuka. Tak, tak, to dziecko, które urodziła

teraz Nefryt, byłoby nasze, a nie Ling Tana. Powiadam ci, ono nam się należy, a nie jemu. W oczach bogów jest zatem nasze. Ling Tan ograbił nas w najgorszy sposób, w jaki człowiek może ograbić człowieka. Bo odebrał nam to, co powinno być krwią z naszej krwi i kością z naszej kości. Wskutek czego my nie mamy nikogo, kto uczci po naszej śmierci nasze szczątki. Tak, mój mężu, Ling Tan sprawił, że jesteśmy na wieki przeklęci.

Uczony kuzyn Ling Tana, słysząc to wszystko, zaczął się kręcić na łożku. W głębi serca wiedział bowiem dobrze, że w słowach żony nie ma choćby ziarna sensu. Z drugiej jednak strony, będąc człowiekiem spokojnym i zgodnym, nie chciał prowokować gniewu kobiety. Wzdychał więc tylko i rozboląła go głowa; pragnął gorąco, by żona pozwoliła mu wreszcie zasnąć. Ona jednak kopnęła go w krzyż, a to rozzłościło go do tego stopnia, że odplącił jej się podobnym, choć lżejszym kopniakiem.

– Czyż ja nie byłem jego ojcem i czyż go nie opląkuję? – zapytał. – Smucę się nawet bardziej od ciebie, bo ten chłopak był jedynym dzieckiem, jakie mi urodziłaś, a tymczasem ja, z nasienia, które zmarnowało się bezpowrotnie przez wszystkie te lata, mogłem mieć ze stu synów.

Słowa te rozjuszyły kobietę do tego stopnia, że zaczęła kopać męża obiema nogami. Wściekłość jej była tym większa, że mężczyzna mówił przecież prawdę. Gdyż ona po urodzeniu swego jedyne syna stała się wskutek przebytej gorączki całkiem bezpłodna. A mając przy tym zły charakter, nie chciała przystać na to, by mąż wziął sobie konkubinę. I nawet gdyby miał na to dość pieniędzy, nie skłoniłby jej do zgody na takie rozwiązanie. Teraz, chcąc się odplącić pięknym za nadobne, odwzajemnił się jej dwoma kopniakami. A potem, nie mogąc z nią dłużej wytrzymać w łożku, wstał i położył się w drugiej izbie na ławie. I zachodził w głowę, dlaczego kobiety są takie. Zazdrościł przy tym mnichom, pustelnikom, a także wszystkim tym mężczyznom, którym kobieta okazuje się całkiem niepotrzebna. Zresztą sam nieraz marzył, by odejść z domu i zostać mnichem, i ta fantazja nawiedziła go teraz.

Wiedział jednak, że to marzenie nie mogłoby się ziścić w obecnych czasach, bo zły los wygnał mnichów z wielu świątyń i zapełnił je żołnierzami, a on bał się żołnierzy tak samo jak swojej żony. Leżał więc teraz na wąskiej ławie i rozmyślał o tym, jak okropne jest życie, zwłaszcza dla człowieka jego pokroju – skromnego, pragnącego jedynie trochę spokoju wokół siebie. Spokoju jednak nie było teraz nigdzie. Ani w życiu innych, ani w jego własnym.

Ling Sao bardzo cierpiała, nie mogła bowiem znieść pustki, jaka zapanowała teraz w jej domu. Przywykła przecież do tego, że dom jest pełen jej dzieci i wnuków, że w nocy ktoś śpi w każdej izbie, a podczas posiłków wokół stołu zasiada duża gromada. Przyzwyczała się, że sama krząta się bezustannie i że zarządza dużym gospodarstwem. Tymczasem obecnie miała obok siebie jedynie dwóch mężczyzn i dwoje małych, cichych i wiecznie przestraszonych dzieci. Nie rozumiejąc tego, co dzieje się wokół, maleństwa te przesiadywały ciągle nieruchomo na podwórku. Większe z nich, niczym mały staruszek, trzymało mniejsze za rękę. I jedno, i drugie było wychudzone i żółte, a najłżejszy hałas sprawiał, że kuliły się z przerażenia.

Natomiast ich ojciec, który dawniej był tak pełnym radości człowiekiem, teraz przeważnie milczał i rzadko odzywał się choćby słowem. Bo prawda była taka, że ten najstarszy syn Ling Tana całkiem nie pasował do obecnych czasów. Był typem mężczyzny, który miałby się doskonale, gdyby prowadzili swoje dawne, dobre życie, i z czasem zmieniłby się w spokojnego i łagodnego staruszka, szanowanego w wiosce za życiową mądrość. Miałby też liczną gromadę dzieci kochających go bardzo za jego niezwykłą dobroć. Obecnie jednak, gdy wszystko toczyło się tak źle, nie miał po prostu pojęcia, co robić. Popadł w rodzaj jakiegoś osłupienia, które czasami zdawało się być wręcz bezrozumem. Nie istniała żadna nadzieja na to, że pojawi się kobieta, która zajmie miejsce Orchidei. On tymczasem niekiedy pragnął znaleźć nową żonę, a niekiedy znów cieszył się, że nie ma na to szansy. Bał się bowiem, że kolejne dzieci oznaczają będą kolejne kłopoty. I żył, otepiał niczym bawół, i robił, co mu kazano, mozoląc się na roli.

Ling Tan przyglądał mu się często. Oto człowiek, myślał przy tym w duchu, którego życie zrujnowała wojna. I ogarniała go wściekłość, istna furia – na wszystkich, którzy tę wojnę czynią. Tak, tak, Ling Tan, orząc ziemię, wściekał się w głębi duszy. Wściekał się, gdy patrzył na te na wpół zrujnowane domy w wiosce, a także na swój własny, którego nie odważył się doprowadzić do dawnego stanu z obawy, że przywabi włóczących się nieprzyjacielskich żołnierzy. Zdawał też sobie sprawę, że we wszystkich wioskach w całej ich dolinie, jak również w tych, co leżą po drugiej stronie miasta, dzieje się to samo. Dostrzegał, że żyzna niegdyś ziemia, którą wieki pokoju uczyniły bogatym spichlerzem żywności, leży teraz wypalona i jałowa. Niewielkie wojny, toczone wewnątrz własnego narodu, nie zdołały jej zniszczyć. Dawniej szkodziły jej tylko zbyt wysokie podatki, zmuszające ją do tego, by rodziła więcej plonów. Ale wtedy, nawożąc tę ziemię obficie, można ją było obronić.

Przez całą wiosnę, gdy Ling Sao miotła się rozdrażniona po domu, Ling Tan pieklił się w duchu na ludzi czyniących wojnę. Na wszystkich takich ludzi na całym świecie –

słyszał bowiem, że żyją oni także i w obcych krajach. Myślał też nieraz o cudzoziemcach mieszkających po drugiej stronie ziemskiej kuli i zastanawiał się, czy i oni doznają podobnych jak on cierpień.

My, ludzie pokoju i rozsądku, myślał sobie, wszyscy ludzie pokoju i rozsądku – i ci żyjący na wierzchu ziemi, i ci, co po drugiej jej stronie chodzą głową w dół – powinniśmy się zjednoczyć i ograniczyć swobodę tym, co kochają się w wojnach. Tak, tak, widząc dziecko, które ma na kogoś takiego zadatki i nie daje się wychować na człowieka pokoju, powinniśmy je trzymać pod kluczem.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większą zyskiwał pewność, że wojnę czynią tylko ludzie pewnego pokroju. Gdyby ich jakoś wyeliminować – mówił sobie – na świecie zapanowałby pokój. Tak w owe dni wyglądały jego myśli. Cóż jednak mógł zrobić sam jeden – on, człowiek pracujący na swojej ziemi? Chyba nic. Mimo to powtarzał sobie uparcie: „Czyżby na świecie nie żyli inni mnie podobni ludzie?”.

Była to wiosna pozbawiona radości. Święto mijało za świętem, a Ling Sao nie urządzała żadnych uczt. Inni ludzie również tego nie czynili, bo jakże naród ma się radować, gdy jest pod władzą wroga? W domu było tak cicho, że Ling Sao ogarnął ogromny niepokój, który sprawił, że zaczęła swędzieć ją skóra. Coraz częściej wieczorami drapała się po całym ciele. Ling Tan, który zauważył to w końcu, zapytał ją pewnej nocy w trzecim miesiącu tego smutnego roku:

– Dlaczego siedzisz, drapiąc się i pocierając nos? I dlaczego robisz to tak gwałtowne?

A ona odpowiedziała na to słowami, które buchnęły z niej jak para z dzbana po podniesieniu pokrywki:

– Nasz dom przypomina grób, a ja jestem pewna, że nie powinniśmy byli pozwolić z niego odejść naszemu drugiemu synowi i jego żonie! Nasz najstarszy syn jest przecież taki bezradny! Co się zatem stanie z tą dwójką jego biednych dzieci, gdy ty i ja się zestarzejemy?

Ling Tan słuchał tego zdziwiony. Przeżyłem z tą kobietą tyle lat, myślał, a nigdy nie wiem, z czym ona jeszcze wyskoczy.

– Czy poprosiłabyś naszego drugiego syna i Nefryt, żeby tu wrócili? – zapytał w końcu z powagą. – Czy mamy zażądać, by przywieźli naszego wnuka tutaj? By wywieźli go z wolnego kraju i przybyli z nim do takiego, który jest w rękach wroga?

– Póki my żyjemy na tej ziemi – odrzekła stanowczo – ten kraj nie należy do wroga. Więc mylisz się, staruszkule, mówiąc, że jest w jego rękach. I ja ci powiadam, że stracilibyśmy ten kraj jedynie w wypadku, gdybyśmy go porzucili. Ale o tym nie ma przecież mowy. Nie

porzucimy naszego kraju. I nasi synowie także nie powinni tego robić. No bo w przeciwnym razie jak utrzymają kraj w swoich rękach, kiedy my umrzemy?

To, co mówiła, miało sens, a Ling Tan był człowiekiem zbyt sprawiedliwym, by odmówić oczywistego sensu nawet słowom kobiety.

– Mów dalej, staruszko, chcę usłyszeć więcej.

A potem, by zachować spokój, zapalił fajkę, choć w tych czasach tytoń był rzeczą naprawdę cenną.

– Chcę powiedzieć – mówiła dalej Ling Sao – że nasz syn powinien tutaj wrócić i żyć tak jak dawniej. Bo nie wolno nam ulegać wrogowi. A ulegamy mu, pozwalając naszym synom odejść. Jeżeli wszyscy młodzi mężczyźni uciekną, a na miejscu zostaną tylko starzy, nasi wrogowie pomyślą, że się ich boimy.

W słowach kobiety była prawda. Ling Tan palił więc fajkę przez chwilę, a po namyśle powiedział:

– Ale perspektywy są bardzo złe. Przyznaję, że teraz kobiety żyją bezpieczniej niż przed nowym rokiem, bo kurtyzan jest pod dostatkiem, a poza tym najgorsi żołdacy poszli sobie stąd dalej. Jednak zagraża nam inne zło.

– Jakie? – zapytała Ling Sao.

Nie powtarzała już teraz co prawda, że nie boi się żadnego mężczyzny i że do końca życia żadnego się nie przestraszy. Jednak jakież zło może być gorsze od mężczyzn?

– Krażą plotki, że nam, rolnikom, zostaną narzucone twarde prawa – odrzekł Ling Tan. – A czyż możemy odmówić wrogom posłuszeństwa, skoro nie mamy broni?

– Jeżeli czekają nas takie straszne rzeczy – powiedziała Ling Sao – to nasi synowie powinni być tutaj i pomóc nam je znieść. Kiedy będziesz odpisywał na list naszemu drugiemu synowi, przekaż mu, że ja, jego matka, tak właśnie twierdzę.

– Ha! – odrzekł na to Ling Tan.

Ale potem milczał i do późnej nocy myślał o tym, co żona nakładła mu do głowy. Jej słowa były ziarnem, które zasiała w ten pełen uporczywości i na wpół dziecięcy sposób tak charakterystyczny dla kobiet. Ale były też prawdą, na którą natrafiła niejako przypadkiem, z powodu prostego życzenia, by zobaczyć wnuka. Jednak męski umysł Ling Tana potrafił to ziarno podjąć i zapłodnić je własną myślą, a potem sprawić, by wydało owoce.

Jeżeli to prawda, że wróg zalewa kraj niby zaraza, pomyślał, to czy dobrze zrobimy, uciekając i oddając go w jego ręce? Niektórzy opuszczają te strony, bo boją się żyć tutaj. Są

jednak inni – wystarczająco silni, żeby zostać. I czyż ja nie należę do tych ostatnich? Ling Sao nie ma racji, twierdząc, że wszyscy moi synowie muszą pozostawać w naszej wiosce. Ma jednak rację, gdy mówi, że nasz najstarszy nie może żyć tu samotnie. Co do najmłodszego, to ten nie może wrócić, bo lepiej mu będzie tam, gdzie przebywa obecnie. Ale mój drugi syn... Czyż on różni się ode mnie? A skoro nie, to powinien znaleźć się tutaj, by wraz ze mną zadbać o utrzymanie w naszych rękach ziemi. On i ja, i ludzie nam podobni, musimy żyć tam, gdzie nasze miejsce, i zadbać o to, co do nas należy. A także nękać wroga niby pchły w psim ogonie, które zmuszają zwierzę do gryzienia własnego zadka.

Ling Tan roześmiał się cicho z tego żartobliwego porównania, na co Lig Sao zawołała:

– Dlaczego siedzisz, śmiejąc się do siebie jak jakiś stary idiota? I to w takich czasach!

– Nie jestem jeszcze gotowy, żeby ci to wyjaśnić – odrzekł jej Ling Tan.

Nie chciał tego uczynić, jednak prawda była taka, że ziarno zakiełkowało już w jego umyśle, wypuszczając malutkie pędy.

Jednakże wiosna tego roku była tak straszna, że nie miał odwagi zawezwać z powrotem swego drugiego syna. I nie uczyniłby tego także później, gdyby lato nie wniosło w jego dom kolejnego nieszczęścia. A okazało się ono gorsze niż nowe podatki nałożone na kraj przez wroga. Gorsze niż ustawy dotyczące nowej ceny ryżu oraz tego, co wolno uprawiać rolnikowi. Gorsze niż cała ta tyrania, jakiej zdaniem Ling Tana świat dotąd nie widział. A wzięło się stąd, że tego roku zabito tylu ludzi, że nie sposób było ich wszystkich pochować. Nie sposób było uprzętać ciał z ulic ani pogrzebać tych, które wrzucono do kanałów i rzeki. A gdy rzeka wiosną wezbrała, gdy woda wypełniła kanały, ciała wypłynęły na powierzchnię i zostały wyrzucone na brzegi. I wtedy ze wszystkich tych rozkładających się zwłok przyszła na ludzi choroba. Dotknęła zwłaszcza biedaków jedzących kraby żywiące się zwłokami. Skutek był taki, że z nadejściem letniego skwaru zapanowały wszędzie biegunka i gorączka.

I kogóż miały zaatakować jak nie rodzinę Ling Tana? Przez ponad dziesięć dni chorowali wszyscy, jednak najcięższym brzemieniem zaraza spadła na najmłodszych i najsłabszych. Tak, para smutnych małych dzieci stała się pierwszymi ofiarami tej okropnej choroby i choć trójka dorosłych opiekowała się nimi troskliwie, wymioty i biegunka płynęły z nich jak woda i maleństwa zmarły. Ling Sao, podtrzymując młodszego dziecko i starając się ułatwić mu umieranie, nie zdołała powstrzymać się od torsji, bo sama także była chora.

Tak więc tych dwoje zmarło, a wraz z nimi umarły też nadzieje, które Ling Tan bezwiednie wiązał z tymi wnukami. Ling Sao po ich śmierci okropnie płakała. Oboje dziadkowie, którzy – uznawszy, że w warunkach wojennych wszyscy muszą cierpieć – nie rozpieszczali wnuków nadto, chcąc, by tak jak mogą, radziły sobie samodzielnie, teraz

poczuł się tak, jakby to im samym odebrano życie.

– Co nam teraz zostało? – jęczała Ling Sao. – Cóż to za dom, w którym nie ma dzieci?

Natomiast ich najstarszy syn, ojciec zmarłych maleństw, nie płakał ani nie jęczał, snuł się tylko po domu niby swój własny cień, a kiedy już dzieci pogrzebano i kiedy on sam, a także rodzice wyzdrowieli, poprosił pewnego dnia o wybaczenie mu tego, że zamierza odejść na jakiś czas z domu.

– Ale dokąd ty pójdziesz? – zawołała matka.

– Nie wiem. Wiem tylko, że muszę iść – odrzekł głuchym głosem.

Ling Tan zaczął się zastanawiać, dokąd posłać tego swego najstarszego syna. Chciał, żeby młody człowiek udał się przynajmniej w takie miejsce, z którego mógłby wrócić, żeby oni mogli mieć nadzieję, że go jeszcze zobaczą. Wysiłił więc cały swój umysł i rzekł:

– Posłuchaj, mój synu, jeżeli już musisz odejść, to chciałbym, żebyś udał się na wzgórze, poszukał swego młodszego brata i poinformował nas, jak on się miewa. Boję się bowiem, że przyłączył się do rabusiów, a nie do mieszkających tam porządnych ludzi. Znajdź go więc i jeżeli okaże się, że stowarzyszył się ze złoczyńcami, zaprowadź go do ludzi uczciwych.

To, pomyślał sobie, sprawi, że najstarszy syn będzie miał do wykonania zadanie. A lepiej mieć zadanie, niż odejść z domu w rozpacz bez żadnego celu. No i dzięki temu ja sam przestanę się zamartwiać o najmłodszego syna.

– Czy rozkazujecie mi, ojczy, tak zrobić? – zapytał najstarszy syn.

– Rozkazuję – potwierdził Ling Tan.

– A zatem muszę być posłuszny – brzmiała odpowiedź syna.

A potem, po kilku dniach, kiedy Ling Sao uprała mu już ubranie i włożyła w kaftan pieniądze, które jeszcze zostały Ling Tanowi, syn odszedł – w nowych sandałach, z kołdrą zrolowaną na plecach i z kilkudniowym zapasem jedzenia.

– Jak teraz poradzisz sobie z pracą na roli? – spytała Ling Sao męża.

– Nie wiem – odrzekł – ale nie miałem serca go zatrzymywać.

– Jest tylko jedna rzecz, jaką można teraz zrobić – powiedziała Ling Sao. – Niebo okazało swoją wolę. Musisz wysłać list do naszego drugiego syna i wezwać go do domu.

– Czy jesteś pewna, staruszkko – zapytał Ling Tan, patrząc na nią z nieznacznym uśmiechem – że taka jest wola Nieba? I tylko Nieba? Nie słyszałem, byś próbowała zatrzymywać naszego najstarszego.



– Czyż mogło być moją wolą pozwolić dzieciom umrzeć? – odrzekła mu na to bez śladu uśmiechu na twarzy.

A wtedy uśmiech zniknął także z twarzy Ling Tana.

– No cóż – powiedział – jest oczywiste, że nie było to twoją wolą. Odprowadzali syna wzrokiem, a on szedł drogą, kierując się ku wzgórzom. Gdy wreszcie zniknął im z oczu, zostali naprawdę sami. Wrócili do opustoszałego domu. A trzeba tu nadmienić, że nigdy dotychczas nie mieszkali w nim tylko we dwoje, bo pierwsi synowie Ling Tana przyszli na świat jeszcze przed śmiercią jego rodziców. Dlatego takiej sytuacji jak teraz nigdy w tym domu nie było. Ling Sao, która nie potrafiła żyć w takiej ciszy, błagała więc wciąż męża:

– Może byś załatwił sprawę z tym listem? I to już dzisiaj? Droga powrotna może im przecież zająć z miesiąc albo i dłużej.

– Zaczekaj – odpowiadał Ling Tan, a następnego dnia powtarzał to samo: – Zaczekaj.

I Ling Sao musiała czekać aż do chwili, gdy myśl w jego głowie całkiem dojrzała, do chwili, w której Ling Tan stał się pewien, że jest to myśl mądra. I taka chwila nadeszła. Im dłużej bowiem Ling Tan zastanawia! się nad całym złem wojny, tym większą zyskiwał pewność, że pokonać je mogą tylko ludzie tacy jak on – zdecydowani żyć swoim własnym życiem wbrew niemu. A ponieważ jego drugi syn przypominał go najbardziej ze wszystkich dzieci, Ling Tan uważał, że to właśnie on powinien kontynuować jego dzieło. Zanosilo się na to, że obecna wojna będzie trwała długo. Wróg niełatwo odda to, co zdobył, myślał Ling Tan, więc ta wojna może się toczyć jeszcze za życia syna mojego syna, albo nawet jego wnuka. A nasza siła musi polegać na tym, że potrafimy żyć mimo jej wszystkich okropności.

Po siedmiu dniach samotnej pracy na roli takie właśnie myśli skłoniły Ling Tana do postawienia sobie jednego zdecydowanego celu. Dlatego ósmego dnia, wstawszy wczesnym rankiem, zwrócił się do żony:

– Dzisiaj wyślę list do naszego drugiego syna – oznajmił.

Ling Sao, usłyszawszy te słowa, nie posiadała się z radości.

– Musisz zjeść świeże jajko – powiedziała, krzątając się po kuchni – bo ono da ci siłę.

Następnie wyjęła z koszyka najświeższe jajko ze wszystkich, wbiła je do miski i skłoniła męża, by je wypił. A Ling Tan, uczyniwszy to i zjadłszy poranny posiłek, udał się do domu uczonego kuzyna.

A siedząc już tam i dyktując list, doskonale zdawał sobie sprawę, jaki ciężar bierze na swoje barki.

Ling Sao myślała tylko o jednym – o tym, że będzie miała przy sobie ich drugiego syna, a także małego, jeszcze niewidzianego wnuka, który był jej tym droższy, że tamtych

dwoje wnucząt zmarło. Jeżeli w skrytości ducha nękały ją jakieś wątpliwości, to pocieszała się myślą, że w ich okolicy minął już czas najgorszego wojennego chaosu, że najbardziej zwyrodniali nieprzyjacielscy żołnierze zostali wzięci w karby albo wysłani gdzieś dalej, na podbój innych miast, i że oni sami, choć zmuszeni korzyć się przed wrogiem, będą w tych ciężkich czasach jakoś żyli dalej.

Jednak Ling Tan był bardziej od niej dalekowzroczny. Znał swój charakter, a także charakter swego drugiego syna. Wiedział więc, że ani on sam, ani syn nie będą się niewolniczo stosowali do wszystkich nieprzyjacielskich rozkazów. Perspektywy dla wolnych ludzi były niedobre, Ling Tan zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego, dyktując list, robił długie przerwy. Zastanawiał się, pocierając dłonią swoją ostrzyżoną głowę. Myślał, co napisać synowi. A tymczasem uczony kuzyn czekał z mokrym pędzelkiem w dłoni. Pędzelek jednak wysychał i kuzyn musiał go zwilżać, wkładając do ust. Nic więc dziwnego, że w końcu usta miał pełne tuszu.

– Napisz mojemu synowi – powiedział po długim namyśle Ling Tan – aby się nie spodziewał, że tu u nas panuje pokój. Pokoju bowiem być w tych stronach nie może. To, co się tutaj zdarzyło, było okropne, lecz to, co nastąpi, może się okazać jeszcze gorsze. Któż wie, co będzie? Zarówno on, jak i ja musimy utwardzić serca, by znosić to, czego znieść właściwie się nie da.

Kuzyn zapisał te słowa, odczekał, posłał pędzelek, a Ling Tan po chwili mówił dalej:

– Napisz mu, że ja i jego matka zostaliśmy sami, że pozostali moi synowie odeszli na wzgórze, że żona najstarszego syna i dwójka jego dzieci nie żyją, a nasza najmłodsza córka odeszła z białą kobietą. Nie powinien jednak powracać, narażając się na niebezpieczeństwo jedynie z tego powodu, że znajdujemy się w takiej sytuacji. Napisz, że matka chce, by wrócił, bo dom jest pusty. Jednak ja pragnę jego powrotu tylko pod warunkiem, że on czuje to samo co ja. To znaczy pod warunkiem, że myśli sobie: „Niech wróg będzie przeklęty, a ja, póki życia, bez względu na wszystko, utrzymam tę ziemię w swoich rękach”. Ja, jego ojciec, chcę, byśmy utrzymali ją razem aż do mojej śmierci, a potem niech mój syn stara się o to dalej wraz ze swoim synem. Aż do czasu, gdy wróg nasz kraj opuści.

Tu kuzyn przerwał pisanie.

– Gdyby ten list dostał się w ręce wroga – wyraził obawę – to czy nieprzyjacielscy żołnierze nie przyszliby tutaj, by zniszczyć naszą wioskę?

– Nie wyślę listu zwykłą drogą – odrzekł Ling Tan, by dodać mu nieco odwagi – tylko przez posłańca, który z nim dotrze aż do granicy.

Trzeba bowiem powiedzieć, że istnieli ludzie, którzy trudnili się przekraczaniem

granicy wolnego terytorium i obszaru zajętego przez wroga. Ludzie ci kursowali w obie strony i uczynili sobie z tego źródło dochodu. Przebierali się za żebraków lub wieśniaków albo też udawali ślepców, którzy wędrują ze swymi małymi gongami i zatrzymują się w wioskach, by snuć opowieści oraz śpiewać pieśni. Właśnie przez takiego człowieka dotarł do Ling Tana list od syna.

Dlatego uczonego kuzyn, usłyszawszy te słowa, pomimo wątpliwości pisał dalej. A kiedy skończył, odczytał list Ling Tanowi, by ten mógł się upewnić, że znalazło się w nim wszystko, co chciał powiedzieć. A Ling Tan, wyłapawszy sens wśród kwiecistych ozdobników dodanych przez kuzyna, doszedł do wniosku, że usłyszał dość, by wiedzieć, że syn zrozumie, co mu chciał przekazać. Był też przekonany, że syn zorientuje się łatwo, że list pisał ich uczonego kuzyn, gdyż ten nigdy nie pociągnął pędzelkiem, nie okraszając listu różnymi znanymi tylko jemu słowami, starożytnymi, zaczerpniętymi z klasyków porzekadłami, a także wersami poezji oraz wszelkimi podobnymi głupstwami, jakie ludziom rozsądnym nigdy by nie przyszły do głowy.

Mój syn zorientuje się, co pochodzi od niego, a co ode mnie, pomyślał Ling Tan, więc ja nie będę obrażał kuzyna tylko dlatego, że on lubi się trochę popisywać. Tak więc list był gotowy. Ling Tan czekał, aż kuzyn go zaklei, a potem go zabrał. Obawiał się, że gdy pozostawi go w rękach kuzyna, ten doda od siebie jeszcze coś, co zaciemni główny sens przekazu. Należy tu bowiem zaznaczyć, że kuzyn oprócz uczonych słów lubił wzbogacać listy o różne nowiny. Poinformowałby na przykład, w jaki sposób zmarł jego własny syn, albo opisałby zniszczenia w wiosce. A wtedy drugi syn Ling Tana, chcąc wyłowić właściwą treść listu, musiałby się wykazać nie lada przenikliwością.

Tak więc Ling Tan zabrał list ze sobą, a potem, zawiąawszy go w chusteczkę i odłożywszy w bezpieczne miejsce, odczekał wraz z żoną kilka dobrych dni, w ciągu których, chcąc spotkać trudniącego się przekraczaniem granicy człowieka, odwiedzał codziennie herbaciarnię. Chodził tam głównie wieczorami, bo tego rodzaju kurierzy mieli zwyczaj spać za dnia, a podróżować nocą. Czwartego dnia spotkał młodzieńca, który wyglądał na jednego z nich.

– Spodziewam się, że idziecie ku granicy – odezwał się przyciszonym głosem. – A skoro tak jest, to czy zaniesiecie list do mojego syna?

Mężczyzna kiwnął głową, a Ling Tan powiedział mu wtedy, gdzie mieszka, i po zmroku młody człowiek zjawił się w jego domu. Ling Sao poczęstowała gościa posiłkiem, który zjedli we troje. Przy stole młodzieniec opowiadał o wielu rzeczach, o których małżonkowie nie mieli dotąd pojęcia. Mówił na przykład o tym, że za granicą, na wolnych

terytoriach, gromadzi się ogromna armia, która ma za zadanie zagrozić drogę wrogowi. Ta armia, powiadał, stanie jak ów wielki mur, który cesarze zbudowali niegdyś na północy. Z tą tylko różnicą, że teraz będzie to mur złożony z żywych ciał, długi na dwa tysiące mil i na kilka mil szeroki. Mówił też, że na wolnych terytoriach znajdują się szkoły, kopalnie i fabryki i że miliony ludzi, które się tam schroniły, nie zamierzają wcale uciekać dalej. Chcą natomiast przeciwstawić się wrogowi.

Wszystko to dodało Ling Tanowi otuchy. I choć ani on, ani jego żona nie pragnęli uciekać w tamte strony, uważali bowiem, że ich miejsce jest tu, na własnej ziemi, Ling Tan odezwał się w te słowa:

– Słyszając, co mówicie, czuję, że moje serce nabiera oddechu. W dniu, w którym ta armia ruszy, będę tutaj. Wraz z moim synem, jeżeli on zdecyduje się wrócić. A ten skrawek ziemi, który należy do nas, będzie się wciąż znajdował w naszych rękach.

Po tych słowach wręczył młodzieńcowi list, próbując mu wytłumaczyć, jak poznać Lao Era. Przerwała mu jednak Ling Sao.

– Nie znasz naszego syna tak dobrze jak ja – stwierdziła. – Boja przecież nosiłam go w swoim łonie. Lao Er ma pieprzyk nad prawym okiem, ale taki bardzo malutki. Będziecie więc musieli przyglądać się ogromnie uważnie. Tym bardziej że mój syn ma oczy większe i bardziej czarne niż większość ludzi. Jego twarz, tak jak i moja jest kwadratowa, a usta duże, podobne do moich. Wzrostu nasz syn jest nie więcej niż średniego, ale barki ma szerokie, a łydki krągłe. Na dużym palcu jednej stopy, tej prawej, nosi głęboką bliznę, bo jako sześciolatek nastąpił na lemiesz. Myślałam wtedy, że odcięło mu palec, przywiązałam go jednak kawałkiem fartucha. Musicie przy tym wiedzieć, że był to nowy fartuch, jednak ja go podarłam, bo czyż to nie był mój syn? Kiedy indziej znowu Lao Er miał na głowie wrzód. I została mu po nim malutka łysinka, którą przykrywa włosami. Dlatego chcąc ją zauważyć, trzeba się naprawdę dobrze przyjrzeć.

Ling Tan, słyszając to wszystko, wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Czy myślisz, staruszko – powiedział – że ten człowiek będzie tak dokładnie oglądał naszego syna? Nie zwracajcie uwagi na jej słowa, młodzieńcze – mówił dalej – bo moja żona jest taka jak wszystkie kobiety. Słuchajcie tego, co ja wam powiadam: mój syn jest silnym młodym mężczyzną. I przyjemnie na niego popatrzeć, choć ta przyjemność nie jest nadmierna, bo na szczęście nie przypomina on swego brata, naszego trzeciego syna, który ma urodę dziewczyny.

Po tych słowach Ling Sao zrzędała mina. Nastąpiła cisza, a młody człowiek wstał i

powiedział, że musi już ruszać w drogę.

– Ile czasu upłynie do chwili, gdy list znajdzie się w rękach mojego syna? – zapytał Ling Tan.

– Nie potrafię powiedzieć – odrzekł tamten. – Jeżeli mi się poszczęści, to mniej niż miesiąc. Jednak szczęście nie zawsze mi towarzyszy.

Pożegnali go zatem – Ling Tan wręczył mu trochę pieniędzy, a Ling Sao chleb z gotowanym mięsem. Oboje też zapraszali go do swego domu na nocleg, gdy będzie przechodził przez wioskę. Młodzieniec podziękował i odszedł, nie informując ich nawet, jak się nazywa. A oni nie pytali go o imię, bo w takich czasach lepiej było go nie znać. W razie gdyby wróg ich o niego zapytał, mogliby zatem odpowiedzieć: „Nie znamy nawet jego imienia”.

Wykspediowawszy w ten sposób list do syna, Ling Tan i jego żona mogli już tylko czekać. Tego roku w pracach polowych Ling Tanowi pomagała jedynie Ling Sao. Wczesnym latem udało im się zasadzić ryż, który rósł dobrze, nie mogli jednak tak do końca poradzić sobie z chwastami. A bawół nie spędzał długich dni na pastwisku u podnóża wzgórz, bo nie miał kto go tam zaprowadzić. Mimo to mąż i żona robili wszystko, by wszelkie prace szły jak najsprawniej. Ling Sao, z braku czasu, w domu robiła niewiele – gotowała tylko szybko posiłki, gdy wieczorem oboje wrócili z pola.

Wiedli przy tym częste rozmowy, zastanawiając się, jak to będzie, gdy w ich domu zjawi się już Nefryt z malutkim synkiem. I pewnego dnia Ling Sao oznajmiła, że powinni przygotować kryjówkę, do której w razie potrzeby ich synowa mogłaby się schronić. Nie chciała bowiem nawet myśleć o oddaniu jej pod opiekę białej kobiety. Trzeba mieć swoje własne bezpieczne miejsce – powiadała.

– A niby gdzie mamy urządzić taką kryjówkę? – zapytał Ling Tan. – Twój pomysł jest tak dobry jak kurze jajko. Spraw jednak, by wykluczyć z niego kurczę.

– Dobrze, spróbuję wysiedzieć jakieś rozwiązanie – odrzekła mu na to, śmiejąc się, Ling Sao.

Dumała nad tym kilka dni i w końcu powiedziała do męża:

– Przebijmy klepisko w kuchni za piecem i zrobmy podkop pod glinianą ścianą domu i podwórzem. Nie mamy teraz czasu na tkanie, nie mamy też gdzie sprzedać płótna. Możemy więc wykorzystać framugi drzwi, a także belki z tkalni i zbudować pod podwórzem coś w rodzaju schronu. A później zasłonimy otwór wejściowy deskami, które przykryjemy słomą.

Pomysł tak bardzo spodobał się Ling Tanowi, że zaczął wychwalać żonę pod niebiosa, co u niej wywołało uczucie zawstydzenia.

– Nie musiałam się nad tym zbytnio głowić – powiedziała skromnie.

– Ależ przeciwnie, musiałaś! – odrzekł. – Inne kobiety, pracując w polu, pozwoliłyby umysłowi leżeć odłogiem. A ty, proszę! Ty zawsze różniłaś się od nich! A ja dostrzegłem, że twoja głowa nigdy nie próżnuje i że nigdy nie wiadomo, na jaki wpadniesz pomysł. Dlatego, moja staruszko, oświadczam ci, że nigdy się tobą nie znudzę.

Ling Sao uśmiechnęła się na to, przysłaniając usta dłonią. Bo choć zwykle zapominała o braku dwóch bocznych zębów, które straciła przed laty, to jednak gdy chwalił ją mąż, pragnęła ten brak ukryć. Tym razem także miała usta zasłonięte tak długo, aż Ling Tan przestał zwracać na nią uwagę.

A gdy nadeszła noc, zabrali się do kopania. Mimo ciemności panował wciąż letni upał, a ziemia za piecem okazała się twarda niczym skała. Ubiły ją bowiem stopami liczne kobiety, które przez pokolenia kucaly w tym miejscu, gotując strawę, by nakarmić swe rodziny. Dlatego Ling Tan i jego żona, mozoląc się ogromnie, wydrążyli tej nocy otwór głęboki zaledwie na sześć czy siedem cali.

– Młodzi będą nam musieli w tym pomóc – powiedział w końcu Ling Tan, dysząc ciężko ze zmęczenia.

– Ależ nie – zaprzeczyła Ling Sao. – Damy radę wykopać kryjówkę sami. No, przynajmniej taką, w jakiej będziemy się mogli chować do ich powrotu.

Od tej pory dzień po dniu pogłębiali jamę o kilka kolejnych cali i dopiero wtedy uznawali, że zakończyli na ten dzień robotę. To kopanie stało się ich wielkim pocieszeniem. Ułatwiało im oczekiwanie na syna i wnuka, a także dawało nadzieję na to, że będą mieli kryjówkę dla siebie oraz schowek na zapasy ryżu, który jeszcze rósł na polach.

To było bardzo ważne, jako że pewnego dnia, będąc w polu, Ling Tan ujrzał ku swemu przerażeniu bandę nieprzyjaciół nadciągającą z miasta. Ten widok sprawił, że przerwał pracę i stał przez jakiś czas jak osłupiały. Był pewien, że to ostatnie jego chwile, bo w nadciągającej grupie znajdowali się żołnierze z bronią. Potem jednak, gdy jeden z nieprzyjaciół przemówił, okazało się, że nie przyszli wcale po to, by go zabić. Człowiek, który do niego się zwrócił, miał przy sobie pióro oraz małą książeczkę i zaczął zadawać pytania. Spytał Ling Tana o nazwisko i o to, jak długo tu mieszka, ile ma ziemi i jakich spodziewa się plonów ryżu. Ling Tan był tak przerażony, że podał więcej prawdziwych informacji, niżby sam sobie życzył. Jednak plony ryżu, całkiem przytomnie, znacznie zaniżył. Uczynił to, bo miał już wprawę nabytą w rozmowach z poborcami podatków. Jego

rozmówca, który źle się orientował w tych sprawach, bez dalszych pytań zanotował po prostu jego słowa. A następnie bardzo głośno oznajmił:

– Rolniku! Ten kraj należy teraz do nas, czyli do ludzi, którzy go podbili. A ty musisz pracować na swej ziemi i oddawać nam plony po cenie ustalonej przez nas. Oświadczam, że od tej chwili nie będzie już w tym kraju handlowania wedle własnej woli. Bo my zaprowadzimy tutaj porządek. I wszystko będzie musiało odbywać się zgodnie z naszym prawem.

Trzeba powiedzieć, że Ling Tan nie tylko był dobrym rolnikiem, ale także bystrym człowiekiem. Wiedział zatem, że ceny płodów rolnych muszą ulegać wahanom – zmieniać się z każdym rokiem w zależności od pogody i obfitości zbiorów, a także od liczby ludzi nimi handlujących. Zdawał sobie sprawę, że na wysokość cen towarów ma także wpływ ich sprzedaż do innych dalekich części kraju i sprowadzanie ich stamtąd oraz że cen ryżu i mięsa nie da się przewidzieć z góry. Odrzekł więc tonem spokojnym i uprzejmym:

– Ależ panowie, jakże można z góry ustalić, jaka ma być cena ziarna? W naszym kraju o takich rzeczach decydują Niebiosy.

Na to drobny człowieczek nasrożył się, spojrział groźnie i wrzasnął:

– Teraz to my decydujemy o wszystkim, rolniku! A tym, co nas nie słuchają, ziemia nie będzie już dłużej potrzebna!

Ling Tan nie powiedział nic więcej. Spuścił tylko głowę i utkwiał wzrok w żyznej ciemnej ziemi. A potem musiał odpowiedzieć na szereg kolejnych pytań wrogów. Poinformować ich, że ma jednego bawołu, dwie świnie i osiem kur, a także staw rybny i kilka kaczek, oraz powiedzieć, że jego rodzina składa się tylko z niego samego i żony.

– Nie mieliście dzieci? – dociekał mężczyzna.

Słyszając to pytanie, Ling Tan podniósł głowę i odpowiedział, po raz pierwszy w pełni kłamiąc.

– Jesteśmy bezdzietni – brzmiały jego słowa.

Drobny człowieczek zapisał i to, a potem, ściągając usta, oznajmił:

– Poczynając od pierwszego dnia tego miesiąca, wszystkie ryby znajdą się pod naszą kontrolą. I tylko my będziemy je jedli. A ty, rolniku, pamiętaj, że jeśli złowisz rybę w swoich wodach, masz ją przynieść do nas.

– Ale staw należy do mnie – rzekł na to Ling Tan.

Powiedział to całkiem bez zastanowienia, bo od dzieciństwa łowił w tym stawie ryby, które stanowiły podstawę pożywienia rodziny.

– Nic nie należy do ciebie! – ryknął mężczyzna. – Czy wy, chłopcy, nigdy nie

zrozumiecie, że wasz kraj został podbity?!

Ling Tan podniósł głowę. Zmilczał, by uratować życie, ale popatrzył tamtemu prosto w twarz. Jego oczy mówiły przy tym: „Nie, nigdy tego nie zrozumiemy”. „Nie” – mówiła także jego podniesiona głowa. „Nie” – odpowiadała cała jego postawa. Ale głos nie przemówił, bo Ling Tan wiedział, że jedynie żyjąc, zdoła utrzymać całą swoją ziemię. Jeśli natomiast życie straci, to będzie właścicielem tylko tego skrawka, na którym zostanie pochowany.

Drobny człowieczek odwrócił wzrok i oznajmił głośno:

– Teraz, rolniku, jesteście zarejestrowani. Podobnie jak wasza żona, wasze świnie, drób, ryby i bawół. I wszystko, co tutaj macie. Róbcie, co wam każemy, a będziecie żyli w pokoju.

Ling Tan uparcie milczał dalej, stojąc spokojnie z podniesioną głową. A potem odprowadził wzrokiem oddalających się mężczyzn, którzy zatrzymywali się przed każdym domem i na każdym polu, na którym ktoś pracował. Tego roku pracujących w polu było niewiele, bo młodzi ludzie albo odeszli z wioski, albo stracili życie. Ci, co pozostali, by mozolić się na roli, byli podobni do Ling Tana – wierzyli, że muszą za wszelką cenę utrzymać własną ziemię w swoich rękach.

Ling Tan nie zamierzał wracać do domu, dopóki ci ludzie nie znikną mu z oczu. Wziął więc motykę i zabrał się ponownie do roboty. Pracował tak, jakby nie liczyło się dla niego nic innego. Jednak serce miał pełne smutku. Gdy grupka wrogów oddaliła się już, opuszczając dolinę, rozejrzał się wokół i zobaczył, że inni wieśniacy wracają właśnie z pól do wioski. Zarzucił zatem motykę na ramię i poszedł za ich przykładem. A potem wszyscy, w liczbie trzydziestu kilku, zgromadzili się w na wpół zrujnowanej herbaciarni i zaczęli rozmawiać o tym, co dzisiaj oznajmili im wrogowie. Dyskutowali o niskich i z góry ustalonych cenach ryżu, a także o zakazie jedzenia ryb z własnych stawów, nawet gdyby te same pchały się właścicielom w ręce.

– Z taką tyranią nie spotkaliśmy się nigdy dotąd – mówili.

I zamilkli, bo nikt z nich nie miał pojęcia, co ich czeka w przyszłości. Nie było więc sensu gadać i narzekać po próżnicy.

– Musimy znosić nasz los, na ile zdołamy – powiedział w końcu Ling Tan, wyrażając tymi słowy to, o czym myśleli wszyscy. – A kiedy sytuacja stanie się nie do wytrzymania, to będziemy musieli się zastanowić, jak ją znieść. Bo najważniejsza jest ziemia.

Z tym ostatnim stwierdzeniem zgodzili się wszyscy. A potem, całkiem jednomyślni, rozeszli się do domów. I nie było wśród nich zdrajcy.



Wracając teraz do siebie na południowy posiłek, Ling Tan cieszył się na myśl o powrocie swego drugiego syna. Bardzo pragnął bowiem móc liczyć na czyjąś pomoc w tych ciężkich chwilach. Wieśniacy uważali go za swego przywódcę, jednak jakże on, człowiek stary, mógł im przewodzić, jeżeli przyszłość gotowała im rzeczy nie do wytrzymania? Tutaj potrzebny był ktoś młody i silny. A także zdolny obmyślić, co należy czynić w okolicznościach tak bardzo różniących się od tych, które były im wszystkim znane.

Znalazłszy się w domu, Ling Tan zjadł wraz z żoną posiłek w ciszy panującej na pustym podwórzu, a potem jej opowiedział, co się wydarzyło tego ranka. A Ling Sao, wysłuchawszy go, zakasała rękawy i kazała mu pójść do jakiejś dużej wsi i kupić tam tyle soli, ile zdoła.

– Ale po co, staruszek? – zapytał zaskoczony Ling Tan.

– Nasze świnie muszą stracić życie – odrzekła stanowczo. – Połowa ptactwa także. I skoro nie wolno nam spożywać świeżej ryby, będziemy jeść soloną.

– Ależ nasi wrogowie, dowiedziawszy się o tym, z pewnością nas zabiją! – zawołał Ling Tan, jednak jego żona skrzywiła się tylko.

– Czy możemy coś poradzić na pomór, gdy ten padnie na nasze zwierzęta? – odrzekła.

– Przejdę po wsi i powiem kobietom, że wszystkie zwierzęta mają być chore. A ty, gdy pójdziesz po sól, powiedz ludziom to samo. Wieść, podawana z ust do ust, rozprzestrzeni się w ten sposób wśród tych, co już o tym pomyśleli. A przecież każdy bystry człowiek na to wpadł.

Ling Tan uśmiechnął się tylko szeroko i bez słowa poszedł po sól. Okazało się jednak, że całej potrzebnej ilości nie da się kupić w jednej wiosce. Udał się zatem do kilku. A potem po kryjomu, po nocach, oboje z Ling Sao bili drób oraz świnie, po czym suszyli i solili ich mięso. Zostawili tylko próśną maciorę – a i to jedynie do czasu, aż wyda na świat potomstwo. Ling Tan trzymał maciorę w dawnej tkalni, bo nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył prosięta. Te prosięta na szczęście nie zostały spisane, pomyślał.

Czas płynął, a oni, dzień po dniu, pracowali dalej jak zwykle. I tylko Ling Sao na widok zbliżających się wrogów biegła za każdym razem do domu, żeby schować mięso w kryjówce za piecem. A ta stawała się z czasem coraz głębsza. Ling Tan nigdy w życiu nie jadał tyle mięsa co tego lata, bo drobne części zwierząt, te, które nie nadawały się do solenia, trzeba było spożywać od razu. Mieli też mnóstwo zwierzęcej krwi, z której Ling Sao robiła krwawą kiszkę. Tak samo czynili wszyscy w całej okolicy, a wiejskie psy chodziły upasione na wnętrznościach i innych odpadkach. Jedyne problem stanowił brak soli. Potem jednak, całkiem nagle, się pojawiła. Skąd się wzięła, tego nikt nie wiedział. Nieznajomi ludzie

dostarczali sól do wiosek i zostawiali w sklepach, a wieśniacy brali ją zadowoleni, o nic nie pytając. Choć tak naprawdę to domyślali się, że pochodzi ze wzgórz.

Tegoroczne lato było naprawdę długie. Ling Tan i jego żona czekali na powrót syna i wnuka, nie zapominając, że mają do wykopania kryjówkę pod kuchnią. Za dnia oboje obserwowali drogę, a nocami budzili się wielokrotnie i nasłuchiwali. W ten sposób mijał im czas. Dzień upływał za dniem, a Ling Tana ciągle dręczyła myśl, że w każdej chwili we wsi może się zjawić drobny człowieczek, z żołnierzami albo też bez nich, ale z całą pewnością z licznymi nakazami, co trzeba robić, a czego robić nie wolno. I że ten człowieczek będzie węszył, starając się zorientować, jakie plony dają pola Ling Tana, albo też zjawi się po prostu po to, by się pogapić. Teraz, gdy Ling Tan potrafił już zachować spokój w obecności wrogów, widział, że wprawdzie wszyscy oni są źli, lecz nie w równym stopniu. Nauczył się ponadto słuchać tego, co mówią, w całkowitym milczeniu.

Zaczekam na powrót syna, myślał sobie zawsze. Będę milczał, dopóki on się tu nie zjawi.

Czasami wrogowie potrafili nawet przekroczyć progi jego domu. Jednak Ling Sao nauczyła się ostrożności. Miała swoje kryjówki na mięso i ryż, a kiedy nie mogła wszystkiego pomieścić pod ziemią, wtykała zapasy w strzechę w tych izbach, w których było najciemniej i w których nie można było zauważyć opadającego ze strzechy kurzu. W obecności wrogów starała się sprawiać wrażenie tępej i milczącej staruszki, która gapi się na obcych, nie zatrzymując wrzeczona i przędąc białą bawełnianą nitkę. A kiedy wrogowie coś mówili, udawała głuchą i wskazywała na swoje uszy, kręcąc tylko głową. Więc zostawiali ją w spokoju. Ling Sao uważała bardzo, by nie uczesać gładko włosów, nie myła też twarzy, a słońce opaliło ją tak, że skórę miała prawie czarną.

Im brzydsza się wydaje, tym jestem bezpieczniejsza, mówiła sobie, a na myśl, że jama jest teraz wystarczająco duża, by mogła w niej schować się przynajmniej Nefryt z dzieckiem, wstępowała w nią otucha.

W ten sposób upływało lato. Nastaly upały, a oni oboje myśleli tylko o tym, że z pewnością niedługo zjawi się w domu ich syn. Ling Tan miał nawet nadzieję, że miody człowiek zdąży na żniwa.

– Jego także musimy ukryć przed wrogami – mówił – bo oni zaganiają młodych ludzi do ciężkich robót, a my w żadnym wypadku nie możemy na to pozwolić.

Obmyślali sposoby, jak zapewnić mu bezpieczeństwo. Myśleli o tym, że trzeba będzie powiedzieć Lao Erowi, by nauczył się pracować nocą, a spać za dnia, gdy oni oboje będą czuwać.

Czas płynął, aż w końcu nadeszła godzina, na którą czekali. Była już prawie północ, gdy coś ich wybiło ze snu. Pobiegli na podwórze. A tam usłyszeli ciche pukanie do bramy. Ling Tan rzucił się ku niej bez namysłu i już miał ją otworzyć, lecz Ling Sao, która niosła lampę, powstrzymała go od tego.

– Zaczekaj – powiedziała. – Muszę najpierw zgasić światło. Bo wtedy zdążymy uciec, jeżeli okaże się, że to nie oni. A jeżeli to oni, to też będzie lepiej otworzyć bramę w ciemności. Bo wtedy nikt ich nie zobaczy.

Ling Tana nie po raz pierwszy w życiu zadziwiła bystrość żony. Zaczekał więc, aż Ling Sao zgasi lampę, i dopiero wtedy otworzył na oścież bramę. A za bramą, w nikłym świetle gwiazd, ujrzeli dwie postacie.

– Ojczy!

Był to głos ich drugiego syna. Ling Tan i jego żona natychmiast wciągnęli przybyłych do środka, a potem zaprowadzili do pogrążonej w mroku, pozbawionej okna kuchni. Zamknęli drzwi i dopiero wtedy Ling Sao zapaliła ponownie lampę. W jej świetle wreszcie ich zobaczyli. Lao Er i Nefryt wyglądali jak dwaj mężczyźni, bo Nefryt miała włosy ścięte krótko i nosiła męskie ubranie. Na bosych stopach miała męskie słomiane sandały, a jej twarz była tak szczupła i brązowa, że nawet ktoś, kto znał ją dawniej, mógł wziąć ją za jakiegoś rolnika. Ale Ling Sao, którą niby wielki głód trawiła tęsknota za wnukiem, zawołała od razu:

– Gdzie mój wnuk? Gdzie mój mały mięsny pierożek?

Słyszając to, Nefryt uśmiechnęła się i zdjęła z pleców swoje brzemię. I okazało się, że nosiła tam dziecko, sprytnie ukryte pod koszem – małego chłopczyka, na którego tak czekała Ling Sao. Babka bez chwili zastanowienia i z brodą drżącą od płaczu porwała maleństwo w ramiona. Odwinęła chłopczyka i obejrzała go całego bardzo uważnie.

– Jest dokładnie taki, jak się spodziewałam – szepnęła, a potem podniosła dziecko, oparła je sobie na ramieniu i zaczęła łagodnie kołysać.

– Och, jakież spokoję czuję dzięki niemu – wyszeptwała. – Cóż to dla mnie za radość i pocieszenie trzymać go tak przy sobie!

Pozostali stali wokół niej, nic nie mówiąc, ale widząc ten wybuch radości, mieli łzy w oczach; radość taka bowiem składa się po części ze smutku i nikt, kto go uprzednio nie zaznał, nie jest w stanie jej odczuć prawdziwie głęboko. Nefryt, patrząc teraz na matkę męża, przestała wreszcie żałować, że zgodziła się na całą tę pełną niebezpieczeństw drogę, którą musiała przebyć, by przynieść tu dziecko. Bo prawda była taka, że nie chciała wracać. Pragnęła udać się jeszcze dalej na zachód i spierała się z Lao Erem o to, czy powinni okazać posłuszeństwo woli ojca wyrażonej w liście, który dotarł do nich przez wielu pośredników. A

było ich wielu, gdyż młody człowiek, który wziął list od Ling Tana, został po drodze postrzelony przez wroga i zmarł. Zanim jednak wydał ostatnie tchnienie, zdążył przekazać komu innemu wszystko, co przynosił. Nie tylko list Ling Tana, lecz także i inne listy, a nade wszystko tajne wiadomości, gdyż człowiek ten był łącznikiem pomiędzy władzami wolnych terytoriów i ludźmi ze wzgórz i to było jego prawdziwym zajęciem. W ten oto sposób, po długich perypetiach, list Ling Tana dotarł do rąk jego syna.

Gdy oboje poznali jego treść, Nefryt pokręciła głową.

„My, młodzi, powinniśmy iść dalej, a nie wracać – powiedziała stanowczo. – Opuściliśmy dom rodzinny ze względu na dziecko. A teraz co? Czy mamy je tam zanieść z powrotem?”.

„Kiedy ruszaliśmy w drogę – odrzekł jej na to Lao Er – mój starszy brat mieszkał w domu, a mój ojciec miał oprócz mnie jeszcze dwóch synów. Dlatego my mogliśmy myśleć przede wszystkim o naszym dziecku. Teraz jednak tamtych synów nie ma w domu, a starzy ludzie są sami. Więc pomyśl, czy nasz syn będzie się o nas troszczył na starość, jeżeli my opuścimy naszych rodziców? Jeżeli teraz wyrządzimy zło, to nie możemy spodziewać się dobra w przyszłości”.

Takimi argumentami przekonał ją w końcu. Jednak Nefryt w tej powrotnej podróży każdy kolejny krok stawiała niechętnie. I dopiero teraz poczuła się z rodziną swego męża naprawdę związana. Zrozumiała bowiem, że dziecka nie rodzi się tylko mężowi, lecz także wszystkim jego przodkom – tym, którzy poprzedzają go w rodzinie. Więc nie wyciągnęła zazdrośnie ramion ku swemu synkowi. Pozwoliła Ling Sao nacieszyć się nim do woli. Sama tymczasem stała z boku, radując się uwielbieniem babki dla swego ukochanego maleństwa.

A malec, który od chwili narodzin widział tyle obcych twarzy i nie był nigdy żadną z nich przerażony, teraz też nie okazał strachu, tym bardziej że żadna nie pochylała się nad nim z taką serdecznością jak pomarszczona i brązowa twarz babki. Ponieważ większą część dnia chłopiec przespał na plecach matki i brzusek miał pełen jej mleka – bo Nefryt nakarmiła go dobrze przed wejściem do domu, nie chcąc, żeby kaprysił w chwili powitania – był teraz wesoły i uśmiechnięty. Ling Sao posadziła go sobie w końcu na kolanie i kazała Ling Tanowi poświecić lampą. A wtedy malec roześmiał się i pociągnął guzik u jej kaftana. Ling Sao roześmiała się także, wciąż płacząc, i tak, śmiejąc się przez łzy, nie mogła wydobyć z siebie słowa. Ling Tan, widząc to, pomyślał, że żona zaraz zakrztusi się na śmierć. Oddał więc lampę synowi i przerażony zawołał:

– Pilnuj swego serca, staruszko! Zerwało się ono bowiem w twojej piersi z kotwicy. Jeszcze chwila, a postradasz zmysły. Zbyt wielka radość jest dla człowieka równie szkodliwa,

jak zbyt wielki smutek.

Z tymi słowy wziął od niej dziecko, a Nefryt polecił nalać teściowej trochę herbaty. Nefryt posłusznie wykonała polecenie, a Ling Sao wypila herbatę, otarła oczy i jej serce nieco się uspokoiło. Dopiero wtedy Ling Tan mógł jej oddać niemowlę. A trzeba tu powiedzieć, że i on był zachwycony tym swoim malutkim wnukiem, który ciało miał jędrne, uda tłuste i silne, malutką pierś szeroką, a ramionka kwadratowe.

– To nie jest zwykłe dziecko – powiedział do syna. – Spójrz na jego twarzyczkę, jaka jest kształtna. A i usteczka ma niczego sobie.

Mówiąc to, Ling Tan zauważył, że syn z wielką dumą patrzy na Nefryt, a ona odpowiada mu podobnym spojrzeniem. I widząc to, odczuł ogromne zadowolenie.

– Cóż mogą nam zrobić wrogowie, skoro nasza rodzina jest taka? – zawołał.

Ten chłopczyk, ten przedstawiciel kolejnego pokolenia rodziny, natchnął ich wszystkich potężną otuchą, a dom dzięki niemu ożył.

Ruszyli się w końcu. Ling Sao wstała z dzieckiem na biodrze – ach, jak rozkosznie było czuć je w tym miejscu! – a Nefryt zaczęła jej pomagać. Podgrzała jedzenie, a Ling Tan usiadł i zapalił fajkę. Po czym kazał także usiąść synowi i opowiedzieć, co się z nimi działo od czasu rozstania. I tak, przy jedzeniu i herbacie, rozmawiali. Przy czym kobiety – cicha, roześmiana Ling Sao z dzieckiem i Nefryt – siedziały z mężczyznami. I płynęły opowieści o tym, co jednym i drugim przytrafiło się od chwili, gdy się ostatnio widzieli.

Ich radość – aczkolwiek tylko na moment – przyćmiła jednak ciemna chmura. A było to tak. Ling Sao, jak zwykle przy karmieniu dzieci i wnuków, przeżuła trochę ryżu i pochyliła się, by włożyć go do ust dziecka. Ale wtedy Nefryt zaprotestowała.

– Proszę was, matko, nie gniewajcie się na mnie, że to mówię – powiedziała. – Ale nie wkładajcie jedzenia z własnych ust w usta dziecka.

Powiedziała to tonem łagodnym, jednak słowa te padły, a Ling Sao zareagowała na nie zdumieniem. Po pierwsze dlatego, że jej synowa odezwała się w ten sposób do osoby starszej, a po drugie z tego powodu, że w karmieniu dziecka miękkim ryżem nie mogło być przecież nic złego.

– Ale dlaczego? – zapytała z gniewem. – Karmiłam w ten sposób moich synów i nie zaszkodziło im to wcale. Mogę na to przysiąc.

– Jednak teraz, matko – odrzekła Nefryt odważnie – nie uważa się tego sposobu za dobry. Tam w mieście w górze rzeki kupiłam pewną książeczkę, w której piszą, jak należy

zajmować się dziećmi. I są przeciwko takiemu karmieniu.

– Czy zatem uważasz, że należy się mnie brzydzić? – zapytała Ling Sao, jeszcze bardziej rozgniewana.

– Nie, matko – zaprzeczyła Nefryt. – Ale nie robię tego nawet ja. I proszę was, zajmujmy się maleństwem najlepiej jak potrafimy.

Ling Sao milczała. Milczeli też mężczyźni, bo to był spór między kobietami.

– No to lepiej już weź sobie to swoje dziecko – rzekła w końcu Ling Sao do Nefryt. – Bo ja z pewnością, trzymając je przy sobie, splugawię je bez reszty!

– Och, matko! – zawołała błagalnie Nefryt. – Przecież ja tutaj, do domu, przyniosłam mego synka dla was!

– Ostudź swój gniew – zwrócił się nagle Ling Tan do żony. – Bo czyż tej radosnej nocy mamy się kłócić o dziecko, które jest oczkiem w głowie każdego z nas bez wyjątku?

Ling Sao okazała posłuszeństwo mężowi i powściągnęła gniew. Nie zapomniała jednak słów synowej i od tej pory nigdy już dziecka w ten sposób nie karmiła. A teraz, gdy pozostali wciąż rozmawiali, siedziała w milczeniu, myśląc o księżce, o której wspomniała Nefryt.

Czy dzieci trzeba teraz chować i karmić według ksiązek? – zastanowiła się w pewnej chwili z pogardą. – Czyja kiedykolwiek miałam jakąś ksiązkę i czy straciłam choćby jednego syna?

Zachowała jednak te myśli dla siebie i nie pomniejszyły one bynajmniej jej miłości do niewinnego maleństwa. Po chwili zresztą zapomniała o tej sprawie, słuchając opowieści o losach syna i jego żony, a także ich relacji na temat wolnych terytoriów.

Gdy się wreszcie nagadali, świt był już blisko. Ling Tan pokazał teraz synowi i jego żonie jamę wykopaną za piecem.

– To właśnie tutaj musicie się schować, gdy tylko pojawią się wrogowie – przykazał im poważnie. – Nie jesteście bowiem przez nich zarejestrowani i oni nie mają pojęcia o waszym istnieniu.

A potem opowiedział, jak okłamał wrogów, mówiąc im, że są z żoną bezdzietni.

– Cieszę się z tego – odrzekł mu na to syn – bo przechodziliśmy przez wzgórza i wraz z tamtejszymi ludźmi poczyniliśmy pewne plany. Dlatego najlepiej by było, gdyby moje imię nie zostało nigdzie odnotowane.

Ling Tan nie zrozumiał, co syn ma na myśli. Był jednak zbyt zmęczony, by słuchać go dalej. Powiedział więc sobie w duchu: „Zostawię to do jutra. Jutro go o to zapytam”. I poszli wreszcie spać, choć Ling Sao z chęcią przesiedziałyby całą noc ze śpiącym wnukiem w

ramionach.

– Ty także musisz się przespać, staruszek – zwrócił się do żony Ling Tan. – Zresztą ja wcale bym nie odpoczął, gdybyś ty nie spała.

Rozstali się zatem w głębokiej ciemności, jaka zawsze trwa tuż przed świtem. Ling Tan położył się na łóżku – bardzo zmęczony. Było to jednak dobre zmęczenie, bo wszystko, co powiedział mu syn, miało w sobie siłę i budziło nadzieję. Dlatego po raz pierwszy od czasu pojawienia się w kraju wroga Ling Tan zwrócił się jak dawniej ku żonie. Poczł się bowiem teraz czysty dzięki nadziei, która zagościła w jego sercu. Wznówił więc z nią obcowanie, a potem zasnął.

Tymczasem Lao Er i Nefryt leżeli obok siebie w swoim dawnym pokoju, zbyt zmęczeni, by spać. Ich droga powrotna do domu okazała się dwa razy trudniejsza niż ucieczka, bo wtedy zdążali ku wolności, a teraz wracali do tego, co było niewolą. Zdawali też sobie sprawę, że być może nigdy w życiu nie będą już wolni.

– Musimy nauczyć się żyć w takiej wolności, która jest w nas, która jest wolnością wewnętrzną – powiedział Lao Er.

Jednak tej nocy nie miał ochoty na długie rozmowy, nawet z żoną. Na terenach, które wraz z nią przewędrował, widział mnóstwo tragedii, był też świadkiem śmierci wielu ludzi. A trzeba tu powiedzieć, że szli nocami, za dnia natomiast musieli się ukrywać. Postępowali tak przez cały czas, odkąd opuścili wolne terytoria. I wszędzie pomagali im ludzie ze wzgórz, których Lao Er poznał bardzo dobrze i którzy ogromnie żalowali, że się z nim rozstają.

Powiedział im jednak, że musi wrócić do domu, do rodziców, którzy zostali sami. A także obiecał współdziałanie w przyszłości i w miarę możliwości wszelką pomoc. Ale teraz, znalazłszy się już w domu, zorientował się, co wróg uczynił w pobliskim mieście. Wiedział też, że narzucone przez nieprzyjaciół prawa są tu twardsze niż gdziekolwiek indziej.

A więc tym bardziej muszę działać, pomyślał. Tym bardziej muszę rozwinąć spryt i wysilać umysł. Muszę też być gotowy na śmierć, zachowując równocześnie pewność, że nie zginę.

Chwalił w duchu rodziców za to, że wykopali kryjówkę, a zanim zasnął, powiedział do żony:

– Musimy oboje włączyć się do tej pracy i wykopać loch bardzo głęboki. A potem umocnić go stemplami i belkami. Tak, żono, trzeba z tej kryjówki zrobić taką tajną fortecę, w której pomieszcimy się nie tylko my i nie tylko nasze zapasy.

– Uczynię z tej roboty swoje najważniejsze zadanie – obiecała Nefryt.

– Dla mnie to także będzie najważniejsza praca – odrzekł Lao Er. – A potem, kiedy schron będzie już gotowy, skontaktuję się z ludźmi ze wzgórz, by się przekonać, co się da wspólnie zdziałać.

Nefryt zasnęła w końcu z uśpionym dzieckiem przy piersi. Jednak Lao Er nie zmrużył oka. W uszach wciąż brzmiała mu opowieść ojca o zajęciu miasta, o plądrowaniu i pożarach, i o tym, co spotkało kobiety. Krew wrzała w jego żyłach, a potężny gniew sprawił, że poprzysiągł sobie poświęcić resztę życia na walkę z wrogiem. Postanowił też do tej walki wdrożyć własne dzieci. I dopiero wtedy udało mu się zasnąć.

W ciągu jednej nocy nie dało się opowiedzieć wszystkiego. Dlatego na drugi dzień Ling Tan zrelacjonował synowi to, o czym tej pierwszej nocy zapomniał. Lao Er największym gniewem zawrzał na wieść, że Wu Lien przystał do wroga.

– Tacy ludzie są zdrajcami – powiedział. – Więc kiedy zepchniemy naszych nieprzyjaciół do morza, Wu Lien pójdzie z nimi albo też zostanie zabity. Możecie być tego pewni, ojczu.

– Ja nie myślałem o nim jako o zdrajcy – odrzekł Ling Tan po zastanowieniu. – Ludzie tego pokroju co on są bardziej niż inni skłonni do myślenia jedynie o sobie i o własnych zyskach. A wiadomo nam, że Wu Lien to człowiek, który wyczuwa zarobek jak pies zająca. I gna za nim na łeb na szyję.

Lao Er jednak nie chciał uznać takiego usprawiedliwienia.

– Każdy człowiek, który teraz myśli przede wszystkim o sobie, jest zdrajcą – powiedział, a Ling Tan przyjął te słowa w milczeniu.

Pomyślał w duchu – z większą pokorą niż zwykle, bo nie był człowiekiem pokornym z natury – że być może obecnie trzeba słuchać młodych. Ludzie starzy bowiem, tacy jak on, nie wiedzą, co czynić. Co do niego samego, to rozumiał jedynie, że wszelkimi sposobami musi utrzymać się na swojej ziemi.

Dlatego, zamiast rozkazywać synowi, słuchał go w pokorze. A Lao Er powiedział:

– Posłuchajcie, ojczu, naszym pierwszym zadaniem jest skończyć budowę kryjówki. A ponieważ ja, dopóki się nie zorientuję, jakie są dalsze perspektywy, nie powinienem chodzić w pole, zajmę się tą robotą. Zbuduję porządną, mocny schron pod podwórzem, w którym w razie konieczności zamieszkamy sami albo ukryjemy tam innych.

– Innych? Jakich innych? – zapytał Ling Tan zaskoczony.

– Musimy sprzymierzyć się z ludźmi ze wzgórz – rzekł mu na to Lao Er. – I dlatego



czasami udzielenie im schronienia może się okazać konieczne.

Ling Tan nie powiedział na to ani słowa. Jakżeby mógł, skoro dwóch jego synów przebywało teraz na wzgórzach?

A po posiłku wyszedł w pole zupełnie sam. Przyłączyć się do niego miała tylko Ling Sao, ale dopiero wtedy, gdy zdoła oderwać się od dziecka. Lao Er tymczasem zabrał się do kopania. Pracował razem z Nefryt, bo maleństwem zajmowała się na razie Ling Sao. Co do Nefryt, to ta postanowiła się nie przemęczać, żeby nie stracić pokarmu.

– Nogi mam już wystarczająco mocne – powiedziała ze śmiechem – bo nauczyłam się chodzić nawet we śnie. Teraz jednak muszę wyćwiczyć ręce i ramiona.

Przez te długie miesiące poza domem Nefryt stała się silna niczym mężczyzna. Jej szczupłe ciało było teraz twarde jak stal, a rysy twarzy straciły całą swoją miękkość. Można ją było łatwo wziąć za młodego mężczyznę, gdyby nie jej piersi, które, choć drobne, dobrze karmiły maleństwo. Zdawało się, że wszystko, co Nefryt jadła, jej organizm przeznaczał dla dziecka, a nie dla niej samej. Co widząc, Ling Sao cieszyła się niepomernie.

– Szkoda – powiedziała pewnego razu – że ta biedna Orchidea tego nie widzi. Bo chociaż była taka gruba, to każdy posiłek spożywany przez nią służył jej samej, a nie dziecku, które karmiła. Jej duże krągłe piersi, które zdawały się pełne mleka, okazywały się zawsze puste, zbudowane jedynie z tłuszczu.

– Gdyby Orchidea to zobaczyła, matko, znenawidziłaby mnie jeszcze bardziej – stwierdziła ze smutkiem Nefryt. – I złościłaby się pewnie bardzo, widząc, jak karmię dziecko, czytając przy tym książkę!

Wzmianka o książce zaniepokoiła Ling Sao.

– Czy jesteś pewna, że dobrze robisz, czytając podczas karmienia? – zapytała. – Mnie się zdaje, że to niebezpieczne dla kobiety, kiedy równocześnie wykonuje takie dwie przeciwstawne czynności.

Ale Nefryt uśmiechnęła się tylko.

– Popatrzcie na mnie, matko, podczas najbliższego karmienia – zaproponowała.

I Ling Sao popatrzyła. Nefryt czytała, przystawiwszy dziecko do piersi, a mleko płynęło z niej tak obficie, że malec musiał się spieszyć, by zdążyć je przełknąć. Było go tyle, że płynęło także z drugiej piersi. Ling Sao nie powiedziała więc już więcej ani słowa. Widząc, ile synowa ma mleka dla dziecka, wybaczyła jej dosłownie wszystko.

A raniem – jakże piękne było to maleństwo! I jak słodki zapach jego ciała! Ling Sao nie mogła się zabrać do żadnej roboty. Siedziała tylko, trzymając chłopczyka, patrząc na niego, wdychając jego zapach i śmiejąc się do niego radośnie. Oczy miała nieprzytomne z

miłości, nie słyszała nic z tego, co się do niej mówi. Nie dbała wcale o to, czy naczynia są zmyte, a podłogi pozamiatane. Nie obchodziło jej, czy w domu jest cokolwiek na kolejny posiłek.

– Zostaw matkę w spokoju – polecił Ling Tan synowi. – Powiedz też Nefryt, by jej pobłażała. Niech trzyma dziecko tak długo, jak zechce. Bo uzdrowi ją to ze wszystkiego.

Młodzi go usłuchali. Spoglądali tylko od czasu do czasu na babkę swego maleństwa, która odpowiadała im niewidzącym wzrokiem. Mruczała coś przy tym do dziecka, śmiejąc się, że moczy ją tak często. Wynosiła je na podwórze na słońce, wcierała oliwę w jego małe rączki i nóżki. Pewnego dnia krzyknęła nagle głośno, a gdy oni przybiegli do niej zaniepokojeni, zawołała:

– Popatrzcie tylko na jego plecki! Przysięgam, że nigdy nie widziałam, by dziecko, które ma mniej niż roczek, było takie silne i potrafiło samodzielnie siadać! Popatrzcie tylko na te plecki!

I jej oczy napęłniły się łzami.

Rodzice maleństwa roześmiali się tylko i wrócili do swego kopania. I tego jednego dnia zrobili więcej niż ojciec i matka przez tydzień.

Tymczasem Ling Tan, pracując w polu, zastanawiał się, jak długo uda mu się ukrywać syna. Bo przecież sąsiedzi muszą w końcu się zorientować, że Lao Er wrócił. Ling Tan doszedł więc do wniosku, że najlepiej będzie nie trzymać tego w tajemnicy przed ludźmi z wioski, w której mieszkali przecież sami jego krewniacy. Gdy wrócił do domu na południowy posiłek, powiedział o tym synowi. A ponieważ Lao Er zgodził się z nim w zupełności, tego samego wieczoru, po skończonej robocie, poszli obaj do herbaciarni. Gdy się już tam znaleźli i wymienili z obecnymi pozdrowienia, Ling Tan odezwał się w te słowa:

– Mój syn widział wiele rzeczy, o których może wam opowiedzieć, jeżeli takie będzie wasze życzenie. Nie zamierza on chwalić się swymi zasługami i warto go wysłuchać, bo jego słowa natchną was otuchą.

Usłyszawszy to, zebrani wyrazili aplauz, uderzając dłońmi w stoły. Zatem Lao Er podniósł się z miejsca i swoim czystym, spokojnym głosem, bez krzty zarozumiałości czy patosu, opowiedział swym krewnym o tym, jak udał się na zachód do miasta położonego o tysiące mil stąd, a także o tym, że gdy dotarł do niego list od ojca, postanowił wrócić. Powiadomił ich także, że ludzie wszędzie są jednomyślni co do tego, że wrogowi należy stawić opór – otwarcie na wolnych terytoriach i skrycie na tych terenach, które zostały zajęte.

– Są tylko dwa rodzaje ludzi, którzy sądzą inaczej – powiedział. – Po pierwsze to tacy,

co myślą przede wszystkim o własnym zysku, a po drugie ci słabi i niemoralni, których można kupić za opium czy inne narkotyki i którzy są tak czy inaczej zerami i stanowią dla nas zagrożenie, gdyż mogą z łatwością zostać szpiegami wroga. Ci wszyscy ludzie to zdrajcy.

– Dobrze mówi! – zakrzyknęli zebrani i popatrzyli po sobie.

Kiwali przy tym głowami na znak, że Lao Er ma rację, a on spoglądał na ich tak dobrze mu znane, brązowe ciemne twarze, i serce w nim rosło.

– Posłuchajcie, wujowie i kuzyni – mówił dalej – musimy połączyć się z tymi, którzy żyją na wolnych terytoriach i walczą z wrogiem. A jak mamy to zrobić? Otóż współdziałając z dziewięcioma tysiącami ludzi ze wzgórz.

Wiedział dobrze, że mówiąc to, prosi tym samym swoich ziomków, by byli gotowi na śmierć. Bo gdyby wrogowie dowiedzieli się o jakichkolwiek związkach wieśniaków z ludźmi ze wzgórz, ich gniew nie miałby granic i spaliliby wioskę.

Jednak wszyscy znajdujący się w herbaciarni, jeden po drugim, podnieśli kciuk i palec wskazujący na znak zgody. Zawahał się tylko uczony kuzyn, ale i on, zawstydzony, także zrobił to po chwili. Nikt go nie winił za jego wątpliwości. Wiedzieli bowiem wszyscy, że wykształcenie osłabia człowieka. Zdawali sobie sprawę, że człowiek uczony nie może być tak odważny jak ten, co nie posiadał znajomości liter. Lao Er zaczekał, aż podniosą się wszystkie ręce, po czym popatrzył po zebranych.

– Co to oznacza? – powiedział. – A to mianowicie, że musimy chować zebrany z pól ryż i pszenicę, a wrogowi, ratując swoje życie, oddawać jak najmniej z naszych plonów. Ze tam gdzie były uprawy bawełny, bawełna nie będzie już rosnać. Że przy każdej nadarzającej się okazji nasi wrogowie mają ginąć od niewidocznej broni.

Zebrani wysłuchali tych słów w głuchej ciszy.

– Ale my broni nie mamy – ozwał się po chwili jakiś głos.

– Ja wiem, skąd ją wziąć – odrzekł na to Lao Er. – I obiecuję, że każdy mężczyzna w wiosce będzie ją posiadał.

Z płuc obecnych, niczym powiew radości, wyrwało się potężne westchnienie. Nastąpiła między nimi cicha wymiana zdań, a potem jeden z nich powiedział głośno:

– Pomyśleć tylko, do czego będziemy zdolni, mając prawdziwy oręż w ręku! Dotychczas bowiem broniliśmy swego gołymi rękami albo mając do dyspozycji jedynie widły i stare pałasze. A wróg posiada przecież broń, o jakiej nam się nawet nie śniło.

Ling Tan, patrząc na syna, czuł, że rozpiera go duma. Bardzo mądrze zrobiłem, pomyślał, skłaniając go do powrotu.

Gdy znaleźli się w domu, powiedział to Lao Erowi, a potem dodał jeszcze:

– Żałuję, że w ogóle odchodziłeś z domu.

– Ależ nie macie racji, ojczyzna – zaprotestował Lao Er. – Boja cieszę się bardzo z tego, że zobaczyłem wolne terytoria i poznałem tamtejszych ludzi. Wiem bowiem dzięki temu, jacy oni są. I jestem pewien, że gdy będziemy wytrwali, to wspólnymi siłami wpędzimy naszych wrogów do morza. Wiem, jak wygląda walka na wolnych terytoriach. Zdaję sobie jednak sprawę, że my tutaj musimy ją prowadzić inaczej. Oni tam mogą walczyć jawnie i otwarcie. A my musimy to czynić potajemnie i skrycie. I dlatego ta nasza wojna jest znacznie trudniejsza. Żyjemy bowiem wśród wrogów i nie mamy dokąd odejść.

Wieśniacy czekali teraz na moment, w którym Lao Er dostarczy im broń. A moment ten miał nadejść, gdy on skończy budować kryjówkę pod podwórzem. Lao Er kopał więc dalej, jednak już nie sam.. Wiedząc bowiem, jak lojalni są względem siebie wieśniacy, dostrzegając, że tworzą jeden wspólny klan, wybrał kilku z nich, powiedział im o kryjówce i poprosił, żeby pracowali z nim razem. I tak się stało. Lao Er od tej chwili współdziałał z trzema innymi silnymi mężczyznami. Wspólnie wydobywali glinę i mocowali stemple oraz belki, a także framugi drzwiowe. Zrobili też drugie, sekretne wejście. Lao Er pogłębił znacznie jamę, bo na wolnych terytoriach widywał nieraz schrony, w których ludzie kryli się przed latającymi statkami. Kazał więc kopać jak najgłębiej, modląc się tylko o to, by nie dokopać się do podziemnej rzeki. Miał jednak szczęście, bo natknął się jedynie na niewielkie źródło, a wodę odprowadził do studni bambusową rurą.

W czasie tych prac natrafiali nieraz na dziwne rzeczy. Znaleźli na przykład kilka starych mis, kilka dzbanów wypełnionych czymś, co zdążyło obrócić się w proch, rozpadający się szkielet dawno zmarłego dziecka i kilka kości z nogi mężczyzny. A gdy loch był już bardzo głęboki, natknęli się na małą mosiężną, pozieleniałą ze starości skrzynkę, w której znajdowało się kilka wysadzanych drogimi kamieniami szpil i para ciężkich złotych kolczyków.

– Te rzeczy należały do naszych przodków – powiedział z głębokim szacunkiem Ling Tan. – A my nie jesteśmy godni ich dotykać.

Ponownie ukrył je w ziemi, zostawiając w ścianie podziemnego pomieszczenia.

Po ukończeniu prac schron był znacznie mocniejszy, głębszy i większy niż kryjówka, jaką pierwotnie planował Ling Tan. Sufit miał belkowany, dzięki czemu nie opadała z niego ziemia, a belki wspierały się na kolumnach z cegieł pochodzących ze ścian tkalni. Gdyż trzeba tu powiedzieć, że dom Ling Tana zbudowany był nie z gliny, a właśnie z cegieł. Kiedy ich zabrakło w tkalni, inni wieśniacy rozbierali wewnętrzne ściany swoich domów i nocą

przynosili budulec do domu Ling Tana. I tak w niespełna trzy miesiące od powrotu Lao Era sekretne podziemne pomieszczenie zostało ukończone.

I Lao Er powiedział:

– Mamy teraz miejsce, w którym możemy ukryć naszą broń.

A na drugi dzień, z zapasem jedzenia i dwiema parami dodatkowych sandałów przyczepionymi do pasa, wyszedł z domu przed świtem i ruszył w stronę wzgórz.

# XI

Tego roku, gdy zbliżała się pora żniw, a zboże stało na polach żółte i gotowe do zbiorów, wróg nasłał na wioskę swoich ludzi, którzy sprawdzali, na jaki zanosi się urodzaj, i nakazywali wieśniakom sprzedawać swój ryż po z góry ustalonej cenie, tak niskiej, że prawie nie pokrywała kosztów uprawy. Mimo to Ling Tan i inni wieśniacy przyjęli zarządzenie w milczeniu. Nauczyli się postępować w ten sposób, gdyż okazanie gniewu mogło ich kosztować życie. Jednak ich nienawiść do tych krzywonogich kreatur wzrosła niepomiernie. Bo trzeba powiedzieć, że rolnik jest człowiekiem, który zniesie bardzo wiele, dopóki w grę nie wchodzi jego ziemia i plony. Plony bowiem są jego życiem, a gdy mu się je odbierze, rolnik zostaje z pustymi rękami.

Ling Tan i pozostali wieśniacy wysłuchali swych wrogów z opuszczonymi głowami. A gdy ci opuścili wioskę, spotkali się i zaczęli radzić, jak ukryć ziarno. Zebrali je z pól równocześnie i tak szybko, że nieprzyjaciel nie był w stanie ich wszystkich skontrolować. A potem potajemnie, nocą, przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach, żeby nie było widać nikłego światła, przy którym pracowali, urządzili młóckę i ukryli ziarno. Byli we wsi tacy, którzy podobnie jak Ling Tan wykopali podziemne schowki. A znowu inni mieli krewnych żyjących na wzgórzach, którzy nocą przynosili ziarno do siebie. Niejeden z nich przy tym padał ofiarą rabusiów i bandytów, którzy nawet w tych strasznych wojennych czasach grasowali po okolicy, grabiąc swoich ziomków.

Za dnia Ling Tan i inni wieśniacy młócili to, czego nie ukryli i co przeznaczili dla wroga. Robili to oczywiście całkiem jawnie, na klepiskach, a ich wrogowie dziwili się bardzo, że tak dorodne zboże dało tak mało ziarna i że plony okazały się o połowę niższe niż w roku poprzednim. Wieśniacy odpowiadali na to, że tak to czasem bywa, i zdarza się, że źdźbła są grube i mocne, a kłosa mizerne. Cóż możemy poradzić na to, że tego roku tak zdecydowały Niebiosa? – powiadali.

A wrogowie? Co mogli w tej sytuacji zrobić? Gdyby pozabijali okłamujących ich wieśniaków, kto uprawiałby ziemię w kolejnym roku? Nie mieli więc wyjścia – musieli po prostu wziąć to, co dla nich pozostało. Była jednak rzecz, na myśl o której Ling Tanowi przewracała się wątroba. Otóż ich wrogowie nie tylko zabierali ryż, płacąc za niego z góry

ustaloną cenę, ale także odsprzedawali jego część dalej po cenie już zmienionej – trzy- lub czterokrotnie wyższej niż ta, którą zapłacili wieśniakom, ograbiając w ten sposób kraj i kolejnych ludzi.

W tym roku zaczęto też egzekwować prawo dotyczące ryb. Przepisy obowiązujące na terenie całego kraju stanowiły, że wolno je spożywać tylko wrogom. Ling Tan nie łowił już więc ryb za dnia, lecz jedynie nocą, posługując się niewielką prostokątną siecią. A po ich zjedzeniu musieli wszystkie ości, łuski, płetwy i inne odpadki zakopywać w ziemi. Podobnie jak inni wieśniacy, jadali ryby tylko nocą i za zaryglowanymi drzwiami. Trzeba było jednak zachować pozory. Dlatego co jakiś czas któryś z wieśniaków szedł do miasta, by oddać trochę ryb wrogowi. Zdarzało się też, że wrogowie zjawiali się w wiosce i rozkazywali wieśniakom łowić ryby, co ci, nie chcąc narażać swego życia, posłusznie czynili.

Kaczki i drób wszelkiego rodzaju, a także świnie i krowy wróg wykupił od wieśniaków po cenach z góry przez siebie ustalonych. Mięso stało się wskutek tego taką rzadkością, że ludzie nawet o nim nie marzyli. Ling Tan natomiast cieszył się bardzo, że zawczasu pozabijał swoje zwierzęta, a bawołu doprowadził do stanu takiego wychudzenia, że wrogom nie przyszło nawet do głowy żądać, żeby go zabił.

Wkrótce po tym, jak Lao Er udał się na wzgórza, w domu Ling Tana zjawili się wrogowie, by zażądać świń oraz drobiu, które niegdyś spisali. Tego ranka Ling Tan zauważył, że nadchodzą. Był już jednak tak przyzwyczajony do widoku zbliżających się krzywonogich ludzi, że nie zwracał na nich uwagi. Zajmował się pracą, dopóki nie zobaczył przed sobą ich stóp. A stopy wrogów były charakterystyczne, gdyż każda miała odstający duży palec.

Ling Tan zrobił głupią minę, jego oczy przybrały wyraz tępoty, a usta się otworzyły. Wstał powoli, wbijając wzrok w przybyszów. A wtedy jeden z nich wrzasnął:

– Zarejestrowaliśmy tutaj dwie świnie, a także kilka kaczek i kur. Więc musicie je nam teraz sprzedać.

– Świnie! – powtórzył z głupią miną Ling Tan. – Ależ panie, ja nie mam żadnych świń.

– Macie! – wrzasnął mały człowieczek. – Tu jest zapisane, że trzymacie dwie świnie!

– Moje świnie zdechły – powiedział Ling Tan.

– Jeżeli je zabiłeś, sam także stracisz życie – oznajmił twardo mały człowieczek.

– Zabiła je choroba – odrzekł Ling Tan. – A ja nie miałem odwagi przynieść wam ich ścierv. Bałem się, że oskarżycie mnie o to, że je zaszlachtowałem.

– Gdzie są kości?

– Pogryzł je pies, a my je potem połamaliśmy i utłukliśmy na mączkę, której użyliśmy jako nawozu – brzmiała odpowiedź.

Trzeba tu powiedzieć, że aż do chwili gdy tkalnia została rozebrana, Ling Tan trzymał tam jedenaście prosiaków. Zabił dziewięć z nich i Ling Sao nasoliła mięso. Zostawił przy życiu tylko dwa i hodował dalej. Jednak nie w wiosce, tylko daleko poza nią, gdzie przywiązał je do palików, żeby nie uciekły. Jeżeli wrogowie znajdą te prosięta, to trudno, stracę je, myślał sobie.

Wrogowie, nie dostawszy świń, rozżościli się bardzo. Cóż jednak mogli zrobić? Gdyby zabrali z domu Ling Tana, kto uprawiałby jego ziemię? Nie mieli wyjścia – zagrozili mu tylko, że jeżeli okaże się, że kłamie, to spotka go sroga kara. A Ling Tan słuchał ich tak, jakby nie rozumiał zgoła nic z tego, co mówią. Poszli więc sobie, utyskując na głupi tutejszy naród, który im, zwycięzcom, tak bardzo uprzykrza życie.

Gdy już się oddalili, Ling Tan usiadł. I uśmiechnął się pod swoim szerokim bambusowym kapeluszem, bo miał satysfakcję, że choć w drobnej sprawie, to jednak udało mu się zalać wrogowi sadła za skórę. Podobnie postępowali wszyscy inni wieśniacy, każdy w miarę swych możliwości. Żaden jednak nie wykazywał się przy tym takim sprytem jak Ling Tan.

Jednak daleki kuzyn Ling Tana, wioskowy rzeźnik z dziada pradziada, nie widział już w tych warunkach żadnego sensu życia. Zgryzota spowodowana utratą zajęcia wypełniła mu brzuch, a rozpacz ciążyła mu tak bardzo, że nie mogła wyjść z niego ani górą, ani dołem. Wskutek czego człowiek ten nie był w stanie nic jeść. Ciągnęło się to aż do dnia, kiedy to jego sąsiedzi zauważyli, że choć jest już południe, sklep rzeźnika wciąż pozostaje zamknięty. Wiedzieli przy tym dobrze, że jego żona uciekła, a dwaj synowie skryli się na wzgórzach, i że jest on zupełnie sam. Zawołali więc Ling Tana, który przyszedł i otworzył sklep. I co tam znalazł? Ano w pustym sklepie znalazł swego kuzyna powieszzonego na własnym pasie zaczepionym o żelazny hak na mięso. Rzeźnik przed śmiercią wysprzątał pomieszczenie, umył się i włożył świeżo uprany niebieski kaftan oraz spodnie. I teraz wisiał na haku – on, człowiek porządny i przyzwoity. Wisiał całkiem martwy.

– Jego także doprowadziły do śmierci te diabły – stwierdził Ling Tan z rozpaczą, po czym zdjął kuzyna z haka, a gdy nadeszła noc, pogrzebał jak należy.

Żona rzeźnika nie odważyła się pokazać w wiosce nawet podczas pogrzebu. Zjawili się natomiast jego synowie, korzystając z tego, że pochówek odbywał się nocą.

Całe życie w domu Ling Tana uzależnione było teraz od tego, czy na drodze pokażą się mali krzywonodzy ludzie. „Te diabły” – jak nazywali ich wszyscy. Ling Sao, krzątając się



po domu, ustawicznie spoglądała przez drzwi albo okna na drogę. Siedząc z wrzecionem przed domem, była tak samo czujna. A gdy nieprzyjaciele pojawili się w wiosce, zawiadamiała o tym natychmiast Nefryt, która, chwyciwszy dziecko, biegła czym prędzej za piec i schodziła po drabinie do kryjówki. Ling Sao zasłaniała wtedy otwór, a jego drewnianą pokrywę maskowała dokładnie ziemią i słomą. I dopiero po jakimś czasie, gdy wrogowie już się oddalili, młoda kobieta wychodziła na górę i zabierała się ponownie do pracy. Nigdy jednak nie przekraczała bramy, a Ling Sao nigdy za dnia nie wynosiła dziecka poza obejście. Mimo to wieść o nim przedostała się na zewnątrz, a wtedy wiejskie kobiety jedna po drugiej zaczęły ich odwiedzać, by zobaczyć i wychwalać małego. Uczyniła to także żona uczonego kuzyna, jednak powściągliwie, bo zazdrość nie pozwoliła jej zbyt zachwycać się dzieckiem. Chłopiec był przecież niezwykle, a ona na jego widok poczuła takie ściskanie w żołądku, że przez parę kolejnych dni i nocy nie jadła i nie spała. Sprawę pogorszył jeszcze fakt, że jej wzrok padł na niego po raz pierwszy w chwili, gdy Nefryt go karmiła. Widok młodej matki o piersiach pełnych mleka i zachłannego na pokarm ślicznego chłopczyka sprawił, że krew w żyłach żony uczonego kuzyna zamieniła się w żółć. Kobieta nie mogła wydobyć głosu, a wypowiedzenie kilku grzecznych słów przyszło jej z wielkim trudem. Zaraz też dodała następne, które brzmiały złowieszczo:

– Mieć takie piękne dziecko to zły znak. Takie dzieci zawsze umierają wcześniej. Mój syn w tym wieku wyglądał dokładnie tak jak ten wasz mały.

– Ależ kuzynko – wybuchnęła na to Ling Sao – jak możesz tak mówić? Byłam przecież przy tobie, gdy rodziłaś. Twój syn przyszedł na świat taki mały i zielony, że przysięgam, myślałam, że nie przeżyje. Nie odważyłam się go umyć, zawięłam go tylko w stare spodnie twojego męża i zostawiłam tobie, żebyś później umyła go sama. I czy już nie pamiętasz, że twój syn, zanim skończył trzy lata, miał straszną biegunkę, po której wyglądał jak zagłodzone kocię? Dopóki nie dożył lat dziesięciu czy jedenastu, nie byłam w stanie, patrząc na niego, oddychać swobodnie.

– Sądzę – odrzekła kuzynka ze złością – że własne dziecko pamiętam lepiej od ciebie. Ty zresztą zawsze lubiłaś pomagać przy porodach. I pomagałaś przy tak wielu, że moje dziecko pomyliło ci się z jakimś innym! – I zwróciła się znowu do Nefryt: – Powtarzam ci, że moje dziecko było dokładnie takie jak to tutaj. A mój syn mógł być ojcem twojego syna. A raczej powinien nim być. I byłby, gdyby liczono się tu z wolą bogów. Ponieśliśmy straszną karę za to, że ją zlekceważono, bo gdyby to on cię poślubił, to żyłby do dzisiaj i ojcował twojemu dziecku.

Słowa te bardzo rozgniewały Nefryt. Młoda kobieta zasłoniła piersi.

– Jestem zadowolona ze swojego życia – rzekła z dumą – choć boleję nad tym, że wy straciliście syna.

Kuzynka wreszcie sobie poszła, ale gniew, jaki Ling Sao i Nefryt czuły do niej, wcale im nie przeszedł. Kochały obie maleństwo, a niechęć do kuzynki wzmocniła więź między nimi. Postanowiły wspólnie, że nigdy nie pozwolą, żeby ta wzięła chłopczyka w ramiona, bo przecież mógłby go z łatwością zatruć jad jej oddechu.

Tymczasem żona uczonego kuzyna wróciła do domu, przeklinając swojego męża za to, że ich syn nie poślubił Nefryt i że tamten chłopczyk nie jest ich wnukiem. Przeklinała go także i za to, że ich syn nie żyje, że nie mają więcej dzieci i że po śmierci czeka ich śmierć prawdziwa, bo nie zostawią potomka. Była tak zrozpaczona i wprawiła się w taką wściekłość, że doprowadziła biedaka niemal do szalu. Uczony kuzyn z tego rozdrażnienia wyszedł na zewnątrz i zaczął bić głową w ścianę domu. Na jego szczęście zauważył to Ling Tan i pospieszył mu zaraz na ratunek. Gdy się dowiedział, o co chodzi, roześmiał się śmiechem mężczyzny, który we własnym domu nie zna kłopotów z kobietami. A potem zaprowadził kuzyna do herbaciarni, gdzie ten opowiedział mu o swojej zgryzocie. Kiedy już się nieco uspokoił, wypił herbatę i zjadł trochę smażonych ryżowych ciasteczek. A Ling Tan poradził mu, żeby swojej żonie, gdy znowu wpadnie w taką furję, zagroził, że weźmie sobie konkubinę.

– Ale czy ja mogę to zrobić? – jęknął żałośnie uczony kuzyn. – Od miesięcy przecież nie sprawdziłem się w swojej męskości.

Słyszając to, Ling Tan nie na żarty zdenerwował się na jego żonę.

– Czy to możliwe, kuzynie, że ona ci wszystkiego odmawia? – zapytał.

– Ja pragnę tylko spokoju – wymamrotał biedak w swoją rzadką bródkę.

– Ale spokój nie przychodzi z samego pragnienia – odrzekł Ling Tan. – O spokój trzeba się starać. Trzeba o niego walczyć, a czasami zaprowadzić go na siłę. I dotyczy to zarówno rodzinnego domu, jak i państwa.

Stary kuzyn westchnął na to tylko i popatrzył na Ling Tana z pokorą.

– Jestem człowiekiem uczonym – powiedział – więc jak mógłbym okazać siłę równą sile kobiety, która jest najsilniejszą istotą na ziemi? Nasz ojciec Konfucjusz miał rację, mówiąc, że prawo nie powinno pozwalać kobiecie na działanie zgodne z jej wolą. I powiadam ci, kuzynie, powinniśmy się cieszyć, że nasi wrogowie są mężczyznami. Bo gdy zwyciężają kobiety, z mężczyznami następuje prawdziwy koniec.

Ling Tan z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Bez wątpienia masz rację, kuzynie – powiedział. – Przysięgam jednak, że na twoim miejscu zbiłbym po prostu żonę tak, żeby chroniąc się przed upadkiem, musiała oprzeć się o ścianę.

– Tak byś postąpił? – zapytał cicho kuzyn. – Och, gdyby to było możliwe!

– Nie, nie – odrzekł Ling Tan ze śmiechem. – Nie licz na to, że zrobię to za ciebie! Są dwie rzeczy, które mężczyzna musi zrobić sam. Sam musi spać z własną kobietą i sam zbić ją w razie konieczności.

Powiedziawszy to, wstał, a tamten poszedł za jego przykładem. A potem, odprowadzając kuzyna wzrokiem, pokręcił tylko głową, bo wiedział, że jego słowa bynajmniej nie dodały temu uczonemu człowiekowi siły.

W ten oto sposób upływały jesienne dni. Powoli pola należące do Ling Tana zrobiły się nagie. Nie było już na nich zboża, ale Ling Tan zgromadził dość ziarna, by wyżywić rodzinę. Zaczynał się już zastanawiać, czy drugiemu synowi nie przytrafiło się coś złego, kiedy pewnej nocy usłyszał znajome stukanie do drzwi. Ten, kto stał za progiem, robił to tak, jak ustalili z synem. Ling Tan wstał więc, zostawiwszy śpiącą żonę, podszedł do drzwi i uchylił je z lekka – gotów natychmiast je zamknąć, w razie gdyby się mylił. Jednak do jego uszu dobiegł szept drugiego syna:

– To ja, mój ojciec.

Wpuścił go do domu – jednak nie samego, bo towarzyszyło mu dwóch innych ludzi. Gdy jeden po drugim odezwali się w ciemności, Ling Tan rozpoznał głosy pozostałych synów.

– Och, dobre są Niebiosa i ziemia – wyszeptał i wprowadził ich do pozbawionej okien kuchni.

A tutaj zapalił lampę i w jej świetle zobaczył – całych i zdrowych – wszystkich swoich synów. Spojrzawszy na trzeciego, zorientował się w jednej chwili, że ten nie został rabusiem.

– Czyż ja jako mężczyzna mógłbym pragnąć czegoś więcej niż widoku waszej trójki? – powiedział.

Bo rzeczywiście na ich widok dumę odczuwałby każdy ojciec. Miesiące spędzone na wzgórzach zmieniły nie do poznania najstarszego i najmłodszego. Żaden z nich nigdy dotąd nie wydawał się tak silny ani też nie był tak ogorzwały od słońca. I nigdy wzrok żadnego nie

był tak nieustraszony. Na tym właśnie polegała największa zmiana, jaka w nich zaszła. Ci dwaj młodzi ludzie, którzy opuszczali dom smutni i osłabieni rozpaczą, teraz niczego się nie bali, a i o rozpaczę zdążyli do reszty zapomnieć.

– Przystaleś do tych dobrych ludzi ze wzgórz – zwrócił się Ling Tan do trzeciego syna.

– Jestem po prostu z tymi, co prowadzą wojnę z diabłami – odrzekł mu na to Lao San, a po chwili dodał: – Powiedzcie matce, że jestem głodny i że zanim odejdę, chciałbym posilić się jej smaczną strawą.

– Ale czy rzeczywiście jest konieczne, byście tak zaraz odeszli? – zapytał Ling Tan.

– Tak, ojczu, bo przed świtem musimy znaleźć się z powrotem u podnóża gór – odrzekł najstarszy.

– A co jeżeli my was ukryjemy? – pytał dalej Ling Tan.

– Tym razem nie możemy zostać – odrzekł znowu najstarszy.

I wyglądało na to, że nie chce powiedzieć więcej. Zatem ojciec zaprowadził ich do podziemnej kryjówki, gdzie każdy z nich zdjął z pleców swoje ciężkie brzemię, które po rozpakowaniu okazało się bronią. Każdy z synów Ling Tana przydźwigał bowiem na plecach dwanaście karabinów. Była to broń, jakiej ich ojciec nie znał – zagraniczna, krótka i mocna. Ling Tan wziął do ręki jedną sztukę i przyjrzał się jej.

– Skąd macie te karabiny? – zapytał.

– Odbieramy je nieprzyjacielskim żołnierzom – roześmiał się najstarszy syn.

Ling Tan podziwiał broń przez dłuższą chwilę, jednak przypomniał sobie, że najmłodszy syn jest głodny. Odłożył więc karabin i poszedł obudzić Ling Sao, która natychmiast wstała i po kilku minutach buzował już ogień. Lao Er obudził Nefryt, która przyniosła dziecko. Zgromadzili się wszyscy w podziemnej kryjówce i jedli przygotowane przez Ling Sao kluski z soloną wieprzowiną. W kryjówce bowiem stały i ławy, i stół. Nie bali się też zapalać tam światła. Siedząc przy stole, opowiadali sobie wszystko, a Ling Sao wprost nie mogła napatrzeć się na synów. Ling Tan zabronił jej mówić o rzeczach smutnych i złych, które się im przytrafiły. Jednak Ling Sao była przede wszystkim matką. Nie mogła się powstrzymać i na odchodnym szepnęła najstarszemu synowi:

– Synu, czy znalazłeś już kogoś, kto będzie matką twoich kolejnych dzieci?

Lao Tan uśmiechnął się na to, ale nie pokręcił przecząco głową.

– Czy to jest czas, matko, by godziło się myśleć o takich rzeczach? – zapytał.

– Na myślenie o kolejnych dzieciach czas jest zawsze dobry – odrzekła mu na to stanowczo. – Bo kto podejmie po tobie twoją pracę, jeżeli nie będziesz miał synów?

– No cóż, matko, może macie rację. Muszę się rozejrzeć i sprawdzić, czy da się kogoś znaleźć – brzmiała odpowiedź.

– Co by się z nami stało, gdyby kobiety nie zmuszały nas do płodzenia dzieci? – rzucił ze śmiechem Ling Tan.

– Co by się z wami stało, gdyby nie było kobiet? – zawołała ośmielona jego słowami Ling Sao. – Bez nich żaden z was by się nie urodził!

– Żaden mężczyzna nie może temu zaprzeczyć, moja staruszko – zgodził się z nią Ling Tan.

– Oświadczam ci, mój mały synku – zwróciła się Ling Sao do Lao Sana – że nie spocznię, dopóki i ty się nie ożenisz. Bo chcę, żebyście wszyscy przed moją śmiercią podarowali mi małych wnuków.

– Ty nigdy nie spocznesz, staruszko – zawołał Ling Tan.

A potem, pośród śmiechu, dwaj synowie wyszli z kryjówki i udali się na wzgórza. Ling Tan zamknął za nimi wrota, zaparł je mocno belką i wrócił do żony, wielce zadowolony ze spotkania z synami.

Trzeba tu powiedzieć, że przez długie tygodnie i miesiące nie mieli żadnych wieści od starszej córki i Wu Liena. Ale pewnego dnia, około południa, zaraz po posiłku, gdy Ling Sao zabierała się do zmywania misek i pałeczek, przy bramie dał się słyszeć jakiś hałas. W takich wypadkach Nefryt z dzieckiem, a także Lao Er, jeżeli był właśnie w domu, schodzili zawsze do schronu. Tym razem także zamierzali to zrobić. Ale Ling Sao rozpoznała głos najstarszej córki.

– Zaczekajcie! – zawołała. – To tylko moja córka, a wasza starsza siostra!

I już miała odsunąć rygiel, gdy Lao Er ją powstrzymał.

– Matko – wyszeptał – nie wolno wam mówić, że tu jesteście. Nic o tym nie mówcie, matko!

Po czym pospieszył do kryjówki, wzięwszy dziecko od żony i każąc jej iść z sobą. Zachowywał się tak, jakby przybysze byli wrogami. A Ling Sao patrzyła na niego jak na kogoś, kto postradał zmysły.

– No cóż, dziwny to dzień, w którym bracia i siostry muszą się przed sobą ukrywać – powiedziała do męża przyglądającego się temu wszystkiemu bez słowa.

– W dzisiejszych czasach każdy dzień jest dziwny – odrzekł Ling Tan spokojnie.

Po czym wstał i podszedł do bramy, bo zza muru dało się słyszeć wołanie starszej córki:

– Czy moi staruszkowie śpią? Przybyłam do was z dziećmi i ich ojcem!

Ling Tan otworzył bramę i zobaczył Wu Liena oraz jego rodzinę. I trzeba tu zaznaczyć, że naprawdę wiele miesięcy upłynęło od czasu, gdy jego oczom ukazywały się tego rodzaju widoki. Ling Tan nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego wzrok przywykł do widoku nieszczęścia, do widoku ludzi przerażonych i głodnych, rannych, uciekających. A teraz miał przed sobą Wu Liena, który był grubszy niż kiedykolwiek przedtem i którego ciało cechowała barwa i gładkość baraniego sadła, a także swoją córkę, też grubszą i oczekującą właśnie kolejnego maleństwa. No i jeszcze dwoje ich dzieci – także upasionych i przyodzianych w czerwone jedwabne kaftany. Wszyscy oni przyjechali riksami. Jednak największym smutkiem napełnił serce Ling Tana widok stojących za nimi dwóch nieprzyjacielskich żołnierzy. Natychmiast też postanowił, że nie wpuści ich na podwórze. Przymknął więc bramę, zostawiając tylko szparkę, przez którą wystawił głowę, i zwrócił się do przybyszów lodowatym tonem:

– Mężu mojej córki, córko i dzieci, witajcie! Nie mogę jednak wpuścić do domu nikogo innego.

Śmiech na ustach Wu Liena zamarł na te słowa.

– Nie musicie się bać, ojczu mojej żony – oznajmił. – Ci dwaj przyjechali tylko po to, by mnie chronić.

– A czy tobie w moim domu potrzebni są strażnicy? – zapytał go Ling Tan.

Choć nie przyznałby się za nic, że się boi, to jednak widok tych dwóch uzbrojonych prostaków sprawiał, że czuł ściskanie w żołądku. Pożałował więc, że zjadł południowy posiłek.

– Niegrzecznie będzie kazać im czekać za bramą – upierał się Wu Lien.

– A kto kiedy słyszał, że wobec strażników obowiązuje grzeczność? – zapytał Ling Tan.

I nie ruszał się z miejsca, zdecydowany nie otwierać bramy. Wu Lien natomiast, przekonawszy się, jaki teść jest uparty, musiał ustąpić. Odwrócił się ku strażnikom i z udawaną wesołością oznajmił im, że teść jest już stary, więc muszą mu wybaczyć to, że się ich boi.

– Ja się ich nie boję – powiedział Ling Tan donośnym głosem. – Ale nie wpuszczę ich do mojego domu.

Wynik tego wszystkiego był taki, że kobiety weszły do środka, a Ling Tan przyniósł dwa stołki i ławę. Po czym ławę podsunął strażnikom, a dla siebie i Wu Liena zostawił stołki,

na których obaj usiedli przed bramą. Ponieważ dzień był ciepły, nie stanowiło to kłopotu dla nikogo. Pozwoliło też wszystkim zachować twarz i godność.

Ling Tanowi nie podobało się to, co zobaczył. Im dłużej patrzył na męża swojej córki, tym wyraźniej wyczuwał zło. Nabił fajkę i palił ją powoli, nie odrywając wzroku od tłustej i okrągłej twarzy Wu Liena.

– Jak to się dzieje, że jesteś taki gruby? – zapytał.

– Moje interesy idą dobrze – odrzekł Wu Lien bardzo skromnie.

– Jak to możliwe, skoro wszystkim innym powodzi się źle? – pytał dalej Ling Tan.

Wu Lien spocił się trochę, wyjął więc jedwabną chusteczkę i wytarł się nią dokładnie, nie pomijając nawet swoich tłustych, gładkich dłoni. Po czym, wciąż z uśmiechem i obserwując bacznie strażników, pochylił się ku teściowi i powiedział ściszym głosem:

– Musicie wiedzieć, że to, co robię, służy temu, by było jak najlepiej.

– Nie mam pojęcia, co robisz – odrzekł głośno Ling Tan.

Wu Lien wytarł się ponownie, roześmiał się, odkaszlnął i powiedział:

– Czasy są, jakie są, a człowiek mądry, nie spiesząc się, nagina się do nich niby żagiel do wiatru. W mieście ma zostać ustanowiony rząd, który będzie się składał nie z wrogów, tylko z naszych ludzi. To znaczy z ludzi takich jak ja, którzy widząc, że chwilowo musimy ulec, są zdania, że lepiej to zrobić na zasadzie kompromisu i podporządkować się własnym rodakom, a nie cudzoziemcom. Tak, ojczcie mojej żony, tak bym to ujął.

– Jestem zwykłym człowiekiem – odrzekł mu na to Ling Tan, wyjmując fajkę z ust. – I tak głupim, że rozumiem ludzkie słowa tylko wtedy, gdy mi się coś wyraźnie powie, a ja to naprawdę usłyszę.

Wpatrywał się przy tym w Wu Liena szeroko otwartymi oczami. Wu Lien dał więc spokój. Uśmiechał się tylko w milczeniu, bo widział, że Ling Tan postanowił go nie zrozumieć.

– Gdzie teraz mieszkacie? – zapytał po chwili Ling Tan.

– W dziesiątym domu przy ulicy Północnej Bramy.

– To ulica, przy której domy są naprawdę piękne – powiedział Ling Tan. – Jak to się stało, że tam mieszkacie?

– Kazano nam tam zamieszkać – odrzekł Wu Lien.

– A twój sklep?

– Jest czynny. Zatrudniam dwóch subiektów, którzy go dla mnie prowadzą.

– Jakimi handlujesz towarami?

– Materiałami i towarami zagranicznymi wszelkiego rodzaju.

- A ty sam co robisz?
- Pracuję dla nowego rządu – odrzekł spokojnie Wu Lien.
- Czy oni ci płacą?
- Jestem dobrze wynagradzany – brzmiała odpowiedź.
- Jesteś zatem zadowolony – rzekł Ling Tan z goryczą.

Wu Lien nie odpowiedział na to wprost. Pochylił się tylko i zaczął mówić łagodnym, błagalnym tonem:

– Ojciec mojej żony, przybyłem tu dzisiaj, by wam pomóc. Naprawdę jest to moje jedyne życzenie. I muszę was ostrzec, nie będzie lepiej. Prawda jest taka, że ci, co mają przyjaciół, mają się lepiej niż ci, którym ich brak. Jeżeli będziecie postępowali tak, jak wam radzę, wasze życie okaże się łatwiejsze.

Ling Tana aż świerzbził język, żeby przerwać Wu Lienowi. A jego dłonie wręcz wrywały się ku miękkiej, bladej twarzy zięcia. Nie był jednak dzieckiem. Potrafił powściągnąć zarówno język, jak i ręce, gdy widział, że mu się to opłaci. Siedział więc z jak najgłupszą miną, palił fajkę i słuchał.

– Co zatem muszę robić? – zapytał.

– To, co wam każą – odrzekł Wu Lien. – A ja w miarę moich możliwości zadziałam tu i ówdzie, tak by to było dla was z korzyścią.

Ling Tan nie wziął jednak tej propozycji pod uwagę.

– A co musisz robić ty, zięciu? – zapytał.

– Pracuję jako kontroler wszystkich sprowadzanych do miasta towarów – oznajmił Wu Lien. – Część mojej pracy polega na pilnowaniu, by ryż i pszenica, opium i ryby, a także sól, zostały przyjęte, a następnie przygotowane do wysłania dalej lub sprzedaży...

– Opium! – zawołał Ling Tan wielkim głosem.

Twarz Wu Liena przybrała ponownie barwę baraniego sadła. Słowo „opium” wypowiedział bez oporu, ponieważ przywykł do obracania tym narkotykiem w ramach swych zwykłych interesów. Opium przywożono z północy i tylko ono spośród wszystkich towarów nie było wysyłane dalej do kraju ludzi znad Wschodniego Oceanu. Nie, opium zatrzymywano na miejscu, a potem rozprowadzano po miastach i wioskach, a wrogowie wszelkimi niecznymi sposobami uczyli ludzi go zażywać. A trzeba też powiedzieć, że było ono tutaj odwiecznym ziem, niegdyś wykorzenionym kosztem wielkiego bólu i cierpienia. Teraz natomiast zostało wprowadzone ponownie. I wielu było takich, co mu ulegało.



Wu Lien odkasznął, zasłaniając sobie usta pulchną białą dłonią.

– Nie jestem swoim własnym panem – powiedział łagodnie.

Ale Ling Tan nie był w stanie już tego dłużej znosić. Splunął na ziemię dwa razy i zaklął.

– *P'ei!* – zawołał do Wu Liena.

Wu Lien jeszcze raz zakaszłał, wciąż przysłaniając usta dłonią, i okropnie poczerwieniał na twarzy. Bardzo pragnął, żeby Ling Tan przestał się w niego wpatrywać, bo jego uporczywe spojrzenie sprawiało, że czuł się bardzo nieswojo. Ale Ling Tan nie odrywał od niego wzroku.

Tymczasem w domu Ling Sao rozmawiała z córką.

– Ale skąd wy bierzecie cały ten ryż i to mięso? – dopytywała się gniewnie.

– Jedzenia mamy mnóstwo – odrzekła niewinnie córka. – Ryż trzymamy w dużych pojemnikach, a mięso nam przywożą. Wołowinę i wieprzowinę, a także ryby, jajka i drób.

– Mnie dochodzą słuchy, że nikt z naszych nie ma mięsa – powiedziała Ling Sao. – Wrogowie przeszukują wioski i nikomu z nas nic nie zostało. Zabierają wszystko, świnie i krowy, a także kury i kaczki. Naszego bawołu mamy jeszcze tylko dlatego, że jest tak bardzo stary i wychudzony. A mimo to wrogowie przyglądają mu się uparcie i twój ojciec twierdzi, że pewnego dnia go zabiorą.

– Gdybym o tym wiedziała, przywozłabym wam trochę mięsa – odrzekła córka. – Następnym razem na pewno to zrobię.

Jednak Ling Sao nie była jej wdzięczna za tę propozycję. Przeciwnie, zamiast podziękii z jej ust padły kwaśne słowa:

– Nie podoba mi się, że ktoś z mojej krwi jest taki tłusty, podczas gdy inni ludzie chodzą wychudzeni. Nie jest dobrze wyglądać tak tłusto w czasach, gdy wszyscy głodują.

– Ale ja jem tylko to, co mi dają – odrzekła córka.

– Kto ci daje? – zapytała Ling Sao.

– Mój mąż.

Ling Sao zapragnęła sprawdzić, czy córka ponosi za tę sytuację jakąś winę.

– Jak to możliwe? – pytała dalej.

Córka zaczęła płakać.

– Wiem, że wy, matko, nie rozumiecie, jaki on jest dobry – szlochała. – Obwiniacie go o to, że na pewien czas podporządkował się obecnej władzy. Zresztą ja mu mówiłam, że tak

będzie. Ale prawda jest taka, że on także nienawidzi wroga. I mówi, że każdy musi stawiać opór na swój własny sposób. Twierdzi też, że wie, jak wytrącić wrogowi broń z ręki i zyskać nad nim przewagę. A także pyta, jaki jest pożytek ze stawiania oporu czemuś, co i tak istnieje. Wrogowie przecież rządzą, a my musimy jakoś żyć pod ich władzą.

– Nie musimy jednak zbytnio tyć przy tej okazji – zauważyła Ling Sao.

– Lepiej, żebyśmy to my byli tłuści, a nie nasi wrogowie – odpowiedziała córka z nagłym gniewem. – Czy szkodzimy wrogowi, gdy odmawiamy sobie jedzenia?

– Odmawiać sobie można wtedy, kiedy ma się co jeść – brzmiały gorzkie słowa matki.

A potem Ling Sao popatrzyła na dwoje tłustych dzieci i ku własnemu zaskoczeniu nie ucieszyła się z tego widoku. Ona, kobieta, która patrząc na dziecko, zawsze chciała je tulić i czuć jego zapach, spojrzała na tych dwoje i nawet nie zapragnęła ich dotknąć. Ich ciała nie są moje, pomyślała. Ponieważ te dzieci jadły cudzoziemską, obcą strawę. Córka jednak nie odgadła jej myśli. Zauważyła tylko, że matka patrzy na jej pociechy. Rzekła więc z dumą:

– Powiedz sama, matko, czyż one nie urosły?

– Rzeczywiście – przyznała Ling Sao. – Urosły.

A potem spojrzała córce prosto w oczy.

– Co one sobie pomyślą pewnego dnia, gdy nasz kraj będzie już wolny, a imię ich ojca znajdzie się na liście zdrajców?

Córka rozplakała się na to, a potem stwierdziła, że niepotrzebnie przyjechała z rodziną w te odwiedziny.

– Odbyliśmy tę drogę kosztem wielkiego wysiłku – szlochała. – I tylko po to, żeby wam pomóc, żeby sprawdzić, czy jesteście bezpieczni. Jakakolwiek jest wasza o nas opinia, my traktujemy was tak jak dawniej. I przekonacie się sami, że pewnego dnia uratujemy wam życie.

Ling Sao wstała.

– Gdybym miała w domu coś, czym w dowód uprzejmości mogłabym ugościć ciebie i twoje dzieci, przygotowałabym to natychmiast – rzekła. – Ale naprawdę nie mam nic takiego. Nam nikt nie daje ryżu ani mięsa w ogromnych ilościach. To, co mamy, wystarcza tylko, byśmy nie umarli z głodu. Dlatego, córko, nie mogę cię przyjąć należycie.

Oznaczało to, że nie powie nic więcej. A jej córka wiedziała o tym bardzo dobrze.

– Jak wy możecie, matko, być tak twarda? – zawołała. – Zostaliście przecież w domu zupełnie sami, wy, dwoje starych ludzi. I nie macie dosłownie nikogo prócz nas!

– Jakoś damy sobie radę – odrzekła z dumą Ling Sao.

A zaraz potem siedzący za bramą Ling Tan zobaczył, że ta się otwiera i że wychodzi przez nią córka z dziećmi. Przy pożegnaniu Ling Sao dała mały pokaz grzeczności. Ling Tan stał przy bramie, dopóki Wu Lien z rodziną nie odjechali. Nie padły żadne słowa o ich ponownej wizycie.

Po odjeździe gości Ling Tan wraz z żoną zaryglowali bramę, po czym Ling Sao zawołała do Lao Era i Nefryt, by wyszli z kryjówki. Lao Er słuchał relacji z wizyty siostry z rodziną z narastającym gniewem. Postanowił udać się do miasta i osobiście sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja. Przekonać się, czy rzeczywiście wszyscy mieszkańcy poddali się wrogom.

Najpierw jednak Nefryt, w przerwach między czytaniem kolejnych książek, obmyśliła dla niego przebranie – strój żebraka. Posługując się czerwoną gliną, zrobiła mu na twarzy sztuczną ranę, która wykrzywiła mu usta. I jako rzekomy ślepy na jedno oko żebrak, Lao Er powędrował do miasta. W obrębie jego murów poruszał się swobodnie, omijając główne ulice. Mówił przy tym mało, a zobaczył bardzo wiele. I to, co zobaczył, zasmuciło go ogromnie. Okazało się, że niemal w każdym sklepie sprzedaje się tu opium. Lao Er starał się nie zwracać uwagi na zrujnowane domy ani na głodnych ludzi, bo tych podczas wojny jest mnóstwo. Mimo to widział to wszystko bardzo wyraźnie. Nie zauważyć tego bowiem w tym mieście, które tak niedawno było piękne, bogate i pełne rozrywek, po prostu się nie dało. Na niegdyś gwarynych ulicach panowała cisza, gdyż tysiące ludzi, którzy dawniej po nich chodzili, straciło życie. Domy, w których mieszkali, stały teraz wypalone i milczące. Sklepy były pozamykane. Wszystkie z wyjątkiem tych, co należały do ludzi pokroju Wu Liena, te bowiem prosperowały doskonale. W miejsce dawnych sklepów niby nowy, trujący porost pojawiły się inne – jakieś nory, pomalowane jaskrawo i ozdobione kolorowymi papierami, jakieś niekryjące się z tym, czym są, burdele. I wszędzie sprzedawano opium. Lao Er zatrzymał się przed jednym z takich przybytków, zachowując się jak ktoś, kto chce tam wejść, lecz zbiera się dopiero na odwagę, a w tej samej chwili dowlóknął się do niego jakiś nieszczęśnik bez prawej nogi, wspierający się na szczudle, żółty i wysuszony na wiór. Lao Er zorientował się bez trudu, że jest tu stałym bywalcem. Zagadnął go więc, udając kogoś, kto jest w tym mieście zupełnie obcy.

– Czy ten sklep sprzedaje... to właśnie? – zapytał, wskazując szyld nad wejściem.

Mężczyzna pokiwał głową, a Lao Er pytał dalej:

– Ale czy powinniśmy wchodzić do środka, jeżeli tym czymś handlują tutaj nasi wrogowie?

Tamten spojrział na niego uważnie.

– A jakie znaczenie ma to, co się przytrafi komuś takiemu jak ja? – odezwał się z goryczą. – Przecież mnie nic nie zwróci tego, co kiedyś miałem. Choćby wróciły najlepsze czasy i zapanowała wolność od rządów wroga, ja nie dostanę z powrotem swojej nogi. Ani też mojej gospody, ani żony i synów! Dlatego nie zależy mi nawet na zwycięstwie. Bo co ja na nim zyskam?

Lao Er, słysząc te słowa, aż jęknął w duchu i pomyślał sobie, że tacy ludzie jak ten kaleka zostali naprawdę pokonani. A gdy zapadła noc, pokuśtykał do domu, gdzie opowiedział rodzinie o wszystkim, co widział w mieście. O pustych targowiskach i o kupcach, którzy twierdzą, że ceny żywności są bardzo wysokie, ponieważ wysyłana jest z kraju. A także o głodujących mieszkańcach miasta, których zamiast strawą wróg karmi opium dającym zapomnienie.

Wzmiankę o opium rodzina Ling Tana przyjęła z wielkim smutkiem. Los własnej matki Ling Tana pokazał bowiem, co może zdziałać ten narkotyk. Ling Tan dobrze wiedział, jak opium zmienia duszę człowieka.

– Nie ma sposobu, byśmy mogli od tego uciec – rozpaczał. – Przed latającymi statkami możemy się jakoś ukryć. Możemy też odbudować spalone domy. Ale co pocniemy, gdy nasz naród straci pamięć? Gdy ludzie zapomną, co im się przydarzyło?

W oczach Ling Tana to właśnie było najgorszym złem, jakie do tej pory wróg wyrządził jego narodowi.

## XII

Trzeba powiedzieć, że wojna prowadzona skrycie to nie to samo, co wojna toczona otwarcie. I że z nich dwóch tę pierwszą prowadzi się trudniej. Nastąpiła zima, czas płynął, a Ling Tan wciąż starał się robić głupią minę, a oczom nadawać wyraz tępoty. Równocześnie jednak jego bystry umysł pracował bezustannie, wyszukując wszelkie mniejsze i większe okazje do zdobycia przewagi nad wrogiem. Kiedy zdarzyło się, że jego synowie i ich towarzysze walki złożyli w kryjówce broń, on przed wężącymi w wiosce nieprzyjaciółmi udawał starego wieśniaka, który nie wie nic zgoła i nic dosłownie nie widzi. A wrogowie weszli, bo wiosną zaczęto w okolicy znajdować zwłoki tyłu żołnierzy, że ich wyższe władze zapalały wielkim gniewem. A trzeba dodać, że zabijano nawet strażników na miejskich murach. I to pomimo że bramy miasta zamykano na noc, i pomimo że każdy taki mur miał osiemdziesiąt stóp wysokości.

A jednak ktoś się na nie wspinał. Najmłodszy syn Ling Tana i inni jemu podobni młodzi ludzie robili to nocą wiele razy. Lao San miał bardzo silne nogi. Potrafił więc wspierać stopy na szczelinach w wielkich starych ceglach i chwycić się winorośli oraz korzeni małych drzewek. W ten sposób, po omacku, wchodził na szczyt, a potem przekradał się w cieniu zwieńczonych blankami krawędzi. A gdy natknął się na któregoś ze strażników, strzelał do niego bez litości. Wywoływało to alarm, lecz on przeczekiwał go, ukryty wśród winorośli, by następnie zejść na dół i niepostrzeżenie się oddalić. I zanim noc zamieniła się w świt, był już na wzgórzach.

Tymczasem wrogowie, przychodząc do wiosek po żywność, zastawali tam nieodmiennie jedynie naiwnych, tępych wieśniaków – sędziwych mężczyzn i stare kobiety. I wszyscy ci ludzie sprawiali wrażenie przerażonych. Jednak potem nagle okazywało się, że mają broń palną, że wyciągają noże i rzucają się na przybyszów. Skutek tego był taki, że nie pozostawał z nich przy życiu nikt. Nikt więc nie mógł poinformować, w której wiosce miał miejsce atak. Z biegiem czasu z takich wypraw nie wracało coraz więcej wrogów. Wieśniacy byli przy tym bardzo rozsądni – nigdy nie napadali na takich nieprzyjaciół, którzy mogli okazać się przeciwnikami zbyt silnymi. W każdej wiosce mieli swego przywódcę i to on dawał im znak do ataku. A gdy to uczynił, oni robili swoje szybko i w milczeniu.

W kryjówce pod podwórzem Ling Tana znajdowała się teraz broń najdziwniejszych

odmian i rodzajów. Były tam karabiny całkiem nowe, błyszczące i z cudzoziemskimi napisami, a także broń tak stara, że aż dziw było patrzeć. Ta ostatnia pochodziła od ludzi ze wzgórz, którzy dawniej bywali bandytami i mieli w swym posiadaniu samopaly przechowywane od pokoleń. Z całego tego zbioru Ling Tan wybrał dla siebie starą strzelbę o drewnianej kolbie w kształcie maczugi, z której wychodziło coś w rodzaju czterech rur przypominających cztery palce ludzkiej dłoni, przy czym u nasady każdej z nich znajdował się otwór, przez który podpalało się proch. Broń ta była tak nieskomplikowana, że jako pocisków do niej Ling Tan mógł używać jakichkolwiek kawałków metalu, na przykład główek gwoździ, fragmentów zawiasów lub innych podobnych rzeczy, i za pomocą czterech małych porcji prochu i odrobiny bawełny spowodować poczwórny wystrzał. I trzeba powiedzieć, że rana, którą w ten sposób zadawał, okazywała się zawsze okropna.

Będąc przywódcą wioski Ling, to on właśnie dawał ludziom znak śmierci. I zawsze przy tym prawidłowo oceniał siłę wroga. Ostatniej zimy uczynił to dwukrotnie, a potem jeszcze raz na wiosnę. I podczas każdego ataku wieśniacy pozabijali wszystkich nieprzyjaciół – tak że żaden nie uciekł i nie złożył na nich raportu. Byli więc bezpieczni. Straty wroga rosły z miesiąca na miesiąc, zwłaszcza w oddalonych od miasta wioskach na wzgórzach. Rósł też gniew wrogich władz. No bo jak może władać terenami wiejskimi ktoś, kto nie ma odwagi się na nich pojawić? I czy po żywność oraz inne produkty trzeba za każdym razem wysyłać oddziały wojska? W końcu, w środku lata, wściekłość władz doprowadziła do tego, że kazano żołnierzom palić wioski, w których napotkali ludzi ze wzgórz. Ale wioska Ling Tana ocalała, bo choć podczas każdej kontroli w kryjówce pod jego podwórzem przebywali ludzie ze wzgórz, to jednak wróg ich znaleźć nie zdołał.

Natomiast w odległych górskich wioskach zdarzało się, że w podpalanych nocą domach ginęli całkiem niewinni ludzie. Ginęli wskutek rozumowania wroga, że skoro wioska leży na wzgórzach, to muszą się w niej ukrywać bojownicy. Ling Tan wiedział od swoich synów, że mimo to z tych spalonych wiosek wychodzili na pola w środku lata ich znękani mieszkańcy, by uprawiać swoją poczerniałą od ognia ziemię.

Panujące od tak długiego czasu okrucieństwo i potworności musiały zmienić ludzi żyjących w podbitym kraju. Mieszkańcy wioski Ling, kobiety i mężczyźni, dawniej, gdy byli wolni, śmiali się chętnie i wesołym tonem wiedli rozmowy pełne przekomarzań i radości, a ich wyraz twarzy świadczył o poczuciu wewnętrznej swobody. Nikt też przed nikim niczego nie ukrywał. Ale teraz wieśniacy zrobili się milczący, a ich twarze sposepniały i nabrały surowego wyrazu. Sprawilo to ciężkie życie, jakie wiedli pod rządami wroga, a także fakt, że chcąc dać upust nienawiści, musieli potajemnie zabijać. Wiecznie skrywany gniew i

bezustanne dążenie do likwidowania wrogów musiały odmienić ludzkie serca, a Ling Tan odczuwał tę odmianę nawet we własnej duszy.

Okazało się, że wrogowie, którzy u siebie zawsze palili tylko drewnem, nie znają innego opału. W podbitym kraju zaczęli więc ścinać drzewa, wrywać belki z wiejskich domów, zdejmować z zawiasów bramy – całe drewno, które im tylko wpadło w oko, wrogowie brali jak własne.

Zdarzyło się, że tej wiosny wraz z innymi drzewami ścięto także wielką starą wierzbę w pobliżu domu Ling Tana, tę samą, pod którą Lao Er spotykał się z Nefryt w pierwszym roku małżeństwa. Wielki był żal Lao Era na widok pieńka, który po niej pozostał.

– Posłuchaj, moje serce, oni ścięli nasze drzewo – powiedział do żony.

– A czyż ostatnio mamy tu taki spokój, który by nam pozwolił spotykać się pod drzewem? – odrzekła na to Nefryt ze smutkiem.

Pewnego dnia w pierwszym miesiącu lata w ich wiosce pojawiła się grupa wrogów poszukujących drewna. Składała się z ośmiu albo dziewięciu ludzi, jednak bystre, choć przyćmione udawaną tępotą oko Ling Tana dostrzegło zaraz, że tylko pięciu z nich jest uzbrojonych. Wieśniacy w sile wieku, jak zwykle, wylegli przed bramą, a staruszkowie – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – czuwali w środku, za bramami, gotowi na znak Ling Tana podać swym synom broń. I tego dnia Ling Tan zdecydował się dać znak śmierci. Wieśniacy zatem jak jeden mąż zaatakowali wrogów. Zabili wszystkich z wyjątkiem jednego. Tego jednak Ling Tan zdążył ranić ze swojego czterolufowego samopału. Ale rannemu udało się odpełznąć pomiędzy bambusy rosnące po południowej stronie domu. Tam właśnie Ling Tan go dopadł, a człowiek ten, niczym pies uniósłszy się na czworakach, zaczął w zrozumiałym języku błagać go o życie. Zdawał się przy tym być jego rówieśnikiem.

– Pozwólcie mi żyć, błagam – mówił przerywanym głosem – nie zabijajcie mnie! Ja mam żonę i dzieci. Zobaczcie, to one! – dodał, sięgając za pazuchę.

Jednak Ling Tan nie słuchał. Wyciągnął zza pasa krótki nóż i po chwili nie dłuższej niż ta, której potrzeba na zastanowienie się nad zabiciem węża czy lisa, pchnął nim mężczyznę, a ten – ugodzony prosto w brzuch – obrócił na niego pełne smutku ciemne oczy i wyzionął ducha.

Był to czwarty z kolei wróg zabity jego rękami. Ling Tan stał teraz nad zwłokami wroga. Ten diabeł nie ma twarzy złego człowieka, pomyślał. Zaraz też, przypomniawszy sobie słowa zabitego i korzystając z tego, że plama krwi nie rozszerzyła się jeszcze na jego

pierś, schylił się, sięgnął do ukrytej za pazuchą kieszeni i wyciągnął z niej mały jedwabny futeralik. Otworzywszy go, zobaczył fotografię ładnej kobiety z czworgiem dzieci. Najmłodsze z nich miało jakieś osiem lat, a najstarsze około czternastu, Ling Tan przyglądał im się przez chwilę, mając świadomość, że te dzieci nigdy już nie zobaczą swego ojca, a kobieta męża.

I w tej chwili dotarło do niego, że bardzo się zmienił. Patrzył bowiem na te twarze, myślał o losie tej rodziny i w ogóle nie odczuwał żalu. Nie było w nim ani smutku, ani radości. Zrobił, co zrobił, i wcale nie chciał, by to się odstało. Wiedział też, że gdy nadarzy się podobna okazja, uczyni to samo.

Kiedyś miał serce tak łagodne, że nie chciał patrzeć, jak się zabija drób. Ling Sao musiała więc kurom czy kaczkom ukręcać głowy w ukryciu.

Nie lubię zabijać, pomyślał teraz, i nawet dzisiaj nie zabiłbym dla przyjemności. Jak to się jednak dzieje, że w ogóle jestem do tego zdolny?

Wrócił też zaraz do domu, przystając na chwilę po drodze, by powiedzieć grzebiącym zabitych nieprzyjaciół wieśniakom, że w bambusach leży jeszcze jedno ciało. Jako że zwłoki należało grzebać szybko, żeby nie odkryli ich wrogowie. Ling Tan wszedł do swojego domu z jedwabnym futeralikiem w dłoni, po czym odłożył go w swojej izbie. Tak, zaszła w nim zmiana. Dziś wieczorem zje nie gorszy niż zwykle posiłek, nie przejmując się wcale tym, że za jego sprawą człowiek, na którego czekają gdzieś kobieta i dzieci, został właśnie zagrzebany w ziemi. Zabił też przecież i innych, podobnie jak pozostali wieśniacy, z którymi żartował sobie na temat nieboszczyków. Użyźniają teraz ziemię, mówili, albo ją zatrują. I zastanawiali się, czy w kolejnym roku będą dzięki temu lepsze plony. Tak, tak, zmienili się wszyscy. Zanim na ich terenach pojawili się wrogowie, nie słyszano, by w wiosce kogoś zabito. No, chyba że nowo narodzoną dziewczynkę w rodzinie, w której było ich za dużo, a i to zaraz po przyjściu na świat, zanim ta mała zdążyła zaczerpnąć powietrza. A teraz zabijali wrogów niby wszy, wcale po tym fakcie nad tym się nie zastanawiając.

Czy po odejściu tych diabłów zdołamy odzyskać swoje dawne ja? – zadawał sobie pytanie Ling Tan i nie znajdował na nie odpowiedzi.

Zaczął się też zastanawiać nad członkami własnej rodziny. Pomyślał o Ling Sao, która wraz z innymi ludźmi biegła z łopatą i motyką, by wykopywać doły, w których potem chowano wrogów. A następnie wracała do domu niby ktoś, kto zakopał po prostu odpadki, i szła do kuchni albo zajmowała się dzieckiem. Pomyślał o Nefryt, która trzymała w rękach broń i strzelała z niej od bramy tak samo celnie jak jej mąż. A potem karmiła piersią synka. Co to dziecko wysysa z niej wraz z mlekiem? – zapytywał siebie. Dochodził jednak do



wniosku, że najbardziej z całej rodziny zmieni! się on sam. No i oczywiście jego trzech synowie. Wiedział bowiem, że kobietom łatwiej przychodzi popełnianie strasznych czynów i zabijanie niż mężczyznom. Kobiety co miesiąc tracą własną krew i nie boją się jej widoku. Mężczyzna natomiast, gdy wypływa z niego krew, wie, że wraz z nią ucieka jego życie. Dlatego nauka przelewania krwi przychodzi mu z większym trudem. Wstrząsa nim też do głębi i zmienia go bardziej niż kobietę.

Tak właśnie działo się z najstarszym synem Ling Tana. Był on prostym, łagodnym człowiekiem, z początku więc zabijanie kłóciło się z jego naturą. Potem jednak, gdy już do niego przywykł, jego natura uległa przemianie. Ling Tan, patrząc, jak się zjawia w domu, by wkrótce potem zniknąć znowu na wzgórzach, uświadomił sobie, że ten młody mężczyzna, który kiedyś – nawet mając już dwóch synów – był zawsze radosny i zachowywał się jak dziecko, całkiem przestał się śmiać. Chodzi tylko koło swej niosącej śmierć roboty tak jak kiedyś koło prac polowych.

Najstarszy syn Ling Tana zajmował się zastawianiem pułapek na wrogów. I czynił to tak dobrze, że nikt nie był w stanie zauważyć, w jakimś miejscu na drodze pod warstwą kurzu znajduje się dół. Te swoje pułapki zastawiał bardzo wiele razy i na bardzo wielu drogach. I chodził do nich i rankiem, i nocą. Jeżeli w którąś wpadł ktoś niewinny, wyciągał go i pozwalał mu odejść. Jeżeli natomiast złapał się jeden z wrogów, dźgał go po prostu nożem z taką łatwością, z jaką dźga się złapanego we wnyki lisa. Nie marnował kuli, jeżeli ofiara była bez broni. Pchał tylko nożem tam, gdzie bije serce, ciskał potem ciało w zarośla i zastawiał pułapkę od nowa. Pewnego dnia, będąc w domu i jedząc właśnie posiłek, wstał nagle od stołu i wyszedł. Okazało się bowiem, że przy bramie stoi przedstawiciel władz, który przyszedł tu sam jeden zapisać coś w swojej książeczce. Najstarszy syn zabił go po prostu i wrócił do jedzenia.

„Czy nie umyjesz nawet rąk?” – zapytał go zdumiony Ling Tan.

„A po co? – odrzekł krótko. – Nie dotykałem go przecież. Wepchnąłem go tylko nogą w bambusowe zarośla”.

Po czym zjadł ze smakiem posiłek i dopiero gdy skończył, pogrzebał tamtego człowieka. Ling Tan natomiast stracił w jednej chwili apetyt. Nie dlatego że ten wróg został zabity, ale z powodu zmiany, jaką dostrzegł w swoim synu.

Czy on będzie potrafił zmienić się ponownie i stać się takim człowiekiem jak dawniej? – zadawał sobie pytanie. Czy kiedy w kraju nastanie wreszcie pokój, będzie w stanie odzyskać swoją dawną łagodność?

Trzeba też powiedzieć, że był jeszcze przecież syn najmłodszy i że nic na świecie nie

przerażało Ling Tana tak bardzo jak radość, z jaką ten chłopak zabijał wrogów. Dorósł dopiero niedawno i całkiem niedawno porzucił swoje marzycielskie milczenie, a przy tym z każdym dniem stawał się bardziej urodziwy. Był teraz znacznie wyższy niż większość wieśniaków, a twarz miał tak piękną, że oglądali się za nim zarówno mężczyźni, jak i kobiety. A ponieważ twarz taka zapadała każdemu w pamięć, maskował się i chodził bezustannie w przebraniu. Zarys jego skroni był zdecydowany i surowy, brwi miał czarne i mocno zaznaczone, a jego spojrzenie wyrażało silną wolę. Nos przy tym był prosty, a wargi wciąż po dziecięcemu świeże. I mimo tej świeżości górował nad innymi mężczyznami wzrostem i posturą. Nie znał jeszcze kobiety, choć, będąc tak urodziwy, przyciągał tęskne spojrzenia dziewcząt. On jednak odwracał od nich głowę. To, co uczynili z nim nieprzyjacielscy żołnierze, wypaczyło jego naturę. Cała namiętność, z jaką mógłby pokochać kobietę, zmieniła się w jego sercu w wolę zabijania. I to zabijanie, a nie miłość, dawało mu ogromną radość.

Ling Tan widział więc wyraźnie, że jego najmłodszy syn stał się jednym z takich ludzi, jakich on sam bał się najbardziej i jacy budzili jego największą niechęć. Tak, musiał przyznać, że ten jego syn jest teraz człowiekiem, który wojowanie uznaje za największą swoją życiową przyjemność. Nie dało się w żaden sposób ukryć, że młodzieniec jest pełen zapału do wojaczki i że lubi wszystko, co się z nią wiąże. Ludzie ze wzgórz wiedzieli o tym dobrze, uczynili go więc dowódcą sporego oddziału, a on, choć o tyle od nich młodszy, wymyślał dla nich strategię, tak jakby planował posunięcia w jakiejś grze. Stał się mistrzem zasadzek i potajemnych zamachów na nieprzyjaciela i był najodważniejszym z tutejszych bojowników. Wrogowie dobrze wiedzieli, kiedy to on prowadzi swoich ludzi do ataku, bo ten był zawsze po mistrzowsku przygotowany, a ucieczka okazywała się wręcz niemożliwa. Jednak kim jest ten dowódca, nie mieli pojęcia.

Najmłodszy syn nieczęsto bywał w domu, jednak za każdym razem chwalił się jakimiś swoimi sukcesami. Opowiadał o nich ze śmiechem i dumą. Sprawiały one, że stał się próżny, co pogłębiał jeszcze fakt, że sprzyjało mu szczęście. Utwierdzało go to w przekonaniu, że znajduje się pod specjalną opieką Niebios.

– Niebo wybrało mnie do tej roboty – mówił nieraz. Albo: – Niebo zaprowadziło mnie w to miejsce. – Albo też: – Niebo dodało mi siły.

W końcu pewnego dnia Ling Tan nie wytrzymał.

– Nie powtarzaj wciąż Niebo to, Niebo tamto! – wybuchnął. – Bowiem powiadam ci, że to, co się dzieje teraz na ziemi, nie ma nic wspólnego z wolą Niebios. To nie z woli Nieba ludzie zabijają się nawzajem, bo Niebo nas stworzyło. Jeżeli musimy zabijać, to nie mówmy przynajmniej, że to ono każe nam to czynić.

Było to ojcowskie pouczenie skierowane do syna. Dlatego Ling Tan z niezadowoleniem przyjął fakt, że jego najmłodszy syn uśmiechnął się tylko kpiąco i odrzekł:

– To stara doktryna, która doprowadziła nas do tego, że znaleźliśmy się w tej okropnej sytuacji. Zamiast żyć we współczesnym świecie, byliśmy jak martwi. Spaliśmy po prostu snem tak głębokim jak nasi zmarli przodkowie. A tymczasem inny naród skonstruował różne rodzaje broni i ruszył do ataku na nas. Dlatego my, młodzi, jesteśmy obecnie mądrzejsi od was, starych.

Słowa te tchnęły taką bezczelnością, że Ling Tan nie był w stanie ich znieść. Jego prawa ręka, jakby sama z siebie, podniosła się, po czym spadła na czerwone usta młodzika.

– Tak mówisz do własnego ojca?! – zawołał. – A ja ci powiem, że to dzięki doktrynom naszych przodków żyjemy od wielu tysięcy lat, dłużej niż jakikolwiek inny naród na tej ziemi! Gdy panuje pokój, ludzie żyją. Natomiast wojna sprawia, że tracą życie. Kiedy ludzie żyją, żyje też naród, a kiedy umierają, umiera i on!

Okazało się jednak, że Ling Tan nie zna swego syna. Ten bowiem był teraz innym człowiekiem niż kiedyś. Nie przestraszył się ojca, postąpił krok naprzód, zamierzył się na niego i rzekł gniewnie:

– Teraz są inne czasy! Nie wolno ci mnie bić! Bo ja mogę cię zabić, i przyjdzie mi to z taką łatwością jak zabicie kogokolwiek innego!

Ling Tan, usłyszawszy te słowa, bezsilnie opuścił ręce. Spojrzał w pełne gniewu urodziwe oblicze syna, a po chwili odwrócił się i usiadł, kryjąc twarz w dłoniach.

– Sądzę, że potrafiłbyś to zrobić – wyszeptał. – Wygląda mi na to, że teraz potrafisz zabić każdego.

Młody człowiek zmilczał. Nie zmienił jednak gniewnej i dumnej postawy. Wyszedł z domu i oddalił się szybko, a Ling Tan nie widział go potem przez wiele długich dni.

Nie były to dobre dni dla Ling Tana, a i noce okazały się złe, bo bezsenne. Czyż to nie jest koniec naszego narodu? – rozmyślał. – Tak, tak, to musi być nasz koniec, bo staliśmy się przecież podobni do innych, wojowniczych narodów świata. Przyszło mu też do głowy, że lepiej by było, gdyby jego najmłodszy syn stracił życie. Sądził, że śmierć byłaby dla niego lepsza niż życie po zakończeniu wojny.

Człowiek, który zabija z miłości do zabijania, powinien umrzeć dla dobra własnego narodu. Tak, tak uważam, choć jest on moim własnym synem, myślał dalej z ciężkim sercem. Ludzie tego pokroju stają się zawsze tyranami, a reszta narodu nieodmiennie jest na ich łasce.

– Czuję się tak, jakby nasz najmłodszy syn już nie żył – powiedział pewnej nocy do

Ling Sao. – Zmienił się tak bardzo, nie ma w nim już nic z naszego dawnego delikatnego chłopaka. I pomyśleć, że kiedyś na widok czyjejś śmierci dostawał torsji z przerażenia!

Spodziewał się, że Ling Sao nie będzie wiedziała, o czym mówi. Zdziwił się więc bardzo, słysząc w ciemności jej westchnienie.

– Czyż nie zmieniliśmy się wszyscy? – powiedziała.

– Ty też się zmieniłaś? – zapytał Ling Tan zaskoczony.

– A nie? – odrzekła. – Czy jest możliwe, bym kiedykolwiek była w stanie wrócić do dawnego trybu życia? Przecież nawet wtedy, kiedy trzymam dziecko na kolanach, nie zapominam, co zrobiliśmy i co wciąż musimy robić.

– A czy możemy postępować inaczej? – zapytał Ling Tan.

– Nie – odrzekła.

– A jednak – powiedział on po chwili zastanowienia – mimo wszystko, nawet teraz nie wolno nam zapomnieć, że pokój jest rzeczą dobrą. Młodzi ludzie go nie pamiętają, więc musimy pamiętać o nim my, starzy. I we właściwym czasie nauczyć ich ponownie, że pokój jest wspaniałą strawą człowieka.

– Zrobimy to zapewne, ale pod warunkiem, że da się ich nauczyć czegokolwiek poza tym, czego nauczyli się dotychczas – rzekła Ling Sao ze smutkiem. – To okropne, że można tak łatwo zabijać ludzi! Kto zabija, ten przecież kładzie kres wszystkiemu, a nasi synowie przyzwyczajają się do tego tak szybko. Czasami tak sobie myślę, że gdybyśmy we dwoje im się przeciwstawili, oni przy braku innego wroga zabiliby nas bez oporów. Możliwe też, że gdyby wroga zabrakło, zwróciliby się przeciwko sobie.

Ling Tan nie znalazł na to odpowiedzi. Leżał długo bezsennie u boku żony. Wiedział dobrze, że i ona nie śpi, bo nie słyszał jej zwykłego regularnego chrapania. I podczas tej bezsennej nocy powziął postanowienie. Będzie z całych swoich sił walczył, by pognać wroga. Nie pozwoli jednak, by ta walka stała się całym jego życiem. Każdego dnia, cokolwiek będzie czynił, przeznaczy odrobinę czasu na to, by sobie przypomnieć, jak dawniej wyglądało życie w jego domu, czyli uświadomić sobie czym jest pokój.

Im dłużej rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zabijanie ludzi jest największym złem.

Niech zabijają inni, mówił sobie. Ja już tego robić nie będę.

Od tej pory podtrzymując w sobie świadomość, że pokój jest rzeczą dobrą, przekonywał siebie, że na swój własny sposób służy narodowi. Nie dawał więcej znaku śmierci innym wieśniakom. I nie tłumaczył się z tego. Jeżeli ludzie się temu dziwią, myślał, to trudno. Natomiast wpuścił truciznę do swego stawu, zabijając wszystkie ryby i sprawiając w

ten sposób, że wróg nie mógł mieć z nich żadnego pożytku. A gdy ryż już dojrzał na jego polach, wymłócił go nocą na podwórzu, po czym ukrył więcej niż połowę ziarna, tak że to, co dostało się wrogom, było prawie niewarte transportu. A na gniew wrogów odpowiedział milczeniem. I milczenie uczynił swoją bronią.

Drugi syn Ling Tana różnił się bardzo od swoich braci. Zabijał kiedy musiał, ale – inaczej niż najstarszy – nie dlatego, że zabijanie przychodziło mu bez żadnego trudu, a także – inaczej niż najmłodszy – nie dlatego, że sprawiało mu przyjemność. Drugi syn czynił dalekosiężne plany. A gdy one tego wymagały, zabijał. Myślał jednak o celu, a nie o bieżącej chwili. I w całej tej działalności żadna kobieta nie potrafiłaby pomóc mu bardziej niż jego własna żona.

– Powinniśmy posłużyć się Wu Lienem jako bramą do fortecy wroga – powiedziała do niego pewnego dnia. – Złość i nienawiść do takich ludzi są całkiem bezużyteczne. Oni nie są po to, żeby ich kochać czy nienawidzić. Ich trzeba wykorzystywać. Więc zastanówmy się, jak to zrobić.

– Mądrze mówisz – odrzekł jej na to Lao Er.

Rozmowę tę prowadzili w podziemnej kryjówce, oliwiąc równocześnie i czyszcząc ukrytą tam broń. Dostali bowiem wiadomość od ludzi ze wzgórz, że ci w ciągu najbliższych trzech dni dokonają wypadu i zaatakują pobliski garnizon wroga. Broń więc musiała być w pogotowiu.

– Zastanówmy się, co zrobić, żeby Wu Lien i jego rodzina uznali nas znowu za przyjaciół – powiedziała Nefryt.

A mówiąc to, zaglądała w lufę trzymanej w rękach broni. Był to karabin nowy, odebrany niedawno któremuś z wrogów i umieszczony w kryjówce wraz z innymi. Nefryt wsunęła wycior w lufę i poruszała nim powoli tam i z powrotem. Na ubitym klepisku, tuż obok, siedział jej mały synek i bawił się łuskami po nabojach. Zabawki z nich były wprost idealne – bezpieczne i czyste. Malec mógł je brać do buzi i gryźć. Nefryt lubiła zwłaszcza jedną łuskę, smukłą i pasującą do jego usteczek jak ulał. Na mosiądzu, z którego ją wykonano, znajdowały się ślady pierwszych ząbków dziecka. Nefryt bardzo tej łuski pilnowała, postanowiła bowiem, że gdy synek się nią już znudzi, ona odłoży ją do pudełka, gdzie trzyma jego pierwsze małe buciki z pyszczkami tygrysa, które sama uszyła, jego pierwszą czapeczkę z naszytymi wizerunkami Buddy oraz inne rzeczy, jakie matki tak lubią przechowywać.

Trzeba tu zaznaczyć że Wu Lien, choć ci dwoje nie mieli o tym pojęcia, doskonale był poinformowany o tym, że oni ukrywają się w gospodarstwie Ling Tana. Miał bowiem swoich szpiegów w wiosce. A kto dla niego szpiegował? Oczywiście ci zawistnicy, którzy zazdrościli Lao Erowi i Nefryt ich małego synka! Żona uczonego kuzyna, podobnie jak cała wioska, wiedziała, że Wu Lien z rodziną odwiedzili Ling Tana, jak również to, że okazali się bogaci i bardzo dobrze odżywieni. Dlatego pewnego dnia postanowiła wybrać się do Wu Liena. Wzięła więc świeżą rybę i pod pretekstem, że musi ją oddać wrogom, udała się do miasta. Znalazszy się pod domem, w którym mieszkał Wu Lien z rodziną, podała swoje nazwisko żołnierzowi czuwającemu przy bramie, a ten wpuścił ją bez problemu. W taki to sposób, wciąż trzymając rybę owiniętą w liść lotosu, jako krewna Wu Liena znalazła się przed jego obliczem.

Wu Lien swoim zwyczajem powitał ją uprzejmie i poprosił, żeby usiadła. Następnie posłał po swoją połowicę, a gdy ta się zjawiła, żona uczonego kuzyna, udając dawną przyjaźń, opowiedziała o synach Ling Tana.

– Twoi bracia mają się dobrze – zwróciła się do żony Wu Liena. – Parę dni temu widziałam tego średniego.

– Widzieliście mojego średniego brata?! – zawołała tamta. – Więc on jest w wiosce?!

– A jakże. Są w wiosce razem z Nefryt. I mają piękne dziecko. Chociaż ja nie chciałabym, żeby ten chłopczyk był moim wnukiem, bo naznaczony jest śmiercią. Za każdym razem, kiedy na niego patrzę, widzę, że śmierć przysiadła mu na czole.

Tu westchnęła, wznosząc oczy do nieba, a równocześnie dostrzegając, że Wu Lien i jego żona patrzą na siebie ukradkiem.

– Pozostali dwaj twoi bracia, kuzynko – mówiła dalej – także mają się bardzo dobrze. Widuję ich czasem, gdy przychodzą ze wzgórz.

– Więc oni mieszkają na wzgórzach?! – zdumiała się najstarsza córka Ling Tana.

– Tak, teraz tam właśnie mieszkają – potwierdziła żona uczonego kuzyna.

Zastanawiała się przy tym, czy powinna powiedzieć Wu Lienowi o podziemnej kryjówce pod podwórzem Ling Tana, a także o tym, że stanowi ona punkt wypadowy dla mężczyzn wyruszających na potajemne wyprawy przeciw wrogom. Po chwili jednak doszła do wniosku, że tego nie zrobi. Nie powinnam mówić wszystkiego od razu, pomyślała sobie. Zatrzymam coś w zanadrzu na przyszłość, na wypadek gdy będzie mi to bardziej potrzebne.

Uśmiechnęła się zatem tylko, a potem westchnęła ciężko i dodała:

– Słyszeliście bez wątpienia, że mój syn zmarł. Tak, wrogowie go poranili i chłopak stracił życie. My z mężem nie mamy teraz nikogo. Ale mój syn nie zrobił nic złego. Przyszedł

tylko do miasta, chcąc sprawdzić, co się tutaj dzieje. I nie miał przy sobie broni. Wciąż powtarzam, że gdyby twój ojciec, kuzynko, nie podsunął mu tego pomysłu, mój syn nigdy by tego nie zrobił. A kiedy patrzę na Nefryt, to myślę sobie, że całe zło, które nas spotkało, pochodzi stąd, że twój ojciec podkupił tę dziewczynę naszemu synowi. Ponieważ jesteśmy biedni, straciliśmy wszystko. Ale tak to już jest na tym świecie. Biedny człowiek zawsze traci.

Otarła oczy, a Wu Lien odkaszlnął.

– Czy ojciec waszego syna ma się dobrze? – zapytał, próbując ją pocieszyć.

– Ależ skąd! Jak może mieć się dobrze, skoro jesteśmy tak ubodzy, że nie wystarcza nam najedzenie? – odrzekła żona uczonego kuzyna.

A zaraz potem w jej głupiej głowie wyklął się kolejny pomysł. Łzy nagle jej wyschły.

– Wu Lienie – zwróciła się do krewnego – ty jesteś człowiekiem uczynnym i życzliwym. Ilekroć spoglądam w twoją gładką twarz, tylekroć dostrzegam w niej dobroć. Tak utyć jak ty może tylko człowiek o spokojnym sercu i wątrobie niezaatakowanej przez żółć. Czy nie mógłbyś znaleźć jakiejś skromnej posady dla mojego staruszka? Tutaj, w tych murach? Czy nie mógłbyś polecić go do pracy, która da nam trochę zarobku?

Wypowiadając te słowa, rozglądała się wokół i pomyślała sobie, że świetnie byłoby zamieszkać w tym bezpiecznym domu. Stały tu bowiem wygodne fotele, a także z pewnością równie wygodne łóżka. A i jedzenia było w bród. Więc kogo mogło obchodzić, jakie władze płacą za to wszystko?

– A czy mój ojciec pozwoli przenieść się tu waszemu mężowi? – zapytała żona Wu Liena. – Ojciec się na nas gniewa. Zatem czy nie rozgniewa się jeszcze bardziej, jeśli jego uczony kuzyn pójdzie w nasze ślady?

Nic nie rozdrażniłoby żony uczonego kuzyna bardziej niż te słowa. Sądziła bowiem, że jej mężowi należy się większa władza w wiosce niż Ling Tanowi. Był przecież starszy od Ling Tana, o czym nikt nie pamiętał. A Ling Tan zajął jego miejsce, bo jej mąż był drobnym, słabym człowieczkiem o ciekim głosie i z kozią bródką, która się trzęsła, gdy mówił.

– Twój ojciec nie powinien nam rozkazywać – rzekła z gniewem. – A mój mąż zawsze zgadza się ze mną. Ja zaś sądzę, że przede wszystkim musimy się troszczyć o strawę dla siebie, bo kto nas wyżywi, jeżeli nie zadbamy o to sami?

Język ją świerzbiał, żeby powiedzieć, że Ling Tan ukrywa połowę swego ziarna w podziemnej kryjówce i że kazał im wszystkim zabijać świnie i drób, a mięso solić. Zawahała się jednak, bo sama przecież także poszła za jego radą. Więc co będzie, jeżeli to wyjdzie na jaw? – pomyślała sobie.

Wu Lien, który słuchając jej, zastanawiał się, jak ma postąpić, zwrócił się teraz do niej.

– Najlepiej będzie – powiedział – gdy zostaniecie w wiosce, a my pomożemy wam w inny sposób. Będziecie od czasu do czasu przychodzili do nas z nowinami, a my damy wam w zamian za nie żywność, trochę pieniędzy i różne inne potrzebne rzeczy. Za każdym razem opowiecie nam, jak wam się powodzi i jak powodzi się ojcu, matce i wszystkim braciom mojej żony, a my zawsze chętnie tego wysłuchamy.

Powiedział to tonem całkiem niewinnym, jednak znaczenie jego słów było zupełnie jasne. Żona uczonego kuzyna zrozumiała go dobrze i zareagowała na jego propozycję uśmiechem. A po chwili oznajmiła, że musi już iść. Wu Lien wsunął dłoń za pazuchę i wyjął trochę pieniędzy.

– Weźcie to za fatygę – powiedział, wręczając je żonie uczonego kuzyna. – To znaczy za to, że przynieśliście rybę. Ale na drugi raz zjedzcie rybę sami. Jeżeli ktoś was za to potępi, ja wstawię się za wami u moich zwierzchników.

Kobieta zgięła się we dwoje w dziękczynnym ukłonie, a Wu Lien uczynił lekceważący gest dłonią.

– Mam trochę władzy – powiedział skromnie. – A czyż może z niej być lepszy pożytek niż działanie na rzecz starych przyjaciół?

Jego żona popatrzyła na niego z dumą i pomyślała, że mąż wygląda wspaniale w swojej atlasowej szacie w kolorze czerwonego wina.

– Kuzynko – zwróciła się następnie do gościa – wyświadczcie nam jeszcze jedną przysługę. Jeżeli nadarzy się po temu okazja, przemówcie za moim mężem do moich rodziców. Bo oni go nie doceniają. Nie potrafią dostrzec, jaki jest mądry, zgadzając się na to, co jest...

Przerwała, bo Wu Lien uciszył ją gestem dłoni.

– Rzeczywiście, zgadzam się na to, co jest – powiedział stanowczo. – Ponieważ sądzę, że to, co Niebo nam zsyła, jest dla nas rzeczą najlepszą z możliwych. Oczywiście pod warunkiem, że my ją jako taką postrzegamy.

– Ach, jakaż mądrość przemawia przez ciebie! – zawołała żona uczonego kuzyna. – Bądź pewny, że postaram się, byś zyskał przychyłność rodziców twojej żony. I przy każdej okazji będę mówiła o tobie tylko dobrze. Ja także jestem bowiem zdania, że szaleństwem jest stawiać opór temu, co się wydarzyło. I powtarzam to każdego dnia swemu staruszkowi.

Po tych słowach, kłaniając się, wyszła. A korzystając z tego, że jest w mieście, postanowiła kupić sobie kilka potrzebnych rzeczy – igłę i parę cali płótna na pantofle oraz



kawałek mięsa. Znalazła to wszystko, choć z wielkim trudem, i nabyła, pomimo że ceny okazały się naprawdę odstrasżające. Wyciągnęła jednak w końcu swoje pieniądze, bo przyszła tu przecież z tak daleka i widziała po drodze, że większość sklepów jest pusta.

– Kupujcie, kobieto, albo nie. Jak sobie chcecie – powiedział do niej ponury sprzedawca. – Zapewniam was, że nic lepszego nie znajdziecie w żadnym innym sklepie. Bo wszyscy w tym mieście jesteśmy zrujnowani.

Żona uczonego kuzyna powąchała mięso.

– Co to jest? – spytała. – Może to psie? Jeżeli tak, to go nie wezmę. Żeby jeść coś takiego, mogę zabić własnego psa.

– Jeżeli to mięso nie jest z psa, to jest z osia – odrzekł sprzedawca. – Wszelkie inne oni rezerwują dla siebie.

Żona uczonego kuzyna zastanawiała się przez chwilę, ważąc niewielki kawałek mięsa w dłoni. W końcu jednak zdecydowała się je kupić. Z jakiegokolwiek zwierzęcia pochodziło, było jednak mięsem, a ona tak naprawdę wcale nie chciała zabijać swojego psa.

Idąc do domu ulicami miasta, przeraziła się nie na żarty, widząc mnóstwo wlokących się od drzwi do drzwi na wpół zagłodzonych ludzi. Riksz bowiem było teraz jak na lekarstwo, bo mało kto miał siłę je ciągnąć. Naprawdę, powiedziała sobie w duchu, musimy jakoś wykorzystać to, że Wu Lien ma się tak dobrze i mieszka w takim pięknym domu. Mój mąż i ja także musimy sięgnąć po jakieś tłuste kąski. Bo jaki byłby z tego pożytek, gdybyśmy umarli z głodu?

Myśli te utwierdziły ją w postanowieniu, że zrobi wszystko, o co poprosi Wu Lien. Będzie też pilnie nadstawiać ucha pod drzwiami Ling fana. Jego dom bowiem stanowił samo centrum życia ich wioski.

Powiem też temu swojemu mężowi wyraźnie, co mamy oboje robić, pomyślała, i postanowiła tego wieczoru dobrze go nakarmić, a potem, w łóżku, obdarzyć go szczególnymi względami. Gdy będzie już usatysfakcjonowany, myślała dalej, poinformuję go, w jaki sposób możemy sprawić, by nasz los był lepszy.

Jak postanowiła, tak zrobiła, a mąż, biedak, nie miał pojęcia, dlaczego z jej strony spotyka go aż tyle łaskowości. I dopiero gdy z tej łaskowości skorzystał, dowiedział się, czemu ją zawdzięcza. I aż jęknął.

– Powinienem był się domyślić – oznajmił – że ty uknułaś coś okropnego.

I poczuł się jak ziarno pomiędzy dwoma kamieniami żaren, przy czym jednym z tych kamieni była jego żona, a drugim własny lęk przed ling Tanem. I nie tylko lęk, bo darzył

przecież swego młodszego kuzyna szacunkiem i w głębi serca żywił przekonanie, że Ling Tan dysponuje większą władzą niż Wu Lien, który umościł się pośród wrogów.

– A nie sądzisz, że kiedy Ling Tan i jego synowie zorientują się, że ich zdradziłem, to nasze życie nie będzie trwało ani chwili dłużej? – zapytał. – Tym ludziom zabijanie przychodzi z równą łatwością jak oddychanie. Jeżeli uznają nas za swoich wrogów, to zginiemy!

– Ze wszystkich mężczyzn na ziemi – odrzekła na to jego żona – ty jesteś najgorszym niezgula! Dlaczego los pokarał mnie takim mężem? Zrobisz, co ci mówię, czy nie?!

– Ale co ty właściwie masz na myśli? – zapytał uczony kuzyn, drżąc na całym ciele.

– Jesteśmy wrogami Ling Tana – oznajmiła stanowczo – a ja zawsze go nienawidziłam.

– Ja jednak nie żywię do niego nienawiści – odrzekł cichym głosem. – Ling Tan był dla nas dobry. Karmił nas przecież tak często. A kiedy miał jeszcze krosna, oddawał nam wszystkie resztki materiału, które nie przydawały mu się w domu. I dodatkowo raz na rok dostawałem od niego całą sztukę na szatę albo kaftan. Trudno mi o tym wszystkim zapomnieć.

– A mnie nie – powiedziała. – Czy ty naprawdę sądzisz, że to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie? On po prostu lubi dawać nam te kawałki materiału i tę żywność. Dzięki takim prezentom rośnie we własnych oczach. Czy znasz człowieka, który oddaje cokolwiek innym, jeżeli to nie poprawia mu samopoczucia? Czy mamy mu dziękować za jego własną pychę?

W ten oto sposób wypaczała prawdę, a nieszczęsny słabeusz leżący u jej boku słuchał tego i jęczał. I zamykał oczy, usiłując zasnąć. Ona jednak go wciąż budziła, powtarzając swoje argumenty.

– Ach, rób, co chcesz! – zawołał wreszcie. – Przecież nie powstrzymam cię od tego, bo nie jestem silniejszy od innych mężczyzn, nie potrafię przeciwstawić się kobiecie!

Tak to uczony kuzyn Ling Tana i jego żona stali się szpiegującymi mieszkańców wioski oczami i uszami Wu Liena. Kuzyn co prawda robił to niechętnie i ukrywał przed Wu Lienem tyle, ile zdołał. Nie był jednak w stanie ukryć wszystkiego. Kobieta tak suszyła mu głowę, że choć w duchu się buntował, to dla świętego spokoju, słowo po słowie, przekazywał jej to, co usłyszał podczas spotkań mężczyzn, na których Ling Tan wydawał wieśniakom swoje polecenia. Wtedy jego żona, niby wierny pies, biegła w te pędy do Wu Liena i informowała go o wszystkim. Po czym brała nagrodę. Trzeba jednak powiedzieć, że Wu Lien

nigdy tych wiadomości nie przekazywał dalej i zachowywał je tylko dla siebie.

W tym samym czasie Nefryt, nie mając o tym wszystkim pojęcia, wpadła na pomysł wykorzystania Wu Liena. Ten człowiek może stać się naszą bramą do fortecy wroga, pomyślała pewnego dnia, po czym postanowiła, że sama zanieś żywność do miasta i postara się ją sprzedać przed drzwiami domu Wu Liena. Nie zwierzyła się ze swoich zamiarów nikomu, potrafiła bowiem zachować zimną krew, a odwagą dorównywała nawet rabusiom. Wybrała dzień, kiedy jej mąż był na wzgórzach. Uspiała dziecko i włożyła na głowę siwą perukę, którą kiedyś w drodze na zachód od trupy wędrownych aktorów kupił jej Lao Er. Chciał bowiem, by pod nią ukryła swą młodość i urodę. Pomazała sobie twarz, farbą, pod górną wargę włożyła trochę kitu, poczerzyła zęby, a na plecach przymocowała sztuczny garb. Włożyła też stare buty, by ukryć swoje kształtne stopy młodej kobiety. A potem, korzystając z tego, że Ling Sao śpi, wymknęła się tylnym wyjściem, poszła na pole ukryte między bambusami, gdzie Ling Tan w tajemnicy przed wrogiem zasadził kapustę, i ścięła tyle główek, ile zmieściło się w koszyku. Nikt jej nie zauważył, nawet Ling Tan, który w tym czasie pracował na innym polu.

Klucząc różnymi bocznymi ścieżkami, dotarła do miasta. Wiedziała, gdzie mieszka Wu Lien, skierowała więc kroki do odpowiedniej bramy. I trzeba tu powiedzieć, że całkiem tego nieświadoma, miała przy sobie najlepszy do niej klucz – kosz kapusty. Na miejskim targowisku brakowało bowiem warzyw. Dlatego żołnierz czuwający przy bramie na widok zielonych główek poczuł, że cieknie mu ślinka. Nefryt nie musiała zatem wcale powoływać się na Wu Liena.

– Idźcie do kuchni, stara kobieto – powiedział do niej żołnierz. – Kucharz wam zapłaci.

– A gdzie jest kuchnia? – zasepleniła Nefryt starczym głosem, udając przy tym, że brak jej zębów.

A udawać potrafiła doskonale! Kiedy przebrała się za starą kobietę, zaczynała prawie odruchowo zachowywać się jak ktoś taki. Potrafiła oszukać nawet Lao Era, który, choć znał ją przecież dobrze, wciąż nie mógł się nadziwić tym jej aktorskim zdolnościom.

– Chodźcie ze mną – powiedział żołnierz i poprowadził ją przez liczne podwórza.

A ona pokiwała za nim, pociągając nosem i nie widząc niczego prócz jego stóp przed sobą. W ten sposób dotarli do kuchni. A tam żołnierz zawołał do kucharza:

– Przyprowadziłem staruszkę z koszem pełnym czegoś, co jest lepsze od złota! I chcę za to tylko jednego: talerza pełnego kapusty, gdy ta będzie już ugotowana!

To powiedziawszy, roześmiał się głośno i poszedł sobie, a Nefryt została przed

kuchennymi drzwiami. Po chwili na jej spotkanie wyszedł gniewny, gruby kucharz, który był kiedyś właścicielem jakiejś gospody w mieście. Zajrzał pod ręcznik, którym Nefryt przykryła kapustę, i zaklął pod nosem. Nefryt jednak nie dosłyszała jego słów.

– Dwie sztuki srebra – powiedział głośno.

Nefryt pokręciła głową.

– Wiecie, ile teraz kosztuje kapusta – odrzekła.

– No to trzy – rzucił niedbale. – Nie płacę z własnej kieszeni i brak mi czasu na targi.

W tym domu ma się odbyć wspaniała uczta. Kolejna... bo oni wciąż uczują. A ja, skąd ja mam wziąć produkty, żeby ją przygotować? Macie mięso, kobieto? Potraficie zdobyć wieprzowinę? Rybę mam. , tak, rybę... Jednak czymże jest uczta bez mięsa, choćby przynajmniej kaczki?

Nefryt przyglądała mu się uważnie. Czy ten człowiek to zdrajca? – zastanawiała się w duchu.

– Jeżeli przyniosę wam dwie kaczki – odezwała się ostrożnie – to czy dacie mi za nie siedem sztuk srebra?

– Przynieście je, a wtedy się przekonacie – odrzekł kucharz i wyjął srebro zza pasa, żeby zapłacić za kapustę.

– Kiedy ma być ta uczta? – zapytała jeszcze Nefryt.

– Za dwa dni – odrzekł, a potem wylał przed nią swoją gorycz. – Będzie to rocznica odniesionego nad nami pierwszego walnego zwycięstwa. Dlatego kazali mi przygotować wielką biesiadę. Zejdą się na nią wszyscy ich przywódcy.

Nefryt pochyliła się w jego stronę.

– Jesteście jednym z nas – szepnęła.

Opasły kucharz rozejrzał się ukradkiem po podwórzu. W kuchni za jego plecami nie było nikogo, jednak on milczał.

– Macie wielką władzę – szepnęła znowu Nefryt. – Możecie im do jedzenia dodać, czego tylko zechcecie! Ilu jest tutaj kucharzy?

– Trzech – odrzekł.

– Trzech! – powtórzyła. – Czy to dosyć, żeby przygotować wielką ucztę? Czy nie powinniście poprosić o zatrudnienie jeszcze kogoś do pomocy? Kucharzy w takich okolicznościach powinno być dziesięciu. A powiedzcie mi, czy przygotowujecie wszystko sami, czy bierzecie też jakieś potrawy z restauracji?

– Oni nie ufają nikomu z zewnątrz – odrzekł. – Pilnują się bardzo.

– A! – powiedziała domyślnie.

Kucharz wziął od niej kapustę.

– Przyniesiecie jutro kaczkę? – zapytał.

– Przyniosę – zapewniła. – O tej samej porze.

– Pieniądze będą gotowe, gdy się zjawicie – oznajmił.

Pokazał jej tylne wyjście i Nefryt znalazła się znowu na opustoszałej ulicy.

W ten oto sposób Nefryt, choć bez żadnego jasnego i sprecyzowanego zamiaru, zasiała w głowie kucharza ziarno myśli o truciznie. A potem szła przez pełne ruin miasto i zatrzymywała się od czasu do czasu, udając, że chce odpocząć, i w małych spokojnych sklepikach czy gospodach rozmawiała z kobietami i mężczyznami, którzy szeptem opowiadali jej o przerażających warunkach, w jakich przyszło im żyć. Jednym z tych miejsc był ponownie otwarty sklep ze starzyzną. Nefryt weszła tam, niby to szukając kaftana, a gdy zapytała właściciela, jak idą mu interesy, ten odrzekł ze łzami w oczach:

– Czy w moim życiu cokolwiek może jeszcze iść dobrze? Straciłem jedyne syna, a moje trzy córki spotkał los gorszy od śmierci.

– W jaki sposób straciliście syna? – zapytała Nefryt.

– Nie uwierzycie mi, kiedy wam odpowiem – odrzekł. – Bo prawda jest okrutna. Mój syn miał zaledwie czternaście lat i był najmłodszym z moich dzieci. Bogowie przed jego urodzeniem dawali nam tylko córki. Dopiero nasze ostatnie dziecko okazało się chłopcem. I ten chłopiec był najlepszym ze wszystkich naszych dzieci. Pewnego dnia, podczas przemarszu nieprzyjacielskich żołnierzy, nasz syn, zachwycony widokiem mundurów i błyszczącej broni, zsalutował. Był to taki dziecięcy żart. Dzieciak chciał się popisać. Jednak w chwili, gdy wykonał ten gest, jeden z żołnierzy wystąpił z szeregu i po prostu do niego strzelił. Zastrzelił go na miejscu, tu, pod moimi drzwiami! A ja, jego ojciec, stałem tuż obok i patrzyłem na to! Zdażyłem go tylko chwycić, zanim upadł.

– Mnie to wydaje się wprost niemożliwe – rzekła Nefryt ze smutkiem.

– A jednak tak właśnie było – westchnął sklepikarz.

Nefryt ruszyła w dalszą drogę i wkrótce zatrzymała się znowu. Tym razem przy na wpół wypalonym domu, jakich w mieście było teraz mnóstwo i w jakich ludzie starali się jakoś mieszkać. Nefryt usiadła na progu, by odpocząć, a wtedy pojawiła się sędziwa kobieta i zapytała ją, czy nie napije się wody. Herbaty bowiem ludzie ci nie mieli. Nefryt odpowiedziała, że chce tylko odsapnąć. A wówczas staruszka, widząc, że nieznajoma patrzy na ruiny, powiedziała przyciszonym głosem:

– Starajcie się nie czynić wrażenia, że widzicie zbyt wiele. Bo ktoś może nas obserwować. A co do naszej rodziny, to mieliśmy więcej szczęścia niż ci, którym spaliło się

wszystko na popiół, a także ci, co zginęli w zgliszczach swoich domów.

– Ale jak to było z wami? – zapytała Nefryt. – Czy spadły na was bomby?

Stara kobieta pokręciła głową.

– Nie, nie – odparła. – Przetrwaliśmy bombardowania bezpiecznie. Jednak później wróg przysłał nam na kwatery swoich żołnierzy. A ci byli nieostrożni. Często zapraszali ogień, a gdy budynek stawał w płomieniach, przenosili się do innego. Nasz dom też podpalili. Jeden z żołnierzy położył się spać w wewnętrznej izbie z papierosem. A kiedy łóżko się zajęło, wstał po prostu i wyszedł, zostawiając wszystko na pastwę ognia. Tymczasem my, stłoczeni w drugiej części budynku, nie zorientowaliśmy się w porę, co się dzieje. W ten sposób spaliło się wiele domów.

Stara kobieta przerwała na chwilę.

– A trzeba widzieć – dodała jeszcze, wzdrygając się – trzeba widzieć, jak oni się śmieją, kiedy nasze domy płoną!

Nefryt milczała. Nie chciała bowiem powiedzieć za wiele. Strzegła się też, by nikt jej nie usłyszał. Spuściła tylko głowę, posiedziała jeszcze parę minut, a potem wstała i odeszła pełna gniewu.

Jednak jej gniew nie osiągnął jeszcze zenitu. Stało się to dopiero w chwili, kiedy podniosła oczy i na ścianie przy głównej ulicy zobaczyła wielką płachtę papieru, na której wymalowano uśmiechniętych wrogów obdarowujących ciastkami i owocami klęczących przed nimi pokonanych przedstawicieli jej narodu. Byli tam starzy i młodzi mężczyźni, a także kobiety i małe dzieci. I wszyscy oni patrzyli na wrogów z wdzięcznością. Obrazowi temu towarzyszył zrobiony wielkimi literami napis: NARÓD WITA SWOJEGO DOBREGO SAŚIADA, KTÓRY OBDAROWUJE GO STRAWĄ, POKOJEM, BEZPIECZEŃSTWEM.

Przeczytawszy te słowa, Nefryt wpadła we wściekłość. Zawróciła i weszła do jakiegoś sklepu, gdzie poprosiła o pewne stare i powszechnie znane lekarstwo. Stojący za kontuarem zasuszony starzec uśmiechnął się na to smętnie i zaczął odmierzać biały proszek.

– Jest wiele osób, które ostatnio proszą o ten lek – powiedział. – I są to przeważnie kobiety.

– Czy kupują go dla siebie? – zapytała Nefryt, chcąc go zmylić.

– Z pewnością tak – odrzekł spokojnie mężczyzna i choć przyglądał jej się uważnie, nie zapytał o nic.

Odmierzył porcję proszku i sprzedał go tanio, a Nefryt schowała go za pazuchę i udała

się do domu.

Dopiero wieczorem powiedziała rodzinie, co zamierza. Musiała to zrobić, bo potrzebne jej były dwie kaczki spośród tych, które Ling Tan, wbrew wszystkiemu, trzymał na rozmnożenie.

Poznawszy plan Nefryt, Ling Tan wstał bez słowa i poszedł do pomieszczenia, w którym zamykał kaczki na noc, wziął dwie i natychmiast je zabił. Ling Sao i Nefryt oskubały zaraz i oczyściły ptaki, po czym wtarły w ich skórę truciznę. Włożyły jej też trochę do środka, po czym powiesiły kaczki na ścianie. Trucizna miała tę wielką zaletę, że podobnie jak mąka była prawie całkiem bez smaku.

Na drugi dzień Nefryt zaniósła kaczki opasłemu kucharzowi. Milczała, dopóki jej nie zapłacił, a kiedy to już uczynił, odezwała się cichym głosem:

– Zróbcie do tych kaczek bogaty sos, dodając oliwy i wina. Musicie też wiedzieć, że nasze kaczki żywią się dzikimi roślinami i czasami ich mięso zmienia kolor.

Kucharz wytrzeszczył swoje małe oczka i zaczął się jej uważnie przyglądać. Jednak ona nie spuściła wzroku – patrzyła mu prosto w twarz nieustępliwie. Wtedy do niego dotarło, że nie ma do czynienia ze starą kobietą. Już chciał coś powiedzieć, zamknął jednak usta i tylko pokiwał głową. Następnie zaryglował za Nefryt małą tylną furtkę, a ona najkrótszą drogą udała się do domu.

Skąd miała się dowiedzieć, czyjej czyn przyniósł owoce? Wieści o tym, co dzieje się w mieście, rzadko docierały do ich małej wioski. Zatem Nefryt czekała. Jeżeli mi się powiodło, mówiła sobie w duchu, powtórzę taką samą akcję wiele razy. I będzie to moja własna wojna z tymi diabłami. Czekala długo, lecz w końcu się doczekała. A stało się to za pośrednictwem żony uczonego kuzyna, która pewnego dnia, niczego nieświadoma, oznajmiła Ling Sao, że jej mąż spotkał na ulicy Wu Liena I okazało się, że wychudł on jak szczapa po tym, kiedy omal nie umarł po uroczystej uczcie. „Tak, tak – mówiła – Wu Lien był bliski śmierci, a kilku wrogów uczestniczących w biesiadzie straciło życie”.

Ling Sao, słuchając słów kuzynki, miała trudności z patrzeniem jej w oczy. Cieszyła się też w duchu, że rozmawia z nią bez świadków. Nefryt bowiem na wieść, że nadchodzi żona uczonego kuzyna, schowała się z dzieckiem w podziemnej kryjówce. Ling Sao chciała wiedzieć więcej.

– Ilu wrogów umarło i kim oni byli? – zapytała.

A kuzynka, pragnąc uchodzić za dobrze poinformowaną, odparła uroczyście:

– Każdy z nich to naprawdę ważna figura. Wu Lien mówił, że pięciu z nich zmarło, a wszyscy, ponad dwudziestu, chorowali. Z całej tej grupy on sam najłżej, bo zjadł najmniej mięsa z nich wszystkich.

Tu zasznurowała usta i pokręciła głową, a potem zniżyła głos do szeptu.

– Oskarżyli o to kucharzy – powiedziała. – Ale nie potrafili stwierdzić, który z nich był winien. Na dodatek stało się tak, że oprócz swoich własnych pracowników zatrudnili do pomocy ludzi z zewnątrz. I gdy już po fakcie zaczęli ich szukać, okazało się, że wszyscy uciekli.

– A czy nie zostało z uczty trochę mięsa dla kucharzy? I czy oni nie zachorowali? – zapytała Ling Sao.

– Nie, bo dostojnicy rzucili się na mięso i spałaszowali nawet kości – odrzekła kuzynka.

– A! – powiedziała Ling Sao. – Któż nie zna miłości naszych wrogów do mięsa!

Miała świętą rację – wrogowie mięso wprost uwielbiali. Żądali go zawsze w dużych ilościach – obok kobiet i wina. Synowie Ling Tana opowiadali nawet, że gdy gdzieś na wzgórzach natknęli się na wyjątkowo tłustego bawołu, wycięli mięso z żywego zwierzęcia. A potem pożarli je na surowo. Była to historia wprost niewiarygodna, a ci, co jej wysłuchali, nie posiadali się ze zdumienia. „Czy ci nasi wrogowie są w ogóle ludźmi?!“ – wołali.

Nietrudno więc było uwierzyć, że dostojnicy zjedli nawet kacze kości.

Wieczorem Ling Sao powiedziała całej rodzinie, że Wu Lien także zjadł zatrute mięso.

– Żałuję, że nie zeżarł więcej i że go to nie wykończyło – odezwał się drugi syn.

Ling Sao jednak była zdania, że nie jest to reakcja właściwa. I mimo całej dumy z tego, że wraz z Nefryt posłużyła się w walce z wrogami kobiecą metodą polegającą na użyciu trucizny, zwróciła się do syna z przyganą:

– Jednak on jest mężem twojej siostry.

Syn zmilczał, bo nie dyskutuje się przecież z matką. Ale w jego zastępstwie odezwała się Nefryt:

– W czasach takich jak obecne, matko, człowiek ma większe obowiązki niż te wobec siostry czy brata. Nie powinniście więc ganić mojego męża.

Ling Tan i Ling Sao nie rzekli na to ani słowa. Ostatnio zdarzało im się często, że słysząc, co mówią młodzi, milczeli. Wiedzieli bowiem, że te czasy, jak również przyszłość, nie należą już do nich, tylko do tych młodych, co prowadzą i będą prowadzili walkę z wrogiem.

Jednak nocą, leżąc już w łóżku, Ling Sao trochę sobie popłakała.



– Wątpię – zwróciła się do Ling Tana – czy cokolwiek na świecie będzie jeszcze takie jak przedtem. Świat nie wróci już do dawnej formy nawet w wypadku, gdy nastąpi pokój.

– Masz rację, staruszko – potwierdził Ling Tan. – Nic już nie będzie takie jak kiedyś. I my, starzy, powinniśmy być tego świadomi. Oznaką tej zmiany jest fakt, że młodzi odcięli się od starych. Ale oni muszą tak postępować, gdyż dzięki temu zyskują wolność, która pozwala im spełnić ich obowiązki. Dzięki tej wolności wygnają wroga z kraju. Czy nie zauważyłaś, że teraz wielu z nich wyklina na swoich rodziców?

– Zauważyłam. I uważam to za karygodne – odrzekła porywczo Ling Sao. – Bo gdy dzieci, którym daliśmy życie, odmawiają tego, co są nam winne, grunt usuwa się nam spod nóg.

– A ja bym ich za to tak bardzo nie ganił – powiedział Ling Tan. – My, starzy, powinniśmy bowiem wiedzieć, że nasze dzieci zachowują się w ten sposób, by zaznaczyć, że są wolne. A także zdolne do przyjęcia tego co nowe.

Ling Sao jednak nie była w stanie tego dostrzec. Widziała tylko, że starzy nie mogą już dłużej liczyć na posłuszeństwo młodych. I sądziła, że skoro tak, to starym ludziom nic już nie zostało. No bo jeżeli tak jest, myślała, to gdzież podział się życiowy porządek?

Ling Tan natomiast potrafił być bardziej dalekowzroczny. Nie był co prawda człowiekiem uczonym, zatem to, co widział, majaczyło przed jego oczami niewyraźnie niczym mgła. Mimo to rozumiał, że nieposłuszeństwo jego synów bierze się nie z tego, że żywią do niego nienawiść, lecz stąd że ci młodzi muszą wyzwolić się ze wszystkiego, co wynika z przeszłości, i przygotować się na to, co przyniesie przyszłość. Tak, myślał dalej, moi synowie przekroczyli granicę mojego świata.

– Czy ty mnie nienawidzisz? – szepnęła Nefryt do męża.

Teraz, gdy jej plan się powiódł, ogarnął ją strach.

– Jak mógłbym cię nienawidzić? – odrzekł Lao Er.

Spojrzała na swoje ciało i na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech. Była naga, bo właśnie się wykąpała.

– Nie dostrzegam w sobie urody – powiedziała i skrzyżowała ręce na piersi. – Jestem chuda, moje ciało zrobiło się takie twarde. Dzisiaj, gdy prałam, spojrzałam na swoje odbicie w wodzie i zobaczyłam, że twarz mam ciemną, całkiem niekobiecą.

Mówiąc to, chwyciła ubranie i okręciła się nim szczelnie.

Lao Er siedział przy stole i pił właśnie swoją wieczorną herbatę.

– Nie wyglądasz tak jak wtedy, gdy braliśmy ślub, to prawda – przyznał.

Spojrzała na niego przez ramię i wciągnęła na siebie bawełniane spodnie.

– Czy ożeniłbyś się ze mną, gdybym wtedy wyglądała tak jak teraz?

– Z pewnością nie – odrzekł z uśmiechem. – Ale przecież i ja nie byłem wtedy tym samym człowiekiem, którym jestem teraz. I to, co zadowalało mnie wtedy, nie zadowoliłoby mnie obecnie.

Zauważyła jego uśmiech i zrobiło jej się lżej na sercu. Jej twarz przybrała psotny wyraz.

– Teraz, gdy ci się uważniej przyglądam – rzekła – widzę, że nie jesteś tak przystojny jak kiedyś. Jak ty szerniałeś od słońca!

– Tak, jestem bardzo czarny – przyznał.

– A twoje włosy mają barwę zardzewiałego żelaza – mówiła dalej.

– To prawda – zgodził się znowu.

Chwyciła stojące na stole lustro.

– Ale jakie znaczenie ma wygląd człowieka? – zapytała.

– Jeżeli uroda nie ma znaczenia dla ciebie, to nie ma jej w ogóle – odrzekł, nadal się uśmiechając.

Nefryt spojrzała w lustro i poprawiła usta.

– Czy przyjdzie jeszcze kiedyś taki czas, że będę się malowała i używała pudru? Czy zawieszę w uszach kolczyki? – zapytała.

– Kto wie – odrzekł.

– Nie podarowałeś mi wtedy tamtych kolczyków – przypomniała.

– Wybrałaś książkę – powiedział.

Nefryt wciąż patrzyła w lustro.

– Może źle zrobiłam – stwierdziła.

– Zatem pewnego dnia kupię ci kolczyki – powiedział i teraz śmiał się już głośno i serdecznie.

Narastało między nimi to słodkie ciepło, którego dosłownie nic nie było w stanie ochłodzić. Byli tak sobie bliscy, że pomimo zmęczenia i zagrożeń, pomimo całego zła, pośród którego przyszło im żyć, wciąż potrafili oddawać się miłości. I ta miłość wcale nie malała.

A mimo to tej nocy, nieco później, Lao Er miał wrażenie, że Nefryt zachowuje się dość powściągliwie.

– O co chodzi? – zapytał, chcąc dociec przyczyny.

A wtedy ona ukryła głowę na jego ramieniu – tak jak to czyniła dawniej, gdy ogarnęła ją nieśmiałość. Lao Er odsunął ją delikatnie od siebie, by spojrzeć jej w twarz, lecz ona uciekła w bok wzrokiem.

– Czy... czy masz pewność – zapytała, zająknąwszy się – że nie jestem w twoich oczach mniej kobieca... z powodu tego... co zrobiłam?

– A co masz na myśli? – zdziwił się. – Przecież ty ciągle coś robisz!

– Ta trucizna! – szepnęła. – Czasami, gdy budząc się, myślę o tym, zaczynam nienawidzić samej siebie.

– Ale ci ludzie byli diabłami – powiedział.

– Wiem – odrzekła. – Jednak... czy kiedyś nie przyjdzie taki dzień... już po wojnie, gdy zapanuje pokój... Czy nie przyjdzie taki moment, w którym ty spojrzysz na mnie i powiesz swemu sercu: „Ona potrafiła dodać do jedzenia trucizny”? I czy nie pomyślisz wtedy, że straciłam wiele ze swojej kobiecości?

Lao Er, słysząc te słowa, nabrał pewności, że nareszcie dobrze wie, jaka naprawdę jest jego żona. Potrafiła być przecież tak odważna, tak z pozoru silna, a mimo to serce miała czułe i nieśmiałe. Kochał ją za tę czułość serca bardziej niż za całą jej odwagę. I wiedział doskonale, co sprawi jej największą przyjemność.

– Wykazałaś się wielką odwagą – rzekł jej. – Tylko wyjątkową kobietę, naprawdę, stać na coś takiego.

Ale zaraz uświadomił żonie, gdzie jest jej miejsce.

– Sprawdziłaś się – powiedział stanowczo. – I dosyć już tego. Talach, co potrafią zabijać wrogów, jest wielu. A ty masz poważniejsze obowiązki.

Cóż mógł powiedzieć, by dać jej do zrozumienia, że ją bardzo kocha i że do końca swoich dni będzie ją darzył taką samą miłością? Cóż mógł powiedzieć, by ją zapewnić, że kocha nie jej abstrakcyjną kobiecość, tylko ją samą, konkretną ludzką istotę, i nic innego się nie liczy.

Kręcił się na postaniu, a miłość wezbrała w nim do rozmiarów przekraczających możliwość wyrażenia słowami. Przytulił ją mocno, objąwszy ramionami, i badał wzrokiem każdy najdrobniejszy rys jej twarzy. Patrzył na włosy i oczy, na usta i na nos. Jeżeli ta twarz miała jakąś skazę, to były nią nozdrza – odrobinę za szerokie. Jednak w oczach Lao Era i one odznaczały się doskonałością – bo harmonizowały z jej pełnymi ustami i opływowym, wydłużonym kształtem oczu osadzonych płytko i przypominających dwa ciemne liście.

– Czas, byśmy mieli następne dziecko – powiedział. – Oczekuję od ciebie dzieci, wielu dzieci. A ty, jeżeli chcesz mnie ucieszyć, wydawaj je na świat jak najczęściej. Bo

pragnę ich tylko od ciebie, nie od żadnej innej kobiety!

# XIII

Wu Lien pisał właśnie pod dyktando jednego z wrogów. Trzymał swój pędzelek z wielbłądziego włosia pionowo między kciukiem a palcem wskazującym i środkowym, a dwa pozostałe palce podkulił niby nóżki świerszcza. Robił to już wiele razy i zawsze, gdy skończył pisać, wrogowie zabierali tekst i drukowali go wielkimi literami na dużych arkuszach papieru, które rozklejali potem na murach domów i świątyń.

Pokój, w którym Wu Lien znajdował się w tej chwili w towarzystwie jednego z wrogów, pełen był pięknych zagranicznych mebli zrabowanych z wielu miejsc, zwłaszcza z domów białych ludzi, którzy osiedli w tym mieście. Stały tu między innymi trzy fortepiany, a podłoga przykryta była błękitno-złocistymi dywanami. Te ostatnie miały zostać wkrótce spakowane i wysłane do domów wrogów za oceanem. Tymczasem jednak Wu Lien siedział pośród całego tego luksusu i milczał, podczas gdy wróg dyktował mu powoli tekst. A przy tym, co kilka liter, pytał go głośno:

- Napisaliście to, co kazałem?
- Napisalem – odpowiadał za każdym razem Wu Lien tonem nader łagodnym.
- To piszcie dalej – mówił wtedy wróg.

I Wu Lien pisał. U góry kartki, namalowane wielkimi, czarnymi literami, widniały słowa: GWIAZDA OCALENIA! NOWY PORZĄDEK WE WSCHODNIEJ AZJI! A poniżej mniejsze litery głosiły: „Współobywatele! Przez ponad sto lat cierpieliśmy uciemżeni przez białych ludzi. W ciągu tego czasu, w okresie trwającym dłużej niż cały wiek, stawialiśmy zdecydowany opór, szukając sposobności, by zrzucić z siebie jarzmo i wyrwać się z niewoli, którą nam narzuciła biała rasa. Jednak bez rezultatu!”.

Tu wróg przerwał dyktowanie.

- Czyż to nie jest prawda, Chińczyku? – krzyknął.

Był drobnym człowieczkiem o gniewnej twarzy. Niezwykle niski wzrost skłaniał go do bezustannego wprawiania się we wściekłość. Gdy tylko został sam, zaczynał czesać sobie brwi małą szczoteczką do zębów, którą nosił w kieszeni. Nigdy też nie widziano go bez munduru, a był to mundur kapitana, choć człowiek ten trudnił się jedynie sporządzaniem plakatów, które rozklejano na murach. Swoje teksty podpisywał niezmiennie trzema słowami:

„Wielki Związek Narodowy”, stwarzając w ten sposób wrażenie, że nie pochodzą od najeźdźców, tylko od rządu, który powołali dla podbitego narodu.

Wu Lien podniósł teraz wzrok, po czym, udając zdziwienie i trzymając w górze pędzelek, zapytał miękko, pojednawczym tonem:

– Czy co nie jest prawdą, panie?

– To, co napisałeś, głupcze! – wrzasnął mały człowieczek.

Wu Lien przeprosił.

– Nie uważałem, co piszę – powiedział. – Musicie mi to, panie, wybaczyć, bo po tej truciznie wciąż kręci mi się w głowie i nie mogę jasno myśleć.

I rzeczywiście, był wciąż bardzo blady. Nie żałował jednak, że został podtruty, bo w ten sposób udowodnił swoją pozorowaną wierność wobec zwierzchników. No bo jak uniknąłby ich podejrzeń, gdyby jako jedyny jej uczestnik nie zachorował po tamtej biesiadzie? Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się spotkać ludzi tak podejrzliwych jak oni. Wiedzieli bowiem doskonale, że tutaj, w podbitym kraju, wszyscy wokół życzą im śmierci. A z kolei Wu Lien zdawał sobie sprawę, że żyjąc wśród nich, stąpa bezustannie po linie, która wisi nad przepaścią.

Mały człowieczek spiorunował go wzrokiem i rozkazał:

– Piszcie dalej!

Więc Wu Lien pisał:

„Dlaczego *rzeczy* miały się w ten sposób? Dlatego że kraj był zbyt słaby, wykazywał niedostatek siły”.

Mały człowieczek grzmiał, wypowiadając te zdania, lecz łagodna, blada twarz Wu Liena nie zmieniła wyrazu. Pisał po prostu, powtarzając cicho słowa, tak jak kiedyś nazwy towarów, którymi handlował w swoim sklepie.

„Obecnie jednak – grzmiał dalej mały człowieczek – spotyka nas wielkie szczęście, gdyż rozwój bieżących wypadków daje nam szansę, byśmy wykorzystali siłę przyjaznego narodu, pozwalającą nam spełnić pielęgnowane od dawna życzenie zemsty na białej rasie! Gdy to uczynimy, staniemy się ludem cieszącym się całkowitą wolnością! A przy tym Nippon, kraj nam tak bardzo przyjazny, choć dokonał na naszą rzecz ogromnego wysiłku, choć poniósł ogromną ofiarę, nie żąda niczego w zamian poza tym, byśmy we Wschodniej Azji ustanowili Nowy Porządek!”.

Tu mały człowieczek wypiął pierś, podkreślił swego krótkiego, rzadkiego wąsika i odkaslnął. Wu Lien tymczasem patrzył na niego i czekał. Jak to jest, zastanawiał się przy tym w duchu, że ci drobni dzicy ludzie mają takie mizerne włosy? Zawsze myślałem, że

dzikusy są owłosione.

– Piszcie dalej! – rzucił mały człowieczek.

– Piszę – odrzekł łagodnie Wu Lien.

„Celem tego Nowego Porządku jest... – wrzasnął mały człowieczek i wstał, bardzo zadowolony z tego, co wymyślił. – Celem tego Nowego Porządku jest nie tylko nasze chwilowe ocalenie, ale w istocie także nasze wieczne wybawienie! Zatem od tej chwili z całą pewnością będziemy się cieszyli trwałą wolnością! Współobywatele, Nowy Porządek we Wschodniej Azji jest prawdziwą Gwiazdą Ocalenia dla naszego czterystumilionowego narodu!”.

Po tych słowach, nie posiadając się z zachwyty nad własną osobą, mały człowieczek krzyknął:

– *Banzai! Banzai!*

Wu Lien znowu podniósł wzrok.

– Czy to też mam zapisać?

Tamten jednak nie był zachwycony jego spokojem.

– Odpowiedz „*Banzai*” na te szlachetne słowa – krzyknął.

– „*Banzai*” – powtórzył za małym człowieczkiem Wu Lien łagodnym tonem i zapisał to słowo. – Czy to już koniec?

Mały człowieczek spojrzał na niego z wściekłością. Coś z tym spokojnym urzędnikiem było nie tak, nie wiedział jednak co.

– Nie zapisuj słowa *banzai!* – krzyknął. – Czy ty nie masz rozumu?! To jest państwowy dokument!

Wu Lien skreślił słowo „*Banzai*”.

– Jakim nazwiskiem mam podpisać ten tekst, panie? – zapytał, podnosząc kartkę i dmuchając na nią.

– Podpisz: „Wielki Związek Narodowy” – odrzekł mały człowieczek.

Wu Lien zapisał więc nazwę nieistniejącego związku.

– Czy ma to być umieszczone tam gdzie zwykle? – zapytał, wstając z kartką w dłoni.

– Ma się znaleźć wszędzie! – wrzasnął wróg.

Wu Lien uklonił się i wyszedł, stąpając bezszelestnie w swoich płóciennych pantoflach po przykrytych dywanami podłogach. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, wydał rozkazy komu trzeba – poprawnie i z godnością – a potem, czując się dość słabo, udał się do swojego mieszkania, gdzie czekała na niego żona. Od czasu tamtej biesiady niezmiernie się o niego niepokoiła, z drugiej jednak strony cieszyła się, że Wu Lien został podtruty, bo gdyby

tak się nie stało, mógłby później ucierpieć znacznie bardziej. Teraz przygotowała mu rosół z kury, do którego domieszała nieco mchu mającego moc leczenia schorzeń jelitowych. Gdy Wu Lien zjawił się w mieszkaniu, naląła rosółu do miski, wzięła ją w obie dłonie i podała mu. A ponieważ była dobrą żoną, uczyniła to w milczeniu. Zaczekała, aż mąż wypije rosół, i dopiero wtedy się odezwała:

– Czy dobrze robimy, mężu, mieszkając nadal w miejscu, gdzie twoje życie jest tak bardzo zagrożone?

– A czy istnieje jakiegokolwiek miejsce, w którym mojemu życiu nic nie grozi? – odpowiedział jej pytaniem na pytanie. – W czasach takich jak obecne człowiek musi wybierać, czy chce żyć w jaskini lwa, czy tygrysa.

Po tych słowach Wu Lien zamknął oczy i opadł na oparcie fotela, a żona, nic już nie mówiąc, pozostawiła go w spokoju.

Parę godzin później w całym mieście pojawili się ludzie z długimi szczotkami, które zanurzali w mącznym kleju, i zaczęli rozlepiać na murach odezwę z tekstem napisanym przez Wu Liena. Za nimi postępował niewielki tłumek złożony z ludzi, którzy zdawali się je czytać. Jednak tylko nieliczni robili to naprawdę. Większość tej grupy bowiem stanowili po prostu głodni biedacy, którzy mieli nadzieję zanurzyć miskę w kleistej papce. Każdy, któremu to się udało, chował się potem za murem i wypijał tę mieszaninę wody z mąką w ukryciu. W tym czasie były wielkie trudności ze zdobyciem mąki, która na dodatek była bardzo droga. Więc wygłodniały ludzie korzystali z okazji, by trochę sobie podjąć. Natomiast ci, co rozlepiali arkusze na murach, zdawali się nie zauważać, że klej zużywa się tak szybko. Gdy im go zabrakło, uzasadniali to tym, że rozlepili ich bardzo wiele. Było to oczywiście kłamstwo, bo po prostu rozdawali te płachty papieru przechodniom na ulicy, a ci wykorzystywali je na podpałkę.

Tego dnia w jednym z miejsc, w których wokół rozlepiaczy skupi! się tłum ludzi, znalazł się uczony kuzyn Ling Tana. Spojrzał na mur i zauważył odezwę. A trzeba tu powiedzieć, że był on człowiekiem, który widząc jakikolwiek napis, natychmiast go odczytywał. Częściowo wynikało to z samej jego natury, a częściowo z faktu, że lubi! się popisywać przed tłumem ignorantów niepotrafiących odróżnić jednej litery od drugiej. Dzisiaj także przesunął się na czoło grupy, włożył okulary w mosiężnej oprawie i zaczął bardzo głośno i powoli czytać tekst napisany przez Wu Liena. Zorientowawszy się, jak bardzo



uczony jest ten stary człowiek, tłum zamilkł i z ciekawością i szacunkiem wysłuchał go do końca.

Po czym zapanowała wielka cisza.

Wszyscy słuchacze milczeli. Milczał także uczony kuzyn. Nikt nie potrafił wyrazić własnych, płynących z głębi serca uczuć. Nikt też nie odważył się wybuchnąć śmiechem. Ci ludzie, którzy kiedyś byli wolni, którzy w czasach, gdy te ulice należały do nich, śmiali się tutaj swobodnie i pomstowali, którzy wyrażali na głos swój gniew i nienawiść z równą łatwością jak pochwały pod adresem bogów i niektórych swoich bliźnich – teraz nie powiedzieli ani słowa. Już nauczyli się milczeć i poruszać po mieście w pełnej gniewu ciszy. W milczeniu więc oddalili się z tego miejsca. Odszedł też stamtąd i uczony kuzyn, żałując gorzko, że przeczytał odezwę. Pobudzała ona do myśli o zemście, gdy tymczasem on szukał tylko zapomnienia.

I ostatnimi czasy znajdował je. Tak, znajdował zapomnienie i ukojenie. A zawdzięczał to opium. Teraz także skierował kroki na południe, do małego sklepiku na sąsiedniej uliczce, gdzie można je było tanio kupić. Drzwi tego lokaliku zawsze, i dniem, i nocą, były szeroko otwarte. Kiedy uczony kuzyn przekroczył jego skromny próg, wyszła mu na spotkanie zezowata dziewczyna o pożółkłej twarzy i wskazała zbitą z desek pryczę z drewnianym podglówkiem, na której leżała garść słomy. Uczony kuzyn wyciągnął się na niej i czekał. Tymczasem dziewczyna zrobiła mieszankę z resztek opium, wlała ją do zbiornika fajki, zapaliła tę fajkę i wetknęła mu w usta. Uczony kuzyn zaciągnął się natychmiast słodkim dymem. Wdychał ten dym głęboko z zamkniętymi oczami. Och, co za spokój, myślał przy tym, jaka samotność i błogość! Nie miało już dla niego znaczenia, kto rządzi krajem, bo tutaj, w tym wnętrzu, nikt nie miał nad nim władzy. Jego ciało leżało jak martwe, a duch wędrował gdzieś daleko. Tak, znajdował się z. dala i od tego ciała, i od całego zła świata. Uczony kuzyn był wolny.

Jak doszło do tego, że wpadł w szpony nałogu? Otóż przyczyną stało się jego cierpienie. A cierpiał, bo uwięziony w pułapce własnego życia, potrafił dostrzec całe zło swego postępowania. Bojąc się żony, chodził z jej meldunkami do Wu Liena. Częstokroć były to wiadomości mało znaczące i całkiem bezużyteczne. Żona uczonego kuzyna meldowała na przykład, że widziała jakichś nieznajomych, którzy jej zdaniem byli ludźmi ze wzgórz udającymi się na zachód. Czasami jednak donosiła, że w wiosce zjawili się synowie Ling Tana i że się ukryli w domu swego ojca. Wiadomości te miały więc różną wagę, jednak

uczony kuzyn zmuszony był przekazywać wszystkie. A robił to dla pieniędzy, które oboje z żoną otrzymywali od Wu Liena. Nieraz kusilo go, żeby coś przeinaczyć, na przykład pomylić kierunki albo też zapomnieć o synach Ling Tana. Jednak nie wystarczało mu odwagi. Nie miał przy tym pojęcia, jaki użytek Wu Lien i jego zwierzchnicy zrobią z tych wiadomości. A ponadto bał się, że wrogowie schwytają go i złączą torturować. Bał się, że wydłubią mu oczy, wyciągną z niego wnętrzności, utną mu uszy, nos albo rękę. Słowem, że popełnią na nim jedno z tych okrucieństw, których obawiali się wszyscy i które powszechnie uważano za coś, co może przydarzyć się każdemu w każdej chwili.

– Nowy Porządek! – mruknął teraz i zaczął pogrążyć się we śnie.

Chuda dziewczyna pochyliła się nad nim.

– Co mówicie? – zapytała.

Ale jego już nie było, nie mógł więc odpowiedzieć. Za trzy godziny dziewczyna go obudzi, a on zapłaci jej drobną monetą i odejdzie. Następnie, wciąż oszołomiony narkotycznym snem, uda się do Wu Liena i opowie mu to, co będzie jeszcze pamiętał. Wu Lien da mu za to dwie monety, z których on jedną zatrzyma dla siebie na opłacenie kolejnej wizyty w tym przybytku. Z początku bał się, że to się pewnego dnia wyda. Teraz jednak wyzbył się wszelkiego strachu i pragnął tylko jednego: mieć dość pieniędzy, by móc tu wracać. Marzył też o jakiejś większej sumie, która pozwoli mu udać się tam, gdzie sprzedają prawdziwe opium, a nie tylko resztki z fajek pochodzące z lepszych palarni. Trzeba też powiedzieć, że nie był w tym nałogu osamotniony, gdyż wielu ludzi, straciwszy nadzieję na odzyskanie wolności i powrót do dawnego życia, stawało się, podobnie jak on, jego ofiarami.

W wiosce, gdzie uczonego kuzyna lekceważono, uważając go za przygłupiego staruszka, nikt nie spostrzegł, co się z nim dzieje. Ling Tan zauważył co prawda, że jego kuzyn schudł, wysechł i pozołkł na twarzy. Jednak tak działo się ze wszystkimi, ponieważ od dawna brakowało żywności, a na dodatek wielkie powodzie zniszczyły tegoroczne plony. Mimo to Ling Tan, inaczej niż w poprzednich latach, nie przeklinał za nie Niebios. To prawda, że często bywał głodny i często narażał życie, ukrywając żywność dla rodziny, ale cieszył się, gdy spadły deszcze, bo tego roku za straty mieli zapłacić wrogowie.

Jednak niebo pomaga ziemi, powiedział do siebie.

Tymczasem żona uczonego kuzyna miała wiedzę o wszystkim, co dzieje się w domu Ling Tana, i dzieliła się nią z Wu Lienem. A Wu Lien nadal trzymał język za zębami. Nadal też mieszkał w pałacu zagarniętym przez wrogów i wykonywał swoją pracę. Ale mówił niewiele. W oczach swoich zwierzchników uchodził za człowieka łagodnego, gotowego spełniać wszelkie rozkazy, za co płacono mu dobrze. A on wszystkie pieniądze, podobnie jak

całą wiedzę o mieszkańcach wioski, zachowywał dla siebie, nie mając na razie pojęcia, jak je w przyszłości wykorzysta. Pieniędźmi nie dzielił się z nikim, nie przeznaczał ich na żadne dobroczynne cele, a na potrzeby własne i rodziny wydawał tylko tyle, ile było konieczne. Jego dzieci rosły w pałacowych murach, bawiły się z dziećmi wrogów, ucząc się ich języka, a on temu nie przeciwdziałał. Do szkoły ich nie posyłał. Zonę kochał umiarkowanie i na swój własny sposób. Pocieszał ją, gdy narzekała, że nie widuje rodziców, mówiąc, że kiedy nastaną lepsze czasy, stosunki z nimi z pewnością się poprawią.

Swoich tajemnic nie ujawniał nikomu. Uważał bardzo, żeby zachowaniem, tonem głosu czy spojrzeniem nie zdradzić, że posiada jakąś szczególną wiedzę. Miał ją jednak, bo regularnie odwiedzało go z dziesięć czy dwanaście osób, kobiet i mężczyzn, które dostarczały mu wszelkiego rodzaju informacji, służąc za jego oczy i uszy. To od nich dowiadywał się o okrucieństwach wroga. Od nich usłyszał, że wróg nadal pali wioski i grabi kraj tak jak przedtem łupił miasto. To oni donosili mu, co robią ludzie na wzgórzach. Wcześniej też niż Ling Tan dowiadywał się o wszelkich poczynaniach jego synów. Głowa Wu Liena była pełna wiedzy, której on, jak się zdawało, nigdy nie wykorzysta.

Trzeba tu zaznaczyć, że Wu Lien był człowiekiem na swój sposób lojalnym i wiernym. Po wyzwoleniu miasta zamierzał wrócić do swoich interesów. Tymczasem jednak, gdy wciąż panowali tu najeźdźcy, działał – we własnym mniemaniu – na rzecz swego narodu. I pocieszał się myślą, że kiedyś uda mu się dokonać czegoś wielkiego i udowodnić, że jest bardzo dobrym człowiekiem. Tymczasem robił rzeczy drobne i we własnym mniemaniu słuszne. Ponieważ pieniądze, którymi opłacał swoich szpiegów, pochodziły od wroga, musiał się z nich rozliczać. Pisał zatem długie drobiazgowo sprawozdania. Jednak o wiosce Ling Tana nie informował swoich zwierzchników, najwyżej czasem wymieniał jej nazwę. Nie donosił też o działaniach ludzi ze wzgórz. Wspominał jedynie o takich, które miały miejsce bardzo daleko, nie tam, gdzie znajdowali się synowie Ling Tana. Oszczędzał krewnych żony na wszelkie sposoby – nie tylko ze względu na nią, ale także dlatego, że Ling Tan pochował jego starą matkę, dając jej schronienie w ziemi w momencie, gdy nie wszyscy mogli je otrzymać.

Jego miasto w tym czasie przypominało wyspę na morzu. Nie docierały bowiem do niego wieści z zewnętrznego świata. Nikt tutaj nie miał pojęcia, co robią ludzie na wolnych terytoriach, i mieszkańcy miasta często zadawali sobie nawzajem pytanie: „Czy jest jakaś nadzieja na to, że nasze wojska wrócą?”. Jako że wśród tych, co kiedyś tak bardzo narzekali na własnych żołnierzy, nie było teraz nikogo, kto nie wspominałby ich z tęsknotą jako dobrych ludzi – tak straszny okazał się wróg, tak okrutni najeźdźcy znanego z Wschodniego

Oceanu. Zabierali oni z miejscowych ubogich sklepików wszystko, co chcieli, dając w zamian całkiem bezużyteczne, od dawna niehonorowane pieniądze. Czasami zdarzało się, że płacili pieniędzmi zagranicznymi, a czasami nie płacili wcale. Porywali uczciwe kobiety, choć nie brakowało kurtyzan, które zjechały się do miasta ze wszystkich stron na wieść, że przebywają tu nieprzyjacielscy dostojnicy, a także znajduje się masa wojska.

Wu Lien potrafił znaleźć sobie przyjaciela nawet pośród wrogów. Był nim pewien dobry człowiek – nie żaden wojownik, tylko artysta trudniący się malowaniem obrazów. Wyruszał on dzień w dzień do miasta w poszukiwaniu tematów. I szukał rzeczy dobrych, a znajdował zło. Niejeden raz widział na własne oczy, jak jego ziomkowie polują na kobiety i jak hańbią nie tylko młode, ale także i stare. Widział, jak w pełnym świetle dnia upojeni winem żołnierze popełniają swoje plugawe czyny. Widział, że robią to na oczach przyzwoitych ludzi, którzy straciliby życie, gdyby się im przeciwstawili. Bywał też świadkiem śmierci tych, co się odważyli zaprotestować. I zmęczył go ten ogrom zła do tego stopnia, że pewnego dnia powiedział na osobności do Wu Liena:

– Nie znam miejsca, gdzie mógłbym wyrazić to, co czuję. Jednak wam powiem, że nienawidzę tego, co moi rodacy robią waszemu narodowi. Wstydę się tego ogromnie i pragnąłbym, żeby nasz Cesarz o tym wiedział. Jednak, niestety, nie jest to możliwe, bo nie znajdzie się śmiałek, który poinformuje go o tym. Co tu zresztą mówić o Cesarzu? Nikt z moich rodaków w kraju by nie uwierzył, gdyby mu powiedzicie, jakie okrucieństwa popełniają tutaj jego ziomkowie.

Wu Lien wysłuchał malarza, po czym udzielił mu słusznej odpowiedzi. I od tej pory byli przyjaciółmi. Wu Lien mówił przy tym mało, a tamten człowiek bardzo wiele. Od niego to Wu Lien usłyszał po raz pierwszy, że wojna toczy się nie tylko w tym kraju, że trwa także gdzie indziej – może nawet na całym świecie.

– Skąd wy wiecie to wszystko? – zapytał go raz zdumiony.

A wtedy malarz zaprowadził go do swojego pokoju i pokazał mu małą czarną skrzynkę – rzecz, o której Wu Lien kiedyś słyszał, której jednak nigdy nie widział na własne oczy. Mężczyzna pokręcił jednym kołkiem, a potem drugim i ze skrzynki popłynął bardzo cichy głos.

– Posłuchajcie – powiedział do Wu Liena.

Wu Lien nadstawiał zatem uszu. Głos wydobywający się ze skrzynki mówił o wielkich wydarzeniach i Wu Lien po raz pierwszy usłyszał na własne uszy, że różne narody powypowiadały sobie wojnę i że na wielkie miasta Zachodu – podobnie jak niedawno na miasta w jego rodzinnym kraju – spadają bomby. Czymże więc były mało istotne

wiadomości, które uzyskiwał od swoich szpiegów w obliczu tak doniosłych wieści?

– Gdzie mógłbym kupić taką skrzynkę? – zapytał malarza.

– Zdobędę dla was jedną – obiecał tamten.

A potem rozmawiali jeszcze długo i Wu Lien dowiedział się, jak wielka jest wojna, która się teraz toczy. Malarz powiedział mu, że wszyscy ludzie żyjący w jego kraju stanowią część wielkiej całości i że pewnego dnia wojna ogarnie wszystkie narody. A potem westchnął ciężko.

– Moi ziomkowie cieszą się z tego – oznajmił. – Upatrują w tym szansę na uzyskanie władzy i bogactw, a każdy z nich chce zdobyć je dla siebie. Ja jednak nie pragnę takich rzeczy. Chciałbym po prostu wrócić do domu, do swego spokojnego, położonego nad morzem miasta, i żyć tam z żoną, dziećmi i starymi rodzicami. Nie pragnę niczego więcej.

– To człowiekowi wystarczy – zgodził się Wu Lien.

– Wydaje się jednak, że w dzisiejszych czasach jest to życzenie zbyt wygórowane – odrzekł mężczyzna ze smutkiem.

W taki to sposób Wu Lien wszedł w posiadanie czarnej skrzynki, którą po niedługim czasie podarował mu jego nowy przyjaciel. Wu Lien ustawił ją w swoim pokoju i odtąd w każdej wolnej chwili budził jej głos do życia i długo w noc nie dawał mu zamilknąć. I słuchał. Przez większość czasu ze skrzynki płynęły jakieś głupstwa, jakaś dziwna muzyka albo nic nieznaczące słowa. Jednak niekiedy wydobywała się z niej prawda. Wu Lien chłonał ją zachłannie. Słuchał, jak cierpią ludzie w obcych krajach, dowiadywał się, że spotyka ich to samo co jego własny naród. Słyszał gniew ludów i wściekłość władców. Gdy wiadomości się kończyły, szedł spać oszołomiony i drżący w obliczu ogromu tych wydarzeń.

Zło, zło, mrucał do siebie. To wszystko jest złem.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała go pewnej nocy żona. – To chyba przez tę zupe, którą zjadłeś przed snem. A coś mi się zdawało, że ona źle pachnie.

Wu Lien tylko jęknął na to w duchu. Jak miał powiedzieć tej kobiecie, że świat ulega zagładzie? Zamknął się w sobie jeszcze bardziej. Wiedział teraz bowiem, że pokój jest czymś bardzo odległym. Tak, tak, myślał sobie, jest tak odległy, że może nastać dopiero wtedy, gdy ludzie zapomną, jak wygląda. Gdy zapomną o nim, tak jak zapomina się o dawnym śnie. A młodzi? Oni nie będą nawet o nim marzyć, ponieważ nigdy go nie zaznali.

Wu Lien słuchał swej skrzynki coraz częściej – za dnia i w nocy. Aż pewnego razu zastał go przy tym słuchaniu uczony kuzyn Ling Tana, który zjawił się w jego domu z kolejną porcją wieści. Widząc czarną skrzynkę, zapytał, co to takiego. Wu Lien wyjaśnił, a potem, przejęty tym, co z czarnej skrzynki usłyszał, powiedział uczonemu kuzynowi, że cały świat

jest w stanie wojny. Uczony kuzyn zapytał, jak to się dzieje, że docierają do niego takie wiadomości. Wu Lien pokazał mu więc, jak działa skrzynka i którym kołkiem należy pokręcić, żeby wydobył się z niej głos. Ze skrzynki popłynęła muzyka. Były to dźwięki przyjazne, a uczony kuzyn pod ich wpływem wpadł na pewien pomysł.

A trzeba tu przy okazji zaznaczyć, że nie był on takim głupcem, na jakiego wyglądał. Doznał jednak w życiu – najpierw ze strony matki, a potem żony – takiej poniewierki, że nigdy dotychczas nie był w stanie zmobilizować woli i rozumu do sensownego działania. Jego położenie pogarszał jeszcze fakt, że będąc człowiekiem miłującym naukę, żył w absolutnym osamotnieniu wśród ludzi całkiem niewykształconych. Ostatnio jednak opium uczyniło za niego to, czego on samodzielnie zrobić nie potrafił. Od czasu, gdy zaczął je palić, kryjąc się z tym przed ludźmi, żył ogarnięty taką rozpaczą i w takim poczuciu zagrożenia, że żadne nowe niebezpieczeństwo go już nie przerażało. Dbał tylko o to, by codziennie dostać swoją porcję narkotyku. A ten sprawił, że on – człowiek, który dotychczas nocą nie śmiał wystawić głowy spod kołdry i sprawdzić, co wyczyniają harujące szczury – nie zmieniając się wcale pod względem zewnętrznym, nabrał jakiejś wewnętrznej zuchwałości. Kradł, co się dało, z lad sklepowych, by potem to sprzedawać. Zastawił chyłkiem całkiem przyzwoitą garderobę żony, a kiedy ta podniosła krzyk, że ktoś ją okradł, nie mrugnął nawet okiem. I nikt nie potrafił lepiej od niego udawać zdumienia. Wszystko, co miał, szło na opium. Wydawał na narkotyk pieniądze otrzymane od Wu Liena, a żonie mówił, że nic od niego nie dostał. Nabrał też zwyczaju palenia opium przed pójściem do niego. Dodawało mu to bowiem odwagi i ułatwiało wymyślanie różnych kłamstw. Natomiast po wyjściu od Wu Liena palił ponownie z tego prostego powodu, że miał dwie monety w kieszeni. I trzeba powiedzieć, że jego odwaga rosła wraz z narkotycznym głodem.

Dziś, przy dźwiękach muzyki płynącej z czarnej skrzynki, przyszło mu do głowy, że bardzo dobrze byłoby mieć takie urządzenie, umieścić je w jakiejś kryjówce, słuchać go, a potem w herbaciarni udzielać ludziom informacji i pobierać za to opłatę. Pieniądze uzyskane w ten sposób mogłyby przecież przeznaczyć, na co tylko zechce. Gdyby mózg uczonego kuzyna działał normalnie, pomysł ten nie przyszedłby mu do głowy. Wiązał się bowiem z wielkim ryzykiem. Jednak w stanie nienaturalnego pobudzenia wydał mu się niezmiernie łatwy do realizacji. Uczony kuzyn Ling Tana siedział tego dnia u Wu Liena bardzo długo. Udając, że słucha skrzynki, dowiedział się o niej wszystkiego. Wykazał się przy tym dwa razy większą bystrością umysłu niż zwykle. Jego wizyta przedłużała się, a w pewnej chwili Wu Liena odwołano do jakichś obowiązków.

– Nie mam ochoty was tu zostawiać – powiedział Wu Lien. – Bo słuchanie takiej

skrzynki jest sprzeczne z prawem naszych wrogów. Ja mogę to czynić bez ryzyka tylko dlatego, że mieszkam w tym domu. Jednak gdyby ktoś się dowiedział, że wy słuchacie jej tutaj sami, mielibyśmy obaj poważne kłopoty.

– Pozwól mi tylko wysłuchać tego do końca, a potem już sobie pójdę – błagał uczony kuzyn.

Wu Lien zgodził się na to, po czym wyszedł. A uczony kuzyn chwycił skrzynkę, odczepił wychodzące z niej druty od sięgającej dachu metalowej żerdzi, ukrył skrzynkę pod swoją obszerną szatą, przywiązał druty do pasa na brzuchu i opuścił budynek z takim samym spokojem, z jakim tu niedawno wszedł. Wszyscy w tym domu go znali, więc mógł poruszać się swobodnie. Ale doskonale wiedział, że nie odważy się więcej stanąć z Wu Lienem twarzą w twarz. Nie dbał jednak o to. Miał teraz przecież sposób, by zarobić pieniądze, których potrzebował.

Musiał jednak znaleźć jakiegoś współnika w mieście. Kto by mógł nim być? – zachodził w głowę. Nie chciał zabierać skrzynki do swego domu w wiosce, bo wciąż oszukiwał żonę. Żona nie mogła się dowiedzieć, ile uczony kuzyn Ling Tana ma pieniędzy, a poza tym miała w dalszym ciągu żywić przekonanie, że jej mąż ciągle odwiedza Wu Liena. Uczony kuzyn nie znał w mieście nikogo. Sytuacja wydawała się więc bez wyjścia. Jednak jego działający sprzecznie z naturą mózg znalazł i na to lekarstwo. Przyszła mu mianowicie na myśl tamta chuda dziewczyna z palarni opium. Wiedział, że jest łasa na pieniądze. Mógł jej zaproponować, że będzie się z nią dzielił tym, co zarobi. Nie nauczę jej, jak kręcić kołkami, myślał sobie, będę jej tylko coś dawał za przechowywanie czarnej skrzynki.

Udał się zatem do palarni i w chwili gdy dziewczyna pochylała się nad jego fajką, zamierzając ją zapalić, zagadnął cicho:

– Chciałabyś zarabiać więcej niż teraz?

– A w jaki sposób? – zapytała ostrożnie. – Czy zamierzacie mnie wziąć na utrzymanie?

– Nie, nie – zaprzeczył pospiesznie. – Już i tak mam o jedną kobietę za dużo.

– Więc o co chodzi? – pytała dalej.

– Pozwól, że najpierw trochę popalę – poprosił. – Tyle, ile trzeba, by zagłuszyć głód, ale nie tyle, żeby zasnąć. A potem zaprowadź mnie w jakieś miejsce, gdzie nikt nas nie usłyszy, a ja ci wtedy powiem, o co chodzi.

Dziewczyna zrobiła, o co prosił. A kiedy uczony kuzyn się ocknął, zorientował się, że jest w nieznanym sobie pokoju, w którym stoi tylko prycza z desek, uszkodzony stół i dwie

ławy. Było tu jednak czysto, a w niewielkim okienku wisiała bambusowa klatka, w której siedział kragły, mały żółty ptaszek. Jego śpiew był pierwszym dźwiękiem, jaki dotarł do uszu uczonego kuzyna, gdy ten się obudził. Przez chwilę zdawało mu się, że to gra jego skrzynka. Dotknąwszy jednak brzucha, wyczuł na nim jej prostokątny kształt. A na dodatek uświadomił sobie, że rogi skrzynki bardzo go uwierają.

Oprzytomniał wtedy zupełnie i zobaczył chudą dziewczynę.

– Obudźcie się... obudźcie – wołała mu do ucha, potrząsając nim równocześnie. – Jest dawno po północy.

Uczony kuzyn zapytał, gdzie się znajduje, a ona wyjaśniła, że w jej izbie, do której wchodzi się z podwórza za palarnią. Wydobył wtedy skrzynkę i przedstawił dziewczynie cały swój plan. A ona, wysłuchawszy go do końca i zrozumiawszy, w czym rzecz, powiedziała:

– No, raz przynajmniej wpadliście, choć z was stary mól książkowy, na dobry pomysł. I macie szczęście, że przyszliście z tym do mnie. Możecie zostawić skrzynkę w moim pokoju. Będzie tu bezpieczna. Tu nikt nie wchodzi, chyba że ja sama kogoś wprowadzę.

Uczony kuzyn zdążył już oprzytomnieć i umysł miał bardzo jasny. Ukrył skrzynkę pod łóżkiem, wetknął drut w ścianę w miejscu, skąd płynęło światło, a następnie rozejrzał się za metalową żerdzią. Nie mógł jej jednak znaleźć i na chwilę ogarnęła go rozpacz. Zaraz jednak oboje z dziewczyną odkryli otwór w ścianie, w którym tkwiły stalowe pręty, bo budynek ten był jednym z tych nowych stawianych bardzo pośpiesznie. Uczony kuzyn przyczepił drut od skrzynki do jednego z prętów. A potem, ostrożnie obracając kołkami, czekał, aż prąd wypełni skrzynkę i wydobędzie się z niej głos.

– Oto dzisiejsze wiadomości z wolnych terytoriów – zabrzmiały pierwsze słowa, a potem głos ze skrzynki informował o nieprzyjacielskich bombardowaniach i o tym, że ludzie kryją się przed nimi w jaskiniach na wzgórzach. – Nie jesteśmy jednak sami – stwierdzono na zakończenie – bo dzisiaj w krajach Zachodu ludzie także szukają schronienia w jamach w ziemi. I ten sam wróg gnębi wszystkich. Nie poddajemy się...

W tej chwili do uszu uczonego kuzyna dotarł jakiś dziwny dźwięk. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że dziewczyna chwyta się za gardło, że wygląda jak ktoś, kto się krztusi.

– Co ci jest? – zawołał, wyłączając skrzynkę.

– Czy oni wciąż stawiają opór? – wyszeptwała z trudem. – Myślałam, że nikt już nigdzie się nie broni!

– Wszystko, co mówi ta skrzynka, jest prawdą – odrzekł na to z dumą uczony kuzyn.

– Skoro tak, to nasz los znajduje się w naszych własnych rękach – stwierdziła dziewczyna. – Bo to, co mówi ten głos, jest dokładnie tym, co chcą usłyszeć ludzie.



W ciągu kilku następnych dni uczony kuzyn okłamał swoją żonę chyba ze sto razy. Powiedział jej, że Wu Lien kazał mu do siebie przychodzić nocą, a nie za dnia. A potem, gdy przyniósł do domu sumę dwa razy większą niż poprzednio, oświadczył, że Wu Lien zapłacił mu tak dobrze właśnie za to, że odwiedził go nocą. Żona z początku wierzyła w to wszystko. Ale prawda była taka, że dzień, w którym uczony kuzyn dostał do ręki większą sumę, wyznaczał początek jego zguby. Nieszczęśnik nie palił już bowiem resztek opium. Teraz bywał w pewnym eleganckim lokalu, gdzie do miseczki nakładano mu czystej, czarnej lepkiej substancji, po której śnił sny, jakich nie miał nigdy przedtem. Wkrótce nadszedł też dzień, w którym nie wrócił do domu. A po nim upłynęło jeszcze kilka, a on wciąż przebywał w mieście. Dlaczego w ogóle mam wracać? – pomyślał sobie wtedy. Dlaczego mam wysłuchiwać łajania kobiety i znosić jej napastliwość, skoro mogę być wolny?

Odtąd już w ogóle nie opuszczał miasta. Prowadził przy tym dziwny tryb życia. Spał w ciągu dnia, a wstawał wieczorem, by przekazać ludziom zasłyszane ze skrzynki wiadomości. Nikt z jego słuchaczy nie miał pojęcia, kim on jest; nie wiedziała tego nawet owa chuda dziewczyna. Bo uczony kuzyn Ling Tana nikomu nie zdradził swego imienia. W oczach dziewczyny był po prostu starym palaczem opium i właścicielem skrzynki. I żył tak, nie widując całymi dniami żadnej znajomej twarzy. I był wreszcie wolny.

W taki to właśnie sposób Niebiosa wykorzystwały tego niezbyt wiele wartego człowieka. Do miasta docierały z zewnątrz tylko nieliczne wiadomości, z których uciemienieni przez wroga ludzie mogliby wywnioskować, co dzieje się w tym świecie, który jest jeszcze wolny. A informacje ze skrzynki przekazywane potajemnie z ust do ust sprawiały, że wszyscy wiedzieli, że na wolnych terytoriach ich naród wciąż walczy z wrogiem, powstrzymując jego marsz do przodu. W mieście zaczęto się porozumiewać za pomocą hasła, które brzmiało: „Stawiać opór!”. „Czy stawiamy opór?” – pytał ukradkiem jeden człowiek drugiego. „Stawiamy opór!” – brzmiała sekretna odpowiedź. I odwaga odradzała się wszędzie tam, gdzie poprzednio już umarła.

Ponieważ zarówno w mieście, jak i na wsi nic nie było jasno podane do wiadomości, ponieważ ludziom uniemożliwiano zdobywanie jakichkolwiek informacji, zaczęli oni wszystko przekazywać sobie szeptem i wszystko stawało się dla nich przedmiotem domysłów i nadziei. Gdy spotykali się dwaj znajomi, od razu jeden pytał drugiego, co ostatnio słyszał. „Czy nasze wojsko utrzymuje wolne terytorium?” – padało pytanie. A zaraz potem następne: „Czy jest powód do tego, by mieć nadzieję?”.

Po okolicy szybko rozeszła się wieść, że w mieście można zdobyć wiadomości. Ludzie przekazywali ją sobie z ust do ust i nikt przy tym nie wiedział, że przekazuje je stary

człowiek będący kuzynem Ling Tana.

W wiosce Ling pierwszym, który o tym usłyszał, był drugi syn Ling Tana. Stało się tak dlatego, że to właśnie on działał jako łącznik między bojownikami ze wzgórz a tymi, którzy stawiali opór wrogowi w mieście i jego okolicach. Ci, którzy powtarzali wiadomości, czynili to, prawie nie poruszając ustami, a oczy im przy tym latały. I to od takich właśnie ludzi Lao Er dowiedział się, że świat znajduje się w stanie wojny i że cierpienia jego narodu są tylko częścią cierpień świata.

I zorientował się zaraz, jakie znaczenie mają dla ludzi te nowiny. Wiadomość, że stanowią część większej całości, że ich problemy są częścią problemu znacznie większego, że nie cierpią w samotności i zapomnieniu, była im pociechą. Każdy, kto o tym słyszał, czuł przypływ otuchy. Ludzie z przejęciem wymieniali kraje, które są po stronie ich narodu, a przeciwko ich wrogom. I przeklinali te, które wrogom sprzyjają, uznając je za swoich przeciwników. Ci, którzy nigdy dotąd nie słyszeli o Niemcach, Włochach i Francuzach, którzy mieli jedynie mgliste pojęcie o tym, że istnieje Kanada czy Brazylia, którzy nigdy nie widzieli Amerykanina czy Anglika – wszyscy oni dzielili teraz te narodowości na przyjaciół i wrogów w zależności od tego, komu sprzyjają. A żywienie się nędzną wojenną strawą przychodziło im łatwiej, gdy wiedzieli, że są na świecie inni, którym równie źle się powodzi.

Takie to wieści przyniósł Lao Er ojcu w dniu, w którym je usłyszał.

Rankiem tego dnia udał się do miasta w przebraniu, by sprzedać trochę warzyw i by usłyszeć tam wszystko, co było do usłyszenia. Znalazszy się na miejscu, szybko zbył cały swój towar, gdyż w tym czasie żywność po prostu rozchwytywano, opróżniając kosz każdego rolnika, kiedy tylko ten został zrewidowany przez straż przy miejskiej bramie. Potem Lao Er zaszedł do najbliższej herbaciarni. Chciał usłyszeć, o czym mówi się w mieście. Czując się niezbyt dobrze w swoim przebraniu, usiadł przy małym stoliku w ciemnym kącie. Nie był tak przebiegły jak Nefryt. Dlatego zdarzało mu się zapomnieć, że ma udawać siwobrodego starca, i niebacznie odsłonić swoje silne, młode nogi albo odwinąć rękawy i demonstrować krzepkie przedramiona. Mimo to nie odważył się nigdy wyjść z domu bez przebrania. Przyczepiał siwą brodę drucikami do nosa, bo wróg zatrzymywał w mieście młodych ludzi i zmuszał ich do ciężkiej niewolniczej pracy. Zresztą nie tylko młodych. Nie dalej jak parę dni przedtem Lao Er słyszał, co przydarzyło się jednemu ze znajomych. Człowiek ten, starszy wiekiem rolnik, przyszedł do miasta, by sprzedać rzodkiewkę, a w drodze powrotnej został zatrzymany przez nieprzyjacielskich żołnierzy toczących ulicą wielkie cudzoziemskie działo. Zmusili go oni do ciągnięcia najcięższej jego części. Śmiertelnie przerażony i słaby z powodu swego wieku czynił to jednak zbyt powoli. Żołnierze rzucili się na niego i złamali mu prawą rękę, tak że

kość sterczała przez skórę, a potem zboląłego pogonili jeszcze ze śmiechem.

Lao Er, pamiętając o tym, zachowywał dzisiaj szczególną ostrożność. Dlatego właśnie w herbaciarni wybrał ciemny kąt. Usiadł i zaczął nasłuchiwać, a do jego uszu, wyćwiczonych w wychwytywaniu słów, dotarły zaraz głosy dwóch starych ludzi, którzy przekazywali sobie nowiny.

– Panowie – zwrócił się do nich po chwili – jestem tylko zwykłym rolnikiem, ale zdobyłem się na odwagę, żeby was zagadnąć. Jeżeli w tych strasznych czasach macie jakieś dobre wiadomości, pozwólcie mi je usłyszeć. A ja przekażę je ludziom z mojej wioski, byśmy tam wszyscy mogli łatwiej znosić to, co musimy.

Dwaj starsi ludzie nie bardzo mieli ochotę wdawać się w rozmowę. W końcu jednak ulegli i powiedzieli Lao Erowi, że być może przyjdzie taki dzień, kiedy inne narody będą walczyły wspólnie z ich własnym przeciwko jeszcze potężniejszemu wrogowi. I że dzięki tej walce nastanie wreszcie pokój, a oni zrzucą swe jarzmo. Lao Er wysłuchał tych wieści uważnie, a potem powtórzył wszystkim rodzinie, gdy ta zebrała się przy wieczornym posiłku.

– W mieście ludzie szepczą – powiedział – że ta wojna ogarnęła pół świata i że ciemzone są też inne narody tak samo jak nasz własny. Mówią też, że choć niektórzy słabi się poddali, silni wciąż, tak jak my, stawiają opór.

Ling Tan, usłyszawszy to, znieruchomiał. Jego pałeczki zatrzymały się w połowie drogi do ust, a obie kobiety oderwały wzrok od dziecka.

– Czy tamte narody ciemną te same diabły, które my mamy tutaj? – zapytał Ling Tan.

– Nie. Nie są to diabły znad Wschodniego Oceanu – odrzekł Lao Er. – Ale nie różnią się od nich niczym zgoła.

– I tam także ludzie stawiają opór?! – zawołał jego ojciec.

– Tak słyszałem – powiedział Lao Er. – Ale nie wiem nic więcej.

– To wystarczy – oznajmi! Ling Tan.

Słowa syna tchnęły w jego serce otuchę. Ling Tan nabrał pewności, że jest teraz w stanie walczyć, nawet gdyby walka miała okazać się bardzo długa. Był środek jesiennej nocy, a on wyszedł przed dom, spojrzął w niebo, poczuł pod stopami ziemię i po raz pierwszy w życiu pomyślał: „Ta nasza dolina nie jest całym światem. Jest tylko jego częścią. A na świecie są inni ludzie podobni do mnie, których twarzy nigdy nie widziałem”.

Czerpał z tej myśli ogromne pocieszenie. Wiedział już, że nie jest sam. I że gdzieś w

świecie żyją ludzie, którzy tak jak on kochają pokój i tęsknią za dobrem.

Och, gdybym mógł ich poznać, pomyślał. Gdybym mógł ich zobaczyć!

Jednak chwilę potem przyszło mu do głowy, że ci ludzie mówią nieznanym mu językiem. Więc jak mogliby porozmawiać?

Ale nie, zaprzeczył zaraz sam sobie, mowa nie byłaby nam potrzebna! Gdyby nasze pragnienia były podobne, to i bez słów udałoby nam się porozumieć.

A potem przyszli mu na myśl ci, co mieszkają po drugiej stronie ziemi, bezpośrednio pod jego polami.

Być może ci ludzie różnią się ode mnie, powiedział sobie, a ich rodziny od mojej. A jednak w naszym cierpieniu jesteśmy podobni do siebie.

Po czym wyobraził sobie mężczyznę mieszkającego pod jego własnymi stopami, po drugiej stronie ziemi. Mężczynę walczącego przeciwko temu samemu wrogowi. I poczuł, że jakaś siła – siła ogarniająca cały świat – wciąga go wraz z tamtym człowiekiem w swój krąg i go z nim jednoczy.

Przypomniał sobie słowa Nefryt, która mówiła, że istnieje tylko jeden księżyc i jedno słońce dla wszystkich ludzi. Słyszając je z jej ust po raz pierwszy, był tak zaskoczony, że nie mógł w nie uwierzyć. Teraz jednak przyszło mu do głowy, że synowa mówiła prawdę. Bo jest tak, że nocą ludzie po drugiej stronie ziemi mają słońce, a za dnia księżyc. I że dzięki temu niebo należy do wszystkich ludzi, którzy się nim dzielą.

Więc powinniśmy dzielić się też ziemią, stwierdził w duchu.

Nie zdradził tych myśli nikomu, gdyż to, co pojawiała się w jego głowie, nie było właściwie myślami, tylko poruszeniem duszy. Mimo to czerpał z tego taką pociechę, jakiej nie zaznawał od bardzo długiego czasu. Od dawna bowiem całkowicie pochłaniały go myśli o nieszczęściach, jakie na nich spadły z rąk wroga. Od dawna myślał jedynie o tym, jak przeżyć, jak uratować życie, jak ukryć żywność i jak nie dać się pojmać i zabić. Od dawna nie było w nim miejsca na rzeczy większe. Teraz jednak – choć nic się właściwie nie zmieniło, choć zło triumfowało, a ucisk nie zelżał, choć wciąż brakowało nadziei na przyszłość – Ling Tan, świadom tego wszystkiego, przekroczył granice swej małej doliny i zaczął istnieć w świecie.

# XIV

Tymczasem wszyscy w wiosce zastanawiali się, gdzie się podział uczony kuzyn i dlaczego nie wraca do domu. A jego żona z całą pewnością o nieobecność męża obwiniała Ling Tana. Dzień w dzień pojawiała się w jego domu z płaczem i błaganiem, by się jakoś wywiadał, czyjej mąż nie stracił przypadkiem życia. On zaś domyślał się, że jego stary kuzyn z własnej woli nie pojawia się w domu, bo postanowił tam nie wracać. Jakże jednak mógł coś takiego powiedzieć kobiecie? Wysłuchiwał więc jej lamentów, drapał się w głowę i zastanawiał się, jak znaleźć starego uczonego w mieście, w którym ludzie znikają każdego dnia i gdzie nie ma nikogo, kogo można by o niego zapytać.

Żona kuzyna była prawie pewna, że jej mąż wpadł w ręce wroga i że zdarzyło się to, gdy szedł do Wu Liena albo w drodze powrotnej od niego. Nie miała przy tym odwagi udać się do Wu Liena osobiście ani też przyznać się Ling Tanowi, że oboje z mężem działali jako jego szpiecy. Błagała za to Ling Tana, by udał się do zięcia albo posłał tam jednego z synów i sprawdził, czy Wu Lien może wstawić się za jej mężem u swoich zwierzchników.

– Mój mąż jest starszy od ciebie – powtarzała – więc wszelkie prawa rodzinne zobowiązują cię do zatroszczenia się o niego.

Była to prawda. Dlatego Ling Tan zaczął naradzać się ze swym drugim synem.

– Ja tam pójdę – oznajmił Lao Er. – Już od dawna chcę się spotkać z Wu Lienem i wybadać, czy można go jakoś wykorzystać.

– Boję się o ciebie – odrzekł mu na to Ling Tan, natomiast Ling Sao, dowiedziawszy się o jego zamiarze, chciała mu tej wizyty zabronić.

Nie zdałoby się to jednak na nic, bo Lao Er i Nefryt, choć zawsze grzeczni wobec rodziców, postępowali teraz zawsze tak, jak chcieli.

Tak więc pewnego dnia, w dziewiątym miesiącu tego roku, Lao Er udał się do domu Wu Liena i przybywszy na miejsce, tym razem bez przebrania, przedstawił się jako jego szwagier. Skutek był taki, że wpuszczono go zaraz za bramę i zaprowadzono do mieszkania męża siostry. A tam kazano mu czekać w jednym z licznych pokoi. Więc Lao Er czekał, rozglądając się naokoło ze zdumieniem.

Jakiż on jest bogaty! – pomyślał, dziwując się dywanowi na podłodze, obciągniętym

atłasem krzesłom i wszystkim innym rzeczom, jakich nigdy w życiu nie widział. Cóż jednak one znaczyły w porównaniu z samym Wu Lienem, który wszedł wkrótce do pokoju – w szacie z brokatu, z włosami namaszczonymi wonnym olejkiem i ze złotym pierścieniem na palcu!

Lao Er uśmiechnął się chłodno na jego widok.

– No cóż, szwagrze – powiedział. – Wyglądasz naprawdę wspaniale!

– I mam się bardzo dobrze – odrzekł Wu Lien gładko, ignorując swoim zwyczajem wszelkie podteksty.

A potem uprzejmie wypytał o rodzinę żony i zamilkł, czekając, aż Lao Er wyjawi, czego się po nim spodziewa.

Lao Er powiedział mu zatem o zniknięciu uczonego kuzyna, a także o tym, jak uprzykrzona stała się jego żona. A następnie zapytał, czy w całej tej sprawie da się coś zrobić. Wu Lien uśmiechnął się na to, wstał i nagłym, szybkim ruchem otworzył drzwi, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Gdy się okazało, że za drzwiami nie ma nikogo, podszedł do Lao Era i szeptem wyjawiał mu całą prawdę. Poinformował go mianowicie, że kuzyn wraz z żoną, na jego polecenie, szpiegowali w wiosce i że pewnego dnia kuzyn ukradł z jego domu czarną skrzynkę.

– Trzeba ci wiedzieć, że ja także i w mieście mam swoich szpiegów – dodał z uśmiechem. – A ci, nadstawivszy tu i ówdzie uszu, odnaleźli staruszkę.

Następnie poinformował Lao Era, gdzie jest uczonego kuzyn i jak mu się wiedzie.

A Lao Er wprost nie mógł wyjść z podziwu. Spryt tego człowieka – który zaszedł tak wysoko, któremu wrogowie ufali bez zastrzeżeń, a który mimo to ich zwodził i potrafił mieć wszędzie swoich szpiegów – był imponujący.

– Myślałem, że jesteś przeciwko nam – powiedział. – I był czas, kiedy życzyłem ci śmierci.

– Ja nie jestem przeciwko nikomu – odrzekł mu na to Wu Lien ze swoim spokojnym uśmiechem.

– Czy jesteś po naszej stronie? – zapytał Lao Er.

– O tyle, o ile to jest rozsądne w takich czasach – odrzekł znowu Wu Lien. A potem poinformował szwagra, gdzie ma szukać starego uczonego kuzyna. – O tej porze będzie jak martwy, odurzony opium – dodał jeszcze. – Ale trochę później idź do herbaciarni Pod Wierzbą. Tam znajdziesz go w jednym z wewnętrznych pomieszczeń.

Poprosił Lao Era, żeby chwilę zaczekał. Zawezwał też zaraz rodzinę, dzięki czemu Lao Er zobaczył się z siostrą, która urodziła niedawno trzecie dziecko, dziewczynkę. Zarówno

ona, jak i dzieci były tak dobrze odżywione, że drugi syn Ling Tana z trudem wierzył własnym oczom.

– Czy powodzi ci się tak dobrze, jak wskazuje twój wygląd? – zapytał, a siostra potwierdziła to ze śmiechem.

Zaraz jednak spoważniała, mówiąc, że chciałaby czasami widywać rodziców i że gdyby to okazało się możliwe, jej szczęście byłoby pełne.

– A ty? – zwrócił się Lao Er do Wu Liena. – Czy ty jesteś szczęśliwy?

– A któż na tym świecie doznaje pełni szczęścia? – odrzekł mu na to Wu Lien z uśmiechem.

Dzieci tymczasem paplały w połowie w języku wroga, a w połowie w ojczystym.

Opuszczając dom szwagra i siostry, Lao Er dziwił się, że w żyłach tych ludzi płynie ta sama krew co w jego własnych.

Nie poszedł jednak prosto do herbaciarni Pod Wierzbą. Postanowił bowiem, że uczyni to razem z ojcem. Wrócił więc do domu i powtórzył ojcu słowa Wu Liena. Ling Tan pomyślał!, że nigdy w życiu nie słyszał tak dziwnej opowieści. Przy czym wiadomość, że uczony kuzyn z żoną szpiegowali go, bardzo Ling Tana zmartwiła. Siedział potem długo w milczeniu, skubiąc wargi i zastanawiając się, co to może dla nich oznaczać – ile wie Wu Lien i czyjego wiedza nie sprowadzi na rodzinę nieszczęścia. Gdy wypytywał o to syna, ten odrzekł:

– Nie mam pojęcia, ojcze, czy to człowiek szczerzy, czy fałszywy. Całkiem możliwe, że uczciwy jest tylko wobec samego siebie. A skoro tak, to nie grozi nam z jego strony żadne niebezpieczeństwo. Nie powie bowiem wrogom zbyt wiele, by w dniu wyzwolenia móc twierdzić, że był uczciwym człowiekiem, że tylko udawał zdrajcę, i w ten sposób uratować skórę.

– Ale czy ktoś mu powiedział o naszej kryjówce? – pytał dalej Ling Tan.

– Nie dowiemy się tego – odrzekł syn – bo przecież nie odważymy się go zapytać.

– Jeżeli ktoś mu o niej doniósł, to nasze życie jest w jego rękach – powiedział Ling Tan i zaczął przeklinać żonę kuzyna.

Przez chwilę nawet pomyślał!, że znajdzie ją, chwyci za gardło i wydusi z niej prawdę. Zaraz jednak wrócił mu rozsądek – przecież kobieta nie może wiedzieć, co komuś powiedział mężczyzna, choćby ten był nawet jej mężem!

Lepiej będzie milczeć, przykazał sobie. Wtedy ona nie zorientuje się, jak dużo wiem, a jej strach da mi nad nią władzę. Jeżeli mój kuzyn nie żyje, władza taka jest mi potrzebna, bo mam obowiązek opiekować się jego żoną.

Oderwał na chwilę myśli od tej okropnej kobiety. Czuł jednak, że niepomierne wzrosła jego zadawniona niechęć do niej. Ale ponieważ była przecież tylko kobietą, postarał się o niej zapomnieć i zwrócił się do syna:

– Jutro pójdę z tobą do miasta, bo chcę sam posłuchać mego kuzyna.

I rzeczywiście na drugi dzień pod wieczór, poinformowawszy ling Sao, że mają w mieście jakąś sprawę, udali się obaj do herbaciarni Pod Wierzbą. Po drodze na każdej ulicy obserwowali zmiany, jakie zaszły w mieście. Widzieli, że wróg wszędzie reklamuje swoje towary – a raczej narkotyki i kurtyzany. Bo nic innego nie mają na sprzedaż, pomyślał Ling Tan. cudowne pigułki i rewelacyjny płyn do przemywania oczu. Takie lekarstwa, obwieszczają reklamy, potrafią wyleczyć wszelkie choroby. W mieście było bez liku palarni opium oraz burdeli. Powstawały też małe sklepiki, których właścicielami byli przybysze z kraju wroga, a na ulicach widywało się żony tych ludzi z dziećmi. Ling Tan zdziwił się szczerze, że takie wściekle małe kreatury mogą mieć rodziny. Zmartwił go jednak fakt, że sprowadzają je tutaj, bo na swój sposób te kobiety i dzieci były bardziej niebezpieczne niż żołnierze. Widok żołnierzy wroga podsyca bowiem nienawiść, natomiast obecność ich rodzin może sprawić, że zacznie ona słabnąć.

W tym czasie miejskie herbaciarnie stały się siedliskiem wielkiego zła. Zniknęli z nich bowiem przyzwoici kelnerzy, a na ich miejsce pojawiły się bezczelne młode kobiety. Gdy Ling Tan z synem usiedli przy stoliku, jedna z takich kobiet podeszła, żeby zapytać, czego sobie życzą. Jej wygląd był tak nieprzyzwoity, że stary wieśniak z początku nie chciał z nią rozmawiać. Syn jednak szepnął mu wtedy, że teraz jest tak wszędzie.

– Powiedz jej więc – odrzekł na to Ling Tan – żeby przyniosła nam tylko herbatę.

Kobieta uśmiechnęła się z wyższością, oddaliła się i po kilku chwilach przyniosła dwie czarki oraz imbryk. Po czym zażądała tak wysokiej zapłaty, że Ling Tan wydał okrzyk zdumienia.

– Gdybym nie musiał, z pewnością nie piłbym tej herbaty – zapewnił syna, z trudem przełykając napój.

Słyszając to, kobieta wzruszyła ramionami i rzekła z pogardliwą miną:

– Jeżeli cena herbaty tak was przeraża, stary człowieku, to co powiecie na to? I pokazała mu wyjęte zza pazuchy małe srebrne pudełeczko, zawierające biały proszek. – To kosztuje trzysta sztuk srebra za uncję – poinformowała wyniosłe. – Ale sztuka srebra dziennie zapewni wam przyjemność i odbierze wszelką troskę.



I trochę jakby ukradkiem postawiła pudełeczko na stoliku. Ling Tan udawał jednak, nawet sam przed sobą, że go nie widzi i że nie rozumie słów kobiety. Dlatego ona po chwili schowała pudełeczko za pazuchę.

– To diabelski narkotyk – szepnął Lao Er, kiedy się oddaliła. – Powiadają, że gorszy niż opium!

– Nie wiem – odrzekł na to Ling Tan. – Może i jest gorszy, ale nie dla mnie.

Rozejrzał się wokół z miną głupca niepotrafiącego pojąć tego, co ma przed oczami. Jednak w rzeczywistości bardzo dobrze rozumiał, czym jest ten złowrogi proszek. Zresztą któż tego nie rozumiał? Kuszono nim przecież nawet dzieci, bo wrogowie dodawali go do wyrabianych przez siebie słodczy. Wszyscy wiedzieli, że ten, kto go zakosztuje, cierpi potem na narkotyczny głód, a jego żyły pali ogień. Jednak Ling Tan starał się teraz o tym nie myśleć. Proszek był bowiem tylko jednym z rodzajów potwornego zła, jakie rozplenilo się obecnie. Ling Tan pił więc dalej swoją herbatę, a tym, co czyniło ją ogromnie gorzką, był fakt, że podała mu ją nie cudzoziemska diablica, tylko jego rodaczka zdeprawowana przez wroga.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, musiało być kiedyś bardzo piękne, teraz jednak straciło cały swój urok, wrogowie zdarli ze ścian malowidła i ogołocili ściany z boazerii, a dym osmalił malowane belki sufitu. Nie było już kunsztownych zdobień, zostały tylko gołe mury i podłogi. A za całe umeblowanie służyły teraz zwykle proste stoły i ławy. Ling Tan i jego syn siedzieli w kącie i rozglądali się wokół. Dawniej nie odważyliby się wejść do tej eleganckiej herbaciarni, bo nie spotkaliby tutaj innego wieśniaka. Wojna jednak sprawiła, że wszyscy byli teraz tak samo ubodzy i dlatego Ling Tan wraz z synem nie różnili się na niekorzyść od innych gości. Wypili więc herbatę, uważając bardzo, by nie przekroczyć ilości, za którą zapłacili. A potem, rozglądając się wciąż bacznie, zauważyli, że niektórzy klienci bardzo spokojnie wstają od stolików. Poszli zatem w ich ślady i wraz z około dziesięcioma innymi gośćmi weszli do małego pomieszczenia w głębi budynku. Nie było tam okna, zobaczyli natomiast resztki ceglanego kuchennego pieca. A poza tym stało tu w rzędach kilka ław oraz ustawione naprzeciwko nich jedno krzesło.

Ojciec i syn wmieszali się w grupkę oczekujących mężczyzn, bo Ling Tan rzekł przedtem synowi:

– Nie wiem jeszcze, czy dam się poznać swemu uczoneму kuzynowi. Zdecyduję o tym, gdy go zobaczę.

W chwilę później otworzyły się wąskie wewnętrzne drzwi i Ling Tan, z trudem wierząc własnym oczom, zobaczył w świetle świecy wchodzącego uczonego kuzyna. Od ich

ostatniego spotkania upłynęło niezbyt wiele czasu. Jakże jednak ten człowiek się zmienił! Ubrany był w zakupioną bez wątpienia w jakimś lombardzie brudną atlasową szatę w kolorze śliwkowym, a na nosie miał duże okulary w rogowej oprawie. Szata była na niego za szeroka, bo schudł, wysechł i pożółkł, a Ling Tan już na pierwszy rzut oka nabrał pewności, że kuzyn jest palaczem opium, gdyż dokładnie tak samo wyglądała niegdyś jego własna matka.

– Wiem teraz, skąd wzięła się jego odwaga! – szepnął, pochylając się ku synowi i wykonał gest oznaczający palenie opium, a syn kiwnął głową.

Zamilkli jednak zaraz, toteż kuzyn ich nie zauważył. Podeszedł do krzesła rozkołysanym krokiem i zamiatając szatą, tak jak lubią czynić starzy uczeni, i zajął miejsce niczym nauczyciel przed grupą uczniów. A potem pozdrowił zebranych, pociągnął się za bródkę i zaczął mówić niskim, uroczystym głosem.

– Wy wszyscy, którzy mnie słuchacie, dowiedzcie się – rzekł – że dzisiaj mam dwie wiadomości z kraju, z których jedna jest dobra, a druga zła. Zła jest taka, że naszą stolicę w głębi ładu atakują nieprzyjacielskie latające statki. Wróg postawił sobie za cel zniszczyć ją, nim rok dobiegnie końca. Ludzie są wyczerpani, a ich domy płoną. Jednakże wielki przywódca naszego narodu jest nieustraszony i nawołuje, byśmy wszyscy do samego końca stawiali opór.

Na tę wieść przez grupę słuchających przeszedł pomruk.

– Ale czy on informuje, jak mamy to czynić? – ozwał się jakiś głos. – I czy nasza armia rośnie w siłę?

– Tego bez wątpienia dowiem się kiedy indziej – odrzekł kuzyn, po czym, scenicznym szepem i przewracając oczami, kontynuował: – Co do wieści zza morza, to te też są dwie. I jedna jest dobra, a druga niepomyślna. Wciąż nie otrzymujemy dostatecznej pomocy, a nasi przyjaciele są dwulicowi. Przysyłają nam pieniądze na żywność i lekarstwa na rany, ale równocześnie naszym wrogom ślą ropę i paliwo do latających statków, które sieją u nas zniszczenie. A poza tym na Zachodzie zachodni wróg niszczy wielkie miasta państwa Ying. Ich mieszkańcy muszą się więc co noc chować pod ziemię, gdy tymczasem nad ich głowami pałace obracają się w perzynę, a stosy ciał zabitych piętrzą się aż do nieba.

Wszyscy zebrani słuchali go w milczeniu i zachodzili w głowę, skąd ten stary człowiek dowiedział się takich rzeczy. Przyjmowali jednak jego słowa jako prawdę i czekali na dalsze wieści. Starzec odkaszlnął i rzekł:

– Najgorsze nowiny zachowałem na koniec. Otóż muszę wam powiedzieć, że tutaj, w naszym mieście, pojawi się marionetka, to znaczy człowiek, który będzie rządził w rzeczywistości z nadania wroga, ale z pozoru w imieniu naszego narodu. A my wszyscy

mamy mu być posłuszni i udawać, że samiśmy go wybrali. Kim on jest? Jest Królem Trzech Kropli Wody. Czy ma on dość odwagi, by nas bronić? Otóż temu człowiekowi płacz przychodzi z łatwością. I przyjdzie dzień, kiedy ten nasz marionetkowy władca pożałuje tego, co teraz robi, a jego żal będzie tak wielki jak morze, którego nie zdołają wypełnić wszystkie kamyki z całych zachodnich gór.

Przez grono słuchaczy znowu przeszedł głośny pomruk. A stary uczony kuzyn kiwnął głową.

– To wielkie zło – powiedział. – A jutro o tej samej porze będę miał dla was więcej informacji.

Zakończywszy w ten sposób swoje wystąpienie, wyciągnął zza pazuchy małą miseczkę, po czym wstał, postawił ją na krześle i – by uniknąć krepującej sytuacji – odwrócił się plecami do zebranych. Słuchacze zrozumieli, że czas już opuścić pomieszczenie i zrobić miejsce następnym. Każdy z nich zbliżał się teraz po kolei do krzesła i zostawiał w miseczce kilka monet. Ling Tan poszedł w ich ślady. Wrzucił do miseczki jakieś pieniądze – za siebie i w imieniu syna.

A następnie ruszyli obaj w drogę powrotną. Ling Tan długo nie mógł ochłonąć ze zdziwienia po tym, co usłyszał i zobaczył. Śmiał się też ze swego uczonego kuzyna, pomstując na niego równocześnie.

– Widzicie go! – mówił. – Przerwał w najbardziej interesującym momencie! Żeby zaciekawić słuchaczy i skłonić ich do powrotu! I wyglądał na bardzo szczęśliwego. Nigdy przedtem nie widziałem go takim. Ale niech mu to idzie na zdrowie. Nie zdradzimy go przed nikim. Był człowiekiem bezużytecznym. A teraz przydaje się do czegoś. Tak, tak, takimi ludźmi posługują się Niebiosy!

A potem przestał myśleć o starym uczonej kuzynie i zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał z jego ust. Zainteresowała go zwłaszcza wieść o spodziewanych marionetkowych rządach człowieka, który był swoim ziomkom dobrze znany. Krew w żyłach Ling Tana zawrzała na myśl o tym urodziwym słabeuszu, który w tak straszny sposób zdradził swój naród. Z drugiej jednak strony zastanawiał się, czy to jest zdrada, czy może człowiek ten chowa w zanadrzu jakieś sprytne oszustwo.

Któż w dzisiejszych czasach może wiedzieć, co kryje się w sercu drugiego człowieka? – myślał.

Szli z synem przez wiejskie tereny, gdzie ziemia była wciąż dobra, choć niejedna wioska zrujnowana albo pełna wypalonych domów. Ludzi zostało tu niewiele. Dlatego na

rojnej niegdyś drodze, pełnej zwykle rolników zdążających do miasta z objuczonymi ryżem osłami, chcących sprzedać plody swej ziemi, a także przekupniów udających się z towarem z miasta na wieś, nie spotykali teraz prawie nikogo. Człowiek z pełnymi żywności koszami stanowił tu obecnie widok nader rzadki. Ziemia jednak wciąż trwała, gotowa wydawać plony. Wszakże pod warunkiem, że ludzie jej nie zdradzą. Ling Tan, patrząc na brązowy pył pod swoimi obutymi w sandały stopami, zwrócił się do syna:

– Pamiętaj, synu, że nam, ludziom żyjącym z ziemi, nie wolno tej ziemi zdradzić. Niech zdrad dopuszczają się ci, co są nad nami. My jednak nie możemy zdradzić ziemi.

A syn, choć nie wiedział, jakie rozumowanie doprowadziło ojca do tych słów, odrzekł żarliwie:

– Nie zdradzimy jej, ojcze. Możesz być pewien.

Na drugi dzień rano w domu Ling Tana zjawiła się żona uczonego kuzyna, a wtedy Ling Tan, spokojnie i z poważną miną, po prostu ją okłamał.

– Kobieto – rzekł – sprawdziły się twoje obawy. Twój mąż nie żyje, a ty nigdy go już nie zobaczysz. Powinnaś się więc uważać za wdowę.

– Jak to się stało? – zawołała kobieta, wybuchając głośnym płaczem. – Jak on umarł? I gdzie są jego szczątki?

– Nie pytaj mnie o to – odrzekł Ling Tan – bo ja nigdy ci tego nie powiem. A co do jego ciała, to nie ma sposobu, by je odnaleźć.

Słyszając to, żona uczonego kuzyna ucichła, ogarnięta prawdziwą trwogą. Ling Tan widział ją taką po raz pierwszy w życiu. Zaraz też poszła do siebie odbywać żałobę i żalić się nad swym okropnym losem. Bo czyż może być dla kobiety coś gorszego niż dom bez mężczyzny? A poza tym czy Ling Tan się nie dowiedział, że szpiegowałam dla Wu Liena? – zastanawiała się z obawą. Ten strach był tym większy, że jej życie było teraz w rękach Ling Tana, a tymczasem on, jeżeli nawet znał prawdę, nie dawał jej tego poznać po sobie. Po dwóch dniach spokorniała do tego stopnia, że przyszła do niego i powiedziała:

– Nie mam teraz na świecie nikogo prócz ciebie, kuzynie. I tylko na ciebie mogę liczyć.

– Bądź pewna – odrzekł jej na to Ling Tan chłodnym tonem – że póki będę miał co jeść, ty też nie będziesz chodziła głodna.

I obaj z synem strzegli swego sekretu. Ling Tan nie zdradził go nawet żonie. Wziął na

siebie ciężar utrzymywania jeszcze jednej kobiety. I poczytywał to sobie za kolejną zasługę w walce z wrogiem, bo dzięki temu jego uczonego kuzyn był wolny.

Tymczasem Lao Er, który nie miał przed Nefryt tajemnic, powiedział jej wszystko. Stanowili bowiem jedno i ufał żonie nie mniej niż samemu sobie. A ją, jak to było do przewidzenia, historia uczonego kuzyna bardzo rozbawiła. Natomiast nowinę o marionetkowych rządach Nefryt potraktowała niezwykle poważnie.

– Tacy ludzie jak ten szef marionetkowego rządu są najgorsi – powiedziała po dłuższym milczeniu. – Tak, tak, to oni są naszymi najprawdziwszymi wrogami. Zdradzili bowiem siebie, a także nas w sobie. Wróg, który przychodzi z zewnątrz, jest jak choroba. Natomiast tacy ludzie jak oni to wewnętrzna słabość naszego narodu. Jak mamy zwalczać chorobę, skoro jesteśmy słabi?

– Są jednak wśród nas ludzie silni. I ci muszą stać się jeszcze silniejsi – odrzekł jej na to Lao Er.

– Powiedziałeś prawdę – stwierdziła Nefryt, podnosząc głowę.

I od tej chwili ci dwoje stali się jeszcze wytrwalsi w walce z wrogiem.

# XV

Któż mógł wiedzieć, czy ludzie ze wzgórz, a także młodzi i starzy bojownicy w całym kraju zdołają przez lata stawiać zdecydowany opór wrogowi? Na razie jednak to czynili. I postanowili się nie poddawać, w czym utwierdzała ich świadomość, że w innych częściach świata także toczy się wojna. Nie byli co prawda w stanie staczać wielkich bitew, a liczba wrogów ginących z ich rąk była niezbyt wielka w porównaniu z liczbą tych, którzy zalewali kraj. Mimo to ich walka była niebywale ważna, bowiem dzień po dniu uczyli się żyć w warunkach oporu. A to liczy się bardziej niż śmierć w walce.

Jednak Ling Tana często ogarniało znużenie. Męczyło go ciężkie wojenne życie, a także zachłanność wroga i stały, wcale niemalejący ucisk z jego strony. Przy czym ciemieżcami byli źli mali ludzie, którzy, mając bardzo ograniczoną władzę, robili wszystko, żeby się wzbogacić. Tego roku, gdy przyszedł zniwa, Ling Tan, podobnie jak w poprzednich latach, musiał sprzedawać ryż po cenie ustalonej z góry. I znowu wróg odsprzedawał go z wielkim zyskiem. Nadal też Ling Tan wraz z rodziną jadał mięso tylko potajemnie. Dwukrotnie zdarzyło się, że wrogowie odkryli u niego świnie, przy czym za drugim razem w najbardziej nieodpowiednim momencie, bo w chwili gdy jego maciora właśnie się oprosiła. Zabrano mu wszystkie zwierzęta – i dorosłe, i młode – on zaś nie odważył się sprzeciwić i powiedzieć, że są przecież jego własnością. A potem musiał zdobyć kolejną sztukę i zacząć hodowlę od nowa. Ponadto wróg nałożył bardzo liczne podatki – od ziemi i od opium, od ziarna i od zniw, a także od wszystkiego, co wieśniakom udało się sprzedać. Ling Tan, wspominając dawne czasy i porównując ówczesne podatki z obecnymi, dziwił się teraz sam sobie, że na nie narzekał. A poza tym targał nim bezustannie gniew wywołany faktem, że cały ten ucisk i prześladowania pochodzą od cudzoziemców, którzy przecież nie mają żadnego prawa przebywać w jego kraju. Ling Tan dochodził do przekonania, że nawet bandyci, z tej tylko racji, że nie są cudzoziemcami, zasługują na mniejszą nienawiść niż te cudzoziemskie diabły.

A tymczasem – jakby ucisku ze strony wroga było mało – ci rodzimi bandyci, ci ludzie o dzikich sercach troszczący się jedynie o własny los, nadal rabowali i plądrowali wioski. Trzymali się przy tym z dala od wroga i grasując po nocach, napadali na każdego, o kim plotka głosiła, że ma więcej od innych. Dlatego ludzie uczciwi musieli kryć się z tym, co mieli – nie tylko przed wrogiem, lecz także przed tymi rodzimymi złoczyńcami.

W takich to okolicznościach Nefryt oczekiwała drugiego dziecka, a Lao Er był nadal łącznikiem pomiędzy miastem a wzgórzami. Często ryzykował przy tym życie. Wiedział jednak, że taki już jest los wojownika. Tej jesieni podejmował swoje wyprawy często, a Nefryt żegnała go, gdy wychodził nocą. Każde z nich miało przy tym świadomość, że być może rozstają się na zawsze. Żadne jednak nie wspominało o tym ani słowem.

– Przede wszystkim troszcz się o siebie – przykazywała mu zawsze.

– Dobrze – obiecywał za każdym razem.

A mimo to oboje wiedzieli, że Lao Er nie może spełnić tej obietnicy. Bo gdyby troszczył się przede wszystkim o siebie, to nie mógłby robić tego, co robił.

A co Lao Er robił? Otóż pośredniczył między partyzantami żyjącymi w mieście i w jego okolicach a bojownikami ze wzgórz. Przygotowywał ich wspólne akcje, doprowadzał do tego, by mogli się spotkać i uderzyć razem. Nie był przy tym takim zwykłym kurierem, nowiny bowiem przynosił obu stronom i obie strony na nim polegały. Wśród wrogów poruszał się bardzo umiejętnie i zawsze w przebraniu, które w domu przygotowywała mu Nefryt. Czasami udawał wędrownego przekupnia, czasami żebraka, a czasami starca. Na wzgórzach spotykał się często ze swymi dwoma braćmi i służył jako łącznik między nimi a domem. A właściwie jako ktoś więcej niż łącznik, bo za jego sprawą obie strony odnosiły się do siebie nawzajem z większą cierpliwością.

Trzeba bowiem powiedzieć, że między Ling Tanem a jego dwoma synami przebywającymi na wzgórzach nastąpił poważny rozdźwięk. Trwał on od chwili, gdy Ling Tan postanowił, że już nigdy w życiu nie zabije żadnego człowieka, nawet wroga.

– Co by się stało, gdybyśmy wszyscy powzięli takie postanowienie? Czy mamy pozwolić, by wrogowie zabijali nas bezkarnie? – zapytał z gniewem najmłodszy syn, gdy Lao Er powiedział mu o tym. – Mój ojciec się zestarzał. Tak jest już zbyt stary, by działać dla ogólnego dobra.

Najmłodszy syn Ling Tana chodził teraz w na wpół wojskowym mundurze, a jego umysł był zajęty wyłącznie wojną i zabijaniem. Ten młody mężczyzna wciąż nie potrafił czytać. Książki, podobnie jak wykształcenie, stanowiły w jego oczach coś złego. Zresztą wszystko dla niego było złe – prócz prostej siły w prawej ręce, gdy podnosił pałasz albo składał się do strzału. Mieszkał w tym czasie w pewnej świątyni na wzgórzach, którą przerobił na rodzaj fortecy. Stamtąd to wraz z dwustoma pięćdziesięcioma młodymi podkomendnymi wyruszał wielokrotnie, by atakować małe nieprzyjacielskie garnizony, a także oddziały wysłane przez nieprzyjacielskich dowódców w teren po żywność. Miał w okolicy całą grupę szpiegów, dzięki którym w ciągu godziny dowiadywał się, że wróg

znajduje się w odległości dogodnej do ataku. A wtedy już nic w świecie nie mogło go powstrzymać.

To już nie był ten szczupły młodzieniec, którego kiedyś zgwałcili żołnierze wroga. Najmłodszy syn Ling Tana ogromnie wyrósł i nabrał ciała. Był muskularny, miał złocistą skórę i oczy tygrysa. Cechowały go wielka niecierpliwość i zajadłość, a to, że nie miał ze dwudziestu żon, nie było jego winą. Kobiety, które wraz z towarzyszami ratował czasami z opresji, kobiety, które zapraszały go na posiłek i odpoczynek do swoich domów – wszystkie kobiety, w których żyła kobiecość, dawały mu znaki, że zwrócił ich uwagę. Te z nich, które były cnotliwe, robiły to nieświadomie, a te, którym cnoty brakowało – bezwstydnie i z pełną wiedzą, co czynią.

Jednak cierpienie, które zadano temu młodzieńcowi, sprawiło, że jego naturalna męskość budziła się do życia z opóźnieniem. Mimo to był mężczyzną i teraz, w dziewiętnastym roku życia, czuł we krwi zew naturalnych pragnień. Propozycje czyniło mu jednak tak wiele kobiet, że czuł pogardę dla wszystkich. I choć sypiał tu i ówdzie z kobietami, nie spotkał takiej, którą by uznał za godną siebie. Obraz upragnionej kobiety był w jego wyobraźni bardzo niejasny. Młodzieniec wiedział jednak, że pragnie takiej, która będzie dla niego kimś więcej niż tylko towarzyszką łoża.

Gdzież jednak taką znaleźć?

Miewał dni, w których potrzeba kobiety stawała się tak dojmująca, że dawał się ponieść złości. Jego ludzie bali się go wtedy okropnie i wiedzieli, że nic nie uśmierzy jego furii prócz ataku na wroga. Dobry humor odzyskiwał dopiero wtedy, gdy przy sprzyjającym szczęściu udało mu się zabić kilku nieprzyjaciół, co przecież nie mogło zdarzać się zawsze. Bywały zatem długie dni, podczas których jego wściekłość stawała się wprost nie do zniesienia.

Pewnego razu, pod koniec jedenastego miesiąca tego roku, na wzgórze przybył jak zwykle z nowinami Lao Er. I gdy tylko się tam zjawił, adiutant jego młodszego brata zaprosił go do oddzielnego pomieszczenia w świątyni poświęconej Kuan-in, bogini miłosierdzia, której cześć oddają jedynie kobiety. A ponieważ one ostatnio się tutaj nie zjawiały, w pomieszczeniu tym mało kto bywał. Teraz wszedł tam Lao Er z podkomendnym brata, po czym stojąc u stóp bogini, dowiedział się, jak bardzo ten młodzieniec oraz jego koledzy cierpią z powodu humorów swego dowódcy.

– Gdyby chodziło tylko o mnie, nie przejmowałbym się tym – powiedział adiutant – bo zdążyłem się już przekonać, że to człowiek o dobrym sercu i że złe jest w nim tylko to, że ma zbyt dużą skłonność do gniewu. A poza tym nauczyłem się skakać i w ten sposób ratować



skórę. Kiedy mój dowódca zamierza się na mnie nogą, podskakuję wysoko. A gdy podnosi rękę, by sięgnąć po kamień albo miecz, pochylam się nisko.

– Czy mój brat jest aż tak porywczy? – zapytał Lao Er.

– Tak – brzmiała odpowiedź. – Ale my mu to wybaczymy, bo wiemy, panie, że tym, czego mu trzeba, jest kobieta. Dlatego dwustu pięćdziesięciu jego podkomendnych wybrało mnie, bym zwrócił się do waszego ojca i poprosił, żeby ten znalazł synowi dobrą żonę. Kobietę, która go uspokoi i sprawi, że stanie się w pełni mężczyzną, dzięki czemu i jemu, i nam będzie się lepiej działo.

Lao Er z wielkim trudem powstrzymał się od śmiechu. Obiecał jednak spełnić prośbę tych ludzi.

– Jednakże – dodał jeszcze – ja naprawdę nie mam pojęcia, jakiej mój brat potrzebuje żony.

Jego rozmówca wziął to bardzo poważnie.

– Wybrać żonę dla kogoś takiego jak on nie jest zadaniem łatwym – stwierdził. – Musi to być kobieta o krzepkim ciele, bo mój dowódca jest silny. Musi też dorównywać mu temperamentem, ale równocześnie różnić się od niego. Gdy on będzie gorący, ona musi być chłodna, a gdy będzie uparty, ona musi okazać rozsądek.

– Mało jest kobiet aż tak mądrych – rzekł Lao Er i pomyślał o Nefryt, jednak zaraz doszedł do wniosku, że aż tak mądra nie jest nawet ona.

– Wiem – odrzekł jego rozmówca ze smutkiem.

Stali potem przez chwilę w milczeniu i każdy z nich zastanawiał się nad tym wszystkim.

– To dziwne – odezwał się wreszcie podkomendny brata Lao Era – ale mój dowódca często przychodzi tutaj i ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w tę boginię.

– Naprawdę? – zdziwił się Lao Er.

– Byliśmy tego świadkami wiele razy – odrzekł mężczyzna – i właśnie to podsunęło nam myśl, że potrzebuje żony.

– No cóż, pomówię z ojcem – rzekł Lao Er – powtórzę mu wszystko, co od was usłyszałem, a potem zobaczymy.

Mężczyzna skłonił się i odszedł, a Lao Er został sam przed posągami. Podeszedł do bogini i po raz pierwszy w życiu przyjrzał jej się bardzo uważnie. A trzeba tu powiedzieć, że podobnie jak ojciec nie uczęszczał do świątyń, bo mężczyźni zostawiali takie rzeczy kobietom. Jednak i jego matka Ling Sao, pochłonięta licznymi zajęciami, nie czyniła tego częściej niż raz do roku. Nie czuła zresztą potrzeby obcowania z bogami, bo urodziła

wystarczająco dużo synów. Dlatego Lao Er także w dzieciństwie rzadko bywał w świątyniach. I nawet wtedy nie widział, by matka modliła się do obdarzającej męskim potomstwem bogini. Woląла bowiem zwracać się do boga zsyłającego ludziom bogactwo i płodność ziemi.

Teraz Lao Er stał samotnie przed boginią. Jej małe stopy spoczywały na wijących się splotach ciała pozłacanego smoka, a ona sama, uformowana z gliny, pozłoty i farby, była tak pełna gracji i tak urodziwa, że sprawiała wrażenie żywej. Dawny artysta, będąc mężczyzną, obdarzył ją tym czymś, co w męskich oczach czyni kobietę kobiecą. Choć tworzył wizerunek bogini, nadał jej, bardzo zręcznie, także atrybuty kobiecości. A ta emanowała z czułego wygięcia jej dumnych ust i z kącików jej mądrych oczu, a także z krągłości jej kształtów i piersi wyraźnie rysujących się pod szatami. Im dłużej Lao Er patrzył na boginię, tym wyraźniej dostrzegał w niej kobietę.

A w pewnej chwili kto zjawił się obok niego? Jego młodszy brat oczywiście.

– Szukam cię wszędzie już od pewnego czasu – rzeki bardzo zniecierpliwiony. – I tylko przypadkiem dowiedziałem się od adiutanta, że jesteś właśnie tutaj. Co ty tu robisz?

Lao Er wskazał ruchem brody boginię.

– Nigdy dotąd nie przyjrzałem się jej dokładnie – odrzekł.

– To glina – powiedział jego brat. – Glina i farba, jak każda inna kobieta.

Po czym spojrzał na boginię z pogardą – tak częstą u młodych ludzi.

– Nie, nie. W tym jest zdecydowanie coś więcej – odrzekł przebiegle Lao Er, pragnąc skłonić brata do zwierzeń. – Mężczyzna, który stworzył posąg tej bogini, darzył ją miłością.

Brat podszedł bliżej i zmarszczył brwi.

– Takie kobiety nie istnieją – powiedział w końcu.

– A czy ty widziałeś wszystkie żyjące na ziemi kobiety? – zapytał Lao Er z lekkim uśmiechem.

– Takiej jak ta nigdy! – odrzekł brat.

– A gdyby taka istniała, chciałbyś ją za żonę? – zapytał ze śmiechem Lao Er. – Chcesz, to dobieję z tobą targu... jeżeli taka kobieta się pojawi... to ożenisz się z nią?

Wypowiadając te słowa, spojrzał na brata, a wtedy zaskoczył go wyraz wzruszenia na jego twarzy. Tak, na twarzy młodego wojownika malowało się wzruszenie pomieszane z takim gniewem i pogardą, że Lao Er ryknął śmiechem.

– Nie chcę żony – powiedział Lao San. – Bo co bym z nią zrobił, idąc walczyć?

– Zostawiałbyś ją w domu, tam gdzie jej miejsce – odrzekł Lao Er, wpatrując się znowu w boginię.

– Nie lubię takich żartów – oznajmił ze złością Lao San.

– Zaczekaj trochę, a przekonasz się, czy ja żartuję – brzmiała odpowiedź.

Po tych słowach Lao Er uznał, że powiedział już wystarczająco dużo. Wyprowadził więc brata ze świątyni i od tej chwili rozmawiali jedynie o wojnie.

Jednak następnej nocy, dotarłszy do domu, powiadomił ojca o wszystkim, czego się dowiedział od podkomendnego brata. Ling Sao i Nefryt także były obecne przy tej rozmowie.

Ling Tan rzekł:

– Potraktowałeś rzecz całą żartobliwie, jednak w tym wszystkim jest coś bardzo poważnego.

A potem powiedział rodzinie, jak bardzo go martwi, że jego najmłodszy syn nauczył się zabijać i pokochał wojnę. Martwi się tym, bo wie, że tacy właśnie ludzie uniemożliwiają powrót pokoju na całym świecie i że to właśnie oni, podobnie jak iskra dla ognia, stanowią zarzewie wszelkich wojen.

– Tak się tym gryzę – wyznał, patrząc na twarze bliskich – że gdybym się któregoś dnia dowiedział, że mój trzeci syn został zabity, wcale bym się tym nie przejął. Bo ludzie jego pokroju muszą ginąć taką samą śmiercią, jaką zadają innym. – Tu przerwał na chwilę, ale zaraz podjął wątek: – Nieraz widywałem podobnych jemu i wiem, że są oni zawsze źli dla kobiet. Nie potrafią być dobrymi mężami i ojcami. A mimo to – dodał po ponownej krótkiej pauzie – człowiek, o którym mówimy, jest moim synem i ja o tym nie zapominam.

– Gdzie jednak mamy szukać kobiety takiej jak Kuan-in, która jest przecież boginią? – odezwała się Ling Sao. Lao San znajdował się teraz tak daleko, żył w świecie tak bardzo innym od tego, który znała i rozumiała, że nie dziwiło jej to wszystko, choć niepokoiła się o swego najmłodszego syna. – Bo ja – dodała jeszcze – nigdy w życiu nie spotkałam kobiety, która przypominałaby jakąś boginię.

– Ponieważ takie kobiety nie istnieją – włączyła się do rozmowy Nefryt. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wystarczy jednak znaleźć taką, którą młodszy brat Lao Era uzna za równą bogini.

Mówiąc to, spojrzała na męża i roześmiała się głośno, na co w jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia. Jednak Ling Sao nie miała ochoty żartować z tak poważnej sprawy.

– Kobiety – powiedziała całkiem serio – jakiegokolwiek kobiety są teraz, rzadkością. A ja nie znam w okolicy żadnej, która by nie została zhańbiona przez wroga. I wiem, że mój syn nie zechciałby takiej, choćby się miała okazać najtańsza.

– To prawda – przyznał z powagą Ling Tan.

– Zatem musimy jej poszukać na wolnych terytoriach – orzekła Nefryt.

Wszyscy uznali to za dobry pomysł. Jakże jednak mieli się zabrać do jego realizacji?

I nagle Ling Sao pomyślała o swojej najmłodszej córce, o której od prawie roku nie mieli wiadomości. Ling Sao niepokoiła się tym bardzo, nie mogła bowiem udać się do Pansiao, by się z nią spotkać. Nie mogła też wydać jej za mąż ani sprowadzić jej do domu.

„To dobrze, że na razie jest bezpieczna, jednak do czego to prowadzi? – mówiła nieraz. – Nie może przecież bez końca mieszkać w tych grotach i wciąż się uczyć. Bo co będzie z jej zaręczynami i z życiem godnym dojrzałej kobiety?”

„Posłuchaj, moja żono, ciesz się, że w tak okropnych czasach nasza najmłodsza córka znajduje się poza zasięgiem wroga – powiedział do niej Ling Tan, odkrywszy pewnego dnia przyczynę jej niepokojów i drażliwości. – Czyżbyś już zapomniała, co stało się z Orchideą?”

Ling Sao wtedy zamilkła i nie wracała już do tego tematu. Tęskniła jednak za córką i zastanawiała się, jak wydać ją za mąż, choć dziewczyna znajdowała się tak daleko. Rozmyślała, w jaki sposób posłać list komuś, kto sprawdzi, czy nie można dla niej zaaranżować dobrego małżeństwa. Jeśli kobieta jest niezamężna, myślała, to lepiej, żeby umarła, bo po co jej takie życie?

Tak, myśli matki wciąż krążyły koło małżeństw dzieci. Wiedziała bowiem, że ożenienie synów i wydanie córek za mąż jest jej obowiązkiem. Uważała też, że jeżeli go nie spełni, to nie zdoła umrzeć w spokoju.

A teraz, nagle, wpadła na pewien pomysł.

– A gdyby tak napisać do Pansiao – powiedziała – i poprosić ją, żeby poszukała kogoś dla swojego brata tam u siebie, na wolnych terytoriach? W szkole, w której się uczy, jest pełno dziewczyc. A przy tym Pansiao dobrze zna Lao Sana. Więc czy może być lepsze rozwiązanie? Zresztą jej samej także dobrze zrobi myśl o małżeństwie i rozmowy o bracie. Skierują bowiem jej uwagę na tego rodzaju sprawy i przygotowują ją do własnego zamążpójścia.

Pamiętali jednak Pansiao jako drobną, cichą istotkę, siedzącą wiecznie przy krosnach. Więc jakże ona poradzi sobie z taką ważną sprawą? – wątpili. Poza tym nie mieli pojęcia, dokąd wysłać list. Ling Sao nieraz mówiła mężowi, że powinien udać się do białej kobiety i pozyskać od niej adres i nazwę szkoły, w której uczy się ich córka. Ale on wciąż powtarzał tylko, że to zrobi, i wśród nawału innych kłopotów odkładał tę wyprawę. Wiedział bowiem, że dziewczyna jest przynajmniej bezpieczna. Teraz jednak Ling Sao zniecierpliwiła się nie na żarty.

– Tyle razy ci powtarzałam – krzyknęła na niego głośno – że powinieneś pójść do tej białej kobiety i dowiedzieć się, gdzie umieściła Pansiao. Bo przecież ja, matka, nie mam pojęcia, gdzie jest moje dziecko!

– Nie gorączkuj się, staruszko – odrzekł jej na to Ling Tan, a zaraz potem obiecał: – Pójdę jutro.

I spełnił swą obietnicę. Poszedł krętymi bocznymi drogami do starej śluzy, a potem kontynuował marsz aż do zabudowań należących do białej kobiety. Gdy stanął przed bramą, okazała się zamknięta, zaczął się więc dobijać. Nikt się jednak nie kwapił do jej otwierania. Ling Tan czekał długo, nie słysząc po tamtej stronie nic prócz głuchej ciszy. Podniósł więc kamień i zaczął nim walić w bramę. I walił dopóty, dopóki się nie otworzyła. Przerażony stary odźwierny uchylił ją jednak tylko na tyle, żeby móc przez szparę sprawdzić, kto przed nią stoi.

– Czego znów chcecie? – zapytał, rozpoznając natychmiast Ling Tana.

– Muszę pomówić z białą panią – odrzekł Ling Tan i wyjął z pasa monetę.

– Myślicie, że pieniądze utorują wam do niej drogę? – powiedział odźwierny. – Czyżbyście nic nie wiedzieli?

– O czym? – zapytał Ling Tan.

– Ano o tym, że ona nie żyje.

Ling Tan otworzył usta ze zdumienia, a odźwierny wyszedł przed bramę i usiadł na wysokim progu, po czym z westchnieniem zdjął filcową czapkę, podrapał się w głowę i włożył czapkę ponownie.

– Tak, ona nie żyje. I pozbawiła się życia z własnej woli – powiedział ze smutkiem. – To ja ją znalazłem. Wszedłem tamtego dnia do kaplicy, żeby pootwierać okna, bo płacą mi za to, że robię to rankiem przed każdym nabożeństwem. I tam, w kaplicy, ją znalazłem. Leżała martwa przed ołtarzem. Ileż tam było krwi dookoła! Bo trzeba wam wiedzieć, że ona przecięła sobie żyły na przegubach i jej krew popłynęła nawą. Plama tej krwi nie dała się zmyć i pozostała na zawsze.

– Ale dlaczego... – Tu Ling Tan się zająknął. – Była przecież bezpieczna... Miała co jeść...

Odźwierny otarł oczy rąbkiem kaftana.

– Prawda, że to wystarczy, by żyć? – powiedział. – Jej jednak nie wystarczało... Słyszałem, że zostawiła list. Ja nie umiem czytać. Zresztą list był napisany w jej własnym języku, więc zrozumiała go tylko nasza stara panna. Biała pani kierowała list do bliskich w swoim kraju po drugiej stronie oceanu. I napisała im: „Nie udało mi się”.

– Nie udało jej się! – powiedział Ling Tan, nie mając pojęcia, o co białej cudzoziemce

mogło chodzić. – Co jej się nie udało?

– A kto to może wiedzieć? – odrzekł ze smutkiem odźwierny. – Ale takie właśnie były jej słowa.

Ling Tan milczał przez chwilę, przykucnąwszy dla odpoczynku. Targało nim dwoiste uczucie: żal po śmierci białej kobiety i rozpacz z powodu własnej sytuacji. No bo skąd miał się teraz dowiedzieć, gdzie jest córka?

Był to dla niego wielki kłopot, z którego zwierzył się odźwiernemu.

– Przeprowadzę wam starą pannę – rzekł mu na to odźwierny. – Ona wie więcej ode mnie. Wejdźcie więc i wy pytajcie ją o wszystko, co chcecie wiedzieć.

Ling Tan wszedł za bramę, a odźwierny się oddalił. Po chwili przy bramie zjawiała się chuda starsza kobieta nosząca okulary niby jakiś uczonego mężczyzna.

– Ta szkoła – powiedziała, usłyszawszy pytanie Ling Tana – znajduje się w grotach pod wielką górą na wolnych terytoriach. Wszyscy tam są bezpieczni i mają się bardzo dobrze. Szeffuje im inna biała kobieta. Nie musicie się więc martwić o córkę.

– Mimo to chciałbym wysłać do niej list – powiedział Ling Tan. – Czy zechcecie więc zapisać mi nazwę tego miejsca?

Kobieta wyrwała z trzymanej pod pachą książeczki kawałek białego papieru i zaczęła pisać, a Ling Tan, obserwując ją, dziwił się bardzo, że potrafi to robić tak dobrze jak mężczyzna. Kiedy skończyła, wręczyła mu kartkę i odeszła.

– Czy na tym wielkim terenie została tylko ta stara panna? – zapytał Ling Tan odźwiernego, składając papier i wsuwając go za pas.

– Ona i kilka służących – odpowiedział odźwierny. – Zapłakalibyście, gdybyście wiedzieli, ile lat pracowała tutaj nasza biała pani. Ile wysiłku włożyła we wznoszenie tych gmachów i organizowanie klas. Uczennice przybywały tu ze wszystkich stron, z najróżniejszych prowincji, bo jej szkoła była szeroko znana i cieszyła się doskonałą sławą.

– To też jest robota tych diabłów – stwierdził Ling Tan, spoglądając na rozległe, bezużyteczne teraz, niszczone ogrody i na puste budynki. A potem się oddalił.

Gdy po powrocie do domu opowiedział rodzinie, co się wydarzyło, Ling Sao nie mogła odżałować, że nie okazała białej cudzoziemce większej wdzięczności.

– Gdybym wiedziała, że ona zabije swoje ciało, byłabym dla niej lepsza – powiedziała z westchnieniem, a potem wyjęła z włosów szpilkę i podrapała się nią w uszy. – Biedne cudzoziemskie serce – dodała po chwili. – Zastanawiam się, dlaczego chcąc spełniać dobre

uczynki, przyjechała aż tutaj, tak daleko od rodzinnego domu. Bo przecież teraz nie można jej pogrzebać w jej własnej ziemi. No cóż, nie jest dobrze, kiedy kobieta uczy się zbyt wiele i nie wychodzi za mąż. Kim bowiem może wtedy zostać? Tylko mniszka. Wyślijmy list do Pansiao i postarajmy się jak najszybciej doprowadzić do ślubów naszych młodszych dzieci.

– Napisz do niej – zwrócił się Ling Tan do Nefryt – i wyjaśnij, o co nam chodzi. Napisz, co ma zrobić. A także zaznacz, że to polecenie jej rodziców.

Zamilkł na chwilę, a potem z jego ust padły jeszcze słowa, jakie dawniej nie przeszłyby mu przez gardło.

– Wy tłumacz mojej córce – powiedział – że jej brat potrzebuje kogoś takiego jak tamta bogini. Jako że zwykła kobieta mu nie wystarczy. Napisz to, moje dziecko, w taki sposób, w jaki sama uznasz za stosowne, bo znasz się na tym. Jesteś taka odczytana, potrafisz opowiadać i wymyślać przebrania. Często zastanawiałem się nawet, czy nie powinnaś była zostać aktorką, jedną z takich, jakie przed upadkiem miasta można było oglądać w zagranicznych filmach.

Wypowiadając te słowa, Ling Tan poczerwieniał na twarzy. Bowiem mówić tak wiele i to na taki temat do swojej synowej nie było, jego zdaniem, rzeczą naturalną. Potem wstał z godnością i opuścił pokój, a Lao Er i Nefryt spojrzeli na siebie ze skrywanym rozbawieniem. I jakże się przy tym sobie podobali!

Nefryt przyłożyła się bardzo i napisała list najlepiej jak potrafiła. Zrobiła to z miłości do męża, kierując się przy tym znajomością charakteru jego młodszego brata.

*Nie wybieraj głuptaski – pisała do Pansiao – tylko dlatego że ma ładną buzię. Bo taką kobietę twój brat może pewnego dnia zabić – ze złości i z powodu jej bezmyślności. I wiedz, że jego prawe ramię jest teraz bardzo szybkie, a on sam przestał już być marzycielem. No a Kuan-in nie jest żadną głuptaską!*

Skończywszy pisać, Nefryt przeczytała list mężowi, a ten zaczął się zaraz z nią droczyć.

– No cóż, napisałaś to tak dobrze – powiedział – że sam jestem gotów pokochać tę boginię. A ty powinnaś być o nią zazdrosna!

Nefryt spuściła powieki, zatrzepotała nimi kilka razy, a potem pochyliła się w jego stronę i pokazała mu swój czerwony język.

A Lao Er, rozbawiony, roześmiał się znowu.

# XVI

Pansiao siedziała tyłem do pozostałych dziewcząt w swojej malutkiej części grotu, pochylona nad listem od Nefryt. Odczytywała go z łatwością, a mimo to czytanie było dla niej wciąż doświadczeniem tak nowym, że czyniła to z wielką dumą.

Nefryt napisała ten list daleko stąd, dwa tysiące mil od tego miejsca, a on wędrował potem powietrzem, lądem oraz wodą i, przenoszony przez wiele rąk, dotarł aż tutaj. Zakrawało wprost na cud, że pośród całej tej wojny, pożarów i powodzi znajdowali się jednak ludzie, którzy wykonywali w ten sposób swój obowiązek. Kiedy list trafił do rąk Pansiao, była już zima, a w grotach panował chłód. Kropelki wody osiadały tu na skałach i zamarzałyby z pewnością, gdyby nie to, że w środku rozpalono ogień. Otwór w skalnym suficie odprowadzał dym z ogniska, jednak przeciąg od wejścia, który powstawał w chwili, gdy otwierały się drzwi, sprawiał, że dym tam nie trafiał i wypełniał całe pomieszczenie. Ale Pansiao tego nie zauważała. W kuchni jej rodzinnego domu wiatr wiejący zimą z północnego zachodu powodował takie samo zjawisko – zawracał dym z komina. Zimą działo się tak zawsze, odkąd jej przodkowie zbudowali ten dom, a cała rodzina wiedziała, że to przecież Niebiosa zsyłają wiatry, i znosiła to bez protestu.

Pansiao, przeczytawszy list, złożyła go bardzo powoli i starannie. Arkusik był cienki i delikatny, jednak obecnie wszelki papier był cenny i nikomu nie przysłoby do głowy wyrzucić choćby najmniejszych jego skrawków. No a poza tym – jakież wielki obowiązek nakładała na nią ta kartka!

Jak ja sobie z tym poradzę? Jak znajdę żonę dla mojego brata? I to właśnie dla tego najmłodszego? – pomyślała.

Trzeba tu bowiem nadmienić, że z całej rodziny to ona była najbardziej spostrzegawcza i nawet lepiej od matki potrafiła dostrzec ukryte różnice w charakterach jej członków. W czasach, gdy przez całe długie dni siedziała przy krosnach, niewiele było spraw, którymi mogła zająć umysł. Więc kiedy spod jej palców wyłonił się już wzór tkaniny, o czymże miała dumać, jak nie o rodzinie, która była jedynym znanym jej światem? Rozmyślała zatem o każdym z jej członków, a najczęściej o swoich braciach. Żalowała bowiem zawsze, że sama jest córką swych rodziców, a nie ich synem. A to dlatego, że niemal



od urodzenia była świadoma faktu, że kobieta jest zamknięta w czterech ścianach domu, a przed mężczyzną brama stoi otworem. Teraz jednak i ona była wolna, bo oswobodziła ją wojna. I jako jedyna z rodziny znajdowała się na wolnych terytoriach, nawet poza zasięgiem samolotów wroga. Czyż wśród moich towarzyszek, zapytywała siebie, znalazłaby się choć jedna, która zrezygnowałaby z takiej wolności?

Wsunęła list za pazuchę i odwróciła się. W tej grocie oprócz niej mieszkało razem dwanaście innych dziewcząt. W tej chwili były tu wszystkie, bo nadeszła już ta pora dnia, w której mogły robić, co zechcą. Niektóre czytały, inne prowadziły rozmowy. Rozlegały się śmiechy i widać było oznaki radości. Która z nich, zastanawiała się Pansiao, mogłaby zostać żoną mojego brata? Jedne były ładne, inne niezbyt urodziwe. Jedne robiły wszystko niedbale, inne za to dokładnie i starannie. Wzrost jednych był niski, a znowu innych wysoki. Jednak nie dostrzegała wśród nich takiej, którą widziałaby w roli żony swego brata. W tej grocie mieszkały dziewczęta, które znała najlepiej, więc gdyby nie potrafiła wskazać żadnej spośród nich, to jak mogłoby jej się udać wybrać żonę dla brata spośród setki innych, z którymi jej znajomość ograniczała się do tego, że widywała je podczas wspólnej nauki albo wspólnych posiłków w grocie centralnej? Naprawdę, zadanie, które postawił przed nią ojciec, było bardzo trudne! Bogini! Nie, nie. Nie dostrzega tu żadnej bogini.

W tej chwili przez skały przebił się dźwięk dzwonka, a w grocie sypialnej nastąpiło zamieszanie. Dziewczęta wstały i z piskiem, śmiechem i popychaniem wybiegły na szeroką skalną półkę prowadzącą do innej groty, w której czekały na nie ich nauczycielki. Tu zebrały się wszystkie, w liczbie stu dwunastu. Usiadły na rozłożonych na skalnym podłożu słomianych matach – takich, jakimi podczas modlitwy posługują się mnisi buddyjscy dla ochrony kolan przed wilgocią. Pansiao przyglądała się ich twarzom, ale i teraz nie dostrzegła żadnej dziewczyny, która mogłaby równać się z boginią. I trzeba powiedzieć, że tego dnia słuchanie nauczycielki przychodziło jej z wielkim trudem.

A w ciągu następnych dni, cokolwiek czyniła, nie przestawała myśleć o zadaniu, które przed nią stoi. Nie odważyła się napisać do domu, że nie jest w stanie spełnić polecenia ojca. Z drugiej jednak strony nie śmiała też go powiadomić, że potrafi wywiązać się z zadania. Martwiła się wciąż i wątpiła, a po pewnym czasie doszła do wniosku, że błędem jest myśleć najpierw o dziewczynie. Przede wszystkim, rozumowała, muszę skoncentrować się na bracie. Tak, powinna przypomnieć sobie wszystko, co o nim wie. A gdy jej pamięć wypełnią wspomnienia, gdy Lao San stanie jak żywy przed oczami jej wyobraźni, popatrzy jeszcze raz uważnie na dziewczęta i zastanowi się, która mogłaby mu odpowiadać.

Myślała więc o nim bez przerwy, czasami nawet podczas nauki. I brat powrócił do niej

we wspomnieniach. Powrócił ten szczupły chłopak o pięknej twarzy. Wiedziała o nim bardzo wiele, więcej niż ktokolwiek inny w rodzinie. Była bowiem jedynym młodszym od niego dzieckiem i to na niej wyładowywał nieraz swoją złość, to nad nią ten brat potajemnie się znęcał. Gdy ojciec karmił go za coś, nie mógł mu jako jego syn nic na to odpowiedzieć. Jednak Pansiao, jego młodsza siostra, musiała unikać go w takich razach, bo zdarzało się, że całkiem bez ostrzeżenia pochylał nad nią swoją piękną twarz i szczypał ją boleśnie w rękę. „Co ja ci zawiniłam?!“ – wołała wówczas, ale on nigdy nie odpowiadał na takie pytania.

Był wtedy dzieckiem, myślała teraz, bo serce miała przecież łagodne. A jednak jego żona nie może być zbyt delikatna. Nie może być dziewczyną podobną do mnie. Bo dla mnie taki mąż jak on nie byłby wcale odpowiedni.

W dzieciństwie bywały chwile, gdy popadał w ponure milczenie. Rodzice tego nie dostrzegali, bo słuszną jest rzeczą, by młodzi milczeli w obecności starszych. Lecz ona dostrzegała. Próbowwała wtedy do niego dotrzeć, pomówić z nim tak jak siostra z bratem. Ale on nie odpowiadał albo nawet pluł na nią. Pytała go, czemu się złości, ale on nadal nie odzywał się do niej.

Ta dziewczyna musi umieć się śmiać, pomyślała. I nie może być podobna do mnie, bo ja, gdy ktoś obok mnie jest smutny, także się smucę.

Powróciła ponownie myślami do dzieciństwa i przypomniała sobie, że jednak niekiedy ten jej brat okazywał się miły i dobry. Potrafił na przykład poświęcić pół dnia na to, by z wierzbowej gałęzi wystrugać dla niej fujarkę. Obdzierał korę bardzo zręcznie, nie uszkadzając drewna, i tak delikatnie kształtował ustnik, że Pansiao mogła potem na fujarce wygrywać różne melodie. Robił takie rzeczy i niczego w zamian nie żądał. Przeciwnie, cieszył się jej radością. Przyjemne to były i dobre chwile, podczas których rozmawiali ze sobą tak jak nikt z nikim w tej rodzinie. Działo się tak dlatego, że byli sobie bliźsi wiekiem niż reszta rodzeństwa. A Pansiao dowiadywała się z tych rozmów, że najmłodszy z jej braci ogromnie pragnie opuścić kiedyś dom ojca i zwiedzić miejsca, których nigdy dotychczas nie widział.

– Ale co ty byś robił w tym obcym świecie? – zdziwiła się kiedyś. – Gdzie byś spał po zapadnięciu nocy i kto by cię nakarmił?

– Nie dbam o to, gdzie bym spał – rzekł chłopak. – A co do jedzenia, to mógłbym żebrać albo nawet kraść!

– Kraść! – powtórzyła szeptem. – Nie, nie. Nie wierzę. Nie mógłbyś!

– Gdyby mi się tak spodobało, kradłbym – odpowiedział wtedy krnąbrnie.

A Pansiao nie potrafiła stwierdzić, czy mówił tak, żeby się przed nią popisać, czy też te pomysły na życie wynikały z jego natury.

Ta dziewczyna musi być bardzo bystra, pomyślała. A także na tyle mądra, by umieć się zorientować, kiedy on kłamie, a kiedy nie, czego ja nigdy nie potrafiłam.

No i oczywiście musi być piękna, bo wszyscy wiedzą, że dla kobiety jest bardzo niekorzystne mieć męża bardziej urodziwego od siebie i że im przystojniejszy jest mężczyzna, tym piękniejsza powinna być jego żona.

W pewnej chwili Pansiao zaczęła się zastanawiać, czy kocha tego brata, czy go nienawidzi. I jedno, i drugie, odpowiadała zaraz, bo jest on zarówno godzien miłości, jak i nienawiści. Jednak w kobiecie, która zostanie jego żoną, te dwa uczucia nie mogą się kłócić. Kiedy w jej sercu pojawi się nienawiść, nie może ona zabić miłości. A znowu gdy miłość wzrośnie w nim jak księżyc, musi tej kobiety bronić nienawiść.

Takim tokiem podążyły myśli Pansiao i zaczynało do niej docierać, że kobieta, której poszukuje, musi być silniejsza od jej brata. W przeciwnym bowiem razie okazałaby się dla niego zbyt słaba.

Uświadomiwszy to sobie jasno, rozejrzała się wśród stu dwunastu uczennic swojej szkoły, ale nie znalazła wśród nich odpowiedniej kandydatki.

A tymczasem w tej samej chwili ku górcom zdążyła pewna całkiem nieznana jej kobieta, która przemierzyła wiele tysięcy mil, by powrócić z dalekiego kraju do swej ojczyzny, której wcale nie pamiętała. Wiele lat wcześniej, po śmierci matki, ojciec wywiózł ją na obczyznę i tam wychowywał aż do chwili, gdy dorosła. Nie skończyła jeszcze dziesiętnastu lat, kiedy zbuntowała się przeciwko ojcu, ten bowiem nie chciał słyszeć o tym, by porzuciła szkołę i dom za granicą, gdzie przeżyli bezpiecznie tyle lat, i udała się do ojczyzycznego kraju, który tak dawno opuścili.

On sam nigdy nie myślał o powrocie do ojczyzny, bo kraj ten kojarzył mu się ze śmiercią pięknej, młodej żony, która zmarła przy pierwszym porodzie. Pochodziła z rodziny muzułmańskiej, a kropla krwi arabskiej nadała jej brwiom specjalny rysunek, nosowi ogromną delikatność i ciemny blask oczom. Sprawiała też, że wzrostem przewyższała inne kobiety. Mąż pokochał ją dla tych właśnie cech wyróżniających ją spośród innych kobiet, a potem utracił ją w jednej chwili. I wszystkim, co mu po niej pozostało, okazała się mała, silna, płacząca dziewczynka. Dał jej na imię Mayli, po matce, i wziął za granicą posadę, której przyjęcia odmawiał przedtem przez dwa lata ze względu na żonę. Ta bowiem nie chciała opuścić domu w swoim rodzinnym mieście. I została już na zawsze w jego pobliżu, bo teraz leżała wśród swoich przodków, pogrzebana poza miejskimi murami. On zaś uciekł

stamtąd jak najprędzej i przez te długie lata nie dopuszczał do siebie nawet myśli o powrocie. Mieszkał za granicą już tak długo, że był przekonany, że tam umrze. Postanowił, że tylko jego kości zostaną odesłane do kraju i pogrzebane obok żony. Po jej śmierci bowiem przyjął jej wiarę, mógł więc leżeć z nią razem na muzułmańskim cmentarzu.

– Nie potrafię żyć bezpieczna tutaj na obczyźnie, podczas gdy mój kraj podbijają najeźdźcy znad Wschodniego Oceanu – oświadczyła ojcu Mayli.

Ojczystym językiem władała słabo, ostatnio jednak postanowiła posługiwać się nim na co dzień. A ojciec wiedział, że to jeden z przejawów jej silnego pragnienia powrotu do ojczyzny. Przestała też nosić cudzoziemskie stroje, do jakich przywykła w obcym kraju, i ubierała się teraz niezmiennie w wąskie suknie, jakie nosiły nowoczesne Chinki. Ojciec nie komentował tych zmian, nie uszły one jednak jego uwagi.

Pewnego ranka, przy śniadaniu, gdy w pokoju nie było nikogo ze służby, opłukał swoje delikatne palce starzejącego się człowieka w wodzie wypełniającej srebrną czarękę i rzekł do córki po angielsku:

– Nie mogę sobie wyobrazić, co tam będziesz robiła. Im są potrzebni mężczyźni, inżynierowie i eksperci wojskowi, a nie młode kobiety, które nie ukończyły jeszcze szkoły.

Dziewczyna wygląda tak jak jej matka, pomyślał. Równocześnie jednak czuł zadowolenie, że wskutek pobytu w tym obcym kraju jego córka różni się zdecydowanie od żony, którą pochował dawno temu i która pozostawała wciąż żywa w jego pamięci; właśnie dlatego, choć myślał nieraz o małżeństwie, nigdy się ponownie nie ożenił. Zresztą tu, w tym obcym kraju, małżeństwo nie było czymś tak koniecznym jak w jego ojczyźnie.

– Znajdę sobie coś do roboty – oznajmiła stanowczo Mayli.

Jej duże czarne oczy zabłyśły przy tym w sposób, który znał aż za dobrze. Nie powiedział zatem nic więcej. Sprzeczka z córką wiązałyby się z niepotrzebną stratą energii. A poza tym przestał się z nią spierać, gdy miała lat czternaście. Od tamtej pory robiła dokładnie to, co chciała, a jego to przyprawiało o bezsenność. Tak, tak, bywały noce, podczas których on, Wei Ming-ying, pierwszy sekretarz chińskiego ambasadora w tej zagranicznej stolicy, leżał z otwartymi oczami i rozmyślał o tym, że nie udało mu się wychować córki tak, by jakikolwiek mężczyzna zechciał ją poślubić. Widział bowiem wyraźnie, że dziewczyna nie ma w sobie nic, co uczyniłoby z niej odpowiednią kandydatkę na żonę. Ciarki go przechodziły na myśl o przyszłym zięciu, który pewnego dnia będzie mu czynił gorzkie wyrzuty.

„Przysięgam, że nic nie mogę na to poradzić – mamrotał często, zwracając się w wyobraźni do tego młodego człowieka. – Robiłem, co w mojej mocy. Lecz ona bardzo wczesnie stała się bardzo silna. Zbyt silna, jak na moje możliwości. Nie mogłem więc marnować życia na daremną z nią walkę. A poza tym musiałem ją utrzymywać i płacić za jej naukę. Nie miałem czasu na nic innego”.

Tak szykował się ten ojciec do rozmów z zięciem, a tymczasem nie pojawiał się żaden kandydat na męża jego córki. Młodzi mężczyźni zakochiwali się w Mayli, jednak ona niezmiennie odrzucała ich zaloty I ojciec nie miał tu nic do powiedzenia.

– Zatem jedziesz – westchnął teraz i podniósł na nią swe łagodne oczy. – A co będzie ze mną, gdy zostanę tu sam w obcym kraju?

Mayli roześmiała się, zbyt głośno jak na młodą Chinę.

– To, że jesteś sam, to twoja własna wina, ojcie – powiedziała, podnosząc się z krzesła. – Przecież obecnie są aż trzy damy, które marzą, by cię pocieszyć. Nie myślę się, prawda?

Nie pamiętała matki, więc nie oszczędzała ojca – kpiła sobie z niego bez żadnych hamulców. Był bardzo przystojnym mężczyzną i zdarzało się, że wrodzona uprzejmość potrafiła zaprowadzić go dalej, niż umiał przewidzieć. Natomiast wrodzona złośliwość Mayli kazała jej odczuwać przyjemność na widok konsternacji dam, które jej ojciec w ten sposób mimo woli zwodził.

– Powiedz mi przynajmniej, kiedy wyjeżdżasz – poprosił pospiesznie, myśląc przy tym, że ta nieznośna dziewczyna zawsze wszystko zauważy.

W kilka tygodni później Mayli znajdowała się już w podróży. Ze znalezieniem dla niej posady w ojczyźnie nie było żadnych trudności. Postarała się o to chińska ambasada. Ojciec natomiast użył całego swego sprytu, by nie zaproponowano jej pracy w takiej części kraju, w której było niebezpiecznie. Pragnął, by w miarę możliwości zatrudniono ją w charakterze nauczycielki w jakiejś szkole misyjnej, gdzie jej otoczenie cechowałaby staromodna surowość obyczajów. Odetchnął, gdy się okazało, że szkoła dla dziewcząt położona w wysokich górach na zachodzie kraju wydała się jego córce miejscem romantycznym. A co do kompetencji nauczycielskich, to dziewczyna, we własnym mniemaniu, potrafiła uczyć wszystkiego.

W ten to właśnie sposób los sprawił, że pewnego pogodnego ranka Mayli zjawiała się w szkole, w której uczyła się Pansiao. Panował taki ziąb, że mały rozklekotany samolot, który ją tutaj przywiózł, po wylądowaniu pokryty był warstwą lodu. Zorganizowanie tego

transportu Mayli zawdzięczała swojemu ojcu, który poza jej wiedzą zadbał o to, pociągając za sznurki ze stolicy dalekiego kraju. Według niej to wszystko było bardzo proste. Gdy zeszła w porcie ze statku, czekał na nią pilot, który teraz, zaprowadziwszy ją z lądowiska w góry do groty, oznajmił, że ma rozkaz zabrać ją stąd, kiedy tylko ona tego zechce. Po czym dał jej swój adres.

– Ja nie zamierzam stąd wracać – odrzekła mu na to wyniośle.

– Mimo to – powiedział pospiesznie – proszę to wziąć i pozwolić mi zameldować, że spełniłem swój obowiązek.

Ta wysoka, uparta młoda kobieta, która tak dobrze wiedziała, co zrobi, a czego robić nie ma zamiaru, przerażała go nie na żarty. Pragnął zatem pozbyć się jej jak najszybciej. Bo co by począł, gdyby nagle zachciało jej się własnoręcznie pilotować samolot? Na szczęście jednak taki pomysł nie strzelił jej do głowy. Siedziała w samolocie nieruchomo i w całkowitym milczeniu, a zachodni wiatr odgarniał jej z twarzy krótkie czarne włosy. W połowie drogi posiliła się chlebem z mięsem i owocami, które miała ze sobą, nie częstując nimi pilota. On musiał się zadowolić rybą i ryżem na zimno.

A w chwili rozstania otworzyła torbę z zagranicznej skóry, wyjęła pieniądze – sumę trzy razy większą, niż się spodziewał, i wręczyła mu ją bez słowa. Dlatego pilot przy pożegnaniu darzył ją zdecydowanie większą sympatią niż podczas podróży. Ukłonił się i ruszył z góry pieszo, w taki sam sposób, w jaki się tu dostał, chociaż ona została wniesiona w lektyce. Po czym oddalił się, mając nadzieję, że jej więcej nie zobaczy.

Mayli była zachwycona skalnym pomieszczeniem, które jej przydzielono i które, tak jak wszystkie inne, miało drzwi i okno. Okno to wychodziło na południe, a widok z niego przechodził wszelkie jej wyobrażenie. Jej oczom ukazały się bowiem nagie skaliste turnie wznoszące się ku niebu niby fale uroczystej muzyki i grzmiące swoim milczeniem.

Na zewnątrz panował dojmujący chłód, ale Mayli otworzyła okno na oścież i rozpostarła ramiona w patetycznym geście, który wyglądał na fałszywy, lecz był całkiem szczery.

– To moje! – powiedziała cicho. – To wszystko jest moje. O góry, wracam do was niby do rodzinnego domu!

A potem stała przez chwilę w bezruchu. Zaraz jednak przypomniało jej się, że jest bardzo głodna i że stara służąca, która ją tu przyprowadziła od bramy, mówiła, że za chwilę zaczną się lekcje. Mayli wiedziała jednak, że przed zajęciami musi się zgłosić do biura, do cudzoziemskiej dyrektorki, a potem jeszcze zjeść posiłek. Odeszła więc od okna i przejrzała

się w stojącym na stole małym lusterku. Wyszczotkowała swoje mocne czarne włosy, przetrła twarz mokrym ręcznikiem, a potem lekko się uróżowała i musnęła pudrem. Usta umalowała czerwoną szminką w odcieniu, który dodawał jej urody. Sukni nie zmieniła. Była to bowiem najcieplejsza suknia, jaką tu dysponowała – ciemnoczerwona, z zagranicznej wełny.

Poczyniwszy te przygotowania, Mayli przeszła ciemnym krętym korytarzem aż do miejsca, gdzie wedle słów służącej znajdowało się biuro, po czym bez cienia nieśmiałości otworzyła drzwi i wkroczyła do środka. A znalazłszy się tam, zobaczyła, że przy stole siedzi tęga biała kobieta o surowym wyrazie twarzy – bardzo nieurodziwa, jednak niesprawiająca wrażenia osoby nieżyczliwej.

– Czy mówię z panną Freem? – zapytała Mayli po angielsku.

A pannie Freem wydało się, że przemawia do niej jakaś cudzoziemka, jako że żadna z jej dziewcząt nie potrafiła sklecić w obcym języku wypowiedzi dłuższej niż cztery słowa. Zaskoczona podniosła wzrok i już wiedziała, z kim rozmawia.

Nie polubię tej kobiety, pomyślała Mayli.

Jeżeli nie będę uważała, ta zuchwale wyglądająca dziewczyna sprawi mi kłopoty, pomyślała panna Freem.

I z takim wzajemnym nastawieniem rozpoczęło się ich wspólne życie.

Gdy w czasie posiłku w grocie centralnej Pansiao podniosła wzrok i zobaczyła nową nauczycielkę, w jej sercu natychmiast zapłonęła miłość. Młoda kobieta weszła z cudzoziemską dyrektorką, do której Pansiao nie odważyła się dotychczas powiedzieć choćby słowa. Natomiast nowo przybyła rozmawiała z nią z taką swobodą, jakby znała ją od dziecka. Pansiao odłożyła pałeczki i zaczęła się jej przyglądać.

A tymczasem przez grootę przeleciał szept: „To nasza nowa nauczycielka”. Dziewczęta jak zwykle na powitanie wchodzącej dyrektorki podniosły się z miejsc i zaczęły, stojąc, dopóki ona nie usiadła. Jednak Pansiao patrzyła tylko na nowo przybyłą. Zresztą wszystkie bez wyjątku patrzyły teraz na nią. Podziwiały niezwykłą barwę jej cery, wzrost, swobodę zachowania, dostrzegały szybkie, typowe dla cudzoziemek ruchy i zagraniczny materiał jej sukni. A mimo to ta kobieta była jedną z nich, bo włosy miała czarne, a jej skóra, choć jasna, była skórą Chinki. Pansiao, oszołomiona jej urodą, złożyła pod stołem swoje małe odmrożone dłonie i poczuła w piersi przyływ słodkiej, gorącej miłości.

A potem po prostu pomyślała uradowana: „Oto Niebo zsyła mi kobietę odpowiednią

dla mojego brata!".

Był to dziwny powrót. Mayli, wstając co rano z łóżka, spoglądała przez okno na pierwotny, dziki krajobraz. Przed nią jak okiem sięgnąć góry zdawały się chylić w porywach wiatru, a wszelkie ślady ludzkiej obecności skupiały się w przyczepionej w dolinie do podnóża skał jednej jedynej wiosce, która z tej odległości wyglądała na tak malutką, że – jak się wydawało – można ją było zamknąć w dłoni.

A kiedy już nazachwycała się majestatem przyrody za oknem, kierowała swe myśli ku życiu, które toczyło się w grotach. I uświadamiała sobie, że szczegółowo zaplanowany program nauczania jest tak oderwany od dzisiejszych potrzeb, że czuła się jak schwytna w pajęczynę i miała ochotę tę pajęczynę porwać na kawałki. W tych wojennych czasach, w okresie tak ważnym dla mojego kraju, myślała z rosnącym gniewem, ja jestem zmuszona uczyć te dziewczęta rzeczy, jakich się uczy dzieci żyjące w jakimś małym amerykańskim miasteczku! Nic więc dziwnego, że podczas pracy towarzyszyło jej bezustannie zniecierpliwienie.

Pewnego ranka zdarzyło się, że wszedłszy wcześniej do klasy, zastała tam Pansiao. Dziewczynka, pochylona nad książką, mruzczała coś do siebie z twarzą wykrzywioną z wysiłku.

– Czego się uczysz, moje dziecko? – zapytała Mayli.

Nie potrafiła jeszcze odróżniać twarzy swoich uczennic, pomyślała jednak, że ta jest z pewnością jedną z najmłodszych w szkole.

Pansiao przyszła do klasy przed czasem z własnej nieprzymuszonej woli. Tutaj bowiem za chwilę miała się pojawić uwielbiana przez nią nauczycielka, by rozpocząć lekcję rachunków. Jeżeli przyjdę wcześniej, myślała dziewczynka, to może zobaczę ją jako pierwsza. Nie spodziewała się jednak takiego ogromu szczęścia, nie spodziewała się, że znajdzie się sam na sam z osobą będącą przedmiotem jej uwielbienia. Właśnie siedziała nad angielskim, którego uczyła panna Freem. Widząc nad sobą tę piękną twarz i słysząc zadający pytanie głos, wprost zaniemówiła. Bez słowa wskazała nauczycielce książkę.

– *Objazd Paula Revere'a!* – rzuciła Mayli z pogardą, biorąc książkę do ręki. – Nie do wiary! No tak! Więc macie nauczyć się tego na pamięć?

Pansiao kiwnęła głową.

– To jest bardzo trudne – powiedziała cicho.

A po chwili speszyła się bardzo, gdy przedmiot jej uwielbienia cisnął książką o



ziemię.

– Co za bzdury! Co za nonsens! – zawołała Mayli. – Zajmować się takim utworem... podczas gdy nasi partyzanci prowadzą codzienną bohaterską walkę!

Pansiao, nie rozumiejąc tych pełnych gniewu angielskich słów, schyliła się, żeby podnieść książkę. Ale Mayli nie dopuściła do tego. Postawiła na książce swoją niezbyt małą stopę. Tak, podeptała ją po prostu. A potem sama schyliła się, podniosła książkę i wyszła z klasy.

Pansiao została sama. Cała drżąca.

– Rozgniewałam ją – szepnęła do siebie, a serce w przyływie ochoty do płaczu przestało jej bić w piersi. – A przecież tak bardzo nie chcę być przyczyną jej gniewu.

Tymczasem Mayli pomaszerowała prosto do gabinetu panny Freem i wkroczyła tam bez pukania. Panna Freem czytała właśnie Biblię, jednak młoda kobieta postanowiła nie zwracać na to uwagi. Położyła na otwartej Biblii książkę Pansiao, na której widniał odcisk podeszwy jej buta. Panna Freem poprawiła się na krześle i spojrzała na nią. W ciągu ubiegłego miesiąca zdążyły się pokłócić już z dziesięć razy. Obie, jako osoby nieustraszone i szczerze, obstawały uparcie przy swoich racjach.

– Proszę spojrzeć! – powiedziała Mayli porywczo i całkiem bez szacunku dla zwierchniczki. – Zastałam jedną z dziewcząt uczącą się na pamięć tego!

Panna Freem poprawiła okulary i pochyliła się nad książką.

– To praca domowa zadana na dzisiaj z angielskiego – rzekła. – Dziewczęta uczą się o tym od dwóch tygodni, a dziś ma nastąpić podsumowanie tematu.

– Dlaczego zadała im pani taką głupią pracę domową? – zapytała Mayli. – Dlaczego w tych okropnych czasach, podczas tak wielkiej wojny, kiedy tu, w jej własnym kraju, toczy się uporczywa walka o wolność, młoda Chinka ma się uczyć na pamięć utworu o Paulu Revere?

Panna Freem, słuchając tej przemowy, doznała szoku. Poczula się też trochę przerażona. Zaczęła się poważnie zastanawiać, czy jej rozmówczyni jest przy zdrowych zmysłach.

– Ależ ten utwór jest w programie – oświadczyła kategorycznie.

Mayli wybuchnęła śmiechem. Zaraz jednak powiedziała sobie, że musi być rozsądna.

– Proszę posłuchać, panno Freem – zwróciła się do zwierchniczki już opanowana. – Czy my tutaj, w tych chińskich górach, musimy realizować program amerykańskiej szkoły? Proszę się zastanowić. Przebyliśmy dwa tysiące mil, uciekając w głąb łądu, i ukrywamy się w skalnych grotach przed najeźdźcą i jego bombami. Edukujemy tę garstkę młodych Chinek, nie wiedząc, jaka przyszłość je czeka. Jednak to z pewnością im się nie przyda!

Z tymi słowami chwyciła książkę, przedarła ją na pół i wrzuciła do stojącego obok biurka kosza na śmieci.

Panna Freem nawet nie drgnęła. Dawno temu, gdy była małą dziewczynką, ojciec ostrzegał ją przed jej własną skłonnością do złości.

„Jeżeli nie będziesz uważała, Ellen – powiedział – to pewnego dnia kogoś zabijesz. Musisz prosić Boga, by ustrzegł cię od grzechu”.

Tymi słowami przeraził ją tak, że od tej pory żyła w ciągłym strachu, że może w złości zrobić coś okropnego. Wiedziała bowiem, że ojciec miał rację. Dzień w dzień prosiła zatem Boga, by pomagał jej się opanować. I zawsze trzymała na stole Biblię, którą dał jej ojciec. Za każdym razem, gdy czuła w głowie fale gorącej wściekłości, wyciągała rękę i kładła ją na Księdze. Tak też uczyniła i teraz, przyciskając dłoń do jej stronic i szukając w niej pomocy. Gdy po chwili poczuła, że może już mówić, odezwała się schrypniętym, stłumionym głosem:

– To ja jestem dyrektorką tej szkoły. I ja decyduję, czego mają się uczyć dziewczęta.

Cóż ze mnie za idiotka, pomyślała Mayli, gdy usłyszała te słowa. Usiadła na krześle naprzeciwko panny Freem i pochyliwszy się nad stołem, zbliżyła swą piękną, pełną ognia twarz do twarzy starszej kobiety. Nie mogła jednak wiedzieć, że dla panny Freem nic nie jest bardziej przerażające i nic nie działa na nią bardziej odpychająco niż zbyt ładna twarz.

– Proszę posłuchać, panno Freem – zaczęła. – Ja chcę tylko powiedzieć... poprosić... nie ograbiajcie nas z naszej własnej wielkości! Teraz toczymy walkę o wolność... Powinnyśmy uczyć te dziewczęta chińskiej poezji i chińskich pieśni. Dlaczego wciąż śpiewamy hymny kościelne? Powinnyśmy śpiewać pieśni naszego własnego narodu, pieśni nowe... Czy pani nie rozumie, jak ja się czuję, gdy wróciwszy do ojczyzny, w takim miejscu jak to... – tu szerokim gestem silnego ramienia wskazała skaliste góry za oknem – śpiewam... co? No tak. *Stój przy mnie* i... i *Z lodowych gór Grenlandii*... – zakończyła i wybuchnęła głośnym śmiechem, a zaraz potem dodała: – Czy rozumie pani, co mam na myśli, panno Freem?

Panna Freem wstała. Nie mogła znieść bliskości tej tchnącej siłą, nazbyt pięknej twarzy. Była w niej jakaś namiętność, a pannę Freem namiętności przerażały.

– Uważam to miejsce za azyl – odrzekła uroczyście. – Azyl, który stworzył nam Bóg.

– Nam niepotrzebny jest żaden azyl! – zawołała Mayli. – Jesteśmy w samym środku wojny!

Zerwała się z miejsca, a pomiędzy nią a jej przełożoną wyrosła nieprzebyta bariera. Zdawały sobie z tego sprawę, choć żadna z nich dwóch nie odezwała się już ani słowem. Mayli po chwili odwróciła się i wyszła, a panna Freem schyliła się i wyjęła książkę z kosza na

śmieci. Książki są rzeczą cenną, a tę można było jeszcze doprowadzić do stanu używalności.

Tymczasem Mayli, nieopisanie wściekła, pomaszrowała z powrotem do klasy.

Nie mogę tu zostać, myślała wzburzona. Nie będę brała za coś takiego pieniędzy. Muszę się stąd wydostać za wszelką cenę.

W tym wszystkim całkiem zapomniała o uczennicy, którą zostawiła w klasie. Wpadła tam teraz z marsem na czole i mówiąc cicho do siebie. I zobaczyła tę małą dziewczynkę siedzącą dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Teraz jednak twarz miała bladą, a w jej brązowych oczach czaił się strach.

– O co chodzi? – zapytała Mayli.

– Rozgniewałam panią – wyszeptała Pansiao, a jej oczy napełniły się łzami. – Tak, zrobiłam to, a wolałabym umrzeć, niż panią rozgniewać!

Jej uwielbienie świeciło przez łzy niczym płomień świecy. Wyciągnęła nieśmiało rękę i ujęła rąbek sukni Mayli.

– Ależ ty jesteś jeszcze dzieckiem! – zdumiała się Mayli. – Jak to się stało, że rodzice pozwolili ci wyjechać tak daleko od domu?

– Mam prawie szesnaście lat – odrzekła Pansiao. – W tym wieku nie można już być dzieckiem. Przez trzy lata pracowałam w domu przy krosnach. A potem pojawił się wróg i ojciec wysłał mnie tutaj.

Następnie z właściwą sobie prostodusznością opowiedziała Mayli historię swojej rodziny, poinformowała ją, gdzie jej bliscy mieszkają i jak nazywa się najbliższe miasto. Powiedziała nawet, że mąż jej siostry, Wu Lien, przeszedł na stronę wroga i mieszka we wspaniałym domu w mieście, w którym wrogowie narobili tak wiele zła. Nie dokończyła swej opowieści, bo w klasie pojawiły się inne dziewczęta. Dlatego Mayli powiedziała:

– Muszę wysłuchać cię do końca, bo w mieście, o którym mówisz, urodziła się moja matka. Dziś wieczorem przed snem przyjdź, dziecko, do mojego pokoju.

Pansiao z wielkim szacunkiem kiwnęła głową. A potem cały dzień upłynął jej w stanie oszołomienia. Kilka razy zdarzyło się, że Mayli, napotkawszy jej wzrok, uśmiechnęła się do niej. A ona za każdym razem, całkiem bezwiednie, wstrzymywała oddech i czuła się słabo.

Jak to możliwe, że to dziecko zdołało tyle wycierpieć? – myślała Mayli.

Słowa Pansiao brzmiały jej w uszach przez cały dzień. Zastanawiając się nad nimi, całkiem zapomniała o porannej kłótni z panną Freem i rozmawiając z nią w przelocie, była przemiła, więc starsza kobieta doszła do wniosku, że Bóg wysłuchał jej modłów i odmienił serce tej porywczej dziewczyny. Zadowolona, że ma już wreszcie spokój, resztę dnia spędziła jak zwykle. Postanowiła też, że skoro tylko Bóg podpowie jej, co ma czynić, pójdzie za jego

głosem. O Boże, modliła się cicho tej nocy, klęcząc przy łóżku, natchnij mnie, w jaki sposób mam się pozbyć tej dziewczyny!

Wieczorem Mayli oczekiwała swego gościa z wielką niecierpliwością. Była gorliwą czytelniczką gazet. Czytała każdą, która jej wpadła w ręce. Słuchała też po nocach zabronionego radia, które przywiozła ze sobą z zagranicy, uniknąwszy kontroli dzięki swemu paszportowi dyplomatycznemu. Jednak opowieść Pansiao okazała się dla niej czymś całkiem nowym. Usłyszawszy za drzwiami delikatne kasznięcie, zawołała:

– Proszę!

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Pansiao. Mayli powitała ją swoim pięknym uśmiechem i zaprosiła do środka.

– Usiądź tutaj – powiedziała, przyciągając taboret do piecyka, w którym paliła węglem drzewnym. – Jest przecież bardzo zimno. I zobacz, dam ci coś słodkiego. Przywiozłam to aż zza morza i schowałam na specjalną okazję. Sądzę, że dziś taka okazja nadeszła.

Posadziła Pansiao na wyściełanym taborecie przy buzującym ogniu, a chwilę potem w dłoni dziewczynki znalazł się słodki brązowy kwadracik czegoś, co przypominało cukier.

– Robi się to z owoców drzewa, które rośnie daleko stąd – wyjaśniła Mayli. – Skosztuj... To jest naprawdę dobre.

Pansiao skosztowała – polizała przysmak końcem języka, a Mayli roześmiała się głośno.

– Masz język jak mały kociak – powiedziała.

Pansiao także wybuchnęła śmiechem. Głos Mayli zdawał się płynąć z daleka, a dziewczynce kręciło się ze szczęścia w głowie. Była tak pijana miłością, że widziała wokół głowy nauczycielki jakiś obłok.

– Wygląda pani jak Kuan-in – powiedziała cicho.

Mayli otworzyła ze zdumienia swoje duże oczy.

– Ja?! – zawołała. – Ależ ty mnie nie znasz! Mój ojciec uśmiełby się z takiego porównania! Posłuchaj, moje dziecko, ja jestem bardzo porywczą. Wręcz dzika!

– Nie mogę w to uwierzyć – szepnęła Pansiao.

Zapomniała, że w dłoni trzyma ten słodki kwadracik. Patrzyła na śliczną, rumianą w świetle padającym z piecyka twarz Mayli.

– Błagam panią – poprosiła słabym głosem, czerpiąc siłę z miłości. – Och, błagam... Czy wyjdzie pani za mojego brata?

Była to ostatnia rzecz, jaką Mayli spodziewałaby się usłyszeć z ust tego dziecka. Patrzyła na małą z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Czy ja dobrze słyszę? – zapytała.

Pansiao odłożyła słodki brązowy kwadracik i padła na kolana.

– Za mojego trzeciego brata – wyjąkała. – On tam u nas dowodzi bojownikami ze wzgórz. I szuka kobiety takiej jak pani. Ojciec napisał do mnie list z poleceniem, bym mu znalazła żonę na wolnych terytoriach, bo na terenie zajęтым przez wroga nie ma odpowiedniej dla niego kobiety. Ja jednak długo nie mogłam tutaj znaleźć nikogo, kto by się nadawał... Nie mogłam... aż do chwili, gdy zjawiała się pani.

Cała drżąca, wyciągnęła zza pazuchy list Nefryt. Idąc tutaj, zabrała go ze sobą w nadziei, że słowo pisane będzie bardziej przekonujące niż to, co sama powie.

Mayli wciąż nie wierzyła własnym uszom. Wzięła jednak list i zabrała się do czytania. Pansiao tymczasem podniosła się z kolan, otrzepała ubranie i pogryzając brązowy słodki kwadracik, obserwowała twarz uwielbianej nauczycielki. Mayli z początku na słowa listu zareagowała śmiechem. Potem jednak była zaskoczona. A jeszcze później na jej pięknej twarzy pojawiła się powaga, która zawisała na koniuszkach jej prostych czarnych rzęs.

Skończywszy czytać, młoda kobieta uniosła powieki. A potem złożyła list i oddała go Pansiao bez słowa.

Gdzież na świecie mogłoby się wydarzyć coś takiego? – pomyślała w duchu. I któż, kto tego nie doświadczył, mógłby w to uwierzyć? Co ja mam powiedzieć temu dziecku?

Pansiao ponownie odłożyła słodki przysmak i czekała.

– To ładny list – rzekła Mayli. – Pismo jest wyraźne, a styl prosty. Czy twój brat także umie pisać?

– Mój brat? – powtórzyła Pansiao. – Nie, nie. On nie potrafi ani czytać, ani pisać.

– Widzisz, dziecko – stwierdziła po prostu Mayli – mnie trudno byłoby poślubić człowieka, który tego nie potrafi.

– Och, on jest bardzo zdolny! – zawołała Pansiao. – Nie uczył się, bo nie dostrzegął w tym żadnego pożytku. W naszej wiosce umie czytać tylko stary kuzyn naszego ojca, a on jest głupcem – mówiła rozgorączkowana, wpatrując się w twarz Mayli. – Gdyby pani tego chciała, mój brat z pewnością zacząłby się uczyć. A gdyby pani została jego nauczycielką, uczyłby się bardzo szybko!

– Czyż mogę poślubić człowieka, którego nigdy nie widziałam? – zapytała łagodnie Mayli.

– A któraż to narzeczona widziała człowieka, którego ma poślubić? – odrzekła zdziwiona Pansiao.

To całkiem inny świat, pomyślała Mayli. A jednak czyż on nie jest moim światem? Gdybym nie została wywieziona stąd w dzieciństwie, odpowiedziałabym tak samo jak ta dziewczynka.

– Opowiedz mi o swoim bracie – zwróciła się do Pansiao.

Nie myślała wcale o poślubieniu tego mężczyzny, a słowa dziecka były jedynie godnym śmiechu absurdem. A jednak... to był jej świat, jej kraj ojczysty.

Pansiao opowiedziała więc o swoim trzecim bracie wszystko, co zdołała sobie przypomnieć. Zaczęła od jego najwcześniejszego dzieciństwa. I zrelacjonowała wszystko uczciwie. Nie ukrywała prawdy o jego złych humorach, porywczoci i okrucieństwach. A Mayli, słysząc o nich, śmiała się serdecznie. Potem jednak Pansiao zaczęła mówić o czynach, które świadczyły o jego wielkiej odwadze, a wtedy Mayli spoważniała. Opowieść trwała długo, tak długo, że czerwone węgle zdążyły się pokryć miękkim szarym popiołem i nastąpiła połowa nocy. One jednak tego nie zauważyły. Znajdowały się bowiem obie bardzo daleko stąd. I każda z nich na swój sposób żyła tamtym odległym życiem, mając przed oczami silnego, upartego i odważnego młodego człowieka – nieuczzonego, lecz pełnego mocy.

– Taki jest mój brat – zakończyła opowieść Pansiao.

– Przedstawiłaś go bardzo żywo i wyraźnie – odrzekła jej na to Mayli.

Pansiao wpatrywała się w nią w nadziei, że powie coś jeszcze. Mayli wiedziała o tym, ale pokręciła głową.

– Moje drogie dziecko – zaczęła – wszystko to jest dla mnie bardzo dziwne. Przypomina mi historię wziętą z jakiejś książki. Musisz teraz iść spać. Gdyby panna Freem zorientowała się, że jesteś tutaj, gniewałaby się bardzo!

Dotknęła policzka dziewczynki, wstała i odprowadziła ją do drzwi, a Pansiao, czując, że język odmawia jej posłuszeństwa, potrafiła tylko błagać ją wzrokiem.

– Dobranoc – powiedziała Mayli. – Dziś w nocy na pewno coś mi się przyśni!

Gdy Pansiao się już oddaliła, Mayli odniosła wrażenie, że wszystko naokoło się zmieniło. I było teraz inne niż przedtem. Dotychczas bowiem ten pokój, w którym się znajdowała, należał do niej, był częścią jej ojczyzny. Urządziła go trochę z cudzoziemską, kładąc tu i ówdzie poduszkę, stawiając pozbawioną ramek fotografię, jakieś zdjęcie domu swego ojca. Teraz jednak ten pokój nie był już jej pokojem. Stał się natomiast grotą w skalistym zboczu góry w okupowanym kraju. I był w nim obecny młody dowódca

partyzantów. Tak, ten człowiek istniał tutaj niby pełen siły cień, niby potężny duch, a jego obecność okazała się czymś, czego ona nie potrafiła wyeliminować. Mayli usiadła tuż koło pełnego szarych węgla piecyka i pogрузyła się w myślach o tym człowieku. Zastanawiała się nad wszystkim, co usłyszała na jego temat z ust Pansiao.

Szkoda, powiedziała sobie w duchu, naprawdę wielka szkoda, że takiemu człowiekowi nie została dana szansa! Ale z drugiej strony czy byłby odważniejszy, gdyby potrafił czytać? Czy dzielniej walczyłby wtedy z wrogiem? A potem przypomniała sobie, co się zdarzyło tego ranka, i roześmiała się cicho. Być może Paul Revere także był człowiekiem niewykształconym...

Wstała, wzdrygając się i otrząsając z siebie dziwny urok, jaki rzucił na nią człowiek, którego nigdy w życiu nie widziała na oczy.

Nie wolno mi popadać w romantyczne nastroje, pomyślała.

Z takim postanowieniem podeszła do okna, otworzyła je, a potem patrzyła przez nie bardzo długo. Księżyc płynący wysoko po niebie zalewał swoją poświatą nagie opoki. A one stały szare i dzikie. Nie dało się na nich dostrzec nawet pojedynczego drzewa, a cienie, które rzucały na siebie nawzajem, były czarne. Krajobrazowi temu nie dorównywał urodą żaden inny na całym świecie. Jednak spoglądanie na niego bez bojaźni wymagało nie lada hartu ducha. Mayli się nie bała. Patrzyła, stojąc nieruchomo, prawie przez godzinę.

Nie mogę być idiotką, pomyślała w końcu i położyła się spać.

# XVII

Przez wiele kolejnych dni Mayli unikała Pansiao. Zdarzało się w tym okresie często, że napotkawszy przypadkiem wyczekujące spojrzenie dziewczynki, uśmiechała się tylko i szybko odwracała głowę. To bowiem, o co prosiły oczy tej małej, nie było możliwe do spełnienia.

Mimo to jednak pewne ukryte siły działały na rzecz dokonania się tej pozornej niemożliwości. Po pierwsze, była to siła gór, których potęgę Mayli czuła dniami i nocami. Te góry wzywały ją, wołały do niej, by oderwała się od swego dotychczasowego spokojnego życia.

Nie zostałam stworzona do tego, by być nauczycielką, myślała Mayli z pasją. Nie jestem w stanie wciąż śpiewać tych kościelnych pieśni!

Do czego jednak jestem stworzona? To pytanie zadawała sobie teraz bezustannie. Czego kobieta może dokonać sama, bez niczyjej pomocy? Mayli prowadziła grę z własną wyobraźnią. Może posiąć po tego pilota, który mnie tutaj przywiózł, myślała, i kazać mu zawieźć się... dokądkolwiek?

Dokąd jednak mogłaby się udać? Do rodziny matki? Wiedziała, że ta rodzina jest teraz rozproszona, a miasto zajęte przez wroga. Nie, sama nie dokona niczego. Musi zawrzeć jakieś przymierze. Ale jakie? Może z wojskiem? W północno-zachodniej części kraju istniało wojsko. I kobiety walczyły tam ramię w ramię z mężczyznami. Jednak ona nie chciała zostać po prostu jedną z wielu. Na to była zbyt dumna. Pragnęła pozycji, której przypisana byłaby władza, albo dzięki której mogłaby władzę zdobyć. Przypomniała jej się pewna sławna na cały świat kobieta – kobieta jej własnej rasy, wykształcona tak jak ona za granicą, bogata, piękna, uparta i poślubiona wojownikowi, podobnemu do tego brata Pansiao, o którym dziewczynka opowiadała tak wiele. Tamta kobieta wzięła sobie surowego, silnego, niewykształconego mężczyznę i będąc jego żoną, ukształtowała go na przywódcę, którego imię stało się znane całemu światu. Czy ona, Mayli, nie mogłaby uczynić tego samego?

Będę musiała coś przedsięwziąć, myślała dzień w dzień panna Freem, przyglądając się



Mayli przez grube okulary. Czuję, że ta dziewczyna zamienia się w tygrysa. Och, Boże, pozwól mi znaleźć sposób... Pozwól mi się jej pozbyć!

Zostawszy sama w swoim pokoju, Mayli nastawiła radio, żeby usłyszeć ten głos, który rozlegał się co noc między drugą a trzecią nad ranem. Płynął z samego serca kraju i opowiadał o zwycięstwach i o ciężkich stratach. Dlatego w ciągu dnia, który zamykał się wokół niej niby klatka, Mayli zawsze czekała na noc. A usłyszawszy ten głos, nieodmiennie zwracała się ku góróm i nie zważając na chłód, otwierała okno. A potem stała przed nim, a góry robiły swoje.

Muszę się stąd wydostać, muszę się wyswobodzić, myślała.

Nie dokonała tego jednak samodzielnie, bo to panna Freem okazała się tą, która ją wyswobodziła.

– Bóg dał mi siłę – powiedziała już po wszystkich do pozostałych nauczycielek. – Modliłam się całymi tygodniami, by uwolnił mnie od tego ciężaru. On jednak długo nie wskazywał mi sposobu. A potem, pewnego dnia, usłyszałam, co ona mówi. Tak, słyszałam to na własne uszy. Ona namawiała dziewczęta do ucieczki! Namawiała do tego te kochane stworzenia, które zostały powierzone mojej pieczy! Traf chciał, że przechodziłam właśnie obok jej klasy, gdzie miała się odbywać lekcja historii Ameryki, i dobiegły mnie jej słowa. „To haniebne – mówiła – że przebywamy w tych grotach, studiując dokonania innych narodów. I że czynimy to w czasie, gdy wszystkie powinnyśmy walczyć z naszym wrogiem! Posłuchajcie, dziewczęta... jeżeli ja stąd odejdę, czy podążycie za mną?”. Tak, moje drogie, takie właśnie padły słowa. Otworzyłam więc drzwi i Bóg dał mi siłę. „Panno Wei – zwróciłam się do niej – panno Wei, pani umowa o pracę zostaje rozwiązana!”.

Potulne nauczycielki, usłyszawszy opowieść dyrektorki, wyraziły oburzenie. Większość z nich była kiedyś uczennicami panny Freem, potrafiły więc ją zrozumieć.

Mayli, słysząc potem od niektórych z nich, że to Bóg pomógł jej zwierchnicze, wybuchnęła śmiechem.

– Czy ona wie, że Bóg posłużył się nią dla mojego dobra? Tak, zapewniam was, Bóg posłużył się nią po prostu, by mnie wyzwolić! – stwierdziła.

Z pogardą zażądała całej swojej pensji, a potem kazała odźwiernemu wezwać górskiego kuriera. Gdy się zjawił, posłała go z telegramem do najbliższego miasta. Telegram ten zawierał wezwanie do pilota, by ją stąd zabrał. Wyjechała, nie widząc się ponownie z

Pansiao.

A Pansiao, przekonawszy się, że jej uwielbianej bogini już nie ma, płakała potajemnie bardzo długo. Gdzie ona teraz jest i czy to z mojej winy zniknęła? – zastanawiała się dziewczynka. Czy to moje błagania sprawiły, by została żoną kogoś takiego jak mój brat?

Któż mógł to wiedzieć? Pansiao nie miała nikogo, kto by jej odpowiedział na to pytanie.

Mayli, znalazłszy się w samolocie, usadowiła się na małym, wąskim foteliku.

– Wracam na wybrzeże – powiedziała do pilota.

Spotkali się przedtem w wiosce u podnóża gór. Pilot dotarł tam rankiem, dokładnie w chwili gdy lektyka z jego pasażerką zatrzymała się przed gospodą. Z czapką w dłoni, w swoim niebieskim bawełnianym mundurze, który teraz był bardziej wypłowiały niż przy ich pierwszym spotkaniu, podszedł do niej z niepewnym uśmiechem, bo bał się tej kobiety. Kilka dni wcześniej otrzymał polecenie, że ma się zjawić w tym miejscu w określonym dniu, i nie zaskoczyło go to wcale, gdyż rozstając się z tą swoją pasażerką poprzednim razem, pomyślał sobie, że taka młoda kobieta nie pozostanie długo w górach.

– Będę gotowa za pół godziny – to było wszystko, co powiedziała mu na powitanie.

Po czym Mayli weszła do gospody, gdzie oświadczyła właścicielowi, że na dwóch półkulach nie widziała brudniejszego pomieszczenia, a kiedy zjadła porcję klusek, wyszła ponownie na zewnątrz otulona futrem i wsiadła do samolotu.

Siedząc już na wąskim foteliku, obejrzała się jeszcze, by po raz ostatni popatrzeć na wzbijające się w niebo góry. A potem odwróciła głowę w stronę morza i skupiła się na tym, co teraz zamierzała zrobić. Nigdy nie zdradziła się przed Pansiao, co myśli, słuchając jej opowieści o ojcu i rodzinie. A gdy dziewczynka naprzykrzała się jej, zadając nieśmiało pytania, śmiała się tylko. Rozmawiając z kimkolwiek, powiedziałyby z pewnością, że szaleństwem jest myśleć o niewykształconym człowieku, którego nigdy w życiu się nie widziało. A mimo to opowieść Pansiao wpłynęła na tok jej myśli i na jej wyobraźnię. W tej chwili, gdy cały świat stał przed nią otworem i gdy to, co robi, zależało wyłącznie od jej własnego wyboru, i w sytuacji, gdy nikt nie wiedział, gdzie się znajduje – czuła się tak wolna jak chmura na niebie. Nigdy dotychczas nie doświadczyła uczucia tak absolutnej wolności. Człowiek, który siedział obok, był dla niej niczym, był po prostu częścią maszyny. Nie odezwała się do niego ani słowem. A on, gdy na nią spojrział, zobaczył, że siedzi nieruchomo z twarzą zwróconą ku niebu i patrzy przed siebie.

W warunkach tej absolutnej wolności w jej głowie powstawał plan. Dlaczego nie miałabym pojechać i przekonać się naocznie, czy ten człowiek jest tak przystojny, jak twierdziła Pansiao? – myślała, bo Pansiao z kobiecą przebiegłością rozwodziła się nad wielką urodą swego brata. „Jest wysoki – powiedziała – znacznie wyższy od pani. A oczy ma podłużne i czarne, tak czarne i o tak bardzo białych białkach, że każdy, na kogo spojrzy, czuje w nim moc boga”. Tak właśnie mówiła Pansiao.

Trzeba tu nadmienić, że Mayli należała do kobiet, które we własnym mniemaniu nigdy nie spotkały równego sobie mężczyzny. Odnosiła się do nich z pogardą. Ale była kobietą namiętną i od chwili gdy ukończyła trzynaście lat, marzyła o mężczyźnie, którego nie mogłaby zlekceważyć, tak jak lekceważyła wszystkich, którzy dotychczas stawali na jej drodze, łącznie z własnym ojcem. Uczoności w nich nie ceniła. Zatem teraz fakt, że ten, o którym jej opowiadano, nie potrafi czytać ani pisać, dodawał mu w jej oczach powabu. Jeżeli dysponował tak wielką władzą, nie mając wykształcenia, to kim by był, gdyby je posiadał? Mayli wyobrażała go sobie jako człowieka gwałtownego, który, będąc silniejszym od niej, stałby jednak niżej, jeżeli chodzi o poziom wiedzy. Pragnęła, by był nieposkromiony, by nie dawał się ujarzmić, a równocześnie chciała go jakoś formować. Jakże słodko byłoby mieć władzę nad mężczyzną dzikim i potężnym, mężczyzną, jakiego nigdy dotychczas nie spotkała – ani w pałacach, ani w miastach, ani w stolicach, gdzie obracają się ludzie głady i układni.

Przez cały ten długi dzień, unosząc się wysoko w przestworzach, Mayli obmyślała, jak zbliżyć się do tego mężczyzny, jak go poznać i jak się przekonać, czy przypomina on człowieka, o jakim od tak dawna marzyła.

Nie wydawało jej się to zbyt trudne. Widziała jasno i wyraźnie, jakim to może osiągnąć sposobem. Wystarczyło przecież tylko chcieć. Pansiao opowiedziała jej o mężu swojej starszej siostry, który miał na imię Wu Lien, mieszkał w mieście i współpracował z wrogiem. Mayli postanowiła więc, że znalazłszy się na wybrzeżu, napisze do człowieka sprawującego marionetkowe rządy w mieście, w którym urodziła się przecież jej matka, i zapyta, czy może odwiedzić dom matki, a także jej grób na muzułmańskim cmentarzu. Człowiek ten bowiem przyjaźnił się kiedyś z jej ojcem, znała go więc z czasów, gdy kraj był wolny. Wiedziała o nim, że jest słaby i że zawsze się buntował, bo czuł się niedoceniany. Poróżnił się niegdyś na tym tle z własnym rządem, wskutek czego spędził wiele lat na wygnaniu. Miał tam jednak pewną pozycję, którą zawdzięczał wsparciu ze strony swojej potężnej i bogatej rodziny. Mayli widywała go w domu swego ojca, do którego przychodził ponarzekać na to, co się dzieje w kraju, a także poutyskiwać, że nikt nie słucha jego rad i że się o nim zapomina. Spiskował też trochę w stolicach obcych państw, obracając się wśród

ludzi, o których sądził, że mają władzę. Ojciec Mayli nie mógł z nim całkowicie zerwać stosunków, pochodzili bowiem z jednego miasta i chodzili w dzieciństwie do tej samej szkoły. A kiedy kraj zajęli najeźdźcy, któż nadawał się lepiej na szefa marionetkowego rządu niż ten wiecznie sfrustrowany człowiek?

Mayli była pewna, że człowiek ten bardzo pragnie usprawiedliwić swoje postępowanie w oczach dawnych przyjaciół. Spodziewała się zatem, że kiedy zwróci się do niego z prośbą o ochronę podczas podróży w rodzinne strony matki, otrzymają bez wątpienia. Liczyła na to, że on zaprosi ją do swego domu i przyjmie z honorami, pragnąc zaimponować wrogom przyjaźnią z jej ojcem i faktem, że ona prosi go o pomoc. Zdawała sobie równocześnie sprawę, że ojciec, wiedząc o jej zamiarach, ogromnie by się rozgniewał. Swoim zwyczajem nie zamierzała go jednak o nich poinformować.

W ten oto sposób jej plan nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Będąc w gościnie u tego dawnego przyjaciela ojca, myślała dalej, z łatwością skłonię go, by odszukał owego Wu Liena. A potem udam się na wieś do domu Ling Tana. Tak, tak postanowiła – uda się tam, spotka się z całą rodziną i, być może, pozna tego, którego poznać tak bardzo pragnie. Wszystko to wydawało jej się ogromnie proste. Postanowiła zrealizować ten plan, nie zwierzając się ze swych zamiarów nikomu. A skoro już spotkam tego człowieka, myślała, to kto wie, co się wtedy wydarzy? Jeżeli on okaże się po prostu nieokrzesanym wieśniakiem – opuszczę natychmiast wioskę, uznawszy całą sprawę za interesującą przygodę. Cokolwiek się zatem zdarzy, nie ma dla mnie żadnego ryzyka.

Tak sobie planowała. A potem samolot wylądował i przenocowali w małym przygranicznym miasteczku, w okropnie brudnej gospodzie, gdzie pogryzły ją pluskwy. Rozgniewało ją to tak, że rano na odchodnym zgłosiła swoje pretensje właścicielowi. A ten, wysłuchawszy jej słów, uśmiechnął się tylko szeroko. Natomiast jego żona okazała się zdecydowanie mniej uprzejma.

– Proszę być pewną, że w tej sytuacji żal mi nie pani, ale pluskiew! – zawołała, biorąc Mayli za cudzoziemkę. – Jeżeli opily się pani czarną krwią, to z pewnością okazała się ona dla nich trucizną! A poza tym kto słyszał o porządnych ludziach, u których nie ma pluskiew ani wszy? Gdy takie drobne stworzonka opuszczają dom, wraz z nimi odchodzi szczęście!

– Jesteście ignorantką, beznadziejną głuptaską – odrzekła Mayli. – Ludzie tacy jak wy działają na rzecz wroga. Bo jaką korzyść może mieć nasz kraj z osób tak zacofanych?

Awanturę zażegnali pilot i właściciel gospody. Ten pierwszy zaczął błagać Mayli,

żeby już sobie stąd poszli, a ten drugi zatkał dłonią usta żonie. W taki to właśnie sposób mężczyźni rozdzielili kłócące się kobiety. A potem pilot rozwinął większą prędkość niż zwykle, bo bardzo chciał przed nocą pozbyć się kłopotliwej pasażerki. Dlatego też w niedługim czasie wylądowali na wybrzeżu.

Zgodnie z tym, co sobie zaplanowała – Mayli wysłała telegram do stojącego na czele tutejszego rządu dawnego znajomego i w kilka godzin później otrzymała od niego odpowiedź. Tak jak się spodziewała, człowiek ten błagał ją, żeby natychmiast zjawiała się u niego. Obiecywał też załatwić jej specjalne miejsce w pociągu, wysiąć po nią na stację samochód i zapewnić ochronę. Telegram podpisał otwarcie i wyraźnie swoim obecnym oficjalnym tytułem. Mayli, widząc to, uśmiechnęła się krzywo, bo dobrze pamiętała jego twarz słabego człowieka.

Czekała dwa dni, stwarzając pozory, że jest po prostu piękną i dumną młodą kobietą rozporządzającą dużymi pieniędzmi. Wychodziła do miasta sama, sprawiła sobie trochę nowej garderoby, kupiła piękne perły, a zauważywszy jakieś okropności, nie zdradzała się ze swymi spostrzeżeniami przed nikim z otaczających ją obcych ludzi. A dostrzegała bardzo wiele. W mieście były bowiem liczne ruiny i roilo się tutaj od żebrzących bezdomnych nieszczęśników – nie tylko jej rodaków, lecz także pochodzących z innych części świata. Mayli widziała wymizerowane twarze białych, w tym także oblicza wygnanych i zrozpaczonych Żydów szukających w tym smutnym miejscu jakiegoś schronienia. Pół świata było pozbawione domów i całkiem zrujnowane. To wielkie i niegdyś bogate miasto, myślała Mayli, należało dawniej do mojego narodu. Dlaczego więc musiało upaść? Chodząc po nim samotnie, nie znając nikogo i nie zwracając uwagi na przyjazne i zaciekawione spojrzenia tych, którzy chcieli dowiedzieć się, kim jest, rozmyślała nad wszystkim, co widzi, a w jej gorącym sercu wzbierał gniew na wroga.

W takim nastroju wsiadła do pociągu, odszukała tam przygotowane dla siebie miejsce i niczym rozsierzona księżniczka pozwoliła się powieźć do rodzinnego miasta swojej matki. I znalazła się tam przed nocą.

– Jestem bardzo samotny – poskarżył się jej gospodarz, a ona wyczuła, że choć niepewny swego, ma ochotę pochylić się w jej kierunku i dotknąć jej ręki.

Trzeba tu zaznaczyć, że od kiedy widzieli się ostatnio, Mayli zmieniła się w dorosłą

kobietę. Spojrzała teraz na niego, a on zorientował się natychmiast, że nie powinien tego robić. Odsunął się więc i odstawił filiżankę.

– To naturalne, że jest pan samotny – powiedziała Mayli spokojnie. – Gdyż pana postępowanie sprawiło, że znalazł się pan w izolacji.

Mówili po angielsku, w języku, który oboje dobrze znali.

– Ale pani mnie rozumie, prawda? – Jego urodziwa twarz słabeusza błagała o zrozumienie. – Nie jestem zdrajcą. Jestem realistą. Nie da się podważyć faktu, że naród znad Wschodniego Oceanu podbił połowę naszego kraju, więc trzeba się pogodzić z tym, że jedyną naszą nadzieją na przyszłość jest współpraca z tym narodem. A poza tym moje postępowanie jest z gruntu chińskie w swoim charakterze. Historia uczy nas bowiem, że nasz naród zawsze z pozoru ulegał najeźdźcom, jednak w rzeczywistości to my rządaliśmy, a nasi wrogowie umierali.

– Ale w dawnych czasach byliśmy silniejsi niż ci, co nas najeżdżali – odrzekła Mayli.  
– A jak pan myśli, jak jest teraz?

Ani słowem nie wspomniała o tym, co zauważyła podczas obiadu, który zjedli w towarzystwie wysokich przedstawicieli obcej władzy. A dostrzegła mianowicie, że tych ludzi cechowała jakaś złowroga, skoncentrowana siła, podczas gdy na twarzy gospodarza malowała się słabość i dobroduszna skłonność do ugody.

Gospodarz nie odpowiedział Mayli na jej pytanie. Ktoś bowiem wszedł do pokoju, co wywołało jego zniecierpliwienie, gdyż wcześniej polecił, by nikt nie przeszkadzał mu w rozmowie z gościem. Zorientowawszy się jednak, kim jest przybysz, uspokoił się.

– Ach, Wu Lien – powiedział, po czym zwrócił się do Mayli: – To mój sekretarz, człowiek bardzo wierny, który mnie doskonale rozumie.

Zatem ten szwagier Pansiao osiągnął wśród wrogów aż tak wysoką pozycję, pomyślała Mayli, a mój plan okazuje się bardzo łatwy do realizacji!

Wu Lien uklonił się, nie patrząc wprost na urodziwą kobietę. Uprzejmości nauczył go ojciec, który miał wśród swojej klienteli niejedną bogatą damę.

– Panie – odezwał się – przepraszam, że przeszkadzam, ale są złe wiadomości.

Gospodarz tego domu wstał natychmiast, po czym obaj wyszli, a May-li, która została sama, pogrążyła się w myślach na temat Wu Liena.

Gdy gospodarz wrócił do pokoju, zauważyła wzburzenie na jego twarzy.

– Muszę panią przeprosić – powiedział. – Zdarzyła się rzecz przerażająca. Ze wzgórz zesłała banda i wybiła cały garnizon stacjonujący u ich podnóża. Zabili wszystkich żołnierzy, co do jednego.

– Ale czy pan zostanie o to obwiniony? – zapytała Mayli.

– Oczywiście, do pewnego stopnia – odrzekł. – Oni dobrze wiedzą, że ja nie mogę nic poradzić na takie zdziczenie wśród mojego narodu, jednak wiem, że mają do mnie o to pretensje.

Wraz z nim do pokoju wszedł Wu Lien. Gospodarz, chcąc się teraz Mayli pozbyć, rzekł do niego:

– Proszę zaprowadzić mego gościa do jej pokoju – powiedział.

Wu Lien skłonił się i przybrał pełną szacunku postawę.

– Dobranoc – powiedział do Mayli dawny przyjaciel jej ojca. – Jutro znajdziemy coś, co panią zabawi.

– Proszę się nie trudzić – odrzekła. – Ja potrafię zabawić się sama. – A gdy się oddalili, zapytała Wu Liena: – Czy będę mogła jutro pochodzić po mieście?

– Tak, ale z eskortą.

– A poza miasto... Czy mogłabym wyprawić się poza miasto?

– Także z eskortą – powtórzył.

Mayli milczała przez chwilę.

– Czy tę eskortę muszą stanowić żołnierze?

Twarz Wu Liena była tak gładka jak kamień.

– Rozumie pan – nie ustępowała Mayli – mnie trudno jest przebywać w towarzystwie... nieprzyjacielskich żołnierzy. W tym mieście przyszła na świat moja matka, ja też tu się urodziłam. – Wypowiadając te słowa, starała się go wybadać, ale jego twarz nawet nie drgnęła. – Mam nadzieję odwiedzić grób mojej matki – dodała – bo jestem jej jedynym dzieckiem.

Ten człowiek zrozumie, że to konieczne, pomyślała. Żądają przecież tego ode mnie Niebiosa.

Wu Lien kiwnął głową.

– Zorientuję się, czy nie będę mógł sam pani towarzyszyć – powiedział. – Wtedy uda się trzymać z daleka od żołnierzy.

Wszystko, co mu powiedziała, było prawdą. Grób jej matki znajdował się na mużulmańskim cmentarzu – nie miała jednak pojęcia, w którym dokładnie miejscu. Ale sądziła, że usłyszawszy nazwę wioski, poznają od razu.

– Jak mam panu dziękować? – powiedziała cicho.

– Nie potrzebuję podziękowań – odrzekł z ukłonem.

– Jednak ja znajdę sposób, by wyrazić wdzięczność – oznajmiła z uśmiechem.

I po tych słowach się rozstali. Znaleźli się już bowiem pod drzwiami jej pokoju. Mayli weszła do środka. Wszystko w tym domu było bardzo luksusowo urządzone, zatem z właściwą sobie zdolnością do cieszenia się wygodami rozgościła się w pokoju natychmiast. A potem spała dobrze, choć przebywała w domu wroga.

Gdy człowiek opracował sobie plan, zrealizować go jest bardzo łatwo, nieprawdaż? Na drugi dzień rano, nim Mayli opuściła swój pokój, jej gospodarz, rozumiejąc, że chce ona odnaleźć grób matki, i pragnąc jej pomóc przypomnieć sobie nazwę wioski, wezwał Wu Liena. A ten, usłyszawszy, o co chodzi, powiedział:

– Proszę pozwolić, panie, że poślę po swoją żonę, bo wyrosła ona w jednej z okolicznych wiosek i wciąż ma tam rodzinę. Zna zatem ich nazwy znacznie lepiej ode mnie.

W ten oto sposób, bez żadnych dodatkowych starań, Mayli spotkała tę kobietę. Gdy tylko żona Wu Liena weszła, od razu poznała w niej siostrę Pansiao, bo były do siebie bardzo podobne. Z tym tylko, że twarz tej starszej była brzydsza i malował się na niej wyraz znamionujący niejaką głupotę.

Żona Wu Liena, usłyszawszy, w czym rzecz, zastanawiała się przez chwilę.

– Ten cmentarz – powiedziała w końcu – znajduje się na zachód od naszej rodzinnej wioski. Znam go dobrze, bo to jedyny cmentarz muzułmański w tej okolicy. A poza tym – zwróciła się do męża – dlaczego nie miałabym pojechać jutro z wami? Wzięłabym dzieci i zatrzymalibyśmy się w domu mojego ojca. Ty ruszyłyś dalej z gościem naszego pana, a ja tymczasem dowiedziałabym się wreszcie, jak ma się moja rodzina.

W ten oto prosty sposób, z woli Niebios, dokonało się to, do czego Mayli dążyła tak usilnie.



# XVIII

Tego dnia Ling Tan siedział na ławie stojącej na podwórzu i naprawiał jarzmo swego bawołu. Przywiązał się do tego zwierzęcia niczym do własnego ojca, bo bardzo wiele razy uratował je przed wrogami. Wrogowie często oglądali bawołu i wazyli go, chcąc sprawdzić, ile z niego uzyskają mięsa. Ling Tan natomiast za każdym razem przekonywał ich, że bawół jest bardzo stary i że praktycznie została z niego sama skóra i kości. Pokazywał im też rany na ciele zwierzęcia, które potajemnie nacierał wapnem, żeby się jątrzyły.

– Robię to, bo chcę uratować ci życie – szeptał mu przy tym do ucha, a bawół, postępując, znosił cały ten zabieg potulnie.

Dzisiejszego ranka podczas orki pękło jarzmo. Zatem Ling Tan usiadł, żeby je naprawić. Czuł potężne znużenie, bo przez większą część nocy nie zmrużył oka. Tę jego bezsenność spowodowały zagrożenia, które przyniosły poprzednie dwa dni i dwie noce. A było to tak. Jakiś tydzień wcześniej w domu pojawił się najstarszy syn Ling Tana. Chciał ostrzec ojca, że stacjonujący w pobliskiej podgórskiej wiosce nieprzyjacielski garnizon zostanie zaatakowany przez ludzi ze wzgórz i że ci dzielni wojownicy wytną go w pień. Ponieważ podobne ataki miały miejsce już przedtem trzykrotnie, wrogowie wzmocnili swój garnizon do tego stopnia, że atak na niego wymagał nie lada odwagi, a sukces nie był bynajmniej pewny.

Jednak gdy przyszło co do czego, bojownicy ze wzgórz okazali się w tym starciu zwycięzcami. A teraz w domu Ling Tana spali zmęczeni walką dwaj jego starsi synowie, a także najmłodszy syn, lekko ranny w ramię, z ręką zgiętą i przywiązaną do tułowia na piersi.

Dlatego tego ranka Ling Tan, starając się sprawiać wrażenie, że jest po prostu kochającym pokój starym rolnikiem, czuł się bardzo nieswojo. Obserwował też bacznie każdego, kto zbliżał się do jego domu. Obawiał się bowiem, że ktoś odkryje obecność jego synów. A sytuację pogarszał jeszcze fakt, że uparty najmłodszy, stwierdziwszy, że w podziemnej kryjówce jest zbyt duszno, położył się spać w jednym z pokoi w domu. Gdyby teraz ktoś pojawił się przy bramie, najmłodszy syn Ling Tana, chcąc schronić się pod ziemią, musiałby przejść przez kuchnię. A wtedy z pewnością przybysz by go zauważył. Ale czy on posłucha ojca, pomyślał Ling Tan, choćby ten miał rację?

Co ja z nim pocznę, gdy ta wojna się kiedyś skończy? – myślał dalej, marszcząc brwi i pochylając się nad robotą. W jaki sposób skłonię go do mieszkania w domu w czasach pokoju, kiedy bohaterowie tacy jak on nie będą już potrzebni? – zapytywał sam siebie i nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Siedział tak pogrążony w myślach, a gdy w pewnej chwili podniósł wzrok, zobaczył Wu Liena i swoją córkę, którzy zajechali właśnie przed jego dom wraz z dziećmi. Wysiedli zaraz wszyscy z konnego pojazdu i ruszyli w stronę bramy. Wu Lien był teraz osobistością tak ważną, że nie obawia! się już eskortujących żołnierzy. Kazał im zaczekać przed bramą, a oni nie wyrazili sprzeciwu. Kiedy cała rodzina Wu Liena podeszła już bardzo blisko, Ling Tan zorientował się, że wraz z nią przybyła tu jakaś obca osoba – kobieta, młoda i wysoka, o wyglądzie tak cudzoziemskim, że wziął ją za przedstawicielkę narodu wrogów. I, co oczywiste, jej widok wcale go nie ucieszył.

Ling Tan nie wstał, gdy cała gromadka zbliżyła się do bramy. Zawołał tylko znad roboty:

– Więc przyjechaliście?

– Tak – potwierdził Wu Lien uprzejmie. – I spodziewamy się, że znajdujemy was wszystkich w dobrym zdrowiu.

– Mamy się tak doskonale, jak to tylko możliwe w obecnych czasach – burknął na to Ling Tan.

Nie chciał sprawiać wrażenia, że jest przyjacielem Wu Liena, równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że szaleństwem byłoby uchodzić za jego wroga.

– Oto jesteśmy, ojczu. Przyjechaliśmy wraz z dziećmi – odezwała się jego córka. – A to jest znajoma, gość naszych zwierzchników. Wybrała się tu, bo chce odszukać grób matki na muzułmańskim cmentarzu.

Słyszac to, Ling Tan zorientował się, że obca kobieta nie jest przedstawicielką nacji wrogów. Wstał więc i zwrócił się do niej:

– Myślałem, że należycie do narodu naszych wrogów, wyglądacie bowiem na cudzoziemkę. Teraz jednak rozumiem, że to dlatego, że jesteście muzułmanką.

Mayli uśmiechnęła się.

– Sprawiam wam kłopot swoją wizytą – powiedziała uprzejmie.

– Nie, nie – zaprzeczył Ling Tan, ale niepokoił się, bo w domu ukrywali się przecież jego synowie.

To cały Wu Lien! Musiał właśnie dzisiaj wybrać się w odwiedzinę, pomyślał,

obawiając się, że zięć posiada na jego temat jakąś sekretną wiedzę. Zastanawiał się gorączkowo, jak wejść do domu przed swymi niespodziewanymi gośćmi i ostrzec synów. Mógłby to zrobić, gdyby nie obecność obcej kobiety. Jednak w sytuacji, gdy ona tu była – czyż wypadało okazać się aż tak źle wychowanym? Ling Tan widział wyraźnie, że nie ma przed sobą jakiejś zwykłej, przeciętnej osoby. Nie, nie, myślał, ta kobieta zajmuje gdzieś w świecie naprawdę wysoką pozycję.

Wahając się i zastanawiając, co zrobić, zauważył nagle z przerażeniem, że jego trzeci syn podchodzi do bramy. Młodzieniec poluzowywał właśnie pas i spodnie, zamierzając oddać mocz za bramą, jak to czynią wszyscy mężczyźni, nie chcąc zanieczyścić domu.

– Stój! Wstrzymaj się! – krzyknął do niego Ling Tan. – Jest tutaj obca kobieta!

Jednak jego syn zdążył już wyjść za bramę. Nagły wyraz zawstydzienia, jaki pojawił się na jego twarzy, a także ogromne zmieszanie Ling Tana sprawiły, że Mayli się roześmiała. Uczyniła to przy tym w taki sposób, na jaki nie odważyłaby się mniej wyzwolona od niej kobieta. I trzeci syn Ling Tana, gdy jego wzrok padł na nią po raz pierwszy, zobaczył ją właśnie taką. Jej czarne włosy lśniły, jej policzki i usta były czerwone, a ona stała przed nim z głową odrzuconą do tyłu, pokazując białe zęby. Poraził go ten widok. I trzeci syn Ling Tana poczuł się jak ktoś, komu miecz przeszył na wskroś serce. A jakże się przy tym wstydził! Oprzytomniawszy nieco, spuścił zaraz głowę niczym nadąsany chłopiec, zmarszczył brwi, odwrócił się na pięcie i wbiegł do domu.

– Czy to nie był mój trzeci brat? – zawołała żona Wu Liena.

A wtedy Ling Tan zrobił coś, co w innej sytuacji nie przysłoby mu do głowy. Uświadomiwszy sobie, że życie ich wszystkich jest w rękach Wu Liena, padł przed nim na kolana i skłonił czoło w pył drogi. Wu Lien tymczasem doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego jego teść to czyni. Podniósł szybko Ling Tana z klęczek, spojrział na żonę i powiedział:

– Nie widziałem nikogo.

Ling Tan zorientował się natychmiast, że zięć nie zdradzi jego synów. Stał więc teraz przed nim z całkowicie odmienionym sercem.

– Nigdy więcej nikogo nie będę osądzał – oznajmił po chwili. – Niech tym zajmą się Niebiosy!

Nabrał też odwagi, by zaprosić wszystkich gości do środka. Uczynił to bardzo pośpiesznie, a gdy weszli, zawołał na żonę, by podała herbatę.

Mayli poznała więc rodzinę, o której opowiadała jej Pansiao. Słuchała, co mówią jej członkowie, i patrzyła na nich wszystkich uśmiechnięta i milcząca. W izbie zjawiła się też

Nefryt – ociążała, bo oczekująca dziecka. I Mayli polubiła ją od razu za jej śmiałość. Spodobali jej się zresztą wszyscy obecni. Z całej rodziny nie było tylko dwóch braci, bo ci się ukrywali.

Dlatego Ling Tan, po zamknięciu bramy, gdy byli już całkiem bezpieczni na podwórzu, zwrócił się do drugiego syna.

– Powiedz swoim dwóm braciom, żeby do nas przyszli, bo jesteśmy tutaj wśród samych przyjaciół.

Najstarszy syn, człowiek nieśmiały, spokojny i niezbyt urodziwy, usłuchał od razu. Natomiast trzeci z braci nie chciał tego zrobić. Siedział w pokoju, w którym niedawno spędził noc, i przeklinał sam siebie za to, że okazał się tak nieokrzesany i tak głupi, że wybiegł z domu niby jakiś prostak przypilony potrzebą. Pomyśleć, że wtedy właśnie zobaczył taką kobietę! Ostatnio nosił się dumnie, bo przyzwyczał się już do roli dowódcy. A tutaj taki wstyd! Wstyd i upokorzenie – bo ta kobieta śmiała się z niego! Siedział teraz na łóżku, rozpamiętując to – gniewny, ze zmarszczonym czołem i gryząc czerwone wargi. Gdy przyszedł po niego drugi brat, nie odpowiedział ani słowem. Cisnął w niego tylko drewnianym podglówkiem, na co tamten zrobił unik i uciekł z pokoju, zamykając drzwi za sobą.

– Trzeci brat nie przyjdzie – powiedział ze śmiechem do ojca, powróciwszy na podwórze.

– A dlaczegoż to? – zawołała matka. – Przez tyle długich miesięcy nie miałam przy sobie moich trzech synów, a on teraz nie chce przyjść?

Zerwała się z ławy, pobiegła do pokoju, złapała syna za ucho i wyprowadziła. Protestował i próbował stawiać opór. Uległ jednak, bo zawsze bardziej słuchał matki niż ojca. I dopiero przy samych drzwiach jej się wyrwał.

– Puśćcie mnie, matko – powiedział cicho. – Ja nie jestem już dzieckiem.

– Ach ty zakuta pało! – roześmiała się na to.

Ale już wyszli na podwórze i Lao San, chcąc ratować twarz, nie miał wyjścia – musiał spojrzeć Mayli prosto w oczy. A ona śmiało odpowiedziała mu tym samym.

Nigdy w życiu nie marzyłem, że spotkam kiedyś taką kobietę, pomyślał Lao San.

Jest dokładnie taki, jak mówiła Pansiao, pomyślała Mayli.

Tych dwoje nie mogło oderwać od siebie oczu.

Nagle Mayli zwróciła się do Wu Liena.

– Muszę już iść – powiedziała, a Wu Lien natychmiast poderwał się z miejsca.

– Zostań tutaj, matko moich dzieci – rzekł do żony – i zaczekaj na nas.

Kobieta wstała, gdy mąż się do niej zwrócił. Wstała też Mayli i z lekkim uśmiechem pożegnała całą rodzinę skinieniem głowy. A oni wszyscy, patrząc, jak otula się peleryną, podnieśli się uprzejmie z miejsc, po czym Ling Tan i Ling Sao odprowadzili ją do bramy.

Ling Tan, powróciwszy na podwórze, zorientował się zaraz, że trzeci syn chce z nim pomówić. Młodzieniec bowiem wskazał mu głową pokój wewnątrz domu. Ling Tan podążył więc tam za nim z czarką herbaty w dłoni. Znaleźli się w pomieszczeniu, w którym Lao San spędził noc. Teraz Lao San usiadł na łóżku, z rękami na kolanach i pochylony do przodu, a Ling Tan usadowił się na ławie.

– O co znowu chodzi? – zapytał Ling Tan.

Zdziwiło go, że syn jest taki rozgorączkowany i czerwony na twarzy i że marszczy tak okropnie brwi.

– Ta kobieta... – powiedział Lao San przez zęby.

– Jaka znowu kobieta?

– Ta w pelerynie – odrzekł Lao San i szerokim gestem wskazał bramę.

– Co z nią? – zapytał Ling Tan.

Przygotowany był na to, że syn uznał tę kobietę za szpiega. Sam zresztą w głębi duszy się tego obawiał, ale życzliwość Wu Liena zdumiała go tak bardzo, że zapomniał o rozsądku i wpuścił ją do domu.

– Sprawcie, żeby została moją żoną – powiedział Lao San.

Trzeba tu nadmienić, że Ling Tan był człowiekiem ogromnie oszczędnym i uważnym. Bywało, że w jego domu stłuczony talerz okazywał się niemal powodem do żałoby. Jednak teraz słowa Lao Sana zdumiały go tak niepomnie, że jego dłoń sama z siebie wypuściła czarkę z herbatą. I cenna czarka, którą kiedyś podarował mu ojciec, upadła na ziemię i rozprysła się w drobne kawałeczki.

Ling Tana straszliwie to rozzłościło.

– Widzisz, co się stało! – zawołał, wyładowując złość na synu.

A potem schylił się, żeby pozbierać skorupy. Było ich jednak zbyt wiele i okazały się zbyt drobne. Nawet najlepszy rzemieślnik nie zdołałby ich skleić.

– Ty nicponiu! – zawołał Ling Tan do syna. – Ty wielka rzepo!

W tej samej chwili do pokoju wpadła Ling Sao. Usłyszawszy hałas, chciała sprawdzić, co się stało. Na widok potłuczonej czarki także podniosła lament.

– To przez tego twojego synalka! – krzyknął do niej Ling Tan.

– O co ci chodzi? – zawołała Ling Sao, gotowa bronić Lao Sana.

Synów bowiem zawsze broniła przed ojcem i tylko w przypadku przewinień córek Ling Tan mógł liczyć na jej poczucie sprawiedliwości.

– To on jest temu winien – powiedział.

– A czymże jest takie naczynie? – odrzekła jego żona.

– Nie chodzi mi o żadne naczynie! – zawołał. – Chodzi o twojego syna! Ten chłopak chce połknąć słońce i księżyc! Zapomniał, że jest tylko człowiekiem i na dodatek najmłodszym synem! Wyobraża sobie, że stworzył niebo i ziemię!

– A ty sam jesteś tylko starym niezgłą – przerwała mu Ling Sao. – O czym ty właściwie mówisz? Kwakanie kaczek ma więcej sensu niż twoje słowa. Zastanów się. Przecież ten chłopak jest twoim synem!

Oboje byli teraz tak rozgniewani, że najstarszy syn i córka przybiegli, żeby ich uspokoić.

– Posłuchajcie, ojczy – odezwała się córka. – Ponieważ nikt prócz was samych nie zna przyczyny waszego gniewu, my będziemy milczeć, dopóki nam jej nie wyjawicie.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali, aż Ling Tan odzyska oddech. Córka przyniosła mu drugą czarkę herbaty, najstarszy syn zapalił mu fajkę i tylko najmłodszy siedział całkiem nieruchomo.

Po paru chwilach Ling Tan ochłonął nieco. Zaciągnął się fajką i wydychając dym przez usta, powiedział:

– Ten młodzik, który jest moim trzecim synem... On, który nie chciał ożenić się z żadną kobietą, teraz powiada do mnie: „Sprawcie, żeby ona została moją żoną” – oznajmił, krztusząc się dymem.

– Jaka ona? – zapytała zdumiona, a równocześnie uradowana Ling Sao.

Wszelka wzmianka o małżeństwie była bowiem dla jej uszu niczym najlepsze perfumy dla nosa i doskonały pokarm dla żołądka. Zwłaszcza gdy chodziło o małżeństwo najmłodszego syna.

– Jaka ona? – powtórzył Ling Tan. – Ano ta cudzoziemka w pelerynie!

Słyszac te słowa, osłupieli wszyscy. I zamilkli, jakby ich zamurowało. A tymczasem nadaszany Lao San spoglądał na nich pośród absolutnej ciszy. Patrzył na nich spod swych pięknych brwi, czując, że ogarnia go coraz większy gniew. W końcu, odrzucając głowę do tyłu, zerwał się na równe nogi.

– Żadne z was nie ma pojęcia, kim ja jestem – oznajmił. – W waszych oczach jestem wciąż po prostu dzieckiem. A to nieprawda. Matko, zapewniam was, że dawno zapomniałem, że kiedyś ssalem mleko z waszej piersi. Ojczy, nie żywię się już dłużej waszą strawą. A co do

pozostałych, to kim wy jesteście? Ja nie mam ani rodziców, ani sióstr, ani braci. Przysięgam, że nie należę już do tego domu!

To rzekłszy, ruszył ku wyjściu, lecz matka podbiegła i chwyciła go mocno za kaftan.

– Dokąd ty idziesz? – zawołała. – Co zamierzasz?

Szarpnął się, ale Ling Sao uczepliła się go tak mocno, że kaftan się rozdarł. Z nagiego ramienia chłopaka zwisały teraz strzępy rękawa.

– Pozwól mi przynajmniej naprawić to rozdarcie – zawołała Ling Sao, lecz Lao San się nie zatrzymał.

– Kiedy mi dacie to, czego pragnę, wrócę do domu – rzucił przez ramię i wyszedł pospiesznie za bramę.

Uczył to w pełnym świetle dnia, ryzykując bardzo wiele. Rodzina, która wybiegła za nim, zobaczyła tylko, że maszeruje energicznie ku wzgórzom.

Ling Tan usiadł i złapał się za głowę.

– Jak to jest – zwrócił się z jękiem do żony. – Jak to jest, że ktoś taki jak on wyszedł z twojego łona?

– A jak to się stało, że ty, mój mężu, umieściłeś go w moim łonie? – zawołała Ling Sao.

– Ten chłopak nie zrodził się ani ze mnie, ani z ciebie – powiedział zgnębiony Ling Tan. – On zrodził się z tych strasznych czasów. I cóż my z nim pocniemy, gdy te czasy przemina?

Siedział potem przez dłuższą chwilę, pojękując. Nie doznał jednak ulgi. Wiedział bowiem, że jego ojcowskim obowiązkiem jest dopilnować, by syn się ożenił. Tak, taki był jego obowiązek wobec syna, a także wobec przeszłych i przyszłych pokoleń. Jakże jednak miał doprowadzić do tego małżeństwa? Patrząc na sprawę z czterech stron – patrząc na nią ze wschodu i zachodu, z południa i północy – nie widział sposobu na to, by całą tę rzecz zrealizować. Bo jakimże sposobem on, zwykły wieśniak, i jego syn, syn zwykłego wieśniaka, mogli oświadczyć się o taką kobietę? Nie miał przecież aż tak wielkiego tupetu ani tak bezgranicznej czelności.

Ling Sao tymczasem była zdania, że każdy z jej synów godny jest najwspanialszej kobiety. Pomyślawszy zatem chwilę, przywołała gestem ręki córkę, a gdy ta wyszła z nią do kuchni, zwróciła się do niej w te słowa;

– Znajdujesz się w centrum wydarzeń, moja córko. Możesz się zatem zorientować, co i jak. Dowiedz się, przede wszystkim, czy ta kobieta jest mężatką, a jeśli nie jest... No to cóż, mężczyzna to mężczyzna. A ona musiałaby szukać naprawdę daleko, chcąc znaleźć kogoś,

kto mógłby równać się z moim synem!

– To bardzo wykształcona kobieta – zauważyła córka z powątpiewaniem.

– A czymże jest uczoność w łóżku? – powiedziała jej na to Ling Sao. – Od kiedy to w łóżku potrzebna jest umiejętność czytania i pisania?

Córka zarumieniała się, słysząc tę opinię. Mieszkając bowiem w mieście już tak długo, nabrała pewnej ogłady. Nie zareagowała też na tę uwagę matki ani słowami, ani śmiechem.

– Mogę w każdym razie porozmawiać z ojcem moich dzieci – rzekła po chwili.

Ling Sao z wielką powagą pochyliła się ku niej.

– Załatw to dla swego brata, moje dziecko – szepnęła. – A ja przysięgam, że zapomnę o wszystkim, co miałam przeciwko tobie i twojemu mężowi. Cokolwiek zdarzy się w przyszłości, powiem, że spełniłaś swój obowiązek wobec rodziców. Tak, tak powiem, jeżeli ty zrobisz tę jedną, jedyną rzecz.

– Zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy – obiecała córka, wciąż jednak miała wątpliwości.

I tak to zostawiły. Ling Sao poinformowała potem męża o umowie z córką, jednak on, pełen smutku, pokręcił tylko głową.

– Zróbcie, co możecie, kobiety – poprosił – bo cała ta sprawa przekracza możliwości mężczyzny. A co do ciebie, staruszeko, znam twoją umiejętność swatania. I przysięgam, że potrafiłabyś pożenić orła z wroną. Ale tu mamy do czynienia z orłem i tygrysem. A z nich jedno wzbija się w locie w niebo, a drugie stąpa po ziemi.

– Zostaw to w moich rękach – odrzekła Ling Sao z mocą.

Ling Tan westchnął więc tylko i posłuchał żony.

A teraz wrócimy do Lao Sana. Otóż ten młody człowiek, wiedząc, że ojciec, matka, brat i siostry, przerażeni jego wybuchem, cały czas go obserwują, tylko udawał, że podąża prosto na wzgórze. Skoro tylko zniknął im z oczu, skręcił na zachód i poszedł w kierunku muzułmańskiego cmentarza. A zbliżywszy się do niego, zaczął przekradać się przez wysoką młodą trawę. Czynił to przy tym całkiem bezszelestnie, w sposób, którego ludzie ze wzgórz uczą się od tygrysów. Dotarłszy do odpowiedniego miejsca, rozchylił trawę i wyjrzał. I zobaczył kobietę, którą pokochał tak nagle i tak wielką miłością. Stała przy grobie matki, z głową pochyloną, otulona swoją peleryną, a jemu spodobało się ogromnie, że nie klęczy. Jest bardzo wysoka, pomyślał z uznaniem.

Zachwycała go orla uroda jej twarzy i gładki bursztyn jej cery, a także długie ręce



przytrzymujące pelerynę.

Nie był prostym człowiekiem jak jego najstarszy brat. Drugiego brata także cechowała większa prostoduszność niż jego. W nim natomiast objawiły się prastare cechy przodków. Trzeba bowiem powiedzieć, że niegdyś, dawno temu, w tej rodzinie był ktoś, kto tak jak on poświęcił się walce. Ten ktoś walczył z samym cesarzem i prawie odniósł zwycięstwo. I teraz podobnego do niego Lao Sana – gdy patrzył na kobietę, której tak bardzo pragnął – ogarnęło coś więcej niż zwykłe pożądanie. Lao San zapragnął tej kobiety jako dopełnienia swoich braków. Cieszyło go zatem, że jest wykształcona i że różni się od niego. Zdawał sobie sprawę, że ona w pewien sposób go przewyższa. Ponieważ jednak znał swoją wartość, nie przerażało go to wcale. Poza tym czuł, że ta wspaniała istota jest pod pewnymi względami taka jak on. Intuicja mówiła mu, że w głębi serca przypomina go wprost do złudzenia.

Stał zatem, nie odrywając od niej oczu. Ona jednak nie podniosła wzroku i wcale go nie zauważyła. A on cieszył się z tego. Był bowiem tak miody, że myślał sobie: „Nie chcę, żeby mnie oglądała w chwili, gdy nie wyglądam najlepiej. Muszę najpierw włożyć nowe ubranie, przypiąć miecz, a także obciąć i namaścić włosy”.

Stał więc nadal bez ruchu, napawając oczy i umysł jej widokiem. A ona w końcu odwróciła się i odeszła wraz z Wu Lienem w stronę jego rodzinnego domu. Młodzieniec odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła, a potem puścił żdźbła trawy, które zasłoniły widok, i udał się na wzgórze.

Trzeba tu powiedzieć, że Lao Er i Nefryt nie byli świadkami wszystkiego, co zaszło. Bo zaraz po odejściu Wu Liena Nefryt chwyciła męża za rękaw i zaprowadziła do podziemnej kryjówki. A tam rzekła do niego z triumfującym wyrazem twarzy:

– Widzisz?

– Co mam widzieć? – zapytał, gdyż jego wiedza o tym, co żona ma na myśli, nie była większa niż drobinka kurzu w słońcu.

– No przecież to ona! – zawołała Nefryt.

– Jaka ona? – zapytał znowu.

– Och, ty tępaku! – jęknęła. – Och, ty grudko biota u moich stóp! Dlaczego niebo uczyniło najlepszego z mężczyzn takim głupcem? To ona jest tą boginią! Boginią twojego brata!

Lao Er, pojawiwszy, o co jej chodzi, otworzył usta ze zdumienia.

– Ale... osoba z tak wysoką pozycją... Przecież osoba z taką pozycją nawet nie spojrzy

na kogoś takiego jak jeden z nas. A poza tym kim ta kobieta jest dla naszych wrogów?

Nefryt spoważniała.

– Rzeczywiście – rzekła. – O tym nie pomyślałam. Nie jesteś aż taki głupi, jak sądziłam – dodała, a jej kobiecy umysł zaczął węszyć niby ogar. – Ale ja wątpię, czy ją w ogóle obchodzą wrogowie – powiedziała. – Żadna kobieta, widząc u swego boku mężczyznę, którego pragnie mieć, nie zastanawia się, kto sprawuje rządy w kraju.

– Mój brat nie zajmuje miejsca u jej boku – stwierdził Lao Er. – Jest od niej bardzo daleko. I jak myślisz, czy uzna ją za kobietę dla siebie odpowiednią, jeżeli ona stoi po stronie wroga? Mężczyźni nie przypominają pod tym względem kobiet.

– I tu się mylisz – stwierdziła. – Mężczyźni uważają kobiety za tak mało warte, a siebie za tak silnych, że żadnego z nich nie obchodzi, jaka naprawdę ta jego kobieta jest.

Lao Er wybuchnął na to śmiechem.

– Czy pokłócimy się dzisiaj o naturę mężczyzn i kobiet? – zapytał.

Ale Nefryt nie miała ochoty do śmiechu.

– Nie – odrzekła z uporem – jednak na tym polega problem.

– Tego problemu nie rozstrzygniemy, mimo że ta obca kobieta wygląda jak bogini – powiedział Lao Er.

Po czym wrócili na górę. Lao Er z czułością pomógł żonie wejść po drabinie. Ona bowiem lada dzień spodziewała się przyjścia na świat ich drugiego dziecka. Gdy zjawili się na górze, Lao Sana już nie było. Okazało się też, że to, co oni we dwoje tam, pod ziemią, uznali za niemożliwe, tu, na powierzchni, zdażyło już nabrać realnych kształtów.

– Ale jak doprowadzić do tego, żeby tych dwoje się zeszło? – zapytała Nefryt.

Było to pytanie, na które nikt nie znał odpowiedzi.

Powróciwszy do pałacu swego możnego gospodarza, Mayli udała się prosto do swojego apartamentu. Zdjęła pelerynę i złożyła ją bardzo starannie, umyła się, wyszczotkowała włosy, a następnie usiadła przy niewielkim stoliku i długo przeglądała się w lustrze. Po wydarzeniach dzisiejszego przedpołudnia jej dzielne serce stało się bardzo miękkie. Mayli odwiedziła grób matki i jej myśli krążyły wokół niej, miała wrażenie, że ją pamięta, choć matka zmarła, wydając ją na świat. Gdy stała wśród letnich traw przy jej grobie, Mayli wydawało się, że przypomina sobie pełną słodczy piękną twarz matki w

chwili, gdy ta mówi swojemu mężowi, że nigdzie z nim nie pojedzie. To ten wielki urok maski sprawił, że ojciec cieszył się, mogąc zostać w nią razem w ojczyźnie. Ojciec przez całe jej dzieciństwo opowiadał jej o matce. To dlatego Mayli wiedziała, jak wielka miłość łączyła jej rodziców, i nabrała przekonania, że takie uczucie to najlepsza rzecz pod słońcem, jaka może spotkać człowieka.

W jej miękkim teraz sercu wryty był obraz twarzy młodego człowieka. Jakikolwiek był – wykształcony czy nie – okazał się odważny i niezmiernie urodziwy. Mayli wyczuwała w nim także ogromną siłę. A czyż te trzy cechy to nie dosyć? Mayli nigdy dotychczas nie poznała mężczyzny, w którym by się one spotkały. Co zatem mam zrobić, pomyślała, by stać się częścią tej rodziny? W dodatku, że tam, u Ling Tana, czuła się bardziej obco niż u jakiegokolwiek cudzoziemca, bo nigdy dotąd jej noga nie postąpiła w podobnym domu. A poza tym Mayli była pewna, że nie potrafiłaby żyć w takiej rodzinie.

Musielibyśmy wyjechać, pomyślała. Tak, on musiałby opuścić ich wszystkich i trwać tylko przy mnie. A i ja opuściłabym wszystkich, których znam, i trwałabym jedynie przy nim. Wtedy stalibyśmy się sobie równi. I moglibyśmy zbudować swój własny świat.

Jednak gdzie? Gdzie mogliby to uczynić? Mayli wstała, bardzo niespokojna, i zaczęła chodzić po pokoju. Miała wrażenie, że unosi się na skrzydłach. W dawnych czasach, w czasach, które już nigdy nie wrócą, to, o czym teraz marzyła, byłoby niemożliwe. Wtedy dla dwojga ludzi takich jak oni nie byłoby na ziemi miejsca, w którym mogliby zbudować swój świat. Dawny świat bowiem był stworzony do końca i ukształtowany w określony sposób, niezmienny i mocny, a oni, nie należąc do niego, staliby się wyrzutkami. Jednak ten dawny świat zniknął, dawne prawa zostały złamane, stare obyczaje okazywały się martwe. Młodzi mogli robić, co chcą, a tradycja została odrzucona.

Moglibyśmy udać się na wolne terytoria, pomyślała Mayli. I osiąść tam, gdzie byśmy chcieli. Dlaczego więc jego siła nie miałaby się połączyć z moją? Przekazałabym mu to, co wiem. A on uczyniłby to samo w stosunku do mnie. Och, jakże ja mam dosyć mężczyzn wykształconych i gładkich! I jakże silne są jego ręce! Został ranny w bitwie, która była bitwą zwycięską.

Przypominała sobie teraz każde drgnienie jego twarzy, przypominała sobie jego dumny chód, a jedyną rzeczą, która wzbudziła jej niechęć, okazała się rodzina, z której pochodził. Ci ludzie bowiem jak na krewnych takiego człowieka byli zbyt pokorni.

Powinniśmy ich opuścić, powiedziała sobie. Ludzie tacy jak on tylko przypadkiem przychodzą na świat w pospolitych rodzinach. A w rzeczywistości nie należą do nikogo.

Tak rozmyślała przez jakiś czas, a gdy w końcu zeszła na obiad, jej gospodarz, zdziwił

się, że jest taka milcząca.

– Czyżbym panią rozgniewał? – dopytywał się.

Dużo wycierpiał tego ranka, bo zwierzchnicy go nie oszczędzali.

– Proszę się nie gniewać – powiedział, próbując się roześmiać. – Potrzebuję pociechy. Powiedziano mi bowiem, że muszę schwytać dowódcę tych ludzi, którzy wczoraj wymordowali cały garnizon. Ale jak ja to mogę zrobić?

– Jak pan to może zrobić? – powtórzyła lodowato, mając przed oczami i w sercu tamtą odważną młodą twarz. – Nie może pan po prostu – stwierdziła.

A oto w jaki, sobie tylko znany sposób Niebiosy zmierzają do swojego celu. Choć Ling Tan i jego żona cierpieli na bezsenność, choć Lao Er i Nefryt nie wierzyli, by dało się sprowadzić boginię na ziemię, choć Wu Lien kręcił głową na to, co powiedziała mu żona, i twierdził, że to niemożliwe, że jej trzeci brat musiał wypić zbyt wiele wina i że najmądrzej będzie o wszystkim zapomnieć, Mayli, nie decydując o niczym samodzielnie, lecz postępując zgodnie z wolą Niebios, pojechała znowu do domu Ling Tana.

Odczekała dwa dni, a po tym czasie nabrała pewności, że nie może zignorować tego, co czuje. Jedyne możliwe rozwiązanie na wyleczenie się z tej nagłej miłości było poddać się jej choć trochę. Zresztą nie bardzo chciała nazwać tego uczucia miłością, była bowiem zbyt bystra, by nie widzieć w nim szaleństwa. Postanowiła jednak udać się do domu Ling Tana, nie szukając żadnego pretekstu. Zapyta o Nefryt, powie jej, że zna Pansiao, i zobaczy, co z tego wyniknie.

Podjąwszy taką decyzję, opuściła pałac swego gospodarza drugiego dnia po południu. Po czym, spokojnie, z właściwą sobie odwagą i zachowując się tak, jakby nigdzie w mieście nie było ruin i jakby nie zauważała niczego, co mogłoby przerazić młodą kobietę, wynajęła jeden ze starych konnych pojazdów, jakie były rzadkością, bo obecnie konie zjadano. Po czym powiedziała woźnicy, dokąd chce jechać, i ruszyli w drogę.

Trzeba tu powiedzieć, że tego dnia Nefryt nie zajmowała się pracą w gospodarstwie, bo z powodu ciąży zrobiła się nieruchawa. Siedziała właśnie na podwórzu wraz ze swoim dwuletnim synkiem, gdy rozległo się głośne pukanie do bramy. Nefryt zaczęła nasłuchiwać. Pukanie się powtórzyło. Czy powinienam otworzyć? – zastanawiała się. Ling Sao była właśnie w polu razem z Ling Tanem, a Lao Er poszedł na wzgórze. Ojciec kazał mu sprawdzić, czy najmłodszy brat dotarł tam bezpiecznie, bo przecież opuścił dom w gniewie. Dlatego Nefryt została w domu sama z dzieckiem. Zdecydowała się jednak zawołać starym głosem:

– Kto tam?

– To ja! – odrzyknęła zza bramy Mayli, zapominając jak zwykle wymienić swoje imię i spodziewając się, że każdy będzie wiedział, o kogo chodzi.

Nefryt, kobieta bardzo bystra, poznała ją po głosie od razu. Wstała więc i otworzyła bramę.

– Och... – powiedziała i zaraz przeprosiła za swoją nieuprzejmość. – Zachowałam się jak ktoś nieokrzesany... ale... nie spodziewałam się was...

– A dlaczego miałyby się pani mnie spodziewać? – odrzekła po prostu Mayli.

Po czym weszła, a Nefryt zamknęła i zaryglowała za nią bramę.

Mayli usiadła. Uczyniła to tak swobodnie i z takim pozornym spokojem, że nikt, kto na nią patrzył, nie potrafiłby się domyślić, jak mocno bije jej serce. Nefryt w każdym razie się tego nie domyśliła. A mimo to później powiedziała do męża: „Wiedziałam, że to nie jest zwykły dzień. Czułam się tak, jakby ktoś prowadził mnie drogą kończącą się w miejscu, o którym decyduje przeznaczenie!”.

Tymczasem jednak postronny obserwator dostrzegłby tylko dwie rozmawiające kobiety. Nefryt naląła herbaty i wzięła na ręce swego nieśmiałego synka. Mayli wyraziła zachwyty chłopcem i wypila herbatę, prowadząc nic nieznaczącą rozmowę.

– Kiedy byłam tu dwa dni temu – powiedziała w końcu – nie mogłam mówić tak swobodnie, jak bym pragnęła. Myślałam wtedy przede wszystkim o tym, że muszę spełnić obowiązek wobec matki. Dzisiaj jednak wróciłam, żeby pani powiedzieć, że znam siostrę pani męża, Pansiao. Przez jakiś czas byłam jej nauczycielką.

Co za nowiny! Nefryt z trudem mogła w nie uwierzyć. Tymczasem Mayli mówiła dalej. Opowiedziała o swoich rozmowach z Pansiao, a Nefryt, słysząc to, doszła do wniosku, że wszystko potoczyło się tak jakoś naturalnie. A równocześnie ktoś mógłby twierdzić, pomyślała, że w całą tę sprawę nie wdały się Niebiosy?

– Dlatego gdy się zjawiłam w tym domu – wyjaśniła Mayli, rozglądając się po podwórzu – wydawało mi się, że wszystko jest mi dobrze znane. Dzięki Pansiao. Lubiła mnie... choć... sama nie wiem, co spowodowało tę sympatię. W każdym razie rozmawiała ze mną chętnie, a ja cieszyłam się, słuchając tego, o czym mówi. Bo przecież tak długo mieszkałam za granicą, a ona opowiadała mi o moim kraju.

– I o całej naszej rodzinie? – zapytała Nefryt.

Zaświtała jej bowiem pewna myśl i Nefryt zaczęła się do niej podkradać niby kot do myszy.

– Tak, i to dokładnie – odrzekła Mayli. – Dzięki czemu gdy was zobaczyłam, od razu

wiedziałam, jak każde z was ma na imię.

Nefryt zaczęła udawać, że jest bardzo zajęta dzieckiem. Wzięła synka na kolana, przyglądała mu włoski, pochyliła się, tak jakby w kąciku jego oka dostrzegła drobinę kurzu.

– Czy pokazała wam list, który do niej napisałam?

Zadała to pytanie i spojrzała Mayli prosto w oczy, a Mayli nie odwróciła głowy.

– Widziałam ten list – rzekła bardzo wyraźnie, wciąż patrząc w twarz swej rozmówczynie.

Jej odwaga sprawiła, że Nefryt także wyzbyła się strachu. Trzeba tu bowiem powiedzieć, że te dwie kobiety, jeżeli nie liczyć środowisk, w których żyły, tak naprawdę nie różniły się od siebie.

– Pokochał was od pierwszego wejrzenia – oznajmiła Nefryt.

– Niektórzy mężczyźni są tacy – odrzekła Mayli, próbując się uśmiechnąć i dziwiąc się w duchu, że wargi odmawiają jej posłuszeństwa.

– On nie przypomina żadnego innego mężczyzny – stwierdziła Nefryt i postawiła dziecko na ziemi. – Skoro Niebiosy każą mi to czynić, będę mówiła. Co mam mu powiedzieć?

Obie czuły się tak, jakby porwała je ta sama fala, unosząc je na sam swój szczyt. Mayli spojrzała w podłużne oczy Nefryt i pomyślała, że są bardzo piękne. A Nefryt, patrząc w ciemne oczy Mayli, dostrzegła w nich czystość i odwagę. I każda poczuła podziw dla tej drugiej, podziw, do jakiego niezdolne są kobiety późniejszego pokroju.

– Jakaż wy jesteście wysoka – powiedziała Nefryt. – Przewyższacie wzrostem nawet mnie.

– Jestem zbyt wysoka – odrzekła Mayli, uśmiechając się do niej.

– On lubi wysokie kobiety – rzekła Nefryt i wyciągnęła rękę, dotykając koniuszkami palców dłoni Mayli. – Co mam mu powiedzieć? – zapytała ponownie bardzo łagodnym tonem.

Jej stanowcze, a zarazem delikatne dotknięcie sprawiło, że Mayli poruszyła się i odwróciła głowę.

A potem sięgnęła za pazuchę i wyjęła kilkakrotnie złożony kawałek kolorowego jedwabiu. Oczom Nefryt ukazała się flaga wolnego narodu – niebiesko-czerwona z białym i czystym wizerunkiem słońca. Posiadanie takiej flagi było zakazane. Groziła za nie śmierć. Jednak niektórzy ukrywali ją w swoich domach.

– Och – szepnęła Nefryt – flaga wolnego narodu! Jesteście więc aż tak odważna!

Mayli wręczyła jej flagę.

– Powiedzcie mu, żeby udał się na wolne terytoria – rzekła. – Poinformujcie go, że ja jadę do Kunmingu.

# XIX

Po wyjściu Mayli Nefryt przez długi czas siedziała beczynn timer. Obserwowała dziecko u swoich stóp i wyczuwała drugie poruszające się w łonie. I choć cieszyła się z obojga, uświadamiała sobie, że zazdrości tej wolnej wysokiej kobiecie. Na piersi, za pazuchą, miała złożoną Hagę.

Gdybyśmy zostali na wolnych terytoriach, pomyślała, to czyż we dwoje nie dokonilibyśmy wielkich rzeczy? Ale Lao Er wybrał powrót do niewoli.

Myślała też o tym, że jest zamknięta w tych czterech ścianach domu Ling Tana, że nie ma czasu na nic prócz prac domowych i opieki nad synem, że nie czyta już książek i nie ma pieniędzy, by kupić sobie nowe. Z drugiej strony jednak zdawała sobie sprawę, że tu, w zniewolonym kraju, nie ma książek, które warto kupić. Wszystkie dostępne w sprzedaży zawierały bowiem kłamstwa napisane przez wrogów. A ludzie, choć nauczeni od pokoleń niemal nabożnej czci dla zapisanego papieru, palili teraz tym, na czym te kłamstwa widniały, a ich szacunek dla wykształcenia zmalał niepomiernie.

Siedzę tu teraz i tylko rodzę dzieci. I nie robię nic więcej, pomyślała Nefryt na wpół ze smutkiem, a tymczasem flaga na jej piersi zdawała się płonąć.

Gdy w południe w domu zjawili się pozostali członkowie rodziny, podała wszystkim gorący posiłek. Poradziła sobie z tym doskonale, choć jedzenie było bardzo skromne i brakowało soli i oliwy. Oznajmiła, że ma do zakomunikowania wielkie nowiny. Lao Er tymczasem zauważył, że jej serce zasnuła jakaś tajemnicza chmura. Postanowił jednak zaczekać do chwili, gdy będzie z żoną sam na sam, i dopiero wtedy zapytać, o co chodzi.

Nefryt z wielką przyjemnością podzieliła się nowinami z całą rodziną, po czym wszyscy zasiedli do posiłku i rozmawiali o tym, co zaszło. Obracali rzecz całą w wyobraźni, oglądali ją ze wszystkich stron, starając się, by rzuciła światło zarówno na terażniejszość, jak i na przyszłość. Przyglądali się też fladze, którą pokazała im Nefryt. I byli z niej bardzo dumni. Nie mieli jednak odwagi trzymać jej w domu.

– Zabierz ją do schronu – polecił Ling Tan drugiemu synowi. – Bo gdy ten zostanie odkryty, to i tak umrzemy.



Lao Er wziął więc flagę, zszedł na dół i dobrze ją schował. A zanim wrócił, Ling Sao zdążyła sobie uświadomić, że coś jej się tu nie podoba.

– Czy ona chciała, żeby mój syn pojechał za nią? – zapytała z gniewem. – Czyż to jest zachowanie godne synowej? Nigdy nie słyszałam, by mężczyzna szukał kobiety. To ona musi przyjść do niego.

– Możesz być pewna, moja żono, że ta kobieta nigdy nie będzie synową – odezwał się na to Ling Tan.

Odsunął czarkę od twarzy i przeżuwał ze smakiem jedzenie. Nefryt bowiem była tak doskonałą kucharką, że strawa przez nią przyrządzona okazywała się lepsza niż mięso, o jakim nieraz marzył i za którego kawałek był niekiedy gotów sprzedać swój prawy kciuk.

– Jak to możliwe, żeby żona mojego syna nie była moją synową? – zapytała, szykując się już do kłótni, Ling Sao.

– Jeżeli nasz syn się z nią ożeni, to zobaczysz to na własne oczy – odrzekł Ling Tan, po czym uśmiechnął się szeroko, przysunął czarkę do twarzy i zjadł kluski i dziką koniczynę, z których Nefryt przygotowała kolację.

– Skoro tak, to ona nie jest prawdziwą kobietą – powiedziała lodowatym tonem jego żona. – I wątpię, czy da nam wnuka. Zawsze twierdziłam, że dziewczyna, której pozwoliło się biegać na takich dużych stopach i która chodziła do szkół, traci kobiecość.

– Ma w sobie jednak wystarczająco dużo kobiecości, by sprawić, że nasz syn przysięga, że pragnie tylko jej i żadnej innej – zauważył Ling Tan. – Tak, tak, moja staruszeko, musi w niej być coś kobiecego.

– A który to młody człowiek tak naprawdę wie, czego pragnie? – odrzekła rozdrażniona Ling Sao. – Co do mnie, to żałuję, że ona w ogóle zjawiała się pod naszą bramą. Twierdzę, że nasłał ją po prostu jakiś diabeł. Diabeł też sprawił, że w owej chwili nasz syn był właśnie tutaj, choć powinien był być gdzie indziej. Moim zdaniem nie wyniknie z tego nic dobrego.

– Przestań! – zawołał Ling Tan. – Złościsz się, bo nie jesteś w stanie dyrygować żonami swoich synów. Powiadam ci, są tacy, którzy walczą na wolnych terytoriach, i są też inni, tacy jak my, którzy powinni prowadzić walkę tutaj, na naszej ziemi. A co do naszego najmłodszego syna, to moim zdaniem on należy do tych pierwszych. Niech więc idzie tam, gdzie chce, byle tylko zwalczał wrogów.

Ling Tan wypowiedział te słowa z wielką powagą i jak zawsze w takim wypadku nikt z rodziny mu się nie sprzeciwił. Gdyż za każdym razem, gdy przybierał taki ton, nawet jego żona przypominała sobie o swoich obowiązkach i milczała, choć zawsze przychodziło jej to z

trudem i choć w innych okolicznościach potrafiła stanowczo postawić na swoim.

– A ciebie, mój synu – zwrócił się Ling Tan do Lao Era – proszę, byś przekazał wiadomość swemu młodszemu bratu. Powiedz mu, że ja nie mogę podążyć za tą kobietą ani opuścić swojej ziemi, czy to dla miłości, czy dla czegokolwiek innego, natomiast on ma stopy całkiem wolne i niczym niespętane. Niech robi to, czego pragnie. Musi tylko przed wyruszeniem w drogę zawiadomić nas o tym. A gdy już znajdzie się daleko, nie wolno mu na długie lata pozostawiać nas bez wieści o sobie.

Lao Er skłonił głowę i w ten sposób zakończył się ten rodzinny posiłek. Lao Er miał ochotę zaczekać, aż Nefryt pozmywa naczynia, pójść za nią do ich własnej izby i zapytać, dlaczego jest smutna. Wiedział jednak dobrze, że nie może tego zrobić teraz, za dnia, bo matka zaczęłaby się dopytywać, dlaczego to czyni. Uśmiechnął się więc tylko do żony ukradkiem i zapytał, czy dobrze się czuje i czy nie zaczyna przypadkiem rodzić. A kiedy ona pokręciła głową, powiedział:

– Pójdę do brata dopiero jutro, a dziś popracuję jeszcze z ojcem na polu pszenicy.

Nefryt kiwnęła na to głową, próbując się uśmiechnąć, po czym Lao Er się oddalił. Tego popołudnia Nefryt była bardzo milcząca, a Ling Sao, która została w domu, by zająć się przędzeniem bawełnianej nici, także nic nie mówiła. Sądziła, że synowa czuje się ociężała z powodu dziecka, które nosi w łonie. Bawełnianych nici nie można było teraz kupić, a i ona nie sprzedawała tych, które uprzedła, potrzebne jej bowiem były do przygotowania ubrań na zimę. Tym bardziej że w tym roku musiała ich uszyć więcej w związku z narodzinami dziecka. Siedziała więc, obracając wrzecionem, zwilżając w ustach kciuk i palec wskazujący i przędąc nić gładką i mocną. Podczas tej pracy od czasu do czasu zwracała się do Nefryt. Opowiadała synowej, jak to było, gdy sama rodziła dzieci, a młoda kobieta słuchała, odzywając się tylko z rzadka.

Tymczasem Ling Tan i jego drugi syn pracowali w polu. Czasy dla rolników zrobiły się teraz nieco lepsze. A powód tego był taki, że wielu z nich straciło życie lub zbiegło na wolne terytoria, co sprawiło, że żywności dla wroga produkowano znacznie mniej niż przedtem. Dlatego też najeźdźcy rzadziej zabijali ludzi i rzadziej uprowadzali ich do ciężkich robót. Mimo to Ling Tan baczenie obserwował drogę i za każdym pojawieniem się wrogów kazał Lao Erowi iść do domu i wraz z żoną i dzieckiem schować się w podziemnej kryjówce. Bo któż mógł ufać tym diablom, którzy zdolni byli jedynie do czynienia zła?

Tym bardziej że srogość ich rządów wcale nie zelżała. Ich prawa stanowiły, że z plonów własnej ziemi Ling Tanowi, podobnie jak wszystkim innym wieśniakom, wolno było zatrzymać dla siebie mniej niż jedną trzecią. Gnębiono też ludność wysokimi podatkami. Ling Tan mógł na to wszystko kląć tylko w duchu. I klął na czym świat stoi, bo dobrze wiedział, że prawdziwych zysków z podatków nie czerpią nawet nieprzyjacielskie władze, tylko mali, nikczemni ludzie na samym dole, ci, którzy je pobierają. Wszyscy widzieli wyraźnie, że nigdy dotąd władza nie była tak zachłanna. Wrogowie dla pieniędzy okazywali się zdolni do wszystkiego, a ten, kto chciał handlować czy trudnić się przemysłem, mógł to robić z łatwością, byle dał w łapę któremuś z nich. Nawet zagraniczna broń, którą posługiwali się teraz bojownicy ze wzgórz, była przemycana przez wrogów, którzy myśleli jedynie o własnym zysku i zdradzali swoich ziomków. Szmuglowano tę broń w górę rzeki, dzięki czemu docierała do wojska na wolnych terytoriach. Dawało się załatwić dosłownie wszystko, pod jednym jedynym warunkiem: że do licznych nieprzyjacielskich rąk trafiały pieniądze.

Ling Tan, podobnie jak wszyscy, dobrze o tym wiedział i traktował to jako optymistyczny prognostyk. Takie zepsucie bowiem w szeregach wroga wróżyło, że pewnego dnia da się go obalić i zepchnąć do morza.

– Czekajmy na ten dzień – powtarzał często swoim synom. – I z myślą o nim nie wypuszczajmy z rąk naszej ziemi.

– To nic – powiedziała Nefryt.

Odwróciła się i naląła mężowi gorącej wody, żeby mógł się napić przed snem. Ostatnio w imbryku rzadko znajdowała się herbata, przeważnie więc pili gorącą wodę.

Lao Er wziął imbryk od żony i chwycił ją za rękę.

– Coś jest nie tak – orzekł. – Czy sądzisz, że kiedy oddychasz w taki sposób, ja tego nie zauważę?

– Nie powinienes mnie tak obserwować – odrzekła Nefryt, próbując mu się wyrwać, co jednak jej się nie udało.

– Ja cię nie obserwuję – powiedział jej mąż. – Wcale nie potrzebuję tego robić, żeby zauważyć takie rzeczy. Sam z siebie widzę każdą zmianę, która w tobie zachodzi.

Prosił ją i namawiał, żeby mu powiedziała, o co chodzi. A ona, przygryzając wargę, śmiała się tylko i powtarzała, że o nic. W końcu, zła na siebie, że płacze i że ostatnio zdarza jej się to tak często, otarła rękawem oczy i powiedziała:

– Przyszło mi to do głowy dopiero dzisiaj... No więc... przyszło mi na myśl, że wiodę życie zwykłej chłopki. A gdybyśmy zostali na wolnych terytoriach... to... czy nie dokonilibyśmy czegoś wielkiego? Mieszkając tam, mogłabym być bardziej użyteczna... Podobnie jak ty... We dwoje...

– Wszystko to bierze się stąd, że poznałaś tę kobietę – orzekł Lao Er.

– A czy to grzech? Czyja i ona grzeszymy... jeżeli jej przykład skłania mnie do tego, bym miała ochotę dokonać czegoś większego? I sprawia, że siedzenie w domu i rodzenie dzieci przestaje mi wystarczać? – zapytała z żarem i wyrwała się wreszcie mężowi.

– A czy rodzenie moich dzieci znaczy dla ciebie tak mało? – zapytał.

Ale Nefryt nie chciała mu na to odpowiedzieć. Milczała. Lao Er także milczał. Po pierwsze, dlatego że trochę go uraziła, a po drugie, bo nie znajdował jeszcze słów, w które mógłby ubrać swoje uczucia. W jego przypadku zawsze było tak, że najpierw uświadamiał sobie, co czuje, a dopiero potem wyrażał to słowami. Teraz nurtowało go jakieś silne uczucie. Wiedział dobrze, że żona błądzi w swoim myśleniu i ocenie sytuacji. Ale nie wiedział, jak ma jej to powiedzieć, jak sprawić, by podzieliła jego punkt widzenia. Nefryt bowiem charakteryzowała mieszanina cech świadczących o jej wielkości i małości zarazem. Zatem Lao Er, przemawiając do niej, musiał mieć pewność, że potrafią właściwą strunę. A że był człowiekiem prostym, nie przychodziło mu to łatwo.

– Ach, gdybym był człowiekiem wykształconym! – westchnął cicho.

I nie mógł wymyślić nic lepszego, bo słowa te wzruszyły Nefryt do głębi. Tym bardziej że nie znosiła, gdy krytykowało się kogokolwiek, kto był jej bliski.

– Jesteś całkiem w porządku – zapewniła go życzliwie, a on, zorientowawszy się, że dobrze zaczął, ciągnął dalej.

– Moim zdaniem postępujemy bardzo odważnie – mówił powoli, starając się wyrazić prawdę jak najcelniej. – Jakże bowiem łatwo jest uciec na wolne terytoria! I jak bezpiecznie tam się żyje! Łatwo też jest wziąć broń, zebrać ludzi i atakować nieprzyjacielskie garnizony. Takie akcje to najprostszy sposób narażania życia. Tylko że takie ryzyko towarzyszy wszystkim, którzy nienawidzą wroga, nie tylko wojownikom, których za ich walkę czeka chwała... Tak, działając tak jak mój młodszy brat, człowiek bardzo szybko okrywa się chwałą. Ale my? Czy ktoś uważa, że i my mamy powód do chwały? Czy nas ktoś docenia? Nas, którzy po prostu mieszkamy we własnym domu i usiłujemy żyć tak jak dawniej? A nasza walka polega właśnie na tym. My prowadzimy wojnę z wrogiem, pozostając tu, na miejscu, i nie uznając żadnego z naszych cierpień za powód do wyjazdu. A za to niestety nie zyskuje się

chwały.

Tu przerwał i zastanawiał się przez chwilę.

– Możliwe jednak – dodał – że pewnego dnia stanie się tytułem do niej. Kto to wie... Zresztą chyba nie chwała jest ważna, ale fakt, że człowiek nie wypuszcza z rąk swojej ziemi?

– Jednak skoro rządzą tu nasi wrogowie, to nawet ziemia należy do nich – zauważyła ze smutkiem Nefryt.

– Ziemia należy do tych, którzy ją uprawiają – odrzekł Lao Er. – Gdyby nieprzyjaciel zdołał nas z niej usunąć... gdyby przysłał swoich ludzi, którzy by tutaj orali, siali i zbierali plony, to wtedy... Ale cóż, wtedy my podjęlibyśmy walkę.

Nefryt nic na to nie odpowiedziała. Lao Er mówił zatem dalej:

– A ty, moja żono, wydając na świat dziecko, obdarowujesz nas następnym człowiekiem, który zrobi wszystko, by nie wypuścić z rąk ziemi. I któż inny może urodzić kogoś takiego, jeżeli nie kobieta twojego pokroju? My, mężczyźni, uprawiamy ziemię i zbieramy z niej plony. Ale czy potrafimy stworzyć innych mężczyzn, którzy zajmą w przyszłości nasze miejsce? To wy ich rodzicie. Wy, kobiety. I musicie to czynić, jeżeli nasz naród ma żyć i trwać. A czy byłoby to możliwe, gdyby kobiety przestały rodzić dzieci?

Nefryt siedziała nieruchomo, słuchając męża, który mówił powoli, jakby wykuwając każde słowo młotem.

– Gdy wydasz na świat dziecko – zakończył – przyczynisz się za jego pośrednictwem do tego, że utrzymamy ziemię w naszych rękach.

Lao Er nie był w stanie powiedzieć więcej i czuł się tak zmęczony jak ktoś, kto stoczył wielką bitwę. Tak, stoczył bitwę i zwyciężył, bo przekonał żonę, że to on ma rację.

Wypada teraz zadać pytanie, kto pośród tych wszystkich zdarzeń poświęcił choćby jedną myśl najstarszemu synowi? On tymczasem przebywał na wzgórzach i spełniał swój zwykły obowiązek. Zastawiał w różnych miejscach pułapki, chwytając w nie od czasu do czasu jednego lub dwóch wrogów. Nie udawało mu się to jednak tak często jak dawniej. Wrogowie bowiem stali się nad wyraz czujni i strzegli się jego pułapek, on więc musiał udoskonalać je coraz bardziej. Wykazywał się przy tym odwagą, zastawiał swoje pułapki coraz bliżej miasta, już bardzo blisko jego murów, tak że wpadali w nie coraz częściej nie tylko wrogowie. On oczywiście, znalazłszy rankiem na dnie dołu jakiegoś przeklinającego wieśniaka, żebraka czy przekupnia, zawsze puszczał go wolno. A przypadkowa ofiara, dowiedziawszy się, na kogo Lao Tan poluje, wybaczała mu wszystko chętnie.

W ten sposób niestrudzenie prowadził swoją walkę z wrogiem, jednak ostatnio jego serce zasnęła ciemna chmura, o której nie mówił nikomu. Jego przygnębienie wzięło się stąd, że w całym tym zamieszaniu wokół najmłodszego brata poczuł się całkiem zapomniany i zlekceważony. Żył bowiem przekonanie, że najmłodszy brat nie powinien ożenić się przed nim i że ojciec i matka zaniedbali swój obowiązek wobec najstarszego syna.

Gdy na wzgórzach pojawił się drugi brat, by poinformować najmłodszego o słowach tamtej kobiety, ten z wielkim szumem zaczął się przygotowywać do wyprawy na wolne terytoria. Mieli iść z nim wszyscy, którzy zechcą, a trzeba tu powiedzieć, że chciał tego każdy z jego podkomendnych, który nie był nadmiernie obciążony rodziną. Młody dowódca wezwał do siebie także swego najstarszego brata.

– Czy chcesz, mój bracie – zwrócił się do niego władczy tonem – iść ze mną na wolne terytoria? Jeżeli tak, to możesz powiedzieć rodzicom, że zezwoliłem ci na to, a ja już dopilnuję, żeby dla ciebie wynikło z tego samo dobro.

Lao Tanie spodobały się ani ten ton, ani słowa. Po pierwsze, Lao San nie nazwał go starszym bratem, tak jak należało, a po drugie, nie wydawało się słuszne, by on, starszy brat, miał się podporządkowywać młodszemu. Lao Tan nie chciał mieć nic wspólnego ani z tamtą kobietą, ani z obecnymi działaniami swego najmłodszego brata.

– Tym, co potrafię robić najlepiej, jest zastawianie pułapek – powiedział. – Jakież więc może być ze mnie pożytek w miejscu, gdzie nie ma wroga?

Młodszy brat zmarszczył na to brwi.

– Chcesz mi powiedzieć, że ja udaję się w tamte strony, bo nie ma tam wroga? – zapytał z gniewem.

Lao Tan uśmiechnął się blado.

– Dochodzą mnie słuchy, że idziesz, bo jest tam jakaś kobieta – odrzekł. – A czy ona jest wrogiem, nie potrafię stwierdzić.

– Czy sądzisz, że gdyby nim była, udałaby się na wolne terytoria? – pytał dalej rozgniewany Lao San.

Trzeba tu nadmienić, że Lao Er opowiedział najmłodszemu bratu o fladze, której ojciec nie pozwolił mu zabrać ze sobą z obawy, że mógłby zostać zatrzymany i z jej powodu zabity przez żołnierzy wroga. I dla Lao Sana jego słowa stanowiły wystarczający dowód uczciwości tej, którą kochał.

– Skąd mogę cokolwiek wiedzieć na jej temat? – odrzekł Lao Tan. – Jestem przecież tylko głupim prostym człowiekiem.

Odmówił zatem swemu bratu i odszedł, zanim ten zdążył się odezwać. Po czym wrócił do swoich pułapek. Jednak gniew kipiał w nim do tego stopnia, że przez długie tygodnie nie zjawiał się w rodzinnym domu. A potem wzmógł się jeszcze, bo nikt z rodziny nie nadesłał listu z zapytaniem, dlaczego ich nie odwiedza.

Kogo obchodzi, czy żyję, czy umarłem? – gryz! się w duchu.

Uznał, że sporą część życia ma już za sobą. Wspominał swe zmarłe małe dzieci, a także serdeczną i dobrą Orchideę. Pamiętał, jaką Orchidea była dla niego żoną. I czuł się bez niej bardzo samotny.

Więc teraz zapragnął w swoim życiu zmiany. Był na nią naprawdę gotowy. Gdzież jednak miał szukać kobiety, która zajęłaby miejsce Orchidei?

Z całą pewnością nie poproszę matki czy ojca o pomoc w tej sprawie, mówił sobie z całą stanowczością. Oni przecież nie dbają o mnie na tyle, by wypełnić swój obowiązek wobec mnie. Nie będę się więc upokarzał i błagał ich o to.

Miał jednak świadomość, że dojrzał do tego, by rozpocząć nowe życie. Tak, pragnął znowu mieć żonę, a także dzieci. I podświadomie szukał odpowiedniej dla siebie kobiety. Gdzież jednak taka była? Tu, na wsi, żyły jedynie kobiety stare lub chore albo też takie, które zostały zhańbione przez wroga. A kurtyzany oczywiście nie chciał.

Mimo to nadszedł taki dzień, w którym spotkał swoją przyszłą żonę, z tym że o wiązaniu się z taką kobietą dawniej nawet by nie pomyślał. Kiedy jednak mężczyzna czuje tak wielką potrzebę związku, każda kobieta wydaje mu się odpowiednia – byleby była czysta i zdrowa. A oto jak do tego doszło.

Zdarzyło się, że Lao Tan zastawiał pułapkę na nowej, nieznannej mu drodze. Wykopał głęboki dół i ułożył deski na tyle mocne, by mogły utrzymać umieszczone na wierzchu kamienie. A uczynił to tak sprytnie, opierając jedną o drugą, że przy najmniejszym dodatkowym obciążeniu cała konstrukcja miała się zawalić. Przygotowania te poczynił, gdy dostał wiadomość, że za parę dni w okolicy pojawią się poborcy podatków. A skończywszy robotę, ostrzegł jak zawsze okolicznych mieszkańców, by nie chodzili drogą, dopóki nie przejdą nią wrogowie. Oni zaś byli mu za to bardzo wdzięczni.

Gdy na drugi dzień rano Lao Tan zajrzał do pułapki, zobaczył na jej dnie szlochającą kobietę. Spędziła tam całą noc, bo nikt nie pojawił się na drodze i nikt nie słyszał jej wołania o pomoc. A teraz Lao Tan w bladym świetle świtu przekonał się, że to nie żaden wróg dał się złapać.

– Wyciągnę was – zawołał do niej i wskoczył do dołu, by jej pomóc.

Znalazłszy się na dnie, zauważył zaraz, że choć kobieta nie jest już młoda, ma jednak łagodną twarz o kapryśnym wyrazie i dziecinne usta, a jej oczy są zaczerwienione od płaczu.

– Bałam się tak strasznie, że zabrakło mi tchu – poskarżyła się żałośnie.

– Mielicie pecha, że szliście tą drogą – powiedział Lao Tan. – Ale skąd mogłem wiedzieć, że się tu pojawicie?

To rzekłszy, pomógł kobiecie wydostać się na górę. Ona natomiast podziękowała mu serdecznie i poprawiła na sobie ubranie. A potem otarła twarz rąbkiem swego niebieskiego bawełnianego kaftana.

– Czy możecie mi powiedzieć, gdzie się znajduję? – zapytała. – Jestem w tej okolicy całkiem obca. Męża zabili mi wrogowie, a on kazał mi w razie swojej śmierci odszukać wioskę, w której mieszkają jego rodzice, i sprawdzić, czyjego matka i ojciec zechcą się mną zaopiekować.

Tu wymieniła nazwę wioski, o której Lao Tan nigdy w życiu nie słyszał.

– Sądzę, że zabłądziliście – powiedział. – Bo ja takiej wsi nie znam.

Na te słowa kobieta ponownie zalała się łzami.

– Jak ja mam teraz dalej żyć? – łkała. – Wydałam wszystkie pieniądze. Więc co ze mną będzie? Słyszałam, że wrogowie w okropny sposób traktują kobiety. Co zatem stanie się ze mną, jeżeli wpadnę w ich ręce? – Spojrzała na mężczyznę żałośnie. – Jesteście uczciwym, dobrym człowiekiem – zwróciła się do niego. – Widzę to po waszej twarzy.

A Lao Tan, patrząc na nią, pomyślał sobie w głębi duszy: „Czyż wszystkie kobiety nie są w rzeczywistości takie same? A ta na dodatek wygląda na delikatną i dobrą. Jest wdową, ale przecież to nie jej wina”.

– Czy jedliście cokolwiek? – zapytał ją po chwili.

A gdy zaprzeczyła, odbudował swoją pułapkę, a potem zaprowadził kobietę do najbliższej gospody i kupił jej coś do zjedzenia. Nie usiadł jednak razem z nią, bo to byłoby poniżej jego godności, a poza tym, siadając z nią, okazałby się niegrzeczny. Siedział zatem w pewnej odległości i obserwował ją kątem oka.

Czyż to nie Niebiosa ją zesłały? – zastanawiał się przy tym w duchu. Wpadła przecież w moją pułapkę.

Gdy kobieta się już posiliła, polecił jej iść ze sobą. A po drodze, zebrawszy się na odwagę, której by mu pewnie nie starczyło, gdyby ona nie wyglądała tak żałośnie i nie była mu tak bardzo wdzięczna, zwrócił się do niej:

– Dom mego ojca znajduje się niezbyt daleko stąd, o dzień drogi pieszo, a moja matka



to dobra kobieta, więc pozwólcie, że was tam zaprowadzę.

Powiedział to, żeby sprawdzić, czy nowo poznana kobieta zechce z nim pójść. A ona? Jakże miałyby nie zechcieć, znalazłszy się bez dachu nad głową i bez mężczyzny, który by ją wyżywił? Odrzekła więc z prawdziwą wdzięcznością:

– Czyż mogłabym odmówić komuś, w czyje ręce mój los złożyły Niebiosy?

A potem, nie mówiąc już ani słowa więcej, ruszyli oboje w drogę. Lao Tan szedł przodem, a kobieta ze swoim tobołkiem ze zgrzebnego niebieskiego płótna podążała tuż za nim.

Uszli tak spory kawał, a Lao Tan wciąż milczał. Milczała też jego towarzyszka. Za jego plecami dawał się jedynie słyszeć odgłos jej kroków.

Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, pomyślał w pewnej chwili Lao Tan, to się dogadamy, zanim dotrzemy do domu. Muszę mieć przecież powód, dla którego sprowadzam tam kobietę.

Po pewnym czasie ich oczom ukazała się jego rodzinna wioska. Zebrał się wtedy na odwagę i z zaschniętymi z emocji ustami przemówił do kobiety:

– Straciłem żonę i dwoje dzieci. Wy straciliście męża. Czy nie jesteśmy zatem dwiema częściami jednej i tej samej całości? Może więc powinniśmy się zejść i stworzyć tę całość?

Kobieta była tak umęczona i tak bardzo pragnęła znaleźć nowy dom, że nie odmówiłaby żadnemu mężczyźnie.

– Oczywiście! Jeżeli tylko mnie zechcecie! – zawołała.

Lao Tan kiwnął na to głową, a potem, milcząc, szedł dalej. I w ten sposób dotarli do domu jego ojca.

Stało się to jednak w najmniej odpowiedniej chwili. Tego dnia bowiem wczesnym rankiem Nefryt zaczęła rodzić. Poród trwał cały dzień, bo dziecko z jakiegoś powodu przyłgnęło do wnętrza jej łona i nie mogło wydostać się na zewnątrz. Ling Sao wychodziła wprost z siebie, a Lao Er szalał. Zbiegły się też kobiety z wioski, by doradzać, co należy zrobić. Wszystkie ich rady zostały wykorzystane, a dziecko wciąż nie przychodziło na świat. Nefryt zaczęła już tracić odwagę.

– To dziecko jest za duże – wyszeptwała, wąpiąc w głębi serca, czy zdoła je urodzić.

Ling Sao w tej okropnej sytuacji nie miała czasu na to, by wysłuchać najstarszego syna, który zjawił się w domu z jakąś obcą kobietą. Ogromnie zdenerwowana i zatroskana, przewidywała bowiem najgorsze. Najstarszy syn tymczasem, będąc człowiekiem tak prostym, że potrafił myśleć tylko o sobie, odezwał się do matki niegrzecznie.

– Matko, ta kobieta jest twoją nową synową.

– Nic nie chcę słyszeć o żadnych synowych! – zawołała na to Ling Sao. – Nie

doznałam od nich niczego prócz goryczy! Sam widzisz, że ta cała Nefryt nie jest w stanie urodzić! I co my teraz zrobimy? Naprawdę, własne dzieci, a także ich dzieci przynoszą człowiekowi tylko zgryzotę. A ja, stara matka, z ich winy nie zaznam nigdy spokoju!

Trzeba w tym miejscu nadmienić, że kobieta, którą przyprowadził Lao Tan, żyła już na świecie wystarczająco długo, by móc się szybko zorientować, co jest dla niej dobre, a wieś, w której się teraz znalazła, spodobała się jej od pierwszej chwili. Przekonała się też, że gospodarstwo i dom, do którego zawitała, są naprawdę pokaźne. Czyż będąc kobietą w moim wieku, znalazłabym coś lepszego? – pomyślała. Szczęśliwy traf sprawił, że wpadłam w tę pułapkę, muszę więc to teraz należycie wykorzystać. Tak pomyślawszy, podziękowała losowi za to, że postawił na jej drodze takiego silnego mężczyznę. Nie przeszkadzało jej przy tym, że jest on co najmniej o dziesięć lat od niej młodszy. Postanowiła ze względu na niego pokazać się teraz z jak najlepszej strony. Nie zważając więc na zmęczenie, położyła na ziemi swój tobolek, przyglądziła włosy i odezwała się łagodnym, miłym tonem:

– Znam swoją małą wartość i wiem, że mówiąc to, okazuję się zbyt śmiała. Powiem jednak, że nie raz pomagałam przy porodach. Może zatem przydam się tutaj w tej chwili. Bo po cóż innego Niebiosy zesłałyby mnie właśnie dzisiaj do waszego całkiem nieznanego mi domu? Po cóż sprawiłyby, że zbłądziłam i wpadłam w pułapkę zastawioną przez waszego syna, z której on mnie potem wyratował?

– Chodźcie więc ze mną! – zawołała Ling Sao, słysząc te słowa i nie pojmując z nich nic prócz tego, co interesowało ją w tej chwili.

Chwyciła obcą kobietę za rękę i zaciągnęła do łóżka Nefryt.

– Oto, moje dziecko, jest ktoś, kogo zesłały nam Niebiosy – zwróciła się do synowej.  
– Ktoś, kto ci pomoże. Nie traćmy więc ducha.

Kobieta zakasała rękawy, uśmiechnęła się do położnicy, odsłoniła jej brzuch i lędźwie i zaczęła je nagniatąć. Trudno powiedzieć, czy to widok nowej twarzy dodał Nefryt odwagi, czy też ugniatanie przyniosło jej ulgę, dość że zebrała się w sobie i podjęła kolejną próbę. A nowo przybyła okazała wielką cierpliwość. Zwróciła się do rodzącej z uspokajającymi słowami, kontynuując przy tym swoje czynności, a wszyscy pozostali znajdujący się teraz w izbie zamarli wprost w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

– Dziecko trochę się poruszyło – wyszeptwała Nefryt, krzywiąc się z bólu.

A w tej samej chwili obca kobieta wsunęła rękę w głąb jej ciała.

– Czuję główkę chłopca! – oznajmiła radośnie.

Wszyscy więc ponownie nabrali otuchy. Ling Sao zaczęła usilnie namawiać Nefryt, by – skoro jest to chłopiec – nie zaprzestawała walki. Kobieta delikatnie pociągnęła dziecko,

a Nefryt parla bardzo mocno, wskutek czego maleństwo nie miało wyjścia i, choć ze sporym oporem, uległo. Po dalszych dwóch godzinach było już na świecie. A wtedy Ling Sao chwyciła je na ręce. Tymczasem obca kobieta, spojrzawszy na Nefryt, zawołała podniecona:

– Jest jeszcze jedno!

Po czym zabrała się znów do pracy. I po paru chwilach wraz ze strumieniem matczynej krwi na świecie pojawiło się następne dziecko.

– O Nieba, litości! – zawołała Ling Sao i wyciągnęła rękę po drugiego chłopca.

Okazało się, że obaj są bardzo krzepcy, płakali bowiem tak głośno jak tygodniowe oseski.

Nie było teraz żadnych wątpliwości: tę obcą kobietę zesłały Niebiosy.

– Musicie coś zjeść i odpocząć – zwróciła się do niej Ling Sao. – I możecie mieć pewność, że podziękuję wam za to w sposób, w jaki tylko zapragniecie.

Oddała dzieci w ręce sąsiadek po czym, tak dumna, jakby wszystko, co się tu dokonało, było wyłącznie jej zasługą, poszła do kuchni. A tam przygotowała dla Nefryt wrzątek z czerwonym cukrem, który młodej kobiecie miał pomóc odzyskać siły. Zawołała też zaraz drugiego syna, poleciła mu zanieść napój żonie i zapewnić ją, że spisała się bardzo dobrze.

Ale, czyniąc to wszystko, pomyślała sobie w duchu: „Ta kobieta... ona jest stanowczo za stara dla mojego syna. Czyż jednak mogę ją teraz odrzucić? A znowu z drugiej strony... jak to będzie... mieć tak starą synową?”.

Kiedy Lao Er poszedł już do żony, Ling Sao zawołała Ling Tana. Chciała się z nim naradzić, jak zachowywać się wobec tej kobiety – czy traktować ją jak synową, czy może jak osobę całkiem obcą. A trzeba tu nadmienić, że Lao Tan zdążył już poinformować ojca o swoich zamiarach, toteż Ling Tan dobrze wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

– Niebiosy płatają nam ostatnio figle – oznajmiła Ling Sao, podsycając ogień, na którym zamierzała podgrzać strawę dla gościa. – Przysięgam, nigdy się nie spodziewałam, że któryś z naszych synów znajdzie sobie nie wiadomo gdzie taką kobietę. Czasy są okropne.

– Jednakże, moja żono, czy możemy teraz postąpić wbrew życzeniu naszego najstarszego syna? – zapytał Ling Tan.

Ling Sao, widząc wyraźnie, że mąż chce spełnić wolę syna, wymieniła tylko jedną przeszkodę:

– Jeżeli ona jest za stara na to, żeby urodzić dziecko, nasz syn nie może wziąć jej za żonę. Bo jaki pożytek z kobiety, która nie może mieć dziecka?

– Dzisiaj się przydała – zauważył Ling Tan.

– Ale dzisiaj to nie znaczy zawsze – odrzekła Ling Sao. – Taki dzień nie zdarza się często – upierała się przy swoim.

A potem, zaniósłszy kobiecie posiłek, zapytała ją po prostu o wiek, uważając tylko, by uczynić to z należąco gościowi grzecznością.

– No cóż – odrzekła jej na to nowo przybyła ze smutkiem – wiem, że jestem za stara. Mam już trzydzieści sześć lat.

Ling Sao spodobała się jej szczerość. Zastanowiła się i doszła do wniosku, że jest rzeczywiście dość dojrzałą kobietą, ale w tym wieku, jeżeli jest płodna, może jeszcze urodzić troje lub czworo dzieci. Zadała więc kolejne uprzejme pytanie:

– Czy macie dzieci?

A na to jej rozmówczyni się rozplakała.

– Miałam dzieci – odrzekła – ale straciłam wszystkie. Cała piątka zginęła podczas nalotu podniebnych statków. Przeżyliśmy go tylko we dwoje z mężem. Potem jednak i on stracił życie. Stało się to podczas bitwy, bo mąż został wzięty do wojska. Był z zawodu szewcem, pracował na ulicach, nie chcąc ukrywać się w domu. Gdy władze nakazały, by z naszego okręgu wysłać do walki na wolnych terytoriach tysiąc mężczyzn, jego wzięto natychmiast, bo był krzepki, a nogi miał silne, bo przecież wciąż chodził ze swoim warsztatem. Zniknął i nie wracał do domu przez wiele dni, więc bardzo się o niego bałam. A potem dostałam od niego wiadomość. Kiedy już wiedziałam, gdzie jest, udałam się w to miejsce. Nie zobaczyłam się z nim jednak, bo były tam tysiące żołnierzy i zanim go odnalazłam, usłyszałam, że nie żyje.

– Co za ogrom nieszczęść! – powiedziała Ling Sao i w tej samej chwili, powodowana współczuciem, postanowiła ustąpić najstarszemu synowi i przyjąć bez protestu to, co zesłały Niebiosy.

# XX

W ten sposób dom Ling Tana zapełnił się ponownie, a życie toczyło się dalej, choć cierpienia spowodowane rządami wroga nie zelżały. Ling Tan zdawał sobie sprawę, że nie ma na to żadnej nadziei. Znosił więc wraz z innymi ciężar najokrutniejszych podatków i najbardziej niesprawiedliwej zachłanności, a każdej wiosny toczyli, i mieli jeszcze długo toczyć, opiumową wojnę z wrogiem. W tej wojnie jak dotąd zwyciężał niestety wróg. Obecnie w mieście sprzedawano opium po dwadzieścia jeden sztuk srebra za uncję. Sztuka srebra wystarczała na wyżywienie lub porcję opium na jeden dzień, a tych, co wybierali narkotyk zamiast jedzenia, było coraz więcej. Opiumowymi fajkami handlowano na ulicach jawnie, a o czymś takim od czasów starożytnych nie słyszało się w tym kraju. Obłożwszy takie towary podatkiem, wrogowie czerpali wielkie zyski ze słabości zrozpaczonych ludzi. Przy czym trzeba zaznaczyć, że swoim rodakom władze zakazały zażywania opium.

Wrogowie zagarniali wszelkie towary tekstylne, dlatego sklepów z tkaninami było bardzo mało. W rękach najeźdźców znalazły się wszystkie fabryki jedwabiu, do nich też należały mąka, ryby, ryż i cement.

Obserwując ten straszny rabunek, widząc, jak wrogowie wywożą do siebie wszelkie dobra, jak rekwirują wyroby żelazne, nawet gwoździe i zamki, noże i widelce, a także motyki i łopaty, jak odbierają mieszkańcom jego kraju wszelki metal, którego ci nie zdążyli ukryć, Ling Tan myślał z goryczą: „Ziemia jest jedyną rzeczą, której ci ludzie nie mogą wywieźć do tej swojej przeklętej ojczyzny”.

A tymczasem, jakby wskutek buntu ziemi, plony zmniejszyły się o połowę.

– Ci nasi wrogowie – stwierdził któregoś razu Ling Tan – nie wypowiedzieli nam wojny, aleją z nami toczyli. Teraz natomiast utrzymują, że zawierają z nami pokój, a mimo to wcale nie wprowadzają tej deklaracji w życie.

Największą nienawiścią pałał do nieprzyjaciół za to, że sam – człowiek niegdyś dumny i wolny – musi teraz milczeć w ich obecności, że jest zmuszony słuchać bez słowa tego, co mówi nawet najmniej znaczący i najnikczemniejszy spośród tych małych krzywonogich ludzi. Musiał tak postępować – aczkolwiek robił to tylko ze względu na ziemię, której wciąż niezłomnie dochowywał wiary.

Ale bywały chwile, gdy krew się w nim burzyła. Nie mógł wtedy jeść i nic mu nie pomagało – ani uspokajające słowa żony, ani widok wnuków czy jakiejś rzeczy będącej jego własnością.

– Jeżeli jeszcze raz okoliczności zmuszą mnie do zetknięcia się z wrogami na mojej własnej ziemi, to nie ręczę za siebie – oświadczył kiedyś żonie, a ona milczała, bo widziała wyraźnie, że nic nie jest w stanie go pocieszyć.

Tak, prawda była taka, że w tej sytuacji nie było dla Ling Tana żadnego pocieszenia.

– Gdybym zyskał choć ziarenko nadziei – powiedział innym razem – gdybym dostrzegł koniec tego wszystkiego, choćby w najdalszej przyszłości, to pewnego dnia powstalibyśmy i zepchnęli wroga w morskie fale! Jednak my staramy się jedynie przetrwać, a czyż to może doprowadzić do zwycięstwa?

Ling Sao i tym razem milczała, nie znajdując odpowiedzi. Chwile takiego zwątpienia budziły jej wielkie obawy, bo przygnębienie Ling Tana sprawiało, że cały dom stawał się ciemny i ponury. A wtedy nawet jego synowie nie byli w stanie temu zaradzić.

Jedna z takich chwil nadeszła późnym latem tego roku i w dniu urodzin Ling Tana rozpoczęła okres najciemniejszy w całym jego życiu. Dawniej urodziny Ling Tana stanowiły święto dla całej wioski. Ling Tan zapraszał na nie przyjaciół i wydawał wielką ucztę. Na te urodziny, sześćdziesiąte, oczekiwał z utęsknieniem przez długie lata. Bo dla mężczyzny będącego dobrym człowiekiem i mającego synów jest to najwspanialsza rocznica. W normalnych czasach Ling Tan przy tej okazji zebralby ich wokół siebie i wszyscy świętowaliby przez długie dni. Solenizant sprawiłby sobie nowe ubranie i otrzymałby mnóstwo prezentów. Sam natomiast obdarowałby pieniędzmi wszystkich członków rodziny. I radości nie byłoby końca.

Lecz teraz – jakże to wszystko mogłoby się zdarzyć? Trzeci syn Ling Tana znajdował się przecież daleko, na wolnych terytoriach, a najstarszy krążył między wzgórzami a domem. Urodziny zbliżały się, a w domu nie było choćby kawałka mięsa ani też pieniędzy, za które mogliby je kupić. Wszystko, co mieli, wydawali na skromną codzienną strawę, która trzymała ich przy życiu. A poza tym lato tego roku okazało się długie i upalne, wskutek czego Ling Tan poczuł się zmęczony i stary. Bezustannie towarzyszyło mu też wrażenie, że trudy życia przekraczają jego siły.

Nie ciesząc się nawet ze swojej ziemi, pomyślał pewnego dnia, idąc w pole, by sprawdzić, jak wygląda ryż przed zniwami. Gdy plony są dobre, martwi mnie to, bo ziarno dostaje się w ręce wroga. Kiedy zaś są liche, czuję, że ziemia się gniewa i że ja sam nie spisałem się jak należy. Tak długo jak wróg niby wściekła bestia siedzi nam na karku,

człowiek nie znajduje w niczym przyjemności.

W tym czasie Ling Tana po raz pierwszy nawiedziły poważne wątpliwości – zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zostając na swojej ziemi. Gdyż żyjąc na niej, musiał rok po roku oddawać plony na wykarmienie wroga, a to napawało go wielką goryczą.

– Jakżebym pragnął, by gdzieś na niebie pojawił się choćby przeblysk nadziei – powiedział pewnego dnia swemu drugiemu synowi. – Jakżebym chciał dojrzeć nadzieję chociażby w formie wyciągniętej do nas pomocnej ludzkiej dłoni. Tymczasem na świecie nie ma nikogo, kto by taki gest uczynił. Bo wszędzie ludzie myślą tylko o sobie.

Mówił tak, bo obecnie nawet skromni, podobni do niego wieśniacy wiedzieli, że żaden kraj świata nie opowiedział się po ich stronie. Żaden nie zaoferował im pomocy w tej rozpaczliwej walce z najeźdźcą. Słyszał też, że nawet w krajach deklarujących przyjaźń znaleźli się ludzie, którzy sprzedawali wrogom broń i wszelkie wojenne zaopatrzenie po cenach, jakie udało im się uzyskać. I jego serce i serca jemu podobnych krwawiły na myśl, że ze świata zniknęła prawość. Wszyscy ludzie są tacy sami – myślał. Niektórzy co prawda nie walczą. Jednak czy oni są lepsi od tych walczących z bronią w ręku, skoro czerpią zyski z produkcji i sprzedaży broni, z przekazywania jej w ręce tych, co obracają ją przeciwko niewinnym? Ling Tana, który z tego wszystkiego zdawał sobie doskonale sprawę, ogromnie już zmęczyło oczekiwanie na pomoc. Ta zaś nie nadchodziła, a on, w chwili gdy zbliżała się jesień piątego roku wojny, już prawie całkiem wyzbył się nadziei.

– Wszyscy ludzie są źli – powiedział do syna. – Pod sklepieniem nieba nie został już nikt, kto chciałby się zastanawiać nad tym, co jest dobre, a co złe. A gdy tak się dzieje, giniemy.

Ling Tan zaczął tracić apetyt. Pracował teraz mniej niż dawniej, a w żniwach i sadzeniu roślin nie znajdował już tej radości, która trzymała go przy życiu i odejmowała mu lat.

Trwało to tyle czasu, że wzbudziło obawy Ling Sao, dla której mąż był wciąż najbliższym na świecie człowiekiem. Pewnego dnia zatem zawołała do kuchni drugiego syna.

– Posłuchaj, synu – zwróciła się do niego – musisz wymyślić jakiś sposób, by ojciec odzyskał nadzieję. On bowiem nigdy dotąd, przez wszystkie lata swojego życia, nigdy jej nie tracił.

– Proście mnie, matko, o coś, co jest bardzo trudne – odrzekł ze smutkiem Lao Er. – Gdzież w dzisiejszych czasach mam szukać nadziei? Czyż mogę ją gdzieś kupić albo

podnieść z ziemi niby upuszczony klejnot? Nadzieja musi wypływać z tego, co mamy. Inaczej przestaje być nadzieją, a staje się mrzonką.

– Skoro tak, to życie twojego ojca dobiegło końca – powiedziała Ling Sao z rozpaczą.  
– A my przegraliśmy naszą długą walkę. Wróg nas zwyciężył.

To rzekłszy, poszła do swego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, by się wypłakać.

Lao Er potraktował jej prośbę z wielką powagą. Zaczął się zastanawiać, czy jest w stanie podnieść ojca na duchu. Skądże jednak miał czerpać słowa pociechy?

W tych okropnych czasach triumfu złych ludzi złe potrafiły być nawet Niebios. Przed kilku laty zesłały na ziemię potężne deszcze, a nie dalej jak zeszłego roku na północy zapanował głód i teraz ludzka fala płynęła stamtąd na południe, dryfując od jednego nieszczęścia ku drugiemu. Podobnie zdarzało się i dawniej i wtedy Ling Tan oraz inni wieśniacy pomagali głodującym. Cóż jednak mogli zrobić dla nich teraz, gdy połowę wiosek zniszczył ogień?

W mieście nadal panowały popierane przez państwa sprzyjające wrogowi marionetkowe rządy. Krążyły równocześnie słuchy, że na wolnych terytoriach zbiera się potężna armia. Nikt jednak z tych, co żyli w niewoli, nie widział jej na własne oczy i dla nich wieść o tej armii była jedynie pogłoską. Wróg bowiem pilnował, by do podbitego narodu nie docierały żadne informacje. Ludzie żyli zatem uwięzieni w ciszy, poprzez którą nie przenikały wiadomości z zewnętrznego świata. I w tej ciszy wróg sprawował nad nimi swoje srogie rządy, pod którymi człowieka wciąż można było pozbawić życia dosłownie za nic. Wielu też ginęło za drobne przewinienia albo po prostu w wyniku kaprysu któregoś z wrogów. I nikt nie oddychał wolnością. Powoli i stopniowo pękały ludziom serca. Wielu umierało z własnej woli, poddawszy się niby tonący, który idzie na dno, bo rezygnuje z walki o życie. Coraz częściej też ci, którzy dotąd nie palili opium, teraz ulegali temu zgubnemu nałogowi.

Lao Er, zastanawiając się głęboko nad tym wszystkim, przypomniał sobie o starym kuzynie, o którym nie myślał od wielu miesięcy. Wiedział, że on żyje, bo od czasu do czasu, wbrew wszelkim działaniom wroga, po okolicy roznosiła się jakaś nowina, zniekształcana przez podających ją sobie z ust do ust ludzi do tego stopnia, że gdy docierała do wiosek, nikt nie wiedział, jak brzmiała na samym początku. Pójdę do tego starego safanduly, postanowi! Lao Er, i dowiem się, czy ma do powiedzenia coś krzepiącego. Poproszę też ojca, żeby poszedł ze mną. A on, usłyszawszy jakieś dobre wieści z ust kuzyna, przekona się, że i to, co ja mówię, gdy go pocieszam, to nie są tylko puste słowa.

Gdy więc nadeszły urodziny Ling Tana i gdy już w miejsce zwyczajowej uczy zjedli



za zaryglowaną bramą tylko złowioną potajemnie rybę, Lao Er zwrócił się do ojca:

– Dlaczego nie mielibyśmy zrobić sobie przyjemności i nie pójść na parę godzin do miasta, do herbaciarni, gdzie moglibyśmy się spotkać z naszym uczoneym kuzynem i ponownie usłyszeć, co mówi?

Ling Tan z początku nie chciał iść, był bowiem zmęczony i wcale już nie liczył na żadne dobre wieści. Zauważywszy jednak, że synowi bardzo na tym zależy, zmienił zadanie.

– Nie mam na to zbyt wielkiej ochoty – powiedział. – Pójdę jednak z tobą, bo widzę, że bardzo tego pragniesz, a także dlatego, że są moje urodziny.

Tak więc Ling Tan wraz z synem po raz kolejny wmieszali się między gości w herbaciarni. I wszystko odbyło się tak jak poprzednio. Weszli do pomieszczenia w głębi domu, a po chwili zjawił się tam ich stary uczonek kuzyn. Był teraz chudszy i bardziej zasuszony i senny niż kiedyś. I tak pogrążony w swoich rojeniach, że gdyby Ling Tan mu się przedstawił, nie poznałby go z całą pewnością. Zachowywał jednak wystarczającą jasność umysłu, by wykonywać dzień w dzień to zajęcie, od którego zależało, czy zdobędzie codzienną dawkę opium, choć dla wszystkich, którzy na niego patrzyli, było całkiem jasne, że już niezbyt długo będzie potrzebował swego narkotyku.

Wkroczywszy teraz do izby, starzec usiadł na swoim stołku i zaczął mamrotać we własną brodę. Czynił to przy tym głosem tak cichym, że chcąc go usłyszeć, trzeba było dobrze nastawić uszu.

– Mówiłem wam wczoraj – zaczął – o tym spotkaniu dwóch wielkich białych ludzi, które odbyło się na morzu. Jeden z pertraktujących pochodził z kraju Mei, a drugi z kraju Ying. Rozmawiali przez pewien czas. A dzisiaj ten z kraju Ying wygłosił przemówienie.

Tu starzec sięgnął za pazuchę i wyciągnął poplamioną na brązowo kartkę oraz okulary w rogowej oprawie. Z niejakim wysiłkiem, bardzo drżącymi rękami umieścił okulary na nosie, a te zaraz mu się zsunęły. Poprawił je, ale one zsunęły się znowu. Publiczność z wielką cierpliwością czekała, aż podejmie trzecią próbę. I tym razem okulary utrzymały się na nosie starca, a on podniósł kartkę i odczytał na głos następujące słowa:

„Próby, na które zostaną wystawione podbite narody, będą ciężkie. Musimy natchnąć te narody nadzieją. Musimy wpoić im przekonanie, że ich cierpienia i opór nie okażą się daremne. Tunel być może jest ciemny, jednak na jego końcu widać światło”.

Ling Tan, stojąc wśród innych zebranych w brudnej i nędznej izbie, usłyszał te krzepiące słowa. I w jego serce – wygłodzone niczym leżąca odłogiem ziemia – wpadły one niczym ziarno.

– Kim jest człowiek, który tak przemawiał? – zapytał głośno. – Nie było mnie tu

wczoraj, więc powiedz mi to teraz.

Ale uczony stary kuzyn nie musiał się wysilać, bo pozostali słuchacze z entuzjazmem podzielili się tą wiedzą z Ling Tanem. Jeden przez drugiego – wszyscy razem, z zapalem i nadzieją, a równocześnie pełni wątpliwości spowodowanych tak długim oczekiwaniem – poinformowali go, że nareszcie ten jeden człowiek przemówił w imieniu dwóch narodów, narodu Mei i narodu Ying. Ling Tan słuchał tych ludzi i chłonał każde ich słowo tak długo, aż zasiane w jego sercu ziarna słów wypuściły korzenie.

– Skoro te dwa narody są przeciwko naszemu wrogowi – powiedział – to czyż nie oznacza to, że są z nami?

– Czyż nie oznacza to, że są z nami? – zawtórowali mu niczym radosne echo zebrani w izbie ludzie.

A Ling Tan poczuł, że gdzieś z głębin nękającego go od dawna znużenia powoli napływają mu do oczu łzy. A trzeba tu powiedzieć, że przez wszystkie te pełne goryczy lata wcale nie płakał. Dostrzegał zniszczenia – we własnym domu i w wiosce, widział wszędzie śmierć – a jednak płacz nie nadchodził. Zdziwił się więc bardzo, że teraz, wraz z pierwszą od czterech lat dobrą wiadomością, pojawiły się łzy. I zdziwiony – zapłakał.

– Chodźmy – powiedział do syna.

Syn zatem poszedł za nim. I wyszli razem ze spustoszonego miasta, a Ling Tan nic nie mówił.

Wkrótce bita droga zrobiła się wąska i wiła się teraz dnem doliny wśród wzgórz czerniejących na tle nieba, na którym księżyc tej nocy nie świecił.

Trzeba tu nadmienić, że Lao Er z niedowierzaniem przyjął słowa uczonego kuzyna. Miał też ochotę powiedzieć: „Lepiej zrobimy, ojcze, nie licząc na pomoc z żadnej strony. Bo czyż istnieją na świecie ludzie, którzy pomagają za nic?”.

Czekał jednak, aż ojciec odezwie się pierwszy.

Milczenie ojca się przedłużało, Lao Er milczał także. I doszedł do wniosku, że lepiej pozwolić staremu człowiekowi mieć nadzieję. Ja jestem młody, powiedział sobie w duchu. Mogę żyć i bez niej. On nie.

A gdy tak z sercem chłodnym i pełnym goryczy Lao Er postępował za swoim ojcem, zobaczył w pewnej chwili, że ten podnosi głowę, by spojrzeć na gwiazdy, a potem wyciąga rękę, by poczuć wiatr.

– Czy zanosz się na deszcz? – zabrzmiało nagle w ciemności pytanie Ling Tana.

Od wielu dni deszcz był potrzebny.

– Raczej tak – odrzekł Lao Er.